

**Nadżib Mahfuz**

**OPOWIEŚCI STAREGO KAIRU**

**(Przełożyła: Jolanta Kozłowska)**

# 1

Obudziła się koło północy, jak zwykle, bez budzika, pod wpływem jakiegoś wewnętrznego nakazu, który kazał jej budzić się co noc dokładnie o tej porze. Chwilę leżała bez ruchu niepewna przebudzenia, a pod powiekami senne widzenia mieszały się z szeptami zmysłów. Nagły niepokój, że sen, zdrajca, znowu ją ogarnie, sprawił, że potrząsnęła lekko głową i otworzyła oczy na gęstą ciemność pokoju. Nic jej nie mówiło, która to godzina. Ulica pod oknami pokoju sypialnego żyje aż do wschodu słońca. Hałasy z okolicznych kawiarni, głosy ich bywalców i właścicieli sklepów dochodziły do niej zarówno wieczorem, jak i koło północy i nad ranem. Jedynie jej głos wewnętrzny, czujny i dokładny jak wskazówka zegara, upewniał ją, że pora się obudzić, a cisza panująca w domu mówiła, że mąż nie zapukał jeszcze do drzwi i jego laska nie uderzyła o stopnie schodów.

Budziła się tak koło północy od wczesnych lat młodości, a zwyczaj ten przyswoiła sobie wraz z innymi obyczajami życia małżeńskiego. Budziła się i czekała na męża, który o tej porze wracał zwykle z nocnych libacji, i pozostawała na jego usługach, dopóki nie położył się spać. I teraz usiadła bez wahania na łóżku, żeby przewyciężyć pokusę ciepłego snu, pomodliła się i wysliznęła spod kołdry. Szukała po omacku drogi kierując się kolumnami łóżka i okiennicami, aż znalazła drzwi i otworzyła je. Do pokoju wkradło się słabe światło lampy stojącej na konsolce w salonie, a na suficie pojawiło się drżące kółko, odbicie okrągłego otworu lampy, w otoczce cienia. Zabrała lampę i postawiła ją na stoliku naprzeciwko kanapy. Światło oświetliło duży, kwadratowy, wysoki pokój z belkowanym sufitem. Ukazały się ciemne meble, dywan z Szirazu, duże łóżko z czterema miedzianymi kolumnami, ogromna szafa i długa kanapa pokryta małym kilimem w różnokolorowe wzory. Podeszła do lustra i zobaczyła, że jej kasztanowe włosy wysunęły się spod zawiązanej dokoła głowy brązowej chustki i rozsypały nad czołem. Rozwiązała chustkę, przyglądała włosy i starannie ją znowu zawiązała. Przetarła twarz dłońmi, jakby chcąc zetrzeć z niej resztki snu. Miała czterdzieści lat; raczej niewysoka, wyglądała na szczupłą, ale ciało miała pełne, świeże, harmonijnej budowy. W owalnej twarzy o delikatnych rysach i szerokim czole zwracały uwagę małe piękne oczy o spojrzeniu słodkim i łagodnym, mały, kształtny nos rozszerzający się nieco przy nozdrzach, usta drobne, pod nimi zaostrowany podbródek. Cerę miała jasną, świeżą, na policzku pieprzyk o czystej, głębokiej czerni.

Narzuciła pośpiesznie szal i wyszła na maszrabiję. Przez małe okrągłe szparki w zamkniętych okiennicach spoglądała na prawo i na lewo. Pod maszrabiją schodzą się dwie ulice: An-Nahasina opadająca ku południowi i Bajna al-Kasrajmi wznosząca się ku północy. Uliczka po lewej stronie jest wąska, kręta, owinięta w ciemność gęstniejącą w jej górnej części, na którą wychodzą okna śpiących domów, i słabnącą w dolnej, na którą padają światła latarek przy ręcznych wózkach, światła kawiarni, klubów i sklepów przeciągających swoje wieczorne życie aż do świtu. Uliczka po prawej stronie cała tonie w ciemności, bo nie ma tam kawiarni, a wielkie firmy handlowe wcześniej zamykają podwoje. Wzrok przyciągają tu tylko minarety meczetów Kalawuna i Barkuka czuwające jak widma olbrzymów w blasku jaśniejących gwiazd. Widok tych meczetów i uliczek towarzyszył jej

samotności przez długie dwadzieścia pięć lat, przywykła do niego i wcale nie była nim znudzona, przeciwnie, pokochała go jak bliską osobę. Zresztą, chyba nie wiedziała nawet co to nuda, mimo monotonnego życia, jakie wiodła.

Zaprzyjaźniła się z tym widokiem, jeszcze zanim przyszły na świat dzieci. W wielkim domu o dwóch piętrach, na których znajdowały się duże, wysoko sklepione pokoje, posiadającym piaszczyste podwórze z głęboką studnią, przebywała zupełnie sama większą część dnia i nocy. Wyszła za męża nie mając jeszcze czternastu lat i wkrótce, po śmierci teściowej i Starszego Pana, sama została panią tego ogromnego domu.

Miała do pomocy starą kobietę, która wraz z zapadnięciem zmroku udawała się do swojego pokoju przy kuchni w podwórzu, zostawiając ją samą w świetle nocy pełnym duchów i zjaw, zapadającą w drzemkę na godzinę, to czuwającą następną, dopóki nie wróci jej potężny mąż z przeciągającej się hulanki. Żeby się trochę uspokoić, przywykła obchodzić przed snem dom ze służącą trzymającą lampę w wyciągniętej ręce. Rzuciła uważne, trwożliwe spojrzenia w kąty pokoi, potem zamykała mocno jeden pokój po drugim, od pierwszego do ostatniego piętra, odmawiając przy tym zapamiętane sury Koranu, które odpędzały złe duchy. Wchodziła wreszcie do sypialni, zamykała drzwi i szybko wślizgiwała się do łóżka, nie przestając mamrotać wersów Koranu, dopóki nie zmorzył jej sen. Jakże się bała początkowo przebywania w tym domu nocami. Nie opuszczała jej myśl – znała przecież świat dzinnów znacznie lepiej niż świat ludzi – że nie mieszka w tym domu sama, że złe duchy muszą przecież błądzić po tych starych, ogromnych, pustych pokojach. Być może schroniły się tu, zanim jeszcze ona się wprowadziła, może nawet zanim ujrzała światło dzienne. Ileż to razy dochodziły do jej uszu ich szepty, ileż razy budził ją żar ich oddechów. Odmawiała wtedy szybko *Al-Fatihę* albo *As-Samadiję*, albo wybiegała na maszrabiję i poprzez jej szpary błędziła wzrokiem po światłach wózków i kawiarni i łowiła uchem śmiechy lub kaszel, które ją uspokajały. Potem przyszły na świat dzieci, jedno po drugim, ale drobne, bezbronne ciała nie odsunęły od niej lęków ani nie przyniosły spokoju. Przeciwnie, strach jej podwoił się jeszcze, a duszę wypełniła litość dla nich i obawa, żeby nie spotkało ich co złego. Tuliła je w ramionach i pieściła, w dzień i w nocy, otaczała pancerzem z sur, czarów i talizmanów. Prawdziwego spokoju zaznawała dopiero wtedy, kiedy nieobecny mąż wracał z nocnej hulanki. Czasami, kiedy była sama i usypiała dziecko lub je pieściła, chwytła je nagle na ręce, przyciskała gwałtownie do piersi i nasłuchiwała pełna strachu i niepokoju, a potem zaczynała krzyżeć, jakby ktoś jeszcze był w pokoju: „Zostaw nas! Nie ma tu dla ciebie miejsca, jesteśmy muzułmanami, wierzymy w jednego Boga.”

I w pośpiechu, żarliwie, odmawiała znowu *As-Samadiję*. Z biegiem czasu stałe obcowanie z duchami sprawiło, że przestała się ich bać do tego stopnia, że nawet przekomarzała się z nimi nie obawiając się, że przyniesie to coś złego, a kiedy poczuła koło siebie dzinna, mówiła tonem nie pozbawionym kokieterii: „Cóż to, nie masz szacunku dla sług Miłosiernego? Bóg stoi między nami, więc, szanowny panie, zostaw nas w spokoju.” Prawdziwy spokój odzyskiwała jednak tylko wtedy, kiedy wracał mąż. Sama jego obecność w domu, nawet kiedy spał, dawała poczucie bezpieczeństwa, niezależnie od tego, czy drzwi były zamknięte, czy nie, lampa zgaszona czy zapalona.

Kiedyś, w pierwszym roku ich pożycia, przyszło jej do głowy zganić go grzecznie za ciągłe nocne libacje. I co wtedy zrobił? Chwycił ją mocno za uszy i powiedział tonem surowym i stanowczym: „Jestem mężczyzną, ja tu rozkazuję, nie znoszę żadnych uwag co do mojego zachowania, ciebie obowiązuje tylko bezwzględne posłuszeństwo, strzeż się, żebym nie musiał cię wychowywać.” Zrozumiała z tej lekcji i innych, które po niej nastąpiły, że znieśie wszystko, nawet obcowanie z ifritami, z wyjątkiem jego oczu płonących z gniewu na nią. Tak, winna mu jest bezwzględne posłuszeństwo. I była posłuszna. Do tego stopnia, że nawet w duchu nie znosiła robienia mężowi wymówek i wpoila sobie raz na zawsze, że despotyzm, nocne hulanki i męskość to jedno. Z biegiem czasu zaczęła być wręcz dumna ze wszystkiego, cokolwiek doznała od męża, czy było to przykre, czy radosne, i w każdych okolicznościach pozostawała posłuszną, uległą i kochającą żoną. Ani dnia nie żałowała wyboru takiego postępowania. Jakąkolwiek chwilę życia przywoływała w pamięci, widziała w niej tylko dobro i radość, a strachy i smutki, które pojawiały się nieraz przed jej oczami jak puste zjawy, zasługiwały tylko na uśmiech politowania. Bo czyż mąż nie przeżył z nią dwudziestu pięciu lat, czyż nie dał jej dzieci, żrenicy jej oka, i domu darzonego dobrem i błogosławieństwem bożym, i życia dostatniego i szczęśliwego? A wszystkie *ifrity* przeminęły tak, jak każda noc przemijała w końcu w spokoju i żaden z nich nigdy nie wyciągnął ręki do niej ani do jej dzieci, nigdy nie zrobił im nic złego, jedynie przekomarzał się z nimi i żarty sobie z nich stroił. Nie ma więc powodu do narzekań i chwała, największa chwała Bogu, który swoim zrządzeniem uspokoił jej serce, a swoim miłosierdziem ustabilizował jej życie. Nawet tę chwilę oczekiwania, która wrywała ją z błogiego snu i kazała pełnić służbę – a zasługiwała przecież na to, by zakończyć ją wraz z odejściem dnia – nawet tę chwilę kochała z całego serca. I oprócz tego, że stała się ona nierozzerwalną częścią jej życia zawierającą ogrom wspomnień, była też ciągle żywym symbolem jej miłości do męża, zapamiętania w uszczęśliwianiu go i momentem, w którym każdej nocy dawała mu dowód tej miłości i tego zapamiętania.

Dlatego teraz wyszła na maszrabiję pełna niepokoju i wyglądała przez okrągłe otwory to na uliczkę Bajna al-Kasrajni, to na zakręcającą uliczkę Al-Churunfusz, to znów na bramę Hammam as-Sultan i na minarety albo też zapuszczała wzrok między skupione bezładnie po obu stronach drogi domy przypominające żołnierzy stojących w postawie „spocznij”, w rozluźnionym szyku. Uśmiechnęła się do widoku tej uliczki żywej do świtu, podczas gdy inne zaułki i dzielnice spały od dawna, widoku, który kochała. Ileż to razy zabawiał ją podczas; bezsennych godzin, towarzyszył jej samotności i rozpraszał strachy. Noc nie zmieniała go, pokrywała tylko wszystko dokoła głęboką ciszą i przygotowywała atmosferę różnym odgłosom, które wznosiły się i wypełniały kąty tego obrazu jak cienie przydające mu głębi i blasku. Śmiech dzwoni zupełnie jakby w jej pokoju, każdy zwykły krzyk słyhać słowo po słowie, jakiś kaszel ochryply, przeciągły roznosi się daleko, a do niej dochodzi tylko echo, jak jęk. Krzyk kelnera: Nargile! Nargile, z czymś ekstra! – rozlega się jak głos muezzina. „Na Boga – myśli rozbawiona – co za ludzie, o tej porze jeszcze im się zachciewa nargili.” Przypomina sobie męża. „Ciekawe, gdzie on teraz jest i co robi! Niech mu zawsze towarzyszy spokój, gdziekolwiek się znajdzie.” Powiedziano jej kiedyś, co prawda, że taki mężczyzna jak As-Sajjid Ahmad Abd al-Dżawwad, silny, urodziwy i zamożny, podczas ciągłych hulank nie

może obywać się bez kobiet. Nawet z początku odczuwała zazdrość, chodziła smutna i przygnębiona. Nie zdobyła się jednak na odwagę, żeby z nim o tym porozmawiać, i cały swój smutek wylała przed matką.

Matka uspokajała ją, jak mogła, łagodnymi słowami, aż w końcu powiedziała: „Przecież ożenił się z tobą po rozwodzie, mógł ponownie połączyć się z żoną, gdyby tylko chciał, albo ożenić się z inną, mógł też wziąć żonę drugą, trzecią, czwartą. Jego ojciec żenił się wiele razy. Dziękuj Bogu, że jesteś jego jedyną żoną.” Nawet jeśli to, co powiedziała matka, pogłębiło na razie jej smutek, to jednak z czasem przyznała jej rację. A niech sobie będzie tak, jak gadają. Być może rozpusta i libacje wiążą się nierozzerwalnie z męskością, ale na pewno są mniejszym złem niż wiele innych męskich cech. Najważniejsze, żeby nie pozwolić na popsucie sobie dobrego, pełnego radości i szczęścia życia. Zresztą wszystko to, co mówią, może być kłamstwem i wymysłem. Uważała, że zazdrość stwarza problemy, które stają na drodze jej spokojnego życia, natomiast posłuszeństwo było jej obowiązkiem, przeciwko któremu się nie buntowała i z którym nie próbowała walczyć. Wzywała jedynie cierpliwość i własną siłę charakteru jako jedyną broń w przewyciężaniu tego, co się w niej jeszcze burzyło, a czego nienawidziła. I w ten sposób zazdrość, której przyczyną był charakter męża, stała się do wytrzymania.

Wpatrywała się teraz w ulicę i nasłuchiwała głosów nocnych bywalców kawiarni, aż usłyszała stukot końskich kopyt. Odwróciła głowę w kierunku ulicy An-Nahhasina i zobaczyła powóz zbliżający się wolniutko i dwie jego lampy świecące w ciemności. Odetchnęła z ulgą i szepnęła: „Nareszcie jest powóz. Powóz to jego przyjaciel, przywozi go do drzwi wielkiego domu, a potem, jak zwykle, jedzie do Al-Churunfusz odwożąc swojego właściciela i innych przyjaciół zamieszkujących tę dzielnicę.” Zatrzymali się przed domem i usłyszała wesoły, rozbawiony głos męża:

– No to do widzenia! Zostańcie z Bogiem.

Wśluchiwała się w ten głos z miłością i zdumieniem. Gdyby nie to, że słyszała go co noc o tej porze, nigdy by nie uwierzyła, bo przecież ona i dzieci znały tylko jego surowość, powagę i stanowczość. Skąd się wzięła ta miękkość, wesołość, ten śmiech i delikatność?

– Słyszałeś, co powiedziała klacz, gdy wyszedłeś z powozu? – zażartował sobie jego właściciel. – Bardzo jej przykro, że co noc musi odprowadzać do domu człowieka, który zasługuje tylko na to, żeby dosiadać osła.

Mężczyźni w powozie wybuchnęli śmiechem, a As-Sajjid poczekał, aż się uspokoją, i odparł:

– A wiesz, co dodała potem? Jeżeli ja go nie odwiozę, to przyjedzie na moim panu.

Znowu rozległ się śmiech, aż w końcu właściciel powozu rzekł:

– Już dosyć, odłóżmy resztę na jutrzejszy wieczór.

Powóz ruszył ulicą Bajna al-Kasrajmi, a As-Sajjid podszedł do drzwi. Kobieta weszła do pokoju, wzięła lampę i wyszła do salonu, a stamtąd do zewnętrznego korytarza, gdzie stanęła u szczytu schodów. Po chwili usłyszała hałas otwieranych drzwi i potem odgłos zamykanej zasuwki.

Wyobraziła sobie męża, jak idzie przez podwórze, wysoki, wyprostowany, przywołując na twarz powagę i autorytet, pozostawiając na ulicy żarty i śmiechy, które, gdyby ich nie

słyszała, uważałyby za coś najbardziej nieprawdopodobnego na świecie. Usłyszała stukanie laski po schodach i wyciągnęła rękę z lampą, żeby mu oświetlić drogę na górę.

## 2

Mężczyzna szedł w jej kierunku.

– Dobry wieczór, Amino – wymamrotał pod nosem.

– Dobry wieczór, panie mój – odpowiedziała cicho głosem usłużnym i pokornym.

Szła przed nim z lampą. Po kilku sekundach znaleźli się w pokoju. Postawiła lampę na stoliku, a As-Sajjid powiesił laskę na siatce wysokiego łóża, zdjął *tarbusz* i położył go na poduszce na środku kanapy. Kobieta podeszła do niego, żeby go rozebrać. Był mężczyzną wysokim, barczystym, tęgim, z potężnym brzuchem, który opinała elegancka i wygodna *dżubba* i *kuftan* świadczące o dobrym smaku, dostatku, a nawet luksusie. Czarne włosy w nadzwyczajnym porządku ułożone po obu stronach przedziałka, pierścień z ogromnym brylantem i złoty zegarek były tego potwierdzeniem. Twarz miał pociągłą, skórę jędrną, elastyczną, rysy wyraźne, zdecydowane. Była to piękna twarz, mówiąca o silnej osobowości. Oczy miał duże, niebieskie, wielki, dumnie sterczący nos współgrający wielkością z resztą twarzy, duże usta o pełnych wargach, wspaniałe, gęste wąsy z końcami zawiniętymi dokładnie tyle, ile trzeba. Kiedy podeszła do niego, wyciągnął ręce, a ona ściągnęła z niego *dżubbę*, złożyła ją starannie i położyła na kanapie, potem odpięła pas od *kuftana*, dokładnie zwinęła i położyła na *dżubbie*. Tymczasem As-Sajjid włożył *gallabijję*, a następnie białą *takijję*. Kroczył dumnie po pokoju, ziewając, po czym usiadł na kanapie z wyciągniętymi nogami oparłszy głowę o ścianę. Kobieta skończyła układać ubranie, usiadła koło jego nóg i zaczęła mu ściągać buty i skarpetki. Na prawej stopie pokazała się jedyna wada w tym potężnym, pięknym ciele, brak małego palca, następstwo wycinania brzytwą zastarzałego odcisku.

Amina wyszła na kilka minut z pokoju i wróciła z miednicą i dzbankiem. Miednicę postawiła u stóp mężczyzny, a sama, w pełnej gotowości, stanęła obok z dzbankiem; As-Sajjid nie wstając wyprostował się, wyciągnął ręce, a ona poliała na nie wodę. W ten sposób umył ręce i twarz, przetrął mokrymi rękami włosy i długo płukał usta, potem wziął ręcznik i wycierał nim twarz, włosy i ręce, Amina zaś zabrała miednicę i wyniosła ją do łazienki. Była to jej ostatnia usługa w ciągu dnia w tym wielkim domu, obowiązek, który wykonywała już od ćwierć wieku zawsze z ochotą, nawet z entuzjazmem i radością, nigdy zmęczona czy zniechęcona. Zresztą z takim samym entuzjazmem przystępowała do innych domowych obowiązków, krzątała się od wschodu do zachodu słońca i z tego też powodu sąsiadki nadały jej imię Pszczółka.

Wróciła do pokoju, zamknęła drzwi, wyciągnęła spod łóżka małą matę, położyła ją przed kanapą i usiadła na niej po turecku, jako że nie wypadało jej usiąść obok męża. Minał jakiś czas, a ona siedziała milcząco. Nigdy nie zaczynała mówić, dopóki jej nie zachęcił; As-Sajjid opadł plecami na oparcie kanapy, zmęczony po długiej wieczornej hulance. Powieki mu ciążyły, kąciki oczu były zaczerwienione z przepicia, dyszał ciężko pijanym oddechem. Pił wino co wieczór, często w nadmiernej ilości, aż do upicia się, przywykł do tego, jednak nigdy

nie zdecydował się wrócić do domu, dopóki nie osłabło działanie alkoholu i nie wróciło panowanie nad sobą, dbał bowiem o swój autorytet i wygląd w oczach domowników. Żona była jedyną osobą w całym domu, która spotykała go zaraz po libacji, ale ze wszystkich jej śladów dotykał ją tylko zapach, a zachowania męża nie uważała za dziwne ani podejrzone. Zresztą, jeżeli tak było na początku małżeństwa, to już dawno o tym zapomniała. Co więcej, zauważyła korzyści płynące z towarzyszenia mu o tej porze, kiedy wykazywał chęć rozmowy z nią; bywało nawet, że się rozgadywał, co rzadko osiągała w chwilach jego pełnej trzeźwości. Pamięta swoje przerażenie tego dnia, kiedy zrozumiała, że wraca z hulanki pijany. Wino wywoływało w jej duszy najgorsze skojarzenia, wszystko, co wiąże się ze zezwierzeniem, brutalnością, szaleństwem, a co najgorsze, pogwałceniem zasad wiary. Otrząsała się ze wstrętem, opanowywał ją strach i przed każdym jego powrotem cierpiała tak, jak nie cierpiała nigdy przedtem. Ale mijały dni i noce i przekonała się, że jej mąż po powrocie z hulanki jest dużo sympatyczniejszy niż w jakimkolwiek innym momencie, nie taki surowy i czujny, lecz pogodny i rozgadany, więc uspokoiła się i oswoiła z tym, choć nie zapomniała modlić się do Boga, żeby mu przebaczył grzechy. A ileż to razy pragnęła, żeby odnosił się do niej i dzieci z taką, choćby względną, łagodnością, kiedy był trzeźwy i kontrolował się, i nie mogła się nadziwić, że to właśnie grzech czyni go łagodnym i delikatnym. Była rozdarta między odziedziczoną nienawiścią religijną do tego grzechu a korzyściami, jakie z niego czerpała: spokojem i radością. Myśli te pogrzebała głęboko w sercu, ukrywała je jak ktoś, kto nie może przyznać się do nich nawet przed samym sobą.

As-Sajjid natomiast dbał przede wszystkim o swoją powagę i surowość, a łagodniał tylko czasami, niechęć, bo kiedy tak siedział z Aminą, wspominał wesołą hulankę i wtedy często uśmiechał się błogo. Szybko jednak przywoływał się do porządku, zamykał usta i ukradkiem spoglądał na żonę, czy tego nie zauważyła, ale znajdował ją, jak zwykle w jego obecności, siedzącą ze spuszczonej pokornie oczyma, uspokajał się więc i wracał do wspomnień. Hulanka bowiem nie kończyła się wraz z powrotem do domu, ale kontynuowała *życie* w jego wspomnieniach i w jego sercu, które nieopisana siła namiętności ciągnęła do uciech życia. Ciągłe miał przed oczyma dobrane towarzystwo przyjaciół, a wśród nich piękności jak księżyc w pełni, pojawiające się od czasu do czasu na niebie jego życia. W uszach dźwięczały mu żarty, anegdoty i miłe słowa, którymi go obdarowywano szczerze jak perłami, podczas gdy jemu upojenie alkoholem dawało się już porządnie we znaki. Zwłaszcza pikantne kawały rozpamiętywał ze szczegółami, bo napawały go dumą. Pamiętał, że to orne najbardziej podobały się słuchaczom i przynosiły mu towarzyski sukces, czyniąc ulubionym i mile widzianym kompanem. Często miał wrażenie, że rola, jaką odgrywa w libacjach, jest jakby osiągnięciem upragnionego celu życia, i że całe jego życie codzienne, praca, są jedynie koniecznością, którą znosi tylko dla tych godzin wieczornych wypełnionych pićmi, śmiechem, śpiewem i miłością, wśród przyjaciół. Brzmiały w nim cały czas słodkie, miłe dla ucha melodie, te, które śpiewał, szczęśliwy, na biesiadach, z którymi wychodził z domu i z którymi wracał. Serce śpiewało w nim z zachwytem: „Och!... Bóg jest wielki.” Kochał te pieśni tak jak picie, śmiech, towarzystwo i kobiety.

Nie potrafił opuścić żadnego przyjęcia, nie odmawiał pójścia nawet do oddalonego mieszkania, gdzieś na krańcach Kairu, żeby posłuchać Al-Hammuliego, Usmana czy Al-



Manialawiego<sup>1</sup>. Zawsze był tam, gdzie występowali znani śpiewacy. Piosenki znajdowały schronienie w jego pojemnej duszy, tak jak słowiki znajdują schronienie na drzewie o gęstym listowiu. Z czasem osiągnął taką znajomość stylów śpiewania i samych pieśni, że stał się niezaprzeczalnym autorytetem. Umiał słuchać i umiał śpiewać, kochał śpiew duszą i ciałem. Duszę przepełniała radość, ciało tańczyło, poruszały się ręce i głowa, zmysły szalały. Na zawsze zapadły mu w pamięci fragmenty niektórych niezapomnianych piosenek, takich jak *Dlaczego mnie kuszysz, a potem uciekasz* lub *Jutro wszystkiego się dowiemy, a pojutrze będziesz moja* czy też *Słuchaj mnie i przyjdź, wołam cię*. Wystarczyło, żeby ze strzępkami wspomnień przyplłynęła jedna z tych piosenek, by wpadał w upojenie, poruszał rytmicznie głowę, strzelał palcami, a twarz rozjaśniał uśmiech radości i rozkoszy; śpiewał, nucił, nawet kiedy był sam. Ale nie sam śpiew upajał go najbardziej. Zachwycał się nim jak kwiatem w oknie, witał go z rozkoszą, ale najchętniej wśród przyjaciół, przy starym winie, słuchając pikantnych kawałów. Bo kiedy słuchał sam, na przykład w domach, w których był patefon, to, bez wątplenia, było to piękne, ale brakowało mu atmosfery, towarzystwa, akcesoriów. O, daleki był wtedy od zaspokojenia pragnień duszy. Dla niego ważne było, żeby między jedną pieśnią a drugą usłyszał jakąś anegdotę, od której towarzystwo wiałoby się ze śmiechu, a następną poprzedziłoby wypicie pełnego kielicha; żeby widział upojenie na twarzy przyjaciela i w oku ukochanej i żeby potem, razem, w zapamiętaniu zabawą, krzyczeli i wychwalali Allaha. Nocne hulanki nie pozostawiały swojego śladu wyłącznie we wspomnieniach. Do ich dobrych, osobliwych stron należało to, że zmieniały sposób zachowania się As-Sajjida na taki, do jakiego tęskniła jego posłuszna, poddana mu żona. Kiedy wracał z libacji, był innym człowiekiem; miły, rozmawiał z nią, zwierzał się z tego, co ma na sercu, tak że czuła, choćby niekiedy tylko, że nie jest niewolnicą, ale także towarzyszką jego życia.

I tym razem zaczął rozmawiać z nią o sprawach domowych, zwierzył się, że poradził kilku znajomym kupcom, by zrobili większe zapasy tłuszczu, pszenicy i sera, narzekał na rosnące ceny i znikanie z rynku koniecznych produktów z powodu tej wojny, która już od trzech lat skłóciła świat. I, jak zwykle, za każdym razem kiedy wspominał wojnę, zaczynał przeklinać żołnierzy australijskich<sup>2</sup>, którzy jak szarańcza porozłazili się po mieście i sięją rozpustę. Miał co prawda szczególny powód, żeby znienawidzić Australijczyków, bo zmusili go do zrezygnowania z odwiedzin w miejscach zabaw w dzielnicy Al-Azbaikijja. Bywał tam jedynie ukradkiem, kiedy mu się udało, bo przecież sam nie był w stanie przeciwstawić się żołdakom, którzy jawnie grabili mienie ludzi i zabawiali się okazywaniem im swojej wrogości i bezgranicznej pogardy.

Potem zaczął pytać o „chłopców”, jak ich nazywał, nie robiąc różnicy między najstarszym z nich, pracującym jako sekretarz w szkole An-Nahhasina, a najmłodszym – uczniem szkoły Chalila Agi. Ale o tego najmłodszego spytał tonem znaczącym:

– A jak tam Kamal? Tylko uważaj, nie ukrywaj jego szatańskich pomysłów.

---

<sup>1</sup> Abdul Al-Hammuli (1845-1901) i Muhammad Usman (1855–1900) – wybitni twórcy pieśni śpiewanych w dialekcie egipskim; Al-Manialawi – sławny śpiewak tego okresu.

<sup>2</sup> W wojsku angielskim służyli Australijczycy.

Kobiecie stanął przed oczami mały synek, którego rzeczywiście chronił, nie widząc żadnego niebezpieczeństwa w jego niewinnych zabawach, chociaż As-Sajjid nie uznawał żadnej zabawy ani rozrywki za niewinną; odpowiedziała więc pokornie:

– Stosuje się do rozkazów swojego ojca.

As-Sajjid umilkł na chwilę i błędził myślami, wracając znowu do szczęśliwych godzin nocnej biesiady, a potem wskazówka jego pamięci cofnęła się do poprzedzających ją wydarzeń dnia. I nagle przypomniał sobie, że był to dzień obfitujący w zdarzenia, a że znajdował się w takim stanie, że nie mógł ukryć niczego, co pływało na powierzchni jego świadomości, więc zaczął mówić jakby do siebie:

– Jakiż to szlachetny człowiek, ton książę Kamal ad-Din Husajn. Wiesz, co zrobił? Odmówił przyjęcia tronu po zmarłym ojcu, dopóki kraj jest pod władzą Anglików.

Kobieta słyszała co prawda, że wczoraj zmarł sułtan Husajn Kamil, ale imię jego syna usłyszała po raz pierwszy i nie wiedziała, co odpowiedzieć. Jednak z szacunku dla męża i chcąc komentować każde jego słowo tak, żeby mu się to podobało, odparła:

– Niech Bóg zlituje się nad sułtanem i hojnie obdarzy jego syna.

– Tron objął książę Fuad – ciągnął As-Sajjid – czy też raczej sułtan Fuad, jak będzie się do niego mówiło od dzisiaj. Uroczystość przejścia przez niego władzy odbyła się dziś i Fuad przeniósł się wraz ze swoją świtą z pałacu ogrodowego do pałacu Abidin. Niech mu zawsze będzie chwała.

Amina słuchała z zainteresowaniem i radością. Zainteresowanie wywoływała w niej każda wiadomość przychodząca ze świata zewnętrznego, o którym prawie nic nie wiedziała, a radość znajdowała w tym, że mąż rozmawia z nią o tych ważnych sprawach i do tego w taki miły i kulturalny sposób. Z zachwytem powtarzała ją potem synom, a zwłaszcza córkom, które, podobnie jak ona, nic zupełnie o świecie zewnętrznym nie wiedziały.

Chciała go pocieszyć w jego szlachetnym smutku, ale nie znalazła nic lepszego od modlitwy, o której wiedziała, że przyniesie mu ulgę, tak jak jej ją przynosiła.

– Może nasz Pan wróci nam „naszego Efendi”<sup>3</sup> Abbasa – powiedziała.

– Kiedy?... Kiedy?... – potrząsnął głową i mrucał. – Tylko Pan flasz. to wie. W gazetach czytamy o zwycięstwie Anglików. Ale czy naprawdę oni zwyciężają, czy też w końcu zwyciężą Niemcy i Turcy? Odpowiedź zna tylko Bóg – przymknął oczy znużony i ziewnął. – Wynieś lampę do salonu – powiedział prostując się.

Kobieta podniosła się, wzięła lampę ze stolika i poszła w kierunku drzwi, ale zanim przekroczyła próg, usłyszała, jak As-Sajjid głośno beknął.

– Na zdrowie – wymamrotała i wyszła.

---

<sup>3</sup> Egipcjanie mówili „nasz Efendi” o chedywie Abbasie Paszy II Hilmi uwięzionym przez Anglików za poglądy nacjonalistyczne.

### 3

W spokoju wczesnego ranka, kiedy smugi światła ciągle jeszcze mieszały się z brzaskiem zorzy, z kuchni przy podwórzu rozległy się odgłosy wyrabiania ciasta na chleb, równomiernie następujące po sobie mocne uderzenia, jak dudnienie bębna. Amina już prawie od pół godziny była na nogach. Zrobiła ablucje, pomodliła się, potem poszła do kuchni i obudziła Umm Hanafi – czterdziestoletnią służącą, która jeszcze jako dziewczynka służyła w tym domu, potem wyszła za mąż i odeszła, a po rozwodzie wróciła. Podczas kiedy służąca zajęta była wyrabianiem ciasta, Amina zaczęła przygotowywać śniadanie.

Podwórze było obszerne. W prawym, najdalszym kącie znajdowała się studnia przykryta drewnianą pokrywą od czasu, kiedy po podwórku zaczęły biegać dzieci i zanieczyszczać wodę. W lewym, najdalszym rogu, obok wejścia do pokojów dla kobiet, mieściły się dwa duże pomieszczenia, z których jedno, z piecem, służyło jako kuchnia, drugie jako kredens. Amina najbardziej lubiła kuchnię. Gdyby tak obliczyć, ile czasu spędziła w jej ścianach! Było to całe jej życie. Tak bardzo ją lubiła, że przyozdabiała ją z okazji świąt, kiedy serca wrywały się do radosnych wydarzeń, a z ust ciekła ślinka na widok smakołyków, które przygotowywała z różnych okazji, jak kompot i placuszki z migdałami i orzeszkami podczas ramadanu, ciastka na święto zakończenia postu, jagnię na Święto Ofiary, przedtem tuczone i pielęgnowane, a potem zarzynane uroczyście w obecności synów, a nie obeszło się bez łezki żalu wśród ogólnej wesołości. W ten sposób łukowato sklepiony otwór pieca, w którego wnętrzu płonął ogień, jawił się jak głównia rozpalająca świąteczne radości. Amina czuła się na najwyższym piętrze tylko zastępcą Pana domu, przedstawicielem władzy, która niczego jej nie dawała, natomiast tu była królową o władzy niepodzielnej. Ta kuchnia umierała i ożywała na jej rozkaz, ten węgiel i drewno w prawym kącie czekały tylko na jej słowo, żeby dopełnić się ich los, to palenisko w przeciwległym (kącie pod półkami z marynatami, talerzami i miedzianą tacą spało lub buchało radosnym płomieniem na znak dany przez nią. Tutaj była matką i żoną, nauczycielką i artystką, tą, która wszystkiego dogląda i napełnia serca pewnością, że to, co przygotowuje, będzie doskonałe. I był to prawdziwy cud, że ona, której mąż bynajmniej nie obsypywał pochwałami, słyszała od niego słowa uznania za różnorodność i przygotowanie potraw. W tym małym królestwie Umm Hanafi była jej prawą ręką. Brała się zarówno do zarządzania, jak i do pracy albo też ustępowała miejsca jednej z dziewcząt, aby ją uczyć swojej sztuki. Była kobietą tęgą, nieforemną, szybko przybierała na wadze i hodowała tłuszcz lekceważąc kanony piękności. Całkowicie jej to odpowiadało, ponieważ sadło uważała za piękne samo w sobie. Zresztą nic dziwnego, wszak każda jej praca w domu ustępowała obowiązkowi najważniejszemu – tuczeniu rodziny, zwłaszcza jej żeńskiej części. Przygotowywała bowiem dziewczętom, w sobie tylko wiadomy sposób, „pigułki piękności”, które co prawda nie zawsze odnosiły skutek, ale w wielu wypadkach spełniały pokładane w nich nadzieje. Nic dziwnego, że Umm Hanafi tyła. Ale otyłość nie zmniejszała jej aktywności. Zrywała się z łóżka pełna ochoty do pracy i natychmiast pędziła do dzieży z

ciastem. Odgłosy wyrabiania ciasta pełniły w tym domu rolę budzika. Dochodziły do uszu synów śpiących na pierwszym piętrze, potem wznosiły się do ojca na najwyższe piętro, ostrzegając wszystkich, że trzeba się obudzić, bo nadeszła pora wstawania. Ahmad Abd al-Dżawwad przewracał się na drugi bok, otwierał oczy, ale szybko je zamykał, zły, że nie pozwalają mu spać. To było pierwsze uczucie, jakie go opanowywało zaraz po przebudzeniu, bo wiedział, że musi wstać. Siadał na łóżku walcząc ze snem, głowa mu ciążyła jak ołów. Żeby nie wiem jak późno zakończyła się nocna libacja, wstawał zawsze o tej wczesnej porze, nie zapominając o swoich obowiązkach. Przed ósmą wychodził do sklepu, a brak snu uzupełniał w południe, w przerwie obiadowej zbierając energię do nowej nocnej hulanki. Pora wstawania była dla niego najgorszą porą dnia. Podnosił się zmęczony, chwiejąc się na nogach, a stukot w mózgu i żar pod powiekami zastępowały słodycz wieczornych wspomnień.

Uderzenia wyrabianego ciasta spadły na głowy śpiących na pierwszym piętrze. Pierwszy obudził się Fahmi, szybko i bez kłopotu, mimo że długo w nocy siedział nad książkami prawniczymi. I od razu stanęła mu przed oczami okrągła twarz, policzki jak z kości słoniowej, czarne oczy, a głos wewnętrzny szeptał: Mariam. Gdyby uległ pokusie, pozostałby długo pod kołdrą, oddając się marzeniom o gościu, który przychodził do niego o tej porze, aby dzielić z nim miłość, patrzeć na jego tęsknotę, rozmawiać z nim i wyjawiać mu sekret za sekretem, i przysuwać się do niego blisko, odważnie, co mogło się zdarzyć tylko w czasie tego ciepłego snu wczesnym rankiem. Ale zaraz wzrok jego padł na śpiącego obok w łóżku brata.

– Jasin! Jasin! Obudź się! – krzyknął.

Jasin przestał chrapać, westchnął ciężko, wypuszczając głośno powietrze przez usta, i wymamrotał:

– Obudź się... Obudziłem się wcześniej niż ty.

Fahmi odczekał z uśmiechem, aż chrapanie odezwie się znowu, i krzyknął:

– Obudź się!

Jasin przewrócił się na drugi bok niezadowolony, a kołdra zsunęła się z niego i odkryła część ciała, które, tak jak ciało ojca, było wielkie i tłuste. Otworzył przekrwione oczy, które mówiły ze złością spod zmarszczonych brwi: „Och, jak to jest, że rano przychodzi tak szybko. Że też nie można spać tyle, ile się chce. Zawsze porządek, regulamin, jakbyśmy byli w wojsku.” Uniósł się na rękach i kolanach potrząsając głową, żeby zrzucić senność, i spojrzał na trzecie łóżko, gdzie leżał Kamal pogrążony we śnie, z którego zostanie obudzony dopiero za pół godziny, i powiedział z zazdrością: – Szczęśliwy chłopak.

Rozbudził się trochę, usiadł na łóżku po turecku i podparł głowę rękami. Zapragnął pobawić się rozkosznymi wspomnieniami, które by uprzyjemniły obudzenie, ale, jak jego ojciec, budził się z ciężką głową niezdolną do marzeń. Wyobraźnia przyniosła mu wprawdzie obraz lutnistki Zannuby, ale nie podziałał on na niego tak, jak działał wtedy, kiedy był trzeźwy i rześki, wywołał tylko słaby uśmiech na ustach.

W sąsiednim pokoju Chadidża wstała już z łóżka, nie potrzebując budzika w postaci odgłosów wyrabiania ciasta na chleb. Pracowitością i rannym wstawaniem najbardziej z całej rodziny przypominała matkę. Aiszę natomiast budziło zwykle wstawanie siostry, która umyślnie zachowywała się głośno, co było powodem kłótni, często przeplatanych

niewybrednymi żartami. Gdyby tak, obudziwszy się, mogła poleżeć w łóżku i zamiast kłótni, której się bała, poddać się długim, szczęśliwym snom na jawie!

Na całym pierwszym piętrze zaczynał się powolny ruch i życie. Otwierano okna, światło wlewało się do wnętrza, a z nim powietrze niosące dźwięki dzwonek tramwajów ciągniętych przez muły, głosy robotników i pokrzykiwania sprzedawcy słodkiej pszennej kaszy. Między sypialniami a łazienką trwał ciągły ruch. To pokazywało się zwaliste cielsko Jasina w obszernej gallabijji, to widać było wysoką, szczupłą sylwetkę Fahmiego, który, pomijając chudość, był portretem ojca. Dziewczeta schodziły już na podwórze, aby pomóc matce przy śniadaniu. Były tak różne, że rzadko się zdarza taka odmienność w jednej rodzinie: Chadidza ciemna, z twarzą o nieregularnych rysach, Aisza blondynka, której jasne włosy tworzyły wokół głowy aureolę piękna i blasku.

Mimo że As-Sajjid Ahmad pozostał sam na najwyższym piętrze, Amina zorganizowała wszystko tak, że nikogo do pomocy nie potrzebował. Znalazł na stoliku przygotowaną filiżankę halby, na której widok pociekła mu ślinka, potem poszedł do łazienki, gdzie poczuł zapach dobrego kadzidła, a na krześle zobaczył starannie ułożone czyste ubranie. Jak każdego ranka wykapał się w zimnej wodzie – zwyczaj, którego przestrzegał zimą i latem – po czym wrócił do pokoju pełen nowej energii i wigoru. Następnie przyniósł dywanik, który leżał na oparciu kanapy, rozłożył go i wypełnił obowiązkiem porannej modlitwy. Modlił się z twarzą pokorną, inną niż ta uśmiechnięta, rozjaśniona, jaką znali jego przyjaciele, i inną niż ta twarda i surowa, którą pokazywał rodzinie w domu. Była to teraz twarz skromna, przykładowa, na której malował się wyraz uniżoności, a pobożność, miłość i nadzieja malowały się w jej złagodzonych rysach. Pokornie błagał o przebaczenie grzechów. Modlitwa jego to nie było machinalne wykonywanie rytualnych ruchów, recytowanie, wstawanie, klękanie, była to modlitwa uczuć, wzruszeń, odmawiana z takim samym entuzjazmem, przejęciem i gorliwością, jakie przejawiał w różnych i jakże innych okolicznościach życiowych. Bo kiedy pracował, to pracował zapamiętale, jeżeli przyjaźnił się, to był cały przepełniony przyjaźnią, kiedy kochał, to roztopiał się w miłości, kiedy pił, to pogrążał się całkowicie w picciu. Był oddany i szczery w każdej sytuacji. W ten sposób obowiązek modlitwy był dla niego duchową pielgrzymką, w której odbywał *tawaf* po boskich przestrzeniach. Nawet kiedy skończył modlitwę, siedział ze skrzyżowanymi nogami, rozkładał ręce i modlił się do Boga, alby miał pieczę nad nim, żeby mu przebaczył grzechy i pobłogosławił jego dzieciom i jego interesom.

Matka skończyła przygotowywać śniadanie. Dziewczętom zostawiła ułożenie jedzenia na tacy, sama zaś poszła na górę do pokoju synów, gdzie Kamal ciągle jeszcze głęboko spał. Podeszła do niego uśmiechnięta, położyła mu dłoń na czole i odmówiła *Al-Fatihę*. Delikatnie potrząsała nim, dopóki nie otworzył oczu, i poczekała, aż wyjdzie z łóżka. Do pokoju wszedł Fahmi, uśmiechnął się do niej i powitał porannym pozdrowieniem. Patrzyła na niego z miłością, błyszczącymi oczami; odpowiedziała:

– Dzień dobry, o światło moich oczu.

Równie grzecznie przywitała Jasina, swego pasierba, a on odpowiedział jej z miłością, na jaką zasługiwała kobieta, która wzięła na swoje barki obowiązki matki i była godna tego imienia. Kiedy Chadidza wróciła z kuchni, Fahmi i Jasin przywitali ją także. Jasin oczywiście

żartami, których przedmiotem był zarówno jej odpychający wygląd, jak i ostry język. Podkpiwali z niej mimo władzy, jaką miała nad nimi; zajmowała się bowiem sprawami braci z nadzwyczajnym mistrzostwem, w którym rzadko dorównywała jej młodsza siostra. Aisza natomiast była symbolem piękna i traktowano ją w rodzinie jak wspaniały, przyciągający oczy, ale bezużyteczny przedmiot.

– Właśnie mówiliśmy o tobie, Chadidžo – powiedział szybko Jasin, żeby ją uprzedzić. – Mówiliśmy, że gdyby wszystkie kobiety wyglądały tak jak ty, mężczyźni nie narzekaliby na cierpienia serca.

– A gdyby wszyscy mężczyźni wyglądali jak ty, kobiety przestałyby narzekać na bóle głowy – odparła bez namysłu.

W tej chwili matka krzyknęła:

– Śniadanie gotowe, panowie!

## 4

Jadalnia znajdowała się na najwyższym piętrze, w sąsiedztwie sypialni rodziców. Obok niej był jeszcze salon i czwarty pokój jedynie z zabawkami, którymi bawił się Kamal w wolnym czasie.

Niski stolik stał już nakryty, wokół niego leżały ułożone materace. As-Sajjid wszedł i usiadł po turecku na głównym miejscu, a potem kolejno weszli trzej synowie, Jasin usiadł po prawej stronie ojca, Fahmi po lewej, a Kamal naprzeciwko. Siedzieli grzecznie z pokornie spuszczonej głowami jak w meczecie w czasie modlitwy. W tej chwili wszyscy byli równi; sekretarz szkoły An-Nahhasina, student Wydziału Prawa i uczeń szkoły Chalila Agi. Żaden z nich nie miał odwagi spojrzeć w twarz ojca. Co więcej, w jego obecności unikali wymieniania spojrzeń między sobą, żeby żaden z nich nie uśmiechnął się czasem, narażając się na straszny, nie do zniesienia gniew As-Sajjida. Ojca spotykali tylko w czasie śniadania. Wracali do domu po południu, już po wyjściu As-Sajjida do sklepu pó poobiedniej sjeście, a kiedy po północy powracał z hulanki, już spali. Śniadanie, mimo że trwało krótko, było dla nich ciężkim przeżyciem. Zmuszeni byli do wojskowego wręcz reżimu, a sparaliżowani strachem popełniali błędy i niezręczności i myśleli tylko o tym, jak się ich ustrzec. W ogóle śniadanie odbywało się w atmosferze, która odbierała im apetyt i przyjemność jedzenia. Nic dziwnego, bowiem As-Sajjid zaczynał je od tego, że krótką chwilę, zanim matka weszła z tacą, poświęcał na lustrowanie synów krytycznym okiem. A niech tylko spostrzeżł jakieś uchybienie, choćby najmniejsze, jakąś plamkę na ubraniu, wylewał potok obelg i zniewag. Czasami pytał Kamala surowo: „Umyłeś ręce?”, a kiedy chłopiec odpowiedział twierdząco, rozkazywał: „Pokaż!”, i chłopiec rozpościerał dłonie, przełykał ze strachu ślinę, a ojciec, zamiast go ośmielić, pochwalił za czystość, jeszcze groził: „Gdybyś kiedy zapomniał umyć ręce przed jedzeniem, to ci je utnę.” Albo pytał Fahmiego: „Czy ten sukinsyn się uczy?” I Fahmi wiedząc doskonale, o kogo chodzi, bo „sukinsyn” w ustach As-Sajjida to przydomek Kamala, odpowiadał, że Kamal starannie odrabia lekcje. Prawdą było bowiem, że spryt i inteligencja chłopca, które często wywoływały gniew ojca, szły w parze z pracowitością i pilnością, o czym świadczyły jego sukcesy w szkole. Ale As-Sajjid wymagał od swoich synów ślepego posłuszeństwa, co było trudne do zniesienia dla chłopca, który zabawę przedkładał nad jedzenie, dlatego komentował gniewnie odpowiedź Fahmiego: „Posłuszeństwo jest ważniejsze niż nauka”, po czym odwracał się do Kamala i mówił ze złością: „Zapamiętaj to, ty sukinsynu!”

Matka wniosła wielką tacę z jedzeniem, postawiła ją na stole, a sama wycofała się pod ścianę, koło stolika, na którym postawiła dzban. Czekwała gotowa na każde skinienie. Pośrodku miedzianej błyszczącej tacy stał wielki półmisek pełny fulu z jajkami, przysmażonego na tłuszczu. Po jednej jego stronie leżał gorący chleb, po drugiej ustawione rzędem małe talerzyki z serem, cytryną, marynowaną papryką, szattą, solą i czarnym pieprzem. Brzuchy braci falowały z żądzy jedzenia, ale siedzieli nieruchomo udając, że nie

widzą tej wspaniałej tacy, tak jakby jej radosny widok wcale ich nie poruszył. Dopiero kiedy As-Sajjid wziął chleb, połamał go i wymamrotał „jedzcie”, ręce wyciągnęły się w porządku, według wieku: Jasin, Fahmi i Kamal, i zaczęli jeść grzecznie i w zawstydzeniu. Mimo że As-Sajjid pożerał jedzenie w wielkich ilościach i w pośpiechu, a szczęki jego pracowały szybko i bez przerwy, jak maszyna, mimo że pakował do ust wszystko naraz, ful, jajka, ser, marynowaną paprykę, marynowaną cytrynę, miazdżył to i szybko połykał, podczas gdy jego palce przygotowywały kęs następny, oni jedli powoli, nie spiesząc się, chociaż ta powolność dużo ich kosztowała i zupełnie nie odpowiadała ich gorącym naturom. Nikogo nie ominęła ostra uwaga ojca lub choćby groźne spojrzenie, kiedy któryś z braci zrobił coś nieodpowiedniego przez nieuwagę, zapomniał się w momencie słabości i zlekceważył coś, czego wymagała grzeczność i dobre wychowanie. Zwłaszcza Kamal się niepokoił, bo on najbardziej bał się ojca.

O ile bracia narażeni byli najwyżej na wymysły i besztanie, jemu dostawały się w najlepszym wypadku kopniaki i policzki. Dlatego jadł śniadanie uważnie i pełen niepokoju, rzucając ukradkowe spojrzenia na półmiski i na jedzenie, które szybko z nich znikało, a w miarę jak znikało, rósł jego niepokój. Czekał ze strachem, kiedy będzie widać, że ojciec ma już dosyć, że zabrakło mu miejsca w żołądku. Bo mimo że ojciec pożerał z wielką szybkością ogromne ilości różnych potraw, Kamal wiedział z doświadczenia, że największym zagrożeniem dla półmisków, a co za tym idzie i dla niego samego, są bracia. As-Sajjid bowiem jadł szybko i szybko się nasycił, natomiast bracia, tuż po odejściu ojca od stołu, zaczynali prawdziwą bitwę o to, co zostało, i nie odeszli, dopóki nie opróżnili talerzy ze wszystkiego, co się tylko dało zjeść. Dlatego zaledwie As-Sajjid zdążył wstać i wyjść z pokoju, Kamal zawijał rękawy i jak szalony rzucał się na stół, jedną ręką zgarniając co się dało z półmiska, drugą z małych talerzyków. Ale jego wysiłki nie zawsze odnosiły skutek z powodu zachłanności braci, więc uciekał się do podstępu, jak zawsze w sytuacji, która zagrażała jego bezpieczeństwu. Po prostu prychnął i pluł na talerze i wtedy bracia wycofywali się patrząc na niego wściekłym wzrokiem i w końcu wychodzili z pokoju pękając ze śmiechu, a jemu spełniało się poranne marzenie: żeby zostać przy stole samemu.

As-Sajjid mył ręce i wracał do swego pokoju, a za nim podążała Amina z kubkiem w rękę, w którym wymieszała trzy jajka z małą ilością mleka. Wypijał wszystko i siadał do porannej kawy. Ten pożywny kubek był zakończeniem śniadania. Należał do „przepisów”, które stosował po pracy albo w przerwach w ciągu dnia. Należały do nich także: tłuszcz rybi, tłuczone orzechy laskowe, włoskie i migdały. Utrzymywały one w zdrowiu jego potężne ciało i dawały to, co zabrała wyczerpująca miłość, i to, czego nie zawierało jego pożywienie. Bo poza tym jadł tylko mięso i różne tłuste potrawy. Jedzenie potraw lekkich i „zwykłych” uważał za zabawę czy też wręcz za stratę czasu, za coś, czego nie wypadało robić mężczyźnie takiemu jak on. Przepisano mu haszysz na pobudzenie apetytu, obok innych korzyści, jakie on daje. Spróbował, ale nie zaaprobował i odstawił bez żalu, jako że źle wpływał na jego myślenie, powodował zamęt w głowie, zakłócał jego powagę, skłaniał do milczenia i dawał nienaturalny spokój, a nawet uczucie samotności w gronie najlepszych przyjaciół. Bał się tych symptomów, zacierały bowiem jego naturalne cechy, niszczyły jego naturę rozkochaną w uciechach, upojeniu podnieceniem, w rozkoszy zespolenia, jedności dusz, skokach nastrojów,



gromkim śmiechu, ale żeby nie utracić cech wyróżniających wielkich kochanków, brał zamiast haszyszu inny narkotyk, cenny specyfik, z którego słynął Muhammad al-Adżami, sprzedawca kuskusu u zbiegu ulic As-Salihijja i As-Sagha. Przygotowywał go specjalnie dla wybranych klientów, kupców i arystokratów. As-Sajjid nie był nałogowcem, brał go od czasu do czasu, za każdym razem, kiedy spotykał nową miłość, zwłaszcza kiedy kochanką była kobieta doświadczona, znająca mężczyzn i ich potrzeby.

Dopił kawę, podszedł do lustra i zaczął wkładać ubranie, które podawała mu Amina. Obrzucił badawczym spojrzeniem swoje wspaniałe odbicie, pocesał czarne włosy opadające na obie strony głowy, wygładził i podkreślił wąsy. Wpatrywał się w swoją twarz, odwrócił ją wolno w prawo, żeby zobaczyć lewy profil, potem w lewo, żeby zobaczyć prawy, i zadowolony ze swego wyglądu wyciągnął rękę do żony po wodę kolońską, którą przygotowywał mu fryzjer Amm Hasanajn. Umył nią ręce i twarz, spryskał pierś, kuftan i chusteczkę do nosa. Wreszcie włożył na głowę tarbusz, wziął laskę i wyszedł z pokoju rozsiewając wokół siebie piękną woń. Woń tę, kompozycję różnych zapachów kwiatów, znali wszyscy domownicy. Kojarzyła im się z nią poważna i surowa twarz As-Sajjida, która obok miłości wywoływała szacunek i strach. Jedynie rano, kiedy zapach ten obwieszczał, że As-Sajjid wychodzi, doznawali ulgi, zresztą usprawiedliwionej, jak więzień na dźwięk łańcuchów, które mu zdejmują z rąk i nóg. Każdy wiedział, że za chwilę wróci wolność mówienia, śmiechu, śpiewania i poruszania się bez żadnego niebezpieczeństwa. Jasin i Fahmi ubrali się, a Kamal zaraz po wyjściu ojca popędził do jego pokoju, aby zaspokoić chęć przedrzeźniania go, naśladowania jego ruchów, które podpatrzył przez nie domknięte drzwi. Stał przed lustrem patrząc na swoje oblicze z uwagą i zadowoleniem i odezwał się do matki grubym głosem, rozkazującym tonem: „Wodę kolońską, Amino!” Wiedział, że matka mu nie poda, więc zaczął nacierać twarz, marynarkę i krótkie spodnie rękami, jakby je zwilżał wodą kolońską. Matka powstrzymywała śmiech, a Kamal tym bardziej przedrzeźniał ojca, zachowując twarz poważną i surową. Wystawił do lustra prawy profil, potem lewy, przygładził istniejące tylko w wyobraźni wąsy, podkreślił je, wreszcie odwrócił się od lustra, beknął i spojrzał w kierunku matki, a kiedy zobaczył, że się śmieje, powiedział grożąc: „Dlaczego nie powiedziałaś mi «na zdrowie?»” Kobieta śmiejąc się wymamrotała: „Na zdrowie, panie mój.” Wtedy opuścił pokój naśladowując chód ojca, pochylając się na prawą stronę, jakby opierał się na lasce.

Matka i córki wyszły pospiesznie na maszrabiję i stanęły za kratą wychodzącą na ulicę An-Nahhasina, aby przez jej otwory popatrzeć na idących ulicą mężczyzn. Pierwszy wychodził As-Sajjid. Kroczył wolno i z powagą, piękny, otaczany czią, co chwila podnosząc rękę na powitanie. Wstali, aby go powitać, fryzjer Amm Hasanajn, sprzedawca fulu Al-Hadżdż Darwisz, mleczarz Al-Fuli i Bajjumi, sprzedawca słodkich napojów. Odprowadzały go oczy pełne miłości i zachwytu. Za nim szedł szybkim krokiem Fahmi, a potem Jasin, obnosząc swoje ciało byka i elegancję pawia, aż wreszcie ukazywał się Kamal odwracający się co dwa kroki i podnoszący wzrok na maszrabiję, za której kratami, wiedział o tym, stoją ukryte matka i siostry. Uśmiechał się do nich i szedł z teczką pełną książek pod pachą, szukając jakiegoś kamienia do kopania.

Była to najszcześniejsza godzina matki, ale jej obawy o mężczyzn, aby ich ustrzec przed złym okiem, nie ustawały nigdy i dlatego teraz też powtarzała bez przerwy słowa modlitwy: „Od złego i zawistnego oka...”, dopóki nie znikli jej z oczu.

## 5

Zaraz potem wyszła z maszrabijji, a za nią pospieszyła Chadidża. Aisza szła wolniutko, nie spiesząc się, a kiedy już nikogo nie było, przeszła na maszrabijję wychodzącą na ulicę Bajna al-Kasrajni i patrzyła na nią poprzez szpary z uwagą i niecierpliwością. Oczy jej błyszczały, zagryzała wargi, czekała. Nie czekała długo, z zaułka Al-Churunfusz wyszedł nagle młody oficer policji i poszedł wolniutko w kierunku posterunku w Al-Dżamalijja. Dziewczyna pospiesznie wybiegła z maszrabijji i wpadła do pokoju gościnnego. Podeszła do bocznego okna, uchyliła okiennice, stanęła za nimi, a serce jej waliło ze wzruszenia i strachu. Oficer zbliżył się do domu, podniósł oczy do góry, nie podnosząc głowy – kto zresztą w tym czasie w Egipcie podnosił do góry głowę – i rysy jego twarzy rozjaśnił blask skrywanego uśmiechu. Twarz dziewczyny oblał jasny rumieniec wstydu, jakby odbicie światła tego uśmiechu. Westchnęła i zamknęła okno nerwowo, mocno, jakby chcąc ukryć ślady krwawej zbrodni, i odeszła z zamglonym wzrokiem. Wzburzona usiadła na krześle, oparła głowę na rękach i całkowicie poddała się tym samym co zawsze uczuciom. Nie było to czyste szczęście i nie był to czysty strach. Te dwa stany podzieliły między siebie jej serce, a każdy z nich ciągnął w swoją stronę bezlitośnie. Kiedy pełna radości oddawała się upojeniu i czarowi chwili, w serce walił młot strachu ostrzegający, grożący i nie wiedziała, czy lepiej zerwać z przygodą, czy też słuchać serca przepełnionego wielką miłością.

Pozostała tak, jakby we śnie, sama nie wiedziała, krótko czy długo, aż ucichł wewnętrzny głos strachu i nagany i w spokoju zaczęła rozkoszować się słodyczą marzeń. Przypomniała sobie, jakże rozkoszne zawsze było to wspomnienie: kiedyś trzepała w oknie zasłonę, otworzyła do połowy okiennice, żeby wyleciał kurz, i spojrzała, a on stał i wpatrywał się w jej twarz z zachwytem i zdumieniem. Cofnęła się przestraszona, ale obraz złotej gwiazdki i czerwonego lampasa zawładnął jej wyobraźnią i pozostał na długo przed jej oczami. Następnego dnia i w każdy kolejny o tej samej porze stawała za uchylonymi okiennicami, tak żeby jej nie widział, i patrzyła ze zwycięską radością, jak wpatruje się uważnie i tęsknie w zamknięte okna, aż wreszcie dostrzegał przez szpary jej sylwetkę i twarz rozpromieniał mu uśmiech szczęścia. A jej rozpalone serce, rozbudzone po raz pierwszy, czekało z żarem na tę chwilę, rozkoszowało się nią i żegnało ją jak sen. Tak minął miesiąc i przyszedł znowu dzień trzepania zasłon. Podeszła do okna, ale tym razem otworzyła je do połowy celowo, żeby być widzianą. Mijał dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, aż wreszcie nienasycone pragnienie wzięło górę nad strachem, zrobiła krok szalony, desperacki, jak ktoś, kto rzuca się z ogromnej wysokości, aby się ratować od pożaru, otworzyła okiennice i stanęła w oknie, a serce waliło jej jak młotem. W ten sposób wyznała mu swoją miłość.

\* \* \*

Uspokoilią się, uczucia strachu i potępienia ucichły i rozkoszowała się już tylko słodyczą marzeń. Ocknęła się z mocnym postanowieniem, że nie podda się strachowi: „No i co, świat

się nie zawalił, wszystko przeszło w spokoju – mówiła dodając sobie otuchy. – Nikt mnie nie widział i nikt mnie nie zobaczy, w końcu nie popełniłam żadnego grzechu.” Wstała i wychodząc z pokoju zanuciła słodkim głosem udając, że niczym się nie przejmując: „O ty, z czerwonym lampasem, który wzięłeś mnie w niewolę, ulituj się nade mną.” Powtarzała to raz po raz, aż usłyszała głos Chadidży dochodzący z jadalni:

– Munira Mahdijja!<sup>4</sup> Prosimy bardzo, twoja służąca podała już do stołu!

Natychmiast otrzeźwiała, głos siostry podziałał jak smagnięcie batem. Wróciła ze świata marzeń do rzeczywistości, pełna lęku, nie wiadomo dlaczego, bo przecież, wmawiała sobie, wszystko poszło gładko. Przeraziło ją nawet to, że Chadidżę złości jej śpiew, chociaż siostra zajmowała zawsze wobec niej postawę krytyczną. Otrząsnęła się jednak z tego nagłego niepokoju i roześmiała się, a potem poszła do jadalni, gdzie rzeczywiście stół był już nakryty, a matka właśnie wносиła tacę z jedzeniem.

– Tak się grzebałaś, że musiałam wszystko sama przygotować – powiedziała Chadidża ze złością. – Dostyc już tego śpiewania.

Aisza starała się odpowiadać łagodnie, unikać złości, ale upór siostry, żeby jej dokuczyć przy każdej okazji, sprawiał, że także czasami wpadała w gniew.

– Przecież umówiliśmy się już co do podziału pracy i to był twój obowiązek – odpowiedziała z udaną powagą. – A co do śpiewania...

Chadidża spojrzała na matkę i odezwała się drwiąco wskazując na Aiszę:

– Może ona chce zostać śpiewaczką?

Aisza nie rozgniewała się, przeciwnie, udała zainteresowanie.

– A dlaczego nie? Mam głos jak słowik.

O ile poprzednią odpowiedź Chadidża przyjęła obojętnie, bo były to żarty, o tyle to ostatnie zdanie wzbudziło w niej gniew, bo siostra mówiła prawdę. Piękny głos Aiszy działał też i na nią, doceniała jego zalety i dlatego powiedziała napastliwie:

– Słuchaj no, wielmożna pani, to jest dom człowieka szanowanego i gdyby nawet jego córki miały głosy jak osły, nie przyniosłoby im to ujmy, ale gorzej, gdyby były jak obrazek, z którego nie ma żadnego pożytku.

– Nie gadałabyś tak, gdybyś miała głos taki jak ja.

– Oczywiście, że nie! Ty byś śpiewała, a ja bym chodziła za tobą i powtarzała jak chór: „O ty, z czerwonym lampasem, który wzięłeś mnie w niewolę, ulituj się nade mną”, a sprzątanie, zamiatanie, gotowanie zostawiłybyśmy pani domu – wskazała na matkę.

Matka zajęła już swoje miejsce, a że przywykła do takich kłótni, powiedziała tylko prosząco:

– Przestańcie już, na Boga, usiądźcie i jedzcie śniadanie w spokoju.

Podeszły do stołu i usiadły.

– Mamusiu, ty się nie nadajesz do wychowywania dzieci – powiedziała Chadidża.

– Niech ci Bóg wybaczy – odparła cicho i spokojnie – mogę zostawić tobie sprawy wychowania, tylko żebyś pamiętała też o sobie. No, w imię Boga Litościwego, Miłosiernego – sięgnęła ręką do półmiska.

---

<sup>4</sup> Znana egipska piosenkarka początku XX w.

Chadidża miała dwadzieścia lat i była jej najstarszym dzieckiem, nie licząc dwudziestojednoletniego Jasina, syna jej męża z pierwszego małżeństwa. Była mocnej budowy, pełna, dzięki Umm Hanafi, raczej niewysoka. Rysy twarzy przejęła od obydwójga rodziców, ale nie zachwyciły one harmonią. Po matce odziedziczyła małe, piękne oczy, po ojcu wielki nos, a raczej jego kopię, ale w rozmiarze nie do wybaczenia. Twarzy ojca przydawał on dostojeństwa, ale w twarzy dziewczyny odgrywał niestety zupełnie inną rolę.

Natomiast szesnastoletnia Aisza była wspaniałą wiośnianą piękną. Miała szczupłą, zgrabną postać, co zresztą w rodzinie uchodziło za wadę i jej usunięcie powierzono Umm Hanafi, twarz okrągłą o cerze białej, ozdobionej rumieńcem, niebieskie oczy, najlepsze, co wzięła od ojca, i mały nosek matki. Jeśli chodzi o złote włosy, to prawo dziedziczności wskazywałoby na babkę ze strony ojca. I tylko ona odziedziczyła je po babce. Chadidża oczywiście pojmowała różnicę między sobą a siostrą i wiedziała, że choćby była nie wiadomo jaką mistrzynią w gospodarstwie domowym, w haftowaniu czy w innych codziennych pracach, które były dla niej fraszką, nie dorówna Aiszy. Najczęściej odczuwała w stosunku do niej zazdrość, której wcale nie ukrywała, a która piękną dziewczynę często gniewała. Tym bardziej że, niestety, ta leżąca w naturze Chadidży zazdrość nie odkładała się czarnymi pokładami w duszy, ale znajdowała natychmiast ujście w złośliwościach i dotkliwych przycinkach. Mimo jednak trudnego charakteru serce miała pełne czułości i miłości do rodzeństwa, co zresztą nie chroniło go przed jej kpinkami i uszczypliwościami. Napady zazdrości trwały krócej lub dłużej i mijały, i w gronie rodziny ograniczały się właściwie do przekomarzania się, natomiast sąsiadów i znajomych Chadidża wydrwiwała bezlitośnie i uparcie, co sprawiło, że przylgnęło do niej przewisko „pani czepialska”. Jej oczy widziały w ludziach tylko wady, przyciągały ją one jak biegun wskazówkę kompasu. A kiedy wady te były ukryte, wymyślała sztuczki, żeby je wykryć i wyolbrzymić. Ofiarom swoim nadawała przezwiska odpowiadające ich przywarom, a przezwisk tych używała potem cała rodzina. I tak panią Szaukat, wdowę po panu Szaukat, najstarszą przyjaciółkę rodziców, nazwała „karabinem maszynowym”, bo strasznie pluła podczas mówienia, panią Umm Mariam, sąsiadkę z domu przylegającego do ich domu, nazywała „Dla Allaha, panowie”<sup>5</sup>, bo ciągle coś od nich pożyczala, szajcha kuttabu Bajna al-Kasrajni – „Przed złem tego, co On stworzył”<sup>6</sup>, ponieważ powtarzał ciągle ten werset, a do tego był wyjątkowo brzydki, sprzedawcę fulu – „łysy”, mleczarza – „ślepy”, bo miał słaby wzrok. Członkom rodziny nadawała przezwiska nieco lżejsze, np. na matkę mówiła „muezzin”, jako że wszystkich budziła, na Fahmiego – „kolumienka łóżka”, bo był chudy, na Aiszę „trzcina” z tego samego powodu, a Jasina nazywała „Bamba Kaszszar”<sup>7</sup> z powodu jego tuszy i „elegancji”. Ciętość jej języka nie wynikała tylko z upodobania do kpin, Chadidża była bowiem po prostu okrutna w stosunku do wszystkich poza rodziną. Obcych krytykowała z gniewem, bez jakiegokolwiek tolerancji i wyrozumiałości. Także sprawy codzienne innych ludzi, ich troski i smutki nie interesowały jej zupełnie. W domu bezwzględna i okrutna bywała jedynie w stosunku do Umm Hanafi. Nikogo nie traktowała tak brutalnie, nawet zwierząt domowych, które, np. koty,

<sup>5</sup> Formułka używana przez żebraków.

<sup>6</sup> Koran, sura CXIII, Jutrzenka, w. 2.

<sup>7</sup> Znana śpiewaczka i tancerka egipska początku XX w.

obie siostry zamęczały pieścizotami. Było to powodem kłótni między nią a matką. Matka traktowała służącą na równi z innymi domownikami, w ogóle uważała, że ludzie to anioły, i nie potrafiła o kimkolwiek źle pomyśleć. Chadidża natomiast myślała źle o wszystkich, więc dlaczego miała dobrze myśleć o Umm Hanafi? Niepokoiło ją na przykład, że służąca śpi w pobliżu spiżarni. „Od czego ona tak tyje? – mówiła do matki. – Od tych przepisów, które sama fabrykuje? Wszystkich nas tym karmi, a przecież nie jesteśmy tacy tłuści jak ona. Pewnie się opycha tłuszczem i miodem, kiedy my śpimy.” Matka broniła Umm Hanafi, jak tylko mogła, a kiedy Chadidża upierała się przy swoim, mówiła: „A niech je, ile chce, mamy wszystkiego pod dostatkiem. Na zdrowie. W końcu jej brzuch też ma granice, a my i tak nie będziemy głodowali.” Chadidża nie mogła się z tym pogodzić i każdego ranka sprawdzała płyty tłuszczu i garnki miodu, a Umm Hanafi patrzyła na to z uśmiechem, bo kochała całą rodzinę z szacunku dla swojej dobrej pani.

Z drugiej strony miłość i czułość Chadidży dla domowników były tak wielkie, że nie mogła sobie miejsca znaleźć, jeśli komukolwiek coś dolegało. Kiedy Kamal zachorował na wietrzną ospę, siedziała przy jego łóżku bez przerwy, a nawet Aisza nie zbliżała się do niego, żeby się nie zarazić. Miała w sercu oziębłość, ale też wiele współczucia i miłosierdzia.

Chadidża zajęła miejsce przy stole i natychmiast zapomniała o kłótni z Aiszą. Zajęła się fulem z jajkami i jadła z apetytem, który był w rodzinie dawany za przykład. Jedzenie miało dla dziewcząt, poza walorami odżywczymi, jeszcze inny, wyższy cel, miało je upiększać, czyli tuczyć w sposób naturalny, jadły więc z namaszczeniem, powoli i uważnie, przeżuwały starannie każdy kęs i nawet kiedy miały już dość, nie przestawały jeść, dopóki się nie napełniły do granic możliwości. Matka odczuwała sytość pierwsza, więc pierwsza kończyła, po niej Aisza, a Chadidża zostawała sama z resztkami na stole i nie odeszła, dopóki nie opróżniła talerzy do czysta. Chudość Aiszy była niewspółmierna z wysiłkiem, jaki wkładała w tuczenie się, nie mówiąc już o tym, że opierała się skutecznie „czarodziejskim pigułkom”. Prowokowało to oczywiście drwiny Chadidży, która twierdziła, że jakiś złośliwy chochlik uczynił z siostry glebę nieodpowiednią dla dobrego ziarna, które się w nią rzuca. Lubiła też przypisywać chudość Aiszy słabości jej wiary, „Wszyscy pościmy w ramadanie oprócz ciebie – mówiła. – Ty tylko udajesz, że pościsz, a wślizgujesz się jak mysz do spiżarni i napychasz brzuch orzechami włoskimi, laskowymi i migdałami, a w dodatku potem jesz z nami *iftar* z żarłocznością większą niż ci, którzy pościli. Ale Bóg ci nie błogosławi.”

Pora śniadania była to rzadka chwila, kiedy zostawały same, i najodpowiedniejszy czas na wyjawianie sekretów i roztrząsanie spraw, które zwykle wstyd kazał ukrywać, gdy siedziały razem z mężczyznami. Chadidża zawsze miała coś do powiedzenia, mimo że była zajęta jedzeniem. Odezwała się więc głosem spokojnym, nie mającym nic wspólnego z niedawnym wraskiem:

– Mamusiu, miałam dziwny sen.

Matka, przesadzając w szacunku dla Chadidży i z obawy przed jej okropnym charakterem, pospieszyła Z odpowiedzią, nawet nie przełknąwszy tego, co miała w ustach:

– Dobry, córeczko, jeśli Bóg pozwoli.

– Chodziłam po krawędzi dachu – powiedziała w zamyśleniu Chadidża – nie wiem, czy to był dach naszego domu, czy innego, i naraz ktoś mnie popchnął i spadłam z krzykiem.

Amina przestała jeść, słuchała z ogromną uwagą mamrocząc:

– Bóg sprawi, że wszystko będzie dobrze.

Zapadła cisza, Chadidża nie odzywała się, chcąc spotęgować wrażenie.

– Czy to czasem nie ja byłam tą nieznaną osobą, która cię popchnęła? – spytała Aisza powstrzymując się od śmiechu.

Chadidża przestraszyła się, że żarty popsują atmosferę, więc krzyknęła:

– Przestań, sen to nie jest zabawa. Spadłam z krzykiem – zwróciła się do matki – ale nie upadłam na ziemię, tylko na konia, który mnie poniósł.

Amina odetchnęła z ulgą i wróciła do jedzenia.

– Kto wie, Chadidžo – powiedziała – może to narzeczony?

Rozmowa o narzeczonym mogła się odbywać tylko o tej porze; kiedy indziej musiała być krótka, często przy pomocy gestów. Serce dziewczyny przyjęło ją z radością, bo nic tak jej nie smuciło i nie niepokoiło, jak sprawa zamążpójścia. Słowa matki sprawiły jej głęboką radość i gotowa była uwierzyć w tę interpretację snu, ale zawstydziała się i jak zwykle zadrwiła, tym razem z siebie samej:

– Myślisz, że koń to narzeczony? Moim narzeczonym będzie tylko osioł.

Aisza parsknęła śmiechem, aż jedzenie trysnęło jej z ust, ale zaraz przestraszyła się, że Chadidża źle zrozumie jej śmiech, i powiedziała:

– Jesteś zbyt niesprawiedliwa dla siebie, Chadidžo! Co masz sobie do zarzucenia?

Chadidża spojrzała na siostrę (podejrzliwie i z powątpiewaniem, ale zanim się odezwała, matka wkroczyła:

– Jesteś dziewczyną o rzadkich zaletach, kto ci dorówna w sprycie i pracowitości? A twój humor, wesołość, miła twarz? Czego chcesz jeszcze?

Dziewczyna dotknęła palcem wskazującym koniuszka nosa i zapytała ze śmiechem:

– A czy to nie zagradza mi drogi do małżeństwa?

– Bzdury – odrzekła matka z uśmiechem – jesteś jeszcze młoda, córeczko.

Chadidżę zdenerwowało słowo „młoda”, bo w stosunku do wieku, w którym wychodzi się za mąż, wcale młodą nie była.

– Ale ty, mamusiu, wyszłaś za mąż, nie mając jeszcze czternastu lat.

– Tylko Bóg może przyspieszać albo opóźniać sprawy – powiedziała matka.

– Pan nasz wkrótce ześle ci radość – dodała szczerze Aisza.

Chadidża spojrzała na nią z powątpiewaniem i przypomniała sobie, jak jedna z sąsiadek prosiła kiedyś o rękę Aiszy dla swojego syna, a ojciec odmówił, nie chcąc wydawać za mąż młodszą, zanim nie znajdzie męża starsza.

– Naprawdę chciałabyś, żebym wyszła za mąż? Czy może raczej chcesz, żebym oczyściła drogę tobie?

– Wyjdziemy za mąż obie razem – odparła Aisza ze śmiechem.

## 6

Po śniadaniu matka powiedziała:

– Aisza, ty dzisiaj pierzesz, a Chadidża sprząta dom. A potem przyjdźcie do mnie do kuchni.

Zawsze bezpośrednio po śniadaniu Amina przydzielala im pracę. Godziły się na to, z tym że Aisza nie dyskutowała, Chadidża zaś zawsze miała coś do powiedzenia, czy to w sposób wyniosły i pogardliwy, czy złośliwy.

– Jeżeli uważasz, że pranie jest za ciężkie, mogę się z tobą zamienić – powiedziała – ale jeżeli się upierasz przy praniu, żeby zostać w łazience, aż się skończy robota w kuchni, to jest to nieuczciwe.

Aisza zignorowała tę uwagę i poszła do łazienki nucąc pod nosem.

– Masz szczęście, w łazience głos dzwięczy jak w tubie gramofonu, pośpiewaj sobie, sąsiedzi usłyszą – krzyknęła Chadidża drwiąco.

Matka wyszła na korytarz, a potem schodami na dach, żeby, zanim zejdzie do kuchni, zrobić swój poranny obchód. Sprzeczki dziewcząt nie były dla niej nowością, z czasem stały się zwyczajem w porach, kiedy ojca nie było w domu albo kiedy rodzina zbierała się na miłe pogawędki późnym popołudniem. Odnosiła się do nich z wielką wyrozumiałością, żartowała, łagodziła i była to jej jedyna „polityka” wobec dzieci. Politykowanie bowiem nie leżało w jej charakterze, nawet jeżeli wychowanie dzieci tego wymagało; nie potrafiła być dla nich surowa. Może nawet chciała i próbowała, ale zawsze zwyciężała jej uczuciowość i łatwo okazywała żal i słabość, jakby nie mogła znieść innych związków z dziećmi niż miłość i czułość. Pozostawiała ojcu, czy też jego postaci, która panowała w domu na odległość, konieczność wszelkich ograniczeń lub też prostowania tego, co się skrzywiło. Głupie sprzeczki między dziewczętami nie osłabiły jej podziwu dla córek i zadowolenia z nich, nawet z Aiszy po wariacku niemal rozkochanej w śpiewaniu i bez przerwy stojącej przed lustrem, bo przecież nie była ani mniej zdolna od Chadidży, ani gorsza w pracach domowych, może bardziej leniwa.

Amina mogła i zasługiwała na to, żeby przedłużyć sobie chwile odpoczynku na dachu, ale hamowały ją chorobliwy wręcz lęk i troska o dom. Doglądała wszystkiego, najdrobniejsza rzecz nie uszła jej uwagi. Kiedy dziewczęta kończyły pracę, ona zaczynała swoją, ze szczotką w jednej i trzepaczką w drugiej ręce. Przeglądała wszystkie pokoje, salony i korytarze, wszystkie kąty, ściany, meble i zasłony, a nuż znajdzie jakiś zapomniany pyłek kurzu, który trzeba koniecznie usunąć, jak pyłek z oka. W tym się wyżywała, znajdowała rozkosz i ulgę. Kusiło ją też ciągle, żeby przeglądać bieliznę przygotowaną do prania, a kiedy natknęła się na coś wyjątkowo brudnego, nie oszczędziła właścicielowi łagodnego napomnienia, czy to był niespełna dziesięcioletni Kamal, czy Jasin, w którym troska o wygląd zewnętrzny, przesadna elegancja, niezwykła dbałość o garnitur, tarbusz, koszulę, krawat i buty kłóciła się z lekceważeniem bielizny spodniej. Ta jej troska o wszystko nie omijała oczywiście dachu i



jego mieszkańców: gołębi i kur. Godzina na dachu to była jej rozrywka, radosna chwila pełna miłości do obiektów swojej pracy. Wszak dach to był jej twór, nowy świat, który przedtem nie istniał. Nie należał do wielkiego domu, który pozostawał w swoim dawnym kształcie od czasu, gdy go dawno temu zbudowano. Dach był jej dziełem, sama stworzyła te klatki przytwierdzone do ścian wysoko, w których gruchały gołębie, te drewniane domki, w których kury gdakały na grzędach. Z jaką radością rzucała im ziarno lub stawiała naczynie z wodą na podłodze. Kury pędziły do niego za kogutem na wyścigi, a ich dzioby szybko i systematycznie dziobały ziarno, przypominając pracę igły maszyny do szycia i pozostawiając w ziemi małe dziurki, niczym ślady drobnego deszczu. Jakaż radość rozpierała jej duszę, kiedy widziała ptactwo spoglądające na nią oczkami czystymi, małymi i ciekawymi, gdaczące swoją wzajemność w miłości, która napełniała jej serce czułością. Kochała te kury i gołębie, tak zresztą jak wszystkie stworzenia boskie, pieściła je delikatnie, jakby je rozumiała. Jej wyobraźnia obdarzała zwierzęta, czasem nawet kamienie, życiem rozumnym i uczuciowym. A skoro była pewna, że wszystkie stworzenia wychwalają swojego Pana i łączą się mocnymi więzami ze światem duszy, to jej świat – ziemia i niebo, zwierzęta i rośliny – także jest światem żywym i rozumnym, który nie ogranicza się tylko do śpiewania pochwały życia, ale doskonalili się przez służbę Bogu. Nic więc dziwnego, że liczba starych kogutów i chorych kur rosła; tej nie można zabić, bo stara, ta się niesie, ten znowu zawsze ją budzi. Mogła je zostawić samym sobie i wtedy nie musiałaby przykładać noża do ich szyi, ale kiedy okoliczności zmuszały ją do tego, wybranie kury lub gołębia było dla niej wielkim kłopotem, poiła je, błagała Boga, żeby się nad nimi zlitował, odmawiała basmalę i prosiła je o przebaczenie. A kiedy je już zabiła, pocieszała się tym, że korzystała tylko z prawa, które dał swoim sługom Najmiłosierniejszy Bóg.

Najbardziej zadziwiająca była południowa część dachu od strony ulicy An-Nahhasina, gdzie własną ręką, kiedy była sama, posadziła unikalny ogród nie mający równego na dachach całej dzielnicy, które zwykle pokrywała warstwa śmieci i odpadków. Zaczęła od niewielkiej ilości goździków i róż w doniczkach. Co roku zwiększała ich ilość, aż wyhodowała pod murem całe ich rzędy, które wspaniale się rozwijały. Wyobraźnia podpowiedziała jej, że dobrze by było postawić daszek nad ogrodem. Wezwała więc stolarza, by zrobił podparte zadaszenie. Potem posadziła krzewy jaśminu i pnącą fasolę, która oplótła cały daszek i podpory, w końcu cały dach stał się przykrytym zielenią ogrodu. Przedzierał się przezeń jaśmin roztaczając cudowną woń.

Ten dach z jego mieszkańcami, kurami i gołębiami, z ogródkiem oplecionym fasolą, to był cały jej świat, piękny i ukochany, ulubiona rozrywka na tej wielkiej ziemi, o której nic nie wiedziała. Dlatego w takiej chwili jak ta troskliwie zajmowała się tym swoim światkiem. Pozamiatała, podlała rośliny, nakarmiła kury i gołębie, a potem uśmiechnięta, z zamglonym wzrokiem, długo kontemplowała roztaczający się przed nią widok. Wreszcie poszła na koniec ogrodu, stanęła za gałęziami oplatającymi kratę i poprzez szpary długo patrzyła w przestrzeń. Jakże głębokie wrażenie robiły na niej minarety strzelające w niebo, jedne blisko, tak że widziała ich lampy i półksiężycy – meczety Kalawuna i Barkuka, drugie, trochę dalej, tak że wyglądały jak jedna bryła – minarety Al-Husajna, Al-Ghuriego i Al-Azharu, a inne, daleko na horyzoncie, wydawały się jej zjawami – to meczety Cytadeli i Ar-Rifaiego. Na twarzy Aminy

pojawił się zachwyt, miłość, wiara, wdzięczność, błaganie i nadzieja, a dusza jej ulatywała ku niebiosom. Wreszcie zatrzymała wzrok na minarecie meczetu Al-Husajna, najulubieńszym, najbliższym sercu, tak jak jego patron, a w oczach jej malowała się tkliwość i tęsknota. W takiej chwili zawsze ze smutkiem myślała, że zabronione są jej odwiedziny syna córki Proroka, chociaż mieszka o kilka minut drogi od niego. Westchnęła głośno, oderwała wzrok od meczetu i zaczęła z kolei rozkoszować się widokiem dachów i ulic, ale tęsknota jej nie znikła. Oparła się plecami o mur; ogarnęła ją ciekawość tego, co nieznanego, nie znanego wszystkim ludziom – całego świata i nie znanego jej samej – Kairu, a nawet sąsiednich ulic i dzielnic, skąd dolatywały do jej uszu tylko dźwięki. Ciekawe, jaki też jest ten świat, który pokazywał jej tylko minarety i najbliższe dachy?! Ćwierć wieku minęło, jak została uwięziona w tym domu, opuszczając go tylko kilka razy, aby odwiedzić matkę w zaułku Al-Churunfusz. W czasie każdej wizyty towarzyszył jej w powozie As-Sajjid, który by nie zniósł, żeby na jego żonę spojrzano czyjeś oko, kiedy była sama czy nawet w jego towarzystwie. Nie gniewała się ani nie buntowała, daleka była od tego i zaledwie poszybowała wzrokiem poprzez jaśmin i bzy w przestrzeń, na minarety i dachy, na jej delikatnych ustach pojawiał się uśmiech czuły i marzący. Ciekawe, gdzie jest Wydział Prawa, w którym teraz uczy się Fahmi, a gdzie szkoła Chalila Agi, o której Kamal mówi, że mieści się o minutę drogi od meczetu Al-Husajna? Zanim opuściła dach, rozłożyła ręce i pomodliła się do Boga słowami: „Boże, błagam cię, miej pieczę nad As-Sajjidem i moimi synami, i matką moją, i Jasinem, i wszystkimi muzułmanami i chrześcijanami, nawet Anglikami, o Boże, wyrzuć ich z naszej ojczyzny, z szacunku dla Fahmiego, który ich nie znosi.”

Kiedy As-Sajjid Ahmad Abd al-Dżawwad dotarł do sklepu, który mieścił się przed meczetem Barkuka na ulicy An-Nahhasina, Dżamal al-Hamzawi, jego pomocnik, przygotował już wszystko do pracy. As-Sajjid przywitał go serdecznie, z promiennym uśmiechem, i podszedł do swojego biurka. Al-Hamzawi miał pięćdziesiąt lat, z których trzydzieści spędził w tym sklepie jako pomocnik jego założyciela Al-Hadżdża Abd al-Dżawwada, a potem, As-Sajjida. Był wierny As-Sajjidowi w pracy i w miłości, kochał go i poważał, jak zresztą każdy, kto był związany z As-Sajjidem pracą lub przyjaźnią. Bo prawdą jest, że tylko w domu, dla rodziny, As-Sajjid był surowy i budził strach, wobec innych ludzi, przyjaciół, znajomych, klientów, przeistaczał się w inną osobę. Poważano go, szanowano, ale przede wszystkim kochano za wytworność, elegancję w obejściu, bystrość umysłu, żeby wymienić tylko najważniejsze jego przymioty spośród licznych chwalebnych. I ani ludzie spoza domu nie znali As-Sajjida takim, jakim był wśród rodziny, ani domownicy nie znali go takim, jakim się stawał wśród ludzi.

Sklep nie był duży, na półkach pod ścianami stało pełno worków z kawą, ryżem, mydłem, orzechami i suszonymi owocami. W lewym rogu naprzeciwko wejścia znajdowało się biurko As-Sajjida z książkami, papierami i telefonem, na prawo od biurka szafa w ścianie, robiąca solidne wrażenie, w kolorze opadniętych liści. Nad biurkiem, w połowie ściany, w hebanowych ramach wisiał pozłacany napis: „W imię Boga Miłosiernego, Litościwego.” W sklepie ruch zaczynał się dopiero późnym rankiem. As-Sajjid przeglądał rachunki z dnia poprzedniego z wytrwałością odziedziczoną po ojcu, której gorliwie przestrzegał, podczas gdy Al-Hamzawi stał u wejścia do sklepu ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, powtarzając szeptem zapamiętane wersety z Koranu, na co wskazywał ruch jego warg i od czasu do czasu cichy szelest dźwięków *sin* i *sad*. Modlił się tak, dopóki nie przyszedł niewidomy szajch, którego As-Sajjid wzywał co ranka, żeby recytował Koran. As-Sajjid z rzadka podnosił głowę znad rachunków, aby posłuchać recytacji lub poprzyglądać się ulicy, po której nieprzerwanym strumieniem przepływali przechodnie, ręczne wózki, wózki karo i konne powozy, wielkie i bujające się na boki z powodu obciążenia, sprzedawcy wyśpiewujący piosenki zachęcające do kupna pomidorów, muluchijji, bami, każdy na swój sposób. Hałas nic przeszkadzał mu w skoncentrowaniu się, przeciwnie, stał się swojski; As-Sajjid sprzymierzył się z nim przez te trzydzieści lat do tego stopnia, że wręcz przeszkadzała mu cisza. Wszedł pierwszy klient, którym zajął się Al-Hamzawi, a zaraz po nim przyjaciele i kupcy – sąsiedzi As-Sajjida, którzy lubili spędzić z nim miłą, choćby krótką chwilę wymieniając pozdrowienia czy też, jak powiadali, „wymienić ślinę”, czyli pogawędzić, opowiedzieć anegdotkę, posłuchać dowcipu, co napełniało go dumą, jako że świetnie opowiadał dowcipy. W rozmowie błyszczał nieprzerwanie błyskotliwymi powiedzeniami świadczącymi o dużej kulturze ogólnej, a tę zdobył nic w szkole, ponieważ edukację przerwał nie skończywszy szkoły podstawowej, ale dzięki lekturze prasy i obcowaniu z elitą, wysokimi urzędnikami, adwokatami, arystokratami,

którzy uważali go za godnego siebie i rozmawiali z nim jak równy z równym. Zawdzięczał to ogromnej intuicji, inteligencji, miłemu sposobowi bycia i pozycji kupca, któremu się wiedzie. Odznaczał się ponadto inteligencją i rozsądkiem i to nie tym ograniczonym, kupieckim, co jeszcze bardziej podniosło jego prestiż u ludzi możnych i wysoko urodzonych. A kiedy jeden z nich powiedział mu kiedyś szczerze: „As-Sajjidzie, gdyby miał pan okazję studiować prawo, byłby pan adwokatem o wielkiej i rzadkiej elokwencji”, zadowolenie z siebie sprawiło, że jego inteligencja jeszcze bardziej rozkwitła, a skromność i miły sposób bycia jakby się bardziej uwidoczniły.

Żaden z przybyłych nie siedział długo, wyszli kolejno, a w sklepie zawrzała znowu praca. Nagle wpadł z impetem mężczyzna, jakby go ktoś wepchnął, stanął pośrodku, zmrużył wąskie oczy, żeby lepiej widzieć, tak że stały się jeszcze mniejsze, i skierował wzrok na biurko As-Sajjida. I mimo że nie dzieliło go od niego więcej niż trzy metry, na próżno robił wysiłki, żeby je dojrzeć.

– As-Sajjid Ahmad Abd al-Dżawwad jest obecny? – krzyknął wreszcie.

– Witaj, witaj, szajchu Mutawalli Abd as-Samadzie, proszę, przyszło do nas błogosławieństwo – powiedział As-Sajjid z uśmiechem.

Mężczyzna skłonił głowę, a Al-Hamzawi zbliżył się, żeby go przywitać. Szajch nie zauważył wyciągniętej ręki i w tym samym momencie niespodziewanie kichnął, aż Al-Hamzawi cofnął się, wyjął chusteczkę, a na jego twarzy pojawiły się jednocześnie uśmiech i złość. Szajch ruszył w stronę biurka mrucząc: „Chwała Bogu, Panu światów”, podniósł koniec abai, wytarł nim twarz i usiadł na krześle, które podsunął mu As-Sajjid. Szajch wyglądał zdrowo, do pozazdroszczenia, jak na swoje siedemdziesiąt pięć lat. Gdyby nie oczy, zmęczone, dotknięte zapaleniem spojówek, i pomarszczone, starcze usta, nie byłoby na co narzekać. Był owinięty w zniszczoną, wyblakłą abaję, której nie zmieniłby na żadną inną, nawet gdyby dobrzy ludzie podarowali mu nową, ponieważ, jak mówił, ukazał mu się we śnie Al-Husajn, który go pobłogosławił i rozsiał po całej abai niezniszczalne dobro. Miał dar odczytywania nieznanego, wyrabiał amulety i prowadził działalność leczniczą, a ponadto znany był ze szczerości i inteligencji. Znał mnóstwo dowcipów i żartów, co przydawało mu znaczenia, zwłaszcza w oczach As-Sajjida. Mimo że mieszkał w tej dzielnicy, nie był uciążliwym gościem dla tych, którzy mieli ochotę go przyjmować. Mogły minąć miesiące, a on nie pojawiał się i nikt nie wiedział, gdzie przebywa, a kiedy, po przerwie, składał wizyty, wszyscy witali go z radością i hojnie obdarowywali. I teraz As-Sajjid polecił sprzedawcy przygotować dla szajcha zwyczajowy podarunek składający się z ryżu, kawy, mydła, a potem odezwał się do niego:

– Kazałeś nam tęsknić za sobą, szajchu Mutawalli, nie uszczęśliwiłeś nas swoim widokiem aż od Aszury.

– Znikam, kiedy mi się podoba, i przychodzę, kiedy mi się podoba, nie pytaj, dlaczego – odparł szajch prosto i obojętnie, a As-Sajjid uśmiechnął się przyzwyczajony do jego stylu.

– Nawet jeżeli ty sam znikasz, to twoje błogosławieństwa nie znikają.

Nie widać było, żeby pochwała zrobiła na szajchu jakiegokolwiek wrażenie. Poruszył tylko niecierpliwie głowę i odparł ostro:

– Zwracałem ci już tyle razy uwagę, żebyś mi nie przerywał i milczał, kiedy ja mówię.

– Przepraszam, szajchu Abd as-Samadzie, jeżeli nawet zapomniałem o tych zastrzeżeniach, to tylko z powodu twojej długiej nieobecności – As-Sajjid miał ochotę trochę się z nim podroczyć, ale szajch klasnął w dłoń i krzyknął:

– Przepraszanie jest gorsze niż sam grzech, jeżeli będziesz mi się sprzeciwiał, to nie przyjmę od ciebie podarunku.

Szajch groził mu palcem, więc As-Sajjid zakrył usta ręką nakazując sobie milczenie.

– Zacznę od modlitwy pochwalnej do proroka Muhammada – odezwał się szajch, upewniwszy się co do posłuszeństwa As-Sajjida.

– Niech mu będzie pokój i modlitwa – odpowiedział As-Sajjid żarliwie.

– Ciągle nie mogę się nachwalić twojego ojca, niech Bóg będzie dla niego miłosierny i pozwoli mu zamieszkać w ogrodach rajy. Jak tu siedzę, nie widzę różnicy między ojcem a synem, tyle że nieboszyk nosił imię, którą ty zamieniłeś na tarbusz.

– Niech nam Bóg wybaczy – wymamrotał As-Sajjid z uśmiechem.

Szajch ziewnął, aż mu łzy pociekły z oczu, i ciągnął:

– Modlę się do Boga, żeby zesłał twoim dzieciom sukcesy i dar pobożności: Jasinowi, Chadidży, Fahmiemu, Aiszy i Kamalowi, i ich matce Aminie.

Dziwnie zabrzmiały w uszach As-Sajjida imiona Chadidży i Aiszy, mimo że to przecież on sam, dawno temu, podał je szajchowi, aby je wypisał na amuletach. Nie pierwszy i nie ostatni raz szajch wymawiał ich imiona, ale dla As-Sajjida, który nigdy nie wymieniał ani nie słyszał imienia żadnej ze swoich kobiet poza domem, brzmiały one dziwnie i nie do przyjęcia nawet w ustach szajcha Mutawallego. Mimo to wymamrotał:

– Amen, o Panie światów.

Szajch westchnął:

– Proszę też Boga łaskawego, aby nam wrócił naszego pana Abbasa wspomaganego przez niezmiernie wojska kalifa.

– Pomódlmy się do Boga za niego, modlitwy nigdy za wiele.

– I żeby dotknął Anglików i ich popleczników druzgocącą klęską, po której by się już nie podnieśli – krzyknął szajch z gniewem. – Oby Pan nasz zabrał wreszcie ich wszystkich.

Szajch kiwał głową ze smutkiem i żalem i mówił:

– Chodziłem wczoraj po Muskach, kiedy drogę zastąpiło mi dwóch żołnierzy australijskich i zażądało tego, co mam przy sobie. Wywróciłem kieszenie i wyciągnąłem jedyną rzecz, jaką miałem, a był nią kaczan kukurydzy. Jeden z nich chwycił go i kopnął jak piłkę, a drugi zerwał mi imię, rozwinął, podał i rzucił mi w twarz.

As-Sajjid słuchał tego, co mówił szajch, próbując ukryć uśmiech, przesadnie okazując niezadowolenie i przerywając okrzykami:

– Niech Allah zniszczy ich i zabije!

– Podniosłem rękę do nieba – kończył szajch – i krzyknąłem: O Potężny, zniszcz i porwij na strzępy ich naród, jak oni porwali moją imię!

– Twoja prośba zostanie wysłuchana, jeśli Bóg zechce.

Szajch odchylił głowę i przymknął oczy odpoczywając, a As-Sajjid z uśmiechem przypatrywał się jego twarzy. Po chwili szajch otworzył oczy i odezwał się głosem spokojniejszym, w którym brzmiały tony zapowiadające nowy temat:

– Jesteś mężczyzną, nieustraszonym, o wspaniałych cnotach, Ahmadzie Abd al-Dżawwadzie...

– Żeby nie zauroczyć – powiedział As-Sajjid zadowolony, ściszym głosem.

– Nie spiesz się tak – przerwał szajch – taki jak ja rzuca pochwały tylko jako zachętę do prawdziwej rozmowy, synu Abd Al-Dżawwada.

W oczach As-Sajjida pojawiło się zainteresowanie i uwaga.

– Niech Pan nasz będzie dla nas dobry – wyszeptał.

Szajch wyciągnął w stronę As-Sajjida palec wskazujący, gruby i zakrzywiony, jakby mu grożąc, i zapytał:

– Co powiesz jako pobożny muzułmanin na twoją słabość do kobiet?

As-Sajjid przywykł już do jego otwartości, więc nie zaniepokoił się atakiem i roześmiał się.

– A cóż w tym złego? Czyż Prorok, niech go Bóg przyjmie do siebie i da mu błogosławieństwa, nie mówił o swojej miłości do kobiet i uciech?

Szajch zmarszczył brwi i wykrzywił usta na znak, że nie podoba mu się odpowiedź As-Sajjida.

– To, co jest legalne, nie jest grzechem, synu Abd al-Dżawwada – powiedział – ale małżeństwo wyklucza uganianie się za rozpustnicami.

As-Sajjid popatrzył przed siebie i odrzekł poważnie:

– Chwała Bogu, nigdy nie nastawałem na niczyją cześć ani reputację.

Szajch uderzył dłońmi o kolana i krzyknął ze zdziwieniem i gniewem:

– Usprawiedliwianie się jest słabością i tylko słaby się usprawiedliwia, ale rozpusta to przekleństwo, nawet jeśli się ją uprawia z rozpustnicami. Twój ojciec, niech się Bóg nad nim zlituje, kochał kobiety i żenił się ze dwadzieścia razy, dlaczego nie pójdziesz jego śladem, a postępujesz drogą grzechu?

As-Sajjid roześmiał się głośno:

– I ty to mówisz, wybrańcu Boży, sędzio prawowity! Mój ojciec był tak jakby bezpłodny i dlatego żenił się tyle razy. Oprócz mnie nie miał innych dzieci, a majątek rozproszył, dzieląc go między mnie i cztery żony, przez które umarł. A ile stracił w życiu na wydatki sądowe? Ja natomiast jestem ojcem trzech synów i dwóch córek i nie wypada mi pakować się w kilka żon i rozpuścić majątek, którym mnie obdarował Bóg. Nie zapominaj, szajchu Mutawalli, że dzisiejsze śpiewaczki to wczorajsze niewolnice, które mogą być kupowane i sprzedawane, bo Bóg na to pozwala. Bóg jest przebaczący i miłosierny.

Szajch westchnął i odparł kiwając się górną połową ciała na prawo i lewo:

– Jacyż wy jesteście doskonali, synowie Adama, w upiększaniu zła. Na Boga, synu Abd al-Dżawwada, gdyby nie moja miłość do ciebie, nie obchodziłaby mnie twoja rozpusta i nie rozmawiałbym tu z tobą.

– Niech Bóg będzie dla nas miłosierny – odpowiedział As-Sajjid z uśmiechem rozkładając ręce.

Szajch sapnął gniewnie.

– Gdyby nie rozpusta, byłbyś najdoskonalszym z ludzi.

– Doskonały jest tylko Bóg.

Szajch odwrócił się od niego i machnął ręką, jakby mówił: „no dobrze, zostawmy tę sprawę”, a po chwili zapytał głosem pewnym, ale jakby trochę zduszonym:

– A alkohol? Co na to powiesz?

As-Sajjid stracił kontenans, a w oczach pojawiło się zmieszanie i niepokój. Milczał. Szajch uznał jego milczenie za przyznanie się do winy i krzyknął zwycięsko:

– Jest to grzech, którego nie popełnia ten, kto kocha Boga i jest Mu posłuszny, prawda?

– O nic bardziej się nie troszczę niż o miłość Boga i posłuszeństwo Mu – krzyknął As-Sajjid z nagłym entuzjazmem.

– Słowami czy czynem?

As-Sajjid miał gotową odpowiedź, ale nie spieszył się z nią i zamyślił się. Nie miał zwyczaju zastanawiać się nad samym sobą, grzebać w swoim wnętrzu, zagłębiać się w sobie. Jego myśli koncentrowały się tylko na sprawach zewnętrznych, na jakimś mężczyźnie, jakiejś kobiecie, jakichś interesach. Wtedy całkowicie poddawał się prądowi życia, z samego siebie widząc jedynie obraz odbity na jego powierzchni. Miał czterdzieści pięć lat i żywotność młodzieńca; energią wypełniony był po brzegi. Dlatego jego życie obfitowało w sprzeczności, od pobożności do rozpusty, a nad wszystkim górowała chęć i radość z tych sprzeczności, nie opierająca się na żadnej własnej filozofii, na żadnych przemyśleniach ani zasadach, które często prowadzą do dwulicowości i nieszczerości. As-Sajjid kierował się w życiu własną naturą. Obdarzony dobrym sercem i czystą duszą, był szczery we wszystkim, co robił, jego serca nie dotknęły rozterki ani burze wątpliwości, pozostawał zawsze radosny i pogodny. Miał głęboką wiarę, co prawda była to wiara odziedziczona i As-Sajjid nigdy nie dostąpił wyższego stopnia wtajemniczenia, ale delikatność i subtelność jego uczuć, a przede wszystkim szczerść pogłębiały ją i czyniły wznioślejszą. Nie było to ślepe naśladownictwo czy też tylko obrzęd, w którym uczestniczył ze strachu. Jego wiara była miłością, czystą i płodną miłością, z (którą wypełniał wszystkie religijne obowiązki, poczynawszy od modlitwy, a skończywszy na poście i jałmużnie, obejmował nią wszystkich ludzi. Ta miłość połączona ze szczodrością i innymi cnotami uczyniła z niego pożądanego i kochanego przyjaciela, do którego ludzie garnęli się, aby czerpać z tego słodkiego źródła. Jego gorąca natura otwarta była na rozkosze i uciechy życia. Uśmiechał się do wspaniałego jedzenia i cieszył z doborowych trunków, kochał piękne twarze, korzystał z wszelkich rozkoszy życia z radością i uniesieniem, nie obciążając sumienia poczuciem winy, a serca niepokojem. Po prostu uprawiał swój prawdziwy zawód, czyli życie, jak gdyby nie było sprzeczności między prawdą życia w jego sercu i prawdą Boga w jego sumieniu. Nie było chwili w jego życiu, w (której czułby się daleko od Boga albo narażał na Jego karę, cieszył się zawsze spokojem ducha. Może były w nim dwie osoby. A może powodowała nim wiara w wielkoduszość Boga, który przecież nie mógł naprawdę zabronić tych wszystkich uciech, a jeśli nawet zabronił, to ci, którzy grzeszyli w ten sposób, zasługiwali na przebaczenie, bo przecież nikogo nie krzywdzili. Brał więc życie po prostu sercem i uczuciem, nie zastanawiając się i nie rozmyślając nad nim. Rządziły nim silne instynkty, z których jeden podporządkował służbie Bogu, inne oddawał rozkoszy. Godził te dwie sprawy pewny i spokojny, nie zmuszał się do myślenia o nich ani usprawiedliwiania się, chyba że pod wpływem krytyki, jak ta ze strony szajcha Abd as-Samada, przed którą właśnie stanął. W takiej chwili bardzo trudno mu było

myśleć o sobie jako o winnym, nie dlatego, że nic dla niego nie znaczyło być winnym wobec Boga, ale że nie wierzył w swoją winę czy też w to, że Bóg gniewa się na niego za to, że się bawił nikogo przy tym nie krzywdząc. A myślenie, jeśli mu się poddał, odkrywało tylko znikomość i marność jego wiedzy o religii. Dlatego nachmurzył się, kiedy szajch rzucił mu tym pytaniem wyzwanie, i odpowiedział w końcu nie ukrywając skrupowania:

– Zarówno mową, jak i czynem, modlitwą, postem, jałmużną, wspomnianiem imienia boskiego na stojąco i na siedząco. A co takiego, że poza tym trochę się rozerwę, nie krzywdząc przy tym nikogo ani nie zaniedbując obowiązków wiary, czyż...?

Szajch podniósł brwi, przymknął oczy i nieprzekonany przerwał mamrocząc:

– Piękna obrona, ale w nieuczciwej sprawie.

As-Sajjid nagle pozbył się zakłopotania i wpadł w dobry humor, co zresztą było w jego stylu, i powiedział wielkodusznie:

– Bóg jest miłosierny i przebaczący, szajchu Abd as-Samadzie, nie wyobrażam sobie Najpotężniejszego zagniewanego lub nachmurzonego, nawet Jego zemsta skrywa miłosierdzie, a ja przedkładam mu dziesiątki dowodów miłości, posłuszeństwa, niewinności i dobrych uczynków.

– Jeśli chodzi o rachunek dobrych uczynków, to masz zasługi.

As-Sajjid skinął ma Dżamila al-Hamzawiego, żeby przyniósł szajchowi prezent, i powiedział z zadowoleniem:

– Wystarczy nam Bóg i grzeczność mojego pełnomocnika.

Sprzedawca przyniósł paczkę, As-Sajjid wziął ją i wręczył szajchowi z uśmiechem:

– Na zdrowie!

– Niech Bóg da ci wielki dobrobyt i przebaczenie grzechów.

– Amen – wymamrotał As-Sajjid i dodał pogodnie: – Czy ty nie byłeś kiedyś też taki, nasz panie szajchu?

– Niech ci Bóg przebaczy – szajch roześmiał się – jesteś człowiekiem szlachetnym, masz dobre serce, więc ostrzegam cię, nie przesadzaj też w hojności, to się nie zgadza z interesem kupca.

– Chcesz, żebym ci odebrał podarunek?

– Podarek dla mnie nie zagrozi twoim interesom, zastanów się raczej nad innymi podarkami, synu Abd al-Dżawwada – powiedział szajch wstając – do widzenia i niech cię Bóg ma w swojej opiece.

Wyszedł pospiesznie ze sklepu i zniknął im z oczu, pozostawiając As-Sajjida zamyślnego. Ten długo myślał o rozmowie z szajchem, aż w końcu rozłożył ręce w modlitewnym geście i wyszeptał: „Boże, przebac mi grzechy, które popełniłem i jeszcze popełnię, przecież jesteś przebaczący i miłosierny.”



## 8

Po południu Kamal wyszedł ze szkoły i wtopił się w rozkołysany tłum uczniów, który zajmował całą szerokość ulicy, a potem na skrzyżowaniu rozdzielał się na grupy. Jedni szli w stronę Ad-Darrasy, inni do As-Sikka al-Dżadida, jeszcze inni w kierunku dzielnicy Al-Husajna. Gdziekolwiek grupki uczniów otaczały ulicznych sprzedawców, którzy ustawiali się u wylotu ulic rozchodzących się ze szkoły, niosąc w koszach orzeszki ziemne, pestki, chałwę i owoce *dum*. Tu i tam wynikały bójkki wśród uczniów zmuszonych do ukrywania konfliktów w ciągu dnia z obawy przed karami w szkole. Kamal bardzo rzadko uczestniczył w bójkach, może ze dwa razy w ciągu całych dwóch lat, jakie spędził w szkole. Nie dlatego, że rzadko się kłócił, bo tak nie było, ani też że nie lubił się bić, wręcz odwrotnie, smutno mu było, kiedy pozostawał z boku. Ale Kamal i kilku jego rówieśników czuło się obco i niepewnie w szkole, w której przeważająca większość uczniów to byli chłopcy po piętnaście i więcej lat, a wielu miało już koło dwudziestki i z dumą nosiło wąsy. Mali chłopcy w krótkich spodenkach objęli się między nimi i zdarzało się, że któryś ze starszych zaczepił Kamala na dziedzińcu, wyrwał mu z ręki książkę i dla zabawy odrzucił daleko jak piłkę lub zabrał mu kawałek chałwy i wpakował sobie do ust nie przerywając rozmowy z kolegą. Kamalowi nie brakowało powodów i ochoty do walki, ale szacunek dla kar zawsze zwyciężał, chyba że chłopca sprowokował któryś z rówieśników, wtedy skwapliwie odpowiadał mu, z prawdziwą ulgą, jaką daje wyzwolenie dławionych uczuć zemsty. Ale nie bójkki, nie bezsilność wobec starszych uczniów były tym najgorszym, co spotykało go w szkole. Najgorsze były brudne, obrzydliwe wyrazy, które wpadały mu w ucho mimo woli lub też były dla niego przeznaczone; wyzwiska i przekleństwa, których znaczenie pojmował, z tymi był ostrożny, ale zdarzały się i takie, głupie, które w dobrej wierze powtarzał w domu, wywołując przerażenie i burzę. Docierały one w końcu, w formie skargi, do dyrektora szkoły, który był przyjacielem ojca.

Poza tym Kamal miał pecha, w dwóch bójkach, w jakich brał udział, jego przeciwnikiem był chłopiec ze znanej w Ad-Darrasa rodziny zabijaków. Nazajutrz po bójce przed szkołą czekała na Kamala banda rozwścieczonych wyrostków uzbrojonych w kije i kiedy chłopak, który się z nim bił, wskazał na niego, Kamal zrozumiał, że wpadł w zasadzkę i pędem wrócił do szkoły, do dyrektora. Dyrektor próbował załagodzić sprawę, ale na próżno, odpowiadali mu grubiańsko, aż w końcu wezwał policjanta, który odprowadził chłopca do domu. Dyrektor oczywiście natychmiast poszedł do sklepu As-Sajjida i ostrzegł, że chłopcu grozi niebezpieczeństwo, i radził niezwłocznie zręcznie i delikatnie zadziałać. As-Sajjid poprosił kupców z Ad-Darrasy o wstawiennictwo, a poza tym okazał wiele taktu i wielką szczodrość, z jakiej był zresztą znany, aż ich synowie zmiękli, przebaczyli chłopcu, a co więcej, zagwarantowali mu swoją ochronę, przyjmując do swojej bandy. Wieczorem As-Sajjid posłał im podarunki i w ten sposób Kamal uratował się przed kijami zabijaków, ale wpadł jak z

deszczu pod rynną, bo kij ojca zrobił z jego nogami to, czego nie zrobiłyby dziesiątki kijów kolegów.

Chłopiec wyszedł ze szkoły, a serce rozpieęła mu radość, którą przynosił dźwięk dzwonka oznajmającego zakończenie lekcji, a z którą wówczas nic nie mogło się równać. A jednak powiew wolności za drzwiami szkoły nie zatarł w jego sercu echa ostatniej ulubionej lekcji – lekcji religii. Tego dnia szajch czytał im surę *Dżinny*: „Mów: «Zostało mi objawione, że pewna grupa dżinnów przysłuchiwała się»”<sup>8</sup> i objaśniał ją. Kamal siedział skupiony i często podnosił palce, żeby zapytać, co zawiera jej treść. Serce nauczyciela rosnęło, kiedy słuchał tych pytań, które rzadko zadawali uczniowie, z ogromnym przejęciem przysłuchiwał się, pochylony nad Kamalem, recytacji sur, które chłopiec świetnie zapamiętał, a potem sam zaczął opowiadać o różnych rodzajach dżinnów, o dżinnach-muzułmanach przebywających już w raju, tak jak ich bracia, ludzie. Chłopiec zapamiętał każde jego słowo i ciągle jeszcze je rozpamiętywał, nawet teraz, przechodząc na drugą stronę ulicy do sklepu z basbusą. Kochał lekcje religii i zapamiętywał wszystko także dlatego, żeby w domu przekazać i opowiedzieć matce, która słuchała i przypominała sobie to, czego nauczyła się od swojego ojca, szajcha Al-Azharu. Od kiedy zaczął chodzić do szkółki koranicznej, opowiadał jej wszystko, co usłyszał od szajcha, i uczył ją nowych sur, których przedtem nie znała, a ona uczyła go tych, które umiała.

Wszedł do sklepu i podał millimy, które od rana ścisnął w rączce, i z ogromną radością chwycił kawał basbusy. Była to jedna z najmilszych chwil w jego życiu, często marzył, że jak dorośnie, zostanie sprzedawcą basbusy, nie żeby ją sprzedawać, ale żeby się jej najeść do syta. Zadowolony, podśpiewując i zajądając basbusę, szedł ulicą Al-Husajna. Zapomniał, że przez cały dzień jest właściwie więźniem, że jest mu zabroniony każdy ruch, nie mówiąc już o zabawie i wesołości, że w każdej chwili jest celem kija nauczyciela, który wisi nad głowami uczniów. Mimo to jednak nie całkiem zniechęcił się do szkoły, w jej murach bowiem dostąpił czegoś w rodzaju szacunku i podziwu, co w dużej mierze było zasługą jego brata Fahmiego, którego pamiętano jako świetnego ucznia. On sam nigdy nie uzyskał od ojca nawet dziesiątej części tych pochwał, co Fahmi. Po drodze przechodził obok sklepu Matusjana z papierosami i jak co dzień zatrzymywał się pod jego szyldem, który przedstawiał kobietę wyciągniętą na kanapie, z papierosem w karmazynowych ustach, z którego ulatywała wijąca się smużka dymu. Jedną rękę miała opartą o parapet okna, przez które, za odchyloną zasłoną, widać było gaj palmowy i fragment Nilu. Nazywał ją sam dla siebie „siostrą Aiszą”, jako że dostrzegł między nimi podobieństwo, obie miały złote włosy i niebieskie oczy. Mimo że miał już prawie dziesięć lat, jego podziw dla kobiety z fotografii przechodził wszelką miarę. Ileż to razy wyobrażał ją sobie rozbawioną, używającą uciech, i siebie obok niej dzielącego z nią bogate, wesołe życie w wygodnym pokoju z widokiem na wieś, której ziemia, palmy, woda i niebo są własnością ich obojga. Wyobrażał sobie, jak w zielonej dolinie łódka pływa po rzece, która pojawia się gdzieś w tle obrazu jak fatamorgana, albo jak potrząsa palmą i spadają mu na głowę wilgotne kropelki, albo też jak siedzi przed piękną i zatapia namiętne spojrzenie w jej pięknych oczach. Kamal nie był urodziwy jak jego bracia. Najbardziej z całej rodziny

---

<sup>8</sup> Koran, sura LXXII, Dżinny, w. 1.

przypominał Chadidżę. Jak ona zebrał w twarzy małe oczy matki i wielki nos ojca, ale nie miał w wyglądzie tej elegancji, jaką odziedziczyła po ojcu Chadidża. W jego wielkiej głowie pod wystającym czołem oczy wyglądały, jakby były jeszcze głębiej osadzone niż w rzeczywistości. Niestety, jego dziwaczny wygląd pobudzał do kpin, a i sam Kamal stwarzał sytuacje wywołujące drwiny kolegów. Jeden z nich przezwał go „dwugłowym”, co wprawiło chłopca w taki gniew, że natychmiast wplątał się w jedną z owych wspomnianych już bójek. Bójka nie uspokoiła go, w domu wylewał przed matką swoje żale, a ona podzielała jego zmartwienie, ale pocieszała go, zapewniając, że duża głowa oznacza duży rozum i że Prorok, niech mu Bóg da pokój, miał też dużą głowę i ten, który jego, Kamala, tak nazwał, na pewno mu zazdrości tego podobieństwa.

Kiedy się wreszcie oderwał od fotografii kobiety z papierosem, poszedł dalej, tym razem kierując wzrok na meczet Al-Husajna, w którego cieniu wychowywał się i który stanowił dla niego niewyczerpane źródło marzeń i uczuć. Al-Husajn zajmował w jego sercu miejsce wysokie, zaraz po matce i całej rodzinie, jako że był on bliskim krewnym Proroka. Znajomość biografii Proroka nie zastępowała mu opowieści o życiu Al-Husajna, wracał do nich często i żywił się ich najszlachetniejszymi momentami z głęboką religijnością. Opowieści te w ciągu wieków stały się ulubioną rozrywką, przepojone wiarą i pełne smutku, a rozmiarów męczeństwa Al-Husajna nie zmniejszył fakt, że głowa Męczennika po oddzieleniu jej od czystego ciała znalazła sobie najlepsze miejsce na całej ziemi, właśnie w Kairze, gdzie zbudowano grobowiec i złożono ją w chwale. Ileż to razy stał przed grobowcem rozmyślając i marząc, jakby chciał przeniknąć do jego wnętrza, żeby spojrzeć na tę piękną twarz, o której matka mówiła, że oparła się czasowi dzięki tajemnej pomocy boskiej, zachowała świeżość i blask, który rozświetlał ciemność grobowca. A kiedy nie znajdował urzeczywistnienia swoich nadziei, zadowalał się długimi z nim rozmowami, w których wyrażał całą swoją miłość, skarżył się na swoje dziecinne problemy z ifritami i strach przed ojcem i prosił o pomoc w egzaminach, które musiał zdawać co trzy miesiące, na koniec zaś zwykle błagał Al-Husajna, żeby go zaszczycił wizytą we śnie. Codzienne przechodzenie obok meczetu rano i wieczorem osłabiło już nieco siłę jego pierwszych wrażeń, ale kiedy tylko wzrok jego padł na budowlę, recytował *Al-Fatihe*, nawet jeśli powtarzało się to kilka razy dziennie. Przyzwyczajenie nie wymazało radości marzeń z jego serca i zawsze widok wysokich ścian znajdował w nim oddźwięk, a strzelisty minaret wywoływał drgnienia duszy.

Przeciął ulicę Al-Husajna odmawiając *Al-Fatihe*, a potem skręcił w zaułek Chana Dża'fara i ulicę Bajt al-Kadi, teraz wystarczyło już tylko przeciąć ulicę An-Nahhasina, żeby znaleźć się blisko domu. Zamiast tego jednak przechodził przez plac w kierunku ulicy Kurmuza powodowany dzikim, nieprzytomnym strachem przed ojcem i chyba nawet spojrzenie ifrita nie przeraziłoby go więcej niż gniew As-Sajjida. Ojciec bowiem nigdy nie poprzestał na zbesztaniu go, ale zakazywał jeszcze tego, co chłopiec najbardziej lubił, zabawy i wesołości. Gdyby był całkowicie posłuszny woli ojca, musiałby cały swój wolny czas spędzać siedząc ze skrzyżowanymi nogami i założonymi rękami, ale nie był w stanie poddać się tym tyrańskim, złośliwym wymaganiom i ukradkiem, za jego plecami, bawił się, kiedy tylko mu się podobało, w domu i po drodze, dopóki ojciec nie dowiedział się o tym od któregoś z domowników, kiedy już chłopak za bardzo dał im się we znaki. Kiedyś na

przykład wszedł po schodach na dach i wdrapał się na pergolę z fasoli i jaśminu. Matka zobaczyła go wiszącego między niebem a ziemią, krzyknęła przerażona i zmusiła do zejścia, po czym, ponieważ zabawa była niebezpieczna, przewyciężyła litość i strach przed surowością ojca i poskarżyła się As-Sajjidowi. Ojciec zawołał syna natychmiast, kazał wyciągnąć nogi i zbił go po mich laską, nie zwracając uwagi na krzyk, który wypełnił cały dom. Chłopiec wyszedł z pokoju ojca kulejąc, podczas gdy bracia siedzieli w salonie, starając się nie wybuchnąć śmiechem. Chadidża wzięła go na ręce, szepcząc do ucha: „Zasłużyłeś na to, jak można wdrapywać się tak wysoko aż do nieba. Wydaje ci się, że jesteś zeppelinem czy co?” Zwykle jednak matka ukrywała jego zabawy, dopóki nie stały się niebezpieczne.

Kamal przypominał sobie ojca z wcześniejszego dzieciństwa, nie tak przecież odległego, i nie mógł się nadziwić jego przemianie. Kiedyś był dla niego miły i czarujący, bawił się z nim i żartował, i od czasu do czasu obsypywał słodyczami. A dzień obrzezania mimo całej okropności przeżycia kojarzy mu się z pełnym troski i czułości ojcem, który obdarował go pięknymi ubrankami i mnóstwem czekolady. I zaraz potem wszystko się zmieniło, zamiast czułości pojawiła się surowość, zamiast pieszczot napomnienia, zamiast żartów razy, a obrzezaniem straszono go do tego stopnia, że w końcu, zdeorientowany, żył w strachu, że mu utną i to, co zostało. Odtąd wobec ojca odczuwał tylko lęk i szacunek pomieszany ze strachem. Podziwiał jego wygląd, ogromną, mocną postać, godność, dumę, wobec której wszyscy byli pokorni, elegancję stroju, czuł respekt przed tym, co odczuwał jako jego siłę. Być może także sposób, w jaki matka mówiła o „swoim panu”, budził w nim strach przed ojcem, tak że nie wyobrażał sobie, żeby był na świecie drugi człowiek równie potężny, bogaty i godny szacunku. W domu miłość do ojca graniczyła z czcią i uwielbieniem i pod wpływem domowników wpłynęła także do jego serca, ale jej istota była głęboko ukryta w zamkniętej szkatułce przerażenia.

Zbliżał się już do zadaszanej ciemnej ulicy Kurmuza, którą wzięły w posiadanie ifrity, jako miejsce swoich nocnych zabaw, a którą on wybrał, chcąc ominąć sklep ojca. Wszedł w nią i zaczął recytować „powiedz, jest jeden Bóg”<sup>9</sup> głosem wysokim, który rozbrzmiewał w ciemności pod kopulastym dachem. Oczy wypatrywały dalekiego otworu wyjściowego mrocznej ulicy, gdzie jaśniało światło. Przyspieszał kroku i powtarzał sury, które miały odpędzić ifrity, bo ifrity nie znają drogi do kogoś, kto broni się wersetami Bożymi. Ale żeby nawet wyrecytował całą księgę Allaha, nie wyratuje się przed ojcem, kiedy ten wpadnie w gniew. Wyszedł z pasażu na drugą część ulicy, a na jej końcu ukazała się uliczka Bajna al-Kasrajni, wejście do Łaźni Sułtana, a zaraz potem maszrabijje własnego domu w kolorze ciemnozielonym i wielkie drzwi z brązową kołatką. Tyle szczęścia nagromadziło to miejsce, że Kamal uśmiechnął się radośnie. Zaraz popędzą do niego chłopcy ze wszystkich sąsiednich domów, wpadną na wielkie podwórze otoczone licznymi pokojami z kuchnią w miejscu centralnym, będą się bawić, szaleć i jeść bataty. W tym momencie zobaczył tramwaj konny, który wolno przecinał ulicę, zmierzając w stronę Bajna al-Kasrajni. Serce zabiło mu mocno i odezwał się w nim łobuziak, wsunął teczkę z książkami pod pachę, puścił się pędem i

---

<sup>9</sup> Szahada, czyli wyznanie wiary u muzułmanów: „Powiedz, jest jeden Bóg, a Muhammad jest Jego Prorokiem.

wskoczył na tylne schodki. Ale konduktor nie pozwolił mu się długo cieszyć, podszedł i kazał zapłacić za bilet, patrząc przy tym podejrzliwie i groźnie. Kamal odparł grzecznie, że wyjdzie, jak tylko tramwaj się zatrzyma, ale mężczyzna ryknął z gniewem do woźnicy, żeby natychmiast stanął. Chłopiec nie czekał dłużej, wspiął się na palce, zeskoczył na ziemię i popędził ścigany przekleństwami konduktora cięższymi niż kamienie brukowe. Nie była to jego ulubiona psota ani też przygotowany plan, po prostu rano zobaczył, jak jakiś chłopiec to zrobił, a kiedy nadarzyła się okazja, zrobił to samo.

## 9

Pod wieczór cała rodzina z wyjątkiem ojca zebrała się, by posiedzieć przy kawie. Ulubionym miejscem był salon na pierwszym piętrze, do którego przytykały sypialnia braci, pokój gościnny i mały pokój do odrabiania lekcji. Salon był wysłany kolorowymi matami, a w rogach stały kanapy z oparciami pełne poduszek. Z sufitu zwisał ogromny żyrandol z równie wielką lampą gazową. Matka siedziała na kanapie pośrodku, przed nią stał duży piecyk, w którym aż do połowy wetknięte było w żar naczynie z kawą. Po prawej ręce miała stolik, a na nim żółtą tacę z ustawionymi rzędem filiżankami. Naprzeciwko siedzieli synowie i córki, zarówno ci, którym wolno było pić z nią kawę – Jasin i Fahmi – jak ci, którym tradycja i obyczaj na to nie pozwalały i którym musiała wystarczyć tylko rozmowa: siostry i Kamal. Była to ulubiona pora dnia, rozkoszowali się wtedy jednością rodziny i przyjemnością wieczornej pogawędki. Pod macierzyńskimi skrzydłami Aminy rozkwitała czysta, wzajemna miłość, swoboda i radość wolności. Mogli siedzieć po turecku lub leżeć, Chadidża i Aisza popędzały pijących, żeby dopili kawę, chcąc im wróżyć z fusów, a Jasin czasami coś opowiadał, a czasami czytał historię o dwóch sierotkach ze zbioru opowieści ludowych. Młodzieniec zwykle część swojego wolnego czasu poświęcał na czytanie opowieści i poezji nie dlatego, żeby odczuwał braki w wykształceniu, bo szkoła podstawowa w tym czasie wiele dawała, ale dla rozrywki i z miłości do poezji i pięknego stylu. Jego pełne ciało w obszernej gallabijji wyglądało jak ogromny bukłak, a piękne rysy pełnej, śniadej twarzy, czarne, urzekające oczy, zrosnięte brwi, namiętne usta wskazywały mimo młodego wieku, bo przecież nie miał jeszcze dwudziestu jeden lat, na pełną, dojrzałą męskość. Kamal oczywiście przyklejał się do niego, chłonąc opowieści i anegdoty, którymi brat raczył go od czasu do czasu, molestował go, naprzykrzał się i Jasin był naprawdę codziennie w kłopotcie, chcąc zaspokoić rozpaloną wyobraźnię chłopca. Odsuwał go więc ostro i zaczynał rozmowę lub pogrążał się w lekturze, z rzadka tylko rzucając mu z łaski jakieś słowo, kiedy Kamal był zbyt natarczywy, lub odpowiadając na pytanie, jeśli znajdował odpowiedź, co zresztą powodowało serię następnych pytań, na które najczęściej odpowiedzieć już nie umiał. Kamal zazdrosnym okiem wpatrywał się w brata zajętego lekturą, która dawała mu klucz do zaczarowanego świata. Bolało go to, że sam nie mógł czytać tych opowieści, przewracał smutno kartki książki, nie mogąc zrozumieć wielu znaczeń i symboli i wkraść się poprzez nie w świat marzeń i snów. Jasin był dla niego orzeźwiającym źródłem pod tym względem, dostarczał mu mnóstwo radości, ale też narażał na męki ciekawości. Kamal często podnosił oczy na brata i pytał z żarem: „I co było potem?” Młodzieniec wzdychał i mówił: „Co ci się tak spieszy? Nie męcz mnie, opowiem ci, jak nie dziś, to jutro.” Nic tak nie smuciło Kamala, jak czekanie do jutra, do tego stopnia, że słowo „jutro” skojarzyło się w jego umyśle z pojęciem straty. Nierzadko po opuszczeniu „towarzystwa” zwracał się do matki z nadzieją, że ona wyjaśni mu, „co było potem”, ale matka nie знаła opowieści o dwóch sierotkach ani żadnych z tych, które opowiadał Jasin, nie chcąc go jednak rozczarować, opowiadała to, co zapamiętała z bajek o

złodziejach i ifritach, a wyobrażenia Kamala powoli uspokajała się i pocieszała nimi. Na takim „posiedzeniu” przy kawie nikt prawie nie zwracał uwagi na Kamala, nic więc dziwnego, że czuł się opuszczony i lekceważony przez rodzinę. Nie uczestniczył w ich nie kończących się przekomarzaniach i rozmowach, wymyślał więc bezczelnie jakieś historyjki i rzucał się odważnie w tok rozmowy, żeby choć na chwilę przyciągnąć ich uwagę.

– Ale okropne zdarzenie widziałem dziś po drodze do szkoły – wypalił jak z armaty – tego się nie da zapomnieć. Jeden chłopiec wskoczył na schodki konnego tramwaju i konduktor uderzył go w twarz, więc chłopiec zaczął szybko uciekać, a konduktor niewiele myśląc popędził za nim, dopadł go i z całej siły kopał w brzuch.

Patrzył po wszystkich twarzach badając wrażenie, jakie wywołały jego słowa, ale nie znalazł żadnego zainteresowania, co więcej, zauważył, że Aisza chwyciła matkę za podbródek i odwróciła jej twarz, kiedy ta chciała już zwrócić ją ku niemu, i kpiący uśmiešek Jasina, który nawet nie podniósł głowy znad książki. Ogarnęła go złość za tę zniewagę i postanowił kontynuować opowieść na przekór wszystkim.

– I chłopiec upadł zwijając się z bólu, i zaraz zebrał się wokół niego tłum, a on pożegnał się z życiem – krzyczał z całej siły.

– Co ty mówisz?! Umarł? – krzyknęła matka odsuwając od ust filiżankę.

Zadowolony z jej zainteresowania zebrał wszystkie siły do ataku na słaby punkt muru.

– Tak, umarł!... widziałem na własne oczy, jak się lała krew.

– Konduktor kapał go w brzuch, tak? A skąd leciała krew? – spytał Fahmi, który patrzył na niego kpiąco, jakby chciał powiedzieć: „znam te twoje historyjki”.

– Kiedy go kopnął w brzuch, to on upadł na twarz i rozbił głowę.

Tu wtrącił się Jasin, nie podnosząc oczu znad książki:

– Pewnie krew lała się z ust, bo jak się leje z ust, to nie musi być obrażeń zewnętrznych. To byłoby wyjaśnienie twojej historii, która jak zwykle jest nieprawdziwa.

Kamal zaprotestował przeciwko oskarżeniu brata i zaczął przysięgać na wszystkie świętości, że mówi prawdę, ale jego protesty i przysięgi zginęły w ogólnym wybuchu śmiechu.

– Coraz więcej ofiar – odezwała się ironicznie Chadidża – gdyby twoje wiadomości były prawdziwe, już by chyba nikt z mieszkańców An-Nahhasina nie pozostał żywy. Co powiesz naszemu Panu, gdy cię zechce wyliczyć z tych wszystkich wiadomości?

Z drwiną Chadidży potrafił walczyć, jak zwykle więc zaczął atakować jej nos:

– Powiem mu, że to wszystko przez wielki nos mojej siostry.

Chadidża roześmiała się:

– Szanowny pan też ma niemały nosek, prawda? Dotknęło nas to samo nieszczęście.

– Prawdę powiedziałaś, sestro – odezwał się znowu Jasin.

Chadidża odwróciła się gotowa do ataku, ale uprzedził ją:

– Rozgniewałem cię? Czemu? Przecież tylko zgodziłem się z tobą.

– Pomyśl o swoich grzechach, zanim zaczniesz wytykać wady innym.

– Na Boga, największym grzechem jest zlekceważyć taki nos – Jasin podniósł brwi, udając, że nie wie, o co chodzi.

– Co ty mówisz, bracie – odezwał się Fahmi, przyłączając się do atakujących – mieć taki nos to zbrodnia.

Fahmi rzadko uczestniczył w kłótniach, toteż Jasin z entuzjazmem powitał jego przyłączenie się do walki.

– To jedno i drugie. Wyobrażasz sobie, na jaką karę zasłuży ten, kto taką narzeczoną wyswata nieszczęsnemu narzeczonemu?

Kamal wybuchnął śmiechem, aż zagwizdał. Matka nie była zadowolona z obrotu sprawy i chcąc skierować rozmowę na właściwe tory, rzekła spokojnie:

– Ta pusta gadanina odwiodła was od tematu, czyli tego, czy pan Kamal powiedział prawdę, czy kłamał, ale myślę, że skoro przysięgał, nie ma powodu wątpić... Tak, Kamal nigdy nie przysięga, gdy kłamie.

Radość chłopca z odwetu przygasła natychmiast i chociaż siostry nadal żartowały z niego, on był już myślami gdzie indziej i wymieniał z matką znaczące spojrzenia, aż wreszcie pełen smutku i niepokoju usiadł z daleka zamyślony. Pojął naraz znaczenie nieprawdziwej przysięgi, która wzbudza gniew Boga i jego wybrańców. Bardzo trudno było mu przysięgać na Al-Husajna, bo go kochał, ale często znajdował się w sytuacji krytycznej, z której, w jego mniemaniu, było tylko jedno wyjście – krzywoprzysięstwo. I robił to, tak jak dzisiaj, nie wiedząc, że pakuje się w jeszcze trudniejszą sytuację. Bo kiedy myślał o tym grzechu, pełen był niepokoju i troski, pragnął wymazać całkowicie to, co zrobił złego, i obiecywał sobie, że zacznie zupełnie nową kartę życia. Przypominał sobie grobowiec Al-Husajna u podstawy minaretu, którego wierzchołek łączył się z niebem, i modlił się w duchu, żeby Męczennik przebaczył mu grzech i nie mógł sobie darować, że temu Najukochańszemu wyrządził zło nie do wybaczenia. Długo tak siedział pogrążony w modlitwie, aż w końcu ocknął się i otworzył uszy na rozmowę, a oczy na to, co się działo dokoła niego. Rozmowa toczyła się wokół spraw znanych i nowych, ale mało z nich przyciągało jego uwagę; jakieś wspomnienia z przeszłości rodziny bliższej i dalszej, wiadomości wesołe i smutne o sąsiadach, sytuacja braci wobec ojca tyrana, protesty Chadidży na złośliwe uwagi braci co do jej wyglądu. Rozmowy te dostarczały chłopcu wiedzy, która wykrystalizowała w jego wyobraźni obraz rodziny, na którego jednym końcu była napastliwa i krytykancka Chadidża, na drugim wielkoduszna i przebacząca matka. W końcu usłyszał Fahmiego rozmawiającego z Jasinem:

– Ostatni atak Hindenburga – mówił Fahmi – był bardzo ważny, mało brakowało, a byłby to decydujący atak w tej wojnie.

Jasin podzielał nadzieje Fahmiego, ale myślał o wojnie z większym spokojem. Tak samo jak brat chciał, żeby zwyciężyły Niemcy, a zatem Turcja, i żeby kalifat odzyskał dawną potęgę, żeby Abbas i Muhammad Farid wrócili do ojczyzny, ale sprawy te obchodziły go tylko w momencie, kiedy się o nich mówiło, odparł więc kiwając głową:

– Od czterech lat powtarzamy to samo.

– Każda wojna musi mieć koniec, ta też wreszcie się skończy i nie „sądzę, żeby Niemcy poniosły klęskę.

– O to się przecież modlimy, ale co będzie, jeśli się okaże, że Niemcy są właśnie tacy, jak ich opisują Anglicy?



– Ważne, żebyśmy się uwolnili od koszmaru władzy Anglików – krzyknął z żarem Fahmi – żeby kalifat wrócił do dawnej wielkości i żebyśmy znaleźli swoją drogę.

– Dlaczego tak kochacie Niemców? – wtrąciła Chadidża – przecież to oni wysłali zeppelin, żeby zrzucił na nas bomby.

Fahmi, jak zwykle, zaczął przekonywać wszystkich, że Niemcy chcieli bombardować Anglików, nie Egipcjan, i rozmowa przeniosła się na zeppelin, ich wielkość, szybkość, zagrożenie, jakie niosą. Tymczasem Jasin przeciągnął się, wstał i poszedł do swojego pokoju, żeby się ubrać do wyjścia, bo wieczór zwykle spędzał poza domem. Po krótkiej chwili pokazał się elegancko ubrany i strojny. Wyglądał pięknie, ale ogromne ciało, dojrzała męskość i wąsy sprawiały, że wydawał się o wiele starszy, niż był w rzeczywistości. Rzucił coś na pożegnanie i wyszedł, a Kamal rozmyślał z zazdrością, jaką wolnością cieszy się Jasin, że może sobie wychodzić wieczorem z domu. Zauważył też, że brat, od kiedy otrzymał stanowisko sekretarza szkoły An-Nahhasina, nie rozlicza się już z tego, gdzie był i kiedy wrócił, ale że wychodzi, kiedy i gdzie chce, i wraca, o której mu się podoba. Jakie to piękne i szczęśliwe życie! Gdyby to on tak mógł wychodzić i przychodzić, kiedy mu się podoba, siedzieć wieczorem, dopóki ma ochotę, ograniczyć lekturę, gdyż już opanuje czytanie, do opowieści i poezji.

– Czy ja też, kiedy zostanę urzędnikiem, będę mógł wychodzić wieczorem, żeby się rozerwać? – zapytał nagle.

Matka uśmiechnęła się.

– Zabawy poza domem to nic jest cel, o którym warto by j liż teraz marzyć.

– Ale ojciec spędza każdy wieczór poza domem i Jasin też – zaprotestował.

Matka podniosła brwi zakłopotana i odpowiedziała cicho:

– Najpierw staraj się bardzo zostać mężczyzną, potem urzędnikiem, a Pan nasz da ci wiele rozrywek.

Ale Kamal pytał dalej z niecierpliwością:

– Dlaczego nie mogę zostać urzędnikiem po trzech latach szkoły podstawowej?

– Zostać urzędnikiem nie mając czternastu lat? – zakpiła Chadidża.

– A co będzie, jak się posiusiasz?

Zanim Kamal zdążył wyładować swoją wściekłość na siostrze, Fahmi odezwał się z pogardą:

– Jaki z ciebie osioł! Pomyśl o studiach prawniczych, tak jak ja.

Jasin ukończył szkołę podstawową dopiero w wieku dwudziestu lat, bo go do tego zmusiły warunki. Gdyby nie one, skończyłby studia. Sam nie wiesz, czego chcesz, ty leniu!

## 10

Kiedy Fahmi z Kamalem weszli na dach, słońce prawie się schowało, widać było tylko białą, o łagodnym świetle tarczę, której żar już wygasł. Ogród osłonięty fasolą i jaśminem tonął w lekkim cieniu, ale chłopcy poszli na drugi koniec dachu, gdzie resztki słońca nie ukrywały się, i oparli się o mur przylegający do muru dachu sąsiedniego. Codziennie o tej porze, o zachodzie, Fahmi zabierał Kamala na dach pod pretekstem pomagania mu w odrabianiu lekcji na świeżym powietrzu, mimo że listopadowe popołudnia były już dosyć chłodne. Stawali pod murem, z tym że Kamal opierał się o niego plecami, a Fahmi stawał naprzeciwko tak, że mógł zapuszczać wzrok na dach sąsiadów, nie oglądając się za każdym razem. A tam między sznurami bielizny krzątała się zwykle dziewczyna w wieku około dwudziestu lat, całkowicie zajęta zbieraniem suchej bielizny i układaniem jej w wielkim koszu.

I mimo że Kamal mówił bardzo głośno, ona nie odrywała się od pracy, jakby nie zauważała ich wejścia. Fahmi przychodził z nadzieją, że może uzyskać od niej choć jedno spojrzenie, gdyby właśnie z jakichś powodów weszła na dach, ale realizacja tego nie była łatwa i zdarzało się to rzadko, o czym świadczył rumieniec na jego twarzy, mówiący o wielkiej radości, i serce bijące ogromnym szczęściem. Słuchał tego, co mówił mały brat, rozkojarzony, rzucając ukradkowe niespokojne spojrzenia. A ona to pokazywała się, to chowała albo ukazywała się jej część, a inna znikwała zależnie od tego, gdzie stała i czy ją zakrywały rozwieszane milaje i inne ubrania. Była to dziewczyna średniego wzrostu, o jasnej, prawie białej cerze, czarnych oczach, których wyraz mówił o bujnym życiu wewnętrznym, namiętności i wesołości. A jednak widok jej pięknej twarzy powodujący w nim wybuchy gorącej miłości budził w jego sercu także niepokój – słaby, kiedy była obecna, silny, kiedy był sam – z powodu odwagi, z jaką pokazywała mu się, jakby nie był mężczyzną, przed którym taka dziewczyna jak ona powinna się chować, albo jakby nie obchodziło jej to, że wystawia się na widok mężczyzny. Często myślał, dlaczego nie przychodzi jej do głowy schować się szybko, wycofać się, jak zrobiłaby Chadidża czy Aisza znalazłszy się w podobnej sytuacji! Co za dziwna przekora odciąga ją od uświęconego tradycją zachowania? Spokojniejszy byłby, gdyby okazała trochę skromności, nawet za niewyobrażalną cenę, cenę utraty radości jej widywania. Starał się jednak myśleć, że ośmiela ją bliskie sąsiedztwo, wspólne wychowanie, a może małость. W duchu prowadził z nią długie rozmowy i dyskusje na ten temat. A że nie był tak odważny jak ona, zaczął ukradkiem spoglądać na sąsiednie dachy, żeby się upewnić, czy nie ma tam obserwatorów. Wielu osiemnastoletnich młodzieńców nie przejmowałoby się tym, że podglądają córkę sąsiada, ale on do takich nie należał. Nie chciał czynić krzywdy tym ludziom, tym bardziej że As-Sajjid Muhammad Ridwan był dobrym sąsiadem. Źle by się czuł postępując tak, a poza tym bał się, że wiadomość dotrze do ojca i wtedy będzie prawdziwe nieszczęście. Miłość była jednak silniejsza od strachu i nawet on nie mógł mu popsuć upojnych marzeń tej godziny na dachu.

Patrzył więc na dziewczynę, a ona to ukazywała się, to chowała, to stawała nagle naprzeciw niego, a jej małe rączki podnosiły się i opadały, palce to zginały się, to rozprostowywały powoli, niespiesznie, jakby chciała przeciągnąć czas pracy. Jego serce odgadywało ten zamiar i mimo wszystkich wątpliwości skakało i śpiewało z niezmiernej radości i szczęścia. Nie podnosiła na niego oczu, ale cała jej postać, rumieniec na policzkach, strach, żeby nie spotkały się ich oczy, mówiły o silnym wzruszeniu. Nie mógł się nadziwić milczeniu i powadze dziewczyny. Znał przecież jej śmiech, który dźwięczał w całym domu, kiedy odwiedzała siostry, a on schowany za drzwiami swojego pokoju udawał, że się uczy, bo ktoś mógł nagle zapukać do drzwi. Był cały skoncentrowany na jej głosie, wyróżniał go spośród innych, jak magnes wyróżnia żelazo spośród innych metali. Czasem przechodząc przez salon widział kawałek jej sylwetki, czasami na mgnienie spotykały się ich oczy i to wystarczało, żeby czuł się pijany, oszołomiony, jakby co najmniej dostał od niej ważny list. Te ukradkowe spojrzenia zostawiały ślad taki, jakiego by nie zostawiło długie i głębokie patrzenie sobie w oczy. To były błyski błyskawicy, która rozżarzała się na krótki moment i pozostawiała oślepiające światło w jego sercu, światło radości, zmaconej jednak cieniem smutku. Smutek ten trzymał się go, jak *chamsin* trzyma się początku wiosny. W ciągu czterech lat studiów myślał ciągle o tym, ile rąk może się wyciągnąć po ten dojrzały owoc, zanim on spróbuje. Mógłby to zrobić wcześniej, ale żelazna ręka ojca zaciskająca się na szyi całego domu nie pozwalała na to. Bał się, że ojciec wpadnie w gniew i zniszczy jego nadzieje. I kiedy tak patrzył na nią ponad głową brata, zadawał sobie pytanie: jakie myśli krążą po jej głowie, czy naprawdę zaprzatają ją tylko te ubrania, które właśnie zbiera? Czy jeszcze nie czuje, że przyciąga go co wieczór do tego miejsca? Jak by przyjęła odważniejsze kroki z jego strony? Gdyby tak, kiedy zapadnie ciemność, podszedł po cichu wzdłuż muru do miejsca, gdzie stała, czy czekałaby na niego, a może byłaby zaskoczona i rzuciła się do ucieczki? A co by było, gdyby jej wszystko wyznał? Ile byłoby skarg i oskarżeń, a potem pieszczot i pocałunków? Ale były to jedynie marzenia; religia i wychowanie utwierdziły go w przekonaniu, że takie sprawy pozostają tylko w sferze marzeń.

Stał milczący, poważny i napięty, tak że nawet mały Kamal wyczuł niezwykłość sytuacji, ale cierpliwość jego wyczerpała się w końcu.

– Zapamiętałem już wszystkie wyrazy. Nie słyszysz? – krzyknął.

Fahmi ocknął się na dźwięk jego głosu, wziął zeszyt i zaczął go pytać o znaczenie różnych słów. Wzrok jego padł na słowo „ukochana” i zapytał umyślnie głośno o jego sens, dodając wyrazy pomocnicze:

– Serce...?

Chłopiec przeliterował słowo, a Fahmi badał jego efekt na twarzy dziewczyny.

– Miłość...?

Kamal zmieszał się nieco:

– Nie ma tego słowa w zeszycie.

– Ale uczyłem cię go wiele razy, powinieneś już zapamiętać.

Chłopiec zmarszczył brwi i spoważniał, jakby chciał upolować uciekające słowo, ale brat nie czekał na niego i kontynuował:

– Małżeństwo...?

Wydało mu się, że dostrzegł cień uśmiechu na jej ustach, i serce zaczęło mu bić szybciej w poczuciu zwycięstwa, że w końcu udało mu się przerzucić na nią część ładunku elektrycznego, który w nim się nagromadził. Ale dlaczego efekt wywarło dopiero to słowo? Czy poprzednie nie podobało jej się? Czy też dopiero ostatnie dotarło do jej uszu? Nie wiedział.

– To bardzo trudne wyrazy – powiedział Kamal niezadowolony i zmęczony nauką.

Niewinne słowa brata otrzeźwiły go tak, że zobaczył nagle swoją sytuację, i jego radość znikła. Tymczasem Mariam podeszła do muru przylegającego do ich dachu, postawiła na nim kosz i zaczęła wyżymać bieliznę nie dalej od Fahmiego niż o dwa łokcie. Mogła wybrać inne miejsce, ale wybrała to celowo, żeby stanąć z nim twarzą w twarz. Ten jej śmiały atak przestraszył go i zmieszał i znowu serce zaczęło mu walić. Życie odkryło przed nim nowe skarby, radosne i upajające, jakich nie znał do tej pory, skarby, które dają bliskość dziewczyny. Trwało to jednak króciutko. Mariam podniosła kosz, odwróciła się i poszła w kierunku drzwi, za którymi zaraz zniknęła. Stał i patrzył na nie pochylony, nie zwracając uwagi na brata, który znowu zaczął narzekać na trudne słowa. Chciał być teraz sam, rozkoszować się nowymi doświadczeniami w miłości. Popatrzył w niebo i zdziwiony, jakby dopiero teraz zobaczył pełzający mrok, powiedział:

– No, czas wracać...

## 11

Kamal odrabiał lekcje w salonie, pozostawiając pokój przeznaczony do nauki wyłącznie Fahmiemu. Wolał być bliżej miejsca, gdzie siedziały i gawędziły matka i siostry. Był to jakby ciąg dalszy „poobiedniej kawy”, tyle że zostawały już tylko kobiety, dla których pogawędka we własnym gronie była rozrywką nie mającą równych sobie. Siedziały zwykle przytulone do siebie, jakby były jednym ciałem o trzech głowach, a Kamal sadowił się po turecku na kanapie naprzeciwko nich, kładł na kolanach otwartą książkę i to czytał, to zamykał oczy, ucząc się czegoś na pamięć, a od czasu do czasu zabawiał się spoglądaniem na nie i przysłuchiwaniem się ich rozmowie. Fahmi raczej niechętnie zgadzał się na to, żeby chłopiec odrabiał lekcje bez jego kontroli, i pozwalał mu wybierać sobie miejsce do nauki tylko dlatego, że Kamal świetnie sobie radził w szkole. Pilność była wielką zaletą Kamala i gdyby nie ciągle nieszczęśliwe przygody, otrzymałby pochwałę od samego ojca. Mimo to bywało, że nudził się w szkole, to znowu męczyła go praca i szkolny reżim do tego stopnia, że zazdrościł matce i siostrze, że nie muszą myśleć i cieszą się spokojem. Czasami nawet żałował skrycie, że nie jest kobietą, ale te myśli szybko pierzchały, bo nie było chwili, żeby mu nie przypomniano o przywilejach mężczyzny, co z kolei powodowało, że wywyższał się przed siostrami i chełpił swoją męskością. Czasami wyzywającym tonem rzucał im jakieś pytanie: „Która wie, jak się nazywa stolica Południowej Afryki?” albo „Jak jest po angielsku «młody»?” Aisza zwykle milczała przyjaźnie, a Chadidża tylko potwierdzała swoją głupotę, napadając na niego: „Te wszystkie zagadki nadają się tylko dla takiego wielkiego łba jak ty.” Matka natomiast odpowiadała prosto i przekonująco: „Gdyby mnie uczyli takich rzeczy, tak jak uczyli religii, nie byłabym gorsza od ciebie.” Bo matka przy całej swojej skromności i delikatności ogromnie szczyliła się swoją odziedziczoną po wielu pokoleniach ludową kulturą. Nie czuła potrzeby pogłębiania wiedzy, dodawania do tych wiadomości i umiejętności religijnych, historycznych i medycznych, które już posiadała, wiadomości i umiejętności nowych, podwojenia wiedzy o religii, którą otrzymała od ojca w domu rodzinnym. A ojciec jej był szajchem należącym do tych uczonych, których dzięki znajomości Koranu Bóg wywyższył ponad innych ludzi. Często niezadowolona była z tego, co mówiono synom w szkole na lekcjach religii, i wprawiała ją w konsternację zarówno sama interpretacja, jak i to, że na taką interpretację w szkole pozwalano. Wiedziała jednak, że i tak niczego nie zmieni, więc dla świętego spokoju nie ujawniała swoich poglądów, tym bardziej że nie widziała istotnej różnicy między tym, co mówią chłopcu w szkole o sprawach wiary, a tym, co ona sama wiedziała. A kiedy lekcja w szkole ograniczała się tylko do czytania sur Koranu, objaśniania ich i wykładania podstawowych zasad wiary, rozszerzała ją opowiadając mu legendy, które w jej przekonaniu nie tylko nie przeczyły prawdom wiary, ale to właśnie one stanowiły jej esencję. W ten sposób Kamal poznał wydarzenia z życia Proroka i jego Towarzyszy, wybrańców Allaha, różne amulety chroniące przed ifritami, gadami i chorobami. Chłopiec wierzył jej i wierzył w nie z jednej strony dlatego, że pochodziły od matki, z drugiej,

że było to dla niego coś nowego, co wcale nie kłóciło się z jego szkolnymi wiadomościami religijnymi. Zresztą poziom intelektualny nauczyciela, jak to czasem ukazywała prostota i naiwność jego wypowiedzi, właściwie nie różnił się od poziomu umysłowego jego matki. A poza tym Kamal przepadał za legendami i żadna sucha lekcja w szkole nie mogła dorównać lekcjom matki, które wypełniały najszcześniejsze godziny dnia i stanowiły najwspanialszą rozrywkę. Wcale nierzadko, na marginesie spraw wiary, zdarzały się między nimi spory. Raz na przykład kłócili się o to, czy ziemia kręci się wokół własnej osi, czy też wznosi się na łbie byka. Chłopiec obstawał przy tym, że się kręci, więc udała, że się z nim zgadza, po czym wyszła z pokoju, cichutko wsunęła się do pokoju Fahmiego i spytała go, jak to właściwie jest z tym bykiem, który nosi ziemię. Młodzieniec potraktował ją bardzo łagodnie i wyjaśnił, że Bóg swoją potęgą i mądrością umieścił ziemię w przestrzeni kosmicznej. Wyszła od niego szczęśliwa i przekonana, chociaż całkowicie nie wymazała z wyobraźni tego wielkiego byka.

Kamal wybierał sobie miejsce do nauki w salonie nie tylko dlatego, żeby się chwalić swoją wiedzą lub powodowany chęcią sporów „intelektualnych”. Tak naprawdę, to za nic nie chciał rozstawać się z matką i siostrami, nawet kiedy musiał pracować. Ich widok sprawiał mu radość, z jaką nic nie mogło się równać. Matkę kochał jak nikogo w świecie i ciężko znosił każdą chwilę rozstania z nią. Chadidża była dla niego drugą matką i kochał ją, mimo że miała ostry język i zmienne nastroje. Aisza to była sama dobroć, uczynna, gotowa w każdej chwili do pomocy innym. Kochała go ogromnie, a on odwzajemniał tę miłość do tego stopnia, że nie wypił łyka wody z kubka, zanim ona nie dotknęła go swoimi ustami i nie poczuł na nim jej śliny.

Siedziały tak we trzy, jak co wieczór, aż nadeszła godzina ósma i dziewczęta pożegnały się z żalem i poszły do swojego pokoju. Wtedy chłopiec szybko skończył lekcje, wziął książkę do religii i przeniósł się na kanapę koło matki.

– Dzisiaj mieliśmy objaśnienia do wspaniałej sury, która na pewno ci się spodoba – zagadnął kusząco.

– Wszystko, co mówi nasz Pan, jest wspaniałe – odparła matka z czcią i szacunkiem, sadowiac się wygodniej na kanapie.

Zainteresowanie matki ucieszyło go, żadna inna lekcja nie wywoływała w nim takiego entuzjazmu, jak ta ostatnia w ciągu dnia. Najpierw, w pierwszej połowie lekcji, naśladował nauczyciela, próbował odtworzyć jego ruchy, gesty, sposób zachowania, jego autorytet i wiedzę. W drugiej połowie bawił się legendami, które opowiadała matka. A najważniejsze, że przez cały czas miał matkę wyłącznie dla siebie.

Spojrzał do książki i nieco zuchwale przeczytał: *W imię Boga Miłosiernego, Litościwego!* „Mów: «Zostało mi objawione, że pewna grupa dzinnów przysłuchiwała się, i wtedy powiedzieli: ‘Zaprawdę, słyszeliśmy cudowny Koran, który prowadzi ku prawości; więc uwierzyliśmy w niego i nie będziemy dodawać nikogo za współtowarzysza naszemu Panu».”<sup>10</sup>

Kiedy skończył surę, zobaczył w oczach matki niepewność i zmieszanie. Ostrzegła go wszak przed wymawianiem imion ifritów i dzinnów, niektórymi go straszyla, a inne z

---

<sup>10</sup> Koran, sura LXXII, Dżinny, w. 1-2.

przesadną ostrożnością ukrywała przed nim nie wiedząc, jak się przed nimi bronić. Teraz też nie wiedziała, jak się zachować, kiedy przeczytał jedno z dwóch niebezpiecznych imion w czcigodnej surze, i co więcej, nie miała pojęcia, jak mu zabronić uczenia się jej na pamięć i co zrobić, gdyby, jak zwykle, poprosił, żeby się nauczyła na pamięć razem z nim. Chłopiec oczywiście domyślił się jej niepokoju i ze złośliwą radością zaczął powtarzać niebezpieczne imię, obserwując jej zmieszanie i czekając, kiedy wreszcie zacznie szeptać zaklęcia, ale matka milczała. Zaczął więc objaśniać jej tę surę tak, jak to słyszał w szkole.

– Czy myślisz, że niektóre dzinny słuchały Koranu i weń wierzyły? A może właśnie w naszym domu mieszkają dzinny-muzułmanie, bo gdyby tak nie było, nie zostawiłyby nas tak długo w spokoju.

– Nie wiem – powiedziała zakłopotana – ale niewykluczone, że są wśród nich inne, i lepiej, żebyśmy nie wymawiali ich imion.

– Nie ma się czego bać, można je wymawiać, tak powiedział nauczyciel w szkole.

– Nauczyciel nie wszystko wie – odparła z naganą.

– A jeśli imię takie znajduje się w świętym wersecie?

– We wszystkim, co mówi Pan nasz, jest błogosławieństwo – powiedziała, czując się pokonana.

– Nasz szajch mówi też, że ich dała są z ognia...

Aminę ogarnęła panika, powtarzała „Boże, ratuj” i raz po raz odmawiała basmalę.

– Więc zapytałem go – kontynuował – czy te z nich, które są muzulmanami, idą do rajy, a on odpowiedział, że tak, no to zapytałem, jak mogą wejść do rajy, kiedy mają ciała z ognia, wtedy on krzyknął, że Pan Bóg wszystko może.

– Wielka jest Jego potęga.

– A jakbyśmy je spotkali w rajy, nie spaliłby nas ich ogień?

– Tam nie ma bólu ani strachu – odparła kobieta z wiarą, uśmiechając się do niego.

– A czy na tamtym świecie zobaczymy Boga na własne oczy? – zapytał chłopiec nagle rozmarzony.

– Co do tego nie ma żadnej wątpliwości – odparła z tą samą wiarą.

Tęsknota błyszczała w rozmarzonych oczach chłopca jak światło w mroku. Myślał o tym, kiedy zobaczy Boga i w jakiej postaci. I nagle znowu zmienił temat:

– A czy mój ojciec boi się Boga?

– Co za dziwne pytanie – powiedziała ze zdumieniem i naganą. – Twój ojciec jest człowiekiem wierzącym, a wierzący boi się Boga.

– Nie wydaje mi się, żeby ojciec bał się czegokolwiek – powiedział cicho, potrząsając głową z powątpiewaniem.

– Niech ci Bóg wybaczy... Niech ci Bóg wybaczy...

Uśmiechnął się przepaszajaco i poprosił, żeby się nauczyli razem nowej sury. Zaczęli więc czytać i powtarzać wers po wersie, aż chłopiec zmęczony poszedł do swojego pokoju, a matka towarzyszyła mu, dopóki nie wsunął się pod kołdrę. Wtedy położyła mu rękę na czole, odmówiła „Werset Tronu”<sup>11</sup>, pocałowała w policzek, a on objął ją mocno za szyję i długo i

---

<sup>11</sup> Koran, sura II, Krowa, w. 255.

gorąco całował. Zawsze miała trudności z uwolnieniem się od niego wieczorem, bo chwycił się każdego sposobu, żeby ją jak najdłużej przy sobie zatrzymać. Jeśli nie udało mu się zasnąć w jej ramionach i nie potrafił wymyślić nic lepszego, prosił, żeby po odmówieniu „Wersetu Tronu” recytowała mu sury, wreszcie z przepraszającym uśmiechem mówił, że boi się zostać sam w pokoju, opowiadał okropne sny spowodowane zresztą niczym innym jak ciągłym czytaniem świętych sur. Czasami udawał chorego i wcale nie uważał, że szantażuje matkę, przeciwnie, takie postępowanie miało mu przywrócić dawne, święte prawa, które mu zostały odebrane w najokropniejszy sposób w dzień, w którym został oddzielony od matki i przeniesiony do osobnego łóżka w pokoju braci. Z jakim żalem i tęsknotą wspominał czas, nie tak odległy, kiedy mieli jedno łóżko i zasypiał z głową na ramieniu matki, gdy ona kojącym głosem szeptała mu do ucha opowieści o prorokach i wybrańcach Allaha. Zasypiał przed powrotem ojca z nocnych zabaw, a budził się rano, kiedy ojciec był już w łazience, i nigdy go nie widział z matką. Matkę miał więc wyłącznie dla siebie. Nie wiedział, dlaczego ślepy los go z nią rozłączył. A kiedy wpatrywał się w matkę, szukając na jej twarzy bólu rozłąki, jakże się dziwił, że zamiast tego dodawała mu odwagi, co świadczyło o akceptacji tego faktu. A potem wręcz mu pogratulowała, mówiąc: „Stałeś się już mężczyzną i masz prawo do własnego łóżka.” Kto powiedział, że cieszy go to, że jest już mężczyzną? Albo że pragnie być sam we własnym łóżku? I mimo że moczył własną poduszkę łzami i mimo że groził matce, że jej nie przebaczy do końca życia, to nie miał odwagi wśliznąć się do swojej starej pościeli, bo wiedział, że za tą niesprawiedliwą, zdradziecką decyzją stoi wola ojca, od której nie ma odwołania. Nawet w snach gromadził się smutek i gniew na matkę, nie tylko dlatego, że na ojca gniewać się nie mógł, ale że ona w ogóle nie przejęła się tym całym wydarzeniem. Wiedziała jednak, jak go uspokoić i pocieszyć. Nie rozstawała się z nim, dopóki nie zasnął, szepcząc: „No, przecież się nie rozstajemy, jesteśmy cały czas razem. I zawsze będziemy razem, tylko sen nas rozłączy, ale on nas rozłączy, nawet gdybyśmy spali w jednym łóżku.”

Teraz już pogodził się z nowym życiem, ale i tak nie pozwolił jej odejść, dopóki nie wyczerpał wszystkich chwytów, żeby została jak najdłużej. Trzymał jej rękę z ogromną zachłannością, jak dziecko zabawkę, kiedy inne dzieci chcą mu ją wyrwać, a ona recytowała wersety nad jego głową, dopóki nie zmorzył go sen. Wtedy wyszła z uśmiechem, udając się do drugiego pokoju. Otworzyła lekko drzwi i spojrzała w kierunku łóżka.

– Spicie? – zapytała.

– Jak można spać, kiedy chrapanie Aiszy słychać w całym domu?

– Jeszcze nikt nigdy nie słyszał mojego chrapania. To ona nie daje mi spać przez to ciągłe paplanie.

– Przecież prosiłam, żebyście nie gadały, kiedy trzeba spać – powiedziała z naganą.

Zamknęła drzwi i poszła do pokoju „naukowego”. Zapukała lekko i wsunęła głowę.

– Czy mój mały pan nie potrzebuje czegoś? – spytała z uśmiechem.

Fahmi podniósł głowę znad książki i podziękował jej. Zamknęła drzwi i odeszła, modląc się o szczęście i długie życie dla młodzieńca. Wyszła przez salon do korytarza zewnętrznego, a potem na wyższe piętro, gdzie znajdował się pokój As-Sajjida... Idąc, głośno odmawiała wersety Koranu.



Jasin naturalnie doskonale wiedział, dokąd zmierza, każdego wieczoru udawał się przecież w to samo miejsce, ale na ulicy zachowywał się tak, jakby sobie chodził bez celu. Tak bowiem powinien zachowywać się elegancki młodzieniec, iść wolno, niedbale, z poczuciem wyższości, dumy i zachwyty nad samym sobą. Ani na chwilę nie zapominał, że jest właścicielem ogromnego ciała, twarzy pełnej życia i dumy, że ma na sobie elegancki strój dobrany z troską, w ręku paczkę do odganiania much wykonaną z kości słoniowej, z którą jego ręka nie rozstawała się ani zimą, ani latem, a na głowie wysoki tarbusz włożony głęboko na bakier, tak że dotykał prawej brwi. Miał też Jasin zwyczaj nie podnosząc głowy rzucać spojrzenia w okna, a nuż coś tam zobaczy, tak że w końcu od tego przewracania oczami dostawał zawrotu głowy. Pożerał wzrokiem napotkane po drodze kobiety i nie było na to lekarstwa. Wpatrywał się w nie, kiedy nadchodziły, i śledził ruch ich pośladków, kiedy przechodziły obok. Niespokojny, jak rozbudzony byk, często zapominał się i postępował nieostrożnie, nie kryjąc swych zamiarów. Wypominali mu to później fryzjer Amm Hasanajn, Hadżdż Darwisz, sprzedawca fulu, mleczarz Al-Fuli, Bajjumi, sprzedawca napojów, Abu Sari, właściciel smażalni, a inni. Niektórzy żartowali z niego, inni krytykowaliby go, gdyby nie to, że sąsiedztwo i pozycja Ahmada Abd al-Dżawwada wyjednywały mu tolerancję i wyrozumiałość. Ogromna energia i siły witalne rozpierały go, nie pozwalając odetchnąć. Buchały z niego, ciągle czuł języki ich ognia, które parzyły jego zmysły, jakby siedział w nim ifrit i robił z nim, co chciał. Ale ten ifrit nie przeszkadzał mu i Jasin wcale nie pragnął uwolnić się od niego, co więcej, ani trochę by się nie przejął, gdyby go jeszcze bardziej palił. Ifrit ten natomiast chował się i zmieniał w słodkiego aniołka, kiedy młodzieniec zbliżał się do sklepu ojca. Tutaj Jasin prostował się, spuszczał wzrok, stawał się grzeczny, dobrze wychowany, skromny, jakby nieco zawstydzony, przyspieszał kroku, nie oglądając się za siebie. Kiedy mijał sklep, zaglądał do wnętrza z reguły zapełnionego tłumem, ale mimo to zawsze spotykał wzrok ojca siedzącego za biurkiem. Pochylał się wtedy z szacunkiem i podnosił grzecznie rękę do góry, a mężczyzna oddawał mu ukłon z uśmiechem. Zadowolony szedł dalej, rozkoszując się tym uśmiechem jak rzadką przyjemnością. Znał dobrze gniew ojca i drżał przed nim ciągle, mimo że zauważył zmianę w jego stosunku do siebie, od kiedy wstąpił do korpusu urzędników państwowych. Dawny strach wypełniający serce ucznia nie opuszczał także urzędnika; mimo pokaźnego wzrostu i tuszy czuł się w obecności ojca mały i słaby, a pod jego spojrzeniem drżał jak ptak pod gradem kamieni. Zaledwie jednak znalazł się poza zasięgiem wzroku As-Sajjida, wracała mu pewność siebie, a kiedy oddalił się już na bezpieczną odległość od sklepu, zaczynał znowu strzelać na boki oczami, nie robiąc różnicy między damami a handlarkami owoców *dum* czy pomarańczami, bo ifrit, który w nim siedział, pałał namiętnością do wszystkich kobiet, godząc poziomem wysoko i nisko urodzonych. Przecież handlarki orzeszkami czy pomarańczami, nawet jeżeli są tak brudne, że

kolorem przypominają ziemię, posiadają wiele pięknych cech, na przykład pełne piersi, umalowane kuhlem oczy, a czego można więcej chcieć?

Skręcił w kierunku As-Sagha, a potem poszedł do Al-Ghurijji i wszedł do kawiarni Si Alego u wejścia do As-Sanadikijji. Przypominała ona sklep, była nieduża, drzwi otwierały się na As-Sanadikijję, a zakratowane okienko wychodziło na Al-Ghurijję. Pod ścianami stały kanapy. Usiadł na tej stojącej pod oknem, tak jak to robił od tygodni, i zamówił herbatę. Siadał tutaj, bo z tego miejsca bez trudu i bez wzbudzania podejrzeń mógł kierować wzrok ku oknu, a przez nie, kiedy tylko chciał, do małego okienka w domu po przeciwnej stronie ulicy. Było to chyba jedyne okno, w którym nie dbano o szczelne zamykanie okiennic. Nic dziwnego, należało bowiem do śpiewaczki Zubajdy. Ale to nie Zubajda była przedmiotem jego pożądania. Wiedział zresztą, że żeby ją mieć, musi powoli i cierpliwie przejść różne etapy rozpusty, toteż zaczął wypatrywać pojawienia się lutnistki Zannuby, wychowawcy śpiewaczki i gwiazdy jej zespołu. Od kiedy został urzędnikiem państwowym, rozpoczął okres pełen przygód, który przyszedł po długiej, przymusowej ascezie w cieniu strasznego ojca. Wyrwał się z niej i spadł jak wodospad w przepastne głębie Al-Azbakijji, mimo przeszkód ze strony żołnierzy, których koło historii rzuciło do Kairu. Potem Jasin musiał opuścić miejsce rozrywek, ponieważ zapanowali tu Australijczycy i trzeba było uciekać przed ich rozwydrzeniem. Nie wiedział, co ze sobą robić. Jak szalony zaczął włóczyć się po zaułkach swojej dzielnicy, szukając zaspokojenia żądz najczęściej u handlarek pomarańczami lub u wróżących z gwiazd Cyganek. Aż pewnego dnia ujrzał Zannubę i zauroczony poszedł za nią aż do jej mieszkania. Zaczepiał ją potem wiele razy, ale nic nie wskórał. Każda kobieta była dla niego przedmiotem pożądania, ale Zannuba była w dodatku piękna i sam jej widok odbierał mu rozum. Nie była to miłość, ale ślepa czy też świadoma żądza, jakiej jeszcze nigdy dotąd nie odczuwał.

Z niepokojem i strachem wpatrywał się poprzez kraty w puste okno. Pił gorącą herbatę nie zauważając, że jest gorąca, dopóki nie poparzył sobie palców. Odstawił szklankę na żółtą tacę i dmuchając na palce, ukradkiem spoglądał na gości kawiarni. Ich podniesione głosy drażniły go, jakby to one były winne temu, że poparzył sobie palce albo że Zannuba nie pokazuje się w oknie. „Ciekawe, gdzie się podziewa ta przeklęta? Może się celowo ukrywa? Na pewno wie, że ja tu jestem. Musiała widzieć, jak wchodziłem. A jeżeli jest to z jej strony kokieteria, jeżeli chciała mnie doprowadzić do ostateczności, to jej się udało.” Znowu spojrzął ukradkiem na gości kawiarnianych sprawdzając, czy ktoś go obserwuje. Wszyscy pogrążeni byli jednak w rozmowie, więc z ulgą wrócił do swoich obserwacji. Ciągle jednak przychodziły mu do głowy niewesołe wydarzenia minionego dnia w szkole. Otóż dyrektor miał wątpliwości co do uczciwości dostawcy mięsa i podjął śledztwo, w którym uczestniczył też Jasin jako sekretarz szkoły. Przy okazji wyszły na jaw jakieś niedociągnięcia w jego pracy i dyrektor zganił go przy wszystkich. Najgorsze z tego wszystkiego, że dyrektor jest starym znajomym ojca i na pewno mu wszystko opowie, a tego Jasin bał się najbardziej. „Ale co tam ta przeklęta szkoła i dyrektor, po co o tym myśleć. Najważniejsze, czy spotkam tę przewrotną, córkę przewrotnej, która skąpi mi nawet spojrzenia.” I oto napłynęły obrazy, które nieraz gościły w jego wyobraźni, marzenia, które często tworzyły teatr jego złudzeń. Widział w nich kobietę

powstała z jego gwałtownego uczucia, odartą z okrycia, naga, jak ją Pan Bóg stworzył, i swoje nagie ciało, a ich igraszki nie znały granic.

Całkowicie pochłonięty tymi obrazami ocknął się nagle na głos woźnicy pokrzykującego na osła: Stój! Prr! Spojrzał w jego kierunku i zobaczył, że wóz karo zatrzymał się przed domem śpiewaczki. Może przyjechał zabrać zespół na jakieś przyjęcie? Zawołał kelnera i zapłacił, żeby być gotowym do wyjścia w każdej chwili. Po jakimś czasie otworzyły się drzwi i z domu wyszła jedna z kobiet, należąca do zespołu, prowadząc niewidomego mężczyznę ubranego w gallabiję i płaszcz, w czarnych okularach, niosącego pod pachą cytrę. Weszła na wóz, wzięła cytrę i wyciągnęła rękę do ślepcy, a woźnica pomógł mu wejść. Usiedli obok siebie na przodzie wozu. Za nią wyszła druga kobieta niosąc tamburyn, potem trzecia z workiem pod pachą, obydwie owinięte w milaje, z odkrytymi twarzami, mające zamiast zasłon maski z jaskrawego makijażu, które upodabniały je do jarmarcznych cukrowych lalek. A tam, co to... Z zaciekawieniem i bijącym sercem patrzył na lutnię w czerwonym pokrowcu, która pokazała się w drzwiach. Za nią pojawiła się wreszcie Zannuba. Koniec milai odkrywał na czubku głowy karmazynową chustkę ozdobioną frędzlami. Pod nimi błyszczały czarne, roześmiane oczy, których spojrzenie zdradzało diabolicę. Podeszła do wozu i podała jednej z kobiet lutnię, a sama postawiła nogę na najwyższym kole. Jasin wyciągnął szyję i łykał ślinę. Spozrzegł pończochę zapiętą nad kolanem i białą, apetyczną skórę między frędzlami pomarańczowej sukni. Och, żeby ta kanapa obniżyła się chociaż o metr... O, Boże... Twarz ma śniadą, ale ciało białe, no, prawie białe... Jakie może mieć biodra? A jaki brzuch! Brzuch! Och... Zannuba złapała mocno za platformę wozu i podciągnęła się, aż uklękła na krawędzi, i na czworakach zaczęła pełznąć do przodu. O, Boże miłosierny, szkoda, że nie stoję w drzwiach domu albo chociaż w sklepie Muhammada at-Tarabisziego. Patrzcie, jak ten tkwiący w swojej twierdzy sukinsyn wytrzeszczył gały. Od dziś może siebie nazywać Muhammadem Zdobywcą. O miłosierny Boże, o Zbawco. Wreszcie wyprostowała się i stanęła na wozie, zdjęła milaje, złapała jej dwa końce i zaczęła nimi potrząsać jak ptak skrzydłami, po czym mocno się nią owinęła. Uwydatniły się charakterystyczne detale jej ciała, a zwłaszcza okrągły, opięty błyszczącą tkaniną tyłek. Usiadła w tyle wozu na miękkiej poduszce, a jej pośladki pod naporem ciała przybrały kształt kul. Jasin wyszedł z kawiarni w chwili, kiedy wóz ruszał, i poszedł wolno za nim, dysząc i zgrzytając zębami z ogromnego podniecenia. Wóz jechał wolno kołysząc się na boki, a kobiety kołysały się razem z nim na prawo i na lewo. Młodzieniec wpatrywał się w poduszkę, na której siedziała lutnistka, szedł za nią i wyobrażał sobie, że ona tańczy. Na wąskiej ulicy zapadał zmrok, dużo sklepów zamykano, a większość przechodniów stanowili zmęczeni ludzie powracający z pracy do domu. W zapadającym zmroku i zmęczonym tłumie Jasin mógł łatwo obserwować i marzyć bezpiecznie i w spokoju. „O, Boże, żeby ta ulica nigdy nie miała końca, żeby nigdy nie skończył się ten taniec. Co za królewski tyłek, imponujący, dumny i rozkoszny. Taki biedak jak ja musi samym wzrokiem smakować jego świeżość i jędrność. I ten zadziwiający przedział, który go dzieli na dwie połowy, a milaja mówi: to, co zakrywam, jest jeszcze wspanialsze. Rozumiem teraz, dlaczego niektórzy ludzie, jeszcze zanim poślubią swoją narzeczoną, biją jej pokłony... czyż to nie jest kopuła? A pod kopułą szajch... A ja szaleję na punkcie tego szajcha. Och... Zarażał” Zakaszał, kiedy wóz zbliżał się do Bramy al-

Mutawallego. Zannuba odwróciła się i zauważyła go. Wydawało mu się, że zobaczył na jej ustach zachęcający uśmiech, i serce zabiło mu mocniej, a szalona, gorąca radość ogarnęła go od stóp do głów. Wóz minął Bramę al-Mutawallego i skręcił w lewo. Tu młodzieniec musiał zatrzymać się, bo zobaczył dekoracje, ozdoby, lampiony i witający, krzykliwy tłum. Cofnął się trochę, nie odrywając wzroku od lutnistki. Patrzył pożądliwie, jak schodziła na ziemię i rzuciwszy mu żartobliwe spojrzenie skierowała się do domu panny młodej, po czym znikła za drzwiami wśród krzyków i *zagharid*. Rozgorączkowany wzdychał głęboko i złościł się, nie wiedząc, dokąd iść. „Niech będą przekłeci ci Australijczycy! Gdzie jesteś, Al-Azbakijjo? Żebym mógł ugasić płomień gorączki, która mnie zżera, rozproszyć smutek i uzbroić się w cierpliwość! Muszę się jakoś pocieszyć. Do Kustakiego.” Aż się spocił na myśl o alkoholu, kiedy wspomniał tego Greka winiarza. Kobieta i alkohol były mu niezbędne do życia i uzupełniały się wzajemnie. Po raz pierwszy upił się właśnie podczas spotkania z kobietą. Potem kobiety w połączeniu z pijaństwem stały się zasadą, alkohol potęgował jego rozkosz. Bywały jednak noce puste, bez kobiet, kiedy nie pomyślał nawet o alkoholu, bywały też takie, które spędzał na pijaństwie, jakby to alkohol był jego prawdziwą namiętnością.

Wracał tą samą drogą, którą przyszedł. Doszedł do sklepu Kustakiego u wylotu ulicy As-Sikka al-Dżadida. Była to właściwie duża winiarnia ze sklepem od frontu, z którego do właściwej winiarni prowadziły małe drzwi. Stał przy wejściu w tłumie klientów, rozglądając się, czy nie zobaczy gdzieś ojca, po czym skierował się w stronę tych małych wewnętrznych drzwi. Już miał wejść, kiedy zobaczył mężczyznę stojącego koło wagi i samego Greka Kustakiego ważącego mu duży pakunek. Wpatrywał się w głowę mężczyzny, nie wiedząc dlaczego, i nagle twarz mu spochmurniała, a po ciele przeszedł dreszcz strachu i odrazy. W jego wyglądzie nie było niczego, co by wywoływało tak wrogie uczucia. Miał około sześćdziesięciu lat, ubrany w obszerny dżilbab, na głowie nosił imamę. Wąsy mu posiwały, a w wysokiej sylwetce była jakaś miękkość i godność. Jasin pospiesznie poszedł dalej, żeby nie zostać zauważonym. Mocno pchnął drzwi winiarni i wszedł, a podłoga wirowała mu pod stopami.

## 13

Rzucił się na pierwsze wolne krzesło przy drzwiach, blady i osłabiony. Zawołał kelnera i niecierpliwym tonem zamówił karafkę koniaku. Winiarnia przypominała pokój mieszkalny. Z sufitu zwisała wielka lampa, po bokach stały drewniane stoły i krzesła bambusowe, na których siedzieli przeróżni ludzie: wieśniacy, robotnicy i efendi. Pośrodku, pod samą lampą stały doniczki i wazony z goździkami.

Dziwne, że nie zapomniał tego człowieka, poznał go od razu. Kiedy go widział po raz ostatni? Dokładnie nie może określić, ale na pewno minęło już ze dwanaście lat. Stał ten wstrząs. Niewątpliwie mężczyzna zmienił się, stał się poważnym, pełnym godności szajchem! Dlaczego Bóg zesłał ten ślepy przypadek, dlaczego znów musiał go spotkać? Otrząsnął się ze wstrętem i wściekłością, gorzka ślina napłynęła mu do ust. Co za potworne poniżenie!

Powoli, z trudem budził się z otumanienia. Przeklęty przypadek przywrócił mu mroczne wspomnienia i w jednej chwili uczynił z niego człowieka poniżonego i zagubionego. Wpatrywał się w nienawistną przeszłość z ogromnym wzburzeniem, od którego mąciło mu się w głowie. Zastłona ciemności spadała z tamtych okropnych ludzi, którzy tak długo byli dla niego uosobieniem nienawiści i tortur. Wyróżnił we wspomnieniach sklep z owocami u wylotu zaułka Kasr asz-Szauk i w zamazanym obrazie zobaczył siebie jako chłopca biegnącego do tego sklepu, gdzie stał właśnie ów człowiek. Dał mu wtedy ciężki karton pomarańczy i jabłek. Zadowolony przytargał go do domu, do kobiety, która go posłała i czekała na niego, a nie była nikim innym tylko jego matką. Niestety. Gniew i złość odbiły się na jego twarzy. Potem wyobraźnia podsunęła mu znowu obraz tego człowieka. Ze strachem zastanawiał się, czy też by go poznał, gdyby spotkały się ich oczy. Czy przypomniałby sobie małego chłopca, którego dawno temu znał, jako syna tamtej kobiety? Na samą myśl o tym poczuł taką niemoc, że jego wielkie, dorodne ciało rozciągnęło się prawie na krześle, słabe i niezdolne do jakiegokolwiek ruchu. Tymczasem przyniesiono karafkę i kieliszek. Wypił chciwie, nerwowo, z pośpiechem, jak ktoś, kto pije po to, żeby się upić i zapomnieć. Naraz, gdzieś z głębi przeszłości, wyłoniła się przed jego oczami twarz matki i nie mógł się powstrzymać, żeby nie splunąć. Przeklęty niech będzie los, który sprawił, że była jego matką, niech będzie przeklęta jej uroda, która przyciągała adoratorów, a dla niego była katastrofą. Nie był w stanie zmienić losu, który zniszczył jego osobistą godność i dumę, mógł się tylko poddać i podporządkować. Czy to sprawiedliwe, żeby na niego spadał wyrok losu, jakby to on był grzesznikiem? Czy sobie na to zasłużył? Wiele było przecież dzieci, które tak jak on witały świat w ramionach rozwiedzionych matek. Co więcej, w przeciwieństwie do wielu znalazł u matki czułość i czystą, bezgraniczną miłość, pieśczęty, których nie hamowała kontrola ojca. Tak, wczesne dzieciństwo miał szczęśliwe. Ciągle zachowuje w pamięci stary dom przy Kasr asz-Szauk, jego dach górujący nad innymi niezliczonymi dachami, z którego widać dokoła minarety i kopuły, maszrabiję wychodzącą na Al-Dżamalijję, gdzie go noc ciągnęły orszaki weselne. Rozjarzone świecami, w których światło widać było

przypatrujących się młodych chłopców, wesela kończyły się zwykle bójkami na kije i lała się krew. W tym domu kochał nieskończenie swoją matkę i w tym domu zasiane zostało w jego sercu ziarno dziwnej obcości, a nawet wrogości do niej. Wrogość ta rozwijała się, ogromniała, aż z czasem przekształciła się w nieuleczalną nienawiść. Silna wola może nam dać szansę decydowania o naszej przyszłości, ale nigdy, żebyśmy nie wiadomo jak silną wolę posiadali, nie zmienimy naszej przeszłości. Możemy mieć tylko jedną przeszłość, od której nie ma ucieczki. Kiedy to się zaczęło? Kiedy pojawił się obok matki jeszcze druga osoba? Nie może tego stwierdzić na pewno, pamięta tylko, że w pewnym okresie dzieciństwa jego zmysły zarejestrowały inną osobę, która od czasu do czasu wpadała nieoczekiwanie do domu. Chyba patrzył na nią ze zdziwieniem i strachem, bo robiła, co mogła, żeby się z nim zaprzyjaźnić i sprawić mu przyjemność. Wpatrywał się w przeszłość z nienawiścią i odrazą, ale nie mógł się od niej oderwać. Była jak wrzód, którego czasami nie zauważał, ale czasami nie mógł się powstrzymać, żeby go nie wyciskać. Bo miesciły się w niej sprawy, o których nie sposób zapomnieć. Pewnego razu, kiedy światło dnia walczyło już z ciemnością, pod oknem czy też drzwiami wykładanymi trójkątami z czerwonego i niebieskiego szczał, łkał i szlochał, mimo że zdenerwowana kobieta uspokajała go zapomnieć, natknął się na tę nieszczęsną postać, która, jak mu się wydawało, szarpała i pożerała jego matkę. Zaczął krzyczeć, długo wrzeszczał, łkał i szlochał, mimo że zdenerwowana kobieta uspokajała go i pieściła.

Wodził ponuro oczami dokoła sali, nalał następny kieliszek, a kiedy go odstawił, zobaczył płamę na marynarce. Pomyślał, że to kropla alkoholu, i wyjął chusteczkę, żeby ją wytrzeć. Potem przyszło mu do głowy, żeby obejrzeć kieliszek od spodu, i zauważył na nim krople wody. Pewnie więc na marynarce była woda. Uspokoił się, ale był to spokój pozorny. Jego myśli znów zaczęły wędrować w przeszłość. Nie pamięta, kiedy to było ani ile dokładnie miał wtedy lat, pamięta jednak, że ten napastnik nie przestał bywać w ich starym domu, że przymilał się do niego i dawał mu różne smaczne owoce. Potem zobaczył go w sklepie z owocami na początku uliczki, kiedy szedł z matką coś załatwić. Z naiwnością dziecka zwrócił jej na niego uwagę, ale ona odciągnęła go z gniewem i zabroniła nie tylko witać się z nim, ale kazała udawać, że go nie widzi. Ostrzegła go też, żeby nie wspominał o nim przy starym wujku, który w tym czasie odwiedzał ich od czasu do czasu. Był posłuszny jej zakazom, ale to wzmagało tylko jego rozterkę, a postać ta stała się dla niego jeszcze bardziej ciemna i zagadkowa. Na tym się nie skończyło. Kiedy mężczyzna nie pojawiał się w domu przez dłuższy czas, posłała go do niego, żeby go zaprosił na „dziś wieczór”. Przyjął go serdecznie, napełnił mu torbę jabłkami i bananami i kazał przekazać zgodę czy przeproszenie, czy coś takiego. A potem było już tak, że gdy zachciało mu się smacznych owoców, prosił matkę, żeby mu pozwoliła do niego pójść i zaprosić na „dziś wieczór”.

Wspominał to i było mu wstyd. Nalał następny kieliszek, a ciepło wolno rozeszło się po całym ciele i zaczęło grać swoją czarodziejską rolę pomocną w dźwiganiu kłopotów. „Tysiąc razy sobie powtarzałem, że przeszłość trzeba pogrzebać. Nie ma z niej żadnej korzyści... Nie mam matki, żona ojca jest dla mnie dobra i czuła i wszystko jest dobre z wyjątkiem wspomnień. Muszę je uśmiercić! Ciekawe, dlaczego ciągle je śledzę, dlaczego coraz to wyciągam je z grobu. Chyba na złość samemu sobie. To tylko pech, zły los rzucił na moją

drogę tego człowieka, ale przecież on musi kiedyś umrzeć. Chciałbym, żeby oni wszyscy pومیerali, żeby nie został ani jeden z nich.” Kontynuował wędrówkę po ciemnościach przeszłości, ale już mniej wzburzony. Ta historia nie miała długiego dalszego ciągu i to, co zostało, było już względnie jasne w porównaniu z mrokami wcześniejszych lat. Niewiele przed jego przenosinami do ojca matka znalazła odwagę, żeby mu zakomunikować, że ten „owocarz” przychodzi do niej, bo chce się z nią ożenić. Ona waha się, czy przyjąć jego oświadczenia, ale najpewniej odmówi z szacunku dla niego, Jasina! Ciekawe, czy prawdą jest to, co mu mówiła? Jak tu można dowierzać szczegółom wspomnień. Bez wątpienia starał się bardzo wszystko pojąć i zrozumieć, męczyły go wątpliwości, które bez udziału rozumu odzywały się w sercu, trawił niepokój, który wygnał z jego głowy gołębicę pokoju. Ziarno agresji znajdowało w nim coraz podatniejszą glebę.

W dziewiątym roku życia przeniósł się do ojca, którego widział tylko kilka razy. Nie chciał spotykać matki. Przybył tam w stanie „surowym”, nie rozpoczął jeszcze nauki, nie poznał nawet jednej litery alfabetu. I zaczął płacić za rozpieszczanie go przez matkę. Uczył się niechętnie, gdyby nie surowość ojca i dobra atmosfera w nowym domu, nie skończyłby szkoły podstawowej w wieku ponad dziewiętnastu lat. Z upływem czasu, kiedy zaczął pojmwować pewne życiowe sprawy, rozpatrywał z różnych stron dawne życie w domu matki i poprzez nowe doświadczenia odkrył całą jego gorzką, wstrętną prawdę. Przeszłość wydawała mu się zatrutym ostrzem tkwiącym w jego sercu i w jego godności. Z początku ojciec wypytywał go o życie w domu matki, on jednak bał się rozgrzebywać smutne wspomnienia i jego zraniona duma zwyciężyła nad chęcią zaciekawienia ojca i zamiłowaniem do paplania, które tak pociąga chłopców w jego wieku. Narzucił sobie milczenie, dopóki nie nadeszła dziwna wiadomość o małżeństwie matki z handlarzem węgla z Al-Mida. Długo płakał, a ciężar gniewu leżący mu na sercu stał się nie do wytrzymania i zaczął opowiadać ojcu o „owocarzu”, o którym kiedyś powiedziała, że odmówi mu ręki z szacunku dla syna. Od tego czasu kontakt z matką urwał się zupełnie. Miał wtedy jedenaście lat. I nic już o niej nie wiedział poza tym, co mu od czasu do czasu oznajmiał ojciec, jak rozwód z węglarzem po dwóch latach małżeństwa, potem, po roku, ślub z kapralem i znowu rozwód, a potem jeszcze jeden rozwód po około dwóch latach itd., itd. W czasie długiego okresu rozłąki kobieta często próbowała zobaczyć syna, posyłała prośby do ojca, żeby pozwolił mu do niej przyjść, ale Jasiu odrzucał zaproszenia, mimo że sam ojciec doradzał mu tolerancję, a nawet przebaczenie. Całym zranionym sercem gniewał się na nią i zamknął przed nią drzwi przebaczenia. Nie chciał być dla niej niesprawiedliwy, chciał ją poniżyć, tak jak poniżało ją jej postępowanie. „Kobieta – myślał. – Tak, ona jest tylko kobietą. A każda kobieta ta brudne przekleństwo. Kobieta nie wie, co to jest wstrzemięźliwość, wybiera tylko między jednym rodzajem rozpusty a drugim. Jeden Bóg wie, czym byłaby ta dobra żona ojca, gdyby nie jej mąż.”

Silny głos jakiegoś mężczyzny przerwał tok jego myśli.

– Wino daje wyłącznie korzyści. Ściąć głowę temu, kto mówi inaczej. Haszysz, opium, inne narkotyki przynoszą wiele szkód. W winie jest tylko korzyść.

– A jaka korzyść? – spytał ktoś.

– Jaka korzyść? – mężczyzna był niezadowolony. – Dziwne pytanie. Wyłącznie korzyść, jak powiedziałem. Sam dobrze o tym wiesz.

– Ale haszysz i opium są także pozytywne, musisz o tym wiedzieć. Wszyscy tak mówią, chcesz się sprzeciwiać ogółowi?

Mężczyzna powątpiewał trochę, a w końcu podsumował:

– A więc wszystko jest pozytywne, wszystko, wino i haszysz, i opium, i inne narkotyki, i co tam jeszcze wymyślą.

– Ale wino jest zabronione! – triumfował rozmówca.

– A co to? Nie ma na to rady? A jałmużna, pielgrzymka, a nakarmienie głodnych... Wrota grzechu są szerokie, ale jeżeli zrobisz dobry uczynek, Bóg ci wynagrodzi dziesięciokrotnie.

Jasin uśmiechnął się z ulgą. Tak, wreszcie był w stanie uśmiechnąć się z ulgą. „A niech idzie do diabła i zabierze ze sobą swoją przeszłość, nie jestem za nią odpowiedzialny. Każdy człowiek ma jakieś brudy w życiu i jak się podniesie zasłonę, widzi się dziwne rzeczy. Jedno mnie interesuje: jej majątek. Sklep Al-Hamzawiego, czwarta część Al-Ghurijsi i stary dom w Kasr asz-Szauk. Gdybym to odziedziczył kiedyś w całości, to przyrzekam przed Bogiem, przebaczyłbym jej bez żalu. Och, Zannuba... Prawie o tobie zapomniałem, tylko szatan mógł mnie zmusić do zapomnienia o tobie. Przez kobietę cierpiałem i u kobiety szukam pocieszenia. Och, Zannuba, do dziś nie wiedziałem, że masz takie białe, piękne ciało. Och, muszę wyrzucić z głowy wszystkie inne myśli, bo matka to jak bolący ząb, nie przestanie boleć, dopóki się go nie wyrwie...”



Ahmad Abd al-Dżawwad siedział za biurkiem w sklepie, koniuszkami palców skubiąc eleganckiego wąsa jak zawsze, kiedy unosił go prąd myśli. Patrzył przed siebie, z twarzą odprężoną i zadowoloną. Bez wątpienia był zadowolony z tego, że ludzie otaczają go miłością i sympatią. Nawet gdyby codziennie okazywano mu dowody miłości, codziennie cieszyłby się z nich, nie znudzony. Dziś właśnie dostarczono mu nowego dowodu. Ponieważ wczoraj nie mógł być obecny na przyjęciu, na które zaprosił go jeden z przyjaciół, rano, zaledwie zdążył wejść do sklepu, przyszedli towarzysze zabaw z wymówkami i wyrzutami, że popsuł im zabawę, bo, jak twierdzili, tylko z nim przywykli śmiać się z całego serca, a bez niego nawet w picu nie znajdowali przyjemności. Nie było duszy w tym towarzystwie – powiedzieli. Rozpamiętywał ich słowa z ogromną przyjemnością. Nie opuszczały go jednak lekkie wyrzuty sumienia, bo z natury zawsze pragnął radości przyjaciół i zawsze był skory do obdarowywania ich hojnie swoją miłością i przyjaźnią. Oni znali jego szczodłą miłość i odwzajemniali ją. Tak, od kiedy pamięta, miłość, jaką odczuwał do ludzi i jaka przyciągała ludzi do niego, była dla jego serca obfitym źródłem radości i niewinnej dumy. Inny dowód miłości, może prawdziwszy, bo miłości innego rodzaju, otrzymał dzisiaj przed południem, kiedy odwiedziła go swatka Umm Ali i zapytała, po długich wstępnych zabiegach i krążeniu wokół tematu, czy wie, że pani Nufusa, wdowa po Al-Hadźdżu Ali ad-Dasuki, posiada siedem sklepów w Al-Mugharbalin. As-Sajjid uśmiechnął się odgadnąwszy bez trudu, do czego zmierza, a serce podpowiedziało mu, że tym razem jest ona nie tylko swatką, ale sekretnym wysłannikiem, bo czyż nie wydawało mu się, że pani Nufusa, ilekroć kupowała u niego potrzebne rzeczy, prawie ogłaszała publicznie swoją miłość do niego? I Ale dla zabawy postanowił poprzekomarzać się trochę z kobietą, powiedział więc z pozornym zainteresowaniem:

– Musisz jej znaleźć odpowiedniego męża, i to jak najlepszego.

Umm Ali myślała już, że osiągnęła swój cel, bo odparła:

– Właśnie ciebie wybrałam spośród wszystkich mężczyzn. Co ty na to?

As-Sajjid roześmiał się głośno i wesoło.

– Żeniłem się już dwa razy – powiedział stanowczo – z pierwszą nie udało się, ale Bóg pobłogosławił mnie dobrą drugą żoną. Nigdy nie okażę się niewdzięczny Bogu za Jego dobroć.

Rzeczywiście, wiele już razy przewycięzał pokusę małżeństwa, bo wiele miał okazji. Całą siłą woli bronił się przed kolejnym ożenkiem pamiętając o ojcu, który żenił się bez zastanowienia raz po raz trwoniąc majątek i przysparzając sobie kłopotów. W ten sposób jemu, jedynemu potomkowi, zostawił w spadku tylko jakieś grosze bez znaczenia. Dochody ze sklepu i prostota życia zapewniły jednak rodzinie dostatnie życie i nawet pozwalały na wydatki związane z nocnymi rozrywkami. Jakże więc miał zniszczyć ten wspaniały układ gwarantujący mu wolność i prestiż? To prawda, że nie zgromadził majątku, ale nie z powodu

niedostatecznych środków, lecz z powodu szczodrości, która leżała w jego naturze i która czyniła wydatki na rozkosze jedynym sensem jego życia. Głęboka wiara w Boga i Jego wspaniałomyślność dawała mu spokój i pewność, pozbawiając strachu o przyszłość, który dręczył wielu innych. Ale odporność na pokusy małżeństwa nie przeszkadzała mu rzucać się w przygody miłosne przy każdej nadarzającej się okazji. Fakt jednak, że taka kobieta jak pani Nufusa właśnie jego chciała za męża, nie był bez znaczenia. Toteż myśl ta zajmowała go do tego stopnia, że patrzył na swojego pomocnika i klientów nieobecny wzrokiem, z twarzą uśmiechniętą i rozmarzoną. Przypomniawszy sobie także, co powiedział mu dziś rano jeden z przyjaciół, podkpiwając sobie z jego elegancji i zwyczaju perfumowania się: „Uważaj, uważaj, staruszek!” Staruszek! Ma czterdzieści pięć lat, to prawda, ale co to za wada, kiedy tryska się energią, ma się żelazne zdrowie i czarne, błyszczące włosy. Czuł się ciągle młodo, a nawet tak, jakby mu z wiekiem przybywało sił. Zachował wszystkie swoje przymioty i wiedział o tym, ale w swej skromności głęboko ukrywał dumę i podziw dla siebie. Uwielbiał jednak pochwały innych i powodzenie, a swoją skromnością, łagodnością, a także delikatnym sprytem jakby je prowokował. Jego pewność siebie i wiara w swoje zalety osiągnęły granicę głębokiego przekonania, że jest najwspanialszym mężczyzną: ma siłę, blask, elegancję i ogładę, choć nie daje tego odczuć nikomu. Miłość była jego naturalną potrzebą, szukał jej i pragnął kierując się instynktem. Wierność, czystość, skromność to cechy, które ją przyciągały, jak kwiat przyciąga motyle. Stąd można było powiedzieć, że jego skromność wynikała z inteligencji, jak i że stanowiła cechę wrodzoną. A najprawdziwsze było stwierdzenie, że to skromność naturalna, nawet jeżeli wynikała z taktu wrodzonego, a nie wyuczonego wysiłkiem woli, i jako taka była pozbawiona sztuczności i kalkulacji. Z tego powodu przemilczanie zalet i ukrywanie pięknych cech charakteru, a nawet żartowanie sobie z jego wad a drobnych grzeszków sprawiało mu większą przyjemność niż wychwalanie go, co zwykle ściągą zawiść i niechęć. Ale (przyjaciele wychwalali go i tak, a on rozkoszował się tym bez uszczerbku dla pięknych stron swej osobowości. Także instynkt kierował jego rozpustą w miejscach zabaw i uciech, na przyjęciach i hulankach. Nie tracił w nich – bez względu na to, jak się bawił i ile wypił – taktu ani godności. Gdyby tylko chciał, to ze swoją intuicją, lekkością humoru, ostrością dowcipu, bez wysiłku zdominowałby współbiesiadników, ale on kierował nimi mistrzowsko i z wielkodusznością, tak że każdy miał pole do popisu. Zachęcał towarzyszy do żartów, nawet jeśli mu się one nie podobały, śmiejąc się głośno, i bardzo uważał, żeby swoimi dowcipami nikogo nie dotknąć. A jeśli sytuacja zmusiła go do ataku na kogoś, leczył jego następstwa okazywaniem sympatii, zachęcaniem do zabawy, ośmielaniem, nawet kpinami z samego siebie. Wspólnie spędzony wieczór kończył się zwykle tak, że każdy uczestnik zachowywał jak najlepsze wspomnienia. Ale wpływ wrodzonej inteligencji i taktu nie ograniczał się tylko do wesołej strony jego życia, rozciągał się także na strony poważne, na jego życie w społeczeństwie. Wpływ ten dawał o sobie znać we wspaniałym sposobie zarówno wtedy, kiedy As-Sajjid wydawał bankiety w wielkim domu, jak i kiedy obsypywał darami będących w potrzebie, tych, którzy w jakiś sposób związani byli z jego pracą lub jego osobą. Przejawiał się też w jego szlachetności, odwadze, honorze, chęci spieszenia z pomocą. W stosunku do przyjaciół i znajomych narzucił sobie obowiązek pomocy i troskliwej opieki zawsze, kiedy proszono go o radę,

wstawiennictwo, przysługę w sprawach pracy, pieniędzy, w rozwiązywaniu problemów osobistych i rodzinnych, jak zaręczyny, śluby, rozwody. Podejmował z radością funkcje pośrednika, mazuna i arbitra, za które jedyną zapłatą była miłość do niego. I one, mimo trudności z nimi związanych, wypełniały mu życie radością i zadowoleniem. Był typem, który nie znośił rozgłaszania swoich zalet i zasług, jakby sprawiało mu to ból nie do zniesienia. Taki człowiek ma prawo, kiedy zostanie sam ze swoimi myślami i pozbędzie się skrępowania wobec ludzi, rozkoszować się swoimi przymiotami i oddawać się podziwowi i zachwytom nad sobą. Dlatego rozpamiętywanie wyrzutów przyjaciół i propozycja swatki Umm Ali sprawiły mu bezmierną radość i przyjemność. Ale jak nieproszony gość wdarł się do serca żal. „Pani Nufusa posiada zalety, których nie można lekceważyć – myślał. – Wielu jej pragnie, ale ona pragnie mnie. Ja się jednak nie ożenię, nie ma mowy. A ona, niestety, nie należy do kobiet, które by obcowały z mężczyzną innym niż mąż. Ona jest taka, a ja jestem taki, jak więc możemy się spotkać? Gdyby mi się trafiła wtedy, kiedy Australijczycy pozamykali przed nami wszystkie drogi, to sprawa byłaby prosta, ale teraz, niestety, to ona potrzebuje nas, a nie my jej.”

Pojawienie się przed sklepem powozu przerwało strumień jego myśli. Wyteżył wzrok z ciekawością i zobaczył, że powóz przechyla się w stronę sklepu pod ciężarem ogromnej kobiety, która bardzo wolno zaczęła z niego wysiadać, tak jak pozwalały jej na to zwały tłuszczu i mięsa. Czarna niewolnica, która wyszła pierwsza, pomagała jej przy schodzeniu. Kobieta stanęła jak przechylony palankin i oddychała ciężko po dokonanym wysiłku. Jak palankin kołysała się na boki i potoczyła w kierunku sklepu, podczas gdy niewolnica, oznajmiając przybycie swej pani, krzyknęła tonem rozkazującym:

– Odsunąć się jeden z drugim, droga dla pani Zubajdy, królowej śpiewaczek.

Pani Zubajda roześmiała się dźwięcznie i udając gniew zwróciła do niewolnicy:

– Niech ci Bóg przebaczy, Dżuldżul. Po co zaraz królowa? Trochę skromności!

Dżamil al-Hamzawi pospieszył na powitanie z szerokim uśmiechem na ustach.

– Witamy, witamy! Powinniśmy wysypać ziemię piaskiem...

As-Sajjid wstał i patrzył na nią badawczo, ze zdziwieniem i zastanowieniem, po czym dokończył powitania:

– Co tam piaskiem, henną i różami, ale co można zrobić, kiedy szczęście przychodzi bez uprzedzenia.

As-Sajjid zobaczył, że jego pomocnik poszedł po krzesło dla gościa, rzucił się więc i jednym susem go wyprzedził. Al-Hamzawi odsunął się ukrywając uśmiech. As-Sajjid podał jej krzesło zapraszając ręką, jakby mówił „proszę usiąść”, a dłoń, raczej nieświadomie, rozpostarł jak najszerzej tak, że wyglądała jak wachlarz. Być może zrobił to jednak na widok ogromnego tyłka, który, jak sobie wyobrażał, w całości wypełni krzesło, a boki i tak na pewno będą jeszcze zwisały.

Kobieta podziękowała uśmiechem i usiadła, rozsiewając blask swojej biżuterii i ozdób. Piękną twarz miała odsłoniętą.

– Czy nie mówiłam ci, Dżuldżul – odezwała się do niewolnicy – po co mamy się tłuc gdzieś tam, żeby kupić to, co nam potrzeba, kiedy mamy taki sławny sklep pod bokiem?

– Jak zwykle masz rację, Królowo – przyznała niewolnica – dlaczego mamy chodzić daleko, kiedy obok jest szanowny As-Sajjid Ahmad Abd al-Dżawwad?

Dama zachnęła się, jakby przerażona tym, co powiedziała Dżuldżul, i rzuciła jej niezadowolone spojrzenie.

– Wstydziłabyś się – rzekła ukrywając uśmiech i patrząc to na służącą, to na As-Sajjida, żeby pokazać swoją dezaprobatę – mówiłam o sklepie, a nie o As-Sajjidzie Ahmadzie.

– Sklep i As-Sajjid Ahmad to jedno – mruknął As-Sajjid z uśmiechem. Wyczuł przyjazny ton w głosie Zubajdy.

– Ale nam potrzebny jest sklep, a nie As-Sajjid Ahmad – powtórzyła z kokieterią i lekkim uporem, unosząc brwi.

Zdaje się, że nie tylko As-Sajjid Ahmad wyczuł przyjazną atmosferę, jaką stworzyła Królowa. Dżamil al-Hamzawi targował się z klientami, ale ukradkiem zerkał na dojrzałe ciało śpiewaczki. Oczy klientów również błędziły między towarami a damą. Wydawało się, że ta błogosławiona wizyta już na ulicy wywołała wrażenie, i As-Sajjid musiał podejść do Królowej i szerokimi plecami zasłonić drzwi, za którymi kłębił się tłum wścibskich, nieproszonych gości. Z tego miejsca kontynuował rozmowę.

– Mądrość Boga objawia się tym, że czasami rzecz ma więcej szczęścia niż człowiek.

– Chyba pan przesadza, rzecz nie ma nigdy więcej szczęścia, ale często daje więcej korzyści.

As-Sajjid przeszył ją niebieskimi oczami udając zdziwienie:

– Więcej korzyści – tu wskazał podłogę – ten sklep?

Obdarzyła go krótkim, słodkim uśmiechem, ale powiedziała tonem nie pozbawionym zamierzonej szorstkości:

– Chciałabym cukru, kawy i ryżu, a to mogę znaleźć tylko w sklepie, nie w człowieku. Mężczyzn natomiast znajdę wszędzie – dodała z kokieterią.

W As-Sajjidzie otworzyły się wrota ambicji i poczuł, że zbliża się do czegoś dużo ważniejszego niż sprzedawanie i kupowanie.

– Nie wszyscy mężczyźni są tacy sami, Królowo – zaprotestował – kto ci powiedział, że w człowieku jest brak ryżu, cukru, kawy? W człowieku znajdziesz i pokarm, i słodczyce, i narkotyki!

– Czy to człowiek, czy kuchnia?

– Gdybyś się przyjrzała bliżej, znalazłabyś zadziwiające podobieństwo między człowiekiem a kuchnią – powiedział tonem triumfu. – Życie obydwu obraca się wokół brzucha.

Kobieta spuściła oczy, a As-Sajjid czekał, rozjaśniony uśmiechem, aż je podniesie, ale ona spójrzała poważnie, co mogło oznaczać zmianę „polityki” albo niezadowolenie z porażki, i zmieniła ton.

– Niech ci Bóg daje jak najwięcej korzyści – powiedziała spokojnie – ale dziś zależy nam na ryżu, kawie i cukrze.

As-Sajjid odwrócił się z udaną powagą, zawołał pomocnika i przekazał mu głośno zamówienie damy, a jego wygląd sugerował, że oto skończyło się przekomarzanie i trzeba

zabrać się poważnie do „roboty”. Ale był to tylko manewr, po którym znowu uśmiechnął się i zaatakował:

– Sklep i jego właściciel są do twoich usług!

– Chcę sklepu, a ty nic tylko chcesz mi dać siebie – zażartowała.

– Bo ja, bez wątpienia, jestem lepszy od mojego sklepu, albo raczej stanowią to najlepsze, co w nim jest.

– To przeczy temu, co słyszeliśmy o jakości twego towaru – odparła, uśmiechając się złośliwie.

– Po co ci cukier, kiedy twoja mowa jest samą słodyczą? – śmiał się głośno As-Sajjid.

Po tej walce na słowa nastąpiła chwila ciszy, w której obydwoje wydawali się z siebie zadowoleni. Śpiewaczka otworzyła torebkę, wyjęła małe lustereko ze srebrnym uchwytem i zaczęła się przeglądać, a As-Sajjid podszedł do biurka, oparł się o nie i wpatrywał się z zainteresowaniem w jej twarz. Serce powiedziało mu od razu, kiedy tylko ją zobaczył, że jej wizyta ma na celu inne sprawy niż zakupy, a rozmowa potwierdziła te domysły, a teraz nie pozostawało mu nic innego, jak zdecydować od razu, czy umówi się z nią, czy też pożegna ostatecznie. Widział ją nie pierwszy raz. Wielekroć spotykał ją na weselach przyjaciół, wiedział z plotek, że była kochanką As-Sajjida Chalila al-Bannaniego, a rozstali się niedawno. I może to ją skłoniło do zaopatrywania się w nowym sklepie! Była piękna, apetyczna, z fałdami ciała i pokładami tłuszczu mogącego rozgrzać zmarzniętego w czasie chłodnej zimy, która stała u progu. A że była śpiewaczką raczej podrzędną, to mu nie przeszkadzało.

Wejście Al-Hamzawiego z trzema paczkami przerwało jego zamyślenie. Podał je niewolnicy. Dama sięgnęła ręką do torebki po pieniądze, ale As-Sajjid pogroził jej:

– Wstyd!

– Dlaczego wstyd? – zapytała z udanym zdziwieniem. – Żaden wstyd.

– Jest to szczęśliwa dla nas wizyta i nawet gdybyśmy byli bardzo hojni, to i tak nie wypłacimy się za nią.

Wstała, a on mówił dalej, nie znajdując zresztą poważnego oporu wobec swojej hojności.

– Ale twoja hojność sprawi, że będę się wahała, czy przyjść tu znowu – powiedziała tylko. As-Sajjid roześmiał się.

– Nie bój się, tylko za pierwszym razem jestem hojny dla klienta, potem powetuję sobie straty, nawet gdybym miał kraść. Taka jest dewiza nas, kupców.

Kobieta uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę.

– Taki hojny jak ty, nawet kiedy kradnie, nie kradnie. Dziękuję, As-Sajjidzie Ahmadzie.

– Nie ma za co, Królowo – odpowiedział z głębi serca.

Patrzył, jak dumnym krokiem ruszyła do drzwi, weszła do powozu i usiadła. Dżuldżul usadowiła się na małej ławeczce naprzeciwko niej. Powóz ruszył, wioząc cenny ładunek, i zniknął mu z oczu.

– Jak mam zapisać ten wydatek? – spytał Al-Hamzawi, przewracając kartkę w zeszycie z rachunkami.

– Zapisz zamiast cyfr: „Towary wydane na miłość.”

I usiadł za biurkiem, mrużąc pod nosem: „Bóg jest pięknem i kocha piękno.”

Wieczorem As-Sajjid zamknął sklep i udał się w kierunku As-Sagha. Szedł pełen godności, rozsiewając zapach dobrych perfum. Dotarł do Al-Ghurijji, do kawiarni Si Alego. Mijając ją zerknął na dom śpiewaczki i jego otoczenie. Po obu jego stronach stały sklepy, jeszcze otwarte, i płynął strumień przechodniów. Spędził godzinkę u jednego z przyjaciół i przeprosiwszy wyszedł, udając się znowu w kierunku Al-Ghurijji, którą tymczasem ciemność przemieniła w wyludnioną pustynię. Pewnie i spokojnie podszedł do domu, zapukał do drzwi i czekał, bacznie rozglądając się dokoła. Z okienka kawiarni Si Alego padało światło na pustą ulicę, a przy zakręcie do As-Sikka al-Dżadida świeciła lampa gazowa na ręcznym wózku. Otworzyły się drzwi i pojawiła się mała sylwetka służącej.

– Czy pani Zubajda jest w domu? – spytał dobitnie i zdecydowanie.

Służąca podniosła głowę i spytała ostrożnie, jak nakazywała jej funkcja:

– A kim pan jest?

– Osobą, która chce zamówić uświetnienie przyjęcia.

Służąca zniknęła na chwilę i wróciła mówiąc: „Proszę wejść.” Wszedł za nią po niskich schodach do korytarza, a następnie do ciemnego pokoju. Tu pozostał chwilę sam, stojąc, a służąca pobiegła po lampę. Postawiła ją na stoliku, potem wyciągnęła na środek pokoju krzesło i stanęła na nim, żeby zapalić dużą lampę wiszącą u sufitu. Odstawiła krzesło na miejsce, wzięła małą lampę, powiedziała grzecznie: „Proszę, niech pan usiądzie”, i wyszła.

As-Sajjid rozsiadł się na kanapie stojącej na centralnym miejscu w pokoju, spokojny i pewny siebie, co wskazywało, że nie pierwszy raz znalazł się w takim domu jak ten i że jest pewny, że wyjdzie stąd zadowolony i zaspokojony. Zdjął tarbusz, położył go na poduszce na środku kanapy i wyciągnął z ulgą nogi. Pokój był średniej wielkości, po bokach stały kanapy i krzesła, podłogę wyścielał perski dywan. Przed każdą z trzech dużych kanap stał stolik z masy perłowej. Na dwóch oknach i drzwiach wisały zasłony, w powietrzu unosił się aromat kadzidła. Zadowolony patrzył na ćmę, która nerwowo krążyła wokół lampy. Służąca przyniosła kawę, a po jakimś czasie usłyszał rytmiczny stukot chodaków. Wpatrywał się z podnieceniem w drzwi, których otwór wypełniło niebawem ogromne ciało owinięte zmysłowo w niebieską suknię.

– W imię Boga Litościwego, Miłosiernego... to ty! – krzyknęła.

– Bóg tak chciał – odparł, biegnąc wzrokiem pożądliwym i pełnym podziwu po jej ciele, jak biega mysz po worku z ryżem szukając wyjścia.

– Niech Bóg chroni przed złym okiem! Boże uchwaj! – mówiła z udanym strachem, ale uśmiechnięta.

– Boisz się zawiści, że używasz tyle kadzidła? – As-Sajjid wstał, radośnie przyjmując jej wyciągniętą dłoń i wciągając w swój wielki nos aromaty.

Uwolniła rękę i usiadła na bocznej kanapie.

– Moje kadzidło to błogosławieństwo. Jest to mieszanka różnych gatunków, trochę indyjskiego, trochę arabskiego, sama je mieszam, jest zdolne uwolnić ciało od tysiąca i jednego ifritów.

– Tylko nie moje ciało – As-Sajjid rozpaczliwie zamachał rękami siadając znowu. – W moim ciele mieszka inny gatunek ifritów, kadzidło na nie nie pomoże. To sprawa poważniejsza.

Kobieta uderzyła się w pierś pełną jak bukłak i krzyknęła:

– Ależ ja się zajmuję urządzaniem przyjęć weselnych, a nie wypędzaniem złych duchów.

– Zobaczymy jednak, czy mimo wszystko nie znajdę tutaj lekarstwa na swoją chorobę.

Na chwilę zapanowała cisza i Królowa patrzyła na niego zamyślona, jakby pytając o sekret jego przybycia. Czy rzeczywiście przyszedł po to, żeby się umówić na urządzenie przyjęcia, jak powiedział służącej? Ciekawość zwyciężyła.

– O jakie przyjęcie chodzi? Wesele czy obrzezanie? – zapytała.

– Jak wolisz.

– Masz narzeczoną czy chłopca do obrzezania?

– Mam i to, i to.

Ostrzegła go wzrokiem, jakby chciała powiedzieć: „Męczący jesteś”, po czym rzekła z ironią:

– W każdym razie jesteśmy do usług.

As-Sajjid podniósł rękę do skroni w sposób, w jaki się dziękuje, i odparł z powagą:

– Oby ci Bóg dał jak najwięcej zamówień. A jednak upieram się, żebyś cię zostawił wybór.

– Ja naturalnie wolę wesela – westchnęła trochę gniewnie.

– Ale ja jestem człowiek żonaty i nowego wesela nie potrzebuję.

– Nudzisz. No to niech będzie obrzezanie.

– Niech będzie.

– Twojego syna?

– Mnie – powiedział podkreślając wężem.

Królowa wybuchnęła perlistym śmiechem. Domyśliła się wreszcie, o jakie przyjęcie chodzi, i krzyknęła:

– Bezczelny! – Żebyś siedział bliżej, tobym cię rozerwała na kawałki.

As-Sajjid wstał i podszedł do niej.

– Jeżeli masz chęć, proszę bardzo, nie zabraniam.

Usiadł obok niej, a ona udawała, że chce go uderzyć.

– No, dlaczego nie zaszczycisz mnie swoim uderzeniem? – przynaglał.

– Boję się, że unieważnię ablucje<sup>12</sup> – zażartowała.

– A może byśmy się razem pomodlili, niczego więcej nie pragnę – poprosił z zarem.

W duchu błagał Boga o wybaczenie mu takich żartów, ale upojony atmosferą nie mógł się od nich powstrzymać.

– „Modlitwa lepsza jest od snu”<sup>13</sup>, czy to masz na myśli, ty świętoszku? – spytała z kokieterią i trochę drwiąco.

– Nie, mam na myśli modlitwę, która jest zarazem snem.

– Co za człowiek, na zewnątrz poważny i pobożny, a wewnątrz zepsucie i rozpusta – śmiała się – teraz widzę, że to, co o tobie mówią, to prawda.

---

<sup>12</sup> Przed modlitwą muzułmanie dokonują ablucji, żeby być w stanie czystości. Dotknięcie innej osoby może je unieważnić.

<sup>13</sup> Tymi słowami muezzin budzi wiernych na modlitwę o świcie.

– A co mówią? – As-Sajjid wyprostował się zainteresowany. – Niech Bóg nas broni przed złem plotkarzy.

– Mówiono mi, że jesteś kobieciarz i pijak.

Odetchnął głośno z ulgą.

– Boże broń, żebym uważał to za wady.

– A nie mówiłam, że jesteś bezczelny rozpustnik?!

– To tylko dowód, że zostanę przyjęty, za pozwoleniem Boga.

Kobieta dumnie podniosła głowę.

– Nie daj Boże! Nie jestem taka jak te, z którymi się zadawałeś. Zubajda jest znana, nie chwając się, z własnej godności i precyzji wyboru.

As-Sajjid położył dłonie na piersiach, spojrział na nią trochę wyzywająco, ale z sympatią, i powiedział pewnie:

– Dopiero w czasie próby mężczyzna zyskuje szacunek lub doznaje wzgardy.

– Skąd u ciebie taka pewność siebie, skoro nawet jeszcze nie jesteś obrzezany, jak powiedziałeś.

As-Sajjid długo rechotał.

– Nie wierz, ty obrzezywaczko, ale jeżeli masz wątpliwości...

Uderzyła go w ramię, zanim dokończył zdania, i oboje ogarnął niepoohamowany śmiech. Był zadowolony, że mu wtóruje. Wywnioskował z tego i ze wszystkich aluzji i deklaracji, że jest mu przychylna, a jej kokieteria, która aż wylewała się z umalowanych kulem oczu, jeszcze go w tym mniemaniu utwierdzała. Myślał już, czyby nie posunąć się dalej, ale odezwała się nagle ostrzegawczo:

– Zachowuj się lepiej tak, żebym nie myślała o tobie jeszcze gorzej.

To mu przypomniało o plotkach na jego temat.

– A kto ci o mnie opowiadał? – zapytał z zainteresowaniem.

– Dżalila – odpowiedziała krótko, patrząc na niego z naganą.

Imię to odczuł jak zniewagę i uśmiechnął się zakłopotany. Dżalila, słynna śpiewaczka, była długi czas jego kochanką, aż znudzili się sobą i rozeszli. Kochali się ciągle, ale na odległość. Jako znawca kobiet nie widział wyjścia z sytuacji i musiał powiedzieć:

– Niech Bóg przeklnie jej twarz i głos. Zostawmy już te żarty i porozmawiajmy poważnie.

– Czy Dżalila nie zasługuje na delikatniejsze i cieplejsze słowa? – spytała drwiąco.

As-Sajjid znowu poczuł się zakłopotany, ale szybko dała o sobie znać męska duma. Rozmawiał przecież z przyszłą kochanką o byłej kochance, upajał się słodyczą zwycięstwa.

– Jest mi tu tak dobrze, tak wspaniale, po co mi każesz wracać do wspomnień, które już dawno schowałem i o których zapomniałem – powiedział taktownie.

Królowa zachowała drwinę w spojrzeniu, chociaż pochwała sprawiła jej przyjemność.

– Język kupca jest szczodry i pełen słodyczy, kiedy chce coś osiągnąć – powiedziała z uśmiechem.

– Im więcej ludzie nam zarzucają, tym dla nas lepiej.

Wzruszyła ramionami lekceważąco.

– Kiedy byliście kochankami?

– Och, dawno, dawno temu...



- W dniach minionej młodości.
  - Mam chęć wyssać złośliwość z twego języka.
  - Zabrała twoje ciało, zostawiła kości – kpiła dalej.
- As-Sajjid pogroził jej palcem.
- Należę do mężczyzn, którzy żenią się jeszcze po sześćdziesiątce.
  - Bo potrzebna im kochanka czy niańka?
  - Bój się Boga, kobieto, porozmawiajmy poważnie.
  - Poważnie? To znaczy mam urządzić przyjęcie, tak?
  - Urządzić całe życie.
  - Całe czy połowę?
  - Oby Bóg sprawił, żebyśmy wybrali to, co najlepsze.
  - Oby Bóg dał nam wszystko najlepsze.
  - No to co, przeczytamy *Al-Fatihe*?<sup>14</sup> – zapytał prosząc w duchu Boga o przebaczenie.

Ale ona wstała nagle udając, że nie słyszy jego zaproszenia, i z udanym przestachem zawołała:

- O Boże, ukradł mi tyle czasu, a ja mam dziś wieczorem coś ważnego do załatwienia.

As-Sajjid podniósł się także i wziął ją za rękę. Patrzył namiętnie i z zachwytem na jej dłoni umalowaną henną. Próbowwała się wyrwać z jego mocnego uchwytu.

- Puść mnie, bo wyjdiesz stąd z jednym wąsem – groziła.

Nic nie mówiąc zbliżył usta do jej dłoni i zagłębił je w jej świeżym, miękkim ciele, wdychając słodki zapach goździków.

- Do jutra? – wymamrotał.

Uwolniła się wreszcie, popatrzyła na niego przeciągle i zanuciła:

*Mam ptaszka, o matko, mam ptaszka,  
Będę się z nim bawiła i pokażę mu swoje skarby.*<sup>15</sup>

Powtarzała to żegnając go. As-Sajjid wyszedł z pokoju z powagą i godnością, po cichutku nucąc tę samą piosenkę, jakby pytał: „Ciekawe, co się naprawdę kryje w jej słowach?”

---

<sup>14</sup> W momencie zawierania małżeństwa odmawia się *Al-Fatihe*

<sup>15</sup> Popularna przyśpiewka weselna.

## 16

Tak zwana sala zabaw zajmowała w domu Zubajdy część środkową, czyli salon, inaczej mówiąc salon w jej domu przeznaczony był do innych, niż w zwykłych domach, celów, z których może najważniejszymi były próby zespołu i ćwiczenie nowych piosenek. Wybrała go ze względu na to, że znajdował się daleko od ulicy, oddzielony od niej pokojami sypialnym i gościnnym. Był wielki, dlatego nadawał się do urządzania w nim specjalnych przyjęć, na których zwykle śpiewano lub odprawiano egzorcyzmy. Na takie przyjęcia zapraszała Zubajda tylko wybranych znajomych i przyjaciół. Nie urządzała ich dlatego, że była hojna, że miała gest; jeżeli w ogóle widać w nich było hojność i wystawność, to ich ciężar przeważnie spadał na barki przyjaciół. Chodziło jej o powiększenie grona bogatych znajomych, takich, którzy by potem zapraszali ją, aby uświetniała ich przyjęcia, i robili jej reklamę w kręgach, w których się obracali. Dobierała sobie także spośród nich kochanków. I tak przyszła kolej na As-Sajjida Ahmada Abd al-Dżawwada. Teraz on, otoczony elitą swoich przyjaciół, miał zaszczycić tę salę swoją obecnością. On sam zresztą po tej śmiałej wizycie w domu Zubajdy rozwinął energiczną działalność i już wkrótce jego wysłannicy przynieśli prezenty w postaci orzechów, fistaszków, słodyczy i innych drobiazgów. Poleciał poza tym wykonanie piecyka pięknie rzeźbionego, inkrustowanego srebrem. Wszystko to miało być zadatkiem przyszłej miłości.

Królowa dała mu wolną rękę w wyborze gości, którzy mieli uczcić nową miłość na przyjęciu „zapoznawczym”. Sala była pięknie udekorowana w stylu ludowym. Miękkie, haftowane kanapy stojące jedna obok drugiej pod ścianami zachęcały do spoczynku i rozpusty. Na środku stała sofa Pani, dokoła niej poduszki i materacyki dla członków zespołu. Prostokątną podłogę wyściełał dywan o różnobarwnych wzorach. Na stoliku po prawej stronie stały w świecznikach świece jako symbol czystości i piękna. Pośrodku pokoju zwisał z sufitu ogromny żyrandol, a wysoko na ścianach mieściły się okna wychodzące na dach, otwierane w ciepłe, zamykane w zimne noce.

Zubajda usiadła po turecku na sofie. Miejsce po jej prawej stronie zajęła lutnistka Zannuba, jej wychowanka, a po lewej niewidomy grajek z cytrą w ręku. Wokół rozsiadły się kobiety. Jedna trzymała mały bębenek, druga uderzała ręką w tamburyn, inna bawiła się kastanietami. As-Sajjid Ahmad został uhonorowany pierwszym miejscem na prawym skrzydle. Jego towarzysze usadowili się swobodnie, jak popadło, jak gdyby byli u siebie w domu. Zresztą atmosfera tego domu nie była dla nich niczym nowym, a Królowa widywała ich już nieraz.

As-Sajjid Ahmad przedstawił swoich kolegów, rozpoczynając od As-Sajjida Alego, handlarza mąką.

– Och, znam As-Sajjida Alego bardzo dobrze – powiedziała z uśmiechem. – W zeszłym roku śpiewałam na weselu jego córki.

Kiedy przedstawiał handlarza wyrobami z miedzi, ktoś zauważył, że bywał on u Bamby Kaszszar.

– Przychodzę pełen skruchy, pani – usprawiedliwił się szybko.

Po powitaniach weszła niewolnica Dżuldżul z napojami i zaczęła krążyć wśród gości. Wszyscy mieli wspaniałe humory, przepełniała ich radość, rozsadzała energia. As-Sajjid był bezsprzecznie „panem młodym” przyjęcia. Z początku czuł się w tej roli skrępowany i zakłopotany, co rzadko mu się zdarzało. Ukrywał to przesadnie głośnym śmiechem i dużymi dawkami alkoholu, który w końcu przywrócił mu pewność siebie i radość. Wzrokiem pełnym tęsknoty i namiętności spoglądał na Królową. Nie odrywał oczu od fałdek tłuszczu na jej pełnym ciele. Rozkoszował się szczęściem, jakie podarował mu los, i gratulował sobie czekających go rozkoszy. „Dopiero w czasie próby mężczyzna zyskuje szacunek lub doznaje wzgardy”, takie rzucił wyzwanie. „Muszę dotrzymać słowa. Ciekawe, co to za kobieta i jakie są jej możliwości. Dowiem się tego w swoim czasie, a potem przywdzieję odpowiednią szatę. Żeby zagwarantować sobie zwycięstwo nad przeciwnikiem, trzeba być silnym i odpornym. Nigdy nie odstąpię od starej dewizy, która każe czynić głównym i ostatecznym celem przyjemność partnerki, a swoje chęci odsunąć na plan dalszy i w ten sposób własną rozkosz uczynić jeszcze pełniejszą.”

As-Sajjid nie był ekspertem w różnych rodzajach miłości, mimo licznych przygód. Uznawał tylko miłość cielesną, naturalną, ale w niej wyróżniał wiele stopni, aż do najczystszeo i najbardziej wysublimowanego. Nie był zwykłym samcem, w swej „zwierzęcości” bowiem obdarowywał kobiety delikatnością uczuć, wyrafinowaniem i radosną namiętnością. Zmysłowość swoją doprowadzał do najwyższego poziomu.

Ta cielesność i zmysłowość popchnęły go po raz pierwszy i po raz drugi do małżeństwa. Oczywiście z biegiem czasu uczucie małżeńskie nabrało nowych elementów, miłość stała się spokojniejsza, ale w swojej istocie pozostała zmysłowa, cielesna. Taka miłość, pobudzana ciągle niewyczerpanym strumieniem żywotności i sił witalnych, nie mogła ograniczyć się do jednej kobiety, rzucał się więc w rozmaite przygody jak rozjuszony byk. Z entuzjazmem i uniesieniem odpowiadał na każde wezwanie młodości. W każdej kobiecie widział tylko ciało, ale nie przed każdym ciałem bił pokłony. Najpierw musiał się przekonać, że było warte, żeby na nie patrzeć, wachać, smakować. Namiętność, tak, ale nie ślepa i zwierzęca. Dbał o jej kunszt, czynił sztuką, uprawiał miłość z radością, czynił z niej zabawę, bywał nawet żartobliwy. Jego namiętność, tak jak jego ciało, była ogromna i silna i sugerowała dzikość i okrucieństwo, ale nic podobnego, w głębi tego wielkiego ciała i na dnie tej szalonej namiętności leżały delikatność, łagodność i miłość, ubrane czasami celowo w brutalność i surowość.

Dlatego chociaż pożerał wzrokiem Królową, widział ją nie tylko w łóżku, w marzeniach oddawał się rozkoszom zabawy, śpiewu i towarzystwa.

Zubajda czuła na sobie jego gorący wzrok, ale chcąc przywrócić As-Sajjida towarzystwu, odezwała się:

– No, dosyć już, „narzeczony”, jak ci nie wstyd wobec gości?!

– Kogo mam się wstydić, tych kwintali mięsa i tłuszczu?

Śpiewaczka parsknęła śmiechem.

– Co wy na to? – spytała.

– Wybaczamy mu! – krzyknęli chórem.

Tu poruszył się niewidomy grajek. Dolna warga mu opadła i wymamrotał:

– Wybacza się temu, kto ostrzega!

Jego sentencję przyjęto z sympatią, ale Zubajda uderzyła go w pierś niby z gniewem:

– Milcz, nie otwieraj tej gęby jak ocean!

Ślepiec roześmiał się i chciał coś powiedzieć, bo znowu otworzył usta, ale zaraz je zamknął dla świętego spokoju.

– Oto co czeka tego, kto sobie za wiele pozwala – powiedziała Zubajda tonem groźby, zwracając się do As-Sajjida.

– Nie szkodzi, przyszedłem po to, żeby się nauczyć trochę złych manier – odparł.

– Słyszeliście! – krzyknęła kobieta uderzając się w pierś.

– Tak, to było najlepsze, co usłyszeliśmy do tej pory.

– Powinnaś go uderzyć, jeżeli za dużo sobie pozwala – krzyknął ktoś.

– Nie, przeciwnie, jeżeli chce, to go naucz złych manier.

– Do tego stopnia podoba się wam wulgarne zachowanie? – krzyknęła, unosząc brwi ze zdziwieniem, którego wcale nie czuła.

– Oby Bóg zawsze dawał nam poznać tylko takie „wulgarne” zachowanie – westchnął As-Sajjid.

Na to śpiewaczka wzięła tamburyn i powiedziała:

– Dam wam posłuchać czegoś lepszego.

Uderzyła weń palcami niby dla zabawy, ale zabrzmiało to jak alarm. Połaskotało uszy, uciszyło gwar i w jednej chwili odmieniło towarzystwo. Członkowie zespołu zaczęli przygotowywać się do pracy. Panowie opróżnili kielichy i zwrócili głowy w kierunku Królowej. Zapadła cisza. Śpiewaczka dała ręką znak i zespół zaczął grać znany utwór Usmana Beka. Zebrani poruszali głowami w rytm melodii. As-Sajjid całkowicie poddał się czarowi cytry. Jej dźwięki, jak krople nafty padające na ukryty żar, rozpały w jego sercu wspomnienia dawnych pieśni, nocy wypełnionych muzyką i śpiewem. Cytra była jego ulubionym instrumentem, słuchał jej z zachwytem nie tylko ze względu na sztukę grajka, ale na tajemnicze piękno kryjące się w jej strunach. Zdawał sobie sprawę z tego, że artyście daleko do wirtuozerskiej gry Akkada czy też Si Abduha<sup>16</sup>, ale jego zakochane serce i miłość do muzyki tolerowały mankamenty gry.

Zespół skończył grać, a Królowa zaintonowała *O ty, którego upaja słodycz moich ust*, co zostało przyjęte z entuzjazmem. Najpiękniej brzmiały w zespole dwa głosy wtórujące sobie, jeden niski, donośny niewidomego artysty, drugi delikatny, dziecinny lutnistki Zannuby. As-Sajjid wzruszony i upojony chwycił kielich, opróżnił go do dna i przyłączył się do śpiewających. Z początku chrypiał, miał wyschnięte gardło i tykał ślinę, ale wkrótce zachęcił resztę i sala wypełniła się wspólnym śpiewem. Po skończeniu muwaszszachy As-Sajjid spodziewał się improwizacji wokalne, jak to zwykle bywało, ale śpiewaczka zakończyła dźwięcznym śmiechem i żartami, w których wyrażała swą radość i podziw i gratulowała „nowym” członkom zespołu. As-Sajjid złościł się w duchu, jego namiętność do śpiewu została wystawiona na okrutną próbę, ale nie dał tego po sobie poznać. Zrozumiał zresztą

---

<sup>16</sup> Wirtuozi gry na cytrze na początku XX w.

zaraz, że Zubajda, jak wszystkie śpiewaczki, a wśród nich sama Bamba Kaszszar, po prostu nie potrafi improwizować. Pomyślał więc, że dobrze by było, gdyby zaśpiewała jakąś lekką piosenkę lub przyspiewkę, z tych, które śpiewa dla kobiet na weselach. Nie ma sensu, żeby brała się do ambitnych pieśni, których dobrze nie wykona. Żeby nie narażać więc swoich uszu na szwank, powiedział:

– A co byście powiedzieli na *Mam ptaszka, o matko, mam ptaszka?* – spojrzał przy tym na nią znacząco, chcąc przypomnieć nastrój pokoju gościnnego, w którym przyjmowała go przed kilkoma dniami. Ale w tej samej chwili ktoś z końca sali krzyknął drwiąco:

– O to poproś swoją matkę!

Goście zarechotali, propozycja upadła. Teraz jedni zaproponowali *O muzutmanie, ludu Boga*, inni *Witaj serce*, tak że As-Sajjid nie ponowił swojej prośby, tym bardziej że sama Zubajda pogodziła wszystkich piosenką *Jestem mordercą mojej duszy*. As-Sajjid zmuszony był poprawić sobie humor następnym kieliszkiem i marzeniami o czekającej go nocy. Uśmiechnął się promiennie, co towarzystwo przyjęło za wyraz niezmałowanej radości. Nawet z sympatią pomyślał o ambicji kobiety naśladowania wybitnych śpiewaczek, aby zadowolić gości, którzy słuchali jej – całą duszą.

W czasie gdy zespół przygotowywał się do śpiewu, jeden z gości wstał i krzyknął:

– Dajcie As-Sajjidowi Ahmadowi tamburyn, on jest mistrzem.

– Naprawdę? – zdziwiła się Zubajda.

As-Sajjid poruszył szybko i z wdziękiem palcami, demonstrując swoją sztukę.

– No, nic dziwnego, przecież jesteś uczniem Dżalili – dodała.

Zebrani wybuchnęli niepohamowanym śmiechem.

– A czego ty masz zamiar go nauczyć? – zapytał As-Sajjid al-Far.

– Nauczę go gry na cytrze, chcesz? – spytała As-Sajjida.

– Możesz mnie nauczyć nawet innych sztuczek.

Zachęcali go, żeby przyłączył się do zespołu, ale on wziął tamburyn, wstał, zdjął dżubbę i stanął wysoki i potężny, w kuftanie koloru kminku, jak rozjuszony ogier stojący na tylnych nogach. Podwinął rękawy i usiadł na sofie obok Zubajdy. Żeby mu zrobić miejsce, posunęła się trochę kołysząc na boki, a czerwona suknia zsunęła się obnażając jędrną, kształtną łydkę z czerwonymi śladami po depilacji i ze złotymi bransoletkami przy kostkach, które wpijały się w ciało. Na ten widok zebrani wrzasnęli:

– Niech żyje kalifat!

– Raczej Sadr Azam<sup>17</sup> – krzyknął As-Sajjid pożerając wzrokiem jej 'biust.

– Uciszcie się, bo nas Anglicy wsadzą do więzienia – krzyknęła Królowa ostrzegawczo.

– Pójdę z tobą nawet na katorgę! – odparł As-Sajjid, któremu wino już dobrze szumiało w głowie.

– Niech zginie marnie ten, kto nie pójdzie z wami – krzyczeli.

Kobieta chciała załagodzić podniecenie, jakie wywołał widok jej łydki, chwyciła tamburyn i podała go As-Sajjidowi.

---

<sup>17</sup> Jest to gra słów. Sadr Azam to tytuł historyczny: Wielki Wezyr. Te same słowa znaczą „wielki biust”.

– Pokaż, co umiesz! – krzyknęła.

As-Sajjid wziął instrument, pogładził go dłonią z uśmiechem i zaczął uderzać weń palcami z dużą wprawą. Po chwili dołączył się zespół i Zubajda, widząc wpatrzone w nią oczy, zaczęła śpiewać:

Jestem mordercą mojej duszy Mój ukochany mnie porzucił...

As-Sajjid poczuł się dziwnie. Każdy ruch Królowej przynosił mu jej gorący oddech, który mieszał się w jego głowie z wypitym winem. Szybko zapomniał o kunszcie pieśni Al-Hammulego, Usmana i Al-Manialawiego, żył chwilą obecną zupełnie szczęśliwy. Potem niektóre dźwięki w jej głosie poruszyły głębokie struny jego serca i zaczął grać z jeszcze większym żarem, tak że nie dorównałby mu niejeden profesjonalista. A kiedy śpiewaczka doszła do słów: „Proszę cię, pocałuj słodkie usta tego pięknego”, jego upojenie osiągnęło szczyt. Zebrani wtórowali mu, czasem wyprzedzali, bo wino całkiem uderzyło im do głowy, odkryło ich namiętności i uczyniło z nich drzewa tańczące w wirze huczącej burzy.

Powoli, powoli zbliżał się finał, Zubajda zaczęła powtarzać zwrotkę, od której zaczęła: „Jestem mordercą mojej duszy”, aż wreszcie melodia zanikła, jak znika za horyzontem samolot unoszący ukochanego.

Wybuchła burza oklasków i wiwatów, ale wkrótce zapanowała cisza wskazująca na zmęczenie i spadek nastroju. Słysząc było kaszel, pochrząkiwania, zapalanie zapalek, jakieś nieważne słowa. Ktoś dał do zrozumienia zaproszonym, że „już czas się żegnać”. Niektórzy szukali wzrokiem części garderoby, które zrzucili w ferworze zabawy i położyli na materacach, ale wielu jeszcze miało nie dość hulanki i nie chciało wyjść, dopóki została kropla wina.

– Nie wyjdziemy stąd, dopóki nie zaślubimy Królowej As-Sajjidowi Ahmadowi! – krzyknął jeden z gości.

Propozycja zyskała poparcie wszystkich. As-Sajjid i śpiewaczka nie dowierzali i wybuchnęli śmiechem, ale zanim się połapali, już otoczyli ich goście, podnieśli i kazali grać zespołowi pieśń weselną. As-Sajjid i Zubajda stali obok siebie, ona jak palankin, on jak wielbłąd, ogromni i piękni. Zubajda wzięła go kokieteryjnie pod rękę, kazała gościom rozstąpić się i zrobić przejście. Odezwał się tamburyn i wszyscy zaśpiewali pieśń weselną *Spójrz mi w oczy, o piękny*. „Narzeczeni” szli wolno upojeni szczęściem i alkoholem. Zannuba przestała grać na lutni i wykonała długie, dźwięczne *zagharid*, które, gdyby się zmaterializowało, byłoby zygzakowatym błyskiem meteoru przecinającym powietrze. Przyjaciele składali im gratulacje i życzenia:

– Dużo szczęścia i dużo dzieci!

– Udanego potomstwa! Samych tancerek i śpiewaczek!

– Nie odkładajcie roboty do jutra! – krzyknął ktoś z gości.

Zespół śpiewał pieśń weselną, przyjaciele machali rękami, dopóki As-Sajjid i Zubajda nie zniknęli za drzwiami prowadzącymi w głąb domu.

As-Sajjid siedział za biurkiem, kiedy niespodziewanie wszedł do sklepu Jasin. Była to wizyta nie tylko nieoczekiwana, ale przede wszystkim niezwykła. Nienaturalne bowiem wydawało się, że młodzieniec odwiedza swojego ojca w sklepie, podczas gdy w domu unika go, jak tylko może. Jasin miał rozbiegany wzrok i był blady. Podszedł do ojca, pozdrawiając go tylko podniesieniem ręki do głowy, jak to się zwykle robi, jakby zapomniał o tym, że w obecności ojca obowiązuje wyjątkowa grzeczność i pokora; powiedział tonem, który wskazywał na ogromne wzburzenie:

– Dzień dobry, ojczu, przyszedłem porozmawiać z tobą w ważnej sprawie.

As-Sajjid spojrział na niego pytająco i ogarnięty niepokojem, który starał się ukryć całą siłą woli, odpowiedział spokojnie:

– Jeśli Bóg zechce, nic złego...

Dżamil al-Hamzawi przyniósł krzesło, przywitał się, a ojciec kazał synowi usiąść. Młodzieniec przysunął krzesło do biurka i usiadł. Chwilę wahał się, wzdychał ciężko, wreszcie drżącym głosem powiedział krótko:

– Problem w tym, że moja matka zamierza wyjść za mąż.

Mimo że As-Sajjid oczekiwał złej wiadomości, to jednak jego wyobraźnia w swej pesymistycznej wędrówce nie zapuszczała się w problemy, które przechowywał w zapomnianym kącie swojej przeszłości. Dlatego zaskoczenie było całkowite. Zmarszczył brwi, twarz przybrała chmurny wyraz, jak zawsze, kiedy mu przypominano o pierwszej żonie. Siedział zmieszany i zaniepokojony, jako że syn dotknął bezpośrednio najczulszego punktu jego godności. I jak to bywa czasem, że zadaje się pytanie nie po to, by dowiedzieć się czegoś nowego, ale żeby przeczekać i poszukać wyjścia z rozpaczliwej sytuacji albo po prostu żeby się opanować, zapytał:

– Kto ci o tym powiedział?

– Jej krewny, szajch Hamada. Przyszedł dziś do mnie do szkoły i powiedział, że ślub odbędzie się w ciągu miesiąca.

„Wiadomość jest bez wątpienia prawdziwa. Nie pierwszy to ślub w jej życiu i nie ostatni, gdyby przykładać miarę przeszłości do przyszłości, ale jaki grzech popełnił ten chłopiec, że go spotyka taka surowa i bolesna kara?” Poczul współczucie i litość dla syna, a przecież nie mógł okazać się wobec jego bólu bezsilny, on, do którego ludzie przychodzili ze swoimi nieszczęściami i problemami. Zadawał sobie pytanie, jak on by się czuł, gdyby miał taką matkę. Serce mu się ścisnęło, kiedy patrzył na Jasina. Miał ochotę zapytać o męża, ale powstrzymał się, czy to żeby nie powiększać i nie pogłębiać rany syna, czy to ze względu na fakt, że była to w istocie zwykła ciekawość spraw kobiety, która kiedyś była jego żoną, niestosowna w tej sytuacji. Zresztą Jasin, jakby odgadując jego myśli, powiedział:

– I to za kogo wychodzi! On się nazywa Jakub Zajnhum i jest właścicielem piekarni w Ad-Darrasa! Ma trzydzieści lat!

Głos mu drżał, a ostatnie zdanie wyrzucił z siebie jak pocisk. Jego wstręt i oburzenie udzieliło się ojcu. Trzydzieści lat! Co za skandal, pomyślał As-Sajjid. Rozpusta ubrana w szaty małżeństwa. Wpadł w gniew, jak zawsze, kiedy dowiadywał się o jej postępkach. Chyba ciągle jeszcze miał jakieś poczucie odpowiedzialności za to, co robi ta kobieta. A może ciągle, mimo upływu tak długiego czasu, nie mógł znieść, że wymknęła się spod jego dyscypliny i posłuszeństwa jego zwyczajom. Wspomnienie dni ich pożycia, choć nie było ich tak wiele, zawsze przypominało nawrót gorączki. Może przesadzał, ale mężczyzna mający o sobie tak wielkie mniemanie, skłonny był widzieć, w samej chęci nieposłuszeństwa wobec jego woli, zbrodnię nie do wybaczenia i swoją absolutną porażkę. W końcu była piękna i przez kilka miesięcy dawała mu ogromną rozkosz. Może jest nadal pociągająca i kobieca. Ale zauważył w niej jakby cień oporu wobec swojej woli, którą miał skłonność narzucać wszystkim członkom rodziny. Nie uważała na przykład za coś złego korzystanie z pewnej wolności, choćby tylko takiej, żeby od czasu do czasu, gdy trafiała się okazja, odwiedzić ojca. As-Sajjid wpadał we wściekłość, próbował jej tego zabronić awanturami, a potem biciem. I co wtedy zrobiła ta zepsuta kobieta? Uciekła do rodziców! Dumnego mężczyznę opanował ślepy gniew i zdecydował, że najlepszym sposobem wychowania jej będzie tymczasowy rozwód, tylko tymczasowy, bo przecież ciągle był pod jej silnym urokiem. Rozwiódł się. Dnie i tygodnie udawała obojętność, a on czekał z nadzieją, że rodzina przyśle pośrednika z dobrą nowiną. Ale kiedy nikt nie zapukał do drzwi, schował dumę i sam wysłał znajomego, aby zbadał sytuację. Wysłannik wrócił z wiadomością, że rodzina przyjmie go pod warunkiem, że więcej nie będzie więził ani bił żony. Nie tego oczekiwał As-Sajjid. Wymagał jej bezwarunkowego powrotu. Wpadł w furję i przysiągł, że już nigdy z nią się nie połączy. W ten sposób każde poszło swoją drogą i w ten sposób przeznaczone było Jasinowi urodzić się daleko od ojca i żyć w domu matki w poniżeniu i bólu. Matka kilka razy wychodziła za mąż, a według słów jej syna, małżeństwo było najszlachetniejszym z jej upadków. A jednak to nowe, oczekiwane właśnie małżeństwo wydawało mu się obrzydliwsze i boleśnieszce od poprzednich. Teraz bowiem miała już ponad czterdzieści lat, a Jasin był młodzieńcem gotowym w razie potrzeby bronić swojej godności i honoru. Dawniej, kiedy był młodszy, przyjmował oburzające wiadomości o matce ze zdziwieniem, potem z niezadowoleniem i płaczem. Teraz nie wypadało mu reagować w ten sposób, musiał działać. Takie myśli chodziły po głowie As-Sajjida. Problem był poważny, ale postanowił go zbagatelizować i chytrze oddalić od swojego najstarszego syna zmartwienie. Wzruszył więc ramionami udając obojętność i powiedział:

– Dla nas ona już nie istnieje. Tak się umawialiśmy, prawda?

– Ależ istnieje! – krzyknął Jasin z rozpaczą. – I żebyśmy nie wiem co sobie obiecywali, zostanie moją matką z woli Boga. Zarówno w moich oczach, jak i w oczach ludzi. Nie ma wyjścia... Nie ma ratunku.

Westchnął głęboko i spojrzał na ojca pięknymi czarnymi oczami odziedziczonymi po niej. A te oczy mówiły: „Ojcze, ty jesteś potężny, wszystko możesz, podaj mi rękę.” I chociaż As-Sajjid był poruszony do głębi, nadal udawał spokój i obojętność.

– Nie mam ci za złe twojego bólu – mówił do syna. – Ale nie przesadzaj. Wybaczam ci też twój gniew, musisz jednak być rozsądny. Spokojnie postaw sobie pytanie. Co ci przeszkadza



jej małżeństwo? Kobiety wychodzą za mąż codziennie, co godzina. Dlaczego ta kobieta miałaby się tłumaczyć, skoro nie robiła tego przedtem? A może raczej powinienes być jej wdzięczny? Tyle razy ci mówiłem: skreśl ją ze swojej pamięci, tak jak gdyby nie istniała. Jeżeli tego nie zrobisz, nie przestaniesz się dręczyć. A poza tym, cokolwiek się o tym mówi, małżeństwo jest związkiem legalnym, uczciwym.

Tak mówiły tylko jego usta, jako że wszystko, co powiedział, przeczyło absolutnie jego naturze, jego skrajnym poglądom na małżeństwo, posłuszeństwo w rodzinie, wychowanie rodziny. Ale, trzeba przyznać, powiedział to z żarem, jakby się z tym wszystkim zgadzał, co wynikało z taktu i doświadczenia. Te właśnie cechy pozwalały mu być dla ludzi sędzią i arbitrem rozsądzającym spory. Jego słowa nie zostały bez echa, było zresztą nie do pomyślenia, żeby słowa As-Sajjida wypowiedziane do któregośkolwiek z synów kiedykolwiek rzucone były na wiatr. Ale gniew Jasina był zbyt głęboki, żeby mógł zgasnąć za jednym dmuchnięciem. Mimo to słowa ojca podziały jak kubeł zimnej wody na rozpaloną głowę młodzieńca.

– Tak, ojcze, to jest związek legalny – odpowiedział – ale czasami wydaje mi się, że daleko mu do legalności. Co popycha tego człowieka do małżeństwa z nią?

Mimo powagi sytuacji As-Sajjid pomyślał z ironią: „A może lepiej zapytać, co ją do tego popycha?”

– To żądza... Nic innego – ciągnął Jasin.

– A może on ma uczciwe zamiary?

– Nie, to tylko żądza! – krzyknął Jasin z gniewem.

– To żądza jej pieniędzy, majątku – powiedział spokojnie As-Sajjid bojąc się, że Jasin znowu wpadnie w furję.

Rzeczywiście, była to korzystna zmiana tematu i świadczyła o przenikliwości As-Sajjida. Skoncentrowanie się bowiem młodzieńca na tym, co popycha tego mężczyznę do małżeństwa, nie budziło w nim takich emocji, jak myślenie o tym, czym kieruje się jego matka. Legalność tego małżeństwa też zaniepokoiła Jasina i szybko, z przekonaniem, podzielił obawy ojca. Hanijja, matka Jasina, była dość bogata, to prawda, a z licznych małżeństw i przygód miłosnych jej majątek wychodził bez uszczerbku. Jednak czasy, kiedy była dziewczyną piękną, uwodzicielską i władczą, kiedy bano się jej, ale nie bano się o nią, minęły, teraz było mało prawdopodobne, żeby panowała nad sobą, nie mówiąc już o władzy nad innymi, więc majątek jej mógł się rozproszyc w rozgrywkach miłosnych, w których cugle już wysuwały się jej z rąk. Byłoby więc wręcz zbrodnią, żeby Jasin wyszedł z piekła tej tragedii nie tylko ze zranioną dumą, ale i z pustymi rękami.

– Myślę, że masz rację, synu – mówił As-Sajjid – uważając, że kobieta w jej wieku jest łatwą ofiarą ludzi chciwych, żądnych pieniędzy. Ale co możemy zrobić? Mamy szukać drogi do tego mężczyzny, żeby go skłonić do zaniechania planów? Atak na niego, obietnice i groźby to nie jest postępowanie, które nasze wychowanie akceptuje. Także błaganie go i przekonywanie byłoby poniżeniem, na które nie godzi się nasza godność i cześć. Pozostaje ona sama. Wiem, jaka przepaść wykopana została między wami, i wiem też, że stało się to nie bez powodu. Przyznaję, nie byłbym zadowolony, gdybyś naprawił, co zostało między wami zerwane, ale sytuacja jest przymusowa i istnieją istotne powody do naprawienia stosunków.

Będzie to trudne, ale to przecież powrót do matki, i kto wie, może twoje nieoczekiwane pojawienie się przywróci jej rozsądek.

Jasin siedział przed ojcem milczący i zmieszany, jak medium przed hipnotyzerem w momencie poprzedzającym uśpienie. I mogło to świadczyć o wrażeniu, jakie wywarły na nim słowa ojca, a może o tym, że spodziewał się takiej sugestii i że pomysł ten chodził mu po głowie już przed przyjściem do sklepu.

– Czy to najlepsze wyjście? – zapytał.

– Myślę, że tak – odpowiedział ojciec stanowczo.

– Jak ja do niej wrócę? Jak znowu wracać do przeszłości, od której uciekłem i którą bym najchętniej usunął całkowicie ze swojego życia. Nie mam matki! Nie mam matki!

Ale to były tylko słowa i As-Sajjid wyczuwał, że Jasin zgadza się z jego opinią.

– To wszystko prawda – powiedział – ale myślę, że twoje nagłe pojawienie się u niej po tak długiej nieobecności nie przejdzie bez śladu. A może widok syna, dojrzałego młodzieńca, przywróci jej macierzyńskie uczucia i odstąpi od tego, co mogłoby zaszkodzić twojemu honorowi. Może w ogóle zmieni swoje życie. Kto wie?

Jasin opuścił głowę pogrążony w myślach. Drżał ze strachu przed skandalem, ale lęk przed utratą majątku, który miał nadzieję kiedyś odziedziczyć, też miał znaczenie. Co miał zrobić? Z której strony by patrzył, nie znajdzie lepszego rozwiązania niż to, które podsunął mu ojciec. A że propozycja wyszła od As-Sajjida, dodawało jej tylko powagi i ważności i uwalniało od wielu kłopotów. „Niech tak będzie”, pomyślał, a głośno powiedział:

– Jak uważasz, ojcze.

Serce mu biło i brakowało tchu w piersiach, kiedy wchodził na Al-Dżamaliję. Nie był tu jedenaście lat. Minęło jedenaście lat, w czasie których jego serce ani razu nie zatęskniło do tego miejsca, a każde wspomnienie miało czarną aureolę koszmaru. Nie wyjechał stąd, ale uciekł przy pierwszej nadarzającej się okazji i odwrócił się do wszystkiego plecami, wściekły i zrozpaczony. Nigdy tu nie zaglądał ani nie przechodził przez tę ulicę w drodze do innych dzielnic, ale była to jednak ulica jego dzieciństwa, wczesnych lat chłopięcych. Nic się nie zmieniła. Nadal jest wąska, tak że ręczny wózek mógłby ją zatarasować, maszrabijje domów prawie się dotykają, małe sklepiki przylegają do siebie, tłum i hałas, wrze w niej jak w ulu, piach, pełno dziur wypełnionych błotem, po których biegają chłopcy zostawiając ślady stóp. Smażalnia Amm Hasana, „restauracja” Amm Sulajmana, wszystko jak dawniej. Omalże nie uśmiechnął się z rozczulenia, ale od razu stanęła mu przed oczami gorzka przeszłość i nędzna terażniejszość.

Oto zaułek Kasr asz-Szauk, słyszy walenie własnego serca. U wejścia do niego, po prawej stronie kosze pomarańczy i jabłek, na trotuarze, rozstawione porządnie przed sklepem z owocami. Zagryzł wargi i spuścił wzrok ze wstydu. Przeszłość splugawiona hańbą, głowa zakopana w błocie wstydu, skargi bólu i upokorzenia to jedna szala, druga to ten sklep, sam sklep, i chybaby przeważył, bo to symbol dzielnicy Z dawnych czasów. Jego właściciel, koszyki, owoce, samo to miejsce krzyczy, wyje o klęsce Jasina. Przeszłość, wydarzenia, wspomnienia z natury rzeczy ulegają zatarciu, ale ten sklep jest żywym świadectwem nie pozwalającym zapomnieć. Każdy krok zbliżający go do rogu jednocześnie cofał go o wiele kroków w przeszłość. Widział znowu w sklepie chłopca mówiącego do właściciela: „Mama prosi, żeby pan przyszedł dziś wieczorem”, albo roześmianego, wracającego do domu z torbą owoców, albo strofowanego przez matkę, kiedy pokazywał na ulicy palcem tego pana, albo szlochającego na widok napastowanej matki. Ten ostatni fakt zrobił z niego innego człowieka i potem, za każdym razem, kiedy mu się przypominał, w połączeniu z nowymi doświadczeniami, stawał się dla niego samą ohydą. Osaczały go obrazy przeszłości, waliły się na niego jeden za drugim i nie mógł się od nich uwolnić; wyśliznął się z jednego, napadał go inny. Szedł pchany nienawiścią i gniewem. „Jak ja przejdę do zaułka, skoro u jego wylotu stoi ten sklep i ten człowiek?”, myślał. „Może stoi na tym samym co zawsze miejscu? Może będę dla niego tym, kim byłem kiedyś? Nie spojrzę w jego stronę, żadna siła mnie nie zmusi. Czyby mnie poznał, gdyby nasze oczy spotkały się? Jeżeli mnie pozna, zabiję go! Ale jak on mnie może poznać? Nikt w tej dzielnicy mnie nie pozna po jedenastu latach! Zostawiłem ją jako chłopiec, a wracam jako byk. Do tego z rogami. Niestety, nie dana nam jest taka siła, żeby zniszczyć wszystkie jadowite gady, które chodzą po świecie i kęsają.”

Wszedł szybkim krokiem do zaułka, wyobrażając sobie, że wszyscy na niego patrzą i pytają się nawzajem: „kiedy i gdzie widzieliśmy tę twarz?” Wspiął się ulicą wznoszącą się nierównomiernie, zbierając energię na spotkanie z matką. Żeby otrząsnąć z twarzy i głowy

duszący pył wspomnień i oddalić się od nich, zaczął przypatrywać się temu, co działo się dookoła niego. „Nie narzekaj na męczącą drogę – mówił do siebie – jak byłeś mały, to się cieszyłeś, zjeżdżając po jej pochyłości na drewnianej desce”. Zobaczył znane ściany domu. „Dokąd ja idę?”

Do kogo? Do matki. Dziwne. Wierzyć się nie chce. Jak to będzie, kiedy ją zobaczę? Jak mnie przyjmie? Wolałbym...” Skręcił w prawo i skierował się do pierwszych drzwi po lewej stronie. To był ten sam stary dom, bez żadnej wątpliwości. Bez wahania podszedł do niego, tak samo jak kiedy był dzieckiem, ale tym razem pchnął mocno drzwi i ciężkim, powolnym krokiem wszedł po schodach. Mimo wzburzenia rozglądał się wokół porównując rzeczywistość z obrazem zachowanym w pamięci. Wydawało mu się, że jest trochę ciaśniej, schody węższe, nieco schodzone od strony studzienki. Minał parter i pierwsze piętro, które były wynajmowane, i wszedł na samą górę. Stał chwilę nasłuchując, pierś podnosiła mu się i opadała, wreszcie wzruszył ramionami lekceważąco i zapukał do drzwi. Chyba po jakiejś minucie drzwi otworzyła służąca w średnim wieku, a kiedy zobaczyła obcego, schowała się i grzecznie zapytała, czego chce. Zdenerwował się nagle i bez powodu, że służąca nie wie, kim jest. Wszedł sam i skierował się do gościnnego pokoju, mówiąc tonem rozkazującym:

– Powiedz swojej pani, że przyszedł Jasin.

„Ciekawe, co ta służąca o mnie myśli.” Odwrócił się i zobaczył, że szybko weszła do wnętrza, może z powodu tego tonu, a może... Przygryzł wargi i wszedł automatycznie do pokoju gościnnego; znał na pamięć rozkład domu i nie potrzebował przewodnika, gdyby był w innej sytuacji, niż jest, krążyłby, wspominając, od łazienki, gdzie noszono go, gdy płakał, do maszrabijji, przez której otwory co wieczór patrzył na orszak weselny. Ciekawe, czy te meble są jeszcze z tamtych czasów? Pamięta tylko długie lustro umocowane w połączanej misie, w której w specjalne otwory powkładane były różnokolorowe sztuczne kwiaty. Z dwóch górnych rogów lustra zwisały lampiony wykonane z kryształów, które, jak pamięta, zawsze go pociągały, bawił się nimi, a świat wydawał mu się kolorowy, gdy przez nie patrzył.

Dzisiejsze meble nie są na pewno meblami z wczoraj i to nie tylko dlatego, że są nowe, ale ponieważ pokój kobiety kilkakrotnie zamężnej musiał się zmieniać czy też odnawiać. Zmienił go jego ojciec, potem handlarz węglem, potem ten kapral... Napięcie i niepokój nie opuszczały go i zrozumiał, że w momencie, kiedy zapukał do drzwi starego domu, rozdrapał ciągle opuchniętą ranę i zaczął grzebać się w ropie.

Nie czekał długo, może nawet szybciej, niż przypuszczał, usłyszał drobne kroki i jakieś słowa, których nie rozróżniał. Potem drzwi uderzyły go w plecy. Stał ciągle tyłem, czując jej obecność.

– Jasin! Synu mój! Nie mogę uwierzyć! O, Panie, jesteś już mężczyzną! – krzyknęła urywanym głosem.

Krew napłynęła do jego pełnej twarzy. Odwrócił się zmieszany nie wiedząc, jak ją powitać. Ale kobieta wybawiła go z kłopotu, podbiegła do niego, objęła ramionami, przycisnęła mocno i zaczęła całować jego pierś – dotąd tylko sięgały jej usta. Ukryła na niej twarz zalaną łzami. Stał wyprostowany, nie poruszył się ani nie wymówił słowa. I mimo że dla niego samego ta jego skamieniałość była nie do zniesienia, nie zrobił ani jednego ruchu. Był bardzo wzruszony, ale sam nie wiedząc dlaczego, nie dawał znaku żyda i mimo jej

gorącego powitania nie znalazł w sobie chęci, żeby rzucić się w jej ramiona i pocałować ją. Nie mógł oddalić smutnych wspomnień, które od lat chłopięcych, jak chroniczna choroba, toczyły jego duszę. I choć całą siłą woli starał się usunąć z teraźniejszości teatr przeszłości, żeby móc skoncentrować myśli i opanować nerwy, to jednak przeganiana przeszłość kładła się ciemnym cieniem na jego sercu, jak mucha odganiana z ust, która jednak zostawiła już bakterię choroby. W tym strasznym momencie rozumiał więcej niż w całym swoim życiu, pojął smutną prawdę, że kobieta, przez którą tak długo cierpiał męki, jego matka, wyrwana została całkowicie z jego serca. Podniosła głowę, jakby prosząc, żeby zbliżył twarz. Nie mógł odmówić, schylił się, a ona ucałowała go w policzki i w czoło. Oczy ich spotkały się. Pocałował ją w czoło zmieszany i ze wstydem, bez żadnych innych uczuć.

– Powiedziała mi „przyszedł Jasin” – mamrotała. – Jasin? – spytałam. – Kto to taki? Ale kto może być, jeśli nie on? Mam tylko jednego Jasina. Tego, który odrzucił mój dom i odrzucił mnie. Co się stało? Jak to się stało, że w końcu Bóg wysłuchał mojej modlitwy? Biegłam jak "szalona, nie wierząc własnym uszom. I oto jesteś. Ty, nikt inny, chwala Bogu. Zostawiłeś mnie jako chłopiec, wróciłeś jako mężczyzna. Zżerała mnie tęsknota za tobą, gdy ty w ogóle nie czułeś mojego istnienia.

Objęła go i podprowadziła do kanapy, a on myślał tylko, kiedy skończy się ta napierająca na niego fala gorącego powitania i otworzy droga do celu, w którym przyszedł. Przy tym spoglądał na nią ukradkiem i z ciekawością pomieszaną ze zdziwieniem i niepokojem. Chyba się wcale nie zmieniła, jedynie zaokrągliła się jej figura, nie tracąc wcale pięknych kształtów. Co do okrągłej twarzy koloru pszenicy, czarnych, umalowanych kulem oczu, to wszystko było prawie takie, jak kiedyś. Nie ucieszył go jej makijaż ani ozdoby na szyi, myślał smutno, że z wiekiem nie przeszło jej zamiłowanie do ozdób i malowania się, nawet bez powodu, nawet wtedy, kiedy była sama.

Usiedli obok siebie, a ona wpatrywała się w jego twarz to z czułością, to z podziwem, oceniając jego wzrost i tuszę i cały czas mówiła cicho:

– Och, Boże, nie chce mi się wierzyć własnym oczom. Chyba śnię. To jest Jasin. Ileż to zdrowia straciłam, żeby się z tobą zobaczyć, zapraszałam cię, prosiłam, wysyłałam jednego posłańca za drugim. Jak twoje serce mogło być dla mnie tak okrutne? Jak mogłeś odrzucać moje gorące zaproszenia, jak mogłeś być głuchym na wezwania mojego smutnego serca? Jak?... Dlaczego?... Jak mogłeś zapomnieć, że masz tu matkę samotną, opuszczoną?

Ostatnie zdanie trochę go zdziwiło. I chyba pod wpływem zakłopotania poczuł się winny. Owszem, były sprawy, które co rano i wieczór przypominały mu, że ma matkę. Ale jakie sprawy! Zmieszany spojrzął na nią i oczy ich spotkały się na moment.

– Dlaczego nic nie mówisz? – spytała.

Jasin westchnął głośno nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

– Myślałem o tobie często, ale to wszystko było zbyt bolesne – odezwał się w końcu.

Blask, który płynął z jej oczu, zmatowiał, zasnuła je chmura rozczarowania i bezsilności, którą przywiały wiatry wiejące z głębi smutnej przeszłości. Nie szukała już jego wzroku, spuściła oczy smutna.

– Myślałam, że już jesteś wolny od smutków przeszłości. Naprawdę, Bóg jeden wie, że to, co popełniłam, niewarte było gniewu, jaki cię popchnął do odejścia na jedenaście lat.

Zdziwił go i rozgniewał zarzut matki. Czy ona naprawdę tak myśli? Do tego stopnia lekceważy to, co zrobiła? A może myśli, że on jest taki głupi jak kiedyś? Całą siłą woli powstrzymywał się, żeby nie wybuchnąć.

– Mówisz, że to, co robiłaś, nie zasługuje na mój gniew? Uważam, że zasługuje na więcej niż gniew.

Rzuciła się na oparcie kanapy i z wyrzutem patrzyła na niego.

– Czy kobieta popełnia grzech, wychodząc po rozwodzie drugi raz za mąż?

W nim szalał ogień gniewu, a matka mówiła z prostotą, przekonana o własnej niewinności. Czy to grzech, że kobieta wychodzi za mąż po rozwodzie? Nie, to nie jest grzech. Ale jeżeli ta kobieta jest twoją matką, to co innego, to zupełnie co innego. Jakie małżeństwo ona ma na myśli? Które? Bo tu były małżeństwa i rozwody, małżeństwa i rozwody... Najstraszniejszy był ten handlarz owocami. Czy ma go jej przypomnieć? Czy ma jej rzucić w twarz całą gorycz wspomnień? Czy ma jej jasno powiedzieć, że już nie jest taki głupi, jak ona myśli? Stracił nieco panowanie nad sobą.

– Małżeństwo i rozwód, małżeństwo i rozwód... to są sprawy bezwstydne, nie licują z tobą, to one bezlitośnie poszarpały mi serce.

– To tylko pech – powiedziała z rozpaczą skrzyżowawszy ręce na piersiach. – Nie mam szczęścia, to wszystko.

– Nie próbuj się usprawiedliwiać, bo to jeszcze gorzej. Lepiej zarzućmy zasłonę na wspomnienia, niech zakryje to, czego nie jesteśmy w stanie wymazać z naszego życia.

Umilkła z niechęcią. Tyle nadziei przyniosła jej ta wizyta, tyle wzruszeń. Patrzyła na niego, jakby chciała mu powiedzieć wszystko, co jej leży na sercu.

– Dlaczego znęcasz się nade mną? Jesteś przecież moim jedynym dzieckiem – powiedziała, kiedy cisza zaczęła jej ciążyć.

Rzeczywiście jest jej jedynym synem. Było to dla niego odkrycie, ale mu nie ulżyło, przeciwnie, jego wzburzenie jeszcze wzrosło. Jeden syn, jedna matka, a ilu ojców! Odwrócił głowę, aby ukryć wstręt, zamknął oczy, uciekając od natłoku obrzydliwych obrazów. Usłyszał, jak mówi miękko i z czułością.

– Pozwól mi uwierzyć, że moje szczęście to nie złudzenie, że to rzeczywistość, że przyszedłeś do mnie, strąsając z siebie na zawsze wszystkie żale przeszłości.

Patrzył na nią długo, skupiony, to znowu myśli ulatywały mu gdzieś daleko, ale nic nie było w stanie zmienić jego planów.

– To zależy od ciebie, jeżeli chcesz, będzie, jak mówisz – powiedział w sposób, który wskazywał na to, że jej uczucia niewiele dla niego znaczą.

W oczach matki pojawił się niepokój, prawie strach.

– Z całego serca pragnę twej miłości, zawsze pragnęłam, ileż razy biegłam do ciebie, ale ty odrzucałeś mnie bezlitośnie.

Za bardzo był zaprzątnięty własnymi myślami, żeby zwracać uwagę na to, co mówi.

– To, czego pragniesz, jest w twoim ręku, gdybyś zechciała wreszcie uczynić z mądrości swojego przewodnika.

– Co masz na myśli?

„Udaje, że nie wie, o co chodzi”, myślał z gniewem.

– Sprawa jest prosta, odstęp od tego, co, o ile prawdziwa jest wiadomość, która do mnie dotarła, byłoby dla mnie śmiertelnym ciosem.

Oczy jej rozszerzyły się, twarz spochmurniała.

– Co masz na myśli? – szepnęła.

– Chodzi mi o to, żebyś porzuciła zamiar nowego małżeństwa. Nie jestem już dzieckiem i nie mam ochoty znosić następnego ciosu.

Opuściła smutno głowę i trwała tak, jakby w uśpieniu, a kiedy ją podniosła, głęboki smutek malował się na jej twarzy.

– Więc to dlatego przyszedłeś? – szepnęła.

– Tak – odparł bez namysłu.

Słowo to padło jak pocisk. I oto nagle wszystko się dokoła niego zmieniło. W pokoju jakby pociemniało, zachmurzyło się. I kiedy potem wracał myślami do rozmowy z matką i powtarzał sobie wszystko, przy tym słowie wahał się, nie wiedząc, czy popełnił błąd, czy zrobił dobrze.

– Jakżebym pragnęła, żeby moje uszy kłamały – szeptała.

Chyba się pospieszył. Był zły na siebie i cały gniew przelał na nią. Zaczął mówić gwałtownie, bez zastanowienia, pogarszając jeszcze sytuację.

– Robisz to, na co ci przyjdzie ochota, na nikogo się nie oglądasz, a ja zawsze jestem ofiarą. Bez winy i bez grzechu. Myślałem, że życie nauczyło cię rozsądku, a tu masz, mówią mi jakieś dziwne rzeczy, że masz zamiar znowu wyjść za mąż. Co parę lat skandal. Bez końca skandale!

Słuchała go jakby obojętna, pogrążona w rozpacz.

– Ty jesteś ofiarą i ja jestem ofiarą, obydwójecie jesteśmy ofiarami podjudzania twojego ojca i tej kobiety, która żyje na jego utrzymaniu.

Zdziwił go i prawie rozśmieszył ten zwrot w rozmowie.

– Mój ojciec i jego żona nie mają tu nic do rzeczy. Nie zrzucaj winy za swoje grzechy na niewinnych.

– Nie wiem, czy jest syn bardziej okrutny od ciebie – jęknęła. – Tak ze mną rozmawiasz po jedenastu latach rozłąki?

– Grzeszna matka urodziła okrutnego syna...

– Nie jestem grzesznicą... Nie jestem grzesznicą... Ale ty jesteś okrutny, masz twarde serce jak twój ojciec.

– Znowu wracamy do mojego ojca – krzyknął zniecierpliwiony. – Liczy się to, co dotyczy nas... Módl się do Boga i nie rób nowego skandalu. Za żadną cenę nie chcę do niego dopuścić.

– A co cię to obchodzi? – spytała naraz zimno.

– Jak mają mnie nie obchodzić skandale dotyczące mojej matki?

– Masz prawo nie uważać mnie za swoją matkę.

– Co przez to rozumiesz?

– Wyrzekłeś się mnie na tyle lat, więc i teraz niech cię nie obchodzą moje sprawy.

– Dostyc tego! Nie pozwolę, żebyś szargała moją cześć.

– Bóg świadkiem, nie ma w tej sprawie niczego, co by ci psuło reputację.

– A więc upierasz się przy tym małżeństwie?

Długo siedziała z opuszczoną głową, w rozpacz, nic nie mówiąc, po czym głęboko westchnęła i odezwała się ledwie słyszalnym szeptem:

– Sprawa jest przesądzona, umowa podpisana, już nie mogę się wycofać.

Jasin zerwał się na równe nogi, zbladł, wściekłym wzrokiem patrzył na jej opuszczoną głowę.

– Ty... ty zbrodniarko! – ryknął.

– Niech ci Bóg wybaczy – powiedziała pokornie.

Miał ochotę rzucić jej w twarz wszystko, co wiedział o jej życiu, o czym ona myślała, że nie wie, o tym czarnym przypadku Z handlarzem owoców, żeby zemścić się na niej w jak najgorszy sposób, żeby jak kamieniem rozbić tym jej głowę. Zmarszczył brwi, oczy ciskały błyskawice i groźby. Otworzył usta, żeby wyrzucić ten pocisk, ale język nie poruszył się, przykleił się do podniebienia, jakby przyciągany przez mózg, i Jasin nic nie mógł na to poradzić. Mijały straszne chwile, jak podczas trzęsienia ziemi, kiedy człowiek czuje przez moment oddech śmierci na twarzy, a potem wszystko wraca do poprzedniego stanu. Jęknął powstrzymując gniew, wycofał się, a po czole spływał mu zimny pot. Kiedy później przypominał sobie tę sytuację, podczas tego dziwnego spotkania, odczuwał ulgę. Był zadowolony, a nawet pełen podziwu dla siebie, że się powstrzymał, że się wycofał, a co najważniejsze obronił swoją godność. Nie chodziło mu o jej godność, która i tak była podeptana. Wyładował swój gniew na pięściach, uderzając jedną o drugą.

– Zbrodniarka! – krzyczał. – Skandal! Ależ ja byłem głupi sądząc, że tą wizytą coś wskóram. Jak po tym wszystkim mogłaś jeszcze wymagać mojej miłości?

– Miałam nadzieję, że kiedyś, mimo wszystko, będziemy żyli w miłości. Twoja wizyta rozbudziła tę nadzieję. Oddałabym ci całą miłość mojego serca, bez reszty.

Odsunął się od niej, jakby uciekał od jej miękkich, czułych słów, które już nie wzbudzały jego gniewu, czuł tylko rozpacz, że wizyta w tym znienawidzonym domu nic mu nie dała.

– Szkoda, że nie mogę cię zabić – powiedział, odwracając się i kierując do wyjścia.

– Przynajmniej uwolniłbyś mnie od tego życia – powiedziała smutno.

Spojrzał na nią ponuro, z nienawiścią, i wyszedł z pokoju, a podłoga ugięła się pod ciężarem jego kroków. Na ulicy zaczął wracać do siebie i wtedy przypomniało mu się, że ani jednym słowem nie wspomniał o majątku. Po prostu zapomniał, tak, jakby to nie był główny powód tej wizyty.



## 19

Amina uchyliła drzwi i zajrzała do pokoju.

– Czy mój mały pan czegoś nie potrzebuje? – spytała delikatnie.

– Wejdz, mamusiu, choć na pięć minut – krzyknął Fahmi.

Weszła zadowolona z zaproszenia. Fahmi siedział przy biurku z twarzą poważną i zatroskaną. Zaraz wstał, wziął ją za rękę, zaprowadził do kanapy i usiadł obok.

– Wszyscy śpią? – spytał.

Kobieta zrozumiała, że nie została zaproszona ot tak sobie. Bo skąd to zatroskanie Fahmiego, siedzenie w samotności? Zaniepokoila się, jako że troski dzieci natychmiast przenosiły się na nią.

– Chadidża i Aisza, jak zwykle o tej porze, już poszły do swojego pokoju, a Kamala właśnie położyłam do łóżka.

Fahmi czekał na tę chwilę od wczesnego wieczora, kiedy wszedł do swojego pokoju, żeby się uczyć. Nie mógł skoncentrować uwagi na książkach. To łowił uchem rozmowy matki z siostrami, to słuchał, jak matka z Kamalem uczyli się na pamięć wersetu z sury *Amma*<sup>18</sup>. Wreszcie zapadła cisza i matka przyszła powiedzieć mu dobranoc. Napięty do ostateczności poprosił, żeby weszła. Mimo że matka wyglądała jak łagodna gołębica i nigdy wobec niej nie czuł skrępowania ani strachu, to jednak trudno mu było wyznać, co mu leży na sercu. Ogarnęło go zmieszanie i wstyd.

– Zaprosiłem cię, mamu – powiedział po długim milczeniu – aby poradzić się w sprawie bardzo dla mnie ważnej.

– Słucham cię, synku – odparła z coraz większym zainteresowaniem i odrobiną strachu.

Wzdychał głęboko, żeby ulżyć napiętym nerwom.

– Co byś powiedziała... to znaczy, gdyby to było możliwe... – jąkał się zmieszany. – Nie mam nikogo poza tobą, komu mógłbym powierzyć tajemnicę mojej duszy.

– No pewnie, synku, no pewnie – potwierdziła.

– Co byś powiedziała, gdybym cię poprosił, żebyś przedstawiła ojcu moją prośbę o rękę Mariam, córki naszego sąsiada Muhammada Ridwana?

Amina przyjęła jego słowa najpierw ze zdziwieniem, potem uśmiechnęła się zakłopotana. Ustąpił strach, który ścisnął jej serce, gdy czekała na wyznanie Fahmiego, i wreszcie twarz jej rozjaśnił uśmiech szczerzej, czystej radości.

– Naprawdę tego pragniesz? Powiem ci szczerze, co o tym sędzę.

Dzień, w którym poproszę dla ciebie o rękę przyzwoitej dziewczyny, będzie najszcześniejszym w moim życiu.

Fahmi zaczerwienił się z radości.

– Dziękuję, mamu – powiedział wzruszony.

---

<sup>18</sup> Koran, sura LXXVIII, Wieść, rozpoczynająca się od słowa Amma.

– Co za szczęśliwy dzień. Wiele się w życiu namęczyłam, wszystko znosiłam cierpliwie, nie będzie to chyba za wiele, jeżeli Bóg wynagrodzi mój trud i cierpliwość takim wyczekiwany dzień. A może wieloma takimi dniami? Może moje oczy nacieszą się szczęściem twoim i twoich sióstr?

Oczy jej błędziły w szczęśliwych marzeniach, aż nagle ocknęła się zaniepokojona, jak kotka, kiedy nagle pojawi się przed nią pies.

– Ale... twój ojciec... – wyjąkała.

– Dlatego chcę cię prosić o radę.

– Nie mam pojęcia, co on na to powie. Twój ojciec to dziwny człowiek, nie taki jak wszyscy, widzi występki tam, gdzie dla innych wszystko wygląda normalnie.

– Nie ma w tym nic złego, nic, co by mogło go rozgniewać.

– Takie jest też moje zdanie.

– Oczywiście ślub odłóż się do chwili, kiedy skończę studia i znajdę jakąś pracę.

– Naturalnie... tak.

– Więc dlaczego miałby się sprzeciwić?

„Kto przekona twojego ojca, kiedy mu się zachce odłożyć na bok logikę”, myślała. Ona sama знаła tylko ślepe posłuszeństwo wobec niego, czy miał rację, czy nie, był sprawiedliwy czy nie. Ale głośno powiedziała:

– Mam nadzieję, że pobłogosławi twoje pragnienia...

– Przecież ojciec ożenił się będąc w moim wieku. A ja tego nie chcę, poczekam, aż przyjdzie odpowiednia pora, kiedy wszystkim będzie to po myśli.

– Oby nasz Pan spełnił nasze nadzieje.

Siedzieli jakiś czas spoglądając na siebie w milczeniu, myśląc o tym samym. Doskonale się rozumieli i jedno bez trudu odgadywało, co dzieje się w duszy drugiego.

– Pozostaje tylko zastanowić się, kto mu o tym powie – odezwał się Fahmi.

Kobieta uśmiechnęła się, zrozumiała, że syn ją chce obarczyć obowiązkiem, którego i tak nikt poza nią w rodzinie nie może się podjąć. Nie sprzeciwiła się więc, choć przyjęła go niechętnie, jak wiele innych spraw, prosząc Boga o pomyślny rezultat.

– A kto mu powie, jak nie ja – powiedziała miękko. – Pan nasz nam pomoże.

– Przepraszam cię, gdyby to było możliwe, porozmawiałbym z nim sam.

– Porozmawiam z nim. Za pozwoleniem Boga, zgodzi się. Mariam jest dziewczyną piękną, dobrze wychowaną, z szanowanej rodziny... Ale, ale, czy ona nie jest w twoim wieku albo nawet trochę starsza? – spytała uderzona tym, co jej przyszło do głowy.

– Nie obchodzi mnie to absolutnie.

– Niech Bóg błogosławi i będzie z nami. Zostawiam cię teraz, żeby się zająć moim panem – powiedziała wstając. – Do jutra.

Pocałowała go i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Jakże się zdziwiła, widząc Kamalę siedzącego na kanapie, pochylonego nad zeszytem.

– Co ty tu robisz? – krzyknęła.

Chłopiec zmieszał się.

– Przypomniałem sobie, że zostawiłem zeszyt do angielskiego, i przyszedłem, żeby go zabrać i powtórzyć jeszcze parę słów.

Zaprowadziła go znowu do sypialni i przypilnowała, żeby wszedł do łóżka i przykrył się. Ale chłopiec nie zasnął. To, co się działo na ja-, wie, było zbyt niesamowite i jak tylko usłyszał kroki matki idącej na najwyższe piętro, wyskoczył z łóżka i popędził do pokoju sióstr. Wszedł i nie zamknął za sobą drzwi, tak żeby wpadało światło lampy z salonu i oświetlało część pokoju.

– Chadidża – szepnął, stając przy jej łóżku.

Dziewczyna usiadła zdziwiona, a Kamal wskoczył na łóżko aż sapiąc z podniecenia i jakby mu nie wystarczyła jedna słuchaczka, żeby jej powierzyć swój sekret, przez który nie mógł zasnąć, zaczął potrząsać Aiszą. Ale Aisza już się i tak obudziła, odsunęła kołdrę i podniosła głowę z ciekawością.

– Co cię przyniosło o tej porze? – spytała trochę groźnie.

W ogóle się nie przejął tą groźbą, bo był pewny, że jedno słowo wystarczy, by obie padły z wrażenia... Serce skakało mu z radości i podniecenia.

– Mam niesamowity sekret – powiedział szeptem, jakby ich kto podsłuchiwał.

– Jaki sekret? No, już, pochwal się, co odkryłeś. Gadaj – powiedziała Chadidża.

– Fahmi chce się zaręczyć z Mariam – już dłużej nie wytrzymał.

Aisza poderwała się na łóżku, jakby oblana strumieniem zimnej wody. Smuga słabego światła wpadała do pokoju przez uchylone drzwi, a w jego oświetleniu trzy sylwetki siedzące blisko siebie tworzyły jakby piramidę. Światło chwiało się zgodnie z kołysaniem się knota lampy, na który działał prąd powietrza wpadający do salonu przez otwarte drzwi.

– Skąd wiesz? – spytała Chadidża.

– Wyszedłem z łóżka po zeszyt do angielskiego i usłyszałem głosy w pokoju brata. Usiadłem na kanapie i słuchałem.

I zaczął im opowiadać o tym, co dochodziło do niego zza uchylonych' drzwi, a one słuchały z zapartym tchem.

– Wierzysz w to? – spytała z powątpiewaniem Aisza.

– Wyobrażasz sobie, że wymyśliłby coś takiego? – głos Chadidży dochodził jakby przez telefon z odległego miasta. – Taką długą historię?

– Masz rację – Aisza roześmiała się i odprężyła. – Co innego wymyślić historyjkę o śmierci jakiegoś chłopca na ulicy, a co innego taką.

– Jak do tego doszło? – spytała Chadidża, nie zwracając uwagi na groźby Kamala, który protestował przeciwko aluzjom Aiszy.

– Nie mówiłam ci, że wątpię, żeby Fahmi chodził codziennie na dach tylko dla kwiatków fasoli?

– Tak, to zupełnie inna fasola owinęła mu się dokoła nogi.

– „Nikt nie ma pretensji do ciebie, że go kochasz...” – zanuciła Aisza.

– Cicho – zgaśniła ją Chadidża. – To nie czas na śpiewanie. Mariam ma dwadzieścia lat, a Fahmi osiemnaście. Jak matka zgoda się na to?

– Mama? Ta łagodna gołąbka nie zna słowa „nie”. A zresztą, poczekajmy. Może Mariam nie jest piękna i dobra, co? A poza tym, w naszym domu, jedynym na całej ulicy, nie było jeszcze wesela.

Chadidża też lubiła Mariam, ale miłość nigdy nie mogła ukryć przed jej oczami tego, co można było skrytykować w kochanej osobie, a często, w razie potrzeby, poprzestawała tylko na krytykowaniu. Fakt, że Mariam może zostać żoną brata, obudził jej lęk i zazdrość i natychmiast zwróciła się przeciwko przyjaciółce.

– Zwariowałaś? – krzyknęła. – Mariam jest piękna, ale gdzie jej tam do Fahmiego, oślico! Fahmi jest studentem wyższej uczelni i kiedyś zostanie sędzią. Wyobrażasz sobie Mariam jako żonę wysokiego urzędnika sądowego? Najwyżej ją oceniając, jest taka jak my, a w rzeczywistości nawet nam nie dorównuje, a przecież żadna z nas nigdy nie wyjdzie za mąż za sędziego!

„Kto powiedział, że sędzia jest lepszy od oficera policji?”, pomyślała Aisza, a głośno spytała:

– A dlaczego nie?

– Fahmi będzie mógł ożenić się z dziewczyną sto razy piękniejszą od Mariam – ciągnęła Chadidża nie zważając na siostrę – i będzie to dziewczyna wykształcona i bogata, córka beka, a może nawet baszy. Po co się spieszyć z zaręczynami. To tylko analfabetka z długim językiem, nie znasz jej tak, jak ja ją znam.

Aisza zrozumiała, że Mariam w oczach Chadidży stała się zbiorem wad i niedostatków. Ale zarzucenie jej długiego języka, cechy, którą Chadidża miała w nadmiarze, to było za dużo i Aisza nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Zostawmy sprawę Bogu – powiedziała pojednawczo, tłumiąc śmiech.

– Sprawy boskie są w niebie, a na ziemi jest ojciec i usłyszymy jutro jego zdanie. Wracaj w spokoju do łóżka – powiedziała do Kamala.

Kamal wrócił do siebie. „Jeszcze tylko Jasin nie wie, jutro mu o tym powiem”, pomyślał.

Chadidza i Aisza siedziały w kucki pod zamkniętymi drzwiami do pokoju rodziców na najwyższym piętrze. Wstrzymywały oddech, wyciągały uszy, żeby złapać cokolwiek z rozmowy toczącej się za nimi. Było wczesne popołudnie. As-Sajjid właśnie skończył drzemkę, dokonał ablucji i siedział popijając kawę w oczekiwaniu na wezwanie do popołudniowej modlitwy, żeby się pomodlić przed powrotem do sklepu. Siostry czekały, aż matka rozpocznie rozmowę z ojcem o tym, o czym powiadomił je Kamal, była to bowiem najodpowiedniejsza do tego pora dnia. Dochodził do nich mocny głos ojca, który rozprawiał o zwykłych sprawach domowych, a one z niecierpliwością wymieniały pytające spojrzenia. Wreszcie usłyszały matkę mówiącą z najwyższą pokorą i grzecznością:

– Jeżeli mój pan pozwoli, chciałabym... Fahmi prosił mnie, żebym przedstawiła jego ojcu pewną sprawę.

Aisza wskazała brodą pokój, jakby chciała powiedzieć: „zaczyna się”. Chadidza wyobraziła sobie stan matki przygotowującej się do tej poważnej rozmowy i serce zabiło jej z litości, a usta przygryzła, żeby się nie rozplakać. Usłyszały, jak ojciec odpowiada:

– Czego on chce?

– Fahmi, panie mój, to dobry chłopiec – powiedziała matka po chwili milczenia. – Możesz być zadowolony z niego, jest poważny, utalentowany i grzeczny. Niech Bóg chroni go przed złym okiem. Być może ze względu na swoją pozycję w oczach ojca pozwolił sobie przedstawić tę prośbę...

– Czego on chce? Mówi – Z tonu wywnioskowały, że jest zadowolony, i pochyliły się jeszcze bardziej w kierunku drzwi, patrząc na siebie i nie widząc się wzajemnie.

– Mój pan zna naszego dobrego sąsiada As-Sajjida Muhammada Ridwana.

– Oczywiście, że znam.

– Jest to człowiek godny, podobnie jak mój pan, rodzina szanowana i sąsiedzi nie tacy jak wszyscy sąsiedzi.

– To prawda.

– Fahmi pyta, panie mój, czy pozwoli mu jego ojciec zaręczyć się z Mariam, córką naszego dobrego sąsiada, żeby pozostała z nim związana, zanim przyjdzie czas małżeństwa.

– Zaręczyć się? – w głosie As-Sajjida zabrzmiała nieprzyjemna, gniewna nuta. – Co ty mówisz, kobieto? Przecież to jeszcze chłopiec... Coś takiego, niech to usłyszę jeszcze raz.

Matka powtórzyła prośbę drżącym głosem, a Chadidza, wyobrażając sobie jej sytuację, aż się skurczyła ze strachu.

– On tylko pyta, to tylko pytanie, panie mój, a decyzja należy do ciebie – powiedziała.

– Nie jestem przyzwyczajony do takiej poufałości ze strony syna i zastanawiam się tylko, co mogło tak zepsuć ucznia, żeby do tego stopnia obstawał przy swoich żądaniach. Chyba tylko taka matka jak ty może tak psuć swoich synów. Gdybyś była matką jak należy, nie ośmieliłabyś się powtarzać mi tych brudnych bzdur.

Dziewczęta ogarnęło przerażenie, które w sercu Chadidży mieszało się jednak z uczuciem ulgi, ale po chwili usłyszała pokorny, drżący głos matki:

– Niech mój pan nie bierze na siebie ciężaru gniewu. Wszystko jest nieważne, tylko nie gniewaj się. Ani ja, ani mój syn nie mieliśmy na myśli niczego złego. Fahmi przekazał mi tylko swoje niewinne życzenie, miał dobre intencje, a ja uważałam, że należy przedstawić sprawę tobie. Przekażę mu twoje zdanie, a on się podporządkuje z całą pokorą. Zawsze jest posłuszny twoim rozkazom.

– Będzie posłuszny, czy chce, czy nie chce, ale tobie powiem, że jesteś marną, słabą matką i niczego dobrego spodziewać się po tobie nie można.

– Przekazuję im zawsze twoje polecenia.

– Powiedz mi, co go w ogóle skłoniło do myślenia o tej sprawie?

Dziewczęta natężyły słuch, ale odpowiedzi matki nie usłyszały. Wyobraziły sobie, jak mruga oczami zmieszana i przerażona, i ogromnie się nad nią litowały.

– Ogłuchłaś? Powiedz mi, czy on ją widział?

– Ależ skąd, panie mój, mój syn nie podnosi oczu na sąsiadkę ani ma inne kobiety.

– To dlaczego prosi o jej rękę, jeżeli jej nie widział? Nie miałem pojęcia, że moi synowie spoglądają ukradkiem na kobiety sąsiadów.

– Uchowaj Boże, panie mój, uchowaj Boże, mój syn idąc ulicą nie odwraca się ani na prawo, ani na lewo, a w domu wychodzi ze swojego pokoju tylko wtedy, kiedy musi...

– Więc dlaczego prosi o jej rękę?

– Może słyszał, jak siostry o niej mówiły.

W dziewczęta jakby piorun strzelił, otworzyły usta ze strachu.

– Od kiedy to jego siostry są swatkami? Wielki Boże, czy mam rzucić sklep i pracę i siedzieć w domu, żeby zaprowadzić w nim porządek i chronić przed rozpustą?

– Twój dom jest najprzystojniejszy ze wszystkich – krzyknęła matka z płaczem. – Na Boga, panie mój, nie ma się o co gniewać. Zakończę sprawę tak, jakby jej nigdy nie było.

– A jemu powiedz, żeby się lepiej zachowywał i nie był taki bezczelny. Najlepiej niech się weźmie za studia.

Dziewczęta usłyszały ruch w pokoju, poderwały się i ostrożnie, na palcach, odeszły od drzwi. Matka domyśliła się, że ma wyjść z pokoju – zawsze tak było, kiedy był przez nią niechcący rozgniewany – i nie wracać już, dopóki jej nie zawoła. Doświadczenie nauczyło ją, że pozostawanie przy nim wtedy, kiedy jest zły, i uspokajanie go delikatnymi słowami jeszcze zaognia sprawę. As-Sajjid został sam. Fizyczne oznaki gniewu – w oczach, na skórze twarzy, w ruchach rąk i w mowie – minęły, ale w głębi serca gniew pozostał jak osad *na* dnie garnka. Fakt, że w domu wybuchał gniewem z byle powodu, nie tylko dlatego, że taką prowadził politykę wobec rodziny, ale także z powodu gwałtownego, wybuchowego charakteru, którego tutaj nie hamowały wymogi elegancji ani dobrego tonu, w czym z kolei celował poza domem, był może, dla niego, swojego rodzaju odprężeniem. Wśród ludzi bowiem zmuszony był panować nad sobą, obowiązywała go powściągliwość, tolerancja, uprzejmość i szacunek dla innych. Wiele wysiłku kosztowało go zdobywanie serc. Nierzadko jednak wydawało mu się, że niepotrzebnie uległ wybuchowi gniewu, ale nawet wtedy nie żałował, że przesadził, uważając, że jego złość z błahego powodu zapobiegła może wydarzeniu się czegoś ważnego,

co rzeczywiście zasługiwałyby na jego gniew. Ale to, czego dowiedział się o Fahmim, nie było rzeczą błahą, przeciwnie, uważał to za brzydki kaprys, który nie przystoi studentowi z jego rodziny. Nie wyobrażał sobie, że jakieś „uczucia” mogły wdrzeć się do tego domu, o którego czystość moralną dbał niepomiarnie.

Nadeszła pora popołudniowej modlitwy, dobra okazja do uspokojenia się. Zawsze odzyskiwał po niej spokój ducha i jasność umysłu. Usiadł po turecku na modlitewnym dywaniku, rozłożył dłonie i prosił Boga o błogosławieństwo w finansach i pociechę z dzieci – a zwłaszcza o to, żeby mu było dane być dumnym z synów – o ich prawość, czystość moralną i szczęście. Kiedy opuszczał dom, jego ponury i surowy wygląd był już pozorem, tylko dla postraszenia domowników, niczym więcej. W sklepie opowiedział kilku przyjaciołom „anegdotę dnia” nie jako tragedię, nie lubił opowiadać tragicznych historii, ale jako głupi żart. Komentowali ją żartując i naśmiewając się, a wkrótce i on sam przyłączył się do ich żartów. Kiedy od niego wychodzili, śmiał się już z głębi serca. „Anegdota” ta w sklepie wydała mu się zupełnie inna niż w domu, mógł się z niej śmiać, co więcej, myślał o niej z sympatią. „Kto jest podobny do ojca, nie robi nic złego”, myślał zadowolony.

Kiedy Kamal zbliżał się do drzwi domu sąsiadów, zmierzch zapadał już zdecydowanie, pokrywając uliczki, zaułki, minarety i kopuły. Rzadko mu się zdarzało wychodzić o tej porze i radość z tego niespodziewanego wyjścia mogła zrównoważyć tylko duma z tego, że Fahmi uczynił go swym posłańcem. Tylko jemu jednemu powierzył swój sekret, nikomu innemu, i to dodawało jego wyprawie i jemu samemu szczególnej ważności. Ze zdziwieniem zadawał sobie pytanie, co tak wstrząsnęło Fahmim, że pogrzyżył się w smutku i niepokoju, zaczął wkładać ciemne ubrania i w ogóle stał się inną osobą, nie taką, jak przedtem. Także ojciec wybuchał ostatnio jak wulkan z najbliższego powodu, Jasin mimo łagodności bliski był wybuchu, nawet Chadidża i Aisza miawały napady diabelskiej wściekłości, a Fahmi, ten ideał, w ogóle się nie śmiał; jego śmiech był tylko uśmiechem, gniew zmarszczeniem brwi, głęboki spokój krył prawdziwe uczucia. Nie przypomina sobie, żeby go kiedykolwiek widział w takim stanie. Nigdy nie zapomni, jak rozmawiał z nim w pokoju do nauki, miał błędny wzrok, zatrwożony, drżący głos i po raz pierwszy w życiu mówił do niego gorąco, błagalnym tonem, który go wprowadził w osłupienie.

Powtarzał bez końca słowa, które mu powierzył Fahmi, żeby tylko nie zapomnieć. Z ich sensu rozumiał, że sprawa ma ścisły związek z dziwną rozmową, jaką podsłuchał i o której powiedział siostrom, czym zresztą wywołał między nimi kłótnię. Był przywiązany do Mariam, z którą często żartował, plotkował i kłócił się, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, na jakie naraziła spokój i zdrowie brata. Mariam?!

Jak mogła, właśnie ona, narobić tyle złego ukochanemu, wspaniałemu bratu! Sprawa była dla niego niejasna, tajemnicza, tak zagadkowa, jak życie duchów i zjaw, które od dawna wzbudzało jego ciekawość i lęk zarazem.

Przeszedł pod domem rodziny Ridwanów i skręcił w pierwszy zaułek, gdzie znajdują się drzwi. Dom nie był mu obcy. Ileż to razy przekradał się na jego małe podwórko i zaszywał w kącie, w którym stał ręczny wózek z zepsutymi kołami, a wyobraźnia pomagała mu zreperować go i uruchomić, kiedy tylko chciał. A ileż razy krążył po pokojach bez pytania o pozwolenie, przyjmowany i żartobliwie witany przez panią domu i jej córkę, które uważał za swoje „stare” przyjaciółki. Dom składał się tylko z trzech pokoi i małego salonu pośrodku, w którym, pod oknem wychodzącym na Łazienę Sułtana, stała maszyna do szycia, podczas gdy u nich w domu były większe pokoje i wielki salon, w którym zbierała się rodzina na popołudniową kawę. Kilka rzeczy należących do domu sąsiadów zostawiło w jego duszy ślad sięgający wczesnego dzieciństwa. Na przykład okrągłe gniazdo gołębiczy na najwyższej maszrabijji połączonej z pokojem Mariam. Jego brzeg wystawał ponad róg maszrabijji przylegającej do ściany i dokoła niego wałała się słoma i pióra, a czasami wystawał ogon samicy albo jej dziób, zależnie od tego, jak siedziała. Przyglądał się jej i walczyły w nim dwie chęci; jedna, jego własna, żeby się z nią pobawić i chwycić jej pisklęta, a druga, zauważona u matki, żeby zatrzymać się na granicy ciekawości a życzliwego podglądania, a uczestniczyć w



życiu gołębiczy i jej rodziny tylko w wyobraźni. Albo obraz pięknej kobiety wiszący w pokoju Mariam. Twarz namalowana w jaskrawych kolorach, jasna cera, piękne rysy przewyższające urodą piękność, którą oglądał każdego popołudnia w sklepie Mabusjana. Wpatrywał się w obraz, dopytując o historię jej życia, a Mariam opowiadała mu to, co wiedziała i czego nie wiedziała. Łatwo jej to przychodziło, a na nim robiło ogromne wrażenie i pochłaniało go bez reszty. Więc dom ten był mu znajomy.

Wszedł do salonu nie zauważony przez nikogo. Zajrzał do pokoi i zobaczył w jednym z nich śpiącego w łóżku As-Sajjida Muhammada Ridwana, jak go widywał od lat. Wiedział, że szajch jest chory, słyszał często, że jest sparaliżowany, raz nawet spytał matkę, co to znaczy „sparaliżowany”, a ona, przestraszona, zaczęła błagać Boga, żeby odwrócił od nich złe słowo, które wymówił, tak że wycofał się nie czekając na odpowiedź, cały skulony w sobie ze strachu. Ale od tego dnia As-Sajjid wywoływał w nim ciekawość i współczucie połączone z lękiem. W drugim pokoju zobaczył matkę Mariam siedzącą przed lustrem. Jakaś papką, smarowała sobie policzki i szyję, po czym szybkimi, regularnymi ruchami ściągała ją i sprawdzała gładkość skóry paznokciami. Miała już ponad czterdzieści lat, ale była ciągle piękna, jak jej córka, roześmiana i chętna do zabawy. Zawsze, kiedy go spotkała, chwyciła na rękę i obcałowywała, mówiąc niecierpliwym tonem: „Kiedy ty wreszcie dorośniesz, żebym się mogła ożenić.” Ogarniał go wtedy wstyd i zmieszanie, nawet jeśli jej pieszczoty i żarty sprawiały mu przyjemność. Ciekawość go brała, co to za praktyki czyniła matka Mariam od czasu do czasu przed lustrem. Raz zapytał o to swoją matkę, ale skrzyczała go tylko – była to jej najokrutniejsza metoda wychowawcza – za interesowanie się sprawami, które go nie powinny obchodzić. Matka Mariam miała więcej tolerancji i delikatności i kiedy zauważyła kiedyś, że przygląda się jej ze zdumieniem, zatrzymała go, przykleiła mu do palców to, co z początku uważał za ciasto, przysunęła do niego twarz i powiedziała: „Rób dalej sam, zobacz, co potrafisz.” Zaczął naśladować jej ruchy, aż stwierdziła rozbawiona, że idzie mu całkiem nieźle. Jemu jednak to doświadczenie nie dało żadnej przyjemności, więc zapytał: „Po co ty to robisz?” Roześmiała się: „Poczekaj, za dziesięć lat będziesz wiedział.” Ale właściwie nie musiał czekać, wiadomo przecież, że gładka skóra jest przyjemniejsza niż owłosiona.

Cichutko minął jej drzwi. Jego misja była tak ważna, że mógł się zobaczyć tylko z Mariam, nikim więcej. Siedziała po turecku na łóżku w ostatnim pokoju skubiąc pestki, a przed nią stała filizanka pełna łupin.

– Kamal **1** – krzyknęła zdziwiona i już miała go zapytać, po co przyszedł o tak późnej porze, ale powstrzymała się, żeby go nie przestraszyć i nie zawstydzić. – Zaszczyciłeś nasz dom... Chodź, siadaj koło mnie.

Wyciągnął do niej rękę w geście powitania. Odpiął guziki wysokich butów, zdjął je i wskoczył na łóżko w swojej pasiastej gallabijji i niebieskiej takijji ozdobionej czerwonymi pasami. Mariam roześmiała się i nasypała mu w rękę trochę pestek.

– Poskub trochę, ptaszku, i ruszaj swoimi perłowymi ząbkami. Pamiętasz, jak mnie ugryzłeś w rękę, kiedy cię połaskotałam? O tak... – chciała mu wsunąć rękę pod pachę, ale przycisnęła natychmiast ramiona do piersi i roześmiał się nerwowo, jakby go naprawdę łaskotała.

– Proszę cię, Mariam...

– Aż się trzęsiesz ze strachu, dlaczego? Nie lubisz łąskotek? – spytała zdziwiona. – Spójrz na mnie, wcale się ich nie boję. – Zaczęła się łąskotać sama, obojętnie, spoglądając na niego z pogardą.

– Daj, zobaczymy, jak ja cię połąskoczę.

Podniosła ręce do góry nad głową, a on szybko wsunął palce pod jej pachy i zaczął ją łąskotać z całej siły, wypatrując w jej czarnych oczach pierwszej oznaki słabości. Zmuszony był jednak wycofać się ze wstydem i rozpaczą.

– Widzisz, jaki jesteś słaby, mały mężczyzno! – zadrwiła. – Od dzisiaj nie chwal się, że jesteś mężczyzną. Och, nieszczęście! – krzyknęła, przypominając sobie nagle coś ważnego. – Zapomniałeś mnie pocałować. Tyle razy ci mówiłam, że masz mnie całować na przywitaniu.

Zbliżyła do niego twarz, a on pocałował ją w policzek, przy czym zauważył okruszek pestki przyklejony do policzka i zdjął go, zmieszany. A Mariam ujęła prawą ręką jego podbródek i całowała go raz po raz w usta.

– Jak ci się udało uciec spod ich opieki o tej porze? – zapytała nagle ze zdziwieniem. – Pewnie mama szuka cię teraz po całym domu.

Och, upojony rozmową i zabawą zupełnie zapomniał, po co przyszedł. Przeszywał ją wzrokiem, jakby chciał wydobyć z niej tajemnicę, która wstrząsnęła jego dobrym, statecznym bratem.

– Fahmi mnie przysłał – wyszeptał wiedząc, że przynosi niezwykle wiadomości.

Wpatrywała się w niego z ciekawością, a on czuł, że atmosfera zmienia się, zupełnie jakby się przeniósł z pierwszej klasy do drugiej.

– Po co? – szepnęła wreszcie.

– Powiedział mi: „zanieś jej pozdrowienia ode mnie” – zaczął otwarcie, świadomy ważności tego, co mówi. – „I powiedz, że poprosiłem ojca, żeby pozwolił na zaręczyny, ale nie zgodził się na ich ogłoszenie, dopóki jestem studentem, kazał czekać, aż skończę studia.”

Spuściła oczy, nie mówiąc ani słowa. Zapanowała głęboka cisza, w której słyszał bicie własnego serca.

– On zapewnia, że odmowa nie jest jego winą i że będzie czekał niecierpliwie, żeby jak najszybciej zrealizować to, czego pragnie.

Mariam milczała, a Kamal, nie mogąc odgadnąć wrażenia, jakie zrobiły na niej jego słowa, coraz bardziej podniecony, dodał kusząco:

– Powiedzieć ci, co mówili o tobie Fahmi i mama?

– Co mówili? – spytała bez zbytniego zainteresowania.

Ucieszony tym połowicznym sukcesem opowiedział jej to, co usłyszał zza drzwi, i wydało mu się, że westchnęła.

– Twój ojciec jest człowiekiem silnym i wszyscy się go boją, każdy to wie – powiedziała wreszcie niezadowolona.

– Tak, ojciec taki jest.

Spojrzał na nią z niepokojem, ale siedziała jakby nieobecna.

– Co mam odpowiedzieć bratu?

Roześmiała się, wzruszyła ramionami, coś wymamrotała, a potem oczy jej zabłyśły chytrze i rzekła:

– Powiedz mu, że nie będę wiedziała, co robić, gdy w czasie tych długich lat czekania pojawi się jakiś kandydat.

Kamal nawet nie starał się zrozumieć tych słów, tylko je zapamiętał. Jego misja skończyła się, włożył więc resztę pestek do kieszeni dżilbabu, podał jej rękę na pożegnanie, zsunął się z łóżka i popędził do domu.

Aisza patrzyła w lustro pełna podziwu dla siebie. Kto w całej wspaniałej rodzinie, ba, która dziewczyna w okolicy mogła się pochwalić takimi złotymi warkoczami i niebieskimi oczami? Jasin uwodził ją otwarcie, a Fahmi, kiedy z nią rozmawiał, wpatrywał się w nią z zachwytem. Nawet małemu Kamalowi nie smakowały napoje, jeżeli nie pił z kubka zmoczonego jej śliną. Matka pieściła ją i nazywała „księżycem”, niepokoiła się tylko jej chudością i delikatnością, co z kolei sprawiało, że Umm Hanafi przygotowywała dla niej specjalne tuczące potrawy. Ale sama Aisza chyba najbardziej ze wszystkich zdawała sobie sprawę ze swej wspaniałej urody, na co wskazywała jej wielka o nią troska i dbałość. Tej przesadnej troski Chadidża nigdy nie zostawiła bez komentarza, a nawet ganiła za nią siostrę i robiła jej wymówki. Nie dlatego, że sprawy te uważała za nieważne, wszyscy wiedzieli, że Chadidża odziedziczyła po matce czystość i elegancję. Nie mogła jednak patrzeć spokojnie, jak Aisza zaczyna dzień od czesania się i strojenia nawet do pracy domowej, tak jakby na chwilę nie mogła spuścić z oka swojej urody. Aisza zajmowała się swoją osobą także i z innej przyczyny. Otóż zaraz po wyjściu mężczyzn do pracy pędziła do pokoju gościnnego i wyglądała przez szparę w okiennicach okna wychodzącego na ulicę Bajna al-Kasrajni. Stała tak penetrując ją z niepokojem i strachem. Tego ranka także stanęła za okiennicą, patrząc z trwogą i bijącym sercem na widoczny z okna odcinek między Łażnią Sułtana a ulicą Bajna al-Kasrajni. I oto ukazał się z daleka Oczekiwany. Wyszedł zza zakrętu od strony Al-Churunfusz, dumny, w mundurze z dwoma lśniącymi gwiazdkami na ramieniu. Zawsze, kiedy zbliżał się do ich domu, podnosił oczy nie robiąc żadnego ruchu głową, a kiedy był już koło domu, twarz jego rozjaśniał lekki, ledwie widoczny uśmiech, bardziej wyczuwalny sercem niż zmysłami, jak cieniutki księżyc ledwie wchodzący w pierwszą kwadrę. Potem zniknął pod maszrabiją, a Aisza pędziła do następnego okna wychodzącego na ulicę An-Nahasima, żeby śledzić go dalej. Jakże się przestraszyła, kiedy dziś zobaczyła naraz nad głową Chadidżę, która weszła na kanapę stojącą między oknami i także patrzyła na ulicę. Stała jak przygwożdżona z rozszerzonymi ze strachu oczyma, a całe jej uniesienie przysło. Kiedy i w jaki sposób Chadidża weszła do pokoju? Jak weszła na kanapę, że Aisza nic nie zauważyła? Co zobaczyła? Kiedy, jak, co? Chadidża patrzyła przed siebie, milcząc, ze zmrużonymi oczyma, przeciągała milczenie celowo, jakby chcąc przedłużyć jej tortury. Aisza z wielkim wysiłkiem nieco się opanowała, spuściła oczy i podeszła do łóżka, na próżno udając spokój.

– Przestraszyłaś mnie, staruszko – wyszeptwała.

Chadidża z początku nie okazała zainteresowania, ciągle patrząc przez szparę na ulicę.

– Przestraszyłam cię? – powiedziała ironicznie. – Coś takiego? Przecież wszyscy wiedzą, że jestem czarownicą.

Aisza zacisnęła zęby z gniewem i rozpaczą i powiedziała z większą pewnością siebie:

– Zobaczyłam cię nagle nad głową, a w ogóle nie słyszałam, kiedy weszłaś. Dlaczego tak się skradasz?

Chadidża zeskoczyła na podłogę i usiadła na kanapie.

– Przepraszam, siostró – mówiła dalej ironicznie. – Na drugi raz zawieszę sobie na szyi dzwonek i będę dzwoniła, jak straż pożarna, żebyś się nie przestraszyła.

– Po co zaraz dzwonek, wystarczy, żebyś chodziła jak normalni ludzie, których Pan Bóg stworzył.

– Bóg świadkiem, że chodzę jak normalni ludzie, ale za to ty, jak stałaś w oknie, to znaczy przy szparze, tak byłaś pochłonięta tym, co widzisz przed sobą, że nie wiedziałaś, co się dokoła ciebie dzieje, a więc to ty raczej nie zachowywałaś się jak ludzie, których stworzył Pan Bóg.

– Z tobą tak zawsze... – westchnęła Aisza.

Chadidża umilkła i siedziała zamyślona z podniesionymi brwiami, jakby próbując rozwiązać jakiś trudny problem. Potem z udaną radością, nie patrząc na Aiszę, zaczęła mówić jakby do siebie:

– A więc to dlatego śpiewała: „O ty, z czerwonym lampasem, który wzięłaś mnie w niewolę, ulituj się nade mną.” Ależ byłam naiwna. Myślałam, że to niewinna piosenka, taka dla rozrywki.

Aiszy mocno zabiło serce. Fatalnie wpadła. Złudzenia przysły. O mało nie wybuchnęła płaczem ze zdenerwowania, ale zrobiła jeszcze desperacki wysiłek, żeby się bronić, i krzyknęła:

– O czym ty mówisz? Co to za bzdury!

Chadidża jakby nie słysząc ciągnęła dalej:

– I to dlatego od samego rana się stroisz! Tyle razy zadawałam sobie pytanie, czy to rozsądne, żeby dziewczyna stroiła się do zamiatania i trzepania? Ale, biedna Chadidžo, jakie to tam zamiatanie, jakie trzepanie? Urodziłaś się głupia i głupia umrzesz. Sprzątasz, trzepiesz i ani przedtem, ani potem nie stroisz się. Po co masz się stroić, biedulo. Możesz wyglądać przez szparę, ile chcesz, i dam sobie rękę uciąć, jeżeli zainteresuje się tobą jakiś policjant na obchodzie.

– Jak się nie wstydzisz? – krzyknęła Aisza nerwowo.

– Ona ma rację, Chadidžo, tej sztuki nigdy nie pojmiesz swoim tępym rozumem. Niebieskie oczy, włosy z kłosów złota, czerwony lampas i błyszcząca gwiazdka. To się rozumie.

– Chadidžo, mylisz się, wyglądałam tylko na ulicę, tak sobie, nie po to, żeby zobaczyć kogoś albo żeby ktoś zobaczył mnie.

Chadidża odwróciła się w stronę Aiszy i, jakby po raz pierwszy zauważyła jej protest, powiedziała:

– Mówiłaś coś, dziecinko? Przepraszam cię. Czasami po prostu myślę na głos.

Odwróciła się i mówiła dalej:

– Tak, wszystko jest zrozumiałe i logiczne. Ale jaka jest twoja wina As-Sajjidzie Ahmadzie Abd al-Dżawwadzie? Współczuję ci, szlachetny, czcigodny As-Sajjidzie. Chodź i spójrz na twoje kobiety, panie, korono mej głowy.

Na dźwięk imienia ojca dziewczynie włosy dęba stanęły na głowie. Natychmiast przypomniała sobie jego słowa, kiedy matka przedstawiała mu prośbę Fahmiego o rękę Mariam: „Powiedz mi, jak on ją zobaczyć Nie sądziłem, że moi synowie podglądają kobiety sąsiadów.” Tak mówił o synu, a co powie o córce?

– Chadidžo, tak nie można. Mylisz się! Mylisz się! – krzyknęła zdławionym głosem.

Chadidża nie zwracała na nią uwagi.

– Ciekawe, czy to miłość? Możliwe. Mówi się przecież: „Miłość zawładnęła moim sercem. Niestraszny mi nawet Tukar<sup>19</sup>. Ciekawe, gdzie jest ten Tukar. Może ma ulicy An-Nahasina, ale nie, chyba raczej w domu Ahmada Abd al-Dżawwada.

– Nie mogę tego znieść! Zlituj się! Przestań! O Boże! Dlaczego mi nie wierzysz?

– Bierz się do rzeczy Chadidžo, to nie zabawa, jesteś najstarszą córką. Co obowiązek, to obowiązek, nie ma rady, trzeba, żeby dowiedzieli się ci, których to najbardziej interesuje. Czy sama wyjawisz sekret ojcu? Fakt, że nie wiem, jak mu to powiedzieć. Jasin? O ten, to jakby go nie było, jedyne o co można go prosić, to żeby coś zanucił. Fahmi? Ten z kolei rozplęwa się nad złotymi włosami. Wszyscy są do niczego. Najlepiej, jak powiem mamie, a ona niech postąpi, jak uważa.

Zrobiła ruch, jakby chciała wstać. Aisza rzuciła się do niej w popłochu i złapała ją za ramiona.

– Czego ty chcesz? Co chcesz zrobić? – krzyczała.

– Grozisz mi?

Aisza chciała odpowiedzieć, ale głos jej się rwał, a płacz wstrząsnął ramionami. Chadidża patrzyła na nią w milczeniu, z twarzą ponurą, już bez drwiny. Szloch Aiszy sprawiał jej przyjemność.

– Zrobiłaś błąd, Aiszo – powiedziała poważnie. Na jej ponurej twarzy nos wydawał się jeszcze większy. – Musisz za niego zapłacić. Jak mogło ci coś takiego przyjść do głowy, ty wariatko!

– Mylisz się, źle mnie osądzasz – mamrotała Aisza wycierając oczy.

Chadidża westchnęła i zmarszczyła brwi, jakby miała dość jej straceńczego uporu. Drwina zaspokoiła jej agresywne skłonności i okrucieństwo, zawsze wiedziała, gdzie się zatrzymać, ale pozostały jeszcze inne uczucia, dalekie od agresji i okrucieństwa, niezaspokojone skłonności wypływające z pozycji starszej siostry, ba, nawet uczucia macierzyńskie, które szanował każdy w rodzinie, żeby nie wiadomo jak na niego napadała. Pod wpływem chęci ich zaspokojenia powiedziała:

– Nie upieraj się, widziałam wszystko na własne oczy, nie mam ochoty na żarty, chcę, żebyś jasno zdała sobie sprawę z tego, że popełniłaś wielki grzech. Takiego wybryku ten dom nigdy nie widział i niedopuszczalne jest, żeby coś takiego zdarzyło się teraz i w przyszłości. Tylko bezmyślność mogła cię do tego popchnąć. Posłuchaj mojej rady i bądź rozsądna, nigdy więcej tego nie rób. Taka rzecz wcześniej czy później zostanie odkryta. Wyobraź sobie, co by się stało z nami wszystkimi, gdyby zobaczył cię ktoś z ulicy albo ktoś z sąsiadów. Wiesz, jakie ludzie mają języki. Wyobraź sobie, co by było, gdyby to doszło do ojca. Uchowaj Boże!

---

<sup>19</sup> Miejscowość w Sudanie, do której zsyłano przestępców na ciężkie roboty.

Aisza spuściła głowę, milczała przyznając się tym do winy, a twarz jej pokrył rumieniec wstydu. Jakże żałowała w duchu, że popełniła taki grzech.

– Bądź ostrożna... Pamiętaj, bądź ostrożna, rozumiesz? – powiedziała jeszcze z westchnieniem Chadidża i przybrawszy znowu ironiczny wyraz twarzy dodała: – Przecież cię widział. Co mu zabrania starać się o ciebie jak uczciwy mężczyzna? Jeszcze przyjdzie czas, że ci będziemy gratulowali. I powiemy: „idź z Bogiem” albo, jak wolisz, „idź do stu diabłów”.

Aisza odetchnęła, słaby uśmiech opromienił jej twarz, jak błysk przebudzenia w oku po długim śnie. Chadidża przestraszyła się, że dziewczyna wymyka się jej z rąk; taką rozkosz odczuwała panując nad nią, że nie wytrzymała i krzyknęła:

– Nie myśl, że już jesteś bezpieczna, mój język nie będzie milczał, dopóki go czymś nie przekupisz.

– Co mam zrobić?

– Nie zostawiaj go samemu sobie, bo nabierze złych skłonności,, uracz go czymś słodkim, żeby się od ciebie odczepił, na przykład pudełkiem cukierków od Szamdżarlego.

– Wszystko, co tylko zechcesz.

Zapanowała cisza. Aisza rozmyślała. W sercu Chadidży walczyły sprzeczne uczucia, jak zresztą od początku, zazdrość i gniew, współczucie i czułość.

Pani Amina przygotowywała właśnie naczynia do codziennej popołudniowej kawy, kiedy wpadła do salonu Umm Hanafi. Oczy jej błyszczały, co świadczyło, że przynosi niezwykle wiadomości.

– Proszę pani, przyszły trzy kobiety i chcą się z panią zobaczyć.

Amina stanęła jak wryta. Wpatrywała się chwilę w służącą z takim zainteresowaniem, jakby ta oznajmiała jej rzecz niemożliwą, przybycie kogoś z pałacu królewskiego lub wręcz z samego nieba.

– Obce? – spytała, żeby się upewnić.

– Tak, proszę pani, zapukały do drzwi, więc otworzyłam, a one zapytały: „Czy to jest dom As-Sajjida Ahmada Abd al-Dżawwada?” Odpowiedziałam: „Tak jest.” Zapytały: „Pani na górze?” Odpowiedziałam: „Tai.” Na to one: „Będzie to dla nas honor złożyć jej wizytę.” Zapytałam: „A kogo mam zapowiedzieć?” Na to jedna z nich odparła ze śmiechem: „Same się przedstawimy, zamieść tylko wiadomość.” Więc przybiegłam, jak na skrzydłach, proszę pani, myśląc sobie: „O Panie,, spełniły się nasze sny.”

– Zaprosz je do pokoju gościnnego! Szybko!

Amina chwilę stała bez ruchu pogrążona w myślach. Otworzył się przed nią nowy świat jak w pięknym śnie. Ostatnie lata przysporzyły jej wiele pracy i kłopotów. Ocknęła się i przywołała Chadidżę.

– Trzy obce kobiety są w pokoju gościnnym. Włóż najlepszą suknię- i bądź gotowa – powiedziała, nie mogąc ukryć radości.

Chadidża zarumieniła się ze wstydu. Matka także poczerwieniała,, jakby zarażona jej wstydem, i szybko poszła do swojego pokoju n& najwyższe piętro, żeby przygotować się na przyjęcie gości.

Chadidża patrzyła nieobecny wzrokiem na drzwi, za którymi zniknęła matka. Serce jej waliło aż do bólu. „Co się za tym kryje?”, myślała. Ale jej trzeźwy umysł spowodował, że szybko opamiętała się i zaczęła działać. Najpierw wywołała Kamalę z pokoju Fahmiego.

– Idź do Mariam i powiedz, że Chadidża przesyła jej pozdrowienia i prosi, żeby ci dała puder, kuhl i róż do policzków.

Potem popędziła do swojego pokoju i ściągając dżilbab krzyknęła do Aiszy:

– Wybierz mi najlepszą suknię, absolutnie najlepszą!

– Z jakiego powodu? Ktoś przyszedł?

– Trzy kobiety – szepnęła Chadidża. – Obce – podkreśliła.

– Och, co za wiadomość – krzyknęła Aisza zdumiona i uradowana. – Czy należy rozumieć, że...

– Nie spiesz się z wnioskami. Kto to wie?

Aisza otworzyła szafę, żeby wybrać odpowiednią suknię.



– Coś wisi w powietrzu – powiedziała z uśmiechem. – Pachnie weselem, jak dobrymi perfumami.

Chadidża roześmiała się, żeby ukryć niepokój. Podeszła do lustra, obejrzała się z uwagą, po czym zakryła nos dłonią i powiedziała z sarkazmem:

– Teraz ujdzie, gęba do przyjęcia, ale tak... – zabrała dłoń – to cały ratunek w Bogu.

– Nie wpadaj w kompleksy – powiedziała Aisza, pomagając jej włożyć białą suknię haftowaną w fioletowe kwiaty. – Czy narzeczona ma tylko nos? A oczy? A długie włosy, a humor? No i nikt się nie uratuje przed twoim językiem.

– Ludzie widzą tylko wady.

– To prawda, jeśli są to ludzie twojego pokroju, ale chwała Bogu nie wszyscy są tacy jak ty.

– Odpowiem ci, jak będę w nastroju.

– Nie zapominaj o swojej kształtnej, pełnej figurze. O, Boże, ale ciało! – mówiła Aisza, układając jej sukienkę w talii.

– Gdyby narzeczony był ślepy, niczym bym się nie przejmowała, ^zgodziłabym się na niego, nawet gdyby był szajchem Al-Azharu.

– A co masz przeciwko szajchom Al-Azharu? Bóg dał im wszystko, co najlepsze.

– Co ci jest? – spytała Chadidża widząc, że Aisza zmarkotniała.

– W naszym domu nie ma szczypty pudru ani kuhlu, ani żadnego różu, tak jakby nie było w nim kobiet.

– Ten wyrzut skieruj do ojca.

– Czy mama nie jest kobietą? Nie ma prawa malować się?

– Ona jest i tak piękna, bez malowania.

– A pani? Czy w takim stanie przyjmie pani gości?

– Już wysłałam Kamala do Mariam, żeby przyniósł, co trzeba – roześmiała się Chadidża.

– Czy taka nie umalowana gęba nadaje się do przyjmowania swatek?

Żeby nie tracić ani chwili Chadidża zdjęła z głowy chustkę i zaczęła rozplatać grube, długie warkoczki, a Aisza przyniosła grzebień.

– Jakie długie, piękne, proste włosy. Jak myślisz, uczesać cię w jeden warkocz? Będzie wspaniale.

– Nie, w dwa warkoczki. Powiedz lepiej, czy mam zostać w pończochach, czy z gołymi nogami.

– Jest zima, a w zimie powinno się nosić pończochy, ale boję się, że jak będziesz w pończochach, to pomyślą, że masz jakieś wady stóp i chcesz je ukryć.

– Masz rację, chyba sąd jest łagodniejszy od tych, które czekają na mnie w tym pokoju.

– Weź się w garść, Pan nasz nam pomoże.

W tym momencie wpadł zdyszany Kamal i podał siostrze przybory do makijażu.

– Ale pędziłem...

– Brawo, brawo. Co powiedziała Mariam?

– Pytała, czy u nas są jakieś kobiety i co to za jedne. Odpowiedziałem, że nie wiem.

– I to ją zadowoliło?

– Zaklinała mnie na Al-Husajna, żebym jej wyjawiał wszystko, co wiem, a ja przysięgałem, że nie wiem nic ponadto, co powiedziałem.

– Domyśli się, co się u nas dzieje – odezwała się Aisza nie przerywając pracy.

– Mariam jest bystra, nic nie ujdzie jej uwagi, założę się, że najpóźniej jutro przyjdzie przeprowadzić pełne śledztwo – powiedziała Chadidża, nakładając puder na twarz.

Kamal, jak było do przewidzenia, nie chciał wyjść z pokoju. Widok był zbyt kuszący. Po raz pierwszy widział twarz siostry tak odmienioną, że wydawała mu się zupełnie jak nowa. Skóra biała, policzki uróżowane, powieki podkreślone lekką, miękką, czarną kreską, która dodawała im głębi i jasności. Nowa twarz. Az wykrzyknął z radości:

– Wyglądasz teraz jak lalka, którą kupił tata w święto Urodzin Proroka.

Dziewczęta roześmiały się.

– Podobam ci się teraz? – spytała Chadidża.

Podszedł do niej i szybko chwycił za czubek nosa.

– Gdyby tego nie było...

Chadidża wyrwała mu się.

– Wyprowadź tego gadułę – krzyknęła do Aiszy.

Aisza chwyciła Kamala za rękę i mimo jego oporu wyprowadziła z pokoju i zamknęła drzwi. W milczeniu i powadze kontynuowały zabiegi.

Mimo że w rodzinie uzgodniono, że wizyta swatek będzie dotyczyła tylko starszej córki, to jednak Chadidża przekornie zagadnęła:

– Ty także musisz się przygotować na przyjęcie gości.

– To się stanie dopiero, kiedy ty poślubisz swojego narzeczonego. Zresztą, jak się mogą pokazać gwiazdy przy księżycu?

– A kto tu jest księżycem?

– Jak to, kto? Ja – roześmiała się Aisza.

– Och, żebym mogła pożyczyć od ciebie nos, tak jak od Mariam pudełko pudru – westchnęła Chadidża.

– Zapomnij o swoim nosie choćby dziś wieczór, nos to nie wrzód, nie będzie się powiększał, więc nie ma co o nim myśleć.

Skończyły makijaż, Chadidża przestała myśleć o swoim wyglądzie, a cały jej niepokój skupił się teraz na oczekiwanym egzaminie. Bała się jak nigdy przedtem. Nie dlatego, że był taki straszny, ale ze względu na jego konsekwencje.

– Ale przedstawienie mi się trafiło. Wyobraź sobie siebie na moim miejscu wśród obcych kobiet, o których nic nie wiesz, nie znasz ich rodzin ani ich pochodzenia, czy przyszły ze szczerym zamiarem, czy tylko dla rozrywki, żeby popatrzeć... I co mam robić, jeśli będą krytkowały i kleły, jak na przykład... ja – wybuchnęła śmiechem. – Ja mogę tylko siedzieć między nimi grzecznie i pokornie i patrzeć to w prawo, to w lewo, to do przodu, to do tyłu. I wykonywać ich rozkazy bez cienia wahania. Jak powiedzą „wstań”, to muszę wstać, jak „idź”, to iść, jak „powiedz coś”, to powiedzieć. Niczego nie mogą pominąć, wszystko muszą wiedzieć, jak siedzę, jak wstaję, jak mówię, jak nic nie mówię, muszą znać moje członki i rysy twarzy, wszystko. A po tej całej torturze mamy jeszcze okazywać im sympatię i

szacunek i być miłymi cały czas, nie wiedząc, jakie wrażenie wywarłyśmy i czy efekt będzie radosny. Uff... Przeklęty, kto je wysłał.

– Oby zło było daleko od nas! – zamówiła szybko Aisza.

– Nie zaklinaj, dopóki nie upewnimy się, że to o nas chodzi. O Boże, jak mi wali serce.

Aisza cofnęła się, żeby Chadidża nie uderzyła jej łokciem.

– Cierpliwości, będziesz miała w przyszłości mnóstwo okazji do zemsty za tę dzisiejszą torturę, jeszcze nieraz będą się modliły, żeby nie dotknął ich ogień twojego języka, kiedy będziesz panią domu. Może będą wspominały dzisiejszy egzamin mówiąc: obyśmy się wtedy nie zgodziły.

Chadidża, przekonana, uśmiechnęła się. Nie był to zresztą odpowiedni moment na odparcie ataku, poza tym w tej chwili nie znalazłaby w ataku, jak zwykle bywało, radości i przyjemności. Trudno jej było przewyciężyć własny strach i zmieszanie. Skończyły dzieło i Chadidża stanęła przed lustrem, żeby przyjrzeć się całości. Aisza, dwa kroki z tyłu, bacznie oglądała to oryginał, to obraz w lustrze.

– Masz zręczne ręce – odezwała się Chadidża. – Dobrze wyglądam, prawda? To naprawdę Chadidża, co mi tam teraz nos. Wielka jest twoja mądrość, Panie, trochę wysiłku i wszystko zrobiło się do przyjęcia.

Cofnęła się parę kroków, jeszcze raz uważnie przejrzała w lustrze i odmówiła w duchu *Al-Fatihę*.

– Módl się za mną – powiedziała i wyszła z pokoju.

W zimie rodzina zbierała się na popołudniową kawę przy wielkim piecu, który stał pośrodku salonu. Mężczyźni siedzieli w płaszczach, kobiety owinięte szalami. Rozkosznie było pić razem kawę i cieszyć się ciepłem i wieczorną rozmową.

Ostatnimi dniami Fahmi chodził smutny i milczący. Coś go dręczyło. Rozmyślał, wahał się, czy powiadomić rodzinę o sprawie, która mu ciążyła. W końcu zdecydował się. Któregoś dnia, w czasie popołudniowej kawy odezwał się poważnie:

– Słuchajcie, mam bardzo ważną sprawę.

Wszyscy bez wyjątku spojrzeli na niego z zaciekawieniem, bo Fahmi znany był jako odpowiedzialny i zrównoważony młodzieniec.

– Hasan Efendi Ibrahim, oficer z posterunku policji w Al-Dżamalijji, jak wiecie mój znajomy, poprosił mnie, abym przedstawił ojcu jego prośbę o rękę Aiszy.

Jak przewidywał, każdy zareagował inaczej. Matka spojrzała na niego zaintrygowana, Jasin gwizdnął i spojrzał na Aiszę trochę rozbawiony, kręcąc głową, Aisza spuściła głowę ze wstydu i żeby ukryć przed wpatrzonymi w nią oczami to, co się w niej działo. Co do Chadidży, to z początku była zdziwiona, a potem poczuła się zawiedziona i przestraszona, nie wiedząc właściwie dlaczego. Może dlatego, że jak uczeń czekała ciągle na rezultat egzaminu, o którym mógł się Fahmi dowiedzieć przez przyjaciół.

– Czy to wszystko, co powiedział? – spytała matka zakłopotana, co nie pasowało do sytuacji, bo przecież była to okazja do radości.

– Zaczął od tego, że ma zaszczyt prosić o rękę mojej młodszej siostry – odparł Fahmi, bojąc się spojrzeć w stronę Chadidży.

– A ty, co mu odpowiedziałeś? – spytała matka.

– Oczywiście podziękowałem mu za piękny zamiar...

Nie zarzuciła go pytaniami, chciała mieć czas do zastanowienia, otrząsnąć się z zaskoczenia i zakłopotania. „Ciekawe, czy ta prośba ma związek z kobietami, które nas wtedy odwiedziły”, myślała. Przypomniała sobie, jak jedna z nich powiedziała, zanim przyszła Chadidża, że słyszały, że As-Sajjid Ahmad Abd al-Dżawwad ma dwie córki i że przyszły obejrzeć obydwie dziewczyny, ale umilkła na znak dany przez drugą. Kobiety pochodziły z rodziny kupca z Darb al-Ahmar, a więc nie był to ojciec oficera, który, jak mówił Fahmi, jest urzędnikiem w Ministerstwie Pracy. To jednak absolutnie nie przesądza o braku związku między rodzinami, ponieważ przyjęte jest, że, przezornie, rodziny wysyłają swatki należące do ich bocznych gałęzi. Bardzo pragnęła właśnie o to zapytać Fahmiego, ale bała się, że odpowiedź będzie potwierdzeniem jej obaw, pogrzebie nadzieje starszej córki i przyniesie jej rozczarowanie. Wyręczyła matkę Chadidżę wyrzucając z siebie to, co jej leżało na sercu:

– Może to on wysłał do nas wtedy te kobiety? – spytała, śmiejąc się wymuszenie.

– Ależ skąd – krzyknął natychmiast Fahmi. – Powiedział mi, że wysłał matkę w wypadku przyjęcia jego prośby.

Jednak mimo szczerego tonu nie mówił prawdy. Z rozmowy z oficerem zrozumiał, że kobiety, które były z wizytą, są kuzynkami jego ojca. Bał się zranić starszą siostrę, dla której żywił szczerze braterskie uczucie, i bolał nad tym, że nie ma szczęścia, choć Aiszę kochał i był przekonany o wartości swojego przyjaciela oficera. Może nawet współczucie dla Chadidży zwiększyło się po przeżyciu własnego rozczarowania.

Jasin roześmiał się grubym głosem i powiedział z młodzieńczą radością:

- Zdaje się, że będziemy mieli niedługo dwa wesela.
- Oby cię Bóg wysłuchał – krzyknęła matka.
- Czy porozmawiasz z ojcem zamiast mnie?

To pytanie wyrwało się Fahmiemu, kiedy myślał o problemie zaręczyn, ale kiedy je wypowiedział, zabrzmiało mu jakoś dziwnie. Jakby je wyciągnął gdzieś z zakamarków pamięci, a z nim wspomnienia, do których przyłgnęło. Zadał już raz takie pytanie matce w podobnych okolicznościach. Serce mu się ścisnęło, wzmógł się ból pogrzebanych nadziei. Gdyby nie okrutna wola ojca, jakże byłby szczęśliwy. Cały pogrążył się w smutnych wspomnieniach, zapominając, co się dokoła niego dzieje.

– Może lepiej, żebyśmy się zastanowili najpierw, co mam odpowiedzieć ojcu, kiedy mnie zapyta, dlaczego oficer prosi o rękę Aiszy, a nie Chadidży, skoro nie widział ani jednej, ani drugiej.

Dziewczęta wzdrygnęły się na tę uwagę, pewnie mając w pamięci niedawną awanturę pod oknem. Chadidżę ogarnęła wściekłość, serce jej protestowało przeciwko ślepemu losowi, który upierał się, aby nagradzać frywolność, kaprysy i lekkomyślność dobrem. Aisza poczuła się tak, jakby ostry kolec ukryty w potrawie ukłuł ją naraz w gardło. Strach wyssał całą radość, która rozpierała jej piersi. Fahmi ocknął się i on jeden zareagował na uwagę matki. Nie żeby bronić Aiszy, jak się wydawało, nie pozwoliłby sobie na jej obronę w tak drażliwej sprawie w obecności Chadidży, ale ze złości na samego siebie, na swój smutek i słabość, które mu nie pozwoliły bronić swojej sprawy wobec ojca.

– To jest tyrańska niesprawiedliwość – powiedział, zwracając się do matki, jakby mówił do ojca – która nie ma żadnego usprawiedliwienia logicznego ani racjonalnego. Czyż mężczyźni mało wiedzą o kobietach, zamkniętych w domach, od swoich najwartościowszych kuzynek, które pragną jedynie, żeby obcowanie kobiety z mężczyzną było legalne?

Matce chodziło o to, żeby jakoś wybrnąć z trudnej sytuacji, i dlatego zastawiła się ojcem, ale kiedy Fahmi szczerze zaprotestował, powiedziała tylko:

- Może jednak lepiej poczekać, aż przyjdzie jakaś wiadomość od tych kobiet?

Tu nie wytrzymała Chadidża, której duma jak dotąd nakazywała obojętność, wbrew temu, co działo się w jej sercu.

- To są dwie różne sprawy i nie ma potrzeby odkładać jednej z powodu drugiej.
- Wszyscy się zgodzimy na odłożenie zamążpójścia Aiszy aż do wesela Chadidży.
- Tak być musi – powiedziała Aisza pokornie i cicho.

Pokora i delikatność Aiszy najbardziej złościły Chadidżę. Pragnęła raczej, żeby dziewczyna zaprotestowała otwarcie, wtedy miałyby okazję rzucić się na nią z całym swoim gniewem, podczas gdy ta znienawidzona, fałszywa, jej zdaniem, pokora była doskonałą

bronią Aiszy i sprawiała, że Chadidża nie mogła na nią krzyknąć, ale tym bardziej wzbierał w niej gniew.

– Nie zgadzam się, że tak być musi – powiedziała ze złością – to jest niesprawiedliwe, żeby mój pech niszczył jej szczęście.

Fahmi wiedział, co się kryje w słowach Chadidży, odgadywał jej wewnętrzny smutek i gniew mimo pozornego radosnego podniecenia, schował więc własne smutki i żalując tego, co powiedział w gniewie, a co Chadidża mogła uważać za otwartą przychylną dla siostry, rzekł:

– Rozmowa z ojcem nie oznacza jeszcze zgody na ślub Aiszy przed twoim, a nic się nie stanie, że, gdy dostaniemy zgodę na zaręczyny, odłożymy ich ogłoszenie na odpowiednią chwilę.

Jasin nie był przekonany o słuszności poglądu, że jeden ślub wymaga odłożenia drugiego, ale nie znalazł dosyć odwagi, by wypowiedzieć na głos swoje zdanie.

– Małżeństwo jest przeznaczeniem każdej istoty żyjącej – powiedział tylko – kto się nie ożeni dziś, to ożeni się jutro.

– Mamusiu – wtrącił Kamal, który dotąd tylko przysłuchiwał się rozmowie – dlaczego małżeństwo jest przeznaczeniem każdego człowieka?

Matka nie zwróciła na niego uwagi, jedynie Jasin wybuchnął śmiechem. Dopiero po chwili powiedziała:

– Wiem, że każda dziewczyna prędzej czy później wyjdzie za męża, ale są też inne sprawy, których nie należy lekceważyć.

– Ty także wyjdiesz za męża, mamó? – spytał Kamal.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem i napięta atmosfera rozładowała się.

– Przedstaw sprawę ojcu, w końcu i tak do niego należy ostatnie słowo – powiedział Jasin.

– Tak, koniecznie, koniecznie – dziwnie stanowczo poparła go Chadidża.

Wiedziała, co mówi. Sprawy i tak nie można było przed ojcem ukryć, a poza tym była przekonana, że ojciec nie zgodzi się na małżeństwo Aiszy, zanim ona nie wyjdzie za męża. Jednak niepokój i poczucie zawodu nie opuszczały jej ani na chwilę, mimo że udawała obojętność i mimo że nie wiedziała o związku między oficerem a kobietami, które ich odwiedziły.

Pani Amina doświadczyła w życiu wiele i wiele miała powodów do smutku, ale niedawno doszedł powód nowy, mający szczególny charakter, bo, w przeciwieństwie do poprzednich, dotyczył tego, co ludzie uważają za istotę szczęścia. Całemu domowi, ale zwłaszcza jej sercu przyniósł on smutek i niepokój. „Jak to jest – dopytywała się w duchu – że pojawienie się narzeczonego, fakt, który rozpala i raduje ludzi, nam przynosi tyle udręki.” A tak właśnie było. Miotają nią sprzeczne uczucia. Raz uważała, że zgoda na małżeństwo Aiszy przesądzi o przyszłości jej starszej córki, to znowu, że uparte sprzeciwianie się losowi stanowi niebezpieczeństwo i może przynieść obydwu dziewczynom niedobre konsekwencje. Ciężko było zamykać drzwi przed takim wspaniałym kandydatem jak oficer policji, bo podobne szczęście może się drugi raz nie trafić. Ale co będzie z Chadidzą, jeżeli ojciec wyrazi zgodę, jaki będzie jej los, jaka przyszłość ją czeka? Nie mogła powziąć decyzji, tym bardziej że z natury była całkowicie bierna i za słaba, żeby samodzielnie znaleźć rozwiązanie jakiegoś problemu. Z prawdziwą ulgą więc postanowiła zrzucić całą odpowiedzialność na barki As-Sajjida, mimo że każda rozmowa z nim była torturą i przy każdej umierała ze strachu. A tym razem wiedziała na pewno, że nie spotka się z dobrym przyjęciem.

Poczekwała, aż mąż wypije kawę, po czym odezwała się cichutko, głosem pełnym pokory:

– Panie mój, Fahmi powiadomił mnie, że jego przyjaciel prosi, żeby przedstawić ci jego prośbę o rękę Aiszy.

Niebieskie oczy pełne zainteresowania i zdumienia powędrowały znad kanapy na materac w pobliżu jego stóp, gdzie siedziała. Czuła w tym wzroku pytanie: „Dlaczego mówisz o Aiszy, skoro ja, od czasu wizyty trzech kobiet, czekam na wiadomość o Chadidży.”

– Aiszy? – spytał.

– Tak, panie mój.

– Już dawno postanowiłem, że to sprawa późniejsza.

Kobieta przerwała, żeby nie pomyślał, że sprzeciwia się jego zdaniu.

– Wiem, jakie jest twoje zdanie, panie mój, ale muszę cię przecież powiadamiać o wszystkim, co się dzieje w naszym domu.

As-Sajjid patrzył na nią badawczo, jakby chciał sprawdzić, ile jest prawdy w tym, co mówi, i nagle oczy mu zabłyśły.

– Ciekawe, czy to ma jakiś związek z wizytą tych kobiet? – powiedział zaintrygowany.

Tak, wiedziała, że ma, tylko ona jedna oprócz Fahmiego, ale młodzieniec sugerował, żeby zataiła to przed ojcem. Długo nad tym myślała i wahała się, i w końcu zdecydowała się postąpić według rady syna, ale gdy tylko poczuła na sobie wzrok męża, jej decyzja i jej zdanie gdzieś się zapodziały, przepadły bez śladu, zginęły i odpowiedziała bez wahania:

– Tak, panie mój, mówił mi Fahmi, że były to krewne jego przyjaciela.

As-Sajjid wybuchnął gniewem, twarz nabiegła mu krwią, oczy ciskały błyskawice. Kto lekceważy Chadidżę, to tak jakby jego lekcewał, a kto dotyka jego godności, to tak jakby trafił go mieczem w samo serce.

– Któż to jest, ten przyjaciel? – krzyknął z gniewem i pogardą.

– Hasan Ibrahim, oficer z posterunku policji w Al-Dżamalijji.

– Mówiłaś, że pokazałaś tym kobietom tylko Chadidżę!

– Tak, panie mój.

– Może odwiedziły nas jeszcze raz?

– Ależ nie, panie mój, powiadomiłabym cię o tym.

– Wysłał swoje krewne, które widziały Chadidżę, a on prosi o rękę Aiszy! Co to znaczy? – krzyczał, jakby to ona była wszystkim winna.

Aminie wyszło w gardle, przełykając ślinę z trudem wymamrotała:

– W takiej sytuacji swatki wchodzi do określonego domu tylko po odwiedzeniu wielu innych domów, wypytywaniu sąsiadów o sprawę, która je interesuje. Rzeczywiście, w rozmowie ze mną nadmienili, że słyszały, iż As-Sajjid ma dwie córki i być może przedstawienie im tylko jednej...

Chciała powiedzieć: „I być może przedstawienie im tylko jednej potwierdziło to, co słyszały o urodzie drugiej”, ale powstrzymała się, z jednej strony, żeby nie powiększać jego gniewu, a z drugiej, bała się po prostu wypowiedzieć tę bolesną prawdę, rozłożyła więc tylko ręce bezradnie, nie kończąc zdania.

As-Sajjid przyglądał się jej ostrym wzrokiem, aż spuściła pokornie oczy. Wściekły walił się w piersi ze złością.

– No więc dobrze, już wszystko wiemy – powiedział z gniewem. – Przychodzi narzeczony i prosi o rękę twojej córki. Jakie jest twoje zdanie?

– Moje zdanie jest – wyłącznie twoim zdaniem, panie mój, nie mam innego – powiedziała szybko, rozkładając ręce, wiedząc, że chce ją wpędzić w pułapkę.

– Gdyby tak było, jak mówisz, nie rozmawialibyśmy o tym – wrzasnął.

– Powiedziałam ci o tym, panie mój, tylko dlatego, żeby cię powiadomić o ważnej nowej sprawie, ponieważ mój obowiązek zmusza mnie, abym cię informowała o wszystkim, co dotyczy twojego domu z bliska czy z daleka...

– Kto wie, kto to wie? Na Boga, jesteś tylko kobietą, a wiadomo, że kobietom brak rozumu, zwłaszcza sprawa małżeństwa pozbawia je wszelkiego rozsądku. Więc może i ty...

– Uchowaj Boże, panie mój – przerwała – skąd takie myśli o mnie. Chadidża to moja córka, moje ciało i krew tak jak i twoje, leży mi na sercu jej szczęście, a Aisza jest dopiero u progu wiosny, i nic jej się nie stanie, jak poczeka, aż Bóg da męża jej siostrze.

As-Sajjid nerwowo gładził gęste włosy.

– Czy Chadidża o tym wie?

– Tak, panie mój.

– Jak może ten oficer prosić o rękę Aiszy, skoro nikt jej nigdy nie widział? – krzyknął znowu z wściekłością.

– Powiedziałam już, że może one o niej słyszały.



– Ale on pracuje na posterunku w Al-Dżamalijji, czyli w naszej dzielnicy, to tak jakby należał do jej mieszkańców.

– Oko mężczyzny nie padło na żadną z moich córek, od kiedy przerwały w dzieciństwie naukę w szkole – zapewniła żarliwie.

– Powoli, powoli... czy uważasz, że ja w to wątpię, ty głupia babo? Gdybym w to wątpił, tylko śmierć by uciszyła mój gniew. Mówię tylko o tym, co mogą sobie pomyśleć ludzie, którzy nas znają. „Oko mężczyzny nie padło na żadną z moich córek”... Święty Boże. A ty chciałyś, żeby padło? Co? Ty wariatko, ty głupia paplo. Mogę sobie wyobrazić, co by plotły głupie języki, tak, tak. Oficer policji z posterunku dzielnicowego chodzi po ulicach rano i wieczór. Każdemu, kto się dowie o jego małżeństwie, przyjdzie do głowy myśl, że pewnie zobaczył przypadkowo dziewczynę. Nie życzę sobie! Nie chcę wydać córki za mąż w taki sposób, żeby wzbudziło to wątpliwości co do mojego dobrego imienia.

Co więcej, córkę oddam tylko takiej rodzinie, co do której będę miał pewność, że przede wszystkim chciała wejść w związki rodzinne ze mną. Ze mną! Ze mną! „Oko mężczyzny nie padło na żadną z moich córek.” Śmieszne. Gratuluję. Gratuluję, pani Amino.

Amina w milczeniu słuchała. Mężczyzna wstał i pozwolił jej wstać, aby mu podała abaję i pomogła się ubrać, jako że wracał do sklepu. Wyciągnął ręce, aby ją włożyć, i jeszcze zanim wyjął głowę przez otwór w abai i stanął jak lew z futrzaną grzywą, powiedział:

– Tak, pan Fahmi nie docenił niebezpieczeństwa prośby swojego przyjaciela. Tak... – kręcił głową ze smutkiem. – Ludzie zazdroszczą mi, że spłodziłem trzech mężczyzn, a tak naprawdę, to spłodziłem same baby. Pięć bab.

Zaraz po wyjściu As-Sajjida wszyscy w domu znali już jego zdanie na temat zaręczyn Aiszy. Przyjęli je bez sprzeciwu, nie było wyjścia, ale w duszy każdego z nich odbiło się ono innym echem. Fahmi bardzo się zmartwił i był zły, że Aisza straciła odpowiedniego męża w osobie jego przyjaciela Hasana Ibrahima. To prawda, że już wcześniej był w rozterce, raz z pełnym entuzjazmem akceptował narzeczonego, to znów współczuł Chadidży, której sytuacja była bardzo delikatna. Kiedy sprawa została przesądzona, żałował niedoszłego szczęścia Aiszy.

– Niewątpliwie przyszłość Chadidży bardzo nas obchodzi, ale nigdy się nie pogodzę z krzywdą Aiszy. Taka okazja jej uciekła! – powiedział, kiedy zasiedli do popołudniowej kawy.  
– Szczęście to tajemnica, jeden Bóg ją zna. Może temu, kto umie czekać, da go więcej niż temu, kto się spieszy?

Chyba jednak w najprzykrzejszej sytuacji była Chadidża. Już drugi raz stanęła na drodze szczęścia siostry. Jednak dopóki sprawa była w zawieszeniu, nie odczuwała tego tak boleśnie. Dopiero kiedy usłyszała decyzję ojca i niebezpieczeństwo, wiszące nad nią jak młot, minęło, miejsce gniewu i bólu zajęło uczucie wstydu, żalu i beznadziejności sytuacji zarówno jej, jak i Aiszy. W głębi duszy bardzo chciała być tą, która jako jedyna sprzeciwi się woli ojca, podczas gdy wszyscy poprą ją z entuzjazmem, trochę ją więc rozczarowała postawa Fahmiego. Musiała go poprzeć.

– Fahmi ma rację. Zawsze byłam tego samego zdania – powiedziała.

– Nie bójcie się... Nie denerwujcie... Małżeństwo to los każdego człowieka – powtórzył swoje Jasin. Był zdecydowanie po stronie Aiszy i bolał nad niesprawiedliwością, jaka ją spotkała. Bał się jednak powiedzieć to otwarcie, bo Chadidża mogła go źle zrozumieć. I bez tego ciągle wybuchały między nimi spory z byle powodu. Poza tym jako przyrodni brat wołał zajmować stanowisko obserwatora w ważnych sprawach rodzinnych, żeby nie zranić któregoś z jej członków.

Aisza natomiast bała się, że milczenie zdradzi jej ból, który chciała ukryć nawet za cenę cierpienia, włączyła się więc do ogólnej rozmowy w atmosferze odprężenia i ulgi. W tym domu bowiem nie przyznawano nikomu prawa do własnych uczuć, a namiętności ukrywano pod maską powściągliwości i dwulicowości.

– Nie wypada, żebym wyszła za mąż przed Chadidżą – powiedziała. – Tak będzie najlepiej, jak powiedział ojciec. Po co się spieszyć? Kto wie, czy w domu mężów będziemy miały równie szczęśliwe życie, jak w domu ojca?

Od tego czasu Aisza każdego popołudnia uczestniczyła w rozmowie przy piecyku, ale myślami była gdzie indziej i duszę miała rozdarta. Przypominała kurę z uciętym łbem, która macha skrzydłami jakby zadowolona, jakby pełna życia i energii, podczas gdy krew leje się z jej szyi, zabierając jej życie kropla po kropli. Mimo że oczekiwała takiego rezultatu, jeszcze zanim sprawa została przedstawiona ojcu, to jednak jakieś niejasne uczucie, jakaś wiara igrała

jej marzeniami, tak jak igra nami nadzieja, że przypadnie nam główny los na loterii. Z początku nawet chętnie przyłączyła się do protestu przeciwko swojemu małżeństwu, powodowana uczuciem szczęścia i wielkodusznością zwycięzcy, a także współczuciem dla niepowodzeń siostry, ale teraz jej wielkoduszność przygasła, wyczerpało się współczucie, a pozostał tylko gniew i rozpacz. Nie miała już żadnej nadziei. Wola ojca nie podlegała dyskusji, a ona musiała tylko podporządkować się i przyjąć ją pokornie, a nawet z zadowoleniem, ponieważ demonstrowanie ponurej twarzy było grzechem nie do wybaczenia; zresztą protestu nie uznawało jej wychowanie i skromność.

Ocknęła się z upojenia szczęściem i wpadła w mroczną otchłań rozpacz. Jakże gęsta mgła przyszła po jasnym świetle. Jak straszny ból sprawia odchodzące światło. Dlaczego odchodzi, dlaczego gaśnie słońce, czy to możliwe, żeby przestało świecić? Ta nowa strata dołączyła do strat, które utkał wokół niej smutek, zabierając wspomnienia przeszłości, teraźniejszości i marzenia o przyszłości. Rozmyślała o tym wszystkim bez przerwy i jakby nie dowierzając, jakby gorzka prawda jeszcze na dobre nie wtargnęła do jej uczuć, ciągle na nowo zadawała sobie pytanie: czy naprawdę zgasło światło? Czy rzeczywiście zostały zerwane wszystkie związki między nią a chłopcem, który wypełnił jej serce i marzenia? Ciągle na nowo powtarza te pytania i ciągle na nowo czuje uderzenie, którego ból przeszywa ją aż do kości. To dlatego, że jeszcze walczy w niej rozpacz z resztkami nadziei, której promienie ulatują, potem wracają, gasną i znów wracają, aby znaleźć schronienie na dnie serca, skąd już nigdy nie wyjdą. Wszystko się skończyło, jakby się nic nie stało. Dla nich to drobna sprawa, rozpatrują ją tak, jak się omawia sprawy codzienne, „co będziemy jutro jedli” albo „miałam wczoraj w nocy dziwny sen”, albo „na całym dachu pachnie jaśmin”. Tu słowo, tam słowo, jakaś propozycja, jakiś pogląd na coś, zadziwiający spokój, marzenia, pocieszający uśmiech, dodawanie otuchy, jakiś żart, zmiany tematu. Wszystko się skończyło, przechodzi do historii, która jest zapomnieniem. A gdzie jest jej serce? W tym wszystkim nie ma serca, nikt nie domyśla się jego istnienia, nie istnieje. Jakże jest samotna i zagubiona, odrzucona, bez żadnych więzi z kimkolwiek. Jak tu zapomnieć, że jedno słowo, nie więcej, nic ponad słowo „tak”, a zdarzyłyby się cud. Nie byłby to dla ojca żaden wysiłek, dziesiąta część tego, czego wymagała długa dyskusja, która skończyła się odmową, ale musiałby chcieć. A nie chciał. Zgodziła się na tę torturę bez słowa i ani przez chwilę niczego złego nie pomyślała o ojcu, jak dzikie zwierzę, które kocha swojego tresera, bojąc się go jednocześnie. Pozostała mu wierna w miłości, jakby to był Bóg, któremu należy się tylko cześć, miłość i wierność.

Tego pierwszego wieczoru pętla rozpacz zaciśnęła się na delikatnej szyi dziewczyny; była przekonana, że uczucia jej młodego serca wyschły i wyczerpały się na zawsze. Rola, jaką postanowiła grać przed rodziną, udawanie radości lub obojętności, jeszcze bardziej zwiększyła jej napięcie nerwowe. Uczestniczyła w wieczornej rozmowie, a jej złota główka ugięła się pod ciężarem słów i głosy rodzeństwa zamieniały się w uszach w kamienie. Kiedy nadeszła pora snu, czuła się chora i dopiero w ciemności pokoju sypialnego po raz pierwszy twarz jej spochmurniała, ukazując prawdziwy obraz serca. Ale miała kontrolera. Chadidża od początku była przekonana, że siostra udaje, bo unikała jej wzroku w salonie. Teraz, kiedy usiadła obok, na łóżku, nie było wyjścia. Aisza wiedziała, że znowu zaczną gadać na ten

temat i nawet czekała na to, chwilami z ochotą, nie dlatego że spodziewała się jakiejś nadziei, ale że wyrzuty sumienia i przeprosiny Chadidży przyniosłyby jej nieco pocieszenia. Nie czekała długo.

– Aiszo, przykro mi i smutno – zaczęła Chadidża – ale nie mogę nic poradzić. Bóg jeden wie, że chciałabym mieć odwagę poprosić ojca, żeby zmienił zdanie.

Zastanawiała się, ile prawdy jest w tym, co mówi Chadidża, a ile udawania i hipokryzji, słyszała przecież w jej głosie skrywany gniew, ale mimo to zmusiła się, żeby przybrać ten sam ton, którym mówiła przy kawie, i odpowiedziała:

– Nie ma czego żałować, nie ma się co martwić, ojciec ma rację, wcale nie jest niesprawiedliwy. Po prostu nie ma powodu do pośpiechu.

– Ale to już drugi raz odkłada się twoje małżeństwo z mojego powodu.

– Naprawdę, nie żałuję tego.

– Ale tym razem to co innego, nie to, co poprzednio.

Aisza zrozumiała, co siostra ma na myśli. Serce jej zabiło z miłości, zapłakało gorzko z żalu. Ta uwaga, spontaniczna czy też zamierzona, dotknęła ukrytej miłości jak bolącej rany. Milczała bojąc się, że drżący głos ją zdradzi.

Chadidża westchnęła i odezwała się znowu:

– Tym bardziej jest mi smutno i przykro, ale Pan nasz jest wspaniałomyślny i po każdym smutku daje radość, trzeba tylko cierpliwie czekać. Spotkasz swoje szczęście bez względu na to, co ci się teraz wydaje.

„Oby, oby” krzyczała jej dusza, a usta powiedziały:

– Tak też myślę, sprawa jest prostsza, niż uważasz.

– Tak mi ciężko na sercu, Aiszo.

Nagle uchyliły się drzwi i w bladym świetle ukazał się Kamal.

– Po coś tu przyszedł? Czego chcesz? – krzyknęła Chadidża.

– Nie krzycz na mnie! Wejść do was, co? – poprosił.

Wskoczył na łóżko, usiadł między dziewczętami i zaczął je łaskotać, żeby poprawić nastrój. Ale im daleko było do zabawy. Chwyciły go za ręce i próbowały wyrzucić z pokoju.

– Idź spać! Już dawno powinieneś być w łóżku!

– Nie pójdę, dopóki was o coś nie zapytam – krzyknął ze złością.

– O tej porze? O co chcesz zapytać?

– Chcę wiedzieć, czy jak wyjdziecie za mąż, to wyprowadzicie się z naszego domu.

– Poczekaj, aż przyjdzie czas na pierwsze małżeństwo, wtedy sam zobaczysz – powiedziała Chadidża.

– A co to jest małżeństwo?

– Skąd mam wiedzieć, skoro nie jestem mężatką? Idź spać, niechaj Bóg czuwa nad tobą.

– Nie wyjdę, dopóki się nie dowiem.

– Kochany, zostaw nas teraz.

– Chcę wiedzieć, czy opuścicie nasz dom, kiedy wyjdziecie za mąż.

– Tak, proszę pana... Czego chcesz jeszcze?

– No to nie wychodźcie za mąż.

– Słuchamy i jesteśmy posłuszne.

– Nie zniósłbym, gdybyście się wyprowadziły gdzieś daleko, i będę się modlił do Boga, żeby wam nie dał mężów.

– Trucizna płynie z twoich ust! Idź stąd! Idź! Oby Bóg się nad nami zlitował. Zostaw nas wreszcie. Dobranoc.

W domu panował podniosły nastrój. Rodzina znękana ciągłą atmosferą surowości i powagi witała radośnie dzień wytchnienia. Mogli się wreszcie cieszyć, gdyby chcieli, niewinną wolnością, bezpieczni, bez kontroli. Kamal myślał o tym, że nazajutrz będzie mógł zupełnie „legalnie” spędzić cały dzień na zabawie w domu i poza nim, Chadidża i Aisza już się cieszyły, że wieczorem wyślizną się na godzinkę uciechy do Mariam. Ulga ta i radość nie były następstwem odchodzenia surowych miesięcy zimowych i nadejścia pierwszych zwiastunów wiosny, powiewających ciepłem i radosnym uśmiechem. To nie wiosna przyniosła im radość wolności, której przecież zima też nie zabraniała. Był to naturalny rezultat podróży As-Sajjida Ahmada do Port Saidu w sprawach handlowych, które co kilka lat zmuszały go do wyjazdu z Kairu na jeden lub kilka dni. Uzgodniono, że pojedzie w piątek rano i spędzi tam ze swoją rodziną dzień świąteczny. Radość wolności, swoboda i poczucie nieskrępowania, które stworzył nieoczekiwany wyjazd ojca, były tak wielkie, że matka musiała powściągać pragnienia dziewcząt i entuzjazm chłopca, ponieważ czuwała nad tym, żeby rodzina prowadziła zwykły tryb życia i przestrzegała podczas nieobecności ojca wszystkich tych reguł, jakich przestrzegała w czasie jego obecności. Robiła to jednak bardziej ze strachu przed konfliktem niż z przekonania i szacunku dla surowości As-Sajjida. Toteż była niezdecydowana i wahała się, kiedy Jasin odezwał się po śniadaniu:

– Nie zabraniaj nam się cieszyć. Przecież nikt już nie żyje tak jak my. Coś ci zaproponuję. Dlaczego ty sama nie wyjdiesz na spacer? Co o tym myślicie?

Spojrzały na niego zdumione oczy, ale nikt nie odezwał się słowem. Chyba, tak jak matka, która patrzyła na niego z naganą, nie wzięli jego słów poważnie.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz, jakbym zrobił błąd w Al-Bucharim? Przecież to nie zbrodnia, chwała Bogu, tylko krótka przechadzka. Rzucisz okiem chociaż na małą częśćkę dzielnicy, w której żyjesz od dwudziestu pięciu lat niczego nie widząc...

– Niech ci Bóg przebaczy – westchnęła kobieta.

Jasin roześmiał się.

– Dlaczego miałby mi nie przebaczyć? Czy popełniłem aż taki grzech? Na Boga, gdybym był na twoim miejscu, natychmiast poszedłbym do meczetu Al-Husajna. Słyszysz? Do naszego Pana Al-Husajna! To twój ukochany, którego wielbisz z daleka, a on jest tak blisko. Idź, On cię wzywa!

Serce jej biło mocno, twarz zaróżowiła się. Spuściła głowę, żeby ukryć ogromne wzruszenie. Zareagowała na to wezwanie z siłą, jakiej sama nie oczekiwała, ani nikt z domowników, nawet Jasin; jakby trzęsienie ziemi nawiedziło krainę, która dotychczas nie znała takich kataklizmów. Nie wiedziała, jak odpowiedzieć na tę niezwykłą propozycję, jak zapuścić się w te zabronione rejony, jak przyjąć tę ewentualną przygodę, tak kuszącą, tak przemożnie ją pociągającą. Tak, odwiedziny Al-Husajna były usprawiedliwieniem samowoli, której pragnęła całą duszą, do której pchało ją tłumione, głęboko ukryte pragnienie wolności,

tak jak tłumione instynkty walki wyzwała się argumentem obrony pokoju i wolności. Nie wiedziała, jak wyrazić to swoje dosyć ryzykowne poddanie się tym instynktom, spojrzała na Jasina i zapytała drżącym głosem:

– Odwiedziny meczetu Al-Husajna to marzenie mojego życia i serca, ale... twój ojciec...

Jasin roześmiał się znowu.

– Ojciec jest w drodze do Port Saidu, wróci nie wcześniej niż jutro około południa. Dla większej ostrożności możesz pożyczyć milaję od Umm Hanafi i owinąć się nią na wypadek, gdyby cię ktoś zobaczył wychodzącą z domu. A jak będziesz wracała, pomyślą, że to ktoś z wizytą do nas...

Patrzyła na synów zawstydzona i przestraszona, ale jakby szukając zachęty. Chadidża i Aisza entuzjastycznie poparły propozycję, wyrażając w ten sposób także swoje zamknięte głęboko, stłumione pragnienia. Cieszyły się też z odwiedzin Mariam, które po takim przewrocie na pewno dojdą do skutku.

– Mamusiu, pójdę z tobą, pokażę ci drogę – krzyknął Kamal.

Fahmi patrzył na nią z rozczeniem i podzielał jej niepewną radość dziecka, które pragnie nowej zabawki.

– Rzuć okiem na świat – powiedział tonem zachęty – nie martw się o nic. Jeszcze zapomnisz chodzić od tego siedzenia w domu.

W ferworze gorączkowych przygotowań, śmiechu i komentarzy Chadidża popędziła do Umm Hanafi pożyczyć milaję. Nieoczekiwanie dzień stał się świętem dla całej rodziny, która świąt nigdy nie obchodziła. Wszyscy, nie zdając sobie z tego sprawy, uczestniczyli w buncie przeciwko nieobecnemu ojcu. Pani Amina owinęła się w milaję, zasłoniła twarz czarną zasłoną, spojrzała w lustro i nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Tymczasem Kamal włożył garnitur, tarbusz i wyszedł na podwórze. Nie poszła za nim, nagle ogarnął ją strach, i nie mogła zrobić kroku. Spojrzała na Fahmiego.

– Jak myślisz? Mam iść? – spytała.

– Z pomocą boską! – krzyknął Jasin.

Chadidża podeszła do niej, położyła rękę na jej ramieniu i lekko ją popchnęła.

– Zmów *Al-Fatihę* i idź spokojnie – powiedziała.

Odprowdziła ją do schodów. Amina zeszła na dół, a za nią cała rodzina. Umm Hanafi obrzuciła swoją panią krytycznym wzrokiem i z niezadowoleniem pokręciła głową. Poprawiła jej milaję i pouczyła, jak trzymać jej końce. Amina podporządkowała się jej wskazówkom, jako że miała na sobie ten strój po raz pierwszy. Milaja uwydatniła jej zgrabne kształty, podkreśliła talię, którą zwykle ukrywała obszerna *gallabijja*. Chadidża patrzyła na matkę z podziwem, mrugnęła do Aiszy i obydwie wybuchnęły śmiechem.

Kiedy przestępowała próg drzwi wejściowych, przeżyła moment trwogi. Zaszło jej w gardle ze strachu i poczucia winy. Szła wolno, trzymając się nerwowo ręki Kamala, zataczała się i chwiała, jakby zapomniawszy chodzić. Wstydziła się, że jest wystawiona na spojrzenia ludzi, których znała od dawna, patrząc na nich poprzez szpary maszrabijji, fryzjera Amm Hasanajna, sprzedawcy fulu Darwisza, mleczarza Al-Fu-lego, Bajjumi Szarbatlego, właściciela smażalni Abu Sariego. Wyobrażała sobie, że ją rozpoznali, bo przecież ona ich

rozpoznała. Nie przyszła jej do głowy ta prosta prawda, że żaden z nich, nigdy, przez całe życie nie widział jej na oczy.

Przeszli na drugą stronę w kierunku ulicy Kurmuza, ponieważ była to najkrótsza droga do meczetu Al-Husajna, a co najważniejsze, nie trzeba było przechodzić ulicą An-Nahhasina, obok sklepu As-Sajjida, mimo że on sam był nieobecny i przechodniów było tam mniej z powodu braku innych sklepów. Zatrzymała się na moment, zanim weszła w uliczkę, i spojrzała w kierunku maszrabiji. Poprzez jej szpary widać było sylwetki dziewcząt, w otwartym okienku natomiast zobaczyła uśmiechnięte twarze Jasina i Fahmiego. Patrzyła na nie, czerpiąc z nich otuchę. Trochę pewniej przeszli pustą ulicę, ale strach i poczucie winy nie opuściło jej ani przez chwilę. Włączyło się jedynie w orszak innych uczuć, wśród których centralne miejsce zajmowała rozbudzona ciekawość świata, który pokazywały jej uliczki, place, piękne budowle i tłumy ludzi. Czuła naiwną radość z tego, że się porusza, że uczestniczy w życiu, radość kogoś, kto spędził w więzieniu ćwierć wieku. Bo nie należy liczyć tych niewielu wizyt u matki w Al-Churunfusz po kilka razy w roku, kiedy to w drodze siedziała wewnątrz powozu w towarzystwie As-Sajjida, nie mając odwagi nawet rzucić okiem na ulicę. Rozpytywała Kamala o widoki, o budowle i miejsca, które napotykali, a chłopiec dumny z roli przewodnika opowiadał jej drobiazgowo o wszystkim: to jest uliczka sławnego Kurmuza, trzeba odmówić *Al-Fatihę* przed wejściem w nią, żeby zabezpieczyć się przed ifritami, które tam mieszkają, a to plac Domu Sędziego z wysokimi drzewami, nazywany też placem Brody Paszy, od nazwy kwiatów, które rosną na tych drzewach, albo też placem Szandzarlego, od nazwiska Turka, handlarza czekoladą, a ten budynek to posterunek policji dzielnicy Al-Dżamalijja... Dla chłopca nie było w nim nic godnego uwagi, poza mieczem wiszącym u pasa wartownika, ale matka oglądała go z ciekawością należną miejscu pracy mężczyzny, który prosił o rękę Aiszy. Doszli do przedszkola Chana Dża'fara, gdzie Kamal chodził cały rok, zanim rozpoczął naukę w szkole podstawowej Chalila Agi. Wskazał ręką zabytkowy balkon, mówiąc: „Na tym balkonie szajch Mahdi kazał nam stawać twarzą do ściany i za najmniejsze przewinienie dawał nam pięć, sześć, a nawet dziesięć kopniaków, ile mu się podobało.” Po czym zatrzymał się i pokazał sklep pod balkonem: „To Amm Sadik, sprzedawca słodyczy”, powiedział znacząco. Nie mógł się opanować, podszedł i kupił sobie rachatlukum. Skręcili w ulicę Chana Dża'fara i z oddali ukazała im się fasada meczetu Al-Husajna z wielkim oknem pośrodku, ozdobionym arabeskami, a nad murkiem na dachu balkony ściśle przylegające do siebie jak zęby na ostrzu kopii. Serce jej śpiewało z radości. „Czy to nasz Pan Al-Husajn?”, spytała. Zanim otrzymała odpowiedź, zaczęła porównywać ten widok – z coraz bliższej odległości, bo po raz pierwszy od wyjścia z domu przyspieszyła kroku – z obrazem, stworzonym przez jej wyobraźnię, meczetów, które miała w zasięgu wzroku jak meczet Kalawuna i Barkuka. Stwierdziła, że prawdziwy obraz nie odpowiadał temu z wyobraźni, wyobraźnia wyolbrzymiała meczet Al-Husajna, rozciągnęła na długość i szerokość zgodnie z rangą tego, który był jego patronem, ale to nie zmniejszyło jej radości. Okrążyli meczet i weszli przez zielone wrota razem z tłumem kobiet. Kiedy dotknęła stopą posadzki, ogarnęło ją uczucie niewypowiedzianej błogości i tkliwości, czuła, że jej dusza unosi się jak ptak i szybuje po niebie w religijnym uniesieniu, a żar miłości i wiary napełnił jej oczy łzami. Chłoneła wszystko wokół z upojeniem i zachwytem – ściany, sufit, kolumny,



dywany, kryształ, mihraby, minbar. Obok niej Kamal patrzył na to na swój sposób, jako na miejsce odwiedzin grobu, dozwolonych w dzień i wieczorem przed północą, i jako na dom Męczennika, który chodzi sobie po nim, modli się w mihrabie, wchodzi na minbar, wygląda przez okna,

żeby popatrzeć na otaczającą go dzielnicę. Ileż razy marzył, żeby przez nieuwagę zamknięto go w meczecie na noc, żeby stanął twarzą w twarz z Al-Husajnem i spędził z nim całą noc aż do rana. Wyobrażał sobie, że wyzna mu całą miłość i oddanie, i wszystkie swoje pragnienia z prośbą o błogosławieństwo. A wtedy Męczennik zapyta go: „Kim jesteś?” A on, podchodząc do niego ze spuszczoną głową, odpowie: „Kamal Ahmad Abd al-Dżawwad”, a wtedy On zapyta go o naukę, a Kamal na pewno się pochwali: „jestem uczniem w szkole Chalila Agi”. Zapyta go potem, co robi tutaj w nocy, a on odpowie, że to miłość do Domu Proroka, a zwłaszcza do Al-Husajna go przywiodła. Męczennik uśmiechnie się i zaprosi go, żeby mu towarzyszył w nocnej wędrówce, a wtedy Kamal wyjawia mu wszystkie swoje pragnienia: „Spraw, żebym mógł bawić się, jak chcę, w domu i poza domem i żeby Chadidża i Aisza nigdy nie opuściły naszego domu, żeby zmienił się charakter ojca, żeby mama żyła w nieskończoność, żebym miał kieszonkowego tyle, ile mi potrzeba, i żebyśmy wszyscy bez sądu Bożego poszli do raju.” Strumień wchodzących popychał ich lekko, aż znaleźli się przy samym grobowcu. Całe życie marzyła o odwiedzeniu tego miejsca, jak o czymś niemożliwym do spełnienia na tym świecie. I oto stoi przed kolumnami grobowca, dotyka jego ścian i zalewając się łzami oddaje cześć Męczennikowi. Tłum popycha ją, nie pozwala na dłuższą medytację, dotyka więc ścian, całuje je i razem z Kamalem odmawiają *Al-Fatihę*. Próbowali postać troszkę dłużej lub usiąść w kącie i popatrzeć na grobowiec, a potem znowu obejść go dokoła, ale sługa meczetu obserwował wszystkich i przynaglał do pośpiechu, wymachując ostrzegawczo długą laską. Przed piątkowym nabożeństwem wszyscy musieli opuścić mauzoleum. Nie ugasiła swojego pragnienia, czerpała ze źródła słodyczy, zachłystywała się, ale ciągle była nienasycona. Wiedziała, że już zawsze będzie ją spalać tęsknota za tym miejscem. Wychodziła niechętnie, zmuszona do wyjścia, z żalem w sercu myśląc, że już więcej takiej okazji nie będzie miała. Z pokorą poddała się przymusowi, ale tęsknota w sercu pozostała.

Kamal wołał ją już, żeby jej pokazać swoją szkołę, więc poszli do końca ulicy Al-Husajna i tam stali długo, rozglądając się dokoła. Chciała już wracać do domu, ale dla Kamala byłoby to zbyt szybkie zakończenie szczęśliwej wyprawy z matką, o jakiej nawet nie marzył. Błagał żeby iść aż do As-Sikka al-Dżadida i do Al-Ghurijji. Opierała się lekko, ale w końcu westchnęła, ustąpiła z uśmiechem i poddała się jego małej rączce. Przedzierali się przez strumienie przechodniów zdążających w różnych kierunkach. Ulica w niczym nie przypominała tej spokojnej uliczki, z której przyszła, i zaczęła ją ogarniać niepokój, w końcu poczuła się zupełnie zagubiona. Narzekała i jęczała z wysiłku i strachu, ale Kamal zbyt przejęty wyprawą nie zwracał uwagi na jej skargi, zachęcał ją do marszu i zabawiał pokazując sklepy, powozy i przechodniów. Wolniutko zbliżali się do zakrętu na ulicę Al-Ghurijja, gdzie znajdował się sklep z ciastkami. Kamalowi pociekła ślina, wpatrywał się w ciasteczkę, myśląc intensywnie, jak przekonać matkę, żeby weszła do sklepu. Byli już koło niego i Kamal nie zauważył, że puścił jej rękę, a kiedy odwrócił się, chcąc poprosić, żeby z nim weszła,

zobaczył ze zdumieniem i przerażeniem, że matka leży na ulicy jęcząc. Stał bez ruchu i w tym samym momencie zauważył nadjeżdżający z piskiem hamulców samochód zostawiający za sobą smugę spalin i kurzu. Niechybnie najechałby na nią, gdyby kierowca nie skręcił w ostatniej chwili. Dzielili go od niej centymetry. Podniósł się krzyk i wrzawa i do miejsca, gdzie leżała matka, jak chłopcy na gwizd zaklinacza wężów, zbiegli się ze wszystkich stron ludzie. Stłoczyli się ciasno wokół niej, wyciągali szyje, przekrzykiwali się w pytaniach i odpowiedziach. Kamal ocknął się wreszcie i patrzył na przemian to na matkę leżącą u jego stóp, to na ludzi. Upadł na kolana obok niej i zaczął ją potrząsać i krzyczeć o pomoc, i błagać, żeby się odezwała, ale matka milczała. Podniósł głowę, wpatrując się w twarze ludzi, wreszcie wybuchnął tak głośnym płaczem, że niemal zagłuszył wrzawę uliczną. Jacyś ludzie zaczęli go pocieszać nic nie znaczącymi słowami, inni pochyłali się nad matką i przypatrywali się jej wzrokiem, w którym odbijały się dwa rodzaje uczuć: pragnienie, żeby ofierze wypadku nic się nie stało, nadzieja, że jest zdrowa, oraz poczucie bezradności w obliczu śmierci, tego nieuchronnego kresu, który zapukał do drzwi innych i zabrał inną duszę, nie ich, jakby oglądali próbę generalną najpoważniejszej roli, jaką każdy z nich będzie musiał odegrać kończąc swoje życie. Ktoś krzyknął: „Lewe drzwi uderzyły ją w plecy.” Szofer, który wysiadł z samochodu i stał oniemiały w atmosferze oskarżenia, odparł: „Skręciłem natychmiast i zahamowałem, ale nie udało mi się uniknąć zderzenia. Potrąciłem ją lekko, a byłbym przejechał, gdyby nie Opatrzność Boska.” „Jeszcze oddycha, tylko zemdląła” – krzyknął ktoś z gapiów. Szofer, zauważywszy nadchodzącego policjanta z mieczem u lewego boku, powtórzył: „To tylko lekkie uderzenie, nic się nie stało, nic jej nie jest, ludzie, na Boga, nic się nie stało!” Mężczyzna, który pierwszy podbiegł, żeby ją obejrzeć, wyprostował się i powiedział uroczyście, jakby wygłaszał chutbę: „Odejdźcie stąd, trzeba jej powietrza, otworzyła oczy... nic jej nie jest... Chwała Bogu... nic jej nie jest.” Mówił radośnie, z dumą, jakby to on wrócił jej życie. „Przestań, synku – zwrócił się do szlochającego, nieprzytomnego ze zdenerwowania Kamala i pogładził go po policzku – matce nic nie jest. Już dobrze, chodź, pomóż mi ją podnieść.”

Ale Kamal nie przestał płakać, dopóki nie zobaczył, że matka się rusza. Wtedy wziął ją pod ramię i pomógł mężczyźnie ją podnieść. Stała między nimi, słaba, chwiejąc się na nogach. Ktoś podał jej milaję, która jej spadła z ramion, a sprzedawca ciastek wyniósł ze sklepu krzesło i przyniósł kubek wody. Wypiła łapczywie, rozlewając połowę na szyję i pierś, machinalnie obtarła się ręką, wciągnęła głęboko powietrze w płuca i popatrzyła w zdumieniu na otaczających ją ludzi.

– Co się dzieje? Co się stało? Dlaczego płaczesz, Kamal?

W tym momencie podszedł do niej policjant.

– Czy coś się pani stało? – zapytał. – Czy jest pani w stanie iść do komisariatu?

– Dlaczego mam iść do komisariatu? – krzyknęła przerażona. – Nie pójdę tam! Nigdy!

– Ale przecież uderzył panią samochód. Musimy spisać protokół, pani i kierowca. Może się pani stało coś złego?

– Nie! Nie! Nic mi się nie stało – dyszała.

– Niech pani wstanie i potwierdzi, że nic się pani nie stało, musimy sprawdzić.

Poderwała się, pchana strachem na samo słowo komisariat, poprawiła milają i przeszła kawałek pod ciekawym wzrokiem gapiów. Kamal otrzepywał ją z piasku. Za wszelką cenę pragnęła zakończyć tę bolesną scenę.

– Nic mi nie jest... Proszę go zwolnić – wskazała na kierowcę. – Czuję się dobrze.

Pod wpływem strachu nie czuła osłabienia. Przerazały ją oczy ludzi wpatrzone w nią, a zwłaszcza policjant. Drżała pod spojrzeniami, w których widziała zlekceważenie całej długiej historii jej ukrytego życia, a ponad nimi widziała przesywające ją na wskroś zimne, kamienne, ostrzegawcze spojrzenie As-Sajjida, którego nie mogła znieść. Chwyliła Kamala za rękę i ruszyła w kierunku As-Sagha. Nikt jej nie przeszkodził. Zniknęli za zakrętem i wtedy odetchnęła głęboko, i zaczęła mówić ni to do Kamala, ni to do siebie: „O Boże, co to się stało, co to było, Kamal? Zły sen? Zdawało mi się, że spadam z wysoka do jakiejś mrocznej jamy. Ziemia kręciła mi się pod nogami, potem wszystko znikło. A kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam ten straszny widok. O Boże, czy on naprawdę chciał mnie zabrać na komisariat? O Boże miłosierny i Ucieczko nasza! Kiedy wreszcie będzie dom? Płakałeś, Kamal, spłakałeś się jak nigdy. Wytrzymaj oczy chusteczką, a w domu obmyjesz twarz... och...”

Zatrzymała się nagle, oparła o ramię chłopca, twarz jej się skurczyła. Znajdowali się już u wyjścia z As-Sagha.

– Co ci jest? – spytał przerażony Kamal.

– Jestem zmęczona, bardzo zmęczona, nie mogę iść. Zatrzymaj pierwszą dorożkę, jaką zobaczysz.

Kamal rozejrzał się dokoła i zobaczył jedynie wóz karo stojący pod szpitalem Kalawuna. Zawołał głośno, a woźnica szybko zaprzągnął i podjechał do nich. Matka przy pomocy woźnicy weszła jęcząc na platformę i usiadła po turecku, a Kamal obok niej. Woźnica wskoczył na wóz i popędził osła batem. Wóz ruszył kołyszac się i turkoczac. Amina jęczała: „Co za straszny ból, chyba mam złamaną rękę”. Kamal przyglądał się jej ze strachem. Wóz przejechał obok sklepu As-Sajjida, ale w ogóle nie zwrócili na niego uwagi. Kamal wypatrywał maszrabijji domu, myśląc o smutnym końcu tej szczęśliwej wyprawy.

Umm Hanafi otworzyła drzwi i zdumiała się, widząc swoją panią siedzącą na wozie karo. W pierwszej chwili pomyślała, że tak sobie zakończyli wycieczkę dla rozrywki, i uśmiechnęła się, ale zaraz zobaczyła zaczerwienione od płaczu oczy Kamala, a potem skurczoną z bólu i osłabienia twarz Aminy. Krzyknęła i pospieszyła do wozu.

– Co się stało? Co pani jest? Niech zło będzie daleko od pani.

– Pewnie po prostu zmęczona, jeśli Bóg tak chce – powiedział woźnica. – Pomóż jej zejść.

Kobieta wzięła ją na ręce i zaniósła do domu. Kamal poszedł za nimi smutny. Chadidża i Aisza wyszły z kuchni i czekały na podwórzu, szykując na przywitanie jakiś figiel, ale widok Umm Hanafi w wewnętrznym korytarzu prawie niosącej matkę sprawił, że przerażone podbiegły do nich z krzykiem.

– Co ci jest, mamusiu? Co się stało? – krzyczały jedna przez drugą.

Pomogły ją nieść, a Chadidża tymczasem wypytywała Kamala nieprzytomnego ze strachu.

– Samochód – powiedział tylko.

– Samochód?!

Słowo to wywarło na nich potworne wrażenie.

– Co za czarna wiadomość – zawodziła Chadidża. – Niech zło będzie daleko od ciebie, mamusiu!

Aisza wybuchnęła płaczem. Matka była przytomna, ale z osłabienia zdołała tylko wyszeptać, chcąc je uspokoić:

– Nic mi nie jest, nic złego się nie stało, to tylko zmęczenie.

Hałas przywołał Jasina i Fahmiego. Stanęli u szczytu schodów patrząc, co się dzieje, po czym szybko zbiegli na dół pytając, co się stało. Chadidża bojąc się nawet wymówić to straszne słowo wskazała na Kamala, który, zmieszany, ze smutkiem wymamrotał:

– Samochód... – i wybuchnął płaczem.

Młodzieńcy zostawili go odkładając pytania na potem, przenieśli matkę do pokoju dziewcząt i posadzili na kanapie.

– Powiedz, co się stało, chcę wszystko wiedzieć – zapytał Fahmi.

Matka położyła głowę na oparciu kanapy i nic nie powiedziała. Chadidża, Aisza, Umm Hanafi i Kamal podnieśli taki lament, iż Fahmi starając się opanować własne nerwy wrzasnął tak, że kobiety uciekły. Złapał natomiast Kamala i zaczął go wypytywać, co się stało, co ludzie zrobili z kierowcą, czy wzięli ich na komisariat, jak się czuła matka w czasie tego wypadku itd. Kamal odpowiadał skwapliwie i z najdrobniejszymi szczegółami. Matka śledziła rozmowę i kiedy chłopiec umilkł, zebrała siły i powiedziała:

– Nic mi nie jest, Fahmi, nie niepokój się o mnie. Chcieli, żebym poszła na komisariat, ale odmówiłam. Doszłam sama aż do końca As-Sagha, ale tu nagle siły mnie opuściły. Nie martw się, wróć do siebie po krótkim odpoczynku.

Jasin był zmartwiony i czuł się odpowiedzialny za to, co się stało; to przecież on przede wszystkim namawiał do tej nieszczęsnej wyprawy. Zaproponował, by wezwać lekarza, i szybko wyszedł z pokoju, żeby to zrobić, nie czekając na zgodę. Matka drgnęła na słowo „lekarz”, tak jak przedtem na słowo „komisariat” i poprosiła Fahmiego, żeby dogonił brata i zatrzymał go, ale młodzieniec odmówił. Dziewczęta pomogły jej zdjąć milającą, Umm Hanafi przyniosła kubek wody, otoczyli ją wszyscy, wpatrując się z niepokojem w jej bladą twarz i pytając bez końca o to, co się wydarzyło. Próbowano udawać spokój, a kiedy czuła ból, mówiła: „To tylko lekki ból w prawym ramieniu, nie trzeba było wzywać lekarza.” Nigdy dotąd nie wzywała lekarza, nie tylko dlatego, że zdrowie jej dopisywało, ale zawsze udawało jej się leczyć wszystkie dolegliwości przy pomocy własnej medycyny, a do lekarzy oficjalnych nie miała zaufania. Poza tym kojarzyli jej się z poważnymi wypadkami i najgorszymi nieszczęściami. No i wezwanie lekarza ujawni całą sprawę, którą chciała ukryć przed As-Sajjidem. Powiedziała o tych obawach dzieciom, ale one w tej chwili myślały tylko o jednym, żeby była zdrowa.

Jasina nie było najwyżej piętnaście minut, bo gabinet lekarza mieścił się na placu Bajt al-Kadi. Lekarz wszedł od razu do pokoju, gdzie leżała matka. Wszyscy wyszli, zostali tylko Jasin i Fahmi.

– Boli mnie tutaj – powiedziała matka, wskazując prawe ramię i łykając ślinę ze strachu.

Lekarz badał ją długo, tak przynajmniej wydawało się chłopcom i dziewczętom czekającym z bijącym sercem za drzwiami.

– Złamany prawy obojczyk – powiedział – to wszystko.

Słowo „złamany” przeraziło wszystkich, a z kolei powiedzenie „to wszystko” wprawiło w zdumienie, jakby za złamaniem nie kryło się nic poważnego.

– Czy to poważna sprawa? – spytał Fahmi trochę z nadzieją, trochę ze strachem.

– Ależ nie, absolutnie. Nastawię kość i mocno obandażuję, ale będzie musiała spać kilka nocy na siedząco z poduszką pod plecami. Nie wolno jej leżeć na plecach ani na boku. W ciągu dwóch, najwyżej trzech tygodni powinno się zrosnąć. Nie ma żadnego powodu do obaw. Teraz muszę zrobić, co trzeba.

Wszyscy, w pokoju i za drzwiami, odetchnęli mimo wszystko z ulgą.

– Niech jej pobłogosławi Pan nasz Al-Husajn, przecież wyszła tylko dlatego, żeby go odwiedzić – szepnęła Chadidza.

– Jak mogło jej się coś takiego przydarzyć, skoro błogosławił jej wizycie Al-Husajn – krzyknął zdumiony Kamal, jakby przypominając sobie coś ważnego.

– Kto wie, co mogło się zdarzyć, uchowaj Boże, gdyby Al-Husajn-nie pobłogosławił – odparła Umm Hanafi z prostotą.

– O Boże, kiedy to się wszystko skończy? Kiedy będzie tak, jakby nic się nie stało? – krzyknęła Aisza, która ciągle nie mogła otrząsnąć-się z szoku.

– Co ją pognało do Al-Ghurijji? – ubolewała Chadidza. – Gdyby prosto z meczetu wróciła do domu, nie stałoby się to, co się stało.

Kamalowi ze strachu mocno zabiło serce, wydało mu się, że popełnił już nie grzech, ale okropną zbrodnię. Próbował odsunąć od siebie podejrzenia i odezwał się tonem nagany:

– Chciała trochę pochodzić, a ja na próżno usiłowałem ją od tego odwieść.

Chadidza popatrzyła na niego uważnie i z wyrzutem, chciała mu odpowiedzieć, ale powstrzymała się z litości, widziała, że jest blady i trzęsie się ze strachu. „Wystarczy już tego, co jest”, pomyślała.

Otworzyły się drzwi i wyszedł lekarz, a za nim bracia.

– Będę przychodził co kilka dni, aż kość się zrośnie, i jak powiedziałem, nie ma powodu do obaw.

Wszyscy rzucili się do pokoju. Matka siedziała na łóżku oparta plecami o złożoną poduszkę. Nic się nie zmieniło poza tym, że nad prawym rękawem miała podniesione ramię przewiązane jakby bandażem.

– Chwała Bogu! Chwała Bogu! – krzyczeli.

Nastawienie było bardzo bolesne, jęczała głośno, a gdyby nie wstyd, krzyczałaby z bólu. Ale teraz ból przeszedł, albo tak jej się wydawało. Poczwała względną ulgę i spokój. Zaraz jednak zaczęła intensywnie myśleć o sytuacji i wkrótce ogarnął ją strach.

– Co ja powiem waszemu ojcu? – spytała, patrząc na nich rozbieganym wzrokiem.

Pytanie to, jak drwiące wyzwanie, zburzyło podmuchy ich spokoju, jak stercząca podwodna skała burzy spokój płynącego statku. Nie było ono zaskoczeniem, wdzierając się od dawna do ich świadomości w tłumie innych bolesnych odczuć, ale przytłumione cierpieniem matki ginęło i schodziło na dalszy plan. Teraz wróciło, aby zająć centralne miejsce. Nie było wyjścia. Stanęli oko w oko z problemem i stwierdzili, że zarówno dla nich, jak i dla matki jest to dużo trudniejsza sprawa niż sam wypadek, z którego wkrótce się wykaraska. W ciszy, która zapadła po jej pytaniu, matka poczuła się osamotniona jak grzesznik, od którego odsuwają się przyjaciele odkrywszy jego winę.

– Dowie się na pewno o tym, że wyszłam z domu i miałam wypadek.

Umm Hanafi w nie mniejszym stopniu niż członkowie rodziny pojmowała powagę sytuacji i nie mniejszy był jej niepokój. Chciała jednak powiedzieć coś miłego, żeby rozładować atmosferę, a poza tym, jako stara, zaufana służąca pragnęła uczestniczyć w problemach rodziny, żeby nie posądzono jej o obojętność. Odezwała się więc, choć wiedziała, że to, co mówi, dalekie jest od rzeczywistości.

– Jeżeli pan mój dowie się, co ci się przydarzyło, zapomni o grzechu i będzie dziękował Bogu za twoje ocalenie.

Nikt nie wziął tego poważnie, bo dobrze wiedzieli, jaki jest As-Sajjid, jedynie Kamal ucieszył się.

– Zwłaszcza gdy mu powiemy, że poszliśmy do meczetu Al-Husajna – szepnęła.

– Co mam mu powiedzieć? – pytała Amina, patrząc to na Jasina, to na Fahmiego.

– Jaki diabeł mnie podkusił, żeby d doradzić ten spacer – odezwał się Jasin. – Bodajby mi te słowa utknęły w gardle. Ale los widocznie chciał nas doświadczyć. Musimy coś wymyślić. Nie trap się tym, co będzie. Zostaw sprawy Bogu. Już dosyć przeżyłaś dziś bólu i strachu.

Jasin mówił z uniesieniem i uczuciem, złość wylewał na siebie, nad położeniem matki ubolewał i mimo że niczego tym nie zmienił, ulżył samemu sobie. Poza tym powiedział głośno to, co nurtowało chyba wszystkich i nie musieli już robić mu wyrzutów. Wiedział z doświadczenia, że niekiedy najlepszą obroną jest atak i że przyznanie się do winy wywołuje chęć przebaczenia, podczas gdy obrona prowokuje gniew. Najbardziej obawiał się, że

Chadidża wykorzysta sytuację i obciąży go jawnie odpowiedzialnością, ponieważ matka postąpiła według jego rady, i że zaatakuje go otwarcie, więc wolał ten atak uprzędzić. I słusznie, bo Chadidża rzeczywiście szykowała się, żeby go uczynić odpowiedzialnym za to, co się stało, ale po tym, co powiedział, zawstydziała się, tym bardziej że jak zwykle chciała to zrobić z chęci do kłótni, a nie z nienawiści.

Tak więc jego położenie nieco się polepszyło, ale sytuacja ogólna była zła.

– Dlaczego nie powiedzieć, że spadła ze schodów? – wyskoczyła nagle z propozycją Chadidża.

Matka spojrzała na nią, a potem na Jasina i Fahmiego, których wzrok wyrażał nadzieję.

– A lekarz? Przyjdzie za parę dni i na pewno spotka się z ojcem – zauważył Fahmi.

– Uzgodnimy z lekarzem, co ma powiedzieć ojcu – odparł Jasin, który uczeplił się tej nitki nadziei, żeby uwolnić się od obaw i kłopotów.

Wymienili poglądy, czy powiedzieć prawdę, czy skłamać. Poczucie wspólnoty w poszukiwaniu ratunku rozweseliło ich i zmieniło zupełnie atmosferę, jak to bywa, gdy wśród czarnych chmur na niebie pojawi się nieoczekiwanie niebieski prześwit i w cudowny sposób rozszerzy się tak, że w ciągu kilku minut ogarnie cały nieboskłon i wreszcie wyjdzie słońce.

– No to jesteśmy uratowani, dzięki Bogu – odetchnął Jasin.

– To ty jesteś uratowany, dobry doradco! – krzyknęła Chadidża, której już wróciła chęć do kłótni.

Jasin rechotał, aż mu się trząsał wielki brzuch.

– Tak, uratowałem się przed skorpionem twojego języka, bo tylko czekał, żeby mnie ukłuć.

– To właśnie ten skorpion cię uratował, podlewając kwiaty, podlewa się i chwasty.

Prawie zapomnieli w ogólnej radości, że matka ma złamany obojczyk i musi pozostać w łóżku. Ona sama też o tym nie pamiętała.

Otworzyła oczy i wzrok jej padł na Chadidżę i Aiszę siedzące w nogach łóżka i patrzące na nią na przemian ze strachem i nadzieją. Westchnęła głęboko, spojrzała w stronę okna i zobaczyła przez okiennice światło poranka.

– Długo spałam – powiedziała zdziwiona.

– Parę godzin, bo do świtu nie zmrużyłaś oka. Co za noc, nie zapomnę jej do końca życia.

Wróciły wspomnienia wczorajszego dnia, ból, bezsenna noc. Zdjęła ją litość nad sobą i nad dziewczętami, które czuwały przy niej cały czas. Westchnęła do Boga, a potem odezwała się cicho, jakby zawstydzona:

– Zmęczyłam was bardzo.

– Nie ma o czym mówić. Tylko nas przestraszyłaś. Okropnie cię bolało, prawda? Myślałam, że śpisz i dobrze się czujesz, więc się położyłam, ale obudziły mnie twoje jęki. Och, nie mogłam tego słuchać... Nie spałam do świtu – powiedziała ciepło Chadidża.

– A ja jestem mimo to zadowolona – wtrąciła Aisza pogodnie – bo jak powiedziałam rano Fahmiemu, kiedy zapytał, jak się czujesz, że cię bardzo boli, odpowiedział, że to znak, że złamana kość dobrze się zrasta.

– Poszli już? Wszystko w porządku? – spytała, przypominając sobie o synach.

– Oczywiście, chcieli z tobą porozmawiać, żeby się przekonać, że wszystko dobrze, ale nie pozwoliłam im cię budzić, skoro zasnął z takim trudem.

Matka westchnęła pokornie.

– W każdym razie Bogu dzięki, oby wszystko się dobrze skończyło. Która to godzina?

– Za godzinkę będzie wezwanie na południową modlitwę.

Wydało jej się to bardzo późno. Przymknęła oczy, a kiedy je otworzyła, był w nich strach.

– Może już jest w drodze do domu?

Wiedziały, kogo ma na myśli, im też nogi ugięły się ze strachu.

– Niech przyjeżdża, nie ma się czego bać – powiedziała odważnie Aisza. – Wiemy już, co trzeba mu powiedzieć.

– Ciekawe, czy to się uda? – obawy matki rosły, w miarę jak zbliżał się czas jego powrotu.

– Dlaczego ma się nie udać? Powiemy mu to, co uzgodniliśmy, i wszystko będzie dobrze.

Żałowała, że nie ma Jasina i Fahmiego, którzy dodawali jej odwagi. Chadidża tak mówi, ale czy uda się ukryć ten wypadek na zawsze? Czy nie popełnią jakiegoś błędu? Boi się kłamstwa tak samo, jak boi się prawdy. Jakie zasadzki gotuje jej los? Patrzyła na dziewczęta z czułością. Wtedy weszła Umm Hanafi i cichutko, jakby się bała, że ktoś usłyszy za drzwiami, powiedziała:

– Proszę pani, pan przyjechał.

Serce jej zabiło gwałtownie, dziewczęta przyskoczyły do łóżka i stanęły obok matki, patrząc na siebie z przerażeniem.



– Wy dwie nic nie mówcie – powiedziała Umm Hanafi – boję się, że nie potraficie go oszukać. Sama mu powiem, Bóg mi pomoże.

Zapadło pełne napięcia milczenie, jak w ciemnym pokoju, kiedy dzieci słyszą stapanie kroków na zewnątrz i myślą, że to ifrity. Właśnie usłyszały kroki As-Sajjida, były coraz bliższe. Amina z trudem przerwała koszmar ciszy.

– Wejdzie do swego pokoju i nikogo nie zastanie. Idź, powiedz mu, że jestem tutaj, chora, nic więcej – powiedziała do Umm Hanafi.

Dziewczęta szybko wyszły z pokoju, zostawiając matkę samą. Opuszczona, jakby odizolowana od świata, poddała się losowi. Ta pokora, rezygnacja w postępowaniu i całkowita bezbronność przypominały często jakąś straceńczą odwagę. Zaczęła się zastanawiać, co ma powiedzieć mężowi, bo miała coraz większe wątpliwości co do słuszności swojego postępowania. Cały czas w głębi serca uważała, że źle postąpiła i to wprawiało ją w stan napięcia, niepewności i strachu. Usłyszała uderzenie laski o podłogę w salonie. „Boże, bądź miłośiw i pomóż mi” – wyszeptła i wpatrzyła się w drzwi. Wszedł do pokoju, obrzucając ją badawczym spojrzeniem, i zatrzymał się na środku.

– Co ci jest? – zapytał głosem, w którym brzmiała niezwykła delikatność.

– Chwała Bogu, że ty jesteś zdrowy, As-Sajjidzie. Czuję się dobrze, zupełnie dobrze.

– Ale Umm Hanafi powiedziała mi, że jesteś chora.

– Mam chory obojczyk – pokazała prawą rękę.

– Co ci się stało? – spytał, przyglądając się z zainteresowaniem i niepokojem opatrunkowi.

Przyszła decydująca chwila. Co ma powiedzieć? Ratować się kłamstwem? Wtedy kryzys minie spokojnie i będzie mogła prosić o litość. Podniosła oczy i drgnęła, spotkawszy jego wzrok. Serce jej waliło. Wszystko, co sobie poukładała w głowie, wyparowało, rozwiały się wszelkie postanowienia. Mrugała oczami zmieszana, nic nie mówiąc. As-Sajjid zdziwił się.

– Co się stało, Amino? – spytał.

Nie wiedziała, co powiedzieć, wiedziała tylko, że nie jest w stanie kłamać. Nawet gdyby próbowała, prawda wypłynęłaby z niej sama. Kłamstwo i tak by wyszło na jaw. Zachowywała się jak człowiek, który w stanie hipnozy potrafi chodzić po linie, a teraz proszą go o to na jawie.

Mijały sekundy, a ona, zrozpaczona, coraz bardziej czuła, że przegrała.

– Dlaczego nic nie mówisz?

W jego głosie wyczuła zniecierpliwienie, bliski był wybuchu gniewu.

O Boże, jakże potrzebowała pomocy. Tylko szatan mógł ją wtrącić w tak beznadziejną sytuację.

– Dziwi mnie, że nie chcesz mówić.

W ostatecznej rozpaczy wymamrotała wreszcie, nie mogąc znieść naporu ciszy:

– Panie mój, popełniłam wielki grzech... wpadłam pod samochód.

Oczy As-Sajjida rozszerzyły się ze zdumienia i po chwili pojawił się w nich niepokój pomieszany z niezadowoleniem. Zaczął wątpić, czy żona jest przy zdrowych zmysłach. Ale Amina już przestała się wahać, postanowiła wyznać wszystko, nie bacząc na następstwa, jak ktoś, kto ryzykując życiem decyduje się na niebezpieczną operację chirurgiczną, żeby

uwolnić się od bólu. Ogrom grzechu i powaga wyznania tak bardzo jej ciążyły, że oczy napęłniły się łzami i zaczęła mówić płaczliwie, trochę i dlatego, żeby wzbudzić jego litość.

– Pomyślałam sobie, że Pan nasz Al-Husajn wzywa mnie do siebie, i poszłam złożyć mu wizytę. W drodze powrotnej najechał na mnie samochód. Tak chciał Bóg, panie mój. Ale podniosłam się sama, bez niczyjej pomocy – wyraźnie podkreśliła te ostatnie słowa – i z początku nie czułam żadnego bólu, uważałam, że nic mi nie jest, i przyszłam do domu, a tu mnie chwyciło. Wezwali lekarza, który zbadał mi ramię i stwierdził, że jest złamane, i obiecał, że będzie mnie odwiedzał, dopóki się kość nie zrośnie. Popęłam wielki grzech, panie mój, ale zapłaciłam za niego. Niech Bóg miłosierny mi przebaczy.

As-Sajjid słuchał z kamienną twarzą, nie odrywając oczu od żony. Nic nie można było z tej twarzy wyczytać. Amina opuściła głowę z pokorą oczekując wyroku. Długo trwała cisza. Wyczuwała w niej ostrzeżenie i groźbę, nie miała pojęcia, co jej los szykuje. Wreszcie usłyszała dziwnie spokojny głos męża:

– Co powiedział lekarz? Czy to niebezpieczne złamanie?

Spojrzała na niego ze zdumieniem. Wszystkiego się spodziewała, tylko nie tego, nie tej łagodności. Gdyby nie powaga sytuacji, pragnęłaby ją powtórzyć, żeby się upewnić, że to prawda. Ogarnęło ją wzruszenie i z oczu rzuciły się obficie łzy. Zaciśnęła usta, żeby się opanować, i wyszeptała z pokorą:

– Lekarz powiedział, że nie ma żadnego powodu do obaw. Niech Bóg uchroni cię przed złem, panie mój...

Mężczyzna stał chwilę, walcząc z chęcią zadania następnych pytań, wreszcie opanował się i skierował do wyjścia.

– Zostań w łóżku, dopóki ręka nie wydobrzeje przy pomocy Boga.

Natychmiast po wyjściu ojca Chadidża i Aisza popędziły do matki. Stały, przyglądając się jej z ciekawością i niepokojem. Zauważyły, że miała zaczerwienione od płaczu oczy.

– Bóg dał, że dobrze poszło? – spytała Chadidża pełna najgorszych przeczuc.

– Wyznałam mu całą prawdę – powiedziała matka zmieszana.

– Prawdę!?

– Nie mogłam inaczej, to niemożliwe ukryć coś przed nim.

– Czarny dzień dla nas wszystkich – krzyknęła Chadidża, chwytając się za serce.

Aisza stała porażona, nie mogąc wymówić słowa. Ale matka uśmiechnęła się trochę zawstydzona, jej blada twarz zarumieniła się. Nieoczekiwana łagodność, współczucie i wzruszenie As-Sajjida, o których chciała powiedzieć dziewczętom, wprawiły ją wręcz w zakłopotanie.

– Ulitował się nade mną, niech mu Bóg da jak najdłuższe życie. Wysłuchał w milczeniu, potem zapytał o zdanie lekarza i wyszedł, każąc mi leżeć, dopóki Bóg nie wyleczy mi ręki.

Dziewczęta spojrzały po sobie zdumione, z niedowierzaniem, ale szybko odetchnęły z ulgą.

– No widzisz, to jest błogosławieństwo Al-Husajna! – krzyknęła z radością Chadidża.

– Wszystko ma swoje granice, nawet gniew taty – wtrąciła z dumą Aisza. – Nie był w stanie gniewać się na mamę w takiej sytuacji, teraz wiemy, jak ją ceni... Ale masz szczęście! Taki szacunek, takie uczucie! Gratuluję!

Twarz matki znowu oblała się rumieńcem.

– Niech mu Bóg da długie życie – powiedziała zawstydzona. – Dzięki Bogu za ratunek. Powinnaś iść do ojca – zwróciła się do Chadidży – na pewno potrzebuje teraz twojej pomocy.

Dziewczynę, jak zawsze, kiedy miała do czynienia z ojcem, ogarnęło zmieszanie i niepokój, poczuła się jak osaczona.

– Dlaczego Aisza nie pójdzie?

– Ty lepiej mu usłuzysz – powiedziała matka z naganą. – Nie upieraj się, może właśnie teraz ciebie potrzebuje.

Wiedziała, że protest na nic się nie zda, jak zwykle, kiedy spadał na nią jakiś obowiązek, który, jak uważała matka, wypełni lepiej niż siostra. Ale lubiła się kłócić, z języka robiła najposłusznieszy instrument służący jej agresywnej naturze, więc się upierała. Lubiła też słyszeć, jak matka mówi: „W tym i w tym jesteś lepsza od Aiszy, do tego i do tego jesteś zdolniejsza.” Było to ostrzeżenie dla siostry, a dla niej pociecha. Zresztą, gdyby się nawet zdarzyło, że matka powierzyłaby jakiś ważny obowiązek Aiszy, a nie jej, podniosłaby straszny gwałt i nie dopuściłaby do tego, bo w głębi serca uważała, że tylko ona jedna jest godna zajmować w domu drugie miejsce po matce. Otwarcie nigdy by się do tego nie przyznała i zawsze udawała, że jest zmuszana do wykonywania w domu najcięższych obowiązków. Lubiła, żeby ją proszono, lubiła stawiać rodzinę w kłopotliwej sytuacji tylko po to, żeby usłyszeć słowa pochwały, a potem podziękowania, które dawały jej satysfakcję. Dlatego wybiegła z pokoju mówiąc:

– Jak się tylko coś stanie, wołasz Chadidżę, jakby nikogo innego w domu nie było. Co ty byś beze mnie zrobiła?

Ale za drzwiami zamiast dumy poczuła strach. Jak to będzie, kiedy stanie przed ojcem, jak ją potraktuje, kiedy się zająknie, nie zrobi czegoś na czas, pomyli się? Ale As-Sajjid rozebrał się już sam i włożył gallabijję. Kazał jej tylko przynieść kawę. Szybko ją przygotowała i podała mu, stąpając cichutko, ze spuszczonej oczyma ze strachu i wstydu, po czym wróciła do salonu, żeby tam czekać na jego rozkazy. Strach nie opuszczał jej ani przez chwilę. Jak wytrzyma przez całe trzy tygodnie, usługując mu dzień w dzień? Wydawało jej się to strasznie trudne i po raz pierwszy zdała sobie sprawę i doceniła naprawdę rolę, jaką pełniła w domu matka, i litując się sama nad sobą zapragnęła, żeby wyzdrowiała jak najszybciej.

Na jej nieszczęście As-Sajjid, zmęczony podróżą, postanowił odpocząć i po południu nie poszedł do sklepu, jak tego oczekiwała. Była więc uwięziona w salonie. Aisza wśliznęła się do niej i zaczęła robić miny, próbując ją rozerwać, ale Chadidża zganiła ją wzrokiem; nie znosiła żartów w takich sytuacjach, doprowadzały ją do pasji. Dopiero, kiedy As-Sajjid położył się, odzyskała wolność i popędziła do matki, żeby jej opowiedzieć, co zrobiła dla ojca i jaki szacunek i zadowolenie ze swojej pracy wyczytała w jego oczach. Nie omieszkła też zwymyślać Aiszy za jej dziecinne zachowanie. Kiedy ojciec obudził się, podała mu obiad. Po obiedzie As-Sajjid przejrzał jakieś papiery, a potem wezwał ją do siebie i kazał powiedzieć Fahmiemu i Jasinowi, żeby stawili się przed nim, jak tylko wrócą do domu.

Matka pomyślała od razu, że ojciec zebrał w sobie cały gniew i teraz wyleje go na chłopców. Jasin i Fahmi pomyśleli to samo i poszli do pokoju ojca przygotowani na najgorsze. Tymczasem ojciec także i ich zadziwił. Był niezwykle opanowany, kazał sobie

opowiedzieć wszystkie okoliczności wypadku i orzeczenie lekarskie. Słuchał uważnie, a w końcu zapytał:

– Czy wy dwaj byliście w domu, kiedy matka wyszła?

Od początku oczekiwali tego pytania, ale ten zdumiewający spokój ojca uspił ich czujność i teraz siedzieli w milczeniu, zdenerwowani. As-Sajjid nie nalegał, znał ich odpowiedź, chciał im tylko pokazać, że wie o ich winie. Nic więcej nie powiedział, tylko pokazał im drzwi, co znaczyło, że mają wyjść, i mruknął do siebie:

– Bóg nie pobłogosławił mnie mężczyznami, oby mi dał przynajmniej cierpliwość!

Wszystko wskazywało na to, że As-Sajjid przejął się wypadkiem, co wywołało zdumienie rodziny, ale nie aż tak, żeby zaniechać zwykłej nocnej hulanki. Wieczorem ubrał się i wyszedł z domu poprzedzany wonią dobrych perfum. Zajrzał jednak po drodze do pokoju żony i zapytał, jak się czuje. Dziękowała mu długo i wylewnie, nie widząc w jego wyjściu, choć przecież była przykuta do łóżka, nieczułości ani oschłości. Już samo to, że do niej zajrzał, uważała za dowód szacunku większy, niż się spodziewała. A w ogóle fakt, że nie rozgniewał się na nią! Czyż mogła marzyć o czymś więcej? Bracia już wcześniej snuli domysły: „Ciekawe, czy dziś daruje sobie wyjście z domu?” Ale matka odpowiadała: „A dlaczego miałby to zrobić? Przecież wie, że nic groźnego się nie dzieje.” Może w duchu myślała sobie, że miło by jej było, gdyby tego wieczora nigdzie nie wyszedł, czyli postąpił tak, jak powinien postąpić mąż, którego żona zachorowała, ale znając jego charakter uprzedziła wszelkie wymówki udając, że jego wyjście jest absolutnie usprawiedliwione. Mimo to Chadidza powiedziała: „Jak może się bawić, wiedząc, w jakim jesteś stanie?”

Ale na to wtrącił się Jasin:

– Skoro upewnił się, że nic jej nie jest, to dlaczego ma tego nie robić? Smutek mężczyzn jest zupełnie inny niż smutek kobiet. To, że mężczyzna wychodzi wieczorem, żeby się rozerwać, nie pozostaje w sprzeczności z jego smutkiem, co więcej, rozrywka jest dla niego konieczna, aby ulżyć nieco ciężkim obowiązkom życiowym.

Jasin mówiąc to wcale nie bronił ojca, raczej usprawiedliwiał swoją chęć wyjścia z domu, którą już zaczynał odczuwać. Nie uszło to uwagi Chadidzy, która natychmiast zapytała:

– A czy ty na przykład mógłbyś wyjść dzisiaj do tej swojej kawiarni?

Przeklął ją w duchu, ale szybko odpowiedział:

– Oczywiście, że nie, ale ja to jestem ja, a ojciec to co innego.

Po wyjściu ojca matka odczuła ulgę, jakby uratowała się przed prawdziwym niebezpieczeństwem.

– Może uważa, że mam, na co zasłużyłam – powiedziała z uśmiechem. – Niech Bóg wybaczy jemu i nam wszystkim.

– Przecież podobnie jak on zazdrośni mężczyźni – jego przyjaciele – niczego złego nie widzą w pozwalaniu kobietom na wychodzenie z domu, kiedy jest to konieczne – powiedział Jasin prowokująco – więc czemu on robi z domu więzienie?

– Dlaczego teraz dopiero wygłaszasz tę mowę obrońcy? – spytała Chadidza.

Jasin zarechotał, aż mu się zatrzęsło wielkie ciało.

– Bo nie mam twojego nosa, którym mógłbym się bronić w razie czego.

Mijały dni choroby. Ból, który tak bardzo dał się jej we znaki pierwszej nocy, już się nie powtórzył, choć przy najmniejszym ruchu dokuczało jej ramię. Szybko wracała do zdrowia; krzepka i energiczna nie mogła znieść bezczynności, którą, niestety, zalecił lekarz. Bezczynność i bezruch były dla niej większą męką niż ból złamanego obojczyka w najgorszym okresie. Pewnie gdyby nie kontrola synów zlekceważyłaby zalecenia lekarza i wstała wcześniej. Pozostawanie w łóżku nie przeszkadzało jej jednak w doglądaniu spraw domowych, w ciągłej, aż męczącej obserwacji dziewcząt, zwłaszcza w porze różnych obowiązków. Bała się, że o czymś zapomną lub coś pominą, zamęczała je pytaniami: „Wytrzepałaś zasłony na górze? Wymyłaś okiennice? Zrobiłaś parę w łazience ojca? Podlałaś jaśmin i fasolę?” Tak to gniewało Chadidżę, że kiedyś jej powiedziała: „Możesz być pewna, że dbam o dom sto razy bardziej niż ty.”

Przymusowe odsunięcie na dalszą pozycję bardzo matkę męczyło. Ciekawe, czy któryś z domowników nie stracił ma jej „nieobecności”? Czy nie został zakłócony porządek domu? Zastanawiała się, co by wolała, czy żeby wszystko pozostało tak jak przedtem, dzięki pracy dziewcząt, w końcu jej córek, czy też żeby zachwiała się równowaga, przez co wszyscy odczuliby jej brak. Przypuśćmy, że sam As-Sajjid odczułby jej brak, czy byłby to dowód, że docenił jej osobę, czy też powód do gniewu aa jej grzech, który to wszystko za sobą pociągnął? Długo była w rozterce, wstydziła się swojej litości dla siebie, a jawnie współczuła dziewczętom. Oczywiście, gdyby porządek zachwiał się, byłoby to dla niej duże zmartwienie, ale gdyby wszystko szło idealnie, też by się czuła źle. W rzeczywistości nikt nie zapełnił pustego miejsca po niej. Dom potwierdził, że jego potrzeby są tak duże, że dwie dziewczyny im nie podolają. Matka nie cieszyła się z tego ani jawnie, ani w duchu. Broniła Chadidży i Aiszy szczerze i gorąco, a po chwili ogarniał ją ból i strach. Nie mogła się doczekać, kiedy wyjdzie z przymusowego odosobnienia.

O świcie tego długo oczekiwanego dnia wyskoczyła z łóżka radosna jak dziewczynka. Jak król, który wraca na tron z wygnania, zesłała do kuchni i obudziła Umm Hanafi. Kobieta zerwała się nie wierząc własnym oczom i gorąco powitała swoją panią. Z radością, szczęśliwie, rozpoczęły pracę w kuchni. Z pierwszymi promieniami słońca weszła na pierwsze piętro, a synowie przywitali ją życzeniami i pocałunkami. Potem obudziła Kamala. Chłopiec aż podskoczył z radości i zdumienia i rzucił się jej na szyję. Delikatnie uwolniła się od niego.

– Chcesz, żeby mi znowu pękł obojczyk? – ostrzegła.

Obsypał ją pocałunkami, śmiejąc się i żartując:

– Mamusiu, kiedy znowu wyjdziemy się przejść?

– Kiedy Bóg ci da rozum i nie wyprowadzisz mnie wbrew mojej woli tam, gdzie mało nie zginęłam.

Zrozumiał, że matka uważa jego upór za bezpośrednią przyczynę tego, co się stało, i roześmiał się jak grzesznik, któremu ciążył ten grzech przez całe trzy tygodnie, a teraz przyszła ulga. Jakże się obawiał, że bracia podejmą śledztwo i wykryją prawdziwego sprawcę. Chadidza, a potem Jasin coś podejrzewali i odkryliby prawdę, gdyby nie uparta obrona matki i wzięcie całej winy na siebie. Prawdziwy strach poraził go jednak, gdy śledztwo przeszło w ręce ojca. W każdej chwili oczekiwał, że go wezwie. Męczył się tak przez całe trzy tygodnie, martwiąc się jeszcze i o matkę przykutą do łóżka, cierpiącą, nie mogącą się ruszać. Teraz wszystko minęło, skończyło się śledztwo, skończyły się następstwa wypadku. Matka znowu przyszła obudzić go, a wieczorem ukołysze go do snu. Wszystko jest tak, jak było, nastał spokój, miał prawo znowu oddychać pełną piersią, śmiać się i mieć spokojne sumienie.

Matka wyszła od niego i weszła na najwyższe piętro. Zza drzwi pokoju męża doszedł do niej jego głos i słowa modlitwy „Chwała Wielkiemu Bogu”. Serce jej biło mocno, zawahała się nie wiedząc, czy wejść powiedzieć mu „dzień dobry”, czy lepiej najpierw przygotować stół do śniadania. Pełna strachu i wstydu chciała uciec, odwlec chwilę spotkania, wymyślając sobie zajęcia i stwarzając problemy, które miały ją oddalić od problemu prawdziwego. Poszła do jadalni i z najwyższą starannością nakryła do stołu. Ale męka oczekiwania była chyba jeszcze gorsza niż spotkanie z nim twarzą w twarz. Sama była zdziwiona tym, że boi się wejść do „swojego” pokoju, jakby wchodziła tam po raz pierwszy, zwłaszcza że As-Sajjid był ostatnio dla niej dobry i odwiedzał ją codziennie w czasie choroby. Jednak wyzdrowienie jakby wyjęło ją spod ochrony, a to miało być pierwsze spotkanie z nim sam na sam, od kiedy odkryła przed nim swój grzech. Kiedy przyszli synowie, troszkę się uspokoiła. Wkrótce też nadszedł As-Sajjid w obszernej gallabijji.

– Jestem – powiedział, jakby jej wcale nie było – siadajcie – wskazał miejsce synom.

Zaczęli jeść śniadanie, podczas gdy ona stała na swoim zwykłym miejscu. Przestała się bać, oddychała spokojnie, choć była pewna, że przebywanie z nim sam na sam będzie

trudniejsze. Po śniadaniu As-Sajjid poszedł do swego pokoju, a ona po kilku minutach przyniosła mu na tacy kawę. Postawiła ją na stoliku i stanęła obok oczekując, kiedy skończy pić, żeby mu pomóc ubrać się do wyjścia. As-Sajjid pił kawę w głębokiej ciszy. Nie była to jednak cisza, która niesie przebaczenie i ulgę, ani też milczenie człowieka, który po prostu nie ma chęci na rozmowę. Była to cisza zamierzona i nie zostawiała nawet najmniejszej nadziei na dobre słowo ani na rozmowę, jak to zwykle bywało o tej rannej godzinie.. Zmieszało ją to. „O co mu chodzi?” – myślała i niepokój jak cierń ukłuł jej serce. Ale ciężka cisza nie trwała długo. Mężczyzna najwidoczniej zbierał myśli, zastanawiał się i widać było, że rozważa coś nie pod wpływem chwili, ale że jest to rezultat przemyśleń minionych dni.

– Wyzdrowiałaś? – zapytał, nie podnosząc głowy znad filiżanki kawy.

– Chwała Bogu, panie mój – szepnęła.

– Dziwię się i nie mogę się nadziwić – mówił dalej As-Sajjid – jak ośmieliłaś się popełnić taki czyn!

Serce jej zabiło ze strachu, spuściła wzrok. Nie mogła znieść jego gniewu, kiedy broniła kogoś innego, a co dopiero teraz, kiedy sama była winna. Strach sparaliżował jej język.

– A może, nie wiedząc o tym, byłem oszukiwany przez wszystkie te lata, co?

Rozłożyła ręce pełna bólu i strachu i powiedziała:

– Uchowaj Boże, panie mój. Popełniłam wielki grzech, to prawda, ale nie zasługuję na takie podejrzenia.

– Jak mogłaś popełnić tale wielki grzech? Wyjechałem tylko na jeden dzień!

– Zgrzeszyłam, panie mój – powiedziała drżąc cała – proszę o przebaczenie. Tak bardzo pragnęłam odwiedzić naszego Pana Al-Husajna. Myślałam, że to mnie usprawiedliwia, że mogę wyjść ten jeden raz.

Kręcił głową niezadowolony, jakby chciał powiedzieć „na nic się zda ta rozmowa”, a wreszcie spojrział na nią surowo i powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu:

– Mam tylko jedno do powiedzenia: Masz natychmiast opuścić mój dom!

Stała bez słowa, nie mogąc się ruszyć, jak uderzona obuchem w głowę. W najtrudniejszych chwilach, kiedy czekała na jego powrót z Port Saidu, spodziewała się czegoś strasznego, że będzie przeklinał, krzyczał, wyleje na nią całą swoją wściekłość, może nawet ją uderzy, ale że ją wypędzi z domu, nie przyszło jej do głowy. Dwadzieścia pięć lat pożycia z nim dało jej taki spokój, że nie mogła sobie wyobrazić, że zdarzy się coś, co ich rozdzieli, coś, co wypędzi ją z domu, którego była niepodzielną częścią. As-Sajjid natomiast powiedziawszy to uwolnił się od ciężaru myślenia, które uciskało mu mózg w ciągu minionych trzech tygodni. Walczył ze sobą od chwili, kiedy żona wyznała mu z płaczem swój grzech. Tak go to w pierwszej chwili zaskoczyło, że po prostu nie uwierzył, ale potem zaczął przychodzić do siebie i uświadamiać sobie okropną rzeczywistość, która była wyzwaniem rzuconym jego dumie i pysze. Nie wybuchł jednak gniewem ze względu na jej stan, odłożył to na czas, kiedy będzie zdrowa. Trzeba przyznać, że z początku jego duma zesłała na plan dalszy, tak był owładnięty niepokojem, prawie strachem o kobietę, do której się przyzwyczaił i której zalety podziwiał. Prawie zapomniał o jej grzechu, prosił tylko Boga o zdrowie dla niej. Jego potęgą skurczyła się i zmalęła w obliczu zagrożenia, obudziła się w nim głęboko ukryta czułość i w dniu, w którym dowiedział się o wypadku, wrócił do swojego pokoju

smutny. Twarz rozjaśniła mu się dopiero wtedy, kiedy zobaczył, że szybko i zdecydowanie wraca do zdrowia. Ale wtedy też zaczął rozmyślać nad wypadkiem, jego przyczynami i skutkami i spojrzął nań innym okiem. Na nieszczęście dla matki miał czas przemyśleć wszystko spokojnie, w samotności i przekonać samego siebie, że jeśli podda się uczuciu i przebaczy, a tego pragnęła jego dusza, straci szacunek i respekt i postąpi wbrew swoim obyczajom, tradycji, a ponadto wypadną mu z ręki cugle, rozwiąże się węzeł rodzinny. A o nic nie dbał więcej, niż żeby go utrzymać stanowczością i surowością. Nie będzie wtedy Ahmadem Abd al-Dżawwadem, ale inną osobą, której nigdy by nie zaakceptował. Na tym polegał pech matki, że mógł w spokoju, na osobności rozpatrzyć od początku do końca całą sprawę, bo gdyby wybuchł gniewem w momencie, kiedy przyznała się do winy, wyładowałby się i całe wydarzenie minęłoby bez żadnych następstw. Wtedy jednak nie wypadało mu okazywać gniewu, a po jej wyzdrowieniu duma nie pozwalała mu na puszczenie sprawy w niepamięć. Miał okazję przemyślenia wszystkiego w spokoju i znalezienia takiej kary, która odpowiadałaby wielkości winy. I tym samym niebezpieczeństwo, które groziło jej życiu, uratowało ją przed gniewem męża, ale jednocześnie stało się powodem tak wielkiej kary.

Podniósł się ze zmarszczonymi brwiami, odwrócił do niej plecami i wziął ubranie z kanapy.

– Ubiorę się sam – powiedział sucho.

Głos jego obudził ją z odrętwienia, zrozumiała, że każe jej wyjść, więc ruszyła w kierunku drzwi.

– Nie życzę sobie zastać cię w domu, kiedy wrócę w południe – dodał, kiedy była już w progu.



W salonie siły ją opuściły i usiadła na kanapie. Słowa As-Sajjida ciągle brzmiały w jej uszach. Nie żartował. Czy kiedykolwiek żartował? Nie mogła zejść na dół przed jego wyjściem z domu, bo wywołałoby to podejrzenia synów, ponieważ nigdy tego nie robiła. Nie chciała, żeby poszli do pracy i rozpoczęli dzień z wiadomością o jej wypędzeniu. Postanowiła zostać na górze, dopóki mąż nie wyjdzie z domu. Żeby zejść mu z oczu, wśliznęła się do jadalni i usiadła na materacu złamana rozpaczą. „O co mu chodzi?” – myślała. Czy wypędził ją na jakiś czas, czy na zawsze? Nie wierzyła, że rozwiedzie się z nią. Był na to zbyt szlachetny i wspaniałomyślny. Tak, to tyran łatwo wpadający w gniew, ale zbyt pesymistyczne byłoby przypuszczenie, że szlachetność go opuści.

Pamiętała przecież, jak martwił się jej chorobą, jak codziennie pytał o jej zdrowie. Taki człowiek nie zniszczy domu, nie zrobi krzywdy, nie odsunie matki od dzieci. Wmawiała sobie to wszystko i narzucała sobie spokój, jak czasem chorzy, którzy podkreślają swoją siłę za każdym razem, kiedy poczują słabość, ponieważ nie miała pojęcia, co zrobi ze swoim życiem i co jej życie przyniesie, gdyby się stało to, czego się najwięcej obawiała.

Usłyszała uderzenia laski o podłogę; wsłuchiwała się w jego kroki, dopóki nie ucichły. Wtedy poczuła palący ból i gniew na nieugiętą wolę, nieczułą na jej słabość. Wyszła z pokoju, żeby zejść na pierwsze piętro, a do jej uszu doszły głosy synów, którzy kolejno wychodzili. Wychyliła się i zobaczyła Fahmiego i Kamala idących za Jasinem do drzwi prowadzących na podwórze. Ogarnęła ją fala czułości. Jak mogła pozwolić im wyjść bez pożegnania, przecież nie zobaczy ich przez wiele dni, a może i tygodni. A może przez całe życie, tylko od czasu do czasu, jak obcych? Stała nieporuszona na najwyższym piętrze, a w sercu przepełnionym bólem zaczynało umacniać się przekonanie, że taki właśnie los to jej przeznaczenie. Dawały jej to przekonanie nieskończona wiara w Boga, która ustrzegła ją dawno temu, w dniach samotności, przed ifritami, zaufanie do męża, które nie pozwalało go obwiniać, oraz fakt, że w dotychczasowym życiu nie doznała poważnego zła, które by jej kazało teraz tracić spokój. Uważała więc to swoje nieszczęście za okrutne doświadczenie, które jednak jej nie załamało.

Chadidża i Aisza kłóciły się jak zwykle, ale ucichły zobaczywszy jej pochmurną twarz i zgaszony wzrok. Pomyślały, że pewnie za wcześnie wstała i jest jeszcze niezupełnie zdrowa.

– Co ci jest, mamó? – spytała Chadidża.

– Na Boga... Nie wiem, co powiedzieć... Odchodzę.

Mimo że to ostatnie słowo zabrzmiało zwyczajnie, to w jej zrozpaczonym spojrzeniu wyczytały znaczenie, które je przeraziło.

– Dokąd? – krzyknęły jednocześnie.

– Do matki – odparła pokornie i aż przestraszyła się swoich słów.

– Co ty mówisz?! Nie mów takich rzeczy! Co się stało? – krzyczały.

Ich przestrasz był pociechą, ale jak to bywa w takich wypadkach, wywołał też żal. Z trudem powstrzymywała cisnące się do oczu łzy.

– Niczego nie zapomniał, niczego nie przebaczył – powiedziała ze smutkiem. – Zataił gniew i poczekał, aż wyzdrowieję. A teraz kazał mi się natychmiast wynosić. Powiedział, że nie chce mnie tu zastać, kiedy wróci w południe. Słucham i jestem posłuszna. Słucham i jestem posłuszna... – mówiła z głębokim smutkiem i rozczarowaniem.

– Nic wierzę! – krzyknęła Chadidża. – Nie wierzę. Nie mów takich rzeczy. Co to się dzieje na tym świecie!

– Nigdy do tego nie dojdzie – powiedziała Aisza drżącym głosem. – Czyżby do tego stopnia nie obchodziło go szczęście nas wszystkich?

– O co mu chodzi? Mamusiu, o co mu chodzi? – krzychała Chadidża.

– Nie wiem, tak powiedział. Nic dodać, nic ująć.

Nie chciała więcej o tym mówić, ale musiała z powodu rozgoryczenia i żalu nad sobą i nad dziewczętami.

– Myślę, że chodzi mu o odsunięcie mnie od was na jakiś czas. Chce mnie ukarać za samowolę.

– Czy nie wystarczy mu to, co ci się przydarzyło?

– Wszystko w ręku Boga – westchnęła smutno. – Teraz muszę już iść.

Chadidża zagroziła jej drogę z płaczem.

– Nie pozwolimy ci nigdzie iść. Nie opuścisz swojego domu. Nie sądzę, żeby wpadł w złość, jak przyjdzie i zastanie cię wśród nas.

– Poczekaj, aż wrócą Fahmi i Jasin – dodała Aisza. – Ojciec nie zechce cię wyrzucić przy wszystkich.

– Niemądrze by było prowokować jego gniew. Takich jak on może ułagodzić posłuszeństwo, a bunt tylko doprowadzi do wściekłości.

Dziewczęta protestowały, ale matka obstawała przy swoim.

– Z gadania nie będzie żadnego pożytku. Muszę iść, zabiorę swoje rzeczy i pójdę. Nie martwcie się, rozłąka nie potrwa długo, jeśli Bóg pozwoli, zobaczymy się znowu.

Amina poszła do swojego pokoju na drugie piętro, a dziewczęta za nią, płacząc jak dzieci. Zaczęła wyjmować z szafy swoje ubrania.

– Co robisz? – spytała Chadidża.

Matka nie odpowiedziała, bała się, że wybuchnie płaczem.

– Weź tylko jedną zmianę, jedną zmianę, pamiętaj – powiedziała Chadidża ze złością.

– Boję się, że będzie wściekły, kiedy zobaczy moje rzeczy na swoim miejscu.

– Schowamy je u nas.

Aisza zabrała rzeczy i dała matce tylko jedno ubranie. Była im za to głęboko wdzięczna, tak jakby fakt, że zostawia tutaj ubranie, zapewniał jej powrót. Przyniosła torbę, zapakowała rzeczy, a sama usiadła na kanapie i zaczęła wkładać pończochy i buty. Dziewczęta patrzyły na nią zmieszane i przerażone.

– Wszystko się jakoś ułoży – powiedziała z udanym spokojem, żeby je jakoś pocieszyć. – Radzcie sobie tak, żeby nie wywołać jego gniewu. Powierzam wam dom i rodzinę, mam

zaufanie do waszych umiejętności. Nie wątpię, że będziecie ze sobą dobrze żyły, że Aisza pomoże Chadidży. Róbcie wszystko tak, jak robiłyśmy razem, tak, jakbym była z wami.

Włożyła milaję, zasłoniła twarz białą zasłoną. Robiła wszystko umyślnie powoli, żeby jak najbardziej opóźnić tę ostatnią, koszmarną chwilę. Stały naprzeciwko siebie nie wiedząc, co robić. Nie wymówiła słowa pożegnania, a żadna z dziewcząt nie miała odwagi rzucić się jej w ramiona. Mijały ciężkie minuty tortury, wreszcie matka bojąc się, że straci resztki opanowania, podeszła do nich i ucałowała każdą po kolei szepcząc:

– Bądźcie dzielne, Bóg jest z nami wszystkimi.

Wtedy wybuchły płaczem, całując ją i ściskając. Opuściła dom z oczami pełnymi łez, w których rozmazywała się ulica.

Zapukała do drzwi starego domu. Myślała z bólem i wstydem, jaki smutek i niezadowolenie wywoła jej przybycie. Do domu wchodziło się z zamkniętego zaułka odchodzącego od ulicy Al-Churunfusz. Stał w nim mały meczet, do którego długie lata chodziła na modlitwę, aż dorosła do wieku, w którym było to zabronione. Przy okazji odwiedzin matki zawsze wracały okruchy wspomnień z dzieciństwa. Przypominała sobie, jak czekała przy drzwiach meczetu na ojca, kiedy po skończonej modlitwie wracał do domu, jak zaglądała do wnętrza podczas modlitwy, żeby choć przez chwilę nacieszyć się widokiem modlących się, bijących pokłony, albo jak przyglądała się członkom bractw, którzy się w nim zbierali, zapalali świece, rozściełali materace i intonowali *zikr*.

Otworzyły się drzwi i ukazała się w nich głowa czarnej służącej w wieku około pięćdziesięciu lat. Na widok gościa twarz jej rozjaśniła się uśmiechem. Przywitała Aminę gorąco, wpuściła do środka i stała przy drzwiach, jakby jeszcze na kogoś czekając.

– Zamknij drzwi, Sadiko – powiedziała Amina.

– A co, As-Sajjid nie przyszedł z tobą? – spytała służąca ze zdziwieniem.

Amina potrząsnęła głową, przecięła podwórze, na którym pośrodku mieściła się kuchnia, a w lewym rogu studnia, i wąskimi schodami weszła na pierwsze, a zarazem ostatnie piętro. Do pokoju matki prowadził korytarzyk. Matka siedziała po turecku na kanapie, na środku pokoju, trzymając w rękach długi, opadający jej na kolana różaniec. Słyszała z pewnością pukanie i zbliżające się kroki i spojrzała w kierunku drzwi.

– Kto to? – spytała z lekkim uśmiechem powitania, jakby się domyślając, kto przyszedł.

– To ja, Amina, mamó – odpowiedziała cichutko, ze smutkiem.

Staruszka opuściła nogi na podłogę, szukając stopami chodaków, włożyła je i wstała otwierając ramiona. Amina położyła na kanapie swój węzełek i rzuciła się w objęcia matki, całując ją gdzie popadło, w czoło, w policzki, szyję, głowę. Staruszka ścisnęła ją gorąco, stęskniona, po czym gładząc po plecach spojrzała znowu z uśmiechem powitania w kierunku drzwi, jak to zrobiła przedtem służąca.

– Przyszłam sama, mamó – powiedziała Amina pokornie, rozumiejąc, na kogo matka czeka.

– Sama? Chwała Bogu. Tylko Bóg się nie zmienia – powiedziała ze sztucznym uśmiechem, aby odpędzić niepokój.

Usiadły na kanapie.

– No, co słyhać? Dlaczego nie przyszedł z tobą, jak zwykle? – spytała nie kryjąc obaw.

– Gniewa się na mnie, mamó – odpowiedziała tonem ucznia, który przyznaje, że nie zdał egzaminu.

Kobieta zamrugła powiekami, twarz jej przybrała smutny i poważny wyraz.

– Chronź nas, Boże, przed przeklętym szatanem – powiedziała. – Serce mi nigdy nie kłamie. Jak tylko powiedziałaś „przyszłam sama”, od razu domyśliłam się, że coś się stało.

Ciekawe, dlaczego rozgniewał się na takiego anioła, jakiego żaden mąż nigdy nie miał. Opowiedz mi o wszystkim, córko.

– Poszłam do meczetu naszego Pana Al-Husajna w czasie podróży As-Sajjida do Port Saidu – zaczęła Amina wzdychając.

– A skąd się o tym dowiedział?

Amina nie chciała martwić matki wypadkiem, a poza tym pragnęła trochę pomniejszyć swoją odpowiedzialność, więc odparła:

– Pewnie ktoś- mnie widział i doniósł mu.

– Przecież nikt poza domownikami cię nie zna – powiedziała ze złością staruszka. – Podejrzewasz kogoś? Tę Umm Hanafi? A może jego syna z tamtej kobiety?

– Nie, to na pewno sąsiadka powiedziała w dobrej wierze swojemu mężowi, a on powtórzył As-Sajjidowi, nie zdając sobie sprawy z następstw. Myśl, co chcesz, ale nie podejrzewaj nikogo z domowników.

– Masz dobre serce. Jeden Bóg, który wszystko wic, wynagrodzi ci krzywdę. Ale twój mąż... Przecież to człowiek rozumny, około pięćdziesiątki. Nie mógł wymyślić innego sposobu okazania gniewu tylko wypędzając towarzyszkę swojego życia z domu, rozłączając ją z dziećmi? Bądź pochwalony, Boże. Ludzie się starzeją i mądrzeją, a my się starzejemy i jesteśmy coraz głębsi. Czy to herezja, grzech, że uczciwa kobieta odwiedza grobowiec naszego Pana Al-Husajna? A czyż jego przyjaciele, wcale nie ustępujący mu męskością i także zazdrośni, nic pozwalają swoim żonom wychodzić z domu w różnych celach? Sam twój ojciec, który był przecież pobożnym szajchem, pozwalał mi chodzić do domów sąsiadów oglądać mahmal.

Zapadła smutna, przygnębiająca cisza. Nagle staruszka odezwała się, patrząc z uśmiechem i trochę naganą na córkę:

– Zachodzę w głowę, co cię podkusiło zbuntować się po tylu latach ślepego posłuszeństwa? Przecież w końcu to jest twój mąż i powinnaś mu być posłuszna już choćby dla świętego spokoju i szczęścia własnego i dzieci, prawda, córko? Najdziwniejsze, że nigdy się w tej sprawie mnie nie poradziłaś.

Amina uśmiechnęła się zakłopotana i zawstydzona.

– Szatan mnie podkusił, mamó – wymamrotała.

– Oby go Bóg przeklął. Po dwudziestu pięciu latach zgody i posłuszeństwa podkusił cię szatan? Tak, ale on też wywiódł z rajy naszego ojca Adama i naszą matkę Ewę. Bardzo jestem zmartwiona, córko, myślę jednak, że to letni obłok, wkrótce się rozpułynie i wszystko wróci do normalnego stanu. Co by mu szkodziło być trochę łagodniejszym? Ale to mężczyzna, a mężczyźni zawsze mają wady. No, rozbieraj się, odpocznij i nie martw się – powiedziała z udanym ożywieniem i radością. – Źle ci będzie, jeżeli spędzisz krótki urlop z matką w pokoju, w którym się urodziłaś?

Amina obojętnie spojrzała na łóżko, którego kolumny zmieniły już kolor, na zniszczony dywan z wytartym włosem i poszarpanymi brzegami, który jednak zachował żywy czerwono-zielony wzór kwiatowy. Nie była w nastroju do przyjęcia fali wspomnień ani też zaproszenie matki nie wywołało tkliwości w jej sercu, jak to bywało, kiedy dawniej patrzyła na ten pokój

przypominający czasy, gdy była oczkiem w głowie rodziny. Zbyt ją bolała rozłąka z ukochanymi.

– Niepokoję się o dzieci, mamó.

– Są pod opieką boską, a jeżeli Bóg miłosierny pozwoli, niedługo do nich wrócisz.

Amina wstała, żeby zdjąć milaję, a wtedy Sadika, która cały czas stała w drzwiach słuchając rozmowy, smutna i milcząca, odeszła do swoich zajęć. Usiadła znowu na kanapie koło matki i od nowa zaczęły roztrząsać całą sprawę i plotkować bez końca. Gdy się patrzyło na nie, kiedy tak siedziały obok siebie, przychodziły na myśl prawa dziedziczenia i surowe prawa przemijania. Zdawało się, że to jedna osoba i jej odbicie w lustrze przyszłości lub ta sama osoba z własnym odbiciem w lustrze przeszłości. Zarówno w oryginale, jak i jego odbiciu coś wskazywało na straszliwą walkę z jednej strony między prawami dziedziczenia, które działają na rzecz podobieństwa i przetrwania, a z drugiej z prawem przemijania prowadzącym do zmian i końca. Walka ta zwykle daje w rezultacie łańcuch klęsk, za które odpowiedzialne jest prawo przemijania. Prawo dziedziczenia nie ma w tej walce nic do powiedzenia. W związku z tym wszystkim matka przekształciła się w staruszkę o chudym ciele, zwiędłej twarzy i oczach, które nie dostrzegają zmian wewnętrznych ani zewnętrznych. Z radości życia zostało jej już tylko to, co się nazywa pięknem starości, czyli szlachetny, budzący szacunek wygląd, powaga i ozdobiona siwizną głowa. Należała do pokolenia żywotnego, znającego twardą walkę z życiem. W wieku siedemdziesięciu pięciu lat wstawiała rano jak zwykle od pół wieku i bez pomocy służącej znajdowała drogę do łazienki, gdzie dokonywała ablucji, po czym wracała do pokoju, żeby się pomodlić. Resztę dnia spędzała na siedzeniu z różańcem w ręku, wychwalaniu Boga i samotnym, milczącym rozmyśleniu, gdy służąca była zajęta pracą domową, lub na rozmowie z nią, gdy była wolna. Nawet cechy, które wiążą się zwykle z wielką aktywnością i entuzjazmem dla życia i pracy, nie zniknęły. Takie na przykład kontrolowanie i wyliczanie służącej z wydatków dużych i małych, sprawdzanie czystości i porządku w domu, pokrzykiwanie na nią i strofowanie jej, gdy się z czymś spóźniała. Nierzadko kazała Sadice przysięgać na Koran, żeby się przekonać o prawdzie jej sprawozdań o umyciu łazienki, naczyń, wytrzepaniu zasłon. Sprawdzała wszystko z dokładnością niemal obsesyjną. Możliwe, że cecha ta wykształciła się jeszcze w latach młodości, ale możliwe też, że była to klęska starości i wynik tego, że uporczywie pozostawała w swoim domu prawie zupełnie sama po śmierci męża. Co więcej, upierała się pozostać w nim, nawet gdy straciła wzrok, głucha na ciągłe zaproszenia As-Sajjida, żeby się przenieśli do jego domu, gdzie miałyby opiekę córki i wnuków. Nie chciała opuścić domu, do którego była przywiązana, broniła się przed przykrościami, mogącymi ją spotkać w nowym domu zupełnie przypadkowo, bez złych zamiarów, i przed zrzuceniem na barki córki, i tak już przeciążone, nowych obowiązków. Zresztą nie mogła nawet pomyśleć o przebywaniu w domu, którego pan był sławny w rodzinie ze złego charakteru i wybuchów gniewu, bo sama nie wiedząc kiedy dostałaby się pod jego kontrolę i rozkazy, a następstwa tego odbiłyby się na córce. Wreszcie duma nie pozwalała jej opuścić ukochanego domu, w którym mogła żyć swobodnie, znajdując oparcie przede wszystkim w Bogu, a potem w rencie po nieżyjącym mężu. Bała się, że jeżeli się wyprowadzi, będzie zmuszona do wyboru, albo pozwolić obcym mieszkać w domu, który jest dla niej, poza córką i wnukami, najdroższą rzeczą na świecie,

albo zostawić go na pastwę ifritów. A przecież jej mąż, pobożny szajch, spędził w nim całe życie. Przeniesienie się do domu As-Sajjida stworzyłoby niezręczną sytuację, trwałaby w rozterce nie wiedząc, czy została przyjęta jako gość, czy też będzie musiała odstąpić zięciowi swoją rentę, co kłóciło się z jej instynktem posiadania, który wraz z wiekiem bardzo się rozwinął. Czasami nawet podejrzewała, że w jego naleganiu kryje się przede wszystkim chęć zagrabienia jej renty i pustego domu. Odmawiała więc ze ślepym uporem, wręcz manią. A kiedy As-Sajjid uznał wreszcie jej wolę, powiedziała mu z ulgą: „Synku, wybac mi mój upór. Niech Bóg ci wynagrodzi współczucie, jakim mnie darzysz. Ale przecież widzisz, że nie jestem w stanie opuścić mego domu. Najlepiej zostawić starą kobietę samą sobie. Tylko, zaklinam cię na Boga, pozwól Aminie i dzieciom odwiedzać mnie czasami, kiedy już nie będę mogła sama wyjść na ulicę.” W ten sposób postawiła na swoim i została w swoim domu, ciesząc się wolnością i będąc panią samej siebie. Zachowała wiele drogich jej sercu zwyczajów z dawnych czasów. Niektóre z nich, jak naiwna, przesadna troska o dom i pieniądze, kłóciły się ze zdrowym rozsądkiem i tolerancją starości i wydawały się objawem sklerozy. Inny zwyczaj, godny ozdabiać młodość, a który dodaje starości czci i blasku, to służba Bogu i pobożność. Przez całe życie służba Bogu była jej pragnieniem, ambicją i szczęściem. Nauczyła się jej pod opieką ojca-szajcha, duchownego, a nasiąkła do głębi w małżeństwie z innym szajchem, nie mniej pobożnym i bogobojnym. Praktykowała ze szczerą miłością zarówno tę wiarę, prawdziwą, jak i czysty zabobon, tak że została uznana przez sąsiadki za błogosławioną staruszkę. Jedynie służąca Sadika wiedziała o niej dobre i złe rzeczy. Raz nawet, po jakiejś sprzeczce, ośmieliła się jej wytknąć: „Proszę pani, więcej czasu zajmują pani kłótnie z byle powodu niż służba Bogu.” „Ach, ty podła – odpowiedziała – ty mnie będziesz uczyć pobożności! Nie dlatego każesz mi się modlić, że kochasz Boga, tylko chcesz, kiedy ja będę zajęta modlitwą, swobodnie kraść i robić, co ci się podoba. Bóg każe nam być uczciwymi, więc kontrolowanie ciebie jest właśnie pobożnością i zasługuje na nagrodę w niebie.”

Ponieważ wiara zajmowała w jej życiu tak ważne miejsce, ojciec, a potem mąż, jako pobożni szajchowie, cieszyli się u niej ogromną estymą i często zazdrościła im, że znali tań dobrze słowo Boże i Proroka. Przypomniła sobie to wszystko teraz, kiedy tak siedziała z Aminą i chcąc jej dodać otuchy, powiedziała:

– Wypędzając cię z domu As-Sajjid chciał tylko okazać swój gniew z powodu sprzeciwiania się jego rozkazom, ale taki człowiek nie przekroczy nigdy granic dobrego wychowania. Zresztą, zło nigdy nie dotknie kogoś, kto miał takiego ojca i takiego dziadka jak ty.

Amina rozczuliła się na wspomnienie dziadka i ojca, jak ktoś, kto znajdując się w ciemnościach na rozstajnych drogach usłyszy nagle znajomy głos: „heeej!” Całym sercem uwierzyła matce, nie tylko dlatego, że tak gorąco tego pragnęła, ale przede wszystkim dlatego, że wierzyła w błogosławieństwo obu zmarłych szajchów. Była przecież wiernym obrazem matki, zarówno pod względem charakteru, jak i wiary. Wspomnienie ojca wypełniło jej serce miłością i wiarą i modliła się do Boga, żeby wyciągnął ją z tej matni z szacunku dla jego świętości.

– Bóg zawsze otaczał cię swoją opieką i miłosierdziem – pocieszała ją nadal staruszka – przypomnij sobie, że w czasie zarazy ciebie jedną uchował przed złem i uratował, a twoje siostry zabrał.

Amina uśmiechnęła się ze smutkiem. Zapatrzyła się w mrok przeszłości i wydobyła prawie już zniszczony zapomnieniem obraz, który obudził w niej echa okresu grozy. Była wtedy dziewczynką, podskakiwała przed drzwiami domu, zamkniętymi dla sióstr spoczywających na łóżach choroby, potem śmierci. Oto stoi w oknie, patrząc na nieprzerwany strumień pogrzebów i ludzi uciekających z ulicy. Albo słucha krzyków przerażonego, zrozpaczonego tłumu, który rzucił się na pobożnego szajcha, jak to się zdarzyło jej ojcu, a szajch głośno zawodząc zanoszą modły i skargi do Najwyższego. W ogromie zła, w obliczu śmierci jej wszystkich sióstr, ona wymknęła się z pazurów zarazy zdrowa i bezpieczna, a jedyną nieprzyjemnością było to, że raz lub dwa razy dziennie musiała pić sok z cytryny i cebuli.

Matka mówiła dalej z czułością i tkliwością wskrzeszając dawne czasy, przywołując drogie, pozbawione bólu, bo związane z młodością, wspomnienia:

– Twój szczęśliwy los tylko ciebie z rodzeństwa ocalił od zarazy. Stałaś się dla nas jedyną nadzieją, pociechą i szczęściem.

Amina patrzyła już teraz na pokój innym okiem. W każdej rzeczy widziała swoją młodość; w ścianach, dywanie i łóżku, w matce i sobie samej. Ojciec wrócił i zajął swoje zwykłe miejsce, a ona słuchała opowieści o miłości i uwodzeniu, śniła o prorokach i cudach, przywoływała w pamięci dawne anegdoty, począwszy od Towarzyszy Proroka i niewiernych, do czasów Urabięgo Paszy i Anglików. Wskrzesiła dawne życie z jego czarownymi marzeniami, nadziejami, oczekiwanym szczęściem.

– Tak, Bóg cię zachował i opiekował się tobą zawsze – dodała jeszcze staruszka, jakby podsumowując to, co powiedziała wcześniej.

To zdanie przywołało ją do rzeczywistości, zawróciło z drogi ku szczęśliwej przeszłości i choć same słowa niosły pocieszenie, przypominały jej smutki dnia dzisiejszego. Siedziała beczynnie, do czego była zmuszona jedynie w czasie choroby, teraz natomiast beczynność denerwowała ją, wywoływała niepokój, zaledwie część uwagi mogła skupić na rozmowie z matką.

W południe Sadika przyniosła im obiad.

– Oho, przyszedł inspektor, żeby sprawdzić, co ukradłaś – powiedziała matka do Sadiki, żeby rozweselić córkę.

Aminy jednak nie obchodziło w tej chwili, czy Sadika kradnie, czy nie, a służąca nie odpowiedziała z szacunku dla gościa, a poza tym znała już zarówno gorzkie, jak przyjemne żarty swojej pani, więc nie zwracała na nie uwagi. Po południu jeszcze bardziej wzmogła się jej tęsknota za domem. Był to czas, kiedy As-Sajjid przychodził do domu na obiad i poobiednią drzemkę, a potem, po jego wyjściu do sklepu, zaczynali schodzić się synowie. Zobaczyła w wyobraźni wyostrejzonej bólem i tęsknotą cały dom i rodzinę tak, jakby znajdowali się tuż koło niej. Oto As-Sajjid zdejmując bez jej pomocy dżubbę i kuftan. Boi się, że zdążył się już przyzwyczaić do obywatnia się bez niej przez okres choroby, próbuje czytać w jego myślach, jakie ma zamiary, czy odczuwa pustkę w domu po jej odejściu, co czuje nie



znajdując po niej śladu, czy wspomni o niej przy jakiejś okazji?... A oto wracają synowie, z tęsknotą biegną do salonu na kawę i widzą jej miejsce puste, pytają o nią, ale odpowiadają im tylko smutne, zapłakane oczy dziewcząt. Ciekawe, jak Fahmi przyjmie tę wiadomość? Czy Kamal zrozumie sens jej wygnania? Serce mocno jej zabiło na myśl o małym synku. Czy długo będą się naradzać? Na co będą czekać? A może już do niej biegną? Na pewno są w drodze. A może wydał zakaz odwiedzania jej? Już muszą być na Al-Churunfusz. Zaraz się okaże...

– Mówiłaś coś, Amino?

Zawstydziała się, że niechcący zaczęła mówić do siebie, a czujne ucho matki wyłapało jej słowa.

– Tak sobie myślałam, czy synowie przyjdą mnie odwiedzić – powiedziała.

– Zdaje się, że już przyszli...

Matka nastawiła ucha, a po chwili także do uszu Aminy doszło walenie do drzwi wejściowych i szybkie, nerwowe uderzenia jak krzyk wołającego o pomoc. Rozpoznała wśród nich małe piąstki Kamala, które słyszała często walące w drzwi kuchni. Szybko wybiegła na schody i zawołała Sadikę, żeby otworzyła. Po chwili zobaczyła przeskakującego po kilka stopni Kamala, za nim Fahmiego i Jasina. Kamal rzucił się matce na szyję, tak że braciom z trudem udało się ją uściskać. Weszli wszyscy do pokoju i zaczęli mówić jeden przez drugiego, zdyszani i zdenerwowani. Dopiero kiedy zobaczyli babkę stojącą z rozwartymi ramionami, uśmiechniętą, witającą ich z radością i miłością, przywitali się kolejno. Zapadła cisza przerywana tylko odgłosem pocałunków. Pierwszy zaczął mówić Jasin.

– Nie mamy teraz domu i nie będziemy go mieli, dopóki do nas nie wrócisz.

– Zostanę tu z mamą, nie wrócę z wami – krzyknął Kamal, z płaczem tuląc się do matki.

Fahmi patrzył na nią w milczeniu, jak zawsze, kiedy chciał jej powiedzieć wszystko oczami. Jego milczący wzrok wyrażał to, co działo się w duszy obojga. Teraz wyczytał w jej oczach cierpienie i wstyd.

– To my namówiliśmy cię do wyjścia – powiedział z bólem – a ty sama ponosisz za to karę.

– Nie jestem dzieckiem, Fahmi – odparła zmieszana – odpowiadam za to, co robię.

Jasin siedział zdenerwowany, doprowadzony do skrajnej rozpacz przez ten swój nieszczęsny pomysł. Długo się wahał, czy ma znowu wziąć winę na siebie w obecności babki, żeby go zganiła lub rozgniewała się na niego, czy milczeć, mimo pragnienia pozbycia się ciężaru winy.

– Tak, to my zawiniliśmy, a ty jesteś oskarżona – powiedział wreszcie innymi słowami to, co już stwierdził Fahmi. – Ale wrócisz – powiedział twardo, jakby głosem samego ojca – i rozejdą się chmury, które zebrały się nad nami wszystkimi.

Kamal zasypał matkę pytaniami: dlaczego opuściła dom, jak długo będzie u babci, co by się stało, gdyby wróciła z nimi... Oczywiście nie mógł otrzymać odpowiedzi zadowolającej. Zresztą uspokoiłoby go dopiero pozostanie z matką, gdziekolwiek by była, a to, podejrzewał, byłoby najtrudniejsze do zrealizowania.

Kiedy już wszyscy wypowiedzieli się, co myślą o sprawie, i wyrazili swoje uczucia, rozmowa zesłała na inne tory. Zaczęli analizować sytuację.

– Nie ma co gadać o tym, co jest, ale zastanowić się nad tym, jak ma być – powiedział Fahmi.

– Człowiek pokroju naszego ojca nigdy się nie zgodzi potraktować taki czyn z wielkodusznością. Musi okazać swój gniew w sposób, w jaki niełatwo będzie go zapomnieć, ale do niczego więcej się nie posunie.

– Na pewno masz rację – powiedział Fahmi przekonany – dowodem tego jest, że nic poza tym nie zrobił, inny na jego miejscu nie odkładałby decyzji.

Rozmawiali o „sercu” ojca i doszli do wniosku, że w gruncie rzeczy ojciec jest dobry, tylko wybuchowy i surowy, i trudno im było sobie wyobrazić, że mógłby celowo kogoś skrzywdzić lub obrazić. Na koniec babka odezwała się żartem, zdając sobie sprawę z niemożności zrealizowania tego, co mówi:

– Gdybyście byli prawdziwymi mężczyznami, znaleźlibyście drogę do serca ojca, żeby nie był taki uparty.

Jasin i Fahmi wymienili ironiczne spojrzenia, znając tę swoją rzekomą męskość, która topnieje i rozplywa się na samo wspomnienie ojca.. Matka przestraszyła się, że w rozmowie z babką chłopcy wspomną o wypadku, i dała im do zrozumienia gestami, że ukryła fco przed nią, po czym odezwała się niby broniąc męskości synów:

– Nie chcę, żeby którykolwiek z was narażał się na jego złość. Poczekajmy, na pewno mi przebaczy...

– A kiedy? – spytał natychmiast Kamal.

Matka podniosła palec wskazujący do góry.

– Przebaczenie jest sprawą Boga.

Rozmowa toczyła się na ten sama temat, każdy powtarzał swoje tymi samymi lub innymi słowami, nie wnosząc niczego nowego, aż zapadła ciemność i trzeba było iść. Smutek ogarnął serca jak mgła, cisza trwała zapowiadając burzę. Rzucali od czasu do czasu nieważne słowa, żeby ją przerwać i rozładować ciężką atmosferę pożegnania.

Staruszka domyśliła się, co się dzieje dokoła niej, zamrugła niewidzącymi oczami, jej palce zaczęły przebierać szybciej paciorki różańca. Minuty mijały jak w koszmarze, kiedy czeka się na upadek z ogromnej wysokości.

– Chyba musimy już iść – usłyszała głos Jasina. – Jeśli Bóg pozwoli, wrócimy po ciebie niedługo.

Ciekawa była, jak zabrzmiał głos córki w odpowiedzi, ale zamiast tego usłyszała tylko odgłosy wstawania, pocałunki i westchnienia, protesty Kamala i płacz. Potem przyszła kolej na pożegnanie i wreszcie usłyszała oddalające się kroki, a zaraz potem lekkie stąpanie Aminy,

– Płakałaś? – krzyknęła. – Głupia! Nie możesz spędzić dwóch nocy w ramionach matki? Żle ci tu?

Nieobecność matki najbardziej odczuwały Chadidża i Aisza. Na nie spadły wszystkie domowe ciężary i usługiwanie ojcu. Praca domowa nie była im obca, natomiast usługiwanie ojcu dostarczyło im tysięcy problemów, gubiły się w domysłach, czego ojcu potrzeba. Aisza starała się unikać bliskości ojca, Chadidża przywykła już do niej podczas choroby matki. Tak więc starsza siostra zmuszona była z powrotem podjąć te delikatne, a zarazem straszne obowiązki, które ją wykańczały nerwowo. Znajdowanie się w pobliżu As-Sajjida, zaspokajanie jego potrzeb było dla niej nie do zniesienia. „Taka sytuacja nie może trwać długo – powiedziała zaraz po wyjściu matki – życie bez niej w tym domu to męka.” Aisza przyznała jej rację, ale odpowiedziała tylko potokiem łez. Czekwały na powrót braci od babki. Chadidża nie miała jednak okazji poskarżyć się na swój los, na co tak liczyła, opowiadali bowiem wyłącznie o „wygnaniu” matki. Drażniło ją to, sprawy domu babki wydawały się jej daleko mniej ważne niż tutejsze.

– Jeżeli wszyscy będziemy milczeć i czekać, to miną dni i tygodnie, a ją tam, w oddaleniu, zabije smutek. Rozmowa z ojcem w tej sprawie to trudne zadanie, ale milczeć nie wypada. Musimy znaleźć jakieś wyjście, musimy z nim porozmawiać.

Forma „musimy porozmawiać” nie dotyczyła oczywiście wszystkich, jasne było, że Chadidża ma na myśli tylko jedną osobę, najwyżej dwie i każde z nich to odczuło.

– Mamie też było niełatwo podejmować rozmowy z ojcem w naszych sprawach – ciągnęła Chadidża – a mimo to narażała się na nie bez wahania, z szacunku dla każdego z nas. Sprawiedliwie będzie, kiedy my też poniesiemy dla niej taką ofiarę.

Fahmi i Jasin wymienili spojrzenia, czuli, jakby mieli na szyi pętlę, która się zacieśnia, ale żaden z nich nie ośmielił się otworzyć ust, żeby na niego czasem nie padł wybór, żeby nie stał się kozłem ofiarnym. Czekali pokornie, jak rozwinie się dyskusja, niczym zapędzona w kąt mysz pokornie czekająca na kota.

Chadidża widząc to przeszła do szczegółów i zwróciła się do Jasina:

– Jesteś naszym najstarszym bratem, do tego urzędnikiem na stanowisku, czyli mężczyzną w pełnym tego słowa znaczeniu, i ty najbardziej jesteś godny podjąć się tego zadania.

Jasin nabrał powietrza w płuca i wypuścił je, głośno przebiegając palcami, zmieszany.

– Nasz ojciec jest człowiekiem wybuchowym, na pewno nie zmieni zdania, a ja już nie jestem chłopcem, tylko mężczyzną i jak powiedziałaś, urzędnikiem, i boję się, że jak on wybuchnie, to ja nie wytrzymam i też wybuchnę.

Wszystkich opanowała wesołość, napięte nerwy puściły, Aisza ukryła twarz w dłoniach, żeby nie roześmiać się głośno. Być może czekali tylko na jakiś tymczasowy środek uspakajający, jak to się czasem zdarza ludziom pogrążonym w głębokim smutku, którzy poddają się wesołości z najbliższego powodu, aby ulżyć nerwom na zasadzie przeciwwagi. Przyjęli to, co powiedział, jak dobry żart, satyrę, bo wiadomo, że Jasin był pierwszym, który nawet pomyśleć nie mógł o gniewie czy oporze wobec ojca i doskonale sam o tym wiedział,

pierwszym, który by uciekł przed konfrontacją z nim. Uśmiechnął się widząc ich rozbawienie i wzruszył ramionami, co miało prawdopodobnie oznaczać: „a, dajcie mi święty spokój”.

– Fahmi, ty jesteś naszym mężczyzną! – krzyknęła Chadidża z rozpaczą, pogardliwie patrząc na Jasina.

Fahmi czekał na to, przestał się śmiać i trochę zmieszany spojrzał na nią, jakby chciał powiedzieć: „sama wiesz najlepiej, jak to jest naprawdę”. Fakt, że w rodzinie on posiadał najlepsze do tej misji predyspozycje. Studiował prawo, był z nich najmądrzejszy i cieszył się największym autorytetem, przy tym umiał się opanować w momentach krytycznych, co wskazywało na odwagę i męskość. Niestety wobec ojca tracił natychmiast wszystkie te cechy i znał tylko ślepe posłuszeństwo.

– Czy ty myślisz, że on wysłucha mojej prośby? – zaczął. – Jeszcze mnie zwymyśla, powie, żebym się nie wtrącał w nie swoje sprawy. I to w najlepszym wypadku, bo jak wpadnie we wściekłość, to może zrobić coś jeszcze gorszego.

Jasin odetchnął z ulgą, uznając rozsądne zdanie Fahmiego także za swoją obronę, i odezwał się, jakby kontynuując myśl brata:

– Nasza interwencja doprowadzi tylko do tego, że ojciec jeszcze raz zacznie rozpatrywać sytuację z tamtego dnia, kiedy matka wyszła z domu, a wtedy stanie się coś, czemu nigdy nie będziemy mogli zaradzić.

– I tak źle, i tak niedobrze.

– Musimy wszystko dobrze przemyśleć – powiedział Fahmi, w którym odezwał się instynkt samozachowawczy. – Nie sądzę, żeby ojciec, który uważa nas obu za współników grzechu, chciał nas wysłuchać, to jest sprawa z góry przegrana. Lepiej, żeby któraś z was z nim porozmawiała, może się wzruszy, a w najgorszym wypadku spokojnie, bez gniewu wam odmówi. Dlaczego na przykład ty, Chadidžo, nie przedstawisz mu prośby?

– Myślałam, że to zadanie dla mężczyzn – odparła z gniewem Chadidża, czując się przyparta do muru.

– Przeciwnie, jeżeli chcemy odnieść sukces. Nie zapominaj, że jeszcze nigdy, przez całe wasze życie nie naraziłyście się na jego gniew, a w każdym razie tak rzadko, że to się w ogóle nie liczy. Przyzwyczyliście się już, że z wami obchodzi się łagodnie, tak jak z nami brutalnie.

Chadidża spuściła głowę myśląc usilnie, jak wyplątać się z sytuacji.

– Jeżeli jest tak, jak mówisz, to Aisza bardziej się do tego nadaje – powiedziała nagle podnosząc głowę.

– Ja?! Dlaczego?

Aisza przestraszyła się. Dotychczas zawsze była w sytuacji spokojnego obserwatora, którego nic specjalnie nie dotyczyło. Zarówno ze względu na młody wiek, jak infantyizm nigdy nie była niczym obarczana, nie mówiąc już o ważnych misjach. Sama Chadidża nie bardzo wiedziała, jak usprawiedliwić swą sugestię, mimo to upierała się przez chwilę, podkpiwając sobie z siostry.

– Trzeba wykorzystać twoje złote włoski i niebieskie oczy, sukces zapewniony.

– A co pomogą tu moje włosy i oczy?

Chadidża pragnęła tylko w tym momencie za wszelką cenę wyplątać się z tej sprawy i jak ktoś, kto znalazłszy się w krytycznej sytuacji chwytą się, w obronie własnej, wszelkich

możliwych sposobów, uciekła się do złośliwych żartów, aby w ogólnej wrzawie i wesołości znaleźć ratunek dla siebie.

– Wiem, że mają one czarodziejski wpływ na każdego... Jasina, Fahmiego, nawet na Kamala – powiedziała – więc dlaczego nie miałyby podzielać na ojca?

Aisza zaczerwieniła się.

– Jak mogę z nim rozmawiać? Przecież kiedy tylko na mnie spojrzę, wszystko, co mam powiedzieć, wyleci mi z głowy.

W ten sposób wszyscy po kolei wybroniли się od tej nieprzyjemnej misji. Nikt już nie czuł się bezpośrednio zagrożony, ale poczucie winy ciążyło im niezmiernie. Minęło niebezpieczeństwo, wróciły wyrzuty sumienia. Tak jak to bywa w chorobie, kiedy całą energię koncentruje się na chorej części, a po powrocie do zdrowia, rozdziela się ją równo pomiędzy wszystkie członki, o które w czasie choroby się nie dbało.

– Żadne z nas nie jest w stanie rozmawiać z tatą – podsumowała Chadidża – poprośmy więc o pomoc naszą sąsiadkę Umm Mariam.

Na dźwięk imienia Mariam Fahmi zrobił mimowolny ruch. Na krótki moment oczy jego spotkały zły wzrok Chadidży, po czym odwrócił głowę udając obojętność. Od czasu, kiedy został odrzucony pomysł zaręczyn z Mariam ani razu nie wymówiono w jego obecności jej imienia. Nie tylko przez wzgląd na jego uczucia. Osoba Mariam, kiedy Fahmi wyznał jej miłość, nabrała nowego znaczenia i została zaliczona do grupy spraw tabu, które tradycja domowa zabrania wspominać w obecności zainteresowanego. Sama Mariam nie przestała ich odwiedzać udając, że nie wie, co dzieje się w jej sprawie. Jasin zauważył zmieszanie Fahmiego i Chadidży i chcąc zmienić temat klepnął po ramieniu Kamala i powiedział:

– To jest nasz prawdziwy mężczyzna, tylko on może poprosić ojca, żeby mu oddał mamę!

Nikt oczywiście nie wziął tego poważnie, a już pierwszy sam Kamal. Ale następnego dnia przypomniał sobie to, co powiedział brat, kiedy wracał ze szkoły przez plac Bajt al-Kadi, cały czas myśląc o wygnaniu matki. Przed wejściem w ulicę Kurmuza stanął i spojrzał w stronę An-Nahasina. Wahał się, serce mu biło, po czym wolno skierował się ku niej, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi. Cierpiał bardzo z powodu nieobecności matki, a z drugiej strony samo wspomnienie ojca wywoływało w nim paniczny strach, nie mówiąc już o rozmowie z nim czy błaganiu go o coś. Nie wyobrażał sobie, że mógłby stanąć przed ojcem i powiedzieć mu o matce. Myślał o tym, a jednak szedł, aż zobaczył sklep ojca i jak kania, która krąży wokół innego drapieżnika, co porwał jej pisklęta, a nie ma odwagi go zaatakować, tak on zbliżał się do niego, aż stanął w odległości paru metrów, nie mogąc zrobić kroku ani do przodu, ani do tyłu.

Nagle ze sklepu wyszedł jakiś mężczyzna śmiejąc się głośno, a za nim ojciec żegnając go, także roześmiany. Kamal stanął jak wryty. Roześmiana, radosna twarz ojca wprowadziła go w osłupienie, nie wierzył własnym oczom, wydawało mu się, że to jakaś inna osoba weszła w ciało ojca albo że to w ogóle ktoś inny, ktoś, kogo widzi po raz pierwszy. As-Sajjid odwrócił się, żeby wejść do sklepu, i naraz zauważył chłopca wpatrzzonego w niego ze zdumieniem. Sam zdziwił się nie mniej i jego twarz szybko przybrała wyraz surowej powagi.

– Co ty tu robisz? – krzyknął.

W chłopcu natychmiast obudził się instynkt obrony, podszedł do ojca, wsunął małą rączkę do jego dłoni i pocałował ją w pokorze i szacunku nic nie mówiąc.

– Czego chcesz?

Kamal łykał ślinę, nie wiedział, jak wyrazić to, że niczego nie chce, że jest po prostu w drodze do domu.

– Nie stój jak słup, mów, czego chcesz – głos ojca był szorstki. – Straciłeś mowę? – krzyknął z gniewem.

– Wracam ze szkoły.

– Ale dlaczego stoisz tu jak idiota?

– Zobaczyłem... zobaczyłem ciebie, panie, i chciałem ucałować twoje ręce...

As-Sajjid spojrział na niego podejrzliwie i powiedział kpiąco:

– Tylko dlatego? Aż tak się stęskniłeś? Nic mogłeś poczekać do rana? Słuchaj... jeżeli coś przeskrobałeś w szkole... dowiem się o wszystkim.

– Niczego nie przeskrobałem, na Boga – zapewnił pospiesznie Kamal.

– No to po co zabrałeś mi na próżno tyle czasu? Zejdź mi z oczu! – krzyknął zniecierpliwiony.

Kamal odszedł, a As-Sajjid odwrócił się, żeby wejść do sklepu. W momencie, kiedy przestał czuć na sobie wzrok ojca, Kamal nabrał nowych sił i desperacko, zanim ojciec zniknął w sklepie, krzyknął:

– Każ wrócić mamie! Błagam!

I wziął nogi za pas.

As-Sajjid pił popołudniową kawę, kiedy weszła Chadidza i powiedziała głosem pokornym, ledwo słyszalnym:

– Nasza sąsiadka Umm Mariam pragnie cię zobaczyć, panie.

As-Sajjid zdziwił się.

– Żona As-Sajjida Muhammada Ridwana? Czego chce?

– Nie wiem, tatusiu.

Kazał ją wprowadzić, ukrywając zdziwienie. Bywało, że niektóre cnotliwe sąsiadki przychodziły do niego w sprawach handlowych lub też z prośbą o poradę w problemach z mężami, jego przyjaciółmi, i nie było to ani takie rzadkie, ani nowe, ale w tym wypadku sprawy te nie wchodziły w grę. Może chodzi o zaręczyny Mariam? Ale to przecież sekret, który nie wyszedł poza jego rodzinę, nie może więc mieć związku z tą wizytą. A może chodzi o As-Sajjida Muhammada Ridwana? Ale byli przecież tylko sąsiadami, łączyło ich po prostu sąsiedztwo, które nigdy nie przemieniło się w przyjaźń, a wizyty składali sobie wyłącznie w sytuacjach koniecznych. Dopiero kiedy As-Sajjid Ridwan został sparaliżowany, odwiedził go kilkakrotnie. Potem pukał do ich drzwi już tylko w święta.

Ale pani Umm Mariam nie była mu obca. Raz kupowała coś u niego w sklepie i sama zwróciła na siebie jego uwagę, a on przyjął ją z całym szacunkiem i szczodrością godną sąsiedzkich stosunków. Innym razem spotkał ją wychodząc z domu. Szła właśnie z wizytą do jego żony i zadziwiła go odwagą, mówiąc „dobry wieczór, panie As-Sajjidzie”. Wiedział, że wielu jego przyjaciół nie zwróciłoby na to uwagi, ale on jest skrajnie nietolerancyjny w stosunku do kobiet i rodziny i trzyma się tradycyjnego wychowania. Jego przyjaciele nie widzieli niczego złego w wychodzeniu ich kobiet z domu z wizytą lub po zakupy ani w zwracaniu się z niewinnymi pozdrowieniami do mężczyzn, jak to właśnie zrobiła Umm Mariam. Mimo swojej ortodoksyjności<sup>20</sup> nie potępiał ich za to, na co pozwalają swoim żonom i córkom, co więcej, nie miał nawet za złe niektórym swoim arystokratycznym przyjaciołom, że wozili swoje żony i córki w powozach na spacer w bezludne okolice albo do miejsc niewinnych rozrywek. O tym zwykł mówić: „Oni mają swoją religię, a ja mam swoją.” Nie miał zamiaru ślepo ich naśladować ani stosować ich poglądów. Rozróżniał oczywiście, co jest dobre, a co złe, ale nie przed wszystkim, co dobre, otwierał serce, trzymał się raczej swojej surowej, tradycyjnej natury. Tak więc wizytę żony w meczecie Al-Husajna uważał za zbrodnię i ukarał najsurowszą karą w swoim drugim małżeństwie. Z tego też powodu pozdrowienie Umm Mariam wywołało w nim zdziwienie pomieszane z niezadowoleniem, choć nie miał złego zdania o jej moralności.

Usłyszał chrząknięcie za drzwiami, co miało znaczyć, że zaraz wejdzie, i rzeczywiście weszła owinięta w milaję, tęga, poruszając jędrnymi pośladkami, z twarzą zasłoniętą czarną

<sup>20</sup> W oryginale użyto słowa banbalijja, będącego nazwą najbardziej nietolerancyjnej szkoły prawa muzułmańskiego.

zasłoną, spod której wyglądały czarne oczy umalowane kuhlem. Podeszła do niego, a As-Sajjid wstał i wyciągnął rękę.

– Witam, witam, zaszczylił nasz dom i domowników – powiedział.

Podalała mu rękę, zawiniętą w koniec milaji, żeby nie unieważnić jego ablucji, i odpowiedziała:

– Niech Pan nasz zaszczyti twoje życie, As-Sajjidzie.

Wskazał jej miejsce, żeby usiadła.

– Jak się czuje As-Sajjid Muhammad? – zapytał przyjaźnie.

– Chwała i dzięki Bogu, za dobro i za zło. Oby był miłosierny dla nas wszystkich.

– Oby Pan dał mu cierpliwość i zdrowie.

Po tym wstępie nastąpiła krótka cisza, w czasie której kobieta przygotowywała się do ważnej rozmowy, jak śpiewak przygotowuje się do śpiewu po instrumentalnym wstępie. As-Sajjid natomiast spuścił skromnie oczy i z uśmiechem na twarzy zachęcał ją do wyjaśnienia powodu wizyty.

– As-Sajjidzie Ahmadzie, jest pan ideałem mężczyzny w całej dzielnicy i nigdy nie rozczaruję się ten, kto się odwoła do twojej męskości.

– Boże broń – mruknął As-Sajjid starając się domyślić, co się kryje za tymi pochwałami.

– Problem w tym, że przyszłam właśnie odwiedzić moją przyjaciółkę Umm Fahmi<sup>21</sup> i przestraszyłam się, kiedy powiedziano mi, że jej nie ma i że jest pan na nią rozgniewany.

Przerwała, żeby sprawdzić wrażenie swoich słów, ale As-Sajjid milczał ciągle z tym samym uśmiechem na ustach, choć poczuł pewien niesmak z powodu poruszenia przez nią tego tematu.

– Czy istnieje kobieta doskonalsza niż pani Umm Fahmi? Rozsądna i skromna, jest naszą sąsiadką ponad dwadzieścia lat, a nigdy nie słyszeliśmy z jej ust niczego niemilego. Czy to możliwe, że mogła popełnić czyn, który zasługiwał na gniew człowieka tak sprawiedliwego, jak pan?

As-Sajjid udawał, że słucha, a w duchu myślał: „Ciekawe, czy to przypadkowa wizyta, czy przygotowana wcześniej? Chadidża? Aisza? Sama Amina? Bronią matki aż do znudzenia. A Kamal nawet ośmielił się krzykiem zażądać jej powrotu, za co tak oberwał, że aż mu się we łbie zagotowało.”

– Ależ taka dobra kobieta nie zasługuje na karę, a takiemu szlachetnemu, wielkodusznemu mężczyźnie nie przystoi gniew. To sprawa szatana, oby Bóg przeklął go na zawsze, ale twoja szlachetność jest w stanie pomieszać mu szyki.

Nie wypadało już milczeć, więc powiedział tylko:

– Miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze przy pomocy Boga.

Już to, że się odezwał, było sukcesem, więc zachęcona kontynuowała:

– Jakże trudno musiało być naszej dobrej sąsiadce opuścić dom po takim długim bogobojnym życiu w zamknięciu.

– Wody wrócą do swojego koryta, ale wszystko w swoim czasie.

– Jest mi pan bratem, nawet droższy niż brat, nic już więcej nie mogę dodać.

---

<sup>21</sup> Umm Fahmi – dosł. matka Fahmiego.



Jakaś nową nutę w jej głosie zarejestrowała jego czujna świadomość, jak obserwatorium rejestruje dalekie trzęsienie ziemi, choćby ruchy były bardzo delikatne. Zdaje się, że słowa „jesteś mi bratem” powiedziała wyjątkowo słodko i miękko, a „a nawet droższy niż brat” chyba z tkliwością i ciepłem, które rozeszło się w powietrzu jak dobry aromat. Zdziwił się i żeby nie mieć wątpliwości co do swojego odczucia, podniósł wzrok i spojrzał na nią i, nieoczekiwanie, zobaczył wpatrzona w siebie czarne oczy. Zrobiło to na nim takie wrażenie, że lekko się zmieszał.

– Dziękuję za siostrzane uczucia – powiedział szybko, chcąc ukryć zmieszanie.

Ciekawe, czy patrzyła taik cały czas, czy spojrzała teraz, nagle. A dlaczego nie spuściła wzroku, kiedy spotkały się ich oczy? Zaraz jednak pomyślał z ironią, że pewnie jego upodobanie do kobiet i doświadczenie w obcowaniu z nimi nauczyły go źle o nich myśleć i pewnie za dużo sobie wyobraża. Ta kobieta jest na pewno czuła i delikatna z natury, a ten, kto jej nie zna, myśli, że to czułość przeznaczona dla niego lub wręcz zaloty. Musiał to sprawdzić, więc znowu podniósł oczy i prawie się przestraszył stwierdziwszy, że ona ciągle na niego patrzy. Utkwił wzrok w jej twarzy, zachęcony, a ona patrzyła na niego z pokorą, ale odważnie, aż zupełnie skonsternowany spuścił głowę.

– Po tym, jak odniesiesz się do mojej prośby, okaże się, czy się panu podobam.

„Czy się panu podobam.” Gdyby wypowiedziała te słowa nie w takiej „naelektryzowanej atmosferze”, nasyconej zmysłami, wprawiającej go w zmieszanie, przeszłyby one bez żadnego śladu, ale teraz? Znowu spojrzał jej w oczy, już bez zakłopotania, i wyczytał w nich coś, co już wcześniej chodziło mu po głowie. Czyżby się nie mylił? Czy to możliwe, żeby w ten sposób chciała wstawić się za jego żoną? Ale co w tym dziwnego dla kogoś, kto zna kobiety tak jak on? Kobieta zalotna, kokietka, ma sparaliżowanego męża... Poruszyło się w nim coś radosnego, co napełniło go żarem i pychą. Kiedy powstało to uczucie? Może już dawno, tylko czekała na okazję. Raz była u niego w sklepie, ale niczego podejrzanego nie zauważył. Sklep jednak to nie jest miejsce, w którym taka kobieta czułaby się wystarczająco pewnie, żeby wyznać ukrytą, namiętność bez żadnych wstępów, jak to zrobiła Zubajda. A może działa pod wpływem chwili, bo ma sprzyjającą okazję w pustym pokoju? Jeżeli tak, to jest to inna Zubajda w ubraniu przyzwoitej kobiety. Nic więc dziwnego, że nie rozeznał się w sytuacji, był raczej znawcą kobiet lekkiego prowadzenia, a poza tym w przykładowy sposób szanował sąsiadów i dbał o dobre stosunki z nimi. Co ma jej odpowiedzieć? Jak do tego podejść? „Podobasz mi się więcej, niż myślisz” – tak byłoby dobrze, ale w ten sposób może to zrozumieć jako odpowiedź twierdzącą na niemą propozycję. Nie, tego nie chce. To odrzuca absolutnie. Nie dlatego, że jeszcze nie nasycił się Zubajdą, ale że nie może przyjąć czegoś, co przeczy jego zasadom i jego pojęciu męskiego honoru, zwłaszcza, w stosunkach z przyjaciółmi i sąsiadami. Nikt z przyjaciół nie mógłby powiedzieć o nim złego słowa pod tym względem, mimo jego niezmiernej skłonności do miłostek i uciech z kobietami. Zarówno w rozrywkach i uciechach, jak i sprawach poważnych napełniony był bojaźnią Bożą i pozwalał sobie tylko na to, co uznawał za dozwolone i czego nie uważał za grzech. Nie znaczy to, że posiadał jakąś nadzwyczajną siłę woli.

Po prostu nie patrzył na kobiety zameżne, a w okolicy swojego domu przez całe życie celowo nigdy nie spojrzał na żadną kobietę. Pamięta, że raz odrzucił ofertę miłości ze

względu na jednego ze znajomych. Pewnego dnia przyszedł do niego posłaniec, zapraszając na spotkanie z siostrą tego człowieka – wdową – tego i tego wieczora. As-Sajjid wysłuchał zaproszenia bez słowa, odprawił posłańca życzliwie, jak to miał w zwyczaju, ale od tego czasu przez całe lata omijał ulicę, na której stał jej dom. Chyba Umm Mariam była pierwszym doświadczeniem, które przyniosło mu rozterkę. I mimo że mu się podobała, nie dał się skusić pożądaniu, zwyciężył głos rozsądku i powagi, chroniąc jego dobre imię. Dobra sława była mu droższa niż wykorzystanie nadarzającej się okazji. Pocięszał się od czasu do czasu przygodami bezpiecznymi, *bez* następstw. Uczciwość i szczerłość w stosunku do przyjaciół zachowywał nawet w miejscach rozrywek. Nigdy mu nie zarzucono niestosownego kroku wobec nałożnicy towarzysza zabaw, nigdy pożądliwego wzroku wobec kochanki przyjaciela. Przedkładał przyjaźń nad namiętności, zwykł mówić: „przyjaciół to miłość stała, kochanka to przemijająca namiętność”. Wybierając kochankę zawsze upewniał się, czy nie jest zajęta, albo czekał, aż zerwie stosunki z innym. Czasami prosił o pozwolenie dawnego kochanka, zanim zaczął romans, chcąc mieć radość nie zmaconą żalem ani smutkiem. Innymi słowy, w całkowitej harmonii żyło w nim „zwierzę” pożerające rozkosze i człowiek stosujący się do wyższych zasad. Każde z nich żyło własnym, niezależnym życiem w zgodzie i swobodzie, tak jak godził pobożność i grzech, właściwie nie mając nigdy poczucia grzechu. Jednak jego wierność i szczerłość to nie była wyłącznie moralność, raczej silne pragnienie, żeby odnosić sukcesy w miłości i cieszyć się jednocześnie dobrą sławą. Poza tym jego sukcesy w miłości sprawiały, że bez trudu mógł odrzucać flirty naznaczone zdradą i podłością. Tak naprawdę, to nie znał prawdziwej miłości, dla której warto byłoby popełnić nawet jakąś podłość. Nie potrafił oddać się całkowicie uczuciu bez zwracania uwagi na zasady. W Umm Mariam widział tylko coś w rodzaju smacznej potrawy, którą można skosztować, narażając się nawet na niestrawność, a potem przejść do innych apetycznych i niebezpiecznych dań, których jest pełno na stole.

– Jeśli Bóg pozwoli, twoje wstawiennictwo zostanie przyjęte – powiedział ostrożnie – i wkrótce usłyszysz wiadomość, która cię ucieszy.

Kobieta wstała i podała mu rękę.

– Niech Bóg będzie dla ciebie szczerdy, panie As-Sajjidzie – powiedziała.

Spuścił oczy, bo wydało mu się, że poczuł lekki uścisk jej ręki. Może był to jej zwykły sposób żegnania się. Próbował sobie przypomnieć, czy tak samo się przywitała, ale bez skutku. Długo siedział, myśląc o jej zachowaniu, zanim wyszedł do sklepu.

– Pani Szaukat, wdowa po panu Szaukat, przyszła zobaczyć się z tobą, panie.

As-Sajjid spojrział na Chadidżę przekrwionymi oczami.

– Po co przyszła? – wrzasnął z wściekłością, a jego oczy mówiły: „Dopiero wczoraj pozbyłem się jednego pośrednika, już dziś mi przyprowadzasz drugiego. Kto ci powiedział, że takimi sztuczkami coś u mnie wskórasz! Jak śmiecie, ty i twoi bracia, tak ze mną igrzać?”

Chadidża zbladła.

– Nie wiem, na Boga – powiedziała drżącym głosem.

„Ty dobrze wiesz – myślał – i ja wiem dobrze. Twoja przebiegłość i oszustwa źle się skończą.” A głośno powiedział:

– Przyprowadź ją tutaj! Nawet kawy nie mogę wypić w spokoju. Mój pokój stał się naraz sądem pełnym sędziów i świadków. To taki odpoczynek mam w domu! Niech Bóg przeklnie was wszystkich!

Zanim dokończył, Chadidża schowała się jak mysz, gdy usłyszy jakiś hałas. As-Sajjid siedział z ponurą twarzą. Nagle stanęła mu przed oczami twarz córki wycofującej się ze strachem z pokoju, aż poplątały się jej nogi i o mało nie uderzyła głową o drzwi. Uśmiechnął się i ni stąd, ni zowąd współczucie i czułość starły cały jego gniew. „Jakie to dobre dzieci, ani na chwilę nie zapomną o matce” – pomyślał. Przygotowany był już na przyjęcie gościa z twarzą pogodną, jakby przed chwilą w ogóle nie wściekał się z tej samej przyczyny. Nic nie mógł poradzić na to, że w domu ogarniał go gniew z byle powodu albo Zupełnie bez powodu.

Dzisiejszy gość, pani Szaukat, wdowa po panu Szaukat, przewyższała rangą wszystkie kobiety, które przychodziły do niego dotychczas. Rodzinę jego łączyły od pokoleń więzy szczerzej przyjaźni z rodziną zmarłego pana Szaukata. Zmarły był dla niego jak ojciec, a wdowa po nim utrzymała pozycję matki dla całej rodziny. Ona wyswatała mu Aminę, na jej rękach ujrzeli światło dzienne jego synowie, a przede wszystkim Szaukatowie byli to ludzie, z którymi przyjaźń przynosiła zaszczyt. I to zarówno ze względu na ich tureckie pochodzenie, jak i na pozycję społeczną i duże posiadłości między Al-Hamzawi a As-Suwarajni. I podczas gdy As-Sajjid należał do średniej warstwy klasy średniej, oni bez wątplenia stali na jej szczycie. Być może macierzyńskie uczucia, jakie żywiła ta kobieta dla niego, i jego uczucie do niej sprawiły, że czuł się nieco zakłopotany i zaniepokojony jej oczekiwanym wstawiennictwem. Nie należała do osób, które w rozmowie z nim obowiązują szacunek, ani takich, które wysilają się, żeby zyskać jego sympatię. Poza tym znana była z tego, że mówi to, co myśli, a tę szczerość wybaczano jej ze względu na pozycję i wiek.

Usłyszał jej kroki i wstał.

– Witam, witam, sam Prorok nas odwiedził – powiedział.

Weszła dama z podeszłym wiekiem, stukając o podłogę parasolką, i podniosła ku niemu białą jak śnieg, pomarszczoną twarz, (której prawie nie zakrywała przezroczyta zasłona.

Przyjęła pozdrowienia z uśmiechem, ukazując złote zęby, pozdrowiła go też i bez żadnych ceremonii usiadła obok niego na kanapie.

– Czego to dożyliśmy! – powiedziała. – Nawet ty, ozdobo mężczyzn! Nawet w twoim domu dzieją się rzeczy, o których niemiło mówić. Zestarzałeś się i, na Al-Husajna, Bóg szybko doświadczył cię sklerozą...

Mówiła dużo, szybko i bez przerwy, nie dając As-Sajjidowi okazji do przerywania i skomentowania tego. Opowiadała, jak przyszła z wizytą i stwierdziła nieobecność jego żony. „Pomyślałam w pierwszej chwili, że poszła kogoś odwiedzić – mówiła – i uderzyłam się w pierś zdziwiona. Co to się dzieje na tym świecie? As-Sajjid pozwolił jej wyjść, lekceważąc prawa boskie, ludzkie ustawy, osmańskie dekrety?” I o tym, jak dowiedziała się całej prawdy. „Wrócił mi rozsądek – mówiła – i powiedziałam sobie: Chwała Bogu, wszystko w porządku, to naprawdę ten sam As-Sajjid. Tego mogłam się po nim spodziewać.” Potem zmieniła ton, zaniechała ironii i zaczęła go besztać za okrucieństwo i surowość, nie szczędząc współczucia jego żonie, która była ostatnią kobietą zasługującą na taką karę. Za każdym razem, kiedy chciał jej przerwać, mówiła: „Pssst, ani słowa, zostaw te swoje słodkie słówka, na które, żebyś nie wiem jak je upiększał, ja się nie nabiorę. Dla mnie ważny jest czyn prawdziwy, dobry, a nie upiększony.” Wygarnęła mu, że jego sposób postępowania z rodziną jest skrajnie konserwatywny i że zyskałby dużo sympatii, gdyby był bardziej umiarkowany i łagodny. As-Sajjid słuchał cierpliwie, a kiedy mu pozwoliła wreszcie odezwać się, bo się zmęczyła, wyjaśnił jej swój znany pogląd, nie zważając na jej wysoką pozycję i przekonując ją, że jego polityka wobec rodziny jest dogmatem. W końcu obiecał jej, tak jak obiecał Umm Mariam, że ucieszy ją dobrą wiadomością. Sądził, że na tym „posiedzenie” się skończyło, tymczasem kobieta nie zamierzała odejść.

– Nieoczekiwana nieobecność pani Aminy nie cieszy mnie wcale, bo przyszłam z ważną sprawą. Myślisz, że tak łatwo mi wychodzić z domu? Nie jestem taka zdrowa i teraz nie wiem, czy mam powiedzieć wszystko, czy czekać na jej powrót.

– Wszyscy jesteśmy na twoje usługi.

– Pragnęłam, żeby ona pierwsza to usłyszała, ale ponieważ jest to niemożliwe, pocieszam się, że przygotowuję jej dobrą okazję do powrotu.

As-Sajjid ani rusz nie mógł się domyślić, o czym ona mówi.

– O co chodzi? – zapytał.

– Nie będę przeciągać rozmowy – powiedziała, grzebiąc końcem parasolki w dywanie – wybrałam Aiszę na żonę dla mojego syna Chalila.

As-Sajjid był tak zaskoczony i zdumiony, że zmieszał się i zaraz potem zaniepokoił. Z prostego powodu: oto jego dawne postanowienie, że za mąż wyjdzie najpierw starsza córka, zderzyło się tym razem z prośbą, której nie mógł lekceważyć, wyrażoną przez kogoś, kto znał to postanowienie, co znaczyło, że nie brał go w ogóle pod uwagę i że nie ma zamiaru liczyć się z jego zasadami.

– Dlaczego milczysz? Nie słyszałeś, co powiedziałam?

As-Sajjid uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– To dla nas wielki zaszczyt... – powiedział uprzejmie, myśląc, co by tu odpowiedzieć.

Kobieta spojrzała na niego, a wzrok jej mówił: „Poszukaj innego sposobu na mnie, nie słodkich słówek.”

– Nie przyszedłam po to, żeby się śmiać i gadać po próżnicy. Chcę wyłącznie całkowitej zgody. Chalil mnie powierzył wybór żony, oznajmiłam mu, że mam narzeczoną, i to możliwie najlepszą, i wybór mój ucieszył go, tym bardziej że niezwykle sobie ceni wstąpienie w związki rodzinne z tobą. Co to za czasy, żeby taką prośbę, ode mnie, przyjmować milczeniem i wykrętami! O, Boże, Boże!

Po co się upiera, po co tkwi w tym skomplikowanym problemie, z którego nie potrafi wybrnąć, żeby nie zranić jednej z córek? Spojrzał na nią przeproszająco:

– To nie jest tak, jak sobie wyobrażasz – powiedział cicho – twoja propozycja przechodzi moje najśmielsze oczekiwania, ale...

– Ale, ale! Ciągle ale! Tylko mi nie mów, że postanowiłeś już dawno, że młodsza córka nie wyjdzie za mąż przed starszą. Kim ty jesteś, żeby decydować o tym czy tamtym? Zostaw decyzję Bogu, On jest najmiłosierniejszy z miłosiernych. Jeżeli chcesz, dam ci dziesiątki przykładów młodszych sióstr, które wyszły za mąż przed starszymi, a nie przeszkadzało to wcale, że małżeństwa tamtych były bardzo szczęśliwe. Chadidza jest wspaniałą dziewczyną i na pewno dostanie odpowiedniego męża, jeśli Bóg zechce. Dlaczego chcesz popsuć szczęście Aiszy? Czy ona nie zasługuje na twoją miłość i wyrozumiałość?

„Jeżeli Chadidza jest taką wspaniałą dziewczyną, to dlaczego jej nie wybrałeś?”, pomyślał. Już miał zamiar postawić ją w kłopotliwej sytuacji, tak jak ona jego, ale zląkł się, że może nawet w dobrej wierze jej odpowiedź będzie zawierała coś przykrego na temat Chadidzy, a tym samym i jego, więc powiedział tylko głosem, w którym brzmiała troska:

– Po prostu żal mi Chadidzy.

– Codziennie zdarzają się takie rzeczy i nikt się tym nie przejmuję. Bóg nie kocha uporczywości swoich sług. Przyjm moją ofertę i zdam się na Boga. Nie odrzucaj mojej ręki, bo jesteś pierwszym, do którego ją wyciągnęłam.

As-Sajjid pokrył wzruszenie uśmiechem.

– Jak powiedziałem, jest to dla nas wielki zaszczyt, ale daj mi trochę czasu, niech ochłone i uporządkuję swoje sprawy. Odpowiedź będzie po twojej myśli, jeśli Bóg pozwoli...

– Nie wypada mi już zabierać ci więcej czasu, zresztą wydaje mi się, że im dłużej będziemy się spierali, tym więcej będziesz miał obiekcji co do mojej propozycji, a ja chcę zgody bez poprzedzania jej pustym gadaniem. Dodam już tylko jedno zdanie: Chalil jest synem moim i twoim, a Aisza córką twoją i moją.

Wstała, a za nią As-Sajjid, żeby ją pożegnać. Ale pożegnanie przeciągnęło się i nie ograniczyło tylko do pozdrowień, jak oczekiwał. Powtórzyła mu wszystko jeszcze raz od początku, wszystkie rady, jakby się bała, że o czymś zapomni. Wreszcie, chociaż w kilku zdaniach, musiała mu wypomnieć wygnaną żonę, aż zaczął tracić nerwy, a w końcu mało nie wybuchnął śmiechem, kiedy mu znowu powiedziała: „No, nie wypada, żebym ci zabierała więcej czasu...” Odprowadził ją do drzwi drżąc za każdym krokiem, że znowu się zatrzyma i zacznie opowiadać wszystko od początku. Wreszcie wrócił na swoje miejsce, oddychając głęboko z ulgą. Ale był smutny, serce miał pełne tkliwości, której wielu by u niego nie podejrzewało, może nawet roztkliwił się bardziej, niż trzeba. Gdyby go zobaczył ktoś, kto go

zna tylko jako ponurego czy też tylko jako krzykliwego, rozbawionego, ironicznego, nie uwierzyłby własnym oczom. Każda przykrość dotykająca jego dzieci psuła mu radość życia. Byłby bardzo szczęśliwy, gdyby mógł uszczęśliwić dziewczęta, zarówno tę, w której pięknej twarzy widział twarz matki, jak i tę, której zabrakło urody, a obydwie były jego ciałem i krwią. Ale mąż, którego zaproponowała wdowa Szaukat, był zdobyczą w całym tego słowa znaczeniu. Młodzieniec dwudziestopięcioletni z miesięcznym dochodem nie mniejszym niż trzydzieści funtów egipskich. To prawda, że jak większość możnych nie pracował, ale za to pod względem szlachetności, dobroci i cnót moralnych przypominał całkowicie ojca, który był ich wzorem. Co robić? Musi. podjąć decyzję, nie jest przyzwyczajony wahać się ani zasięgać rady, nie może też wydać się rodzinie nawet na krótką chwilę kimś, kto nie umie zdecydowanie odpowiedzieć. A może poradzić się przyjaciół? Nie uważał za poniżające radzić się ich w ważnych sprawach. Wieczorne rozmowy zaczynały się zwykle od dyskusji i omawiania różnych problemów i kłopotów, dopóki wino nie zabrało ich do świata, który nie uznaje trosk ani zmartwień. Należał jednak do tych, którzy w radach szukają poparcia dla swojego zdania, a nie zaprzeczenia mu. Mimo to zawsze znajdował w nich pewne pocieszenie i ulgę.

– Kto by uwierzył, że to, czym się martwię, jest bez wątpienia dobrem, którym obdarzył mnie Bóg.

W czasie wygnania Amina nie miała innego zajęcia poza siedzeniem z matką i rozmową. Mówiły o wszystkim, przypominały sobie daleką przeszłość i wydarzenia niedawne, teraźniejszą tragedię i zdarzenia miłe. Gdyby nie tortura rozłąki i widmo rozwodu, traktowałyby to nowe życie jak wypoczynek, wakacje od trudu codziennych obowiązków, albo jak fantastyczną podróż w świat wspomnień. Dni mijały, a nic się nie działo, nic, czego się obawiała; nie przyniosło też rezultatu wstawiennictwo Umm Mariam i wdowy Szaukat. Jedynie codzienne wieczorne wizyty synów napełniały jej serce nadzieją. Mimo że czas, który spędzali bez niej w swoim domu, niewiele był dłuższy od tego, który spędzali u babki – w obu wypadkach zbierali się tylko w czasie wolnym, wieczorem – to tęskniła za nimi tak, jakby była w dalekim kraju, na długo rozłączona z ukochanymi. Tęskniła jak ktoś, komu jest zabronione oddychanie powietrzem, którym oddychają ukochane osoby, i życie z nimi, obserwowanie ich codziennych spraw, smutnych i wesołych. Ciało oddaliło się tylko na jeden *kirat*, a serce, wydawało się, przewędrowało całe mile. Staruszka czyniła wysiłki, aby ją rozerwać rozmową.

– Cierpliwości, Amino – mówiła – bardzo mi cię żal, ja wiem, że matka zawsze czuje się obco z dala od dzieci, nawet jeżeli znajduje się w domu, w którym się urodziła.

Tak, czuła się obco w tym domu, jakby to nie był dom, w którym spędziła pierwsze lata życia, wtedy jedyny dla niej dom, i jak gdyby matka nie była tą kobietą, którą kiedyś trudno jej było opuścić nawet na chwilę. To już nie był jej dom, tylko wygnanie, gdzie czekała niecierpliwie na przebaczenie z nieba. I przyszło przebaczenie po długim oczekiwaniu. Pewnego wieczoru przynieśli je synowie. Weszli, a oczy ich tak błyszczały, że odgadła, ale bała się uwierzyć. Była zbyt szczęśliwa, żeby znieść rozczarowanie, ale Kamal podbiegł do niej i uwiesił się na jej szyi.

– Wkładaj milaję i chodź! – krzyknął.

– No i przyszła radość! – odezwał się Jasin.

– Ojciec wezwał nas i powiedział: „Idźcie i przyprowadźcie matkę” – dodał Fahmi.

Spuściła oczy, żeby ukryć ogromną radość, ale jej twarz jak zwierciadło nie potrafiła niczego zataić, rejestrowała każde, nawet najmniejsze wzruszenie. Tak bardzo pragnęła przyjąć tę wiadomość ze spokojem godnym matki, ale dziecinna radość rozpierała ją, twarz jej się śmiała, choć w duchu była nieco zawstydzona. Kamal nie mógł znieść jej bezruchu, zastygnięcia w szczęściu. Szarpnął ją za rękę, aż wstała zmieszana i zakłopotana i spytała niezdecydowana:

– Mam iść, mam?

Pytanie to wydało się dziwne. Jasin i Fahmi uśmiechnęli się, a Kamal tak się zdumiał, że zaczął ją przekonywać o tym, iż ojciec jej przebaczył. Babka dobrze wyczuwała jej stan, odgadywała tęsknotę jej serca i nawet najmniejszym gestem nie chciała pokazać niezadowolenia. Odpowiedziała więc poważnie:

– Do własnego domu, z Bogiem.

Amina poszła spakować rzeczy i włożyć milaję. Kamal podążył za nią.

– Nie uważacie, że wasz ojciec powinien przyjść sam? – spytała wnuczków, nie kryjąc niezadowolenia.

– Znasz, babciu, charakter ojca... – odparł Fahmi.

– Dziękujemy Bogu za to, co jest – roześmiał się Jasin.

– W każdym razie As-Sajjid Ahmad to mężczyzna nie taki jak inni – powiedziała raczej do siebie.

Wyszli żegnani błogosławieństwem babki. Po raz pierwszy w życiu szli w ten sposób z matką i widok ten wydał im się tak dziwny, że spojrzeli po sobie z uśmiechem. Kamal przypomniał sobie, jak wtedy szedł z matką, także trzymając ją za rękę i prowadząc od uliczki do uliczki, i cały koszmarny, który potem nastąpił, i dziwił się, że to wszystko naprawdę się zdarzyło. Wkrótce jednak wróciła radość i chęć do żartów.

– Chodźcie, skrećimy do Pana naszego Al-Husajna! – krzyknął.

– Niech Bóg będzie z niego zadowolony. Męczennik kocha męczenników – odparł Jasin ze śmiechem.

Ukazała się maszrabijja, a za jej okiennicami dwie postacie. Aminę ogarnęła fala czułości. W drzwiach Umm Hanafi obsypała ręce swojej pani pocałunkami, a na podwórzu Chadidza i Aisza zawisły jej na szyi jak dzieci. Rozkrzyczany orszak wszedł po schodach na górę, a potem, w radości i upojeniu, do jej pokoju, gdzie we wrzawie i śmiechu ściągnęli z niej milaję – symbol znienawidzonej rozłąki. Usiadła między nimi, oddychając szybko ze wzruszenia i przejęcia.

– Dla mnie jest to dzień wspanialszy niż sam *mahmall* – krzyczał Kamal, wyrażając jak umiał najlepiej swoje szczęście.

Po raz pierwszy od długiego czasu rodzina w pełnym składzie zebrała się przy popołudniowej kawie. Panował podniosły i radosny nastrój po smutnych dniach rozłąki, tym bardziej że był to dzień ciepły, który przyszedł po tygodniu dotkliwego chłodu. Matka, w której już obudziło się poczucie odpowiedzialności i gospodarności, wypytywała dziewczęta o sprawy domowe począwszy od kuchni, a skończywszy na fasoli i jaśminie. Dopytywała się też o ojca i jakże się ucieszyła dowiedziawszy się, że nie pozwolił nikomu pomagać sobie przy ubieraniu i rozbieraniu, bo nie mówiąc już o niewygodzie, to sama nagła zmiana porządku życia zmusiła go bez wątpienia do wysiłku, który jednak zniknie wraz z jej powrotem. Tylko ona jedna potrafi mu zapewnić życie, do jakiego przywykł i jakie lubi. Jedną rzecz nie przyszła Aminie do głowy, że dla niektórych szczęśliwych z jej powrotu serc będzie to przypomnienie ich własnych smutków. Tak jednak było. Przejęci matką zapomnieli o swoich kłopotach i dopiero upewnienie się co do szczęśliwego zakończenia całego wydarzenia sprawiło, że na nowo pogrążyli się w rozmyślaniach o swoich zmartwieniach, tak jak to bywa, gdy nagły silny ból brzucha każe nam na jakiś czas zapomnieć o chronicznym zapaleniu spojówek i dopiero kiedy przejdzie, wraca ból powiek. „Każdy smutek, jak się wydaje, ma swój koniec – myślał Fahmi – mama, na przykład, ma już swój kłopot za sobą, tylko mój smutek nie ma końca.” Aisza wróciła do swojej tajemnicy, do świata marzeń i wspomnień, choć w porównaniu z bratem zapomniała szybciej.



Ale Amina nie czytała w myślach i nic jej radości nie mąciło. Kiedy wieczorem poszła do swojego pokoju, wydało jej się, że nie będzie w stanie zasnąć, tak wypełniona była radością, i nawet nie próbowała się kłaść. O północy wyszła na maszrabiję wyrzucić jak zwykle na ulicę. Po jakimś czasie usłyszała stukot kół wozu wiozącego jej męża. Serce jej zabiło, twarz oblał rumieniec wstydu, jakby go miała spotkać pierwszy raz, jakby całymi godzinami nie myślała o tym tak wyczekiwanym spotkaniu. Jak to będzie? Jak ją potraktuje po takiej długiej nieobecności? A może uda, że śpi? Nigdy nie umiała udawać, a poza tym było nie do pomyślenia, żeby ona leżała, gdy on wejdzie. No, a przede wszystkim miała przecież obowiązek wyjść na schody i poświecić mu. Zresztą po powrocie do domu, co uważała za swoje zwycięstwo, wszystko mu wybaczyła, a poczucie winy urosło w niej do tego stopnia, że zapomniała o tym, że nie przyszedł po nią do matki, i twierdziła, że to ona powinna go przeprosić.

Wzięła lampę i wyszła na schody, trzymając ją wysoko. Głowę miała opuszczoną i nie widziała jego twarzy, nie wiedziała więc, czy zaskoczył go jej widok. Usłyszała natomiast słowa powiedziane głosem naturalnym, jakby się nic nie stało:

– Dobry wieczór.

– Dobry wieczór, panie mój – wymamrotała.

Poszedł do pokoju, a ona niosła za nim lampę. W milczeniu zaczął zdejmować ubranie. Podeszła i pomogła mu. Robiła to z radością i ulgą, pamiętając ranek odejścia, kiedy odrzucił jej pomoc, mówiąc: „Ubiore się sam.” Nie pamiętała jednak tamtego bólu i rozpacz. Ta usługa, na którą nie pozwalał nikomu poza nią, była dla niej czymś najdroższym na świecie. Usiadł na kanapie, a ona u jego stóp na materacu. Czekwała, że jakimś słowem, radą, ostrzeżeniem czy czymś w tym rodzaju zakończy to smutne wydarzenie, ale on zapytał po prostu:

– Jak się czuje matka?

– Dobrze, panie mój – powiedziała z ulgą – przesyła ci pozdrowienia i poleca cię Bogu w modlitwach.

Chwilę trwała cisza, po czym As-Sajjid oznajmił, jakby nigdy nic:

– Wdowa Szaukat wybrała Aiszę na żonę dla swojego syna Chalila.

Amina podniosła na niego zdumione oczy. Wzruszył ramionami, ale bojąc się, że żona powie swoje zdanie zgodne z jego decyzją, której jeszcze nikt nie znał, i nie chcąc dopuścić, żeby powstało w niej podejrzenie, że przyjął jej pogląd, dodał szybko:

– Długo o tym myślałem i wreszcie zgodziłem się. Nie chcę już więcej zagradzać dziewczynie drogi do szczęścia. Sprawa jest w ręku Boga.

Aisza przyjęła radosną wiadomość tak, jak powinna ją przyjąć dziewczyna, która od wczesnej młodości nie marzy o niczym innym tylko o małżeństwie. Nie chciało jej się wierzyć, że ojciec zgodził się na nie. Czyżby jej małżeństwo stało się naprawdę bliską rzeczywistością, a nie snem ani okrutnym naigrawaniem się z niej losu? Dopiero niecałe trzy miesiące temu przeżyła rozczarowanie. Było to przeżycie okrutne, gwałtowne, ale z czasem stało się bladym wspomnieniem wzbudzającym lekki smutek. Wszystko w tym domu podlegało ślepej woli wyższej, która ma władzę nieograniczoną przypominającą władzę boską. Nawet miłość w jego ścianach skradała się do serc wstydliwie, z wahaniem i niepewnie i nie cieszyła się, jak to zwykle bywa, władzą, i nie rządziła swoimi prawami, bo tutaj władzą była wyłącznie wyższa wola. Dlatego kiedy ojciec powiedział „nie”, słowo to zapadło głęboko w serce dziewczyny i była absolutnie przekonana, że wszystko się skończyło. Nie ma co prosić, błagać, każdy sprzeciw był bezskuteczny, jakby to „nie” uczestniczyło w ruchu wszechświata tak naturalnym jak przejście dnia w noc.

A teraz zgodził się, i to tak szybko, zanim minęły trzy miesiące od poprzedniej odmowy. Czy to ma znaczyć, że nie była przeznaczeniem chłopca, który oddał jej serce? Czy to jej obecne szczęście nie zawiera w sobie jakiejś niezrozumiałej sprzeczności? Nikomu nie wyjawiała swojej wątpliwości ani swojego zadowolenia, nawet matce, ponieważ cieszenie się narzeczonym tylko dlatego, że jest on znaczną osobistością, uznano by za bezwstydną cynizm, a co dopiero okazanie pragnienia konkretnego mężczyzny. Mimo że nowy narzeczony był jej znany tylko z tego, co matka mówiła o jego rodzinie, cieszyła się w jakiś sposób, była szczęśliwa, bo wreszcie znalazła biegun przyciągający jej uczucie. Ale jej miłość była raczej czymś w rodzaju gotowości niż pociąganiem do tego właśnie mężczyzny. Gdyby on znikł i jego miejsce zajął inny, gotowość ta zostałaby nienaruszona i wszystko potoczyłoby się tak samo. Jeden mężczyzna podobał się jej więcej, inny mniej, ale ta różnica nie była tak wielka, żeby jej psuć smak życia lub skłonić do buntu. Była więc, można powiedzieć, szczęśliwa i radosna, i jak to zwykle bywa, kiedy się jest w takim nastroju, pełna miłości i zrozumienia dla innych, zwłaszcza dla siostry. Oznajmiła jej też od razu wielkodusznie:

– Chadidžo, żałuję, że to nie ty pierwsza wychodzisz za męża. Ale to przeznaczenie, los tak chce... Zresztą prędzej czy później ty też wyjdiesz za męża.

Chadidżę krępowaly słowa pocieszenia w obliczu klęski, nie kryła też niezadowolenia. Już wcześniej delikatnie i wstydliwie usprawiedliwiała się przed nią matka:

– Wszyscy chcieliśmy, żebyś ty była pierwsza w kolejce, kilka razy próbowaliśmy, ale być może nasz upór, choć przecież nie był wykrętem z naszej strony, przeszkadzał twojemu szczęściu. Pozwólmy, żeby sprawy szły swoim torem, tak jak chce Bóg. Co się odwlecze, to nie uciecze.

Współczucie znalazła też Chadidża u Jasina i Fahmiego. Wyrażali je bezpośrednio albo w łagodniejszym traktowaniu siostry. Nawet Jasin, którego zwykłym sposobem bycia były

okrutne żarty z niej, stał się sympatyczniejszy. Chadidży to nie tylko nie pocieszało, ale wręcz denerwowała ją ta atmosfera współczucia. Czuła się jak chory na grypę, któremu szkodzi wystawianie się na świeże powietrze, choć oddycha nim będąc zdrowym. Nie interesowała jej litość i współczucie, które nie równoważyły straconej nadziei. Może zresztą wątpiła trochę w szczerść tego współczucia. Matka była przecież zawsze pośrednikiem między swatkami a ojcem. Kto wie, czy nie robiła tego z obowiązku pani domu, a nie z chęci wydania córek za mąż? A czyż to nie Fahmi przyniósł prośbę oficera z komisariatu Al-Dżamalijja? Nie mógł go od razu odwieść od tego zamiaru? A Jasin?... Zdradził ją, ale właściwie z jakiej racji ma mieć o to do mego pretensję, skoro bliższa jej osoba niż on ją zdradził? Więc co znaczy teraz to współczucie? Kłamstwo i hipokryzja. Irytowało ją ono, przyjmowała je ze złością i gniewem, które jednak chowała głęboko, aby jej wygląd nie zdradził nienawiści do szczęścia siostry i nie naraził jej, jak podejrzewała, na złośliwą satysfakcję rodziny. Było to zresztą konieczne w tej rodzinie, w której ukrywanie wszystkiego, a zwłaszcza uczuć, było zakorzenionym zwyczajem i moralnym obowiązkiem, do którego mieli się stosować wszyscy sterroryzowani przez ojca. I tak między gniewem i złością z jednej strony, a ukrywaniem tych uczuć i udawaniem radości z drugiej, życie jej stało się nie kończącą torturą i wysiłkiem. A co skłoniło ojca, że odstąpił od dawnego poglądu? Czyżby przestała być dla niego coś warta? A może stracił cierpliwość szukając dla niej męża i postanowił poświęcić ją, oddać na pastwę losu? Zadziwiające, jak łatwo się z tym wszyscy pogodzili, jak szybko ją opuścili, jakby była niczym, a przecież jeszcze niedawno mieli zupełnie inne zdanie, bronili jej. W napadach wściekłości zapomniła o tym i pamiętała im tylko zdradę. Ale to, co czuła wobec nich, było niczym w porównaniu z zazdrością i nienawiścią, jaka zebrała się w niej wobec Aiszy. Nienawidziła jej szczęścia, a jeszcze bardziej tego, że Aisza je ukrywa, nienawidziła urody siostry, która w jej oczach była narzędziem kary i cierpienia, jak błyszczący księżyc w pełni jest przeszkodą dla uciekiniera, nienawidziła życia, które zostawiło jej tylko rozpacz. Mijały dni, a jej smutek wzrastał, w miarę jak przynoszono dary od narzeczonego. Czuła się odosobniona, wyizolowana, rodziła się w niej gorycz i żal, jak owady w zatęchłej studni. Potem As-Sajjid zajął się przygotowaniem wyprawy narzeczonej i na wieczornych „zebraniach” rodziny nie mówiło się o niczym innym tylko o rodzajach mebli i strojów, jedno chwalono, co innego odrzucano, wybierano kolory, a w ferworze przygotowań zapominano nawet o pocieszaniu i dobrym traktowaniu starszej siostry. Ona sama też zmuszona była, udając radość, uczestniczyć w entuzjasmie i nie kończących się dyskusjach. Ale ta skomplikowana sytuacja, o której ktoś obcy mógłby pomyśleć, że się źle skończy, zmieniła się nagle, kiedy uwaga rodziny skupiła się na detalach stroju panny młodej, a co za tym idzie, oczy wszystkich zwróciły się na Chadidżę z wiarą i nadzieją. Oczekiwała tego obowiązku jak czegoś nieuniknionego. Gniewało ją to, ale nie mogła odmówić, bo odkryłaby swoje uczucia. A kiedy zobaczyła wpatrzony w siebie wzrok braci i błagalny wzrok siostry i matki, która złożyła w jej ręce dobro Aiszy, kiedy usłyszała Fahmiego mówiącego do siostry: „Nigdy nie będziesz panną młodą, jeżeli Chadidża nie utka ci stroju weselnego”, co skwapliwie potwierdził Jasin; kiedy to wszystko się stało, jakby złagodniała, jakby trochę się zawstydzila i odkopała dawno pogrzebane przyjazne uczucia, jak dobra woda każe wyrosnąć zielonym łodyżkom z ukrytych w błocie nasion. Tu nie wątpiła w ich uczucia wobec siebie, bo odnosiły

się one do jej talentu i biegłości, które sama знаła. Przyjęła to jako uznanie przez wszystkich jej ważności, niezbędności, jako przekonanie, że to szczęście, które nie było jej udziałem, nie będzie pełne, jeżeli ona odmówi w nim swego uczestnictwa. Przyjęła ten nowy obowiązek z sercem wolnym od wszelkich możliwych „czarnych” uczuć. „Czarne” uczucia gościły w sercach tej rodziny tak jak w sercach większości ludzi, ale nie osiadały w żadnym z jej członków warstwami, nie zamieszkiwały w nich na stałe. Byli skorzy do gniewu, zapalali się jak alkohol od ognia, ale równie łatwo gniew z nich opadał, serca stawały się czyste i przebaczące. Tak jak to bywa w zimowe dni w Kairze: niebo zaciemniają chmury, potem popada deszczyk godzinę lub parę godzin i chmury rozchodzą się, odsłaniając czysty błękit i roześmiane słońce. Oczywiście nie znaczyło to, że Chadidza puściła wszystko w niepamięć, ale wielkoduszność pozbawiła ją nienawiści i zawiści. Przestała szukać winy w Aiszy i innych członkach rodziny i zaczęła oskarżać swój własny los, z niego czyniąc w końcu obiekt swojego niezadowolenia i złości. To on nie dał jej urody i opóźnił jej małżeństwo. Miała już ponad dwadzieścia lat, niepewne jutro napawało ją niepokojem i lękiem. Ani ta część jej osobowości, gorąca, żywiołowa, odziedziczona po ojcu, nie była w stanie nic zdziałać, ani ta część nabyta, uformowana przez otoczenie, wobec którego musiała w zaistniałej sytuacji zająć określone stanowisko. Odnalazła więc spokój, zaszywając się w tej części swojego ja, spokojnej i łagodnej, którą odziedziczyła po matce, i poddała się losowi. Tak jak wódz, który nie mając sił, aby zdobyć upragniony cel, wybiera miejsce obronne dzięki naturalnemu ukształtowaniu terenu i zbiera w nim resztki rozbitego wojska albo wzywa do pokoju i układów. Zaczęła narzekać na swój los jedynie w modlitwie i rozmowie z Miłosiernym. Od dzieciństwa dorównywała matce w pobożności i wypełnianiu obowiązków religijnych z wytrwałością, która wskazywała na żywość jej religijnych uczuć. Nie tak jak Aisza, która miewała tylko krótkie napady religijnej gorliwości. Ileż to razy dziwiła się, porównując szczęście swoje i siostry, niesprawiedliwej zapłacie, jaką otrzymuje za swoją wierność i szczerość. „Ja przestrzegam pór modlitwy, a ona czasami i dwa dni się nie modli – mówiła – ja poszczę przez cały ramadan, ona pości jeden lub dwa dni, a potem tylko udaje, a naprawdę wsuwa się po kryjomu do spiżarni i napycha orzechami, a jak usłyszy wystrzał armatni oznaczający *iftar*<sup>22</sup>, pędzi do stołu pierwsza, przed tymi, którzy poszczą.” Miała także zastrzeżenia co do urody Aiszy, o czym oczywiście nikomu nie mówiła. Sobie zarzucała wiele, widziała swoje wady i gotowa była bronić się przed atakami, ale przeglądała się w lustrze i pocieszała: „Aisza jest piękna, to fakt, ale chuda, a połowę piękności stanowi tusza. Ja natomiast jestem gruba, mam pełną twarz, dzięki czemu prawie nie widać mojego dużego nosa. Nie pozostaje mi nic innego, jak liczyć na łaskawy los.”

Mimo to ostatnie doświadczenie pozbawiło ją całkiem pewności siebie. Powtarzała sobie ciągle wszystko o urodzie, tuszy i szczęściu, tyle że tym razem po prostu ratowała się w ten sposób przed całkowitym upadkiem wiary w siebie. Tak jak czasami szukamy ucieczki w logice, żeby zaczerpnąć z niej spokój i pewność co do takich spraw, jak zdrowie i choroba, szczęście i nieszczęście, miłość i nienawiść, które nic wspólnego z logiką nie mają.

---

<sup>22</sup> W tym okresie ogłaszano *iftar* strzałem armatnim z Cytadeli. Dzisiaj funkcję tę spełnia radio.

Amina, mimo że przybyło jej wiele zajęć jako matce narzeczonej, nie zapomniała o Chadidży. Wesele Aiszy przypominało problem starszej córki, tak jak ulga, jaką daje nam działanie narkotyku, przypomina o bólu, który nas męczy, ale do którego jesteśmy przyzwyczajeni. Żeby uspokoić w jakikolwiek sposób swoje obawy, posłała Umm Hanafi do szajcha Raufa przy Bab al-Achdar z chusteczką Chadidży, żeby przepowiedział jej przyszłość. Kobieta wróciła z radosną wiadomością, że szajch oznajmił jej: „Wkrótce przyniesiesz dwa ratle cukru.” Uczepiła się tej wróżby, przyjęła ją jak środek uspokajający, choć nie była to pierwsza tego rodzaju przepowiednia dotycząca zamążpójścia Chadidży.

„Ty szmato! Rozpłynąłem się, muzułmanie, rozpuściłem się jak mydło, została ze mnie tylko piana. Wie o tym, że tu siedzę, ale nie chce otworzyć okna. Kokietuj, kokietuj, ty zdziro! Przecież umówiliśmy się. Ale masz rację. Jedna twoja pierś starczy, żeby rozwalić Maltę, druga, żeby Hindenburg stracił głowę. Masz skarb. Niech się nasz Pan zlituje nade mną i nad każdym takim biedakiem jak ja, któremu nie dają spać wielkie cyce, okrągły tyłek, umalowane kuhlem oczy. Ale to ostatnie najmniej ważne. Może być ślepa, byleby miała wielkie cyce i duży tyłek. To tysiąc razy lepsze niż chuda i wymalowana. Ty córko śpiewaczki i przyjaciółko targu kosmetyków... Pierwsza nauczyła cię uwodzenia, a drugi dostarcza ci tajemnic piękności. Dlatego tylu kochanków wzdycha do twoich cyców. Umówiliśmy się na spotkanie, przecież nie śnię. Otwórz okno, otwórz, ty szmato, otwórz, o najpiękniejsza, jedyna, dla której drży mój pępek. Och, wessać się w twoje usta, posać twoje brodawki... Będę czekał aż do świtu. Będę posłuszny, do twojej dyspozycji. Jeżeli chcesz, żebym był tyłem wozu karo, na którym będziesz się kołysała, to będę. Jeżeli chcesz, żebym był osłem, który ciągnie wóz, to będę. O, nieszczęśniku, Jasinie, synu Abd al-Dżawwada, Australijczycy śmieją się z ciebie, jesteś skończony, wygnańcu Al-Azbakijji, więźniu Al-Dżamalijji. Wojna, ach, ta wojna. Rozpętał ją w Europie Wilhelm, a ja tu na ulicy An-Nahasina stałem się jej ofiarą. Otwórz okno, na duszę twojej matki, otwórz okno, moja duszko...”

Tak mówił do siebie Jasin siedząc na kanapie w kawiarni Si Alego i wpatrując się w dom śpiewaczki Zubajdy przez małe okienko wychodzące na Al-Ghurijję. Marzył i rozmyślał niecierpliwym i rozżalonym, a rozkosz marzeń pobudzała jeszcze tęsknotę i namiętność. Zrobił już pierwszy udany krok we flircie z lutnistką Zannubą, wyszedł z etapu przygotowań – siedzenia wieczorami w kawiarni Si Alego, chodzenia za wozem karo, uśmiechów, podkręcania wąsa, ruszania brwiami – i wszedł w etap pertraktacji i przygotowań do działania. Zdarzyło się to w długim, wąskim i krętym zaułku At-Tarbia przykrytym płóciennymi workami, pełnym małych sklepików przyklepionych do siebie jak ule pszczoł. W At-Tarbia bywał często. Wszak był to targ dla wszystkich kobiet, przychodziły tu kupować drobiazgi, np. perfumy i kosmetyki, które upiększają i umilają życie. Jasin przychodził zawsze w piątkowe ranki, kiedy nie mógł zaspokoić swoich namiętności w inny sposób, i znajdował rozrywkę, przemierzając go wolniutko od końca do końca nie z powodu tłumu i nie żeby oglądać wystawy sklepowe. Popatrywał na twarze i sylwetki, podglądał to, co było widać spod zasłon, i to, co opinały milaje. Podniecały go ponętne detale, drażniły ostre zapachy, jakieś głosy, jakieś kuszące śmiechy. Zachowywał się kulturalnie, jako że miał pod dostatkiem wszelkiego „dobra” u klientek targu. Zadowalał się oglądaniem, porównywaniem i krytyką, zbierając wspaniałe obrazy do muzeum swojej pamięci. Nie posiadał się ze szczęścia, kiedy udało mu się zobaczyć kawałek nagiej skóry koloru, jakiego przedtem nie widział, albo wyraz oczu, jakiego nie spotkał, albo zadziwiająco sterczącą pierś czy

niezwykle wielki lub kształtny tyłek. Po powrocie mawiał: „Dzisiaj wygrał biust kobiety stojącej przed sklepem pewnego kupca” albo „to jest dzień wielkiego zadu numer 5”, albo „ale waliza... ale waliza... wspaniały dzień waliz”. Uganiał się tylko za ciałem kobiety, ignorując zupełnie jej osobowość, koncentrował się na poszczególnych częściach, a nie na całości, marzył i ciągle miał nadzieję, a nuż w tych seksualnych wędrówkach trafi się jakaś dobra zdobycz. Kobiety były dla niego celem życia i każda stanowiła potencjalną okazję. I tak pewnego wieczoru, kiedy siedział na swoim miejscu pod oknem w kawiarni Si Alego, zobaczył lutnistkę, samą, wychodzącą z domu. Natychmiast wstał i poszedł za nią. Skręciła do zaułka At-Tarbia. Stała przed jakimś sklepem, a on stanął obok. Czekala, aż sprzedawca perfum załatwi klientów, on też czekał. Nie odwróciła się w jego stronę, z czego wywnioskował, że zauważyła jego obecność, domyślała się jej zresztą na pewno od samego początku. „Dobry wieczór”, szepnął tuż koło jej ucha. Patrzyła przed siebie, ale zauważył skrzywienie ust w uśmiechu jako odpowiedź na jego powitanie. A może była to nagroda za długie wyczekiwanie na nią co wieczór! Odetchnął z ulgą, zwycięsko, pewny zbierania owoców swojej cierpliwości i już pociekła mu ślinka jak głodnemu, który poczuł zapach pieczeni. Wydało mu się rozsądne udać, że przyszli razem i zapłacili za jej zakupy – hennę i *mitgbas*, pewny, że spełniając ten przyjemny obowiązek, zdobędzie coś nieporównanie przyjemniejszego i rozkoszniejszego. Wydawało mu się, że lutnistka ma chęć jeszcze coś kupić, skoro on płaci, i wcale się tym nie przejął. W drodze powrotnej zaczął mówić szybko, gwałtownie, bojąc się, że droga zaraz się skończy. „Piękna pani, życie spędzam chodząc za tobą, jak zauważyłaś. Czy mogę w nagrodę spodziewać się choćby spotkania?” Rzuciła mu szatańskie spojrzenie. „Tylko spotkania?”, spytała drwiąco. Upojony radością o mało nie roześmiał się na głos z całego serca, ale zamknął usta, żeby hałas nie zwrócił na nich uwagi, i odpowiedział szeptem: „Spotkania z całym dobrodziejstwem inwentarza.” „Tak się łatwo mówi: spotkanie – powiedziała – małe słówko, a dla niektórych oznacza ono wielką akcję, prośby, wstawiennictwo, czytanie *Al-Fatihy*, posag, sprzęty i *mazun*, czyż nie tak, panie Efendi, który z wyglądu przypominasz wielbłąda?” Twarz mu poczerwieniała, trochę się zmieszała. „Co za lekcja wychowania – odparł – surowa, nie powiem, ale w twoich ustach to i tak miód. Czyż nie tak wygląda miłość, o piękna pani, od kiedy Bóg stworzył ziemię i wszystko, co na niej żyje?” Podniosła brwi, aż dotknąwszy *arus al-burku* wyglądały jak rozpostarte skrzydła ważki. „Skąd mam wiedzieć, co to jest miłość, wielbłądzie? Jestem tylko lutnistką. Ciekawe, czy miłość to także ten cały «inwentarz»?” „Tak, miłość i ten cały «inwentarz» to jedno. Nic dodać, nic ująć.” „Nic dodać, nic ująć – powtórzyła. – Bez żadnych wyjątków?” „Bez wyjątku.” „Może to jest to, co się nazywa rozpustą?” „Właśnie to”, odparł. Roześmiała się. „No, to dogadaliśmy się. Czekaj tam, gdzie zawsze siedzisz, w kawiarni Si Alego. Kiedy otworzę okno, wejdź do domu.”

Czekał wiele wieczorów, całe wieczory. Wychodziła z zespołem i jechali wozem karo, wychodziła z Zubajda i jechały powozem, czasami dom nie dawał oznak życia. Czekał wyczerpany nerwowo, wpatrując się w okno.

Był późny wieczór, zamykano sklepy, ulica pustoszała, całą Al-Ghurijję pokryła ciemność. Często w takim momencie ogarniało go dziwne podniecenie i niepokój. Przyszedł kres jego czekania, które, wydawało się, nie będzie miało końca. Od strony okna pogrążonego

całkowicie w ciemności usłyszał jakiś hałas, który wlał w jego zmysły nową nadzieję, jaką daje zbłąkanemu w lodach bieguna warkot samolotu. Przez szparę w uchylonych okiennicach popłynęło światło, a potem ukazała się w niej sylwetka lutnistki. Jasin poderwał się i wypadł z kawiarni. Przebiegł na drugą stronę ulicy i pędem wpadł do domu śpiewaczki, nie pukając. Drzwi otworzyły się same, jakby ktoś niewidzialny odsunął zasuwkę, ale za nimi panowała gęsta ciemność, tak że musiał stanąć, żeby na coś nie wpaść. „Czyżby Zannuba zaprosiła go bez wiedzy śpiewaczki?”, zaniepokoił się. „Czy śpiewaczka pozwala jej na schadzki z kochankiem w swoim domu?” Zresztą, co go to obchodzi, i tak nie zrezygnuje z przygody. Nawet jeśli go złapią w takim domu, to i tak nic mu nie zrobią.

Zobaczył słabe światło na górze, chwiejnie pełzające po ścianach, i rozróżnił z daleka rękę, która je trzymała u szczytu schodów. Zannuba schodziła z lampą. Przypadł do niej nieprzytomny, ścisnął jej rękę namiętnie, aż roześmiała się wdzięcznie, co znaczyło, że są bezpieczni.

– Długo czekałeś? – spytała złośliwie.

– Włosy mi posiwiały, niech ci Bóg wybaczy – powiedział dotykając stroni. – Pani w domu?

– Tak, z przyjacielem że ho, ho.

– Nie byłaby zła, gdyby się dowiedziała, że tu jestem o tej porze?

Wzruszyła ramionami.

– Czy jest odpowiedniejsza pora na przyjmowanie kochanków?

– Więc nie ma nic przeciwko naszym spotkaniom w jej domu?

– Raczej miałyby, gdybyśmy się nie spotykali.

– Wspaniale! Wspaniale!

– Nie jestem tylko lutnistką, jestem córką jej siostry, wszystko by mi oddała, bądź spokojny.

W korytarzu usłyszeli delikatny śpiew przy akompaniamencie lutni i bębna.

– Czy to przyjęcie, czy są sami?

– Przyjęcie we dwoje. Kochanek Królowej to człowiek wesoły, lubi śpiew i zarty. Zawsze musi być muzyka, alkohol i zabawa. Chodź.

Weszli do jakiegoś pokoju, postawiła lampę na stoliku i przejrzała się w lustrze. Jasin zapomniał o Zubajdzie i jej wesołym kochanku i patrzył na ponętne ciało Zannuby, po raz pierwszy bez milai. Wolno i z radością mierzył je wzrokiem od góry do dołu i z dołu do góry. Ale Zannuba powstrzymywała jego chęci, opowiadając dalej o kochanku Zubajdy.

– To człowiek, z którym nikt nie może równać się w zabawie i uciechach, a jaki szczodry, wszyscy go z tego znają. Tacy powinni być kochankowie.

Zrozumiał aluzję. Od początku wiedział, że nowa namiętność nałoży na niego wysokie podatki, mimo to jej uwaga, która wydała się mu wulgarna, wprawiła go w konsternację.

– Pewnie jest to człowiek bogaty – powiedział w samoobronie.

– Bogactwo to jedno, a szczodrość to drugie. Ilu bogaczy jest skąpych.

– Ciekawe, kto to jest ten człowiek, taki hojny – spytał nie tyle z prawdziwej ciekawości, ile żeby przerwać ciszę, która odkryłaby jego niezadowolenie.



– Pewnie o nim słyszałeś, mieszka w naszej dzielnicy. As-Sajjid Ahmad Abd al-Dżawwad.

– Kto?! – wrzasnął.

Spojrzała na niego zdumiona, stał sztywno jak uderzony obuchem, oczy wyszły mu na wierzch ze strachu.

– Co ci jest?

Był tak wstrząśnięty, że na dobrą chwilę zapomniał, gdzie jest. Dopiero zdumiona i niezadowolona twarz Zannuby przywróciła mu świadomość. Całą siłą woli opanował się, żeby nie dać poznać po sobie strachu, uderzył dłonią o dłoń i jakby nie wierząc w to, co mówią o tym poważnym człowieku, wymamrotał zdziwiony:

– As-Sajjid Ahmad Abd al-Dżawwad! Właściciel sklepu na ulicy An-Nahhasina!

– Tak, to on – powiedziała patrząc na niego i dodała z ironią – i to dlatego tak wrzasnąłeś jak dziewczyna, która straciła cnotę!

Roześmiał się dziękując w duchu Bogu, że nie podał jej pełnego nazwiska, kiedy się poznali, i powiedział:

– Kto by uwierzył? Taki poważny i bogobojny człowiek.

– To cię tak przeraziło? Nic innego, naprawdę? Uważałeś go za niewiniątko? Dlaczego miałby nim być? Mężczyzna, który nie kocha, nie jest mężczyzną.

– Masz rację, nic nie powinno dziwić na tym świecie – roześmiał się nerwowo. – Ale wyobraź sobie tego poważnego, dostojnego człowieka, który uprawia miłość z Królową, pije wino i śpiewa!

– I gra na tamburynie, i to po mistrzowsku, gdzie tam do niego sławnej Ajjuszy. Opowiada kawały jak papuga, aż wszyscy pokładają się ze śmiechu. Wcale nie jest dziwne, że po tym wszystkim w sklepie wydaje się przykładem powagi i dostojności. Powaga powagą, a zabawa zabawą. Chwilka dla Boga, chwilka dla serca.

„Gra na tamburynie po mistrzowsku, niczym Ajjusza, opowiada kawały, a wszyscy pokładają się ze śmiechu. Czy to może być ten człowiek? Jego ojciec? As-Sajjid Ahmad Abd al-Dżawwad? Surowy, pobożny, bogobojny, okropny tyran. Jak można w to uwierzyć? Jak, jak? Może to tylko zbieżność nazwisk, poza tym nie ma żadnego związku między nim a tym kochankiem, co gra na tamburynie? Ale przecież jest właścicielem sklepu na ulicy An-Nahhasina. Nikt inny o tym imieniu nie ma tam sklepu. A może on majaczy? Ile by dał, żeby się przekonać na własne oczy, czy to prawda.” Chęć ta tak go opanowała, że nie mógł o czym innym myśleć, jakby to było coś najważniejszego w świecie. Uśmiechnął się do dziewczyny, pokiwał głową jak mędrzec, który mówi: „tak, tak, takie to dziwne są na tym świecie”, i zapytał niby z czystej ciekawości:

– Mógłbym go zobaczyć tak, żeby on mnie nie widział?

– Dziwne życzenie, z jakiego powodu chcesz go podglądać?

– Nie zabraniaj mi, to widok godny obejrzenia.

– Rozum dziecka w ciele wielbłąda – powiedziała z pogardliwym uśmiechem. – Prawda, mój wielbłądzie? Zaspokoje twoją ciekawość, bo mi żyć nie dasz. Zaniosę im tacę z owocami i zostawię otwarte drzwi, zaraz wrócę.

Wyszedł za nią na korytarz i stanął w ciemnym kącie, podczas gdy lutnistka pobiegła do kuchni. Po chwili wróciła z tacą winogron, podeszła do drzwi, skąd dochodził śpiew, i zapukała. Odczekała chwilę, po czym weszła nie zamykając za sobą drzwi. Pośrodku pokoju siedziała Zubajda z lutnią, grając i śpiewając *O, muzułmanie, o, ludu Allaha*, – a tuż obok niej nikt inny tylko ojciec, bez dżubby, z podwiniętymi rękawami, potrząsający bębenkiem i patrzący na śpiewaczkę wzrokiem radosnym i rozbawionym. W ciągu tej minuty czy dwóch Jasin zobaczył coś niesamowitego, tajemne życie, długą historię życia, która nim wstrząsnęła i obudziła go, jak kogoś z głębokiego, długiego snu wyrывa silne trzęsienie ziemi. Zobaczył w tej jednej chwili całe życie jak w krótkim śnie, który zbiera wydarzenia z wielu lat w jeden obraz. Zobaczył naprawdę swojego ojca, nikogo innego, ale nie takiego, do jakiego przywykł; takiego jak ten nigdy przedtem nie widział: bez dżubby i kuftana, rozpartego wygodnie, naturalnie. Nigdy nie widział jego czarnych jak węgiel włosów trochę rozczochranych ani gołej nogi na skraju dywanu wystającej spod rzuconego kuftana, ani, nie do wiary, bębenka, na którym wystukiwał taneczny rytm, ani, i to chyba najbardziej go zdziwiło, tej roześmianej, błyszczącej, przepełnionej miłością i radością twarzy, której wyraz tak zaskoczył kiedyś Kamala przed sklepem. Kiedy Zannuba wróciła do pokoju, stał jeszcze oszołomiony, słuchając uderzeń tamburyna i głosu, tego samego, który słyszał w domu, ale jakże odmienionego. Zupełnie nowe znaczenia i obrazy napłynęły teraz do jego świadomości, jak dźwięk dzwonka szkolnego cieszy ucho dziecka, kiedy go jeszcze nie zna, a przekształca się w sygnał ostrzegający o kłopotach, kiedy jest już uczniem. Zannuba przywołała go pukaniem w drzwi. Otrzeźwiał i poszedł za nią starając się ukryć zdumienie a wzburzenie.

– Zapomniałeś o całym świecie, kiedy go zobaczyłeś.

– Rzadki głos, kunsztowny śpiew...

– Chcesz, żebyśmy robili to samo?

– Zaraz pierwszego naszego wieczoru? Skąd?! Nie chcę niczego, tylko ciebie, nawet śpiewu.

I jeżeli na początku sztucznie podtrzymywał rozmowę, żeby okazać się przed samym sobą i przed nią spokojnym i naturalnym, teraz zaczął gadać dużo i bez przerwy, żeby jak najszybciej przyjść do siebie, jak ktoś, kto znalazłszy się wśród płaczących na pogrzebie udaje, że zalewa się łzami. „Co za dziwna sytuacja – myślał – nigdy by mi coś takiego nie przyszło do głowy. Ja tutaj z Zannubą, a mój ojciec w pokoju obok z Zubajdą. Obydwaj w tym samym domu. Jak udźwignę sam ciężar zdziwienia, że coś, co nie mogło się zdarzyć, jednak się zdarzyło. Przecież jest tutaj i głupio dopytywać się i zdumiewać. To najprawdziwsza prawda, więc niech ja już uwierzę i przestanę się dziwić.” Myśląc tak poczuł nie tylko ulgę, ale i niezmierną radość, nie dlatego, że uznał to za zachętę do kontynuowania swojego rozpustnego życia, bo takiej zachęty nie potrzebował, ale ponieważ, jak większość amatorów uciech zabronionych, szukał podobnego sobie. I oto znalazł go w osobie ojca, a był przekonany, że znajdują się na przeciwległych biegunach. Cieszył się tak, jakby to było największe zwycięstwo w jego życiu. Czuł dla ojca miłość i podziw zupełnie innego rodzaju, nie takie jak dawniej pod gęstą zasłoną szacunku i strachu. Ojciec nie był już dalekim, niedostępnym za zamkniętymi drzwiami władcą, ale bliskim mu człowiekiem, częścią jego duszy i serca. Byli ojcem i synem, jedną duszą. Ten mężczyzna, który potrząsał bębenkiem, to

nie był As-Sajjid Ahmad Abd al-Dżawwad, ale sam Jasin taki, jakim powinien być i jakim musi być. Różniły ich tylko sprawy drugorzędne: wiek, doświadczenie. „Witaj, ojczu, dziś cię odkryłem, dziś jest dzień twoich urodzin w mojej duszy. Co za dzień! Co za ojciec! Dotychczas byłem sierotą. Pij, graj na bębenku tak jak Ajjusza. Jestem z ciebie dumny. A może jeszcze śpiewasz, co?”

– Czy As-Sajjid Abd al-Dżawwad śpiewa czasami?

– Ciągle o nim myślisz? Co za człowiek! Tak, czasami śpiewa, mój wielbłądzie, a nawet tańczy i rozrabia, gdy jest pijany...

– A jaki ma głos?

– Piękny i gruby jak jego szyja...

„A więc z tego źródła pochodzą piękne głosy w naszym domu.

Wszyscy śpiewają, rodzina ma korzenie w śpiewie i zabawie. Chciałbym cię usłyszeć choć raz. Pamiętam tylko ryk i krzyki. Znam tylko jedną starą śpiewkę: „Ty byku, ty sukinsynu”, a chciałbym usłyszeć inne, *Miłość zdarza się rzadko* albo *Zakochałem się, mój słodki*. A jak ty się upijasz, jak hulasz, jak szalejesz? Jak się kochasz? Muszę to wiedzieć, żeby być takim jak ty, żeby podtrzymywać twoje tradycje.”

Zannuba stała przed lustrem podprawiając laki. Przez otwór w sukience, który sięgał piersi, widać było jej białą gładką pachę jak miska ciasta. Krew w nim zawrzała i zwałił się na nią jak słoń na gazelę.

Trzy samochody, których użyczyli przyjaciele do obsługi wesela, zatrzymały się przed domem As-Sajjida Ahmada. Czekały na pannę młodą i jej orszak, żeby ich zawieźć do domu rodziny Szaukat na ulicę As-Sukkarijja. Był wczesny wieczór i promienie letniego zachodzącego słońca zeszły już z ulicy i zatrzymały się na kamieniczkach naprzeciwko domu weselnego. O tym, że odbywa się wesele, świadczył przede wszystkim ubrany kwiatami pierwszy samochód, na który zwrócone były oczy właścicieli pobliskich sklepów i wielu przechodniów. Miesiąc wcześniej odbyły się zaręczyny, przyniesiono prezenty, rzeczy Aiszy zabrano do domu pana młodego. Potem był ślub, ale z domu nie dochodziły *zagharid*, drzwi nie zostały udekorowane, a wewnątrz nie widać było żadnych oznak radości, jakie przy takich okazjach zwykle się widuje. Teraz też wszystko odbywało się w ciszy i spokoju. Wiedzieli o tym krewni, przyjaciele, a zwłaszcza sąsiedzi. As-Sajjid ani na chwilę nie chciał odstąpić od swojej surowości i sztywności i nie pozwolił na to nikomu z rodziny. W atmosferze ciszy i powagi, mimo protestów Umm Hanafi, Aisza i zaproszone kobiety wyszły z domu. Panna młoda wsunęła się szybko do samochodu, jakby się bała, że od ciekawych spojrzeń zapali się jej suknia ślubna i biały jedwabny welon cały w kwiatach jaśminu i fulu. Za nią weszły Chadidza, Mariam i kilka innych dziewcząt. Matka, kobiety z rodziny i sąsiadki wsiadły do pozostałych dwóch samochodów. Kamal zajął miejsce obok kierowcy samochodu panny młodej. Matka zażyczyła sobie, żeby orszak w drodze na As-Sukkarijję przejechał ulicą Al-Husajna, aby znowu spojrzeć na grób Męczennika, do którego tęskniła, i wyprosić błogosławieństwo dla pięknej panny młodej. Samochody przejechały ulicami, którymi wtedy szła z Kamalem, potem skręciły w Al-Ghurijję na tym samym rogu, na którym o mało co nie spotkała jej śmierć, i zatrzymały się u bramy Al-Mutawallego przed wejściem na ulicę As-Sukkarijja. Ulica była za wąska dla samochodów, więc kobiety poszły piechotą wśród bogato udekorowanych domów. Natychmiast z okrzykami zbiegli się chłopcy z pobliskich zaułków, a z domu rodziny Szaukatów, pierwszego po prawej stronie, dochodziło radosne *zagharid*. W oknach witały pannę młodą roześmiane twarze. Przed drzwiami stali: pan młody Chalil Szaukat, jego brat Ibrahim Szaukat, Jasin i Fahmi. Chalil uśmiechnięty podszedł do narzeczonej<sup>23</sup> i podał jej ramię. Aisza zmieszała się i nie mogła zrobić żadnego ruchu, dopiero Mariam szybko wzięła jej rękę i włożyła pod rękę narzeczonego. Weszli do wnętrza. Panna młoda z orszakiem przeszła przez zatłoczone podwórze, gdzie rzucano pod ich stopy kwiaty i cukierki, i zamknęły się za nimi drzwi części domu przeznaczonej dla kobiet. Mimo że ślub Aiszy z Chalilem odbył się już miesiąc lub więcej temu, to jednak ich widok idących razem i trzymających się za ręce zawstydził Jasina i Fahmiego. Zwłaszcza Fahmi był skępowany czując, że atmosfera ich domu nie trawi nawet legalnych obrzędów weselnych. A najwyraźniej było to widać po Kamalu, który ciągnął matkę za rękę zaniepokojony, pokazując

<sup>23</sup> Przez pierwszych kilka miesięcy młoda żona nazywana jest narzeczoną, a młody mąż narzeczonym.

palcem narzeczonych, jakby wzywając ją na pomoc, bo dzieje się coś okropnego. Ciekawi byli wyrazu twarzy ojca, jakie wrażenie zrobił na nim ten niecodzienny widok. Rozejrzeli się po pokoju, ale ojca nie zauważyli. Nie było go u wejścia ani na podwórzu, na którym ustawiono rzędy kanap i miejsc do siedzenia, a pośrodku fotel dla śpiewaczki. As-Sajjid z garstką przyjaciół schronił się do manzary obok podwórza i postanowił nie opuszczać jej przez cały czas aż do rana, izolując się od rozkrzyczanego, rozbawionego tłumu. Nie chciał pokazywać się wśród rodziny w czasie wesela, nie chciał sprawować nad nimi kontroli w dzień dozwolonej radości, a nie potrafił patrzeć bez gniewu na ich swobodę i frywolność. Musiał być taki jak zawsze, do jakiego byli przyzwyczajeni, poważny i surowy. Gdyby to od niego zależało, wesele odbyłoby się w absolutnej ciszy, ale wdowa Szaukat w tej sprawie zajęła inne stanowisko i kategorycznie sprzeciwiła się jego surowości. Zarządziła huczne przyjęcie i zaprosiła śpiewaczkę Dżalilę i śpiewaka Sabira.

Kamal był upojony wolnością, szalał i cieszył się, jakby to on był panem młodym. Oprócz niego było kilku małych chłopców, którzy swobodnie krążyli między pokojami dla kobiet w głębi domu a miejscem zabawy na podwórzu. Długo siedział przy matce, między kobietami, przyglądając się ich biżuterii, makijażowi, słuchając żartów i opowieści, których głównym tematem było małżeństwo, albo śpiewaczki Dżalili, która rozsiadła się pośrodku sali ogromna jak *mahmal* i śpiewała różne weselne przyśpiewki i piosenki, popijając przy tym bez skrępowania alkohol. Dziwna i pociągająca wydawała mu się ta atmosfera zabawy i śmiechu, a najbardziej dziwiło go, że Aisza jak nigdy przedtem wystawiała się tak na widok wszystkich. Matka z początku zatrzymywała go przy sobie, ale po jakimś czasie kazała mu przenieść się do braci pod pretekstem, że wydarzyło się coś nieoczekiwanego i musi wyjść. Jego zainteresowanie Aiszą, a to jej sukienką, a to ozdobami, zaczęło ją niepokoić, mimo że Aisza wyglądała przepięknie. Bała się jego dziecińczych, szczerych uwag, których próbki już miała. Raz pokazał palcem jakąś kobietę z rodziny narzeczonego i krzyknął: „Mamo, spójrz na nos tej pani, prawda, że jest większy od nosa Chadidży?” Albo zaskoczył wszystkich włącznie z Dżalilą, przyłączając się do śpiewu zespołu i powtarzając z nim refren „Skąd wziąć tę piękną gołębicę”. Dżalila zaprosiła go i posadziła między artystkami. Zwracał więc na siebie uwagę, kobiety zaczęły trochę sobie z niego żartować, z czego matka nie była wcale zadowolona, toteż, niechętnie, trochę z obawy przed jego figlami, a trochę o niego samego przed podziwiającymi go oczami, kazała mu iść do braci. Przyłączył się do mężczyzn, pochodził między nimi i stanął koło Fahmiego i Jasina, słuchając Sabira, który śpiewał: „Tylko powiedz, piękny mój, dlaczego kochasz?” Potem znowu zaczął chodzić między ludźmi, aż zdjęła go ciekawość zajrzeć do manzary. Wsunął głowę i od razu napotkał oczy ojca. Stanął przygwożdżony nie mogąc się wycofać, ale zobaczył go As-Sajjid Muhammad Iffat i przywołał do siebie. Podeszedł niechętnie, nie chcąc wywołać gniewu ojca, i stanął na baczność wyprostowany jak żołnierz.

- W której jesteś klasie, stary?
- W trzeciej, czwar...
- No, dobrze, dobrze. Słuchałeś Sabira?

Odpowiadał niby na pytania Muhammada Iffata, ale tak, żeby zadowolić ojca. Dlatego wahał się, nie wiedział, co odpowiedzieć, żeby się nie narazić.

– Nie lubisz śpiewu?

– Nie.

Wydawało się, że niektórzy z obecnych będą komentować tę odpowiedź. Co jak co, ale syn Ahmada Abd al-Dżawwada nie lubi śpiewu? Ale As-Sajjid ostrzegał ich oczami, żeby się powstrzymali.

– Nie lubisz słuchać muzyki? A czego lubisz słuchać najbardziej?

– Najświętszego Koranu.

Podniosły się głosy pochwały i pozwolono chłopcu odejść. Nie udało mu się usłyszeć, co o nim mówią za jego plecami.

– Jeśli to prawda, to nie jest to twój syn – zarechotał As-Sajjid Al-Far.

As-Sajjid Ahmad Abd al-Dżawwad roześmiał się.

– Widzieliście, jaki to spryciarz, sukinsyn, udaje przede mną pobożnego! A kiedyś słyszałem, jak śpiewał w domu *O ptaszku na gałązce*.

– A żebyś go widział, jak słuchał z braćmi Sabira. Usta poruszały mu się rytmicznie, nawet lepiej niż samemu Ahmadowi Abd al-Dżawwadowi – wtrącił As-Sajjid Ali.

– Ważne, czy podobał ci się jego głos, kiedy śpiewał *O ptaszku na gałązce* – rzekł Muhammad Iffat.

– Moja krew. Lew nie wyrzeknie się lwiątku – odpowiedział As-Sajjid Ahmad.

– Niech Bóg będzie łaskawy dla lwicy, która was zrodziła – krzyknął Al-Far.

Kamal wyszedł z manzary prosto na ulicę. Zostawił za sobą koszmar obecności ojca i szybko wmieszał się w tłum chłopców. Chodził dumnie między nimi w nowym ubraniu, rozkoszując się wolnością, nie mając nad sobą żadnego kontrolera ani żadnych zakazów, poza tą przerażającą manzarą. Co za noc! Jedna tylko myśl psuła mu radość: przynosiny Aiszy do tego domu, który już nazywali „jej domem”. Przeprowadzka została dokonana, mimo że nikt nie zdołał go przekonać o jej korzyściach i znaczeniu. Zapytywał, jak ojciec mógł się na to zgodzić, skoro nie pozwala, żeby choćby cień którejs z kobiet pojawił się za maszrabijami jego domu. Miał pretensję do matki, że odstąpiła Aiszę obcym. Pytania jego wywoływały tylko głośny śmiech, a matka tłumaczyła mu, że kiedyś dorośnie i tak jak ona odejdzie z domu żegnany radosnymi *zagharid*. Pytał też Aiszę, czy naprawdę cieszy się z tego, że ich opuszcza, odpowiedziała, że nie, ale sprzęty już zostały przeniesione do domu obcego człowieka, a za nimi musiała podążyć i ona, Aisza, którą tak kochał, że picie smakowało mu tylko wtedy, kiedy pił z kubka zmoczonego jej śliną. To prawda, że obecna radość kazała mu zapomnieć o sprawach, o których, wydawało się, nie sposób zapomnieć ani na moment, jednak smutne myśli kładły się cieniem na jego wesołym sercu, jak chmurka zakrywa twarz księżycy na jasnym nocnym niebie.

Największą radość sprawił mu tej nocy śpiew, większą niż zabawy z chłopcami, oglądanie kobiet i mężczyzn, a nawet większą niż królewskie potrawy na stole. Zasłuchanie w śpiew Dżalili i Sabira, zupełnie nieodpowiednie dla jego wieku, zdumiewało mężczyzn i kobiety, ale nie dziwiło nikogo z rodziny, która znała jego wprawki pod okiem nauczycielki Aiszy i wiedziała, że ma on ładny głos, najładniejszy po Aiszy, chyba że głos ojca, który znali tylko wściekły i ryczący, był w rodzinie najładniejszy. Kamalowi bardzo podobał się śpiew mężczyzny i jego zespołu. Zapadły mu głęboko w pamięć piękne piosenki takie jak *Dlaczego*

*kochasz, dlatego że...*, które jeszcze długo po weselu śpiewał sobie na dachu domu wśród fasoli i jaśminu.

Amina, Chadidża i Kamal cieszyli się tej nocy wolnością, jakiej nie zaznali nigdy przedtem. Zwłaszcza Amina, otoczona troską i traktowana z wyjątkową serdecznością jako matka narzeczonej, była szczęśliwa, bo w całym swoim życiu nie zaznała tyle sympatii. Nawet Chadidża ukryła swoje problemy w blaskach radości, jak ciemność chowa się przed światłem poranka. Zapomniała o swoich smutkach pośród wesołych śmiechów, słodkich pieśni i ciekawych opowieści, ale w zapomnieniu ich pomógł jej smutek nowy, szczerzy, z powodu bliskiej rozłąki z Aiszą. Tak jak to jest w momencie rozłąki z osobą, którą się kocha, a której się jednocześnie nienawidzi, zanika nienawiść, a ujawnia się miłość i żal. Poza tym makijaż i ozdoby dodały wiele urody jej ciału i twarzy, a co za tym idzie wiele spokoju i pewności siebie. Kobiety zwracały na nią uwagę i wyrażały się o niej z uznaniem, co napełniało ją nową nadzieją i marzeniami, którymi żyła długi czas potem.

Jasin i Fahmi siedzieli obok siebie to rozmawiając, to słuchając, a od czasu do czasu przysiadł się do nich Chalil Szaukat, narzeczonej, kiedy tylko znalazł wolną chwilę od zajęć tej męczącej i radosnej nocy. Mimo atmosfery nasyconej radością i zabawą, Jasin czuł niepokój, oczy miał rozbiegane i myślał tylko o tym, czy będzie miał okazję zaspokoić pragnienie choćby jednym lub dwoma kieliszkami.

– Rozumiem, że ta noc będzie stracona – szepnął raz do ucha Chalilowi.

– Dla takich jak ty przygotowałem stół w specjalnym pokoju – odpowiedział Chalil i mrugnął do niego porozumiewawczo.

Uspokojony Jasica oddał się całkowicie zabawie. Nie miał zamiaru upić się w takim miejscu, gdzie pełno było bliskich i znajomych, nawet wypicie kieliszka uważał za sukces, zwłaszcza że obok był ojciec, choć zaszył się w manzarze. To, że poznał sekret życia ojca, wcale nie zmieniło jego stosunku do niego. Ojciec był w dalszym ciągu dla niego niezdołaną twierdzą, do której odnosił się z szacunkiem i lękiem, posłuszeństwem i uległością. Sekretu swojego nie odkrył nikomu, nawet Fahmiemu, najbliższemu z krewnych, choć go to tak korciło. Dlatego musiał ulżyć sobie kieliszkiem lub dwoma, żeby smakować beztrudnie radość, śpiew i inne uciechy. Zresztą i tak smaku ich, bez picia, już nie odczuwał.

W przeciwieństwie do niego Fahmi zupełnie nie myślał o znalezieniu ukojenia w alkoholu. Jego smutek wybuchł nieoczekiwanie już przy wejściu panny młodej. Poszedł z Jasinem i Chalilem powitać ją i naraz zobaczył Mariam idącą tuż za Aiszą, z twarzą rozjaśnioną uśmiechem, zachwyconą *zagharid* i kwiatami. Przez jedwabną, przezroczystą zasłonę widział aksamitną skórę jej pięknej twarzy. Odprowadził ją wzrokiem aż do drzwi pokoju dla kobiet i wrócił na swoje miejsce roztrzęsiony, jakby nagle znalazł się w centrum huraganu. Zanim ją ujrzał, był spokojny, pogrążony w łagodnym smutku zapomnienia. Minęło sporo czasu, zanim osiągnął ten stan odpoczynku po cierpieniu, a jednak okazało się, że najmniejsze wspomnienie, jedna myśl, jedno słowo, głośno wymówione jej imię sprawiało, że serce ścisnęło mu żal i ból. Jak zepsuty ząb nie boli, dopóki nie nagryzie się nim czegoś twardego. Miłość rozsadzała mu piersi, pragnęła wyrwać się, krzyczeć głośno, że jest uwięziona, że nie pomaga ani pocieszenie, ani chwilowe zapomnienie. Lękał się i pragnął w duchu, żeby nikt nie dowiedział się o Mariam i nie starał się o nią, dopóki on nie stanie na

własnych nogach jako człowiek wolny, postępujący według własnych postanowień, sam decydujący o swoim losie. Jak na razie jego pragnienie spełniało się, bo upływały dni, tygodnie i miesiące, a jakoś nikt nie przychodził w swaty. Ale to i tak całkowicie go nie uspokoiło. Nachodził go lęk, obawy wdzierały się w jego sny, powodując ból i męki zazdrości. I nawet jeżeli to były tylko obawy, że ją stracił, to i tak męki stawały się nie mniej okrutne, niż gdyby stracił ją naprawdę. Pragnął już nawet, żeby stało się to najgorsze, które by jednym uderzeniem uwolniło go od cierpienia. Być może rozpaczą osiągnąłby spokój i ulgę, jakiej nie dawały zwodnicze marzenia. Ale teraz na oczach rodziny i przyjaciół nie poddawał się rozpacz, choć nie mógł się uwolnić od obrazu Mariam idącej za jego siostrą. Zaskoczenie było zbyt wielkie i czasami to, co starał się ukryć, wychodziło jednak na wierzch. Wtedy rzucał się w towarzystwo, rozmowy i zabawy udając wesołość i szczęście. W duszy czuł się samotny i odizolowany od tego, co się działo dokoła niego. Widok Mariam idącej tuż obok panny młodej wstrząsnął nim i zbudził jego miłość jak nagły huk budzi kogoś, kto już zasypia. Nic z tego, co się działo tej nocy, nie potrafiło usunąć z jego wyobraźni jej twarzy i uśmiechu, którym witała gorące przyjęcie orszaku. Był to słodki, czysty uśmiech świadczący o sercu wolnym, spragnionym radości i spokoju, uśmiech, który nie sugerował, że te usta mogą być kiedykolwiek ścignięte bólem. To go zraniło, uświadomił sobie, że cierpi w samotności, że Mariam nie dzieli jego bólu. Choć właściwie przecież on też śmieje się głośno, porusza głową w rytm muzyki, niby rozbawiony i szczęśliwy. Przecież może oszukiwać patrzących na niego i niejednen z nich pomyśli o nim tak, jak on myśli o niej. Znalazł pewne pocieszenie w tych rozważaniach, ale było to pocieszenie chorego na tyfus, który myśli: możliwe, że ja też wyzdrowię tak jak ten, który zachorował przede mną. Pomyślał o tym, co mu przekazała przez Kamalę parę miesięcy temu, że nie będzie wiedziała, co zrobić, kiedy w czasie długiego okresu czekania na niego trafi się narzeczony. Ileż to razy analizował to zdanie, zastanawiał się nad nim. Czy za takimi słowami może kryć się uczucie? Nie można jej za nie winić, co więcej, nie można lekceważyć rozsądku i mądrości, jakie one zawierają, ale z kolei dawały mu one poczucie bezsilności, jako że rozsądek i mądrość rzadko akceptują pragnienie wywołane uczuciem.

Wrócił do terazniejszości, do tego wesołego miejsca, do gwałtownej miłości, którą obudził w nim widok Mariam. Ale to nie sam jej widok wywarł na nim tak głębokie wrażenie, spotęgowały je okoliczności. Po raz pierwszy zobaczył ją w innym miejscu, nie w domu. Jej ciągła obecność w domu stała się częścią codziennej, zwykłej machiny, podczas gdy niespodziewane pojawienie się w nowym miejscu jakby stworzyło ją na nowo w jego świadomości. Surowe tradycje domowe wzniosły między nimi mur rozpacz, natomiast przebywanie w atmosferze radości i swobody, w sytuacji, w jakiej jej nie znał, w ruchu, z odkrytą twarzą, wśród gości, na weselu, które samo w sobie kojarzy się z miłością-i miłosnym związkiem, wydobyci ją spod klosza i napełniło jego serce nadzieją. Była jakby w zasięgu ręki, jakby mówiła: „Patrz, jeszcze jeden krok, a znajdę się w twoich ramionach.” Ale wkrótce nadzieja zetknęła się z okrutną rzeczywistością i znowu wstrząsnął nim ból. Dzięki przeżyciom tej nocy Mariam zapanowała wszechwładnie w jego duszy i w jego życiu. Utrwaliły się one w jego wspomnieniach, pogłębiły jej obraz przez włączenie innych miejsc i momentów z nią związanych. Mariam kojarzyła mu się od dawna z dachem, ogrodem pełnym



kwiatów fasoli i jaśminu, Kamalem i nauką angielskich słówek, popołudniową kawą, rozmowami z matką w pokoju do nauki, z posłaniem, które przyniósł od niej Kamal, a od dziś będzie mu się także kojarzyła z podwórzem rodziny Szaukatów na As-Sukkarijdd, z radością, śpiewem, Sabia, weselem Aiszy i innymi obrazami, które wypełniały mu oczy i zmysły i przyprawiały o zawrót głowy.

W pewnym momencie, przez okno wychodzące na podwórze, do pokoju mężczyzn wpadł głos śpiewaczki. Śpiewała właśnie *Odszedł mój ukochany*. Fahmi zastuchał się, wszystkimi zmysłami chłonał słowa piosenki nie dlatego, żeby mu się tak podobał głos Dżalili, ale wiedział, że Mariam słucha jej w tej samej chwili, a słowa wpadają do uszu ich obojga w tym samym czasie. Śpiew stworzył między nimi więź zmysłów i umożliwił spotkanie dusz. Fahmi próbował przeniknąć do duszy. Mariam, włączyć się w wibracje jej odczuć i wrażeń poprzez swoje odczucia i wrażenia, żyć choć przez moment w niej, w jej duszy, pokonać odległość i grubość ścian. Odgadywał, jakie ślady w duszy ukochanej zostawiają słowa: „Odszedł mój ukochany” albo „Od dawna nie pisał listu”. Ciekawe, czy pochłonęły ją fale wspomnień? Czy chociaż z jedną falą. wypłynęła w nich jego twarz? Czy jej serce zabiło z bólu i żalu? A może było jej to obojętne, może znajdowała w piosenkach tylko rozrywkę? Wyobrażał sobie, jak bez zasłony, niczym nie skrępowana słucha z uwagą śpiewu, a na ustach ma ten sam uśmiech, który miała przy wejściu, i zabolalo go to, bo był to według niego uśmiech zabawy i zapomnienia. Albo jak rozmawia z siostrami, kiedy jej się podoba. Zazdrościł im tego, chociaż one nie widziały w tym nic nadzwyczajnego, po prostu zwykłą rozmowę, taką jak z innymi dziewczętami z sąsiedztwa. Dziwił go zawsze ich stosunek do Mariam nie dlatego, że nie odnosiły się do niej z szacunkiem, bo przecież kochały ją, ale traktowały ją tak jak inne dziewczęta, jakby była po prostu jedną z córek sąsiadów. Pozdrowiały ją zwyczajnie, bez zbytniego wzruszenia, tak jak on pozdrowiałby jakąś przechodzącą dziewczynę lub jakiegoś kolegę ze studiów. A rozmawiając o niej mówiły: „Mariam powiedziała, Mariam zrobiła”, i wymawiały jej imię tak, jak wymawia się jakiegokolwiek imię, na przykład Umm Hanafi... A przecież było to imię, którego nie należy wymawiać głośno, które wyłącznie on powinien słyszeć, imię, które szeptał w samotności z czcią, ozdobione marzeniami, imię, które powinno się wymawiać tylko ze słowami „Niech Bóg będzie z niej zadowolony” lub „Pokój jaj”. Jak one mogły pozbawiać to imię, a co za tym idzie i samą osobę, magii, czaru i świętości?

Dżalila przestała śpiewać i w pokoju kobiet rozległy się okrzyki i brawa. Fahmi natęzał ucho bardziej chyba niż przy słuchaniu piosenki, bo gardło i dłonie Mariam uczestniczyły w tym aplauzie. Pragnął rozróżnić jej głos pośród innych i jej oklaski wśród burzy oklasków, ale niełatwo rozróżnić w huku fal uderzających o brzeg tę jedną falę. Obdarowywał więc miłością cały hałas, wrzawę i brawa bez wyjątku, jak matka, słysząc hałasujące dzieci w szkole, do której chodzi jej syn, wszystkie błogosławi i pozdrowia.

Ojciec także wybrał wewnętrzną samotność, ale odizolował się też fizycznie w manzarze z garstką wiernych przyjaciół. Jednak z zupełnie innych powodów. Niektórzy z jego przyjaciół po jakimś czasie wyszli z pokoju i przyłączyli się do słuchających i bawiących się, a zostali tylko ci, którzy przedkładali towarzystwo As-Sajjida nad inne rozrywki i siedzieli z nim w niezwykle powadze, jakby wykonywali niewygodny obowiązek albo uczestniczyli w pogrzebie. Tego się spodziewali, kiedy As-Sajjid zaprosił ich na wesele, jako że poznali jego

podwójną naturę, inną dla przyjaciół, inną dla rodziny. Żadna jednak z osób postronnych nie domyśliła się różnicy między tym wieczorem, w którym świętowali wesele, a hucznymi wieczorami w gronie przyjaciół, w czasie których niczego nie świętowali. Oczywiście z tej powagi zrobili sobie temat żartów lekkich i spokojnych, żeby nie śmiać się zbyt hałaśliwie. Kiedy raz As-Sajjid roześmiał się głośno, As-Sajjid al-Far położył palec na ustach przywołując go do porządku i ostrzegawczo szepnął mu do ucha: „Człowieku, jesteśmy na weselu.” Innym razem, kiedy cisza trwała już przydługo, As-Sajjid przyjrzał się towarzyszom i stwierdziwszy, że mają dosyć powagi, podniósł rękę do głowy i powiedział: „Dziękuję, niech Bóg was prowadzi.” I zaproponował, żeby przyłączyli się do weselników w pokoju mężczyzn. Na to odezwał się As-Sajjid Iffat: „Co, mamy cię tu zostawić samego, w takiej sytuacji? Przyjaciela poznaje się w biedzie.” As-Sajjid roześmiał się: „Jeszcze się Bóg nad nami zlituje i da nam wiele innych radosnych nocy.” Wesele łączyło się w umyśle As-Sajjida z wieloma innymi sprawami, nie tylko z obowiązkiem utrzymania powagi w miejscu powszechnej radości. Dotyczyły one jego jako ojca. Małżeństwo córki budziło w nim dziwne uczucia. Nie cieszyło go, mimo że pozostawało w zgodzie zarówno z jego rozumem, jak i wiarą. Nie znaczy to, że nie chciał, aby jego córki wyszły za mąż, przeciwnie, tak jak inni ojcowie pragnął zabezpieczyć ich pobożne, godziwe życie. Myślał sobie jednak, że lepiej by było, gdyby małżeństwo nie było tym jedynym sposobem, żeby Pan Bóg stworzył kobiety tak, by nie musiały wychodzić za mąż albo żeby przynajmniej w ogóle nie rodziły dziewcząt. A ponieważ były to tylko pobożne życzenia i nie mogły się urzeczywistnić, nie miał wyjścia i musiał pragnąć męża dla swoich córek, takie jak człowiek, który już ma dosyć życia, pragnie chociaż spokojnej i godnej śmierci. Jakże często dawał wyraz swojemu sprzeciwowi, czasem świadomie, czasem nieświadomie, w rozmowach z bliskimi. „Rodzenie córek to zło, na które nie ma rady – mawiał. – Ale w każdym razie naszym obowiązkiem jest dziękować Bogu za wszystko. To wcale nic znaczy, że nie kocham swoich córek, kocham je tak jak Jasina, Fahmiego i Kamala. Ale nie daje mi spokoju fakt, że pewnego dnia oddam je obcym mężczyznom, których wygląd może mi się nawet spodoba, ale tylko Bóg wie, jacy oni są wewnątrz. Co zrobi słaba dziewczyna u obcego człowieka, daleko od ojca, pozbawiona jego opieki? Jaki będzie jej los, jeżeli się z nią rozwiedzie, a ojciec umrze? Pójdzie do domu braci i będzie żyła jak podrzutek. Nie boję się o synów, bo żeby się im nie wiem o przydarzyło, to są mężczyźni i potrafią stawić czoło życiu. Ale córka... Boże, ratuj nas przed córkami! Córka to prawdziwy problem! Robimy wszystko, żeby ją wychować, wykształcić, chronić, a po tym wszystkim tylko patrzeć, a sami ją oddajemy obcemu mężczyźnie, żeby z nią zrobił, co zechce. Chwała niech będzie Bogu, któremu za wszystko należą się dzięki i chwała.”

To dziwne uczucie zrealizowało się w krytycznym i niechętnym spojrzeniu na pana młodego Chalila Szaukata. Śledził go wzrokiem, doszukując się jakiegokolwiek wady. A przecież pan młody należy do rodziny Szaukatów, z którą od dawna łączą go więzy przyjaźni i miłości. Przy tym każdy widzi, że jest męski i nie brakuje mu powagi i urody. Nie negował zalet Chalila, ale długo wpatrywał się w jego pełną twarz, spokojne, ciężkie spojrzenie człowieka raczej leniwego i miło mu było, że pustka żyda zrobiła z niego bezmyślne zwierzę. „To tylko byk, który żyje, żeby jeść i spać”, pomyślał. Uznanie zalet Chalila, a potem wyszukiwanie jakiegokolwiek wady było logiczną konsekwencją stanu jego duszy, z jednej

strony chęci wydania córki za męża, z drugiej odrzucania samej idei małżeństwa. Uznanie zalet prowadzi do wyrażenia zgody na małżeństwo, a poszukiwanie wad do uczuć wrogich, jak u nałogowego palacza opium, który uważa tę przyjemność za poniżającą i przerażają go skutki, ale poszukuje narkotyku i przeklina go. Te dziwne myśli opuściły As-Sajjida dopiero w czasie wesela. W gronie przyjaciół, słuchając z daleka pieśni, zapomniał o swoich uprzedzeniach i życzył córce szczęścia i spokojnego życia; nawet jego krytyczny stosunek do Chalila Szaukata przekształcił się w ironię, pozbawioną jednak gniewu.

Kiedy zaproszono gości do stołu, Fahmi i Jasin rozstali się po raz pierwszy. Chalil zaprowadził Jasina do specjalnego stołu, gdzie podawano alkohol bez ograniczeń. Jasin pił jednak ostrożnie, licząc się z następstwami i po dwóch kieliszkach oznajmił, że ma dosyć. Walczył ze sobą, mimo to przyszedł pierwszy moment oszołomienia, poczuł rozkosz dawnych upojeń, zachwiało się jego postanowienie i wypił trzeci kieliszek, co mieściło się jeszcze w granicach bezpieczeństwa, po czym uciekł od stołu. Ale przezornie, ciągle jednym okiem w raju, drugim w piekle, schował pół butelki, żeby zajrzeć do niej, gdy go przycisnie potrzeba. Wrócili do towarzystwa odmienieni, promieniejący żywiołową radością.

Tymczasem w pokoju dla kobiet nieźle zaprawiona śpiewaczka Dżalila zapytym wzrokiem przyglądała się twarzom obecnych i naraz zapytała:

– Która z was jest żoną As-Sajjida Ahmad a Abd al-Dżawwada?

Wszystkie spojrzały z uwagą na Aminę, a ona zawstydzila się i nie odpowiadała, wpatrując się z niechęcią w twarz śpiewaczki. Dżalila powtórzyła pytanie. Wtedy wdowa Szaukat wskazała na Aminę:

– To jest żona As-Sajjida Ahmada, a dlaczego pytasz?

Śpiewaczka obrzuciła Aminę badawczym, przenikliwym spojrzeniem i wybuchnęła dźwięcznym śmiechem.

– Ładna, jak Boga kocham, As-Sajjid ma gust niezrównany.

Amina czuła się zawstydzona jak dziewczica. Jednocześnie jednak, zaniepokojona, zadawała sobie pytanie, dlaczego Dżalila o to pyta, dlaczego chwali gust As-Sajjida w taki sposób, jakby go dobrze znała. Jej uczucia podzielały Aisza i Chadidza. Patrzyły to na śpiewaczkę, to na przyjaciółki z niemyim pytaniem: co myślą o tej pijanej babie?

Dżalila nie chciała, żeby jej słowa wywołały niezadowolenie, więc zwróciła oczy na pannę młodą i przyjrzała się jej dokładnie, tak jak przedtem matce. Uniosła brwi i powiedziała pełna podziwu:

– Piękna jak księżyc, na Proroka, jesteś naprawdę córką swego ojca. Tak, jakbym patrzyła w oczy As-Sajjida... – Roześmiała się. – Widzę, że jesteście ciekawe, skąd taka kobieta jak ja zna As-Sajjida Ahmada. Znałam go, zanim poznała go jego żona. Wychował się w naszej dzielnicy i był towarzyszem mego dzieciństwa. Nasi ojcowie przyjaźnili się. A co, myślicie, że śpiewaczka nie może mieć ojca? Mój ojciec był szajchem kuttabu, człowiekiem błogosławionym. Co ty na to, o ozdobo kobiet? – z tym pytaniem zwróciła się do Aminy.

Aminę ogarnął strach, ale delikatność kazała jej odpowiedzieć.

– Niech się Bóg nad nim zlituje, wszyscy jesteśmy dziećmi Adama i Ewy – odparła walcząc ze zmieszaniem.

Dżalila kręciła głową w prawo i w lewo mrużąc oczy, jakby wzruszona wspomnieniami, choć możliwe, że ruch ten po prostu przynosił ulgę jej pijanej głowie.

– Ojciec był okropnie zazdrosny – ciągnęła – a ja jestem z natury kokietką, jakby w kolebce karmiono mnie kokieterią. Śmiałam się głośno w domu, a mój śmiech podniecał mężczyzn na ulicy. Ojciec bił mnie i zarzucał najgorsze cechy, chciał mnie wychować. Ale co daje wychowanie komuś, komu przeznaczona jest sztuka miłości, śpiewu, uwodzenia? Wychowanie poszło na marne, mężczyzna przeniósł się do raju, a ja, z tych najgorszych cech, które mi zarzucał, uczyniłam dewizę swojego życia. Taki jest świat... Oby Bóg dał wam z tego świata wszystko, co najlepsze, i zabrał, co złe, i nie pozbawił was mężczyzn zarówno w związkach legalnych, jak i nielegalnych.

Tu i ówdzie odezwał się śmiech, który zagłuszył zdumione westchnienia. Największe wrażenie robił chyba ten niesamowity kontrast między ostatnią bezwstydną modlitwą a poprzednimi stwierdzeniami wskazującymi przynajmniej z pozoru na powagę i smutek, czy też między powagą, która była maską, a jawnymi żartami. Nawet Amina pomimo zmieszania nie mogła powstrzymać uśmiechu i spuściła głowę. Inne kobiety przy podobnych okazjach z przyjemnością odpowiadały na żarty i przekomarzania śpiewaczek, nawet jeśli obrażały ich moralność. W takich momentach znajdowały odprężenie.

– Był bardzo dobry, oby Bóg zrobił mu miejsce w raju. Pewnego dnia przyprowadził mi człowieka tak dobrego jak on i chciał mnie za niego wydać. – Wybuchnęła śmiechem. – Mnie wydać za mąż! Co zostało dla męża po tym wszystkim?! Powiedziałam sobie: „Dżalilo, jesteś skompromitowana.”

Przerwała celowo, żeby wzbudzić większe zainteresowanie, czy też może rozkoszować się ciszą i zainteresowaniem swoją opowieścią, nie mniejszym niż śpiewem, a po chwili kontynuowała:

– Ale Bóg uchronił mnie, zesłał ratunek, zanim doszło do skandalu. Uciekłam z nieboszczykiem, handlarzem narkotyków. Nieboszczyk miał brata lutnistę, który grał w zespole śpiewaczki Najzak. On mnie nauczył grać na lutni, a że spodobał mu się mój głos, nauczył mnie śpiewu i wreszcie wprowadził do jej zespołu. Po śmierci Najzak zajęłam jej miejsce. Śpiewam od lat, kochanków miałam stu i... – zmarszczyła brwi niby licząc i zwróciła się do dziewczyny, która grała na tamburynie – ilu, Fino?

– I pięciu... Broń nas Boże przed złym okiem.

Znowu rozległy się śmiechy, a kilka wielbicielek śpiewacki zaczęło prosić o ciszę, żeby stworzyć atmosferę dla nowej piosenki. Ale śpiewaczka nagle wstała i zdecydowanym krokiem ruszyła w kierunku drzwi, nie zwracając uwagi na pytania, dokąd idzie. Nikt nie protestował, nie nalegał, żeby została, bo znana była z (kapryśnego usposobienia).

Zeszła na podwórze, gdzie jej pojawienie się przyciągnęło spojrzenia bliżej siedzących. Zatrzymała się i rozejrzała dokoła, chcąc zwrócić na siebie uwagę, rzucając tym wyzwanie SABIROWI, który właśnie śpiewał w absolutnym skupieniu i ekstazie. Dopięła swego, bo oczy, jedno po drugim, zwracały się ku niej, tak jak otwierają się po kolei usta zarażone ziewaniem. Zaczęto szeptać jej imię i Sabir zauważył nagle brak kontaktu między nim a słuchaczami. Spojrzał w kierunku, w którym zwrócone były oczy wszystkich. Dżalila stała z głową odrzuconą do tyłu, dumna, pyszna i pijana i patrzyła na niego wyzywająco. Musiał przerwać i

kazał przestać grać zespołowi. Podniósł rękę do góry w geście powitania... Znał kaprysy Dżalili, choć także w przeciwieństwie do wielu – dobroć jej serca, ale też wiedział, jak niebezpiecznie jest sprzeciwiać się jej, zwłaszcza kiedy jest pijana. Okazał więc radość i sympatię, co spowodowało, że twarz jej się rozjaśniła i krzyknęła: „Proszę śpiewać, panie Sabirze, przyszedłam, żeby pana posłuchać!” Goście zaczęli bić brawo i odwrócili głowy w kierunku Sabira, a do Dżalili podszedł Ibrahim Szaukat, starszy brat pana młodego, i spytał delikatnie, czy czegoś potrzebuje. Wtedy przypomniała sobie prawdziwy powód pojawienia się w tym miejscu i spytała głośno tak, żeby ją usłyszało jak najwięcej osób, a zwłaszcza Jasin i Fahmi:

– Co to jest, że nie widzę As-Sajjida Ahmada Abd al-Dżawwada? Gdzie się ten człowiek ukrywa?

Ibrahim Szaukat uśmiechnął się, wziął ją za rękę i zaprowadził do manzary. Jasin i Fahmi wymienili zdumione spojrzenia i odprowadzili ich wzrokiem do drzwi. As-Sajjid zdziwił się nie mniej, widząc ją wchodzącą i zbliżającą się do niego, podczas gdy towarzysze uśmiechnęli się znacząco.

– Wesoly wieczór towarzystwu – powiedziała obrzucając wszystkich przelotnym spojrzeniem.

Popatrzyła na As-Sajjida i nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Przestraszyłam cię, As-Sajjidle Ahmadzie? – spytała drwiąco.

– Bądź rozsądna, Dżalilo – powiedział As-Sajjid poważnie – co cię skłoniło do tego, żeby przychodzić tutaj na oczach wszystkich?

– Trudno by mi było pominąć cię na weselu twojej córki.

– Dziękuję, o pani, a nie pomyślałaś, że to może wzbudzić podejrzenia tych, którzy cię widzieli?

Dżalila klasnęła w dłonie.

– To tak mnie witasz! – krzyknęła i zwróciła się do jego towarzyszy.

– Biorę was na świadków, że to jest człowiek, który nie mógł usiedzieć spokojnie, dopóki jego wąsy nie ukłuły mojego pępka, a teraz nie może znieść mojego widoku.

As-Sajjid zamachał ręką, jakby chciał powiedzieć: „Nie dolewaj oliwy do ognia”, ale poprosił tylko:

– Daj spokój, Bóg wie, że nie jestem niezadowolony, ale jak widzisz, nie jest to odpowiednie miejsce...

– Byliście kochankami i rozstaliście się jak przyjaciele – wtrącił As-Sajjid Ali – nie ma mowy o żadnej złości ani niezadowoleniu, ale wiesz, jego rodzina jest na górze, a synowie obok.

– Dlaczego tak udajesz świętoszka przy rodzinie, ty rozpustniku?! – krzyknęła ze złością.

– Dżalila! Bój się Boga! Boże, daj mi cierpliwość!

– Dżalila czy Zubajda, ty świętoszku?

– Dostyc, na Boga...

Uniosła brwi tak jak przedtem, kiedy zobaczyła Aiszę, tylko tym razem nie z podziwem, a z ironią, i odpowiedziała spokojnie i poważnie jak sędzia ogłaszający wyrok:

– Wszystko mi jedno, czy twoją kochanką jest Zubajda, czy jakaś inna, ale szkoda mi, na pamięć mojej matki, że wpadłeś w gnój, podczas gdy ze mną kapałeś się po uszy w śmietance.

Podniósł się As-Sajjid Muhammad Iffat, który siedział najbliżej niej, wziął ją za rękę i pociągnął łagodnie w stronę drzwi, szepcząc do ucha:

– Zaklinam cię na Al-Husajna, wracaj do swoich słuchaczek, czekają na ciebie...

Usłuchała niechętnie, ale jeszcze od drzwi odwróciła się, spojrzała na As-Sajjida i krzyknęła:

– Nie zapomnij pozdrowić tej wywłoki, radzę ci jak siostra, wykąp się potem w alkoholu, bo jej pot cię zeżre.

As-Sajjid pożegnał ją złym wzrokiem przeklinając pech, który obnażył jego sprawki przed tyloma ludźmi, tymi, dla których był przykładem powagi i godności. Miał słabą nadzieję, że nikt z rodziny nie dowie się o tym incydencie. Ale nawet jeśli o nim usłyszą, może go nie zrozumieją, bo przecież są przekonani o jego niewinności; tak zupełnie pewny tego jednak nie był. Zresztą nawet gdyby stało się najgorsze, gdyby dowiedzieli się o skandalu, nie miał powodu do niepokoju, bo ich uległość była całkowita, a jego władza nad nimi tak ogromna, że niczego by to nie zmieniło. Już wcześniej myślał, że odkrycie jego sprawek przez kogoś z synów albo przez całą rodzinę może się stać pewnego dnia całkiem możliwe, ale nigdy się tym zbytnio nie przejmował. Nie obawiał się też, że będą brali z niego przykład, bo nie próbował ich tak wychowywać. A jeżeli odkryją jego sekrety jako dorośli, nie będzie to już takie ważne. Czuł jednak żal i niesmak z powodu tego, co się stało, mimo że polecthana została jego samcza duma. Scena zazdrości takiej kobiety jak Dżalila, nawet jeżeli były to drwiny z jego nowej miłości, stanowiła ważne, prestiżowe wydarzenie, które miało znaczenie dla mężczyzny takiego jak on, nade wszystko ceniącego zabawę i towarzystwo. Ależ byłby szczęśliwy, gdyby coś tak pięknego przydarzyło mu się z dala od rodziny!

Jasin i Fahmi nie spuszczała oka z drzwi manzary, od chwili wejścia Dżalili do momentu jej wyjścia w towarzystwie As-Sajjida Muhammada Iffata. Fahmi był oszołomiony, kręciło mu się w głowie, zupełnie tak jak Jasinowi, kiedy usłyszał od Zannuby nazwisko ojca. Natomiast Jasina opanowała niezmierna ciekawość. Jednocześnie czuł podziw i duchową wspólnotę z ojcem, taką samą jak w pokoju Zannuby. Zrozumiał, że Dżalila to inna przygoda w życiu As-Sajjida, i wyobrażał sobie złoty łańcuch takich przygód, co wprawiało go w stan niemal uwielbienia dla ojca. Fahmi miał ciągle nadzieję, że Dżalila po prostu chciała się zobaczyć z ojcem w związku z jakąś sprawą dotyczącą wesela, ale zjawił się Chalil Szaukat i powiedział im ze śmiechem, że Dżalila flirtowała z As-Sajjidaem i zwracała się do niego „poufale jak przyjaciel do przyjaciela”. Wtedy Jasin już nie wytrzymał, poczekał, aż Chalil odejdzie, nachylił się do ucha brata i powiedział: „Ukryłem przed tobą rzeczy, które i tak wyszły na jaw, wiesz, co słyszałem i widziałem na własne oczy?” I zaczął mu opowiadać, co słyszał i widział w domu śpiewaczki Zubajdy. Fahmi przerywał mu co chwila: „Nie opowiadaj takich rzeczy. Zwariowałaś? Chcesz, żebym w to uwierzył?” Ale Jasin opowiedział wszystko do końca z detalami. Fahmi nie był przygotowany, nie potrafił zrozumieć, a co dopiero strawić tego tajnego życiorysu ojca, był przecież wychowany w wierze i idealizmie, a ojciec był jednym z ich filarów. Czuł się tak, o ile możliwe jest takie

porównanie, jak embrion przeniesiony z macicy na wzburzone fale życia. Prędeż by uwierzył, że meczet Kalawuna stoi na minarecie, a na szczycie ma grobowiec albo że Muhammad Farid zdradził misję Mustafy i zaprzedał się Anglikom. „Ojciec chodzi do domu Zubajdy, pije, śpiewa, gra na tamburynie... Ojciec pozwala sobie na flirty z Dżalilą. Ojciec pije i uprawia rozpustę.” Jak to wszystko ze sobą pogodzić. Zatem nie jest to ojciec, jakiego znałem, przykład dostojności i siły, gdzie leży prawda? Przecież jakbym go słyszał dopiero co śpiewającego „Bóg jest wielki... Bóg jest wielki”. Jak może śpiewać piosenki? Hipokryta! No, ale przecież on jest szczery! Szczery, kiedy się modli, szczery, kiedy wybucha gniewem... Albo ojciec jest samą podłością, albo rozpusta cnotą!

– Zatkąło cię, co? Mnie też zatkąło, kiedy Zannuba wymówiła jego imię. Ale szybko stwierdziłem, że to wszystko nieważne. Przecież to nie jest bezbożność! Tacy są wszyscy mężczyźni i tacy powinni być.

„Jasin może tak mówić, to do niego pasuje. Ale ojciec to co innego. Jasin!... Jasin jest niczym... Nie, nie mam prawa tak mówić o Jasinie, przecież sam ojciec niczym się od niego nie różni, a może upadł jeszcze niżej. Ależ nie, nie upadł... Ojciec nie błądzi... Ojciec nie jest zdolny do grzechu, jest ponad podejrzeniami. W każdym razie nie jest godny pogardy.”

– Ciągłe jesteś zaskoczony.

– Nie mogę sobie tego wszystkiego wyobrazić.

– Dlaczego? Śmieję się z tego, staraj się zrozumieć świat. Śpiewa? A co złego jest w śpiewie? Pije? Wierz mi, że picie jest przyjemniejsze niż jedzenie. Kocha się? Ale przecież miłość była rozrywką kalifów! Przeczytaj dywan *Al-Hamasa* i uwagi na marginesach. Ojciec nie popełnia żadnego grzechu. Krzycz ze mną: „Niech żyje As-Sajjid Ahmad Abd al-Dżawwad! Niech żyje nasz ojciec!” Zostawię cię na chwilę, muszę z takiej okazji odwiedzić butelkę, którą schowałem pod krzesłem.

Wraz z powrotem śpiewaczki po pokojach dla kobiet rozeszła się plotka o jej spotkaniu z As-Sajjidem Ahmadem Abd al-Dżawwadem. Powtarzano ją z ust do ust, aż doszła do matki, Chadidży i Aiszy. Wiele kobiet, tych, których mężowie przyjaźnili się z As-Sajjidem, przyjęło wiadomość bez zdziwienia, mrugały oczami uśmiechając się i dając do zrozumienia, że wiedzą o wiele więcej. Ale żadnej z nich nie przyszło do głowy wdać się w dyskusję na ten temat, ponieważ nijako im było mówić o tym przy swoich córkach, poza tym względy uprzejmości wobec Aminy i jej córek na to nie pozwalały. Jedyne wdowa Szaukat zażartowała:

– Niech pani uważa, pani Amino, to jasne, że Dżalila ma oko na As-Sajjida Ahmada.

Amina uśmiechnęła się udając obojętność, ale oblała się rumieńcem wstydu. Po raz pierwszy otrzymała namacalny dowód na to, co podejrzewała od dawna. Mimo że przeznaczone jej było posłuszeństwo i cierpliwość, zadano jej cios w samo serce, zraniono głęboko jej dumę, cierpiała jak nigdy przedtem.

Jakaś kobieta, chcąc załagodzić sytuację i powiedzieć coś miłego matce panny młodej, zwróciła się do Aminy:

– Kto ma twarz tak piękną jak twarz matki Fahmiego, nie musi obawiać się, że mąż ma oko na inną kobietę.

Wzruszyła ją pochwała i uśmiechnęła się wstydliwie; było to jakieś pocieszenie w bólu. Ale kiedy Dżalila zaczęła śpiewać, ogarnął ją nagły gniew i był moment, kiedy pomyślała, że wybuchnie. Powstrzymała się całą siłą woli, jak zawsze, wiedząc, że nie ma prawa do gniewu.

Chadidża i Aisza zdumione patrzyły na siebie, ale ani ich to nie rozgniewało, jak Fahmiego, ani nie zabołało, jak matkę. Chyba nawet to, że taka kobieta zadała sobie trud zejścia do ojca, przywitania go i porozmawiania z nim, wydało im się godne podziwu. Ale kiedy Chadidża podniecona spojrzała na matkę, natychmiast zauważyła, że pod jej uśmiechem kryje się ból i zmieszanie. Poczowała złość i gniew na śpiewaczkę, wdowę Szaukat i w ogóle wszystkich.

Nadeszła wreszcie chwila zaślubin i zapomniano o wszystkich nieprzyjemnościach. Minęły tygodnie i miesiące, a uczestnicy wesela stale mieli przed oczami obraz Aiszy w ślubnym stroju.

Na Al-Ghurijji panowała ciemność i cisza, kiedy rodzina opuściła dom panny młodej i ruszyła w stronę An-Nahasina. As-Sajjid Ahmad kroczył na przedzie sam, o kilka metrów za nim Fahmi i Jasin, który po drodze zwracał to, co wypił, żeby móc iść i żeby nie było widać, ile wypił. Na końcu szła Amina, Chadidża, Kamal i Umm Hanafi. Kamal przyłączył się niechętnie do tej karawany; gdyby nie prowadzący ją ojciec odmówiłby matce posłuszeństwa i wrócił tam, gdzie zostawili Aiszę. Odwracał się co krok patrząc na Bab al-Mutawalli, żeby pożegnać ze smutkiem to, co jeszcze było widać: lampę oświetlającą wejście na As-Sukkarijję, po którą właśnie ktoś wchodził po drewnianej drabinie. Serce mu się ścisnęło, kiedy patrzył na rodzinę pozbawioną najukochańszej po matce osoby.

– Kiedy Aisza do nas wróci?

– Nie powtarzaj tego i życz jej szczęścia. Będzie nas często odwiedzała i my będziemy ją często odwiedzali.

– Śmiejecie się ze mnie!

Matka wskazała ręką przed siebie, na ojca, który prawie nikał w mroku, i szepnęła „ciiii”. Ale Kamal był całkowicie zaabsorbowany obrazami zaślubin, które zapadły mu głęboko w wyobraźnię. To, co widział, było dziwne i wprawiało go w zakłopotanie, odciągnął trochę matkę od Chadidży i Umm Hanafi i szepnął:

– Wiesz, co się tam działo?

– Gdzie?

– Podglądałem przez dziurkę od klucza.

– Przez jaką dziurkę od klucza? – spytała nie dowierzając.

– Od drzwi pokoju panny młodej.

– Jak mogłeś, to grzech podglądać ludzi.

– To, co widziałem, to większy grzech.

– Milcz!

– Widziałem, że Aisza i pan Chalil siedzieli na szezlongu i on...

Matka uderzyła go w plecy i szepnęła do ucha:

– Powinieneś się wstydzić, gdyby to ojciec usłyszał, toby cię zabił.

Ale Kamal, uparty, nie przestawał mówić, jakby wyjawiał coś zupełnie nieprawdopodobnego.



– I on wziął ją pod brodę i pocałował.

Matka uderzyła go mocniej, tak że zamilkł przerażony, ale kiedy przechodzili przez podwórze domu, a Umm Hanafi została, żeby zaryglować drzwi, przełamał strach, tak bardzo był przejęty tym, co widział.

– Mamo, dlaczego on ją pocałował? – spytał.

– Jeżeli jeszcze raz zaczniesz o tym mówić, powiem ojcu!

Jasin wszedł do sypialni kompletnie pijany. Wreszcie nikt go nie obserwował, był tylko z Fahmim, bo Kamal zasnął, ledwie przyłożył głowę do poduszki. Wzbierała w nim chęć wywołania burdy, palił go jakiś wewnętrzny ogień, to była reakcja na wyczerpujący, nerwowy wysiłek całego wieczoru, a zwłaszcza drogi powrotnej. Hamował się, jak mógł i stwierdziwszy, że pokój jest za ciasny na rozróbę, zdecydował ulżyć sobie w inny sposób: pogadać przy rozbieraniu.

– Ech, to jest mężczyzna! To jest mistrz! Gdzie nam się z nim równać – zaczął.

Słowa te zabolowały Fahmiego, powiedział więc tylko przez zaciśnięte zęby, siląc się na uśmiech.

– No, ty możesz się z nim równać!

– Nie cieszy cię, że nasz ojciec jest jednym z największych podrywaczy?

– Wolałbym nosić w duszy inny jego obraz.

Jasin zacierał ręce z radości.

– Obraz rzeczywisty jest wspanialszy i zabawniejszy. Chwała takiemu ojcu. Jest to ideał. Och, szkoda, że go nie widziałeś z bębenkiem i kieliszkiem połyskującym w ręku. Brawo! Brawo, As-Sajjidzie Ahmadzie!

– A gdzie jego stanowczość, powaga, pobożność?

Jasin zmarszczył brwi próbując zebrać myśli, ale na próżno, był w takim stanie, że nawet największe sprzeczności potrafił pogodzić.

– Nie widzę tu żadnej niezgodności, to tylko twój tchórzliwy rozum stwarza problem z niczego. Ojciec jest poważny, wierzący i kocha kobiety, proste jak dwa razy dwa to cztery. Chyba go trochę przypominam, bo też jestem wierzący i Kocham kobiety, choć mam trochę mniej stanowczości. Ty także jesteś wierzący, poważny i Kochasz kobiety, ale podczas gdy dbasz o swoją wiarę i starasz się być stanowczy, to trzecie traktujesz tylko połowicznie. – Roześmiał się. – A to jest podstawa wszystkiego.

Tak go to rozbawiło, że nie tylko przestał podziwiać ojca, ale i bronił go już tylko pozornie. W rzeczywistości wyrażał jedynie gorączkę swoich zmysłów, wrzenie pijanej krwi, rozhukanej żądz, która go ogarnęła, kiedy zniknęli obserwatorzy, których się wystrzeżał, żądz, którą pobudziła wyobraźnia naładowana alkoholem jak elektrycznością. Ciało szaleńczo pragnęło miłości, opętane pożądaniem, którego słaba wola nie mogła już okiełznać ani ostudzić. Gdzie znaleźć obiekt? Czy mu starczy czasu? Zannuba? Dlaczego nie? Niedaleko stąd, zrobi swoje, wróci i zaśnie głęboko i spokojnie. Spodobała mu się ta myśl, nie zastanawiał się więc ani chwili, poderwał się i krzyknął do brata:

– Gorąco, pójde na dach odetchnąć świeżym nocnym powietrzem.

Schodził po schodach w ciemnościach, po omacku, starając się iść jak najostrożniej. Jak tu pokazać się Zannubie o tej porze? Zapuka do drzwi i co? Kto mu otworzy? Co powie, jak zapytają, po co przyszedł? A jak się nikt nie obudzi i nie otworzy? A jak nieoczekiwanie

pojawi się stróż? Wścibski, jak to stróż. Myśli te jak bańki powietrza pływały na samej powierzchni jego mózgu, ale szybko porwał je rwący potok wina. Nie zastanawiał się nad skutkami tej wyprawy, wręcz przeciwnie, starał się o nich nie myśleć i zająć tylko przygodą. Jego wyobraźnia jak ptak poszybowała do pokoju Zannuby na rogu Al-Ghu-rijji i As-Sanadikijji. Zobaczył ją w przezroczystej, białej nocnej koszuli opinającej się łukowato na sterczącym biuście i wokół pośladek i opadającej na pełne, zgrabne nogi. Ogarnęło go szaleństwo, zeskoczyłby ze schodów, gdyby nie gęsta ciemność. Wyszedł na podwórze, gdzie było tylko trochę widniej, bo gwiazdy świeciły blado, ale dla oczu przebywających długo w ciemności były to prawdziwe lampy. Skierował się do drzwi wyjściowych i naraz, nie bez zdziwienia, zobaczył małe światełko lampy stojącej na pniu do ćwiartowania mięsa przed kuchnią, a obok postać leżącą na ziemi. Przyjrzał się jej i poznał Umm Hanafi, która pewnie wolała spać na świeżym powietrzu niż w dusznym pomieszczeniu. Poszedł dalej, ale nagle zatrzymał się i znowu spojrzął na śpiącą.

Dobrze ją widział z odległości kilku metrów. Leżała na plecach, prawą nogę miała zgiętą, a *dzilbab* opinał się na kolanie, tworząc piramidę i odkrywając jednocześnie gołe lewe udo. A dalej, między nogą zgiętą w kolanie a leżącą pod *dzilbabem* była ciemna, głęboka jama. Nie mógł oderwać wzroku od tego ciała leżącego tak blisko, mimo że przecież spieszył się, chcąc jak najszybciej znaleźć się u upragnionego celu. Nie wiedząc kiedy, zaczął uważnie i coraz bardziej przytomnie, przekrwionymi oczami, z otwartymi ustami wpatrywać się w spalone ciało rozwalone na ziemi jak tłusta bawolica. Powoli budziła się w nim podejrzana chęć, aż oko zatrzymało się na ciemnej dziurze między nogami, a palący prąd w żyłach kazał mu zmienić kierunek i zamiast do drzwi wejściowych podejść do kuchni. Całe długie lata przechodził obok tej kobiety obojętnie, a teraz jakby ją zobaczył po raz pierwszy. Umm Hanafi nie była urodziwa. Z twarzy wydawała się starsza, niż była w rzeczywistości, a miała dopiero około czterdziestu lat. Tęga, opasła, a do tego nieforemna i niezgrabna, wyglądała jak spuchnięta. Dlatego nie zwracał na nią uwagi, choć obcował z nią od dzieciństwa, zresztą ciągle siedziała w kuchni. Teraz był podniecony, zaślepiony żądzą, pragnieniem kobiety, wszystko jedno jakiej. Zresztą choć kochał piękno, w momentach kryzysowych nie gardził brzydota, jego żądza nie przebierała, była jak pies, który bez wahania pożera wszystko, co mu się trafi na śmietniku. To, co chciał wcześniej uczynić – pójść do Zannuby – wydało mu się teraz ryzykowną, trudną i niezbyt zabawną przygodą, której raczej należało zaniechać. Ostrożnie i cichutko, z otwartymi ustami, zapomniawszy o całym świecie, zbliżył się do tego leżącego u jego stóp i jakby zapraszającego go połcia mięsa. Stał między jej nogami i zaczął bezwiednie pochylać się nad śpiącą, coraz niżej i niżej, aż nie wiedząc kiedy runął na nią. Właściwie nie miał zamiaru robić czegoś takiego, myślał nawet o wstępnej grze i niedobrze się stało, że zaczął tak brutalnie, bo ciało, które przygniótł, wydało przeciągły krzyk przerażenia, zanim zdążył położyć rękę na ustach Umm Hanafi. Cicha nocy została rozerwana, a on sam tak zaszokowany, że natychmiast wróciła mu świadomość. Przerażony zaczął szeptać jej do ucha, trzymając ciągle rękę na jej ustach:

– Nie bój się, Umm Hanafi, to ja, Jasin, Jasin.

Powtarzał tak długo, aż dotarło to do jej świadomości i nieco się uspokoiła. Wtedy cofnął rękę. Kobiecie to jednak nie wystarczyło. Udało jej się zrzucić go z siebie i usiadła ciężko dysząc z wysiłku i wzburzenia.

– Czego pan chce? – zapytała.

– Nie mów tak głośno – poprosił – powiedziałem ci, żebyś się nie bała. Nie ma żadnego powodu do obaw.

– Po co pan tu przyszedł? – zapytała sucho, ale trochę ciszej.

Zaczął ją gładzić czule po rękę oddychając z ulgą, choć jeszcze zdenerwowany, widząc zachętę w tym, że ściszyła głos.

– Czemu się złościysz? Nie chciałem ci zrobić nic złego. Chodźmy do kuchni.

– Nie pójdę, proszę pana – powiedziała stanowczo. – Niech pan idzie do swojego pokoju. Niech Bóg przeklnie szatana.

Umm Hanafi mówiła to, czego wymagała sytuacja, nie dobierała słów. Być może nie wyraziła szczerze swoich pragnień, ale dobitnie pokazała swoje zaskoczenie. Nigdy w życiu nie przeżyła czegoś podobnego. Jasin spadł na nią w czasie snu jak kania na kurczaka. Jej opór tylko go rozdrażnił. „Co sobie myśli ta suka? Nie mogę się wycofać teraz, kiedy już tak się stało i o mało nie wywołałem skandalu. Muszę dostać to, czego chcę, choćby siłą”, myślał. Gorączkowo zastanawiał się, jak to zrobić, gdyby się broniła, ale zanim podjął decyzję, usłyszał dziwny szmer od strony schodów, jakby stąpanie. Poderwał się absolutnie przerażony, łkając swoją żądzę, jak złodziej łyka skradziony drogocenny kamień, gdy go nakryją. Spojrzał w kierunku drzwi, żeby zobaczyć, co to, i ujrzał w progu ojca z lampą w rękę. Stał jak wryty, zrozpaczony, pokorny, krew w nim zastygła ze strachu. Krzyk Umm Hanafi dotarł do czyichś uszu. Okno pokoju ojca wychodzące na podwórze było jego obserwatorium. Jasin zrozumiał to teraz, ale było już za późno. Wpadł w sidła losu. As-Sajjid, kipiąc z gniewu, wpatrywał się w twarz syna z okrutnym milczeniem. Nie spuszczać z niego wzroku wskazał ręką drzwi, rozkazując mu wejść na górę. W takiej chwili najlepsze, co mógłby zrobić Jasin, to schować się w mysiej dziurze, ale z przerażenia i zmieszania nie był w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Ojciec stracił panowanie nad sobą i ryknął, a z oczu, w których odbijało się drżące światło lampy, posypały się iskry wściekłości.

– Won, ty bandyto, ty sukinsynu!

Jasin stał nadal jak wrośnięty w ziemię. As-Sajjid chwycił go za rękę i szarpnął z siłą, której dodawała mu wściekłość, tak że syn o mało nie upadł na twarz. Łapiąc równowagę spojrzał za siebie z przerażeniem i uciekł, sadząc susy po ciemnych schodach.

O tym skandalu wiedziały dwie osoby poza ojcem i Umm Hanafi, Amina i Fahmi. Usłyszeli krzyk służącej i przez okna obserwowali scenę między ojcem i Jasikiem. Domyślili się łatwo wszystkiego. As-Sajjid odkrył żonie postępek syna, wypytując przy okazji o moralność Umm Hanafi. Amina broniła służącej, jak mogła, chwaliła jej charakter i uczciwość i przypomniła, że gdyby nie jej krzyk, nikt by się nie dowiedział o tym, co się stało. As-Sajjid siedział i kłął, przeklinał Jasina i siebie, że płodzi dzieci, które mącą jego moralną czystość brudnymi namiętnościami, przeklinał dom i całą rodzinę. Amina milczała. Zresztą nigdy nie pisnęła słowa na ten temat, jakby o niczym nie wiedziała. Fahmi także udawał, że o niczym nie wie. Kiedy brat zdyszany wrócił do pokoju po sromotnej porażce, udawał, że śpi, a i później niczym się nie zdradził, że cokolwiek wie. Nie chciał, żeby Jasin dowiedział się, że był świadkiem jego poniżenia. Szanował go jako starszego brata i szacunek ten pozostał mimo tego, co Fahmi odkrył, wyuzdania, cynizmu, rozpusty, ani tego że był bardziej od niego wykształcony. Jasin zresztą nie zachowywał powagi należnej starszemu bratu, żartował i bawił się z nim, jakby nie zależało mu na szacunku braci. A jednak młodszy brat ciągle jeszcze żywił dla niego respekt, a wypływało to z tego, że Fahmi był wyjątkowo zrównoważony i jak na swój wiek bardzo poważny.

Nazajutrz Chadidża, z natury podejrzliwa, od razu zauważyła, że coś się dzieje, bo Jasin nie był na śniadaniu. Zapytała go o powód, ale odpowiedział, że jeszcze nie strawił kurczaków z kolacji. Czuli, że nie chodzi tu o niestrawność, i spytała matkę, ale też nie otrzymała jasnej odpowiedzi. Kamal, który wrócił z jadalni, pytał o to samo, nie tyle z czystej ciekawości czy żalu, co w nadziei, że usłyszy w odpowiedzi dobrą wiadomość, że odpadnie mu taki poważny konkurent do stołu jak Jasin. Zapomnieliby o tym, gdyby nie to, że Jasin wyszedł z domu i nie uczestniczył w popołudniowej kawie. Usprawiedliwił się co prawda przed matką i Fahmim, że ma ważne zebranie, ale Chadidża nie dała się na to nabrać. „Coś tu jest nie tak – powiedziała – nie jestem głupia. Dam sobie rękę uciąć, jeśli Jasin nie jest jakiś odmieniony.” Matka w końcu zmuszona była wyjaśnić, że ojciec z jakichś powodów gniewa się na syna. Chyba z godzinę zastanawiali się i domyślali, o co chodzi, a Fahmi i Amina uczestniczyli w tym ukrywając prawdę. Jasin został odsunięty od stołu, aż któregoś ranka przed śniadaniem ojciec wezwał go do siebie. Nie był tym zaskoczony, jedynie trochę zdenerwowany. Co dzień oczekiwał tego będąc pewnym, że ojciec nie poprzestanie na brutalnym szarpnięciu go tamtej nocy, że musi, w taki czy inny sposób, wrócić do sprawy. Spodziewał się, że zostanie potraktowany w sposób niegodny jego pozycji urzędnika, co powodowało, że czasami myślał o opuszczeniu domu na krótko lub na zawsze. Ojcu, co prawda, zwłaszcza takiemu ojcu, jakiego znał z domu Zubajdy, nie wypadało potraktować go zbyt surowo, ale jemu z kolei nie wypadało narażać się na traktowanie, które by godziło w jego męską godność. Bardziej honorowo byłoby usunąć się. Ale dokąd pójść?... Musiałby prowadzić życie niezależne, na własną rękę, a na to go nie stać. Rozpatrywał sprawę z

różnych stron. Obliczał wydatki i to, co mu zostanie na kawę u Si Alego, na winiarnię Kustakiego i Zannubę. I w tym momencie jego entuzjazm gasł, jak gaśnie płomień lampy w silnym przeciągu. „Gdybym posłuchał szatana i opuścił dom – tłumaczył sobie, choć wiedział, że sam siebie oszukuje – byłby to obrzydliwy występki, nie licujący z godnością naszej rodziny. Co by powiedział i jakby się zachował, to jest jednak mój ojciec i jakże mogę wyrzucić mu taką podłość.” Próbował też być ze sobą szczery, a nawet żartować. „Trochę skromności, Jasinie beku, daj sobie spokój z tą godnością, na życie twojej matki. Co wolisz, szacunek dla siebie czy koniak Kustakiego i pępek Zannuby?” Porzucił więc definitywnie myśl opuszczenia domu i czekał na wezwanie ojca.

Wszedł do jego pokoju cicho, z opuszczoną głową, i stanął z daleka nie mając odwagi nawet go pozdrowić. As-Sajjid przyglądał mu się długo, wreszcie pokiwał głową i rzekł:

– Patrzcie, patrzcie, wielki chłop, wąs sterczący, kto cię zobaczy na ulicy, mówi z podziwem: „wspaniały mężczyzna, wspaniały syn”, dopiero trzeba przyjść do domu, żeby poznać prawdę.

Jasin nie odezwał się słowem, coraz bardziej zmieszany i zawstydzony.

– Postanowiłem cię ożenić – dodał sucho As-Sajjid tonem nie znośnym sprzeciwu.

Zdumiony Jasin nie wierzył własnym uszom. Oczekiwał przekleństw i awantury, ale nigdy by mu nie przyszło do głowy, że usłyszy ważną decyzję, która zmieni całe jego życie. Spojrzał na ojca i spotkał jego zimne niebieskie oczy. Zacerwienił się i spuścił głowę w milczeniu. As-Sajjid domyślił się, że Jasina zaskoczyła ta szczęśliwa decyzja zamiast brutalnej awantury, której się raczej spodziewał, i ze złością się na okoliczności, które zmusiły go do bycia łagodnym, co podrywało jego autorytet, całą więc złość wyładował w krzyku:

– Mam mało czasu i chcę usłyszeć twoją odpowiedź.

Oczywiście ojciec chciał usłyszeć tylko jedną odpowiedź, bo powziął decyzję już wcześniej. Zresztą nie było przeszkód, żeby właśnie taką odpowiedź usłyszał i to nie tylko ze względu na obowiązek posłuszeństwa syna wobec ojca, ale także dlatego, że Jasin szczerze zgadzał się z jego decyzją. Jeszcze zdanie ojca nie przebrzmiało mu w uszach, a już miał przed oczami piękną narzeczoną, która będzie jego bogactwem, gotowa na każde skinienie. Tak się ucieszył, że ledwie mógł zapanować nad radością w głosie.

– Moje zdanie jest twoim zdaniem, tatusiu.

– Chcesz się ożenić, czy nie? Mów!

– Jeżeli taka jest twoja wola, to ja się zgadzam z radością i bez zastrzeżeń – powiedział ostrożnie.

– Poproszę mego przyjaciela As-Sajjida Muhammada Iffata, sprzedawcę tkanin z Al-Hamzawi, o rękę jego córki dla ciebie, choć takie bydlę jak ty nie jest warte małego palca u jej nogi.

Jasin uśmiechnął się lekko i odparł przypochlebiając się:

– Ale dzięki tobie stanę się jej podobnym.

– Ty hipokryto, jak się ciebie słucha, to trudno sobie wyobrazić twoje postęпки – powiedział ojciec, patrząc na niego ostro, z pogardą. – Zejdź mi z oczu!

Jasin zrobił krok, ale ojciec zatrzymał go ręką, jakby nagle coś sobie przypomniał.

– Ale, ale, mam nadzieję, że uzbierałeś na ożenek.

Jasin nie odpowiedział, zmieszany.

– Pracujesz, ale żyjesz na mój koszt, tak jak kiedy byłeś uczniem. Co robisz z pensją?

Jasin milczał. As-Sajjid kręcił głową niezadowolony. Pamiętał swoje słowa, kiedy półtora roku temu załatwił mu pracę urzędnika: „Mógłbym teraz zażądać, abyś przejął swoje wydatki, jako że jesteś mężczyzną na stanowisku – powiedział. – Jest to sprawa normalna między ojcem a synem, ale ja nie chcę od ciebie ani millima. Daję ci okazję zaoszczędzenia pieniędzy, kiedyś ci będą potrzebne.” Dał mu w ten sposób dowód swojego zaufania. Fakt, że nie przyszło mu do głowy, żeby któryś z jego synów, tak surowo i w takim reżimie wychowanych, mógł mieć skłonność do trwonienia pieniędzy na gwałtowne namiętności. Nie wyobrażał sobie, żeby jego „mały synek” był pijakiem i rozpustnikiem. Alkohol i kobiety uważał w swoim życiu za rodzaj rozrywki, która nie miała nic wspólnego z jego poczuciem męskiej godności, gdyby jednak „zbrukały” któregoś z jego synów, byłaby to zbrodnia nie do wybaczenia. Dlatego postępek syna, który odkrył na podwórzu, uspokoił go w tym samym stopniu, co rozgniewał, ponieważ w jego mniemaniu Umm Hanafi nie mogłaby skusić młodzieńca, gdyby go nie rozpierała nie wyładowana, z powodu uczciwości i długiej wstrzeźliwości, energia i chuć. Nie wątpił w niewinność syna, ale zastanowiło go jego zamiłowanie do elegancji, dobieranie drogich garniturów, koszul i krawatów. Nie miał mu tego za złe, nie widział w elegancji nic zdroźnego, w końcu on sam też ubierał się gustownie i nie miał nic przeciwko temu, żeby synowie go naśladowali. No, ale do czego doprowadziła tolerancja? Jasne, że Jasin roztrwoniał pieniądze na byle co, na zbytki. Sapał z gniewu myśląc o tym wszystkim.

– Wynoś się! – krzyknął nie panując nad sobą.

Jasin wyszedł z pokoju. To, że ojciec będzie na niego wściekły z powodu przepuszczenia wszystkich pieniędzy, a nie z powodu tego haniebnego czynu, nigdy by mu nie przyszło do głowy. Rzeczywiście, trwoniał pieniądze, bezmyślnie, bez żadnego zastanowienia wydawał wszystko, co miał w kieszeni, żył chwilą, zamykając oczy na to, co nazywają przyszłością, jakby coś takiego w ogóle nie istniało. Odczuwał głęboką ulgę, że ojciec tylko go zwymyślał, że go nie wypędził, że pokryje wydatki związane z ożenkiem. Cieszył się jak dziecko, które wreszcie dostaje grosik od ojca zmęczonego jego uporem i nawet nie zauważa, że przy okazji dostało kuksańca.

Ojciec siedział zły. „Co za bydlę – myślał – ciało wielkie, ale rozumu za grosz.” Rozzłościła go rozrzutność syna, tak jakby on sam nie zrobił z niej swojej życiowej dewizy. Oczywiście nie widział w rozrzutności, tak jak i w innych swoich namiętnościach, niczego złego, tym bardziej że, jak na razie, nie wpędzały go one w biedę ani nie powodowały, że zapominał o swoich obowiązkach i godności. Ale jaka jest gwarancja, że Jasin ustrzeże się przed tym? Nie potępiał jego egoizmu i despotyzmu, bo takie cechy posiadał sam, ale bał się o syna, w czym był brak zaufania do niego jak i pewna doza zarozumiałości i pewności siebie.

Jak zwykle gniew przeszedł mu szybko, tak jak przyszedł. Uspokoić się, twarz mu się rozpozodziła i zaczął patrzeć na sprawę innymi oczami, z większą życzliwością i tolerancją. „Chcesz być podobny do ojca, ty byku, co? Musisz myśleć o wszystkim, a nie o jednym myśleć, a drugie zaniedbywać. Bądź dokładnie taki, jak Ahmad Abd al-Dżawwad, jeżeli

potrafisz, albo rób tylko to, co jesteś w stanie robić dobrze. Myślisz, że naprawdę jestem zły na twoje utracjuszostwo? Myślisz, że liczyłem na twoje pieniądze? A niech cię... Chciałem tylko, żebyś oszczędzał\* a ożeniłbym cię i tak za swoje pieniądze, nawet gdybyś ty ich miał dosyć. Ale rozczarowałem się. Myślisz, że nie zastanawiałem się nad wyborem żony dla ciebie już wcześniej, a nie dopiero jak cię złapałem, na gorącym uczynku, na rozpuście, na nikczemnej, ohydnej rozpuście,, ale to przecież w stylu twoim i twojej matki? O nie, ty byku, myślałem o tym, by cię ożenić, od kiedy zostałeś urzędnikiem. Jak mogłem inaczej, przecież to ty pierwszy uczyniłeś mnie ojcem. Ty dzieliłeś ze mną cierpienie, które zgotowała nam twoja przeklęta matka. A poza tym, czy nie mam prawa wyprawić ci wesela, zwłaszcza że będę długo czekał na wesele drugiego byka, twojego brata, jeńca miłości. No, zobaczymy, co z tego wszystkiego wyjdzie.” Przypomniała mu się rozmowa z As-Sajjidem Muhammadem Iffatem zaraz po tym, jak Jasin popełnił tę „zbrodnię”. Opowiedział mu wtedy, jak szarpnął syna, tak że o mało nie upadł na twarz i wtedy też poprosił o rękę jego córki. Czyli małżeństwo zostało postanowione już wtedy, długo przed rozmową z Jasinem. „Nie mógłbyś trochę lepiej traktować syna, od kiedy pracuje ma odpowiedzialnym stanowisku? – skomentował wydarzenie As-Sajjid Muhammad. – Zdaje się, że należysz do ojców, którzy ani drgną, dopóki ich synowie jawnie nie zbuntują się przeciwko nim.” Śmieli się długo, a As-Sajjid odparł w zaufaniu: „O żadnym buncie nie ma mowy, czas nie zmieni stosunków między mną a moimi synami.” Powiedział to z całym przekonaniem i dumą. Ale przyszło mu do głowy, że czasy jednak się zmieniają i on się zmienia, mimo że się stara, żeby nikt tego nie zauważył. „Teraz nie wyciągnę ręki do Jasina ani nawet do Fahmiego, to fakt. Szarpnąłem wtedy Jasina, to prawda, w napadzie wściekłości, nie licząc się ze skutkami. Ale ojciec, niech się Bóg nad nim zlituje, wychowywał mnie surowo, moja surowość w stosunku do synów jest niczym w porównaniu z jego surowością dla mnie, jednak gdy tylko mu zacząłem pomagać w sklepie, zaczął mnie traktować inaczej, a kiedy ożeniłem się z matką Jasina, nawet się zaprzyjaźniliśmy. A ja zrobiłem się taki zarozumiały, że sprzeciwiłem się jego ostatniemu małżeństwu. Narzeczona była bardzo młoda, a on już stary. Wtedy powiedział: «Co, nie pozwalasz mi, ty byku? A co cię to obchodzi. Jeszcze więcej mogę niż ty, żeby zadowolić każdą kobietę.» Nie wytrzymałem i roześmiałem się.” Kiedy myślał o tym wszystkim, przypomniało mu się to okropne powiedzenie: „Kiedy twój syn dorośnie, bądź mu bratem”, i może po raz pierwszy w życiu odczuł, jak skomplikowana jest rola ojca.

W tym samym tygodniu w czasie popołudniowej kawy matka ogłosiła zaręczyny Jasina. Fahmi wiedział już o nich od samego Jasina, ale Chadidza skojarzyła sobie całą sprawę z gniewem ojca na brata. Na pewno był na niego zły za to, że chciał się ożenić, tak jak kiedyś na Fahmiego – głośno wyraziła swoje zdanie. Jasin roześmiał się, a matka spojrzała na niego zawstydzona.

– Masz rację, między jego gniewem a moimi zaręczynami jest ścisły związek – powiedział.

– Ojciec słusznie się gniewa, bo szanowny pan nie ma się czym poszczycić przed wielkim przyjacielem, jakim jest As-Sajjid Muhammad Iffat – powiedziała Chadidza ironicznie.

– Zdaje się, że ojciec dopiero znajdzie się w głupiej sytuacji, kiedy wspomniany wielki As-Sajjid dowie się, że narzeczony ma siostrę taką, jak szanowna pani.



– Czy Jasin też się od nas wyprowadzi, jak Aisza? – spytał Kamal.

– Ależ nie – odparła matka z uśmiechem. – To narzeczona, nowa siostra, wprowadzi się do naszego domu.

Kamal nie spodziewał się takiej odpowiedzi i odetchnął z ulgą. Cieszył się, że jego „opowiadacz” zostanie w domu, że będzie mógł ciągle słuchać anegdot i zabawnych historyjek. Ale w takim razie dlaczego Aisza nie została? Matka odpowiedziała, że taki jest obyczaj: żona przenosi się do domu męża, a nie odwrotnie. „Dlaczego ustanowiono akurat taki obyczaj, wolałbym żeby było odwrotnie, nawet gdybym miał poświęcić Jasina i przyjemności z nim związane.” Ale nie mógł powiedzieć tego głośno, spojrzął tylko wymownie na matkę. Jedynie Fahmi przyjął tę wiadomość ze smutkiem. Uczestniczył oczywiście w radości brata, ale przypomniła mu ona własne zmartwienie, jak zwycięstwo przypomina matce o śmierci syna w zwycięskiej walce.

Dorożka wiozła matkę, Chadidżę i Kamala na ulicę As-Sukkarijja. Wyglądało na to, że małżeństwo Aiszy zapoczątkowało nową epokę, epokę wolności. Czy wreszcie będą mogli od czasu do czasu wyrzeć na światło dzienne, czy będą mogli odetchnąć świeżym powietrzem? Amina nie była optymistką i nie chciała uprzedzać faktów. Tak jak nic wolno jej było odwiedzać matki poza rzadkimi wypadkami, tak może nie wolno jej będzie odwiedzać córki. Wiele dni minęło od wesela. W tym czasie odwiedził Aiszę ojciec, Jasin, Fahmi, nawet Umm Hanafi, a jej nie było wolno. Nawet nie miała odwagi o to prosić, nigdy by nie śmiała mu przypomnieć, że jej córka mieszka na As-Sukkarijji i że powinna ją zobaczyć. Milczała, ale ciągle o tym myślała. Wreszcie któregoś dnia, kiedy ból zbytnio jej doskwierał, zebrała całą siłę woli i zapytała:

– Czy pan mój, jeśli Bóg pozwoli, wybiera się z wizytą do Aiszy, żebyśmy byli o nią spokojni?

As-Sajjid wyczuł w pytaniu ukrytą prośbę i oczywiście wpadł w złość. Nie dlatego, że postanowił nie pozwalać jej na odwiedzanie Aiszy, ale że, jak zwykle, chciał, żeby to pozwolenie wyszło pewnego dnia od niego, nie poprzedzone prośbą, żeby, broń Boże, nie wydało się wynikiem jej prośby. Sprytnie pytanie rozgniewało go i przyciśnięty do muru, zanim się zastanowił, krzyknął z gniewem:

– Aisza jest w domu swojego męża i nie potrzebuje nikogo z nas. Odwiedzałem ją już i bracia ją odwiedzali, więc dlaczego się o nią niepokoisz?

Serce w niej zamarło, ślina wyschła w ustach z rozpaczy i smutku. As-Sajjid celowo nie powiedział nic więcej, tak jakby sprawa była zakończona, za karę, nie mogąc jej wybaczyć sprytu. Cały czas niby nie zwracał na nią uwagi, ale ukradkiem patrzył na jej smutną twarz. Dopiero tuż przed wyjściem do pracy powiedział sucho:

– Jutro możesz ją odwiedzić.

Amina, jak dziecko, nie mogła ukryć radości. Twarz rozjaśniła się jej uśmiechem, co go znowu rozzłościło.

– Ale tylko raz – dodał – później ona nas będzie odwiedzała, jeśli jej mąż pozwoli.

Nie skomentowała tego, ale pamiętając o obietnicy danej Chadidży, kiedy naradzały się, czy porozmawiać z ojcem, odezwała się z wahaniem i lękiem:

– Czy mój pan pozwoli, żebym wzięła ze sobą Chadidżę?

Kiwnął głową, jakby mówiąc: „Coś takiego, czego to się im zachciewa”, i w końcu powiedział:

– No, oczywiście, oczywiście, widać, że skoro zgodziłem się wydać córkę za mąż, to muszę posłać rodzinę na ulicę, weź ją ze sobą, weź, oby Bóg zabrał wreszcie was wszystkich!

Dostała więcej, niż chciała, więc nie zwróciła uwagi na to ostatnie zdanie, zresztą wiedziała, że w momentach prawdziwego lub udawanego gniewu, to, co mówi, odbiega

daleko od tego, co ma w sercu, przypominając kotkę, która nosi w zębach swoje małe z tkliwością, a wygląda, jakby chciała je pożreć.

Pragnienie jej urzeczywistniło się więc i oto teraz dorożka wiozła ich na As-Sukkariję. Dla Kamala odwiedziny Aiszy w towarzystwie matki i siostry i jazda dorożką były ogromną radością. Nie mógł usiedzieć z podniecenia, nie mógł i nie chciał ukrywać swojego szczęścia, pragnął, żeby wszyscy widzieli, że siedzi w dorożce między matką i siostrą. Kiedy przejeżdżali obok fryzjera Amm Hasanajna stanął nagle i krzyknął: „Amm Hasanajn, patrz!” Fryzjer spojrzął na niego, a stwierdziwszy, że nie jest sam, spuścił wzrok pospiesznie, z uśmiechem. Matka zmieszana pociągnęła chłopca za marynarkę i zganiwszy za wariacki pomysł trzymała, żeby nie zrobił czegoś takiego przed następnymi sklepami.

Dom na As-Sukkarijji bez świetlnej dekoracji, którą był przybrany w dzień wesela, wydał się stary, zniszczony, ale już samo to, że był stary, nie mówiąc już o jego rozmiarach i cennych meblach we wnętrzu, wskazywało na ważność i znaczenie rodziny. Rodzina Szaukatów była stara, szanowana, choć z dawnego bogactwa, zwłaszcza po podziale majątku i wydatkach na naukę, zostało jej tylko imię. Młodzi zajęli drugie piętro, a wdowa Szaukat ze starszym synem Ibrahimem przeniosła się na pierwsze, jako że trudno jej było chodzić po schodach. Trzecie piętro zostało nie zamieszkane, nie byli w stanie go wykorzystać.

Weszli do domu Aiszy i Kamal miał ochotę zachować się tak, jak u siebie, czyli popędzić na piętro i zrobić siostrze niespodziankę, ale matka trzymała go za rękę, mimo że się wyrывał, a służąca zaprowadziła ich do pokoju gościnnego i zostawiła samych. Traktowano ich jak obcych, jak gości. Siedział smutny i załamany, pytając z niepokojem: „Co się dzieje z Aiszą, gdzie ona jest? Dlaczego tu siedzimy?” Ale słyszał tylko „cii” i ostrzeżenia, że jak nie będzie cicho, to więcej go ze sobą nie zabrają. Nie trwało to długo. Do pokoju wbiegła Aisza z twarzą rozpromienioną i uśmiechniętą, w jaskrawym stroju i wyzywającym makijażu. Rzucił się jej na szyję i nie puścił nawet, kiedy witała się z matką i siostrą. Wyglądała na szczęśliwą i zadowoloną z siebie, z nowego życia i z odwiedzin rodziny. Opowiedziała im o wizycie ojca, Jasina i Fahmiego, o tym, jak bardzo tęskniła za nimi, do tego stopnia, że przezwyciężyła strach przed ojcem i poprosiła, żeby im pozwolił ją odwiedzić. „Sama nie wiem, w jaki sposób moje usta zgodziły się przemówić”, powiedziała. „Może dlatego, że As-Sajjid wyglądał zupełnie inaczej, był miły, sympatyczny i uśmiechnięty, tak, na Boga, uśmiechnięty. To mnie ośmieliło. Ale wahałam się długo mimo to, bałam się, że nagle się zmieni i zacznie na mnie krzyczeć. Poleciałam się Bogu i powiedziałam. A on odpowiedział krótko: «Jeśli Bóg pozwoli.» A potem jeszcze szybko dodał ostrzegawczym tonem: «Tylko nie myśl, że to zabawa, wszystko ma swoją cenę.» Serce mi biło i zaczęłam go prosić, długo przymilając się i dziękując.” A potem opowiedziała im, jak to było, kiedy jej oznajmiono, że „szanowny starszy pan” jest w pokoju gościnnym. „Najpierw pobiegłam do łazienki, żeby zmyć wszelkie ślady pudru i przebrać się. Aż Si Chalil pytał mnie, po co to wszystko robię, a ja odpowiedziałam: «Zrozum, przecież nie mogę go przyjąć w letniej sukience z krótkim rękawem.» I owinęłam się kaszmirowym szalem. A kiedy dowiedziała się o tym mama, to znaczy nowa mama – Aisza roześmiała się – kiedy Si Chalil opowiedział jej o wszysfikim, zaczęła się śmiać i powiedziała: «Bardzo dobrze znam As-Sajjida Ahmada. Z nim tak trzeba

postępować albo nawet jeszcze ostrożniej, ale ty, Szuiszu, już nie należysz do rodziny Abd al-Dżawwada. Ty teraz jesteś z Szaukatów i niech cię inni nie obchodzą.»

Wygląd Aiszy i jej sposób mówienia wprawiały ich w zdumienie i zachwyt. Kamal wpatrywał się w nią tak jak na weselu i zapytał:

– Dlaczego nie byłaś taka w naszym domu?

– Bo wtedy nie byłam z Szaukatów – odpowiedziała natychmiast.

Nawet Chadidża patrzyła na nią z miłością. Wraz z zamążpójściem Aiszy ustały kłótnie, które wybuchały między nimi z byle powodu.

Z gniewu, jaki ją ogarnął na wiadomość o zgodzie na małżeństwo siostry, pozostał jedynie blady ślad. Wszystko zwałała na swój los, w sercu miała już tylko miłość i tęsknotę. Jakże jej brakowało siostry, ileż razy marzyła, żeby mieć koło siebie przyjazną duszę.

Aisza opowiadała im o nowym domu, o maszrabijji, która wychodzi na Bramę Al-Mutawallego, na pobliskie minarety strzelające w niebo, nie kończący się strumień przechodniów. Wszystkie budowle i przechodnie przypominały jej stary dom, różnica była tylko w nazwach i nieważnych szczegółach. „A jeśli chodzi o wielką Bramę, to koło was podobnej nie ma – mówiła – ale *mahmal* pod nią i tak nie przejdzie, tak powiedział mi Si Chalil. Bezpośrednio pod maszrabijją, nierozłączni od rana aż do nocy, siedzą kulawy żebrak, sprzedawca trepów i wróżący z piasku. To moi nowi sąsiedzi. Największym powodzeniem cieszy się wróżbita. Nie macie pojęcia, jakie tłumy kobiet i mężczyzn siedzą w kucki przed nim, żeby im powróżył. Szkoda, że *maszrabijja* nie jest niżej i nie mogę posłuchać, co im mówi. Ale najciekawszy jest widok starych pojazdów na ulicy Al-Ahmar, kiedy się spotkają na przykład wóz z kamieniami jadący z Al-Ghurijji i powóz z drugiej strony, a Brama jest za wąska. Wtedy woźnice wyskakują i grożą sobie, bo żaden nie chce zwolnić drogi. Zaczynają łagodnie, słowo za słowo, potem coraz ostrzej i wulgarniej, a potem już lecą przekleństwa i grubiaństwa. A tymczasem nadjeżdżają wozy karo i ręczne wózki, na ulicy robi się coraz ciasniej i nikt już nie może się ruszyć, nie wiadomo, jak zawrócić. A ja stoję za okiennicami i pękając ze śmiechu przyglądam się tym obrazkom. A podwórze naszego domu jest zupełnie podobne do waszego podwórza. Kuchnia, spiżarnia, teściowa, która jest panią na podwórzu, czarna służąca Suwajdan... Dla mnie nie ma żadnej roboty. Tylko wspomnę słowo «kuchnia», natychmiast przynoszą mi tacę z jedzeniem.” Chadidża nie wytrzymała: „Masz wreszcie to, o czym marzyłaś”, powiedziała ze śmiechem. Dla Kamala nie było niczego interesującego w tej rozmowie, ale z ogólnego tonu wyczuł, że Aisza na dobre urządziła się w tym nowym domu.

– To już do nas nie wrócisz? – przerwał jej z niepokojem.

– Nie wróci do was nigdy, panie Kamalu – rozległ się czyjś śmiejący się głos.

Chalil Szaukat wszedł do pokoju w białej jedwabnej gallabijji. Miał bladą, pełną twarz, grube wargi, niskie czoło i błyskał białkami wylupiastych oczu. Gęste, czarne włosy na dużej głowie, uczesane z przedziałką, przypominały fryzurę As-Sajjida. Dobre i może trochę bezmyślne, a trochę obojętne spojrzenie świadczyło o zadowoleniu z życia, bezczynności i beztrosce. Schylił się do ręki matki, żeby ją pocałować, ale ona zabrała ją szybko, ze wstydem mamrocząc podziękowanie, potem pozdrowił Chadidżę i Kamala i usiadł obok, jak potem mówił Kamal, zupełnie jakby należał do ich rodziny. Chłopiec wykorzystał okazję, że Chalil

zajął się rozmową i przyglądał się długo jego twarzy, tej obcej twarzy, która pojawiła się na oceanie ich życia, żeby zająć znaczące miejsce, nieodłącznie u boku Aiszy. I zawsze, kiedy myślał o niej, musiał myśleć o nim, przyciągał go tak, jak biel przyciąga czerń. Długo mu się przypatrywał, powtarzając w duchu jego słowa wypowiedziane z taką pewnością: „Nie wróci do was nigdy, panie Kamalu”, i ogarniała go coraz większa niechęć, złość i zazdrość w stosunku do tego człowieka, która wypełniłaby do reszty jego serce, gdyby Chalil nie wstał nagle i de wyszedł, po czym po chwili powrócił ze srebrną tacą pełną różnych słodczy. Podał mu je z uśmiechem, pokazując dwa zęby zachodzące na siebie. Zaraz potem weszła wdowa Szaukat, opierając się na ramieniu mężczyzny, a z podobieństwa do Chalila wywnioskowali, że to jego starszy brat, co wdowa potwierdziła przedstawiając go: „To mój syn, Ibrahim, nie znacie go jeszcze?” A kiedy zauważyła zmieszanie Chadidży i Aminy z powodu takiego powitania, dodała z uśmiechem: „Jesteśmy jak jedna rodzina już od dawna, a niektórzy z nas widzą się po raz pierwszy. Ale nie szkodzi.” Amina uśmiechnęła się odgadując, że kobieta chce ją ośmielić i zbagatelizować sprawę, ale pomyślała sobie: „Ciekawe, czy As-Sajjid zgodziłby się na nasze spotkanie bez zasłon z tym mężczyzną, nawet jeżeli uważa się go za członka rodziny na równi z Chalilem.” Ma mu powiedzieć o tym spotkaniu, czy zapomnieć o nim dla świętego spokoju?

Ibrahim i Chalil wyglądali jak bliźniacy mimo dużej różnicy wieku. Gdyby nie to, że Ibrahim miał krótkie włosy i podkreślony wąs, nie można by ich było rozróżnić. A przecież miał już czterdzieści lat. Wyglądał młodo i Amina przypomniała sobie, że As-Sajjid kiedyś powiedział o nieboszczyku Szaukacie, że wyglądał o dwadzieścia albo i więcej lat młodszy niż był w rzeczywistości i że mimo dobroci i szlachetnego pochodzenia przypominał bezmyślne bydlę.

Wygląd Ibrahima dziwił tym bardziej, że w młodości spotkało go wiele ciężkich przeżyć. Był żonaty, miał dwoje dzieci, ale zarówno żona, jak i dzieci zmarły, a on wyszedł z tych okrutnych doświadczeń zdrowy i nietknięty. Po jakimś czasie przyzwyczał się do życia z matką i spędzał dnie beczynnym i apatycznie, jak cała rodzina Szaukatów. Chadidża ukradkiem spoglądała na tych zadziwiająco podobnych do siebie mężczyzn, na ich pełne, blade twarze, wylupiaste oczy, dorodne, tęgie sylwetki, jakąś niemrawość i ociężałość. Śmiała się z tego w duchu, gromadziła w pamięci obrazy, które pewnego dnia przedstawi przy popołudniowej kawie, i jak to jest w jej zwyczaju, wyśmiej i wydrwi. Obmyślała już przezwiska, jakimi obdarzała swoje ofiary, opisujące ich wady. Najgorsze wybrała dla ich matki, którą nazwała „karabinem maszynowym” dlatego, że pluła, kiedy mówiła. Raz, ukradkiem, spojrzała na Ibrahima i spotkała jego wzrok. Przyglądał się jej tymi wielkimi oczami spod gęstych brwi z zainteresowaniem. Zawstydzona spuściła wzrok. Co też sobie o niej pomyślał? Bardziej jednak niepokoiła się o swój wygląd. Czy będzie wyśmiewał się z jej nosa, tale jak ona z jego tuszy i flegmatycznego sposobu bycia?

Kamal nudził się w pokoju gościnnym, mimo że dostał słodczy. Właściwie żadne z jego pragnień, poza słodczami, nie zostało zrealizowane. Usiadł koło Aiszy i w pewnym momencie dal jej znak ręką; zrozumiała, że chce wyjść. Podniosła się i wyprowadziła go z pokoju. Myślała, że chce posiedzieć w salonie, ale on pociągnął ją w stronę sypialni i zatrzasnął głośno drzwi. Oczy mu błyszczały z podniecenia. Patrzył na nią długo, a potem

zaczął oglądać pokój. Myszkował po wszystkich kątach, wdychał zapach nowych mebli pomieszany z ładnym zapachem perfum pozostałym po ludziach, którzy tu bywają. Spojrzał na wygodne łoże, na dwa czerwone jaśki leżące koło siebie na poduszkach i zapytał:

– Co to jest?

– Dwie małe poduszcзки – odparła.

– Śpisz na nich?

– Ależ nie, one są dla ozdoby.

– A gdzie ty śpisz?

– Wewnątrz – odparła.

– A pan Chalil? – spytał będąc pewnym, że śpi razem z nią.

– Na zewnątrz – odpowiedziała, szcypiąc go delikatnie w policzek.

Ze zdziwieniem spojrzął na szezlong, podbiegł do niego, usiadł i poprosił, żeby usiadła obok. Wkrótce zobaczył w wyobraźni obraz, który widział przez dziurkę od klucza w noc wesela i o którym powiedział w sekrecie matce. Spuścił wzrok, żeby nie zdradzić podejrzliwego spojrzenia, tym bardziej że matka wtedy tak ostro zareagowała. Opanowała go chęć wyjawienia jej sekretu, korciło go, żeby zapytać, co robiła z Chalilem, ale zawstydził się. Podniósł na nią czyste oczy i uśmiechnął się. Aisza także się uśmiechnęła i pocałowała go.

– Chodź, napełnij sobie kieszenie czekoladą – powiedziała wstając.

Na uliczce Bajna al-Kasrajni rozległy się krzyki chłopców zgromadzonych przed drzwiami domu As-Sajjida i na chodniku. Wyróżniał się wśród nich głos Kamala, który krzychał: „Przyjechał samochód panny młodej.” Jasin, wspaniale przyodziany, wysunął się z grupy stojącej przy wejściu na podwórze, wyszedł na ulicę i stanął przed domem, kierując wzrok w stronę An-Nahhasina. Orszak panny młodej zbliżał się powoli i dostojnie. W tej chwili wypełnionej szczęściem i strachem, mimo oczu wpatrzonych w niego, w domu i na ulicy, oglądających go od góry do dołu, wyglądał na spokojnego i opanowanego, pewnego swojej męskości i wspaniałej postawy. Na pewno pomagało mu w tym uczucie, że znajduje się w centrum zainteresowania i nie może sobie pozwolić na żadne skrzepowanie ani zdenerwowanie, a także świadomość, że ojciec stoi z tyłu u wejścia na podwórze, pośród oczekujących mężczyzn z obu rodzin, i nie może go stamtąd widzieć. Patrzył na samochód udekorowany kwiatami, który wiozł mu narzeczoną, raczej żonę już od ponad miesiąca, chociaż dotychczas jej nie widział.

Samochód zatrzymał się przed domem na czele długiego szeregu pojazdów, a Jasin czekał gotowy do tego szczęśliwego spotkania, walcząc z chęcią odstąpienia jedwabnej zasłony, żeby po raz pierwszy zobaczyć wreszcie twarz swojej narzeczonej. Otworzyły się drzwi samochodu i wysiadła czarna służąca w wieku czterdziestu lat, dobrze zbudowana, o wielkich, pięknych oczach i błyszczącej skórze. Jej pewne ruchy wskazywały na to, że postanowiła służyć pannie młodej także w nowym domu. Odeszła na bok, stanęła wyprostowana jak strażnik i odezwała się głosem jak dzwon, pokazując w uśmiechu oślepiająco białe zęby:

– Proszę, weź narzeczoną...

Jasin podszedł do samochodu i zajrzał do środka. Panna młoda w białym stroju siedziała pomiędzy dwoma damami. Przywitał go oszałamiający zapach perfum. Wyciągnął do niej

rękę prawie nic nie widząc, jakby oślepiiony światłem. Panna młoda, zawstydzona, nie mogła zrobić ruchu, więc kobieta siedząca z prawej strony wzięła jej rękę i podała mu, mówiąc ze śmiechem:

– Odwagi, Zajnab.

Weszli do domu. Narzeczone, skępowana, wachlowała się wielkim wachlarzem ze strusich piór, który zakrywał jej głowę i szyję. Przeszli przez podwórze między rzędami oczekujących, a za nimi podążyły zaproszone kobiety z jej rodziny, które wydawały głośne *zagharid*, jakby nie zauważając As-Sajjida Ahmada, który stał obok. Po raz pierwszy w tym milczącym domu usłyszano *zagharid* i to w obecności jego pana – tyrana. Rodzina była radośnie zdumiona. Prawdę mówiąc, była to trochę złośliwa radość, jako że As-Sajjid wydał surowy zakaz wszelkich *zagharid*, pieśni i zabawy i nakazał spędzenie weselnej nocy pierworodnego syna jak każdej innej nocy. Amina, Chadidża i Aisza patrzyły na siebie z uśmiechem, przykucnąwszy za okiennicami okien wychodzących na podwórze. Chciały zobaczyć, jak reaguje As-Sajjid na *zagharid*, ale on, roześmiany, rozmawiał z As-Sajjidem Muhammadem Iffatem. „Dziś w nocy będzie musiał się śmiać, nawet jeśli mu się nie będzie chciało”, pomyślały. Umm Hanafi skorzystała z okazji, wtoczyła się jak beczka między kobiety i wydała mocne, dźwięczne *zagharid*, które zagłuszyło wszystkie inne, rekompensując sobie w ten sposób te okazje, które straciła, sterroryzowana, na zaręczynach Aiszy i na zaręczynach Jasina. Potem podeszła do swoich trzech pań, cały czas wydając *zagharid*, a one pękały ze śmiechu. „Róbcie to samo – powiedziała – nigdy się nie dowie, kto tej nocy najwięcej krzyczał.”

Jasin odprowadził narzeczoną do drzwi części domu przeznaczonej dla kobiet i wrócił na podwórze. Fahmi stał, uśmiechając się z zakłopotaniem i lękiem wywołanymi zabronionym hałasem i radosną wrzawą. Ukradkiem spoglądał na ojca i śmiejąc się skomentował Jasinowi jego zachowanie.

– A co, niezadowolony jest, że wesele obchodzimy radośnie i głośno – odpowiedział Jasin. – Nic by mu się nie stało, gdyby zgodził się zaprosić śpiewaczkę lub śpiewaka.

Rodzina bardzo tego pragnęła i Jasin prosił o wstawiennictwo As-Sajjida Muhammada Iffata, ale As-Sajjid przeprosił i odmówił stanowczo, nakazując, żeby wesele było ciche i ograniczyło się tylko do wystawnej kolacji.

– Nie będę miał tej nocy wiwatującego orszaku. Wejść do pokoju narzeczonej nie odprowadzany pieśniami i tamburynem, jak tancerz podrygujący bez rytmu. Nasz ojciec toleruje śpiewaczki, ale tylko w ich własnych domach.

Kamal posiedział z godzinkę na najwyższym piętrze przygotowanym dla kobiet, a potem zszedł na dół szukając Jasina. Jasin był na podwórzu i oglądał przenośną kuchnię, którą zainstalował kucharz. Kamal podbiegł do niego zadowolony, dając do zrozumienia, że wypełnił misję, którą mu brat zlecił.

– Zrobiłem, tak jak kazałeś, poszedłem za panną młodą do jej pokoju i obejrzałem jej twarz, jak zdjęła zasłonę.

– No i co, jak wygląda?

– Jak Chadidża.

– No to nieźle – roześmiał się Jasin. – A podobała ci się jak Aisza?

- Nie, skąd, Aisza jest dużo ładniejsza.
- A niech cię diabli, chcesz powiedzieć, że jest taka, jak Chadidża?
- Nie, jest ładniejsza od Chadidży.
- Dużo?

Kręcił głową namyślając się, co powiedzieć.

- Powiedz, co ci się w niej podobało?
- Ma mały nos, jak mama... i oczy też jak mama...
- I co jeszcze?
- Ma białą cerę, czarne włosy i bardzo ładnie pachnie.
- Chwała Bogu, niech cię Bóg wynagrodzi za dobrą wiadomość.

Wydawało się, że chłopiec chce coś jeszcze powiedzieć.

- No, dalej, nie bój się – zachęcił go Jasin trochę niespokojny.
- Widziałem, jak wyciągnęła chusteczkę i wysmarkała nos – powiedział krzywiąc usta z obrzydzeniem. Nie pasowało mu to do obrazu panny młodej.

Jasin wybuchnął śmiechem.

- Jak dotąd nieźle, uchwaj Boże przed gorszymi sprawami.

Ze smutkiem spojrzął na puste podwórze, na którym był tylko kucharz z pomocnikiem i kilkoro dzieci. Wyobraził sobie, jak powinno ono wyglądać, jakie powinny być dekoracje, baldachy dla śpiewaków, jakie tłumy gości. Kto tego wszystkiego zakazał? Ojciec! Ten, który sam pławi się w rozpuście, birbant i hulaka. Zadziwiający, że taki człowiek pozwala sobie na rozrywki zakazane, a zabrania rodzinie rozrywek legalnych. Przypomniał sobie As-Sajjida w pokoju Zubajdy z kielichem i lutnią i naraz przyszła mu do głowy dziwna myśl. Z całą jasnością zdał sobie sprawę z podobieństwa natury ojca do natury matki. Te same namiętności, pogoń za rozkoszą, cynizm i nieprzykładanie żadnej wagi do tradycji. Kto wie, czy gdyby jego matka była mężczyzną, mniej niż ojciec używałaby życia na pijaństwach i zabawach. Dlatego tak szybko zerwali ze sobą. Taki jak on nie mógł znieść takiej jak ona, a taka jak ona nie wytrzymała z takim jak on. Co więcej, jego życie małżeńskie nie ustabilizowałyby się, gdyby nie trafił na żonę taką, jaką ma teraz. Ta dziwna refleksja nawet Jasina rozbawiła i roześmiała się. „Teraz wiem, kim jestem, nieodrodny syn tych dwojga rozpustników. Nie mogę być kimś innym, niż jestem.” Czy więc nie zrobił błędu, nie zapraszając matki na wesele? Pomyślał tak, choć właściwie uważał, że postąpił rozsądnie. Może ojciec chciał uspokoić własne sumienie, podsuwając mu tę myśl na kilka dni przed weselem. Chyba tak tylko mówił. Nie wyobrażał sobie, żeby ojciec pozwolił mu iść do domu tego podłego człowieka, którego matka wzięła na kolejnego męża, i na jego oczach prosić ją, żeby raczyła przyjść na wesele. Mógłby zrezygnować nawet z wesela, żeby tylko nie kontaktować się więcej z tą kobietą. Ten skandal, te haniebne wspomnienia! Odpowiedział wtedy ojcu: „Gdybym naprawdę miał matkę, byłaby pierwszą osobą, którą bym zaprosił na swoje wesele.”

Naraz zauważył, że dzieciaki przyglądają mu się i szepczą coś do siebie. „Pewno byście chciały już wyjść za mąż, co?”, krzyknął ze śmiechem do dziewczynek. Spojrzął w stronę pomieszczeń dla kobiet i zabrzmiały mu w uszach wczorajsze, ironiczne słowa Chadidży: „Pamiętaj, że jutro wśród gości nie możesz być zawstydzony i zmieszany, bo zaraz: odkryją



gorzką prawdę, że to ojciec cię ożenił, zapłacił za twój posag,, pokrył wszystkie wydatki na wesele. Ruszaj się bez przerwy, krąż między pokojami dla gości, z tym się pośmiej, z tamtym pogadaj, chodź po piętach, zajrzyj do kuchni, krzycz, poganiaj, to może ludzie uwierzą, że to ty jesteś prawdziwym panem i władcą.” Śmiał się z tych słów, ale się do nich zastosował. Z gracją obnosił między gośćmi swoje dorodne, długie ciało, atrakcyjny, urodziwy i młodzieńczy. Chodził tu i tam, na górę i na dół, właściwie nic nie robiąc, ale ruch zrzucił z niego dziwne i niespokojne myśli i przywrócił mu urok weselnej nocy. A kiedy pomyślał o narzeczonej, zwierzęce drżenie wstrząsnęło jego dałem i natychmiast przypomniał sobie ostatnią noc spędzoną u Zannuby. Było to miesiąc temu. Na pożegnanie zawiadomił ją, że się wkrótce żeni, a ona krzyknęła z udanym gniewem: „Ty sukinsynu, ukrywałeś to przede mną, dopóki nie osiągnąłeś celu. Łódź, która odpływa, jest gorsza od tej, która przy pływa.”

Po Zannubie i jej podobnych nie zostało śladu w jego duszy. Na tę stronę swego życia spuścił już zasłonę na zawsze. Być może nie przestanie pić, ale co do kobiet, to nie wyobraża sobie, żeby mógł strzelać oczami na prawo i lewo, skoro ma przy sobie piękną, gotową na każde skinienie, słodką, młodą żonę, która ukoji jego dzikie żądze. Zaczął wyobrażać sobie swoje przyszłe życie, dzisiejszą noc i nocę następną, miesiące i lata. Twarz jaśniała mu radością i szczęściem.

Fahmi pełnym ciekawości wzrokiem, ze spokojną, trochę smutną twarzą obserwował brata. Nadbiegł też Kamal, który włożył w każdy kąt, i krzyknął uszczęśliwiony:

– Kucharz powiedział, że słodczy jest aż za dużo, i że wiele zostanie.

Od kiedy przybyła Zajnab, popołudniowa kawa nabrała innego charakteru, odbywała się w blasku młodości, radości i szczęścia. Ten fakt oraz ustawienie mebli żony w trzech pokojach sąsiadujących z pokojem rodziców na najwyższym piętrze to były jedyne zmiany; poza nimi małżeństwo Jasina niczego nowego nie wniosło do ogólnego życia domu, zarówno od strony politycznej – rodzina pozostała całkowicie podporządkowana słowu i woli pana i władcy As-Sajjida – jak też od strony administracji wewnętrznej, która tak jak przedtem całkowicie była domeną matki. Istotne zmiany, nieoczekiwane, zaszły w umysłach i sercach. Mieszkali w tym samym domu: Zajnab ważna jako żona najstarszego syna i reszta rodziny, i taka sytuacja nie mogła nie wpłynąć na ich odczucia i stan ducha. Musieli się przystosować do nowego życia. Matka patrzyła na synową z ostrożną nadzieją, była to wszak dziewczyna, której przeznaczone było dzielić z nią długie lata, może całe życie? jakim jest człowiekiem? Co ukrywa jej słodki uśmiech? Ogólnie biorąc przyjęła ją tak, jak się przyjmuje nowego pana domu, ostrożnie, wstrzemięźliwie, ale z nadzieją. Natomiast Chadidża, mimo że wymieniały między sobą życzyliwosci i były dla siebie miłe, patrzyła na nią przenikliwym wzrokiem z wrodzoną podejrzliwością i drwiną, wyszukując wady i słabości. To, że tamtej udało się wyjść za mąż, wpędzało ją w stan skrywanej depresji. Kiedy przez pierwsze dni małżeństwa Zajnab nie wychodziła ze swoich pokojów, Chadidża zauważyła w rozmowie z matką w kuchni: „Ciekawe, czy kuchnia okaże się miejscem nieodpowiednim dla niej?” Matka zrozumiała, że Chadidża musi sobie ulżyć, ale wzięła dziewczynę w obronę. „Bądź cierpliwa – powiedziała – ona jest jeszcze panną młodą, nowe życie dopiero się dla niej zaczyna.” „A kto powiedział, że mamy być służącymi państwa młodych”, odparła Chadidża. „Wolałabyś, żeby prowadziła własną kuchnię?” „Gdyby to były pieniądze jej ojca, a nie naszego, tak by wypadało – krzyknęła Chadidża – ale mnie chodzi o to, że ona powinna z nami pracować.”

Mimo to, kiedy po tygodniu Zajnab postanowiła podjąć się pewnych obowiązków w kuchni, Chadidża także nie była zadowolona. Obserwowała pracę dziewczyny uważnie, krytycznym okiem, robiąc uwagi do matki: „Ona wcale nie przyszła po to, żeby ci pomóc, ale żeby egzekwować swoje prawa, które, zresztą, jej się należą” albo „Tyle się nasłuchaliśmy, że ci Iffatowie to taka elitarna rodzina, że jedzą co innego niż wszyscy, a zauważyłaś w jej potrawach coś oryginalnego, coś, czego byśmy nie znali?”

Pewnego dnia Zajnab zaproponowała, że zrobi potrawę czerkieską, ulubione danie jej ojca. Po raz pierwszy w domu As-Sajjida podano takie danie i zyskało ono ogólny aplauz. Zwłaszcza smakowało Jasinowi, a i matka poczuła igiełkę zazdrości. Natomiast Chadidża dostała szału i nie przestawała naśmiewać się z tej czerkieskiej potrawy. „Tyle było gadania: czerkieskie danie, czerkieskie danie, a tu co widzimy: ryż w sosie, a reszta to polityka, czyli ni to, ni owo. To tak jak z: panną młodą, która przychodzi do pana młodego w błyszczących szatach,, a jak zdejmie ślubny strój, okazuje się najzwyczajszą dziewczyną z krwi i kości.” A kiedyś, już ze dwa tygodnie po ślubie, powiedziała głośno, tak żeby ją słyszeli matka, Fahmi i

Kamal: „Nawet jeżeli Zajnab ma białą skórę i jaką taką urodę, to nie ma za grosz polotu, zupełnie jak ta czerkieską potrawa.” Powiedziała to ze znaną wszystkim złośliwością, bo jednocześnie powtarzała sobie szczegóły przepisu na tę potrawę.. Mimo to utyskiwanie Chadidży odniosło pożądany skutek i podawało w wątpliwość dobre intencje Zajnab (czas na złe intencje jeszcze nie nadszedł), tym bardziej że przy każdej okazji przypominała wszystkim swoje tureckie pochodzenie. Sprawiało jej przyjemność opowiadać im to, co widziała podczas wypraw powozem w towarzystwie ojca do miejsc niewinnych rozrywek i parków. Matkę opowieści te doprowadzały do stanu zdumienia graniczącego z trwogą. Pierwszy raz słyszała o takim życiu, nie uznawała go i odrzucała tę dziwną wolność. Nie miała szacunku dla takiego prowadzenia się, chwalenie się zaś tureckim pochodzeniem, nawet jeżeli wyrażone było w sposób niewinny i kulturalny, drażniło ją, ponieważ mimo pokory i dyskrecji niezwykle szanowała i była dumna ze swojego ojca i męża i uważała, że Zajnab nie dorównuje im pozycją. Nie okazała jednak po sobie tego, co myśli, i słuchała synowej z zainteresowaniem i sztuczną uprzejmością. Natomiast gdyby nie ogromna czujność matki, Chadidża wybuchałaby gniewem raz po raz i rezultat nietrudno było przewidzieć.

Chadidża wylewała swój gniew nie wprost. Na przykład komentarze na temat wycieczek Zajnab byłyby nie do przyjęcia, nie ośmieliłaby się wyrazić na ten temat swojego zdania, nie pozwoliłaby sobie nawet na przesadne zdumienie wyrażone w okrzykach: „Coś takiego!” Albo uderzanie się w pierś i pytanie z niedowierzaniem: „Chodziłaś po parku? Naprawdę? Przecież przechodnie cię widzieli!” Albo: „Nie wyobrażam sobie, żeby to było możliwe!” Ale nawet jeżeli jej słowa nie wyrażały dezaprobaty, to ich ton, niezwykle teatralny, był znacznie bardziej znaczący niż udany ton groźby, jaki przybierał np. ojciec, kiedy recytując Koran zauważył, że syn robi coś niepożądanego, a nie chciał przerwać modlitwy i krzyżeć na niego. Za to jak tylko zostawała sama z Jasinem, używała sobie mówiąc na przykład: „No, no, ale masz spacerującą żonę.” A on odpowiadał: „To taka turecka moda, której nie zrozumiesz.” To z kolei przypominało jej dumę Zajnab z tureckiego pochodzenia. „A właśnie, właśnie, pani domu chwali się często tureckim pochodzeniem, dlaczego?” „Dlatego, że prapradziad jej dziada był Turkiem.” „Uważaj bracie, Turczynki często źle kończą, popadają w szaleństwo.” „Wolę szaleństwo Turczynek niż twarz, której nos przywodzi do szaleństwa człowieka z poczuciem estetyki.” Kłótnia między Chadidżą i Zajnab wisiała na włosku. Fahmi zwracał siostrze uwagę, żeby trzymała język za zębami, bo źle się stanie, jeżeli to, co mówi, dotrze do dziewczyny. I wskazywał ostrzegawczo na Kamalę, który wytrwale krążył między panną młodą a rodziną, jak motyl roznoszący między kwiatami pyłek.

Ale zanim doszło do incydentu, los przyniósł rozejm rodzinie, bo ni stąd, ni zowąd wdowa Szaukat z Aiszą złożyły im wizytę, o jakiej nikt nie marzył.

– Pani Amino – powiedziała bez wstępów wdowa – przyszedłam, żeby zaręczyć Chadidżę z moim synem Ibrahimem.

Szczęście, tak długo oczekiwane, przyszło nagle i matce słowa te zabrzmiały w uszach niezwykle radośnie.

– Chadidża jest dla ciebie tym, kim dla mnie – powiedziała – córką. Pod twoją opieką znajdzie więcej szczęścia niż w domu ojca.

Radosna rozmowa toczyła się długo, ale zastygła w zdumieniu Chadidża w niej nie uczestniczyła. Spuściła oczy ze wstydem i zmieszaniem, kpina, zawsze błyszcząca w jej oczach, gdzieś zniknęła. Ogarnęła ją niezwykła łagodność i tkliwość, poddała się rozmyślaniom. Spotkało ją coś nadzwyczajnego, w co nie mogła uwierzyć. „Chcę zaręczyć Chadidżę z moim synem Ibrahimem.” Co mu się stało? Mimo ociążałości, z której tak kpiła, jest przecież przystojny. „I tak się szczęśliwie składa, że obie siostry będą mieszkały w jednym domu.”

Głos wdowy Szaukat potwierdzał prawdziwość tego, co usłyszała. Nie było wątpliwości. Ibrahim, jeśli chodzi o majątek i pozycję, nie ustępował Chalilowi. Jakim szczęściem obdarował ją los! Tak jej było smutno, że Aisza pierwsza wyszła za mąż, nie przypuszczała, że małżeństwo Aiszy otworzy zamknięte dotąd dla niej drzwi do szczęścia.

– Wspaniale, że szwagierką będzie siostra, zniknie podstawowy powód kłótni rodzinnych – roześmiała się wdowa Szaukat – zostanie tylko teściowa, ale z tym jakoś sobie poradzimy.

– Jeżeli szwagierka jest siostrą, to teściowa matką, jak dwa razy dwa to cztery.

Matki ciągle rozmawiały wymieniając uprzejmości. Chadidża pokochała starą kobietę, która przyniosła jej dobrą nowinę, tak mocno, jak ją zniecierliwiała wtedy, kiedy przyszła prosić o rękę Aiszy. Musi opowiedzieć wszystko Mariam i to dzisiaj, nie może odkładać do jutra. Sama nie wiedziała, dlaczego ogarnęła ją tak przemożna chęć podzielenia się nowiną z Mariam. Może dlatego, że w przeddzień zaręczyn Aiszy Mariam powiedziała: „Co by im się stało, gdyby poczekali z tymi zaręczynami, aż ty się zaręczysz?” Stwierdzenie było niewinne, ale ona z wrodzoną podejrzliwością oskarżała Mariam o złośliwość.

Po odjeździe pań Szaukat, Jasin odezwał się prowokująco:

– Jak tylko zobaczyłem pierwszy raz Ibrahima Szaukata, od razu pomyślałem, że ten byk, który, jak się zdaje, nie odróżnia czarnego od białego, byłby najlepszym mężem dla Chadidży.

Chadidża uśmiechnęła się i nie powiedziała słowa.

– Co? Wreszcie nauczyłaś się kultury i skromności – krzyknął Jasin zdumiony.

Ale słowa Jasina nie popszyły nastroju, on sam też był radosny i twarz mu się śmiała. Dopiero pytanie Kamala nieco ich zasmuciło.

– To Chadidża też nas opuści?

– As-Sukkarijja jest niedaleko – pocieszyła go matka.

Ale Kamal był markotny i nie mógł tego wyrazić przy wszystkich. Dopiero kiedy został sam z matką, wieczorem, usiadł naprzeciwko niej na kanapie i zapytał tonem protestu i wyrzutu:

– Co ty wyprawiasz, mamó? Chcesz stracić Chadidżę, tak jak straciłaś Aiszę?

Matka tłumaczyła mu, że wcale ich nie straciła, że cieszy się ich szczęściem, ale Kamal nie słuchał.

– Ona także odejdzie – powiedział jakby ostrzegając ją, żeby drugi raz nie popełniła tego samego błędu – może myślisz, że wróci, tak jak myślałaś, że wróci Aisza? Nigdy nie wróci. Odwiedzi cię, tak jak tamta cię odwiedziła, jak gość, żeby wypić kawę i powiedzieć dzień dobry. Zobaczysz, ona na pewno nie wróci. Zostaniesz sama, bez nikogo. Kto ci pomoże

sprzątać, trzepać? Kto ci pomoże piec? Kto będzie siedział z tobą wieczorem i cię rozśmieszał? Tylko Umm Hanafi, która będzie mogła spokojnie ukraść wszystko ze spiżarni.

Matka znowu zaczęła mu tłumaczyć, że to wszystko dla szczęścia dziewcząt, a za szczęście trzeba płacić.

– A skąd wiesz, że małżeństwo to takie szczęście? Zapewniam cię, że w małżeństwie w ogóle go nie ma. Jak może być ktoś szczęśliwy z daleka od swojej mamy? A poza tym ona wcale nie pragnie wyjść za mąż, tak samo jak Aisza nie chciała. Powiedziała mi to wtedy wieczorem na łóżku.

Tak naprawdę to powiedziała wtedy zupełnie co innego, że każda dziewczyna musi wyjść za mąż, nie mógł jednak tego znieść i teraz krzyczał:

– Kto powiedział, że dziewczyna musi odejść do domu obcych ludzi? A co zrobisz, jak ją ten drugi posadzi na szeslongu i weźmie za podbródek?

Matka zezłościła się i zabroniła mu o tym mówić.

– Dobrze, rób, jak chcesz... Jeszcze zobaczysz! – krzyknął uderzając pięścią o pięść.

Tego wieczoru do uszczęśliwionej Aminy sen nie przychodził, tak jak księżycową nocą nie nastają ciemności. Po północy wrócił As-Sajjid i natychmiast przekazała mu nowinę. Ucieszył się tak, że wytrzeźwiał, ale zaraz potem przysłała mu do głowy niepokojąca myśl.

– Czy Ibrahim miał okazję ją widzieć?

„Czy to możliwe, żeby jego radość, tak rzadka, trwała tylko pół minuty?“, zadawała sobie pytanie.

– Jego matka... – mamrotała.

Przerwał jej ostro.

– Pytam, czy Ibrahim miał okazję ją widzieć.

– Przyszedł raz do mieszkania Aiszy, kiedy tam byliśmy, a ja, uważając go za członka rodziny, nie widziałam w tym nic złego.

– I ja o tym nie wiedziałem!

I tak źle, i tak niedobrze. Czyżby to jedno zdanie miało zniszczyć przyszłość dziewczyny? Oczy jej napełniły się łzami i sama nie wiedziała, kiedy odezwała się nie zważając na jego gniew:

– Panie mój, życie Chadidży jest w twoich rękach. Oby szczęście uśmiechnęło się do niej raz jeszcze.

Patrzył na nią złym okiem, chrząkał, mruzczał, postękiwał wyrażając swój gniew w sposób, w jaki robili to jego najdawniejsi przodkowie. Więcej się nie odezwał. Może od pierwszej chwili wiedział, że się zgodzi, ale nie chciał tego wyrazić, zanim nie okazał gniewu? Taka była jego polityka. W obronie własnych zasad atakował przeciwnika, nawet jeśli był przekonany, że uzna jego rację.

Mijał miesiąc miodowy, a Jasin był całkowicie pochłonięty życiem małżeńskim. Nie odrywała go od niego ani praca w ciągu dnia, ożenek odbył się bowiem w okresie letnich wakacji, ani chęć uczestniczenia w wieczornych libacjach. Z domu wychodził tylko w razie nagłej potrzeby, na przykład żeby kupić butelkę koniaku. Nic poza ogniskiem domowym go nie interesowało, w żadnym zajęciu nie widział większego sensu. Wśliznął się w to życie z całą energią, entuzjazmem i optymizmem godnym człowieka, który uważa, że oto zrealizował

wstępne punkty ogromnego programu rozrywek cielesnych, które będą trwać dnie, miesiące i lata. Jednak już pod koniec miesiąca zauważył, że z tym optymizmem trochę przesadził, a w jego życiu nagle zaczęło S:ię coś psuć; dlaczego, nie wiedział. Był zdezorientowany, bo po raz pierwszy, i to właśnie w tym nowym życiu, przytrafiła mu się choroba ludzkiej duszy – nuda. Nigdy przedtem jej nie zaznał, ani z Zannubą, ani z handlarką *dum*, bo też żadnej z nich nie posiadał tak jak teraz Zajnab, pod ręką na każde skinienie, pod swoim dachem. Jakże krucha okazuje się ta pewna, zabezpieczona własność. Z zewnątrz czarująca i nieskończenie kusząca, wewnątrz ciężka, poważna do granic obojętności, nawet wstrętu. Przypomina fałszywą czekoladę, którą dostaje się pierwszego kwietnia: wierzch słodki, a nadzienie z czosnku. To tragedia! Całe upojenie, wszystkie porywy serca i ciała niszczy machina zwyczaju, rozsądnej, zimnej organizacji, atmosfera powagi, powtarzanie bez końca tego samego, jak bezwiedne klepanie słów modlitwy. „Cóż za bunt mnie ogarnął?”, pytał sam siebie. „Na jakie ścieżki wiedzie mnie szatan? Skąd się wziął przesyt? Gdzie się podziało to oczarowanie, gdzie są sny, gdzie Zajnab, gdzie Jasin? Czy to tak wygląda małżeństwo? A może to moja wina? Co to będzie dalej, jak będą mijały następne dni, miesiące? Nie chodzi o to, że już jej nie pragnę. Owszem, ale nie jest to już pragnienie wygłodzonego. Zostało zaspokojone, podczas gdy ja oczekiwałem rozkwitu.” Natomiast dziewczyna nie tylko nie nasyciła się, ale jej namiętność wzrosła, co go zupełnie zdezorientowało. Na przykład gdy był już zmęczony i uważał, że należy iść spać, ona, niby od niechcenia, zarzucała nogę na jego nogę. „Dziwna sprawa, ale to jej zrealizowały się moje sny o małżeństwie”, myślał. Tymczasem wróciły obrazy, co do których był pewny, że pożegnał je już na zawsze. Znowu pojawiła się Zannuba i inne kobiety, jak różne zatopione przedmioty wypływają po burzy z dna morza. Pojawiły się nie dlatego, że wiązał z nimi jakieś plany – bo to prawda, że budował gniazdo małżeńskie z sercem szczerym i w najlepszych zamiarach – ale dla porównania, zastanowienia się i stwierdzenia, że małżeństwo to nie jest ten zaczarowany klucz do życia kobiety. Doprawdy, nie wie, jak być wiernym tym dobrym zamiarom, którymi usłał drogę małżeństwa. Przynajmniej jedna strona jego naiwnych marzeń jest trudna do zrealizowania, ta, że mają mu wystarczyć objęcia żony, że mają go one odsunąć od świata zewnętrznego, że ma sobie wymościć życie uczepony jej piersi. To był naiwny sen namiętności. Od teraz będzie już na zawsze wiedział, że oderwanie go od jego świata i zwyczajów jest bardzo trudne i co więcej niekonieczne. Wszak nawet sławny śpiewak potrafi znudzić słuchacza i wywołać w nim chęć znalezienia się w domu. Musi wyjść ze swojego więzienia, zobaczyć się z żonatymi przyjaciółmi, a być może uzyska od nich uspokajającą odpowiedź na bulwersujące pytania. Na pewno jednak nie znajdzie lekarstwa na wszystkie choroby. Nie będzie robił żadnych dalekosiężnych planów, los może z niego zakpić. Będzie sobie organizował życie powoli, krok po kroku i spokojnie. Zobaczymy, do jakiego brzegu przybije. A zacnie od zrealizowania propozycji żony, żeby wyszli gdzieś razem.

Tego wieczora rodzina dowiedziała się tylko, że Jasin z żoną wyszli zabawić się, ale nie powiedzieli, dokąd idą. Było to dziwne wydarzenie w domu As-Sajjida, zwłaszcza o tak późnej porze. Wywołało więc różne podejrzenia, a Chadidża wezwała służącą Zajnab, Nur, i zapytała wprost, co wie o wyjściu z domu swojej pani.

– Poszli, proszę pani, do Kiszki Beka – odparła z prostotą, dźwięcznym głosem.

– Do Kiszki Beka? – krzyknęły razem matka i Chadidza.

Znały to nazwisko, krążyło ono po wszystkich domach, a piosenki Kiszki Beka śpiewał kto żyw. Ale sam Kiszki wydawał im się daleki jak bohaterowie legend albo jak ten diabeł niebieski: zeppelin. To tak jakby usłyszały, że Jasin poszedł ze swoją żoną do kryminału. Matka patrzyła ze strachem to na Chadidzę, to na Fahmiego.

– A kiedy wróca? – spytała.

– Pewnie o północy, a może nad ranem – odparł Fahmi uśmiechając się głupawo.

Amina odprawiła służącą i poczekawszy, aż ucichną jej kroki, powiedziała:

– Co temu Jasinowi przyszło do głowy? Siedział tu z nami i mówił zupełnie rozsądnie. Czy on nie musi już tłumaczyć się przed ojcem?

– Jasin jest za mądry, żeby organizować takie wyprawy – powiedziała Chadidza. – Jego wada to nie brak rozumu, ale zbytnia uległość niegodna mężczyzny. Dam sobie rękę uciąć, że to ona go namówiła.

– Jasin zawsze lubił się bawić – odezwał się Fahmi, starając się rozładować napiętą atmosferę, chociaż wiedział dobrze, że rzeczywiście brat nie jest zbyt stanowczy.

Chadidzę doprowadziło to do jeszcze większej złości.

– To nie ma żadnego związku ze skłonnościami Jasina. Może sobie lubić rozrywki lub nie, to jego sprawa. Może nawet spędzać całe noce poza domem, jeśli tak mu się podoba, ale to, że wziął ze sobą do towarzystwa żonę, którą ma pod opieką, to nie był jego pomysł. Może miał chwilę słabości i nie mógł oprzeć się jej prośbie, zwłaszcza że ostatnio wydawał się potulny jak baranek. Ona, zresztą, wcale nie ukrywała takich zachcianek, sama opowiadała przecież o swoich wyprawach z ojcem. Gdyby nie nalegała, nie wzięłby jej do Kiszki Beka. Skandal! I to teraz, kiedy mężczyźni ze strachu przed Australijczykami kryją się po domach jak myszy.

Komentarz do tego wydarzenia nie pozostał bez echa, wywołał niezadowolenie zarówno tych, którzy byli nastawieni wrogo lub obojętnie do małżeństwa, jak i tych, co go bronili. Jedynie Kamal kontynuował w duchu gorącą dyskusję, nie rozumiejąc tajemnicy, która uczyniła z Kiszki Beka odrażającego zbrodniarza. Czyż małej figurki tego człowieka nie sprzedaje się na targu? Ma on strasznie śmieszną postać, roześmianą gębę z wielką brodą, nosi szeroką dzubbę i zwiniętą spiralnie imamę. To jemu przypisuje się śmieszne piosenki, z których kilka śpiewał z Fuadem, synem Dżamila al-Hamzawiego, pomocnika ojca. O jakie złe czyny oskarżają tę sympatyczną postać, która w jego wyobraźni związana była wyłącznie z żartami i radością? Może raczej ich smutek wiąże się z tym, że Jasin poszedł tam ze swoją żoną, a nie dotyczy samego Kiszki Beka. Jeśli tak, to mają rację. Pamięta przecież dobrze skutki wizyty matki w meczecie Al-Husajna. Jasin powinien pójść tam sam, albo, jeśli już chciał mieć towarzystwo, wziąć jego, zwłaszcza że są wakacje, nie mówiąc już o tym, że w szkole ma bardzo dobre stopnie. Sam nie wiedząc kiedy, odezwał się zamyślony:

– Nie lepiej było wziąć mnie?

Pytanie to wtargnęło w rozmowę jak obca, zapożyczona melodia w czyste, wschodnie dźwięki.

– Od dziś mamy prawo patrzeć na ciebie przez palce, bo brakuje ci rozumu.

– Syn gęsi pływa jak gęś... To jest, chciałem powiedzieć, brat gęsi – poprawił się Fahmi zawstydzony widząc, że Chadidża z matką spojrzały na niego złe i zdziwione.

Cała ta rozmowa pokazała, że Chadidża była po prostu uprzedzona do Zajnab, a matka bała się tego, co będzie potem. Tej nocy Amina odkryła rzeczy, które przedtem jakoś jej umykały. Ale nikomu swojego odkrycia nie wyjawiała. Tak, często była niezadowolona z Zajnab, ale nigdy jej niezadowolenie nie przechodziło w niechęć, a tym bardziej w nienawiść. Zachowanie Zajnab przypisywała dumie dziewczyny, czy miała do niej prawo, czy nie. Ale to, co dziewczyna zrobiła dzisiaj, dopuszczając się naruszenia tradycji i dobrych obyczajów, pozwalając sobie na to, na co w mniemaniu Aminy mogli sobie pozwolić tylko mężczyźni, potępiła zdecydowanie, jako kobieta, która całe życie spędziła zamknięta w murach domu, która zdrowiem i spokojem ducha przyplaciła wizytę u Ozdoby Rodu Proroka, a nie u jakiegoś Kiszki Beka. Jej milcząca krytyka nasycona była gniewem i goryczą.

Powtarzała sobie: „Albo tamta zostanie ukarana, albo życie nie ma sensu.” W ten sposób gniew i wrogość skalały zaraz w pierwszym miesiącu wspólnego życia jej czystość i bogobojność. Przyzwyczajona bowiem do ciężkiej pracy, powagi i surowości As-Sajjida, знаła tylko posłuszeństwo, przebaczenie i miłość.

Kiedy jednak poszła do swojego pokoju, nie była pewna, czy woli ukryć tę „zbrodnię”, czy powiedzieć o niej As-Sajjidowi, tak jak obiecała dzieciom, albo raczej, czy rzeczywiście chce, żeby żona Jasina dostała lekcję dobrego wychowania. Zachowywała się tak, jakby nic na świecie nie obchodziło jej bardziej niż obrona tradycji rodzinnych przed jakimikolwiek próbami ich pogwałcenia. Wobec dzieci okazała się zazdrosnym i okrutnym strażnikiem obyczaju. Głęboko pogrzebała swoje zwykłe, delikatne uczucia w imię uczciwości, wiary i czystości, którymi motywowała ucieczkę przed wyrzutami sumienia. Tak jak czasem odsłania się prawdziwe instynkty ukrywające się pod hasłami wolności i wyższych zasad moralnych.

Kiedy przyszedł As-Sajjid, była w bojowym nastroju, ale sam jego widok wywołał w niej strach i związał język. Śledziła to, co mówił, odpowiadała na pytania z bijącym sercem i rozchwianym umysłem nie wiedząc, jak wyrzucić z siebie to, co rozsadzało jej mózg. Zbliżała się pora udania się na spoczynek, a w niej rosło nerwowe pragnienie rozmowy. Wolałaby oczywiście, żeby prawda sama wyszła na jaw, żeby na przykład Jasin z żoną wrócili, zanim As-Sajjid zaśnie, albo, żeby obudził go hałas i żeby sam odkrył naganny postępek, a lekkomyślna młoda mężatka usłyszałaby, co on o tym myśli, bez mieszania się jej, matki.

Czekała i czekała, a As-Sajjid tymczasem zaczął ziewać.

– Zgaś lampę – powiedział słabym głosem.

Nie udało się i nagle język jej się rozwiązał. Odezwała się zdenerwowana, cicho, jakby mówiąc do siebie:

– Tak późno, a Jasin z żoną jeszcze nie wrócili.

As-Sajjid wytrzeszczył oczy i spytał zdziwiony:

– Z żoną? A gdzie poszli?

– Słyszałam, jak ich służąca mówiła, że poszli do Kiszki Beka.

– Kiszki?!?

Głos jego nabrał w złości wysokich tonów, a iskry posypały się z oczu błyszczących od alkoholu. Zasypywał ją pytaniami, wściekał się, grzmiał, odechciało mu się spać i gotując się



z gniewu postanowił poczekać na „zguby”. Gniew ten odbijał się oczywiście na niej, jakby to ona była wszystkiemu winna. Trzęsa się ze strachu, a potem zaczęła żałować tego, co zrobiła, właściwie żałowała już w momencie, kiedy wyjawiała tę tajemnicę. Wszystko by oddała, żeby naprawić swój błąd. Bezlitośnie oskarżała się, że jest zła, że gdyby nie chciała zemsty, nic by nie powiedziała mężowi, sama by im wytknęła nieodpowiednie zachowanie. Ale ona poddała się złości, pragnęła zemsty i z premedytacją zgotowała chłopcu i jego żonie nieszczęście, o jakim im się nie śniło. Zaczęła się modlić ze wstydem, błagać Boga, żeby ojciec był łagodny dla nich wszystkich. Wreszcie usłyszała ironiczny głos As-Sajjida:

– No, przyszedł pan Kiszkiż.

Natężyła słuch i spojrzała w kierunku okna wychodzącego na podwórze. Usłyszała odgłos otwieranych drzwi. As-Sajjid wstał i wyszedł. Ona też się podniosła, machinalnie, ale przygwożdżona strachem i smutkiem nie ruszyła się z miejsca. Usłyszała, jak As-Sajjid krzyknął: „Chodźcie do mojego pokoju.” Ogarnęło ją przerażenie i uciekła.

As-Sajjid wrócił do pokoju, a za nim weszli Jasin i Zajnab. Wpatrywał się w dziewczynę długo, ignorując Jasina, wreszcie powiedział stanowczo, ale grzecznie:

– Posłuchaj mnie, córko, dobrze. Twój ojciec jest mi bratem, a może nawet łączy nas więzy silniejsze niż braterskie. A ty jesteś moją córką, tak jak Chadidża i Aisza. Nigdy nie miałem zamiaru mącić twojego spokoju, ale są sprawy, o których milczeć byłoby zbrodnią nie do wybaczenia, na przykład przebywanie takiej dziewczyny jak ty poza domem o tej porze. Nie myśl, że usprawiedliwia cię obecność męża, bo mąż, który w ten sposób lekceważy swoją cześć, nie zasługuje na przebaczenie. Ponieważ jestem pewny twojej niewinności, albo raczej wiem, że to nie twoja wina, bo jesteś niewolnicą jego namiętności, wracaj do siebie i popracuj nad poprawą, żebyś na drugi raz nie uległa jego zachciankom.

Dziewczynę ogarnęło zdumienie i mimo że w domu ojca cieszyła się pewną wolnością, tutaj nie znalazła odwagi, żeby dyskutować z tym człowiekiem, nie mówiąc już o sprzeciwie. Chyba ten jeden miesiąc spędzony w jego otoczeniu uformował jej osobowość i zaraził ją pokorą, uległością i posłuszeństwem jego woli, które odczuwa każda żywa istota w tym domu. Buntowała się w duchu, bo ojciec nieraz pozwalał jej towarzyszyć sobie do kina, poza tym As-Sajjid nie miał prawa zabraniać jej tego, na co pozwalał mąż. Tym bardziej że nie naruszała przecież zasad moralności ani dobrego wychowania. Tak myślała, ale nie była w stanie wykrztusić jednego słowa wobec tych oczu wymagających posłuszeństwa i szacunku i tego ogromnego nosa, który, gdy As-Sajjid podniósł głowę, wydawał się wycelowanym w nią pistoletem. Zamilkła pod pozorem zgody i grzeczności, tak jak milkną fale głosowe w odbiorniku radiowym, kiedy się przekreśli gałkę.

– Czy masz coś przeciwko temu, co powiedziałem? – usłyszała znów jego głos.

Pokręciła głową, a usta bezgłośnie ułożyły się w słowo „nie”.

– No to się zgadzamy. Idź teraz w pokój do siebie.

Zajnab, blada, wyszła, a As-Sajjid zwrócił się do Jasina, który stał ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Sprawa jest poważna i groźna, ale co ja mogę zrobić? Nie jesteś już dzieckiem, bo i inaczej rozbiłbym ci łeb. Niestety, jesteś mężczyzną, urzędnikiem, mężem i jeżeli nie

wstydzisz się igrać tak z małżeństwem, to ja nic na to nie poradzę. Go ci przyszło do głowy? Gdzie twoja męskość? Gdzie godność? Na Boga, trudno mi uwierzyć w to, co się zdarzyło.

Jasin nie podnosił głowy i nic nie mówił, co As-Sajjid wziął za poczucie winy i strach, nie wyobrażał sobie bowiem, żeby jego syn mógł być po prostu pijany. Ale to go nie zadowoliło. Przeciwnie, grzech wydał mu się jeszcze obrzydliwszy i Jasin powinien ponieść karę. A skoro dawny sposób, czyli kij, nie wchodził już w rachubę, to niech będzie przynajmniej stanowczość i surowość. Inaczej porwą się więzy rodzinne.

– Czy nie wiesz, że ja zabraniam swojej żonie wychodzić z domu nawet do meczetu Al-Husajna? Jak więc mogła ci przyjść do głowy taka głupia myśl, żeby wziąć kobietę do rozpustnego kabaretu i trzymać ją tam do późnej nocy? Ty głupcze, spychasz siebie i swoją żonę w przepaść. Co za szatan cię opętał?

Jasin stwierdził, że milczenie będzie najbezpieczniejsze, bo inaczej wyda się, że język mu się płacze, że jest pijany, zwłaszcza że jego wyobraźnia, drwiąc sobie z powagi sytuacji, usilnie umykała z pokoju i szybowała daleko, przynosząc coraz to nowe upojenia, to tancerką, to alkoholem. Głos ojca, mimo że siał strach w jego duszy, ani rusz nie mógł zagłuszyć piosenek, które śpiewali na scenie artyści, a ci, jak zjawy w nocy, pojawiali mu się przed oczami szepcząc słowa:

*Sprzedam ubranie za pocałowanie  
twojego policzka jak śmietanka.  
Jesteś słodka jak basbusa,  
smaczniejsza od muhallabijji.*

Zjawy znikwały pod wpływem strachu i wracały, ale ojciec miał wreszcie dość tego milczenia i krzyknął z gniewem:

– Gadaj, dlaczego to zrobiłeś! Nie puszczę tego wydarzenia płazem.

Jasin ocknął się przerażony i robiąc wszystko, żeby się opanować, powiedział:

– Jej ojciec traktował ją bardzo tolerancyjnie... Ale przyznaję, że popełniłem błąd – dodał szybko.

– Ona nie jest już w domu ojca – krzyknął As-Sajjid, jakby nie słyszał ostatniego zdania. – Ona musi szanować zwyczaje rodziny, której członkiem została. Ty jesteś jej mężem i panem i tylko ty jeden możesz z niej zrobić, co zechcesz. Powiedz mi, kto jest odpowiedzialny za jej wyjście, ty czy ona?

Wyczuł, mimo że był pijany, pułapkę, ale strach popchnął go do zrzucenia z siebie winy i wymamrotał:

– Kiedy zobaczyła, że się szykuję do wyjścia, błagała, żeby ją wziąć ze sobą.

As-Sajjid uderzył pięścią o pięść i krzyknął:

– Co z ciebie za mężczyzna! Jedyną odpowiedzią na jaką zasłużyła, był policzek! Tak, to mężczyźni psują kobiety, nie kto inny. Nie wszyscy są godni posiadać żony. I do tego zabrałeś ją tam, gdzie tańczą półnagie tancerki!

Zamajaczyły mu przed oczami obrazy, które zniszczył ojciec zatrzymując go przy schodach, i znowu zaczęły mu chodzić po głowie słowa piosenki: „Sprzedam ubranie...”

– Znasz prawa tego domu i sam musisz je szanować – usłyszał groźny głos ojca. –  
Oczywiście, jeżeli chcesz tu pozostać...

Aisza zabrała się energicznie do makijażu Chadidży. Robiła to ze znanstwem i mistrzostwem, tak jakby przez całe życie niczym innym się nie zajmowała. Chadidża była już prawdziwą panną młodą i przygotowywała się do przenosin do domu narzeczonego. Oczywiście, zgodnie ze swoim charakterem, starała się pomniejszać wagę przysługi, jaką jej świadczyła Aisza, twierdząc, że największą jej zaletą jest i tak, przede wszystkim, tusza. Zresztą braki urody nie były już źródłem jej obaw, jako że o rękę prosił ją mężczyzna, który widział ją na własne oczy. Powinna być szczęśliwa, ale nie była, nic nie było w stanie wymazać z jej duszy żalu z powodu mającej nastąpić rozłąki z rodziną. Nikogo w świecie nie kochała tak jak swojej rodziny i domu, począwszy od ubóstwianych rodziców, a skończywszy na jaśminie i fasoli. Nawet małżeństwo, na które tak długo i z taką niecierpliwością czekała, nie osłodziło jej goryczy rozłąki. Wcześniej nigdy nie myślała o miłości do domu, nie zdawała sobie sprawy z niej, czasami nawet rodzina doprowadzała ją do irytacji i gniewu i wtedy prawdziwe uczucia ukrywały się gdzieś głęboko. Bo miłość jest jak zdrowie – kiedy jest, nie zauważa się go, ale gdy odchodzi, trudno się z tym pogodzić. Dopiero kiedy uspokoiła się co do swojej przyszłości, serce dało znać o swoim żalu i odmówiło przenosin do innego życia. Było to jak pokuta za grzechy, czy też strach przed utratą czegoś cennego.

Kamal patrzył na nią w milczeniu, już nie pytał, czy wróci, wiedział, że ta, która wyjdzie za mąż, nie wraca. Szeptał im tylko, że będzie je często odwiedzał po lekcjach, a one cieszyły się i zapraszały go do siebie. Ale nie dał się już ponieść złudnym nadziejom. Tyle razy odwiedził Aiszę, ale nigdy już nie znalazł jej takiej, jaką była dawniej. Jej miejsce zajęła inna, wystrojona dama okazująca mu przesadną czułość i miłość, z którą tylko chwilę mógł być sam, bo zaraz przyłączał się do nich jej mąż, który w ogóle nie opuszczał domu, mając zapewnione różne rodzaje rozrywek, jak papierosy, fajka i lutnia, na której brzdąkał od czasu do czasu. Chadidża nie będzie lepsza od Aiszy. W domu, jako jedyna towarzyszka, zostanie więc Zajnab, ale ona go nie lubi, tylko udaje w obecności matki, a jak matka wychodzi, to go lekceważy, tak jakby nie istniał. Zajnab nie miała uczucia, że wraz z odejściem Chadidży straci kogoś bliskiego, i ganiła tę milczącą, ciężką atmosferę, która zapanowała w dniu wesela. Stała się ona dla niej pretekstem, żeby powiedzieć wreszcie, co myśli o domu As-Sajjida. „Nigdy nie widziałam takiego domu jak wasz – mówiła podkpiwając sobie – gdzie to, co dozwolone, byłoby zakazane. Ot co!”

Nie chciała jednak pożegnać Chadidży bez miłego słowa, więc wychwalała jej zdolności jako „pani domu”, której można mężowi pogratulować.

- Jediną jej wadą jest język – dodała Aisza. – Jeszcze tego nie doświadczyłaś, Zajnab?
- Chwała Bogu, jeszcze nie – roześmiała się Zajnab – ale słyszałam o nim od innych.

Wszyscy zaczęli się śmiać, a najgłośniej sama Chadidża. Nagle matka nastawiła ucha i krzyknęła: „szszsz”. Zamilkły, a z zewnątrz dobiegły ich jakieś głosy.

- As-Sajjid Ridwan umarł! – krzyknęła przerażona Chadidża.

Mariam i jej matka usprawiedliwiały się, że nie będą mogły uczestniczyć w weselu z powodu pogorszenia się stanu As-Sajjida Ridwana, nic więc dziwnego, że Chadidża skojarzyła sobie te głosy z jego śmiercią.

Matka wyszła pospiesznie z pokoju i wróciła po kilku minutach.

– Szajch Muhammad rzeczywiście zmarł. Co za pechowa sytuacja!

– Przykro nam, ale przecież nie możemy odłożyć wesela! – powiedziała Zajnab – ani zabronić panu młodemu świętować tę noc we własnym domu, który, dzięki Bogu, jest daleko stąd. Macie zamiar jeszcze pogłębiać tę przesadną ciszę?

Chadidża siedziała przerażona, ze ściśniętym gardłem, a myśli jej szybowwały w innym kierunku.

– O, Boże, o Miłosierny... – szeptała do siebie.

Matka odczytała jej myśli, sama też miała serce ściśnięte, ale bojąc się poddawać takim myślom i nie chcąc, żeby Chadidża im się poddawała, powiedziała ze sztuczną obojętnością:

– Nie naszą sprawą są wyroki boskie, życie i śmierć są w ręku Boga, a pesymizm to sprawa szatana.

Jasin i Fahmi skończyli się ubierać i dołączyli do kobiet w pokoju panny młodej. Matka powiedziała im, że ojciec reprezentuje rodzinę zmarłego w przyjmowaniu kondolencji ze względu na niezręczną sytuację w domu Ridwanów.

– As-Sajjid Ridwan nie chciał pozostać na świecie, kiedy się dowiedział, że się wyprowadzasz z sąsiedztwa – zażartował Jasin.

Odpowiedziała słabym uśmiechem, a Jasin zaczął przyglądać się jej uważnie i kręcił głową udając podziw.

– No, no, to prawda, że nawet miotłę można ustroić i będzie panną młodą.

Zmarszczyła brwi pokazując, że nie ma ochoty na żarty.

– Cicho bądź, jestem zabobonna i uważam śmierć As-Sajjida Ridwana w dzień mojego ślubu za niedobry znak – powiedziała z naganą.

– Nie wiadomo, kto komu zaszkodził – mruknął Jasin. – W każdym razie nie powinnaś mieć żadnych obaw z powodu śmierci tego człowieka, w ogóle o tym nie myśl. Ja mam raczej obawy co do twojego języka i tu możesz być przesadna. Moja rada, której, mam nadzieję, nie będę musiał ci powtarzać: wymocz język w syropie, żeby był słodki i nadawał się do rozmowy z narzeczoną.

– Bez względu na to, jak sprawy się mają, jest to dzień błogosławieństwa. Nie słyszałaś, że ogłoszono zawieszenie broni? – powiedział Fahmi.

– Och, zapomniałbym – krzyknął Jasin. – Twoje wesele to nie jedyny cud dzisiejszego dnia. Przyszło to, na co czekaliśmy od lat: skończyła się wojna, Wilhelm skapitulował.

– Czy skończy się ta drożyzna i Australijczycy sobie pójdą? – spytała matka.

– Oczywiście, że tak, skończy się drożyzna, pójdą sobie Australijczycy i odejdzie język szanownej pani Chadidży.

Fahmi zamyślił się, po czym powiedział jakby do siebie:

– Niemcy przegrali. Kto by pomyślał... Nie ma już nadziei, że wróci Abbas i Muhammad Farid, przepadły nadzieje na kalifat. Gwiazda Anglików ciągle wschodzi, a nasza gwiazda ma się ku zachodowi.

– Wojnę wygrali Anglicy i sułtan Fuad – powiedział Jasin – ale ani ci pierwsi nie marzyli o wykończeniu Niemców, ani ten drugi nie marzył o tronie – zamilkł na chwilę. – A najwięcej szczęścia ma ten trzeci – dodał ze śmiechem – czyli nasza panna młoda, która nie marzyła nawet o narzeczonym.

Chadidza rzuciła mu groźne spojrzenie.

– Domagasz się, żebym ci dopieczę, zanim opuścę ten dom – powiedziała.

– Nie, lepiej poproszę o zawieszenie broni, nie jestem potężniejszy niż Wilhelm czy Hindenburg.

Spojrzał na Fahmiego, który siedział zamyślony, co było zupełnie niezrozumiałe w tak szczęśliwym dniu.

– Zostaw tę politykę – powiedział – nastaw się na zabawę, jedzenie i picie.

Chadidza też siedziała zamyślona, przypominając sobie różne wydarzenia tego dnia. Największe wrażenie zrobiło na niej zdarzenie poranne, do tego stopnia, że przesłoniło na jakiś czas inne smutki i problemy. Było to zaproszenie jej przez ojca na rozmowę z okazji dnia, w którym zaczyna nowe życie. Ojciec był miły i życzliwy, co podziało jak kojący balsam na przygniatające ją uczucie wstydu i strachu. A na koniec powiedział jej niezwykle czule, aż zabrzmiało to dziwnie:

– Oby nasz Pan pokierował twoimi krokami i obdarował cię szczęściem i spokojem ducha. A najlepsza rada, jaką ci mogę dać, jest taka: Bądź jak twoja matka, w sprawach ważnych i mniej ważnych.

Podał jej rękę, a ona ucałowała ją i wyszła z pokoju tak wzruszona, że niemal nic przed sobą nie widziała. Powtarzała tylko: „Jaki był dobry, delikatny, czuły, jaki wyrozumiały.” Powtórzyła oczywiście matce jego radę i dodała:

– To znaczy, że uważa cię za ideał żony, szczęśliwa kobieto. Jak w to wszystko uwierzyć? To chyba sen. Gdzie on magazynuje te piękne uczucia?

Chadidza jeszcze długo wychwalała ojca, a matka słuchała zarumieniona, z błyszczącymi oczami.

Wreszcie Umm Hanafi obwieściła, że przyjechały samochody.

Przy popołudniowej kawie odczuwało się brak Chadidży, tak jak już wcześniej brakowało Aiszy. Po Chadidży została jednak laka nie do zapełnienia. Jej odejście pozbawiło zebranych ducha, ograbiło z życia, zabrało żarty, radość, sprzeczkę. „Chadidża była tym, czym jest sól w potrawie. Sama w sobie sól nie jest smaczna, ale jakaż to potrawa bez niej”, myślał Jasin, ale ze względu na żonę nie wypowiadał się głośno na ten temat. Mimo że rozczarował się do małżeństwa, które już nie zatrzymywało go w domu, bał się zranić jej uczucia, nie chciał też, żeby nabrała jakichś podejrzeń co do jego przesiadywania wieczorami w „kawiarni”, jak ją zapewniał. Jasin lubił żartować, w ogóle raczej był wesoły niż poważny, a teraz stracił kompana, z którym „przerzucał się” dowcipami i któremu podsuwał tematy żartów. No cóż, przyjdzie pogodzić się z sytuacją. I oto teraz siedzi po turecku na kanapie, popija kawę, spogląda na kanapę naprzeciwko a widzi matkę, żonę i Kamalę zagłębianych w jakiejś bezsensownej paplaninie i chyba setny raz dziwi się powadze Zajnab i przypomina sobie to, co mówiła o niej Chadidża, o jej braku polotu. Tak, miała rację. Co ma więc robić? Zwykle wyciąga dywan *Al-Hamasa* lub *Damę z Kerbeli* i czyta albo opowiada Kamalowi to, co przeczytał. Po prawej stronie siedzi Fahmi, urodzony dyskutant. Zawsze zaczyna poważne rozmowy. Ciekawe, o czym będzie dzisiaj gadał, o Muhammadzie Faridzie, Mustafie Kamilu? Nie wiadomo, ale na pewno będzie gadał. Od powrotu z uczelni wygląda jak niebo, które ostrzega o deszczu. Będzie z nim dyskutował? Skąd! Nie ma potrzeby. Już wpatruje się w niego natchniony i pyta z ogromnym przejęciem:

– Znasz nowiny?

„Pyta go o nowiny! Znam i to ile. Małżeństwo to największe oszustwo. Zona zmienia się po kilku miesiącach w rycynę. Nie masz co żałować tego, co cię ominęło z Mariam, ty dumny polityku. Chcesz jeszcze więcej nowin? Mam ich pełno, ale na pewno cię nie zainteresują, zresztą nie mam odwagi, by dzielić się nimi przy żonie.” Ni stąd, ni zowąd przypomniał mu się wiersz z poematu Szarifa ar-Radiego: „Wiele moich listów wyraża tęsknotę i gdyby nie cenzor, przekazałbym je twoim ustom.” A głośno spytał:

– O jakie nowiny chodzi?

– Zdziwiające wieści krążą wśród studentów – odparł Fahmi podniecony – tylko o tym się mówi. Podobno delegacja egipska w składzie: Sa’d Zaghlul Pasza, Abd al-Aziz Fahmi Bek i Ali Sza’rawi Pasza, była wczoraj w Urzędzie Protektoratu i spotkała się z wicekrólem. Żądali zniesienia protektoratu i ogłoszenia niepodległości Egiptu.

Jasin podniósł brwi zaintrygowany, ale w oczach pojawiło mu się powątpiewanie połączone ze zdumieniem. Nazwisko Sa’da Zaghlula nie było mu obce, ale wiązało się z jakimiś odległymi, niejasnymi wspomnieniami, które nie zostawiły w sercu śladu, zresztą nigdy nie obarczał się sprawami ogółu. Natomiast dwa dalsze nazwiska słyszał po raz pierwszy, ale to o niczym nie świadczyło. Jeśli prawdą jest to, co mówi Fahmi, to działali

oni bardzo wiele. Bo jak sobie wyobrazić żądanie niepodległości Egiptu od Anglików w momencie ich zwycięstwa nad Niemcami i kalifatem?

– A co to za panowie? – zapytał.

Fahmi odpowiedział tonem trochę niezadowolonym, wolałby bowiem, żeby ci panowie należeli do Partii Narodowej:

– Sa'd Zaghlul to delegat Zgromadzenia Ustawodawczego, a Abd al-Aziz Fahmi i Ali Sza'rawi członkowie tego Zgromadzenia. O tych ostatnich nic nie wiem, ale o Sa'dzie wiem sporo na podstawie tego, co mówią moi koledzy, członkowie Partii Narodowej, którzy mają bardzo różne zdania. Jedni uważają go za poplecznika Anglików, nic więcej, inni przypisują mu wiele bardzo ważnych zalet, które go stawiają w rzędzie wielkich ludzi tej partii. Tak czy owak kroki, jakie podjął z dwoma towarzyszami, a mówią, że on właśnie był ich inicjatorem, to dzieło chlubne. I chyba nie ma teraz nikogo lepszego od niego do wypełnienia tej misji, jako że wybitni przywódcy Partii Narodowej na czele z Muhammadem Faridem zostali wygnani.

Jasin nie chciał, żeby go brat posądził o brak entuzjazmu, ale był pełen wątpliwości. Powiedział więc niby do siebie:

– A więc żądają zniesienia protektoratu i ogłoszenia niepodległości...

– Słyszeliśmy też, że żądali wyjazdu do Londynu w tej sprawie, i w tym celu byli u sir Reginalda Wingate'a – wicekróla.

Jasin był zupełnie zdezorientowany.

– Niepodległość! Co masz na myśli? – spytał.

– Mam na myśli opuszczenie przez Anglików terytorium Egiptu – odpowiedział Fahmi nerwowo – czyli ewakuację, do której nawoływał już Mustafa Kamil.

Ile nadziei! Jasin nie lubił rozmów o polityce, ale od Fahmiego zawsze przyjmował zaproszenie do nich, po pierwsze dlatego, żeby go nie smucić i nie drażnić, a po drugie był to jednak oryginalny rodzaj rozrywki, na którą zawsze był łasy. Od czasu do czasu nawet wpadał w podniecenie, choć daleki był od entuzjazmu, a czasami nawet dzielił z bratem jego marzenia w sposób spokojny i bierny. Z zasady jednak zwracał mało uwagi na tę stronę życia społeczeństwa; cel życia widział jedynie w przyjemnościach i rozkoszach cielesnych. Dlatego i teraz nie mógł zaangażować się poważnie w rozmowę i zapytał znowu:

– Czy to w ogóle jest możliwe?

– Braciszku, nie można popadać w pesymizm! – krzyknął Fahmi z entuzjazmem.

To zdanie trochę go rozśmieszyło, ale udał powagę.

– A jak my ich stąd wypędzimy?

Fahmi zastanowił się chwilę.

– Po to właśnie Sa'd i jego dwaj towarzysze chcą jechać do Londynu.

Matka śledziła rozmowę z zainteresowaniem, skupiona, starając się jak najwięcej zrozumieć z tego, co mówił Fahmi. Były to sprawy ogólne, dalekie od domowej paplaniny, wymagające nie lada wysiłku umysłowego, ale tęskniła do nich i kiedy tylko zdarzała się okazja, przyłączała się do rozmowy nie zwracając uwagi na to, że trochę z lekceważeniem, a trochę z pobłażliwością odnoszą się do jej poglądów. Nikt i nic nie było w stanie jej zniechęcić. Garnęła się do tych spraw „wielkich”, do których, wydawało się, pchają ją te



same motywy, które każą jej komentować lekcje religii Kamala i dyskutować na temat geografii i historii na podstawie własnej wiedzy religijnej i legend. Dzięki temu wiedziała coś niecoś o Mustafie Kamilu, Muhammadzie Faridzie i wygnanym „naszym Efendi”. Przywiązanie tych ludzi do kalifatu jeszcze wzmogło jej miłość do nich, bo w jej mniemaniu czyniło ich podobnymi wybrańcom Allaha, których wielbiła. A ponadto była osobą, która oceniała ludzi wyłącznie poprzez ich pozycję religijną i stanowisko w hierarchii kościelnej. Kiedy więc Fahmi tylko wspomniał o tym, że Sa’d i jego dwaj towarzysze wybierają się w podróż do Londynu, natychmiast włączyła się do rozmowy:

– Ten Londyn, to który z krajów Boga? – spytała.

Z odpowiedzią pospieszył Kamal, recytując tak jak w szkole:

– Londyn to stolica Wielkiej Brytanii, Paryż stolica Francji, a Kab to Kab<sup>24</sup>. Londyn to kraj Anglików – dodał na ucho.

Matkę ogarnęło zdumienie.

– Jadać do kraju Anglików żądać, żeby opuścili Egipt? Nie ma w tym za grosz taktu! Jakże to tak, odwiedzasz mnie w moim domu z ukrytym zamiarem wypędzenia mnie z twojego mieszkania?

Jej uwaga rozdrażniła Fahmiego i spojrzał na nią z dezaprobatą, ale ona zrozumiała to jako zachętę i kontynuowała:

– Jak można żądać, żeby wyszli z naszego kraju, skoro tak długo już tu przebywają? Byli tu, jak my się rodziliśmy, jak wy się rodziście, czy to po ludzku, po takim długim okresie współżycia i sąsiedztwa, powiedzieć im otwarcie i do tego w ich własnym kraju: wynoście się?!

Fahmi uśmiechnął się bezradnie, Jasin zarechotał, a Zajnab odezwała się poważnie:

– Czy będą mieli dość odwagi, żeby im to powiedzieć w ich własnym kraju? Przecież Anglicy ich tam zabiją i kto się o tym dowie? Czyż ich żołnierze nie łążą po odległych dzielnicach i nie wywołują awantur i bójek? To jak potraktują tych, którzy nachodzą ich w ich własnym kraju?

Jasin miał ochotę kontynuować naiwną rozmowę z kobietami, żeby się tylko zabawić, ale spostrzegł irytację Fahmiego i zapytał tylko:

– One mają swoje racje, po prostu tak myślą i inaczej nie potrafią tego wyrazić. Ale powiedz mi, bracie, czego będzie mógł dokonać Sa’d wobec państwa, które bezdyskusyjnie uznawane jest za władcę świata?

Matka kiwała głową zgadzając się z nim i jakby słowa te skierowane były do niej, powiedziała:

– Urabi Pasza był największym i najsławniejszym z ludzi, ani Sa’d, ani nikt inny mu nie dorównuje. Był rycerzem i wojownikiem i co go spotkało od Anglików, synku? Uwięzili go i zesłali na wygnanie na koniec świata.

Fahmi nie wytrzymał i poprosił rozdrażnionym tonem:

– Mamo, zostaw nas, chcemy porozmawiać.

---

<sup>24</sup> Kab – Południowa Afryka (od ang. Cape).

Matka uśmiechnęła się zawstydzona i bojąc się, że go rozgniewała, już zupełnie innym tonem, tak, jakby zmiana tonu oznaczała zmianę poglądów, powiedziała przeprasząco:

– Panie mój, jak się bardzo czegoś pragnie i o coś stara, to się osiągnie cel. Niech jadą pod opieką boską, być może będą mieli szczęście zdobyć przychyłność wielkiej królowej...

– O jakiej królowej mówisz?

– O królowej Wiktorii, synku, tak ma na imię, prawda? Mój ojciec tyle o niej mówił. To ona skazała na wygnanie Urabiego, ale, jak mówią, była pełna podziwu dla jego odwagi.

– Jeżeli skazała na wygnanie młodzieńca Urabiego, to tym bardziej skarże starca Sa'da – powiedział Jasin kpiąco.

– Jak by się sprawy miały, ona jest kobietą i nosi w piersi czułe serce i jeżeli będą umieli z nią rozmawiać i zjednać ją sobie, na pewno zrobi to, co zechcą.

Logika matki niezmiernie rozbawiła Jasina. Matka mówiła o historycznej królowej tak, jakby mówiła o Umm Mariam albo innej sąsiadce. Nie miał już ochoty naśladować powagi Fahmiego, ale raczej zabawić się kosztem matki.

– A oo powinni powiedzieć królowej? – spytał.

Wyprostowała się i usiadła wygodniej, zadowolona z takiego poważnego pytania „politycznego”, i zmarszczywszy brwi zaczęła rozmyślać nad odpowiedzią. Ale Fahmi przerwał tok jej myśli ze złością:

– Królowa Wiktorii już dawno nie żyje, nie wysilaj się na próżno.

Tymczasem Jasin zauważył przez okiennice nadchodzący wieczór i stwierdził, że czas pożegnać towarzystwo i iść się rozerwać. Wiedział jednak dobrze, że Fahmi nie zaspokoił jeszcze pragnienia dyskusji, usprawiedliwił więc swoje wyjście czymś w rodzaju poparcia dla misji Sa'da i jego towarzyszy.

– Są to ludzie, którzy bez wątpienia pojmują wagę tego, co robią, miejmy więc nadzieję, że przygotowali skuteczne argumenty i życzymy im szczęścia – powiedział wstając.

Skinął na Zajnab, żeby poszła za nim i przygotowała mu ubranie, a Fahmi rzucił mu na pożegnanie spojrzenie pełne złości. Nie udało mu się pozyskać bratniej duszy, a tak bardzo rozpałały go te patriotyczne rozmowy. W ich czarownym świecie marzeń, który przedstawiał się jego oczom jako świat nowy, nowa ojczyzna, nowy dom i nowi ludzie, wszyscy byli ożywieni entuzjazmem. Ale w domu budził się w dusznej atmosferze słabości, naiwności i obojętności i czuł w sercu palące uczucie goryczy i bólu. Z całą siłą zapragnął w tym momencie, żeby już minęła noc, żeby znowu znalazł się w gronie kolegów na uczelni i wykrzyczał swoje pragnienie wolności, swój entuzjazm i energię, które niosły go do wielkiego świata marzeń i chwały. Jasin pyta, co Sa'd robi, jak sobie poradzi z krajem, który uznaje się dzisiaj za władcę świata. Sam nie wie, w jaki sposób Sa'd to zrealizuje, nie ma pojęcia, co w ogóle można zrobić, ale czuje całym sercem, że coś zrobić trzeba. Trudno mu sobie wyobrazić, co to ma być i jak tego dokonać, ale czuje całym swym jestestwem, że trzeba działać, żeby jego marzenia ujrzały światło dzienne, stały się rzeczywistością. Inaczej nic nie ma sensu. Marność nad marnościami.

Ulica przed sklepem As-Sajjida Ahmada była jak zwykle zatłoczona przechodniami i pojazdami, klientami sklepów sąsiednich, a teraz w dodatku dodawała jej uroku przejrzystość listopadowego łagodnego powietrza. Słońce schowało się za delikatnymi chmurami, których

oślepiąco białe płaty wisały nad minaretami meczetów Kalawuna i Barkuka jak jeziora światła. Nie było niczego nadzwyczajnego na niebie i na ziemi, do czego by nie przywykł As-Sajjid albo czego by nie widział codziennie. A jednak jego dusza i dusze ludzi z nim związanych, a może wszystkich ludzi w Kairze, wystawione były na fale silnego wzburzenia i emocji. Wszyscy byli wytrąceni z równowagi. Nigdy jeszcze jedna wiadomość tak nie złączyła ludzi. Nigdy jeszcze serca nie biły tak zgodnym rytmem. Fahmi nie musiał szukać partnerów do rozmowy, wszyscy dokoła mówili bez przerwy o tym samym, o spotkaniu Sada z wicekrólem. Wieczorem, w miejscach rozrywki potwierdzali to inni, czyli że wiadomość była prawdziwa bez żadnej wątpliwości. A w sklepie klienci, których nic nie łączyło lub którzy w ogóle się nie znali, rozprawiali głośno na temat tego spotkania i nawet szajch Al-Mutawalli po długiej nieobecności wpadł do sklepu i nie poprzestał tylko na recytacji Koranu i zabranii swojego przydziału cukru i mydła, ale ogłosił wiadomość o spotkaniu takim tonem, jakby ogłaszał wiadomość o weselu. A kiedy As-Sajjid trochę kpiąco spytał, co sądzi o rezultacie spotkania, powiedział: „Niemożliwe, żeby Anglicy opuścili Egipt. Byliby szaleńcami, gdyby wyszli bez walki. Musi być walka. Nie ma innego sposobu ich wypędzenia. Ale może nasi delegaci ugodzą się, żeby choć Australijczycy wyjechali, żeby znowu było na ulicach spokojnie i bezpiecznie jak kiedyś.”

Wszystkie te wieści i szalejące emocje, epidemia tęsknot politycznych i patriotycznych znalazły w As-Sajjidle człowieka niezwykle na nie podatnego. Pozostawał w stanie ciągłego wyczekiwania, z ogromnym podnieceniem czytał gazety, które w większości udawały, że nic się nie dzieje, że nie ma żadnego wzburzenia, tak jakby wychodziły w jakimś innym kraju. Spotykał się z przyjaciółmi, patrzył na nich z palącą ciekawością, może wiedzą coś nowego. W takim był stanie, kiedy do sklepu wpadł As-Sajjid Muhammad Iffat. Jego ostry wzrok i szybkie ruchy nie wskazywały na to, że przyszedł ot tak sobie, żeby wypić kawę albo opowiedzieć słony kawał. As-Sajjid zauważył w jego wyglądzie ten sam niepokój i niecierpliwość i podczas gdy przyjaciel torowa? sobie drogę wśród klientów, których obsługiwał Dżamil al-Hamzawi, zapytał szybko:

– Witaj, mamy piękny dzień. Z czym przychodzisz, bohaterze?

As-Sajjid Muhammad Iffat usiadł przy biurku z uśmiechem zadowolenia, jakby pytanie As-Sajjida, które słyszał zwykle przy spotkaniu kogoś z przyjaciół, było potwierdzeniem ważności jego osoby w tych tak znaczących dniach ze względu na jego powiązania rodzinne z wysoko postawionymi osobistościami egipskimi. As-Sajjid Iffat był zawsze łącznikiem między swoim właściwym środowiskiem – środowiskiem kupców – a wyższymi urzędnikami, adwokatami, do których należał niegdyś. As-Sajjid Ahmad dawał mu pierwsze miejsce wśród swoich przyjaciół głównie ze względu na cechy jego osobowości, ale te związki rodzinne były zawsze równie ważne dla kupców, którzy patrzyli na urzędników i właścicieli różnych funkcji i tytułów wzrokiem pełnym szacunku i podziwu. W dniach, w których każda wiadomość stała się ważniejsza od chleba i wody, znaczenie tych związków wzrosło jeszcze bardziej.

As-Sajjid Iffat rozwinął kartkę papieru i powiedział:

– Nowy krok. To już nie jest tylko nowa wiadomość. Jestem zwiastunem nowego kroku, przynoszę tobie i innym czcigodnym przyjaciołom to oto błogosławione pełnomocnictwo. Czytaj!

As-Sajjid zaczął czytać. „My, niżej podpisani, delegujemy panów Sa’da Zaghlula Paszę, Alego Sza’rawiego Paszę, Abd al-Aziza Fahmiego Beka, Muhammada Alego Ulubę Beka, Abd al-Latifa al-Mukabbatiego, Muhammada Mahmuda Paszę i Ahmada Lutfi as-Sajjida Beka, a oni mają prawo wybrać jeszcze, kogo zechcą, aby postępując drogą pokojową i legalną, gdziekolwiek by się znaleźli, domagali się pełnej niepodległości Egiptu.”

Twarz As-Sajjida jaśniała radością, kiedy czytał nazwiska członków delegacji egipskiej, o których słyszał już przedtem, bo były na ustach wszystkich.

– Co to znaczy? – spytał.

– Widzisz te podpisy? Złóż swój i niech podpisze też Dżamil al-Hamzawi. Jest to pełnomocnictwo, które wydrukowała delegacja, aby podpisał je naród. Ma to być pełnomocnictwo narodu egipskiego.

As-Sajjid wziął pióro i złożył swój podpis z radością, którą błyszczały jego niebieskie oczy. Uśmiechał się lekko, szczęśliwy i dumny, że sam daje pełnomocnictwo Sadowi i jego towarzyszom, tym ludziom, którzy zawładnęli duszami, mimo że stali się sławni dopiero niedawno. Poruszyli w narodzie zdławione namiętności, jak nowe lekarstwo porusza myśli nieuleczalnie chorych nadzieją na wyleczenie, mimo że używają go po raz pierwszy. Al-Hamzawi podpisał także.

– Wydaje się, że to poważna sprawa – powiedział przejęty.

As-Sajjid Muhammad Iffat uderzył pięścią w biurko.

– Sprawa najwyższej wagi, wszystko idzie zdecydowanie naprzód, zgodnie z planem. Czy wiesz, co było powodem wydrukowania tego pełnomocnictwa? Mówią, że jakiś Anglik dopytywał się, w czyim imieniu wystąpił Sad i jego towarzysze rano 13 listopada, więc delegacja powołała się na to pełnomocnictwo, twierdząc, że w imieniu narodu.

– Żeby Muhammad Farid był wśród nas, nie doszłoby do tego – powiedział As-Sajjid.

– Więc do delegacji przyłączyli się członkowie Partii Narodowej, Muhammad Ali Uluba Bek i Abd al-Latif al-Mukabbati.

Muhammad Iffat wzruszył ramionami, jakby chciał strząsnąć z nich nieprzyjemną przeszłość, i mówił dalej: – Wszyscy pamiętamy Sa’da, kiedy wywołał wielką wrzawę w czasie mianowania go ministrem oświaty, a potem sprawiedliwości. Ciągle mam w pamięci powitanie zgotowane mu przez dziennik „Liwa”, od kiedy została zgłoszona jego kandydatura, i nie zapomniałem późniejszych na niego ataków. Nie przeczę, że przychylałem się do zdania krytykujących go z powodu mojego przywiązania do świętej pamięci Mustafy Kamila. Ale Sa’d zawsze dawał dowody, że jest godny podziwu. A jeśli chodzi o jego ostatnie żądania, to powinny one zająć poczesne miejsce we wszystkich sercach.

– Masz rację, to błogosławione posunięcie, módlmy się, żeby zostało uwieńczone sukcesem. A swoją drogą, ciekawe, czy pozwolą im jechać? I co zdiełają, jeśli pojedą.

As-Sajjid Muhammad Iffat złożył pełnomocnictwo i wstał.

– Do jutra niedaleko, zobaczymy.

As-Sajjid odprowadził go do drzwi, a po drodze szepnął na ucho:

– Jestem tak pijany z radości, jak po ósmym kieliszku między udami Zubajdy.

Wrażenie obrazu kielicha i Zubajdy, który podsunęła mu wyobraźnia, było tak wielkie, że Muhammad Iffat zatoczył się, jakby już samo to go upiło.

– Poczekajmy do jutra – powiedział.

– A potem zobaczymy – dodał As-Sajjid wychodząc za nim ze sklepu.

Wrócił do swojego biurka. Na twarzy miał jeszcze ślady rozbawienia, a w sercu entuzjazm. Tak było zawsze, kiedy zdarzały mu się ważne sprawy z dala od domu. Był poważny, kiedy sytuacja wymagała powagi, ale nie wahał się załagodzić atmosfery żartami, kiedy wydawało mu się to naturalne. Umiał jednak w zadziwiający sposób zachować równowagę między żartem a powagą, tak że powaga nie brała góry nad żartami, a żarty nie naruszały powagi. Żarty i humor nie były zresztą przyjemnością, która egzystowała na marginesie jego życia, były taką samą koniecznością życiową, jak zachowanie powagi. Nigdy też powaga nie zaważowała na nim całkowicie ani utrzymanie jej nie pochłaniało jego energii. W związku z tym wystarczył mu patriotyzm jako uczucie i uczestnictwo duchowe bez podejmowania czynów, które mogłyby zmienić obraz jego życia, do jakiego przywykł i jakiego nic by mu nie zastąpiło. Dlatego też nie przyszło mu do głowy, żeby przystąpić do jakiegoś komitetu Partii Narodowej, mimo ogromnego przywiązania do jej zasad, ani nawet nie zadał sobie trudu uczestniczenia w jej zebraniach. Czyż nie byłaby to strata jego cennego czasu, którego ojczyzna nie potrzebowała, podczas gdy on pragnął wykorzystać każdą minutę dla swojej rodziny, handlu, a zwłaszcza na rozrywkę z przyjaciółmi. Niech więc jego czas należy wyłącznie do niego, a do ojczyzny jego uczucia i serce i co więcej, pieniądze, których nigdy nie skąpił i w razie potrzeby dawał na różne cele. Zupełnie nie miał poczucia, że właściwie wcale nie wypełnia swoich obowiązków wobec ojczyzny, przeciwnie, wśród przyjaciół także znany był z patriotyzmu. Być może dlatego, że ich serca nie były tak pełne uczuć jak jego serce, czy też, jeżeli nawet były, to jednak nie posuwali się do tego, żeby składać ojczyźnie hojne ofiary pieniężne. Wyróżniał się więc As-Sajjid patriotyzmem. Wiedział o tym i dorzucał tę cechę do innych, którymi się szczycił w głębi duszy. Nie wyobrażał sobie, że patriotyzm mógłby wymagać od niego więcej, niż dawał. W tym pałającym radością, miłością i humorem sercu, w natłoku uczuć znalazło się także miejsce na nacjonalizm. Było to uczucie głębokie, silne, nieprzypadkowe. Wyrosło jeszcze w jego chłopięcych latach, kiedy słyszał opowieści o bohaterskim Urabim, przekazywane przez starych ludzi. Potem zapłonęło, kiedy czytał jego artykuły i przemówienia. Jakże rzadki i dziwny był to dla wszystkich widok, wzruszający i zarazem śmieszny, kiedy go zobaczono płaczącego jak dziecko po śmierci Mustafy Kamila. Wszyscy byli pod wrażeniem tego faktu, ponieważ żaden z jego przyjaciół nie poddał się chorobie smutku, a potem, podczas wieczornej biesiady pękali ze śmiechu wspominając ten widok, jako że niełatwo było zobaczyć „pana śmiechu” zanoszącego się od płaczu.

Dziś, po latach wojny, po śmierci młodego przywódcy i wygnaniu jego następcy, po utracie nadziei na powrót „naszego Efendi”, po klęsce Turcji i zwycięstwie Anglików, po tym wszystkim albo raczej mimo tego wszystkiego, przeciekały zadziwiające wieści niosące prawdy przypominające baśnie. Przedstawienie Anglikom żądań niepodległości, podpisy pod pełnomocnictwem, pytania i domysły co do następnego kroku... Serca otrząsają się z pyłu,

dusze jaśnieją nadzieją. Co się za tym wszystkim kryje? Jego pokojowo nastawiony umysł, przywykły do ugody, nie znajdował na to pytanie odpowiedzi. Wieczorem pędził na biesiadę, gdzie rozmowy o polityce były „zakąską” pod picie i zabawy, i inne pokusy, jak Zubajda, śpiew, przyjacielskie rozmowy z najlepszymi kompanami i w tej zwodniczej, słodkiej atmosferze stawały się łatwe do strawienia, napełniały serce entuzjazmem, a nie kazały As-Sajjidowi wypełniać tego, co było ponad jego możliwości.

Rozmyślał o tym wszystkim, kiedy podszedł Dżamil al-Hamzawi i powiedział:

– Słyszałeś tę nową nazwę, jaką nadali domowi Sa'da Paszy? Nazwali go „Domem Narodu” – i nachylił się, żeby mu po cichu wyjawić, skąd ma taką wiadomość.

W tym samym czasie kiedy ojczyzna zajęta była żądaniem wolności, Jasin uporczywie zabiegał o własną wolność. Powrót do nocnych hulanek po kilku pierwszych tygodniach małżeństwa, kiedy to nie pozwoliła mu na chwilową przyzwoitość, nie przyszedł bez walki. Upojony marzeniem o małżeństwie nie wyobrażał sobie, że po ożenku kiedykolwiek w życiu wróci do kawiarni i winiarni Kustakiego. Był szczerze przekonany, że tamte sprawy pożegnał na zawsze i miał najlepsze intencje prowadzić przykładowe życie małżeńskie. Ale rozczarował się do małżeństwa w sposób nieuleczalny, jego nerwy nie mogły wytrzymać pustki i nudy, jaką z sobą niosło. I tak usprawiedliwiał się sam przed sobą. Z całą energią zmysłowej, zepsutej duszy rzucił się więc w rozrywki i zabawy przynoszące zapomnienie, wrócił do kawiarni i winiarni. I nie były to już tymczasowe uciechy, za jakie uważał je dawniej, kiedy małżeństwo było dla niego nadzieją. Teraz była to cała przyjemność, jaka mu pozostała, jak komuś, kto pod wpływem marzeń i wielkich nadziei opuścił kiedyś ojczyznę, a teraz wraca jak syn marnotrawny.

Ale Zajnab, która zdążyła już przyzwyczaić się do jego gorącej miłości, uwodzenia jej i pochlebstw, a nawet swojego rodzaju uwielbienia, co spowodowało, że któregoś dnia zabrał ją nawet do kabaretu Kiszkiż Beka nic sobie nie robiąc z żelazobetonowego pasa surowych tradycji, którym otoczył rodzinę ojciec, Zajnab cierpiała bardzo, że zostawiał ją co wieczór, aż do północy, samą i wracał kompletnie pijany. Był to dla niej cios nie do zniesienia i w końcu zaprotestowała. Jasin czuł instynktownie, że taka nagła zmiana w życiu małżeńskim nie może przejść spokojnie i od początku czekał na jakiś sprzeciw, czy to w formie wyrzutów, czy sporu. Przygotowywał się też do obrony swojej pozycji, mając w pamięci słowa ojca, które usłyszał tego wieczoru, kiedy wrócił od Kiszkiż Beka: „Nikt nie psuje kobiet tak jak mężczyźni.” Więc kiedy zaczęła narzekać, powiedział: „Nie ma powodu do smutku, kochanie. Od dawien dawna domy są dla kobiet, a świat dla mężczyzn. Tacy są mężczyźni. Uczciwy mąż zachowuje wierność zarówno będąc daleko od żony, jak i w jej obecności. A poza tym, wieczorne rozrywki dają mi odprężenie, gromadzą radość, która i nasze życie czyni zabawniejszym i pełniejszym.” Protestowała jednak przeciwko jego pijaństwu twierdząc, że to z troski o jego zdrowie. Roześmiał się na to i odpowiedział lekko, ale stanowczo: „Wszyscy mężczyźni piją, a ja im więcej piję, tym mam lepsze zdrowie.. Zresztą zapytaj mojego ojca i swojego.” Zajnab jednak nie dawała za wygraną, próbowała z nim dyskutować, łudząc się, że coś wskóra, ale on stał się tylko jeszcze bardziej stanowczy, tym bardziej że znudziły go już te dyskusje, a nic sobie nie robił z jej gniewu. W końcu dał jej jasno do zrozumienia, że mężczyźni mają absolutne prawo robić, co chcą, podczas gdy kobiety

zobowiązane są do posłuszeństwa i muszą wiedzieć, do jakich granic mogą się posunąć. „Spójrz na żonę ojca – powiedział – czy widziałaś, żeby kiedykolwiek sprzeciwiła się zachowaniu męża? W ten sposób mąż i żona są szczęśliwi i rodzina bezpieczna. Nie będziemy więcej wracać do tego tematu.”

Rozczarowanie małżeństwem wywoływało w nim niekiedy chęć zemsty na żonie, a niekiedy wręcz nienawiść do niej. Jednak szanował jej uczucia z powodu respektu, a raczej strachu przed ojcem, wiedząc jak wielką przyjaźnią darzy on As-Sajjida Muhammada Iffata. Nie przejmował się, że Zajnab może naskarżyć na niego ojcu, a ten z kolei poskarży się jego ojcu, ale postanowił, że gdyby doszło do jakiejś awantury, wyprowadzi się z żoną bez względu na następstwa. Jego obawy były niepotrzebne, dziewczyna z ciężkim sercem zdecydowała się być „rozsądna” na wzór żony teścia. Wiedziała dokładnie, na co sobie może pozwolić. Zaufała mężowi i uwierzyła w jego wierność i niewinne rozrywki wieczorne. Zadowolona się kojeniem swojego smutku i bólu przy popołudniowej kawie w wąskim kręgu rodziny, choć nie znajdowała w niej sprzymierzeńca. Co mogła zrobić innego w takim środowisku? Jakie poparcie mogła dostać od rodziny, w której religią i wiarą było podporządkowanie się mężczyznom? Amina była może nawet niezadowolona czy wręcz zła z powodu jej narzekań, bo przypominało jej to egoizm własnego męża. Nie mogła sobie jednak wyobrazić innej żony niż ona sama ani innego męża niż jej mąż. Nie widziała niczego dziwnego w wypowiedziach Jasina na temat wolności, natomiast skargi jego żony przyjmowała ze zdziwieniem. Jedyne – Fahmi rozumiał jej smutek i postanowił porozmawiać o tym z Jasinem, choć przekonany był, że broni sprawy przegranej. Może zachęciły go do tego częste spotkania z bratem w kawiarni Ahmada Abduha w Chan al-Chalili. Mieściła się ona w suterenie i wyglądała jak grota wykuta we wnętrzu góry, a jej dachem były domy starej dzielnicy. Ciasne, przylegające do siebie pokoiki, duża sala z milczącą fontanną pośrodku, lampy palące się w dzień i w nocy, przyjemne, wilgotne powietrze, wszystko to razem dawało wrażenie przytulności i izolacji od świata zewnętrznego. Jasin wybrał tę kawiarnię, ponieważ znajdowała się blisko winiarni Kustakiego, a poza tym po zerwaniu z Zannubą musiał wynieść się z kawiarni Si Alego. Wreszcie, nowa kawiarnia miała charakter specyficzny, zabytkowy, który odpowiadał jego upodobaniu do poezji. Fahmi natomiast nie znał kawiarni. Jako pilnemu studentowi rzadko mu się zdarzało do nich zaglądać, ale zaraził się chorobą tych dni, której objawem były zebrania studentów połączone z gorącymi dyskusjami. Grupa jego przyjaciół wybrała kawiarnię Ahmada Abduha ze względu na jej zabytkowy charakter. Nie rzucała się w oczy, była dobrym schronieniem i odpowiednim miejscem dla cowieczornych zebrań. Często bracia siadali na chwilę razem w jednym z małych pokoiów, zanim przyszli koledzy Fahmiego lub zanim nadszedł dla Jasina czas przeniesienia się do winiarni Kustakiego. Któregoś wieczoru Fahmi powiedział Jasinowi, że zauważył smutek Zajnab, i wyraził zdziwienie z powodu jego zachowania, zupełnie nie pasującego do młodego małżonka. Jasin roześmiał się jak ktoś, kto ma całkowite prawo śmiać się z naiwności osoby próbującej być doradcą w sprawach, na których się nie zna. Nie chciał od razu usprawiedliwić swojego postępowania, wołał powiedzieć coś ogólnego, co mu akurat przyszło do głowy:

– Kiedyś chciałeś ożenić się z Mariam. Nie wątpię, że bardzo żałowałeś decyzji ojca, który ci tego zabronił. Mówię ci, a wiem, co mówię, gdybyś wtedy był świadom tego, co niesie ze sobą małżeństwo, chwaliłbyś Boga, że do niego nie doszło.

Fahmi był tak zdumiony, że aż obleciał go strach. Nie spodziewał się od razu ataku i to przeprowadzonego słowami takimi jak „Mariam”, „małżeństwo”, a one w teatrze jego duszy grały role, jakich się nie da zapomnieć. Być może przesadnie okazywał zdumienie, aby ukryć smutek i wzruszenie, jakie wywołały w nim wspomnienia. Nie mógł wymówić słowa, a Jasin ciągnął wymachując rękami, znudzony i zdegustowany:

– Nie miałem pojęcia, że małżeństwo może przynieść taką pustkę!

W rzeczywistości jest ono okrutnym, fałszywym snem. Jest nie do strawienia.

Fahmiemu, którego mentalność nie uznawała innego życia niż to, które obraca się wokół pojęć „żona” i „małżeństwo”, słowa brata wydały się nie do przyjęcia. Taki cynizm, taka gorzka kpina ze spraw dla niego świętych!

– Ale przecież twoja żona jest kobietą... doskonałą – wymamrotał.

– Doskonałą! Otóż to. Dama! – krzyknął Jasin z drwiną. – No tak, jest córką czcigodnego człowieka, piękna, dobrze wychowana w szlacheckiej rodzinie... Ale nie wiem, jaki diabeł jest odpowiedzialny za życie małżeńskie, że wszystkie te piękne cechy i zalety stają się wadami, że nie zwraca się na nie żadnej uwagi. Mówić o mężu, że jest szczęśliwy, to tak jakby się mówiło o biednym, że jest szlachecki, żeby pocieszyć go w biedzie.

– Zupełnie nie rozumiem, o czym ty mówisz – wyznał Fahmi z prostotą.

– Poczekaj, dowiesz się sam.

– To dlaczego od początku stworzenia ludzie tak uparcie trzymają się małżeństwa?

– Bo na małżeństwo, jak na śmierć, nie pomogą żadne zaklęcia ani największa ostrożność. Jakże igrała ze mną moja wyobraźnia, unosiła mnie w krainy szczęśliwych marzeń. Nie mogłem uwierzyć szczęściu, nie mogłem uwierzyć, że kiedyś będę miał jeden wspólny na zawsze dom, z jedną piękną kobietą. A teraz twierdzę, że nie ma większego nieszczęścia niż jeden wspólny na zawsze dom z piękną kobietą.

Fahmiemu, którym ciągle władowały młodzieńcze tęsknoty, trudno było pojąć to wszystko. Był zmieszany i zdezorientowany.

– A może ci się tylko tak wydaje? Może ty widzisz tylko to, co na zewnątrz, tylko pozory, za którymi jednak coś się kryje?

Jasin roześmiał się gorzko.

– Tak, właśnie skarżę się na to, co jest na zewnątrz, na te pozory. Prawdę mówiąc, na samo piękno. To ono, ono mnie znudziło, aż czuję się chory. Tak jak to jest z nowym słowem, gdy słyszysz je po raz pierwszy, brzmi pięknie, donośnie, a potem powtarzasz je, ciągle używasz, aż schodzi do poziomu słów zwykłych, banalnych, jak pies, robak itp. Traci swoją nowość i swoją słodycz. Z czasem nawet zapominasz jego znaczenie, zostaje tylko dziwny dźwięk, który nie wiadomo, co znaczy, i nie wiadomo, jak się go używa. Inni, gdyby się na nie natknęli w wypracowaniu, może wpadliby w zachwyt nad twoją sztuką, podczas gdy ty weźmiesz ich podziw za głupotę. Nie pytaj, na czym polega tragedia znudzenia się pięknem, tego się nie da wytłumaczyć ani usprawiedliwić, a poza tym sprawa jest zamknięta i pozostaje



tylko bezdena rozpacz. Nie podoba ci się to, co mówię. Usprawiedliwiam cię, bo ty patrzysz z dystansu i tak trzeba, bo piękno, jak fatamorganę, widać tylko z daleka.

Mimo gorzkiego tonu Jasina, Fahmi wątpił w prawdziwość jego słów, bo od początku skłonny był oskarżać brata, a nie ludzką naturę w ogóle, o odchylenia i nieprawidłowe postępowanie. Należałoby raczej oskarżać jego rozpustę, do której przywykł przed małżeństwem. Myślał uporczywie o tym jak człowiek, który nie chce stracić najdroższych nadziei. Jasina zresztą nie interesowały poglądy brata, tak samo jak nie przywiązywał wagi do swoich wyznań, ciągnął więc swoje wywody z promiennym uśmiechem:

– Całkowicie zrozumiałem teraz ojca! Zrozumiałem, dlaczego stał się hulaką uganiającym się za miłośkami. Jak on mógłby wytrzymać jeden pokarm przez dwadzieścia pięć lat, skoro mnie zabił on po pięciu miesiącach.

Fahmi nie chciał mieszać do rozmowy ojca.

– Nawet jeżeli przypuścimy, że twoja skarga wypływa z nieszczęścia wpisanego w ludzką naturę, to twoje postępowanie niewiele ma wspólnego z religią – odparł, choć chciało mu się powiedzieć „z normalną ludzką naturą”.

Dla Jasina religia to była wiara bez obarczania się jej nakazami i zakazami, odparł więc:

– Ależ skąd! W religii znajduję poparcie dla swoich poglądów, pozwala ona przecież na cztery żony nie licząc nałożnic, których pełne były pałace kalifów i bogaczy. Wtedy rozumiano, że sama piękność, kiedy przyzwyczajenie uczyni ją banalną, jest nudą, chorobą, śmiercią.

– Nasz dziad przecież spędzał wieczór z jedną żoną, a rano z inną, może ty po nim odziedziczyłeś te skłonności – powiedział Fahmi z uśmiechem.

– Może – odparł Jasin poważnie.

Jednak mimo całego gadania, Jasin jak dotąd nie zrealizował swoich buntowniczych marzeń. Wrócił do kawiarni i winiarni, co prawda, ale wahał się przed podjęciem ostatecznego kroku, przed wśliznięciem się w ramiona Zannuby albo jakiejś innej kobiety. Co go powstrzymywało? Dlaczego się zastanawiał i wahał? Może miał jednak jakieś poczucie odpowiedzialności, a może tkwił w nim jeszcze ciągle strach, bo przecież wiara potępiała rozpustnego męża, dopuszczając rozwiązały tryb życia u człowieka nieżonatego, a może też rozczarowanie było silniejsze i spowodowało totalną niechęć do przyjemności, zwłaszcza do kobiet, które uważał za niegodne tego, żeby od nich uzależniać swoje życie. Przykład sposobu bycia ojca zupełnie nim zawładnął, był nieustającą-pokusą. „Mądrość” swojej żony porównywał w myśli z „mądrością” żony ojca i zachęcony kreślił plany jej przyszłości na wzór egzystencji pani Aminy. Bardzo chciał wierzyć, że Zajnab przywyknie do życia, jakie jej szykował, tak jak macocha przywykła do swojego. Planował, że będzie robił „skoki” i wracał do domu nad ranem, zastając dom spokojny i pokorną żonę. W ten sposób życie małżeńskie byłoby nie tylko do zniesienia, ale miałyby niezaprzeczalne zalety. „O czym może marzyć kobieta, jakie może mieć ambicje poza małżeństwem i zaspokojeniem seksualnym? Żadnych! To są oswojone zwierzęta i takiego wymagają traktowania. Tak... zwierzęta domowe nie powinny pasożytować na naszym życiu prywatnym, mają czekać w domu, aż będziemy mieli czas, żeby się z nimi pobawić. Być wiernym mężem to śmierć. Ciągłe ten sam widok, ten sam głos, smak, bez końca to samo... Aż ruch stanie się tym samym co bezruch, a

głos bliźniakiem milczenia.. Nie! Nie po to się ożeniłem! Mówią, że jest biała. Dla mnie może być śniada i nawet czarna... Gruba... co to za pociecha. Może być gruba,, może być chuda. Albo że dobrze wychowana, że z dobrej rodziny... Czy tamta... wychowanka wozu karo ma mniej zalet? Nie dać się! Do przodu! Do przodu!”

As-Sajjid siedział pochylony nad rachunkami, kiedy o próg sklepu stuknęły pantofle na wysokich obcasach. Podniósł wzrok zaintrygowany i zobaczył korpulentną kobietę owiniętą w milaję, a róg czarnej zasłony odkrywał śnieżnobiałe czoło i uczernione kuhlem oczy. Poznał od razu panią Umm Mariam czy też raczej wdowę po As-Sajjidzie Radwanie, bo tak ją ostatnio nazywano, i twarz rozjaśniła mu się uśmiechem powitania. Długo czekał na jej przyjście. Dżamil al-Hamzawi zajęty był innymi klientami, więc As-Sajjid poprosił, aby usiadła obok jego biurka. Kobieta podeszła kołysząc biodrami, usiadła na małym stołku, który wypełniła całkowicie, i także go pozdrowiła. W ich powitaniu nie było niczego niezwykłego, tak zwykle As-Sajjid witał klientki godne szacunku. Mimo to w części sklepu wokół biurka atmosfera naelektryzowała się i sytuacja stała się niedwuznaczna. Widać to było po opuszczonych wstydliwie powiekach po obu stronach *arus al-burku* i po jego przyczajonym nad ogromnym nosem wzroku. Elektryczność ukryta, ale jej wewnętrzne światło gotowe było rozbłysnąć promieniami i rozgorzeć ogniem pod jednym dotknięciem. Tak jakby czekało na tę wizytę, którą zrodziły wypowiedane szeptem nadzieje i dławione marzenia. Śmierć As-Sajjida Muhammada Ridwana pobudziła umysł As-Sajjida i wskrzesiła jego pragnienia, jak schyłek zimy pobudza różne młodzieńcze nadzieje. Jednak smutek ciągle hamował porywy jego męskości, choć przecież mógł sobie tłumaczyć, że nieboszczyk był tylko sąsiadem, nie przyjacielem, no i... już nie żyje. O ile kiedyś uciekał od urody tej kobiety mając na uwadze swoją cześć, to teraz pragnął wyrazić to, co czuje, i domagać się swojego udziału w rozkoszach życia, tym bardziej że jego uczucie do Zubajdy już zaczynało być przejrzałe jak nie zerwany, gnijący na drzewie owoc pod koniec sezonu. Tak więc tym razem, w przeciwieństwie do poprzedniej wizyty, kobieta miała przed sobą mężczyznę spragnionego i wolnego kochanka. Przemknęła mu co prawda przez głowę przykra myśl, że jest to być może niewinna wizyta, ale odepchnął ją zdecydowanie, przywołując w pamięci delikatne gesty, uwagi, cudowne domysły z poprzednich odwiedzin. Postanowił w końcu, że sam, jako stary wyjadacz, poszuka do niej drogi.

– Świetnie, że pani do nas zajrzała – powiedział.

– Niech Bóg będzie dla ciebie szczodry, As-Sajjidzie, wracam do domu i postanowiłam wstąpić i zrobić miesięczne zakupy – odpowiedziała nieco zmieszana.

Oczywiście nie wierzył w jej usprawiedliwienie. Skoro pomyślała, że lepiej będzie, jeżeli sama robi zakupy na cały miesiąc, to musiał być jakiś powód, zwłaszcza że na pewno zdawała sobie sprawę z tego, że jej wizyta, po tamtych, wstępnych, musi wyglądać podejrzanie i może wydać mu się „zaczepeką”. Jej usprawiedliwianie się tylko go w tym upewniło, odrzekł więc:

– Cieszę się, że mogę panią powitać i być na jej usługi.

Podziękowała mu krótko, czego nawet nie słyszał zajęty szukaniem następnego słowa. Może naturalne byłoby zagadnąć na temat zmarłego męża, wyrazić swój smutek, ale to

popsułoby atmosferę. Zastanowił się, czy zaatakować, czy też powstrzymać się i poczekać, aż ona sama to zrobi. Każdy sposób był dobry. Nie mógł nie brać pod uwagę, że już samo jej przyjście było odważnym krokiem zasługującym na dobre przyjęcie, więc powtórzył:

– Naprawdę, cieszę się, że panią widzę.

Poruszyły się jej powieki i brwi, wskazując być może na zawstydzenie lub zmieszanie, albo na jedno i drugie, ale przede wszystkim na to, że domyśliła się ukrytego znaczenia ostentacyjnej uprzejmości. On z kolei w jej zawstydzeniu, bardziej niż gdyby wyraziła to słowami, znalazł odpowiedź na pytanie o wewnętrzne motywy jej wizyty. I całkowicie przekonany o trafności swoich domysłów zaczął potwierdzać to, co już powiedział:

– Tak, naprawdę cieszę się, że panią widzę.

– Nie sądzę, żeby moja wizyta była dla pana takim szczęściem – odpowiedziała z wyrzutem.

Ton wyrzutu i nagany ucieszył go, mimo to zaprotestował:

– Czasami podejrzenie jest grzechem, jak mówią.

Pokiwała głową, jakby chciała powiedzieć: „Mów sobie, co chcesz, ja swoje wiem”, i odrzekła:

– To nie tylko podejrzenie, wiem, co mówię, jest pan mężczyzną i nie brakuje panu rozumu, a i mnie także, mimo że myśli pan inaczej, nie wypada więc, żeby jedno oszukiwało drugie.

Takie słowa w ustach kobiety, której mąż zmarł dopiero dwa miesiące temu, wzbudziły w nim uczucie goryczy i sarkazmu, usprawiedliwił ją jednak, rzecz, która w innych warunkach byłaby nie do pomyślenia: „Ileż musiała mieć cierpliwości w czasie jego długiej choroby.” Ale zdecydowanie oderwał się od tych myśli i odparł z udanym smutkiem:

– Zła na mnie? Co za nieszczęście, nie zasłużyłem na to.

Może z powodu nieodpowiedniego miejsca i braku czasu na przekomarzenie się, powiedziała porywczo:

– Idąc tu mówiłam sobie: „Nie powinnaś tam iść”, i teraz mogę mieć pretensję tylko do siebie.

– Skąd ten gniew, proszę pani? Pytam, czym zawiniłem?

– Co by pan zrobił, gdyby witając kogoś otrzymał odpowiedź nawet nie równie uprzejmą, ale wręcz nieżyczliwą?

Odgadł od razu, że jest to aluzja do dawnej wizyty, podczas której potraktował ją nie dość depłto, ale udał, że nie rozumie i odpowiedział tak jak ona zagadkowo:

– Być może z jakiegoś powodu powitanie nie doszło do jego uszu?

– Ma wyostrzony słuch tak jak i wszystkie zmysły.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu zadowolenia.

– Może nie odpowiedział jej ze wstydu, a może jest aż tak bogobojny? – odparł tonem skruchy. Jej otwarta i śmiała odpowiedź nie tylko go zdziwiła, ale wręcz nim wstrząsnęła.

– O, jeśli o to chodzi, to wstydu on nie zna, a inne wymówki, to... lepiej o tym nie mówmy.

O mało nie wybuchnął śmiechem, zakrył usta i spojrzał ukradkiem na Dżamila al-Hamzawiego zajętego klientami.

– Nie chcę wracać do tych nieprzyjemnych okoliczności, ale nie wolno popadać w rozpacz, dopóki istnieje żal i przebaczenie.

– A skąd mamy wiedzieć o żalu?

– Długo łykałem łyzy żalu, Bóg mi świadkiem – odpowiedział z żarem, tonem szczerym, który mistrzowsko z biegiem lat opanował.

– A gdzie przeproszenie i naprawa winy?

– Teraz odpowiem na każde powitanie stokroć serdeczniej – odparł, patrząc na nią rozpalonym wzrokiem.

– A skąd pan wie, że przebaczenie w ogóle wchodzi w rachubę?

– Czyż nie jest ono przypisane ludziom wielkodusznym? I często jest kluczem do rajy...

Zobaczył słodki uśmiech w jej oczach i dodał:

– Raj, który mam na myśli, leży na skrzyżowaniu ulic Bajna al-Kasrajni i An-Nahhasina. Szczęśliwym trafem jego drzwi otwierają się na boczny zaułek schowany zupełnie przed oczami obserwatorów i nie mają stróża.

Przyszło mu do głowy, że nieboszczyk nazywał się właśnie strażnikiem niebieskiego rajy<sup>25</sup>, a był strażnikiem rajy ziemskiego, do którego daremnie szukał drogi. Zaniepokoił się, że kobiecie też mogła wpaść do głowy ta sarkastyczna prawda, spojrzął na nią i odetchnął, bo wyglądała na pogrążoną jakby w półśnie, w marzeniach. „Boże, przebac”, szepnął w duchu.

Dżamil al-Hamzawi skończył załatwiać klientów i podszedł do Umm Mariam, aby zapytać, co ma jej przygotować. As-Sajjid tymczasem miał chwilę na rozmyślanie. Przypomniało mu się, że Fahmi pragnął kiedyś zaręczyć się z Mariam, córką tej kobiety. Bóg natchnął go, żeby odmówił. Uważał wtedy, że wyraża tylko wolę swojej żony, a nie przyszło mu do głowy, że odsunął od syna tragedię, która byłaby jego udziałem jako męża. Córka przecież idzie za przykładem matki. A tu taka matka! Kobieta niebezpieczna! Dla takich łowców jak on to cenna perła, ale w domu to krwawy dramat. Ciekawe, jak się zachowywała przez te lata, kiedy jej mąż pozostawał żywym trupem? Sprawa wygląda na jednoznaczną. Może wielu sąsiadów wie o tym, on sam pewnie też by wiedział, gdyby w domu był ktoś, kto by miał oko na te sprawy, a Amina nie miałaby do niej takiego zaufania, jakie ma do dziś. Znowu opanowała go chęć, żeby przerwać kontakty tej cynicznej, zepsutej kobiety z jego czystym domem. Po raz pierwszy odczuł ją po tej dawnej, podejrzanym wizycie, ale wtedy nie znalazł bezpiecznego powodu, który by nie wzbudził podejrzeń. Teraz widzi sprzyjające okoliczności urzeczywistnienia tego zamiaru z powodu oczekiwanego romansu z nią. Zasugeruje jej zerwanie kontaktów z jego żoną w sposób nie rzucający się w oczy, a powód będzie jasny i usprawiedliwienie prawdziwe. Osiągnie cel nie narażając opinii tej kobiety, która stała się tak bliska jego sercu, a jednocześnie tak niegodna jego szacunku.

Al-Hamzawi zapakował jej zakupy. Wstała i wyciągnęła rękę do As-Sajjida. Uśmiechnął się i powiedział cicho:

– Do zobaczenia.

– Czekamy – szepnęła kierując się do wyjścia.

---

<sup>25</sup> Zmarły mąż nazywał się Muhammad Ridwan. Ridwan po arabsku znaczy anioł strzegący wstępu do rajy.

Zostawiła go w stanie euforii, upojonego szczęściem zwycięstwa, ale też z problemem, który miał zająć poczesne miejsce wśród jego codziennych spraw, mianowicie, jak przyzwolicie wycofać się z domu Zubajdy. Był to problem takiej samej rangi, jak poczynania władzy wojskowej w Egipcie, dotyczące pozostania lub opuszczenia kraju przez Anglików i zamierzeń Sa'da. W ten sposób rodzące się szczęście jak zwykle ciągnęło za sobą całe mnóstwo spraw dających do myślenia. Gdyby nie szczególna dbałość o miłość u ludzi, tę miłość, która była jego największym szczęściem, porzuciłby po prostu Zubajdę, bo zażyłość z nią przestała go już bawić, barwy zbladły i z przesyty zagłębił się w zatęchłym bagnie. Zawsze jednak dbał o to, żeby nie zostawiać za sobą zagniewanego serca i zawistnej duszy. Kiedy mu już doskwierała nuda, pragnął raczej, żeby to on był porzuconym niż porzucającym, żeby to ukochana jego opuściła. Dlatego zależało mu na tym, żeby jego związek z Zubajdą skończył się tak jak z innymi: przelotnym smutkiem, który zmyją wyszukane podarunki na rozstanie, później powinna ich łączyć już tylko mocna więź przyjaźni. Czy Zubajda, która uważa, że on nigdy się nią nie nasyci, łagodnie przyjmie jego odejście i usprawiedliwienia? Czy tylko zażąda, żeby ją przeprosił prezentami? Czy udowodni, że jest kobietą o wielkim sercu jak na przykład jej koleżanka Dżalila? Nie powinien długo się namyślać, ale przygotować do osiągnięcia sukcesu. Wzdychał głęboko, jakby narzekał, że miłość przechodzi, że nie trwa wiecznie, sprawiając kłopoty sercu. A potem wyobraźnia przeniosła go w godziny wieczorne i wydało mu się, że skrada się w ciemnościach, szukając po omacku drogi do umówionego domu, a kobieta czoka na niego z lampą w ręku.

„Anglia ogłosiła samowładnie protektorat, nie pytając o zdanie narodu egipskiego. Protektorat jest bezprawny, nie istnieje bowiem żadna uzasadniająca go ustawa. Jest to po prostu jeden z ciężarów wojny, która już dobiega końca.”

Fahmi dyktował te słowa powoli, dobitnie i jasno, a matka, Jasin i Zajnab śledzili z zainteresowaniem to nowe dyktando, nad którym męczył się Kamal, koncentrując uwagę na poprawnym pisaniu słów, nie na ich znaczeniu. Fahmi często w czasie popołudniowej kawy robił Kamalowi dyktanda, ale treść dzisiejszego była zupełnie inna i nowa także dla matki i Zajnab.

– Widzę, że te sprawy pochłoneły cię całkowicie – odezwał się Jasin – Bóg dał ci natchnienie do wygłaszania patriotycznych, politycznych przemówień, za które idzie się do więzienia, a które ten biedny chłopiec musi pisać.

– Jest to przemówienie Sa'da, które wygłosił przed okupantami w Stowarzyszeniu Ekonomistów i Prawników – wyjaśnił Fahmi.

– A co oni na to? – spytał zdumiony Jasin.

– Jeszcze nic, ale każdy zadaje sobie pytanie, jaka będzie ich odpowiedź. Wściekły gniew na obliczu Iwa nie zapowiada łagodności ani sprawiedliwości. Musieli być wściekli, skoro odmówili delegacji zgody na wyjazd, a premier Ruszdi Pasza podał się do dymisji ku rozczarowaniu króla.

Fahmi mówił z gniewem, podniecony; nagle wyskoczył z pokoju i zaraz wrócił ze złożoną kartką papieru.

– Znam nie tylko to przemówienie; jest jeszcze ulotka, którą rozprowadza się potajemnie. Masz, czytaj. Zawiera list delegacji do władcy.

Jasin zaczął czytać:

„Najjaśniejszy Panie, my, niżej podpisani członkowie delegacji egipskiej, mamy zaszczyt przedstawić Waszej Królewskiej Mości w imieniu narodu egipskiego, co następuje:

Strony walczące ustaliły oto, że podstawą traktatu będą zasady wolności i sprawiedliwości, i oświadczyły, że wezmą pod uwagę zdanie narodów, których sytuacja zmieniła się na skutek działań wojennych, jeśli chodzi o sprawę władzy nad nimi. W związku z tym wzięliśmy na swoje barki ciężar starań o niepodległość naszego kraju i obronę jego interesów na Konferencji Pokojowej, ponieważ prawo silniejszego zniknęło z politycznej areny. Nasz kraj wraz z upadkiem władzy tureckiej stał się wolny od wszelkich zobowiązań, gdyż protektorat, który ogłosili Anglicy bez zgody narodu egipskiego, jest bezprawny i był jedynie koniecznością, która mija wraz z zakończeniem wojny. Biorąc pod uwagę te okoliczności i to, że Egipt poniósł straty równe tym, jakie ponieśli d, którzy podnoszą sprawę ochrony wolności małych narodów, Konferencja Pokojowa nie może nie przyznać nam wolności politycznej zgodnie z zasadami, na jakich się ona opiera.

Przedstawiliśmy naszą prośbę o pozwolenie na podróż waszemu premierowi, panu Husajnowi Ruszdiemu Paszy. Obiecał nam pomoc wierząc, że reprezentujemy poglądy całego narodu. Ale nie pozwolono nam jechać, zostaliśmy uwięzieni w granicach własnego kraju siłą despotyzmu, a nie mocą prawa, i nie pozwolono nam bronić losu tego nieszczęsnego narodu. Jego Ekszelencja nie mógł pozostać na stanowisku w momencie, gdy zdławiono wolę narodu, i wraz z Jego Ekszelencją Adi Jakunem Paszą podał się ostatecznie do dymisji, która została przyjęta przez naród z szacunkiem. Ludzie uważają, że ich szlachetna, prawdziwie patriotyczna postawa w obronie wolności miała poparcie Waszej Królewskiej Mości i dlatego nikt w Egipcie nie oczekiwał, że ostatecznym rozwiązaniem kwestii podróży delegacji będzie przyjęcie rezygnacji obydwu ministrów. Akceptacja tej dymisji oznacza bowiem poparcie Anglików, którzy pragną nas poniżyć, i jest to równocześnie poparcie wysiłków, by nie dopuścić narodu na Konferencję Pokojową, aby wyraził swoje zdanie. Inaczej mówiąc, jest to zgoda na wieczne obce panowanie nad nami.

Wiemy, że prawdopodobnie Wasza Wysokość był zmuszony ze względów rodzinnych objąć tron po swoim Wielkim Ojcu, opuszczony po śmierci brata Waszej Wysokości, zmarłego króla Husajna, ale z drugiej strony, naród uważa, że skoro Wasza Wysokość, troszcząc się o sprawy rodzinne, objął tron w czasie tymczasowego, bezprawnego protektoratu, to jednak nie jest zwolniony od działania na rzecz niepodległości kraju, A rozwiązanie problemu przez przyjęcie dymisji dwóch ministrów, którzy okazali szacunek dla woli narodu, nie zgadza się z tym, co się mówi o miłości Waszej Wysokości do kraju i liczeniu się z wolą narodu. Ludzie dziwili się doradcom Waszej Wysokości, że nie zwrócili uwagi na zdanie narodu w tej krytycznej sytuacji, która wymaga od króla – najprawowitszego syna wielkiego wyzwoliciela Muhammada Alego – aby był jego oparciem i przyniósł mu niepodległość, niezależnie od tego, jaka by była jej cena. Wasza Królewska Mość powinien zachować niezłomne zasady niezależnie od okoliczności.

Jak doradcy mogli nie wiedzieć, że ogłoszenie dymisji Ruszdiego Paszy nie pozwala żadnemu uczciwemu patriocie egipskiemu zająć po nim stanowiska? Jak mogli nie wiedzieć, że rząd, który tworzy program wrogi woli narodu, jest skazany na porażkę.

Przepraszamy naszego Władcę za wystąpienie w tych, być może nieodpowiednich, okolicznościach, ale sprawy przybrały taki obrót, że w tej chwili nie liczy się nic poza korzyścią ojczyzny, której jest wiernym sługą. Nasz Władca ma najwyższą pozycję w kraju i obarczony jest największą za niego odpowiedzialnością. W Nim też pokładamy największe nadzieje i nie damy Mu kłamliwej rady, jeśli nas o nią poprosi chcąc poznać opinię narodu, zanim podejmie ostateczną decyzję w sprawie obecnego kryzysu. Zapewniamy Waszą Wysokość, że jak kraj długi i szeroki, nie znajdzie się jeden poddany, który nie żądałby niepodległości kraju, i wielką odpowiedzialność bierze na siebie ten, kto czyni wbrew żądaniom narodu. Doradcy powinni o tym wiedzieć, ale nie zbadali sprawy rzetelnie i do końca. Dlatego w poczuciu obowiązku służby naszemu krajowi i naszej wierności władcy przekazujemy naszemu Panu uczucia jego ludu, który teraz żyje nadzieją niepodległości i obawia się, aby nie manipulowały nim ręce kolonialistów. Naród domaga się swoich praw, pragnie, żeby władca podzielił jego gniew i stanął po jego stronie, bo tylko wtedy cel zostanie osiągnięty. Zaprawdę władca jest w stanie zadośćuczynić woli narodu.”



Jasin podniósł zdumione oczy znad broszury, a serce biło mu nowym wzruszeniem. Jednak pokręcił głową i powiedział:

– Co za mowa! Gdybym ja wygłosił coś takiego przed moim dyrektorem, kara by mnie nie ominęła.

– Sprawa w tej chwili jest tak poważna, że nie liczy się nic poza korzyścią ojczyzny – powiedział Fahmi wzruszając ramionami.

Powtórzył to zdanie z ulotki, aż Jasin roześmiał się.

– Znasz to na pamięć. Ale nie dziwię się, cały czas śledzisz ten ruch, żyjesz nim. Podzielał twoje uczucia i nadzieje, ale nie zgadzam się na przechowywanie tej ulotki, zwłaszcza po dymisji ministrów i prowokacyjnym narzuceniu stanu wyjątkowego...

– Ja je nie tylko przechowuję – powiedział Fahmi z dumą – podjąłem się także ich rozprowadzania.

Jasin spojrział na niego z lękiem. Chciał coś powiedzieć, ale wyprzedziła go matka:

– Nie wierzę własnym uszom. Jak rozsądny człowiek może narażać się na takie niebezpieczeństwo?

Fahmi nie wiedział, co odpowiedzieć, czuł, że głupio wpadł w kłopotliwą sytuację. Łatwiej było dosięgnąć nieba, niż przekonać matkę, że narażanie się na niebezpieczeństwo dla ojczyzny jest obowiązkiem. Przecież dla niej ta cała ojczyzna niewarta jest funta kłaków. Co więcej, samo wypędzenie Anglików z Egiptu jest łatwiejsze niż przekonanie jej o obowiązku ich wypędzenia albo wzbudzenie nienawiści do nich.

Rozmowa toczyła się nadal wokół tego tematu, aż matka spytała naiwnie: „Dlaczego ich tak nienawidzisz, synku? Czyż to nie są tacy sami ludzie jak my, nie mają dzieci i matek?” „Ależ oni okupują nasz kraj”, odparł ze złością. Matka zamilkła widząc jego gniew i odwróciła wzrok z żalem. „Co tobie do tego?”, zastanawiała się. Kiedyś, rozżłoszczony jej rozumowaniem powiedział: „Naród nie może żyć pod obcym panowaniem”, a ona odparła ze zdziwieniem: „Jakoś ciągle jesteśmy żywi, mimo że rządzą nami od tak dawna. Was wszystkich urodziłam w cieniu ich władzy. Nie zabijają, nie napadają na meczety i ciągle wierni muzułmanie mają się dobrze.” Odparł rozgoryczony: „Gdyby nasz pan Muhammad żył, nie byłby zadowolony, że rządzą nami Anglicy.” „To prawda – odparła tonem mędrca – ale gdzie nam do Proroka, niech mu będzie pokój i modlitwa. Bóg go wspomagał aniołami.” „Sa’d Zaghlul sam dokona tego, co zrobiliby aniołowie”, krzyknął z gniewem. „Nie mów tak synku I – przeraziła się matka podnosząc ramiona, jakby chciała odepchnąć wiszące nad nimi nieszczęście. – Niech ci Bóg przebaczy i będzie dla ciebie miłosierny.”

Taka jest matka, co ma więc teraz jej powiedzieć, kiedy ona uważa, że za rozprowadzanie ulotek grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo? Postanowił skłamać i rzucił niedbale:

– Chciałem tylko zażartować, nie martw się.

– Wierzę, synku, jesteś najrozsądniejszy z rozsądnych. Nie są to nasze sprawy. Jeżeli nasi panowie uważają, że Anglicy mają opuścić Egipt, to niech ich wypędzą sami.

W czasie całej rozmowy Kamal przysłuchiwał się tylko nie zabierając głosu, jakby chciał zapamiętać to, co najważniejsze, w końcu krzyknął:

– Nauczyciel arabskiego powiedział nam wczoraj, że narody wyzwalają się same, jeżeli tak postanowią ich obywatele.

– Może zwracał się do starszych uczniów – odparła – mówiłeś, że macie uczniów, którym już się sypią wąsy.

– A Fahmi nie jest starszym uczniem?

– Skąd, twój brat nie jest starszym uczniem, dziwię się temu nauczycielowi, jak mógł opowiadać wam takie rzeczy zamiast was uczyć. Jeżeli chce być prawdziwym patriotą, niech z taką mową zwraca się do swoich synów w domu, a nie do synów innych ludzi.

Dyskusja stawała się coraz bardziej zażarta, ale jedno słowo zmieniło całkowicie jej tor. Zajnab, chcąc przypodobać się matce i poprzeć ją, zaatakowała nauczyciela arabskiego: „To tylko jakiś nędzny student Al-Azharu, który nagle, dzięki rządowi, stał się kimś.” Matka poderwała się, kiedy usłyszała słowo „Al-Azhar” wypowiedziane z takim lekceważeniem, i mimo że było to poparcie dla niej, nie mogła go przyjąć ze względu na świętą pamięć ojca.

– Wyrażasz się pogardliwie, córko, o najczcigodniejszych ludziach, szajchach, następcach proroków – zwróciła się do Zajnab spokojnie. – Tego człowieka obwinia się tylko o to, że przekroczył granice swojej czcigodnej funkcji. Oby zadowolił się tylko tym, że jest studentem Al-Azharu i szajchem, a nie siał zamętu.

Jasin domyślił się, dlaczego matka nagle zmieniła ton, i wtrącił się pospiesznie, aby zatrzeć ślad, jaki zostawiła niefortunna wypowiedź jego żony.

– Spójrz na ulicę, spójrz na ludzi, kto powie, że to nie katastrofa?!

Ale As-Sajjid nie potrzebował wyglądać na ulicę. Ludzie mówili o tym wysoko, jego przyjaciele zagłębiali się w gorące dyskusje, w których żal i smutek mieszał się z gniewem. Wszyscy, przyjaciele i klienci, ktokolwiek wstępował do sklepu, przynosili tę samą wiadomość. Sa'd Zaghluł i jego towarzysze zostali aresztowani i zamknięci gdzieś w Kairze albo poza nim. Potwierdził to też As-Sajjid Muhammad Iffat gotując się z gniewu.

– Nie wątpcie w prawdziwość wiadomości – mówił – bo złe wiadomości mają zapach, który zatyka nosy.

Tego właściwie należało oczekiwać po przemówieniu delegacji i po jej ostrej odpowiedzi na brytyjskie ostrzeżenie.

– Aresztowali wielkich paszów! Straszne I Ciekawe, co z nimi zrobią.

– Bóg jeden wie. Kraj dusi się w stanie wyjątkowym...

Do sklepu wpadł zdyszany As-Sajjid Ibrahim al-Far, kupiec wyrobami z miedzi.

– Słyszeliście ostatnie wiadomości? Malta! Zesłali ich na Maltę! Na wyspę Maltę! Ani Sa'da, ani jego towarzyszy już tu nie ma.

– Zesłali ich?! – krzyknęli wszyscy naraz.

Słowo „zesłanie” przywołało bulwersujące wspomnienia dzieciństwa, dawne i smutne, o Urabim Paszy, o jego śmierci. Czyżby to samo miało spotkać Sa'da Zaghluła i jego towarzyszy? Czy naprawdę już nigdy nie wrócą do ojczyzny? Czyżby miały umrzeć te ogromne nadzieje, które dopiero zaświtały? Ciężki, przygniatający smutek kładł się na piersi As-Sajjida jak duszności. Wszyscy stali nieruchomo patrząc na siebie i łykając gorzką ślinę. Nic nie mówili, ale ich wzrok krzyczał z rozpacz i żalu. Zaczęli się schodzić inni znajomi i przyjaciele szukając spokoju i pocieszenia, którego nie mogli znaleźć w sobie samych.

– Czyżby nadzieje miały zostać pogrzebane dziś, tak jak zostały pogrzebane wczoraj?

Nikt nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie, próżno było szukać odpowiedzi w nachmurzonych, smutnych, gniewnych twarzach. Ale też trudno było uwierzyć w to najgorsze. Sa'd został zesłany, to fakt... Ale czy kiedyś wróci? I w jaki sposób? Jaka siła przywróci go Egiptowi? Sa'd nigdy nie wróci. Co się stanie z ich wielkimi nadziejami? Z nadziei wyrosło nowe, gorące, głębokie życie, które nie pozwalało poddawać się rozpacz, ale teraz nadzieje przepadły... Nie wiedzieli, jak się pocieszyć.

– A może to jednak plotka?

Nikt nie zwrócił uwagi na tego, kto to powiedział, zresztą, on sam nie czekał na odpowiedź, bo w rzeczywistości było to tylko rozpaczliwe szukanie ratunku.

– Uwięzili go Anglicy, a kto z nimi wygra?

– Taki człowiek! Przeżył wspaniałą chwilę i przeminął...

– Jak sen... Ludzie zapomną o wszystkim i pozostanie z niego to, co zostaje rano ze snu.

– Ale przecież jest Bóg!

– Tak... Najmiłosierniejszy i Najlitościwszy.

Słowo „Bóg” przyciągnęło ich jak biegun magnetyczny, zebrało ich błądzące i rozproszone z rozpaczmyśli.

Tego wieczora, po raz pierwszy od ćwierci wieku albo i więcej, spotkanie towarzyskie było smutne, wręcz ponure, bez śpiewu i radości. Nawet ci, którzy mieli ochotę popić sobie i nie poddawali się smutkowi, byli poważni z szacunku dla uczuć ogółu, wczuwając się w sytuację. Rozmowa toczyła się wokół osoby wygnanego przywódcy, ale w końcu temat wyczerpano i zaległa cisza. Kręcili się niespokojnie, nie mogąc znaleźć sobie miejsca, z nadzieją, że któryś z nich w końcu podejmie śmiałą decyzję i da hasło do picia, aby rozładować napięcie. Jednak tak się nie stało. As-Sajjid Muhammad Iffat wstał nagle i powiedział:

– No, czas wracać do domu.

Właściwie nie to miał na myśli. Raczej uważał, że jeżeli mają tracić czas siedząc tak jak teraz, to lepiej iść do domu. Długa zażyłość pozwoliła im zrozumieć delikatną aluzję i kupiec mąką Ali Abd ar-Rahim ośmielił się na nią zareagować.

– Wróćmy do domów nie pocieszywszy się po nieszczęściach tego dnia choćby jednym kieliszkiem?

Odczuli to tak jak słowa chirurga, który wychodząc z sali operacyjnej mówi do rodziny chorego: „Chwała Bogu operacja udała się.”

– Jak to, dzisiaj pić? – odezwał się ktoś ukrywając rozsadzającą piersi ulgę i radość.

– A niech piją sami – odezwał się As-Sajjid Ahmad drwiąco – a my wychodzimy, ty, ty... sukinsynu.

Po raz pierwszy wybuchnęli śmiechem i zaraz przynieśli butelki, a As-Sajjid jakby usprawiedliwiając ich postępowanie dodał:

– Zabawa nie zmienia przecież ludzkich serc.

Przytaknęli. Ale był to chyba pierwszy wieczór, kiedy tak długo wahali się, zanim dali się namówić dziewczynom.

– Sa’d pragnął szczęścia Egipcjan, a nie ich udręki, więc nie wstydźcie się popijać w smutku – powiedział As-Sajjid poruszony widokiem butelek.

Smutek nie przeszkadzał im żartować, ale ten wieczór nie był jak inne, niezmaconą niczym radością. Nazywał go potem As-Sajjid „chorym wieczorem”, który leczyli łykami wina.

\* \* \*

Rodzina zebrała się przy popołudniowej kawie w ponurej atmosferze. Fahmi mówił wzburzony, ze łzami w oczach, Jasin słuchał smutny. Matka z początku próbowała ich rozerwać, ale wkrótce, w obawie, że wszystko obróci się przeciwko niej, umilkła i zaraźliwe przygnębienie udzieliło się i jej. Litowała się nad biednym starcem, którego odłączyli od domu i żony i wysłali gdzieś daleko.

– Smutne – odezwał się Jasin – że tacy mężowie jak Abbas, Muhammad Farid, Sa’d Zaghlul błąkają się teraz daleko od ojczyzny.

– Ależ ci Anglicy są podli – powiedział Fahmi – rozmawiamy z nimi jak ludzie nieszczęśliwi, prosząc o życzliwość, a oni odpowiadają groźbami użycia wojsk, banicją, zesłaniem...

Matka nie mogła patrzeć na wzruszenie i nieszczęśliwą twarz syna, więcej ją to obchodziło niż tragedia przywódcy.

– Niech się Bóg zlituje nad tobą, synku, niech będzie dla nas litościwy – powiedziała.

Ale to tylko rozdrażniło Fahmiego.

– Jeżeli na terror nie odpowiemy słusznym gniewem, to nasza ojczyzna zginie. Nie wypada, żeby kraj rozkoszował się spokojem, gdy jego przywódca, który ofiarował sam siebie, znosi tortury więzienia.

– Całe szczęście, że wśród wygnanych jest szajch Al-Basil Pasza – myślał na głos Jasin. – To szajch potężnego i groźnego plemienia Al-Dżanab i nie sądzę, żeby współplemieńcy nie zareagowali na jego wygnanie.

– A inni? To też ludzie! To nie jest problem plemienia, to problem całego narodu.

Rozmowa toczyła się burzliwie z coraz większym żarem i gniewem, tylko obydwie kobiety milczały ze strachu. Zajnab nie mogła pojąć motywów wzburzenia mężczyzn, nie rozumiała go. Sa'd i jego ludzie zostali wygnani. Na pewno gdyby żyli tak, jak żyją „słudzy Boży”, nikt by nie pomyślał o ich wygnaniu. Sami tego chcieli, niepotrzebnie brali się do rzeczy niebezpiecznych, planów o groźnych następstwach. Zresztą wszystko jedno, po co ten Fahmi tak się gorączkuje, szaleje, oburza, jakby Sa'd był jego ojcem albo bratem. A skąd taki żal u Jasina, tego pijaka, który nigdy trzeźwy nie pójdzie spać? Czy taki jak on może naprawdę zmartwić się wygnaniem Sa'da i innych? Jakby nie dość miała smutków i zmartwień, Fahmi tym bezsensownym wzburzeniem zmaćił radość krótkiej chwili popołudnia. Myślała o tym wszystkim obserwując męża to ze zdziwieniem, to z gniewem. „Jeżeli naprawdę jesteś taki zmartwiony, to nie wychodź dziś wieczorem do winiarni, chociaż dziś wieczorem, jeden raz.” Nie odezwała się oczywiście słowem. Za mądra była, żeby rzucić w ten wrzący potok swoje zimne myśli. Matka zachowywała się podobnie, nie śmiała się odezwać, choć uważała cały ten gniew za niepotrzebny. Skuliła się w sobie i w milczeniu śledziła ze strachem gwałtowną rozmowę braci. Bardziej jednak niż żona Jasina rozumiała powody ich emocji. Pamiętała Urabiego i serce jej ciągle pełne było żalu po „naszym Efendi”. Słowo „wygnanie” nie brzmiało dla niej pusto, ale było pozbawione nadziei, która ciągle igrała takimi osobami, jak Fahmi. Słowo to kojarzyło się jej, tak jak jej mężowi i jego przyjaciółom, z beznadziejnym czekaniem na powrót. No bo gdzie jest „nasz Efendi”? Czy jest ktoś godniejszy od niego, żeby wrócić do ojczyzny? A czy Fahmi będzie cały czas taki smutny podczas wygnania Sa'da? Co za nieszczęśliwe czasy. Na dobranoc złe nowiny, na dzień dobry złe nowiny. Jak bardzo pragnęła, żeby do domów wrócił spokój i równowaga ducha, żeby popołudniowa kawa znów była przyjemnością jak przez całe życie, żeby Fahmi znów był pogodny i mówił o rzeczach przyjemnych. Jak bardzo tego pragnęła.

– Malta! To tu jest ta Malta! – krzyknął nagle Kamal odrywając się od mapy Morza Śródziemnego i trzymając palec na wyspie spojrzął z triumfem na brata, jakby znalazł samego Sa'da Zaghulę.

Fahmi, zasepiony, nie okazał mu żadnego zainteresowania. Kamal zmieszany i zawstydzony wrócił do mapy i zaczął obliczać odległość między Malcią a Aleksandrią i między Malcią a Kairem. Wyobrażenia podsunęła mu obrazy wyspy i ludzi, o których mówiono. Zwłaszcza wyobraził sobie Sa'da niesionego przez Anglików na „ostrzu kopii”, jak to powiedział Fahmi, ale nie cierpiącego i krzyczącego z bólu, a „twardego jak skała”, jak go opisał Fahmi w dalszym ciągu rozmowy. Bardzo chciał zapytać brata o tajemnicę tego wspaniałego człowieka, który potrafił być „twardy jak skała na ostrzu kopii”, ale wobec gniewu i wzburzenia Fahmiego, które zupełnie zmałyły spokój popołudnia, postanowił odłożyć to na odpowiedniejszą chwilę.

Wreszcie Fahmi miał dość siedzenia i dyskusowania w tym towarzystwie. Nawet Jasin zajmował raczej stanowisko widza, jeśli w ogóle nie odrzucał tego, co rozpałało jego umysł i serce. Ciągnęło go do kolegów zebranych w kawiarni Ahmada Abduha, gdzie miał bratnie dusze, gdzie serca podzielały jego uczucia, a usta wypowiadały jego poglądy. Tam usłyszy pałające gniewem słowa, tam jego śmiałe, gorące postulaty pełnej wolności znajdą wspaniałą atmosferę i będą przyjęte z radością. Pochylił się do ucha Jasina:

– Do kawiarni Ahmada Abduha.

Jasin westchnął z ulgą, bo już od dawna zastanawiał się, jak wybrnąć z trudnej sytuacji, wysliznąć się z domu i udać na zwykłe wieczorne hulanki, a jednocześnie nie podsycić gniewu brata. Nie udawał smutku, wiadomości wstrząsnęły nim naprawdę, ale z łatwością zapomniałby o wszystkim, gdyby został sam. W obcowaniu z Fahmim był napięty, męczył go szacunek, jaki musiał okazywać jego patriotycznym uczuciom i świętemu gniewowi. „Na dziś wystarczy, już się dosyć namęczyłem dla ruchu patriotycznego. Mojemu ciału też się coś należy”, pomyślał wychodząc z pokoju.

Odgłosy wyrabiania ciasta dochodziły z kuchni na górę i Fahmi otworzył oczy. W pokoju panował półmrok, okna były zamknięte, a przez szpary w okiennicach sączyło się światło. Regularny, cichy oddech Kamala dochodził z sąsiedniego łóżka. „To jest nowy ranek”, pomyślał zupełnie rozbudzony i pokrzepiony głębokim snem. Kto wie, czy jutro obudzi się w tym łóżku? Może nigdy już nie będzie nowego ranka? Śmierć krąży po ulicach Kairu, krąży po wszystkich zakątkach. Jakie to dziwne, matka wyrabia ciasto, jak zwykle, od dawien dawna, Kamal chrapie i zmienia sny, nad nimi Jasin zwałół się już z łóżka, bo słyhać kroki, a ojciec pewnie stoi wyprostowany pod zimnym prysznicem. Światło poranka, żywe i radosne, delikatnie prosi o pozwolenie wejścia. Życie toczy się zwykłym torem, jakby się nic nie działo, jakby cały Kair nie stanął na głowie, jakby kule nie świstały szukając piersi i głów... Jakby cuchnąca posoka nie użyźniała ziemi i nie pryskała na ściany. Przymknął oczy i uśmiechnął się do strumienia swoich myśli i uczuć, który niósł fale entuzjazmu i nadziei, wiary i smutku. Tak, w ostatnich czterech dniach prowadził intensywne życie w ukryciu, życie, o jakim śnił, podniosłe, czyste, pełne poświęceń, oddane całkowicie i dobrowolnie czemuś wspanialszemu, cenniejszemu i ważniejszemu niż ono samo. Naraża je na śmierć z obojętnością, wręcz szuka uparcie śmierci, lekceważy ją, ucieka przed jej pazurami i wraca nie bacząc na konsekwencje. Dąży do światła, poddaje się woli Bożej, czuje się otoczony i wypełniony boskością. Życie przestało się liczyć. Śmierć i życie zbratały się, stały się jedną ręką służącą jednej sprawie. Popychają go do walki i do ofiary. Gdyby nie ten potężny wybuch, umarłby z żalu i smutku, nie zniósłby, nie wytrzymał spokojnego, monotonnego życia na szczątkach ludzi i gruzach nadziei. To było konieczne. Wybuch wstrząsnął sercem ojczyzny i jego sercem jak trzęsienie ziemi, które uwalnia z jej wnętrza gorącą parę. Cekał na to i rzucił się z całym impetem w wir wydarzeń. Kiedy to się stało? Jak? Jechał tramwajem do Gizy na Wydział Prawa i naraz znalazł się w grupie studentów dyskutujących, wymachujących pięściami. Sa'd został zesłany! To dla nas policzek! Albo wróci i będzie kontynuował swoją działalność, albo my też pójdziemy na zesłanie! Przyłączyli się do nich pasażerowie, nawet konduktor przestał spełniać swoje obowiązki i włączył się do rozmowy. Co to była za chwila! Po nocy smutku i czarnej rozpaczony znowu zajaśniała nadzieja. Był przekonany, że ten świeżo rozpalony ogień nie zgaśnie. Dziedziniec uczelni był pełny, rozkrzyczany, rozedrgany. Podbiegli do kolegów wzruszeni, intuicyjnie oczekując czegoś ważnego. Ktoś nawoływał do strajku. Było to coś nowego, nigdy przedtem nie słyzył tego słowa. Ale wkrótce wszyscy krzyczeli: „Strajk! Strajk!”, i spakowali książki. Dyrektor Walton nadzwyczaj łagodnie poprosił, żeby rozeszli się do sal, ale w odpowiedzi jeden z chłopców stanął u szczytu schodów prowadzących do sekretariatu i zaczął przemawiać z ogromnym entuzjazmem. Dyrektorowi nie pozostało nic tylko usunąć się. Fahmi słyzył mówcy całą duszą, wpatrywał się w jego oczy, a serce waliło mu mocno i szybko. Żałował, że sam nie stoi na jego miejscu, że nie może wyrzucić z siebie tego, co czuje pałającym sercem.

Nie był jednak przygotowany do przemówienia i musiało mu wystarczyć słuchanie. Wreszcie mówca krzyknął: „Niech żyje niepodległość”, a wszyscy jak jeden mąż powtórzyli: „Niech żyje 1” Fahmi wtórował krzykowi, wsłuchiwał się w słowa, aż mówca zakończył następną część przemówienia okrzykiem: „Precz z protektoratem!” Fahmi stał nieruchomo, zeszywniały ze wzruszenia, przygryzał wargi powstrzymując łzy, które dławiły go w gardle nie pozwalając oddychać. Na zakończenie mówca wznosił okrzyk: „Niech żyje Sa’d!”, i Fahmi zakrzyknął razem z innymi, ale już inaczej, już nowym, radosnym głosem jak echo odbijającym stan jego duszy. I od tego dnia wszystko wydało mu się nowe. Jeszcze poprzedniej nocy, tuż przed tymi wydarzeniami, nieszczęśliwy i rozgoryczony powtarzał w myślach imię Sa’da, a jego entuzjazm, miłość, ambicje skierowane były ku jakimś wyższym ideałom, marzenia błędziły bez celu, rozproszone. I nagle wystrzeliło imię Sa’da i pociągnęło go, jak gołębia szybującego po niebie przyciąga gwizd jego właściciela. Nie wiadomo kiedy pojawił się Mr Imos, zastępca brytyjskiego radcy prawnego w Ministerstwie Sprawiedliwości. Przyjęli go okrzykami: „Precz z protektoratem! Precz z protektoratem!” Odpowiedział chłodno, ale łagodnie, radząc, żeby wzięli się do nauki, a politykę zostawili ojcom.

– Nasi ojcowie zostali uwięzieni! – krzyknął jakiś student. – Nie będziemy studiować prawa w kraju, w którym się prawo depreczu!

Podniósł się zgiełk i krzyk nie do opisania i Mr Imos zmuszony był odejść. Fahmi znowu pożałował, że to nie on wypowiedział to zdanie. Wszystko miał w głowie, to były jego myśli i uczucia, ale zawsze ktoś go wyprzedzał. Pocięsział się, że jeszcze nieraz będzie miał okazję wypowiedzieć się publicznie, że rekompensata go nie minie. Wypadki potoczyły się błyskawicznie. Ktoś wezwał do wyjścia na ulicę. Wznosząc okrzyki poszli pod Szkołę Inżynierską, gdzie przyłączyli się do nich jej słuchacze, potem na Wydział Rolniczy, Medyczny, Handlu, a wszędzie witano ich okrzykami i przyłączano się, jakby się umówili. Zanim doszli do placu As-Sajjidy Zajnab, utworzył się ogromny pochód, do którego stale dołączali mieszkańcy Kairu wznosząc okrzyki na cześć Egiptu, niepodległości i Sa’da. Wszędzie witał ich entuzjazm, wiara i poparcie mieszkańców, którzy spontanicznie uczestniczyli w manifestacji.

Jak to się wszystko stało? Czasami zdumienie przeważało nad wzruszeniem i przejęciem. Dopiero kilka godzin minęło od rana, kiedy jechał tramwajem na uczelnię, w rozpacz, w poczuciu klęski, i oto teraz przed południem uczestniczy w burzliwej demonstracji, w której każde serce bije jak jego serce, każda radość jest jego radością, każdy krzyk jego krzykiem. Było mu wstyd, że tak łatwo i przedwcześnie uległ rozpacz i załamaniu.

Na placu As-Sajjidy Zajnab ukazał mu się nowy obraz tego zadziwiającego dnia. Oto pędzi konna policja dowodzona przez angielskiego komisarza, wznosząc za sobą tuman kurzu, a ziemia drży pod kopytami koni. Pamięta, że ze zdumieniem patrzył w ich kierunku. Nigdy przedtem nie znalazł się w obliczu tak wielkiego niebezpieczeństwa. Rozejrzał się wokół, ale widział tylko rozentuzjasmowane, ale L gniewne twarze. Oddychał szybko, nerwowo wymachując ręką i krzycząc. Konni policjanci otoczyli demonstrantów, ścisnęli ich tak, że na tym ogromnym ludzkim oceanie widział już tylko głowy na wyciągniętych szyjach. Potem usłyszeli, że policja aresztowała wielu studentów, którzy się opierali lub szli na czele



demonstracji. I po raz trzeci tego dnia odczuł żal, tym razem że nie znalazł się wśród aresztowanych, będąc w samym środku wydarzeń.

Ale ten dzień był spokojny w porównaniu z następnym. W poniedziałek od wczesnego rana rozpoczął się strajk powszechny, w którym uczestniczyły wszystkie szkoły ze swoimi sztandarami, a także niezliczone tłumy obywateli. Egipt obudził się jako nowy kraj. Tłumy zbierały się na placach gotowe do walki, wyrzucając z siebie długo skrywany gniew. Fahmi upojony szczęściem rzucił się między ludzi jak błądzący podróżnik, który nagle, po długiej rozłące, spotkał swoją rodzinę. Demonstranci rozpoczęli pamiętny marsz przed urzędami namiestnika i przedstawicielstw dyplomatycznych, ogłaszając w różnych językach swój protest. Wtedy usłyszano dudnienie i tłum zafalował niespokojnie i gniewnie. Ktoś krzyknął: „Anglicy!” Zaraz też, zagłuszając krzyki, zaterkotały karabiny i padli pierwsi zabici. Mimo to trzon demonstracji parł do przodu z szaleńczą brawurą i determinacją. Jednak wiele osób zatrzymało się, wiele rozbiegło po domach i kawiarniach. Fahmi był wśród tych ostatnich. Wsunął się za jakieś drzwi, przerażony, myśląc tylko o tym, jak ratować życie. Nie wie, jak długo tam pozostał. Wyrzwał, kiedy zapadła zupełna cisza. Wyszedł z ukrycia nie mogąc uwierzyć, że się uratował, i oszołomiony wrócił do domu. W smutnej samotności żałował, że nie znalazł się wśród tych, którzy szli naprzód lub przynajmniej wśród tych bardziej wytrwałych. Gorliwie robił rachunek sumienia obiecując sobie, że odkupi grzech. Na szczęście możliwości odkupienia grzechu były realne i szerokie.

Wtorek i środa przebiegły w takiej samej atmosferze jak niedziela i poniedziałek. Przeżywali podobne radości i smutki, demonstracje, wiwaty, strzały i ofiary. Fahmi rzucił się znowu w ten ocean aktywności ze zdwojoną energią i zapałem, pełen wzniosłych uczuć. Wzburzenie rosło, bunty i strajki wybuchały w coraz to nowych miejscach i środowiskach. Zastrajkowali tramwajarze, kierowcy taksówek, robotnicy oczyszczający miasto. Stolica stała się smutna, gniewna i dzika. Przychodziły radosne wiadomości o strajkach adwokatów i pracowników administracji. Serce kraju biło przyspieszonym rytmem. Krew nie zostanie przelana na próżno, zesłańcy nie zostaną zapomniani. Obudziła się świadomość narodu i wstrząsnęła doliną Nilu.

Chłopiec przewracał się na łóżku, a wspomnienia uporczywie wracały do jego świadomości. Słuchał rytmicznych uderzeń matki wyrabiającej ciasto, rozglądając się po pokoju, do którego przez zamknięte ciągle okiennice wpadało coraz więcej wschodzącego słońca. Matka wyrabia ciasto na chleb! I będzie je wyrabiać każdego ranka dzień po dniu. Co ją może oderwać od myślenia o przygotowywaniu codziennych posiłków, prania i sprzątanania? Nawet największe wydarzenie nie przesłoni jej najdrobniejszych prac domowych. Pierś społeczeństwa pomieści łatwo to, co wielkie i znaczące, i to, co małe, nic nie znaczące. Ale jak to nic nie znaczące? Matka to nie jest margines życia. To ona urodziła jego, a tacy jak on to płomień rewolucji. To ona go żywi, czyli podsyca ten płomień. Nie ma w życiu rzeczy nieważnych. Ale czy przyjdzie dzień, kiedy Wielkie Wydarzenie wstrząśnie wszystkimi Egipcjanami i znikną różnice zdań i kłótnie, które, na przykład, od pięciu dni towarzyszą popołudniowej kawie w ich domu? Jak daleko jest ten dzień? Co by zrobił ojciec, gdyby wiedział o jego codziennej „świętej wojnie”? Co by zrobił jego ojciec, tyran i despota, a co delikatna i czuła matka?

Uśmiechnął się niepewnie. Wiedział, że kłopoty, jakie by miał w takiej sytuacji, nie byłyby mniejsze niż te, które by mu zgotowały władze wojskowe, gdyby się dowiedziały o jego działalności.

Odrzucił kódrę i usiadł na łóżku. „Wszystko jedno, czy będę żył, czy umrę, wiara jest silniejsza niż śmierć, a śmierć szlachetniejsza niż-poniżenie. Witaj nadziejo, bez której życie byłoby niczym. Witaj nowy dniu wolności! Niech dzieje się to, co Bóg przeznaczył.”

Nikt już nie mógł udawać, że rewolucja nie zmieniała choćby cząstki jego życia. Nawet Kamal został pozbawiony wolności, którą tak się cieszył w drodze do szkoły i z powrotem. Na jego wolność zrobiono zamach i nie mógł nic na to poradzić, jako że matka przykazała Umm Hanafi chodzić z nim do szkoły, przyprowadzać go do domu i w ogolenie spuszczać z niego oka. W razie gdyby natknęli się na demonstrantów, miała go natychmiast prowadzić do domu, nie pozwalając na zatrzymywanie się i jakiegokolwiek kaprysy. Docierające do matki wiadomości o strajkach i demonstracjach bulwersowały ją, wprawiając w stan nienawiści i wrogości do dzikich wybryków studentów. Drżała ze strachu o synów, żałowała, że nie może ich zmusić do pozostania w domu, dopóki sprawy nie wrócą do normalnego stanu. Fahmi obiecał jej co prawda, a wierzyła niezachwianie w jego rozsądek, że nie będzie, uczestniczył w strajkach, a ojciec zabronił zatrzymywać Kamala w domu twierdząc, że uczniowie szkół nie strajkują i mają się uczyć. Musiała, chcąc nie chcąc, zgodzić się na to, ale kazała Umm Hanafi pilnować syna. „Gdybym mogła sama wychodzić, nie obarczałabym cię tym”, powiedziała do służącej. Kamal opierał się temu ze wszystkich sił. Było jasne, że ta kontrola nie ukryje przed matką żadnych jego sprawek i pozbawi go absolutnie tego wszystkiego, co go bawiło po drodze, odbierze wszystkie żarty, figle, zabierze ten krótki, szczęśliwy czas między dwoma więzzeniami: domem i szkołą. Najwięcej denerwowała go jednak obecność tej kobiety, która swoją tuszą, głośnym sapaniem, szybkim, zamaszystym krokiem przyciągała wzrok przechodniów. Musiał się zgodzić na jej kontrolę, zwłaszcza że ojciec przykazał mu jej słuchać. Jedyne, na co mógł sobie pozwolić, to krzyczeć na nią i wymyślać, jak tylko się do niego zbliżyła, i kazać jej trzymać się o kilka metrów z tyłu.

Tak szli do szkoły Chalila Agi w czwartek rano, a był to piąty dzień demonstracji w Kairze. Przed szkołą Umm Hanafi podeszła do woźnego i zapytała, wykonując codzienne polecenie, jakie otrzymała w domu:

– Czy uczniowie są w szkole?

– Jest ich trochę. Jedni przychodzą, inni wychodzą, dyrektor się do tego nie miesza – odparł obojętnie.

Była to przykra niespodzianka dla Kamala. Przygotowany był na odpowiedź, jaką słyszał od poniedziałku: „Uczniowie strajkują”, po której wracali do domu, gdzie spędzał resztę dnia używając swobody i ciesząc się rewolucją na odległość. Unikając więc następnych pytań i odpowiedzi krzyknął:

– To ja nie idę!

Szybko oddalił się od szkoły, a kobieta popędziła za nim. „Dlaczego nie wszedłeś?”, spytała. Wtedy po raz pierwszy w życiu poprosił ją, żeby skłamała i powiedziała matce, że uczniowie strajkują. Prosił ją długo, a kiedy przechodzili obok meczetu Al-Husajna, modlił się o długie i szczęśliwe życie dla niej. Ale Umm Hanafi nie wytrzymała i wyjawiała w domu całą prawdę. Matka zganiała go za lenistwo i kazała iść z powrotem do szkoły. Znowu wyszli z

domu i przez całą drogę Kamal wymyślał Umm Hanafi, zarzucając jej zdradę i złośliwość. W szkole zastał tylko rówieśników, dzieci młodsze, natomiast reszta w ogromnej większości strajkowała. W jego klasie pełno było malców z innych klas, natomiast zaledwie jedna trzecia jego kolegów. Nauczyciel kazał im powtarzać lekcje z poprzednich dni, a sam zajął się poprawianiem zeszytów. W ten sposób też jakby strajkowali. Kamal otworzył książkę udając, że czyta. Nudził się; ni to strajk, ni to praca, a w domu mógł się bawić. Miał tyle wolnego czasu w tych dziwnych, beztróskich dniach. Wyobrażał sobie strajkujących na zewnątrz, myślał o nich z ciekawością. Jak to jest naprawdę? Czy to są, jak ich nazywa matka, „bezmyślni ryzykanci”, którzy nie mają litości dla siebie ani dla swoich rodzin, narażając się na zgubę, czy też ofiarni bohaterowie walczący z wrogami Boga i swoimi własnymi, jak ich opisuje Fahmi?

Często ze złości na starszych uczniów przychyłał się do zdania matki, bo ci strajkujący na dziedzińcu starsi, wyróżniający się wzrostem i Wąsami, traktowali ich, malców, z wyższością, a nawet brutalnie. Ale nie poddał się całkowicie temu uczuciu niechęci. Fahmi mówił zawsze tak przekonująco, że nie mógł lekceważyć jego argumentów. Uważał ich więc za bohaterów i nawet miał ochotę przyjrzeć się z bezpiecznego miejsca ich krwawej walce. To co się działo, to był dla niego niewątpliwy koniec świata. Dlaczego więc Egipcjanie, myślał, strajkują, dlaczego podburzają tłum do walki z żołnierzami? I to jakimi żołnierzami! Angielskimi! A przecież wystarczy tylko usłyszeć czy wspomnieć ich imię, a ulica robi się pusta. Co się stało z ludźmi? Co się dzieje na świecie? Okrucieństwa tej dziwnej walki z Anglikami, chcąc nie chcąc, wryły się głęboko w duszę chłopca, a imiona i nazwy takie jak Sa'd Zaghulul, Anglicy, studenci, męczennicy, ulotki, demonstracje stały się dla niego natchnieniem, nawet jeżeli podchodził do nich wyłącznie z ciekawością i niepewnością. Jego rozterkę powiększał fakt, że rodzina reagowała na wydarzenia bardzo różnie, czasem sprzecznie. Fahmi, rewolucjonista, do Anglików żywi śmiertelną nienawiść, a do Sa'da czułość i miłość wyciskające łzy z oczu. Jasin dyskutuje o wydarzeniach z umiarkowanym zainteresowaniem i spokojnym smutkiem, co w niczym nie zmienia jego zwykłego trybu życia, na który składają się: pogawędzki, żarty, czytanie poezji i powieści, wreszcie hulanki do północy. Matka natomiast nie przestaje modlić się do Boga, żeby przywrócił pokój i bezpieczeństwo i oczyścił serca zarówno Egipcjan, jak i Anglików. A najgorsza z nich jest Zajnab, żona brata, którą tak przeraziły wydarzenia, że cały swój gniew wylała na Sa'da Zaghulula twierdząc, że to on jest winien całemu złu. „Gdyby żył tak, jak żyją słudzy Boga, pobożnie i w pokoju, nikomu by się nic złego nie stało i nie wybuchłby ten cały płomień.”

Umysł chłopca zapalał się na samą myśl o walce, ale wiadomości o śmierci napawały go smutkiem, choć nie rozumiał, o co chodzi. Jakże żałował w dniu, w którym uczniowie szkoły Chalila Agi po raz pierwszy wezwali do strajku i miał okazję zobaczyć demonstrację z bliska albo nawet w niej uczestniczyć, choćby tylko na dziedzińcu, jakże żałował wtedy, że dyrektor szybko zamknął młodszych uczniów w klasach. Zza ścian, pełen zdumienia i skrywanej radości, słyszał głośnie okrzyki. Może źródło żalu tkwiło po prostu w tym, że uciekła mu okazja odmiany w szkolnej rutynie? A dziś przeszła mu koło nosa okazja spędzenia wolnego czasu w domu. Będzie tak siedział uwięziony i nudził się, patrząc na książkę niewidzącymi oczami, i mrugał do kolegi Alego al-Kamtara ostrożnie i ze strachem. Nagle wpadły mu w

ucho jakieś dziwne odgłosy. Chcąc się upewnić, że go słuch nie myli, rozejrzał się dokoła i zobaczył, że wszyscy uczniowie podnieśli głowy i popatrzyli po sobie, a potem spojrzeli w kierunku okien wychodzących na ulicę. Z tej strony rzeczywiście dochodziły głosy zlewające się w jeden ogromny huk, jak dochodzący z daleka szum fal. Szum nasilał się i zbliżał, słychać było już poszczególne okrzyki. W klasie zrobił się ruch, uczniowie zaczęli szeptać, wreszcie ktoś krzyknął: „Demonstracja!” Serce chłopca zabiło mocno, oczy zabłyśły radością i podnieceniem. Krzyki były coraz bliższe, a słychać je było ze wszystkich stron, jak grzmoty. Kamal rozróżniał słowa, które w ostatnich dniach wypełniały jego umysł: Sa’d, niepodległość, protektorat. Krzyki dochodziły już z dziedzińca szkoły i nie ulegało wątpliwości, że ten potop ich także zaleje. Myśleli o tym z radością i już gorąco rozprawiali o przyłączeniu się do demonstrantów. Potem usłyszeli stukot butów, drzwi otworzyły się pod gwałtownym pchnięciem i do klasy wdarła się grupa studentów Al-Azharu, jak woda przez dziurę w zbiorniku. Krzyknęli: „Strajk! Strajk! Ani jeden nie może tu zostać!” Kamala w okamgnieniu porwała rozkrzyczana fala, która parła naprzód niszcząc wszelki opór. Poruszał się wolno jak ziarno kawy w młynku, nie wiedząc, gdzie upadnie. Przed sobą widział tylko ciała przyklepione jedno do drugiego w ogromnej wrzawie, która raniła mu uszy. Wreszcie zobaczył nad sobą niebo, znalazł się na ulicy, a tłok i tumult był tak ogromny, że ledwo mógł oddychać. Z przerażenia krzyknął głośno, przeciągle. Czyjeś ręce chwyciły go za ramiona, pociągnęły silnie, torując sobie drogę w tłumie i rzuciły na chodnik pod ścianę. Ciężko dysząc szukał miejsca, dokąd mógłby uciec, aż zobaczył sklep Hamdana, sprzedawcy basbusy. Wczołgał się do niego przez żelazne drzwi nie domknięte nad progiem. Wewnątrz był Amm Hamdan, który znał go bardzo dobrze, i dwie kobiety, a także kilku uczniów z młodszych klas. Oparł się o ścianę z półkami, na których stały naczynia, i dyszał ciężko. Po chwili usłyszał głos Amm Hamdana:

– Azharyjczycy, studenci, robotnicy, obywatele, wszystkie ulice prowadzące do Al-Husajna zapchane ludźmi... Nie sądziłem, że ziemia może udźwignąć tylu ludzi.

– Jak oni mogą tak demonstrować, przecież Anglicy strzelają – odezwała się jedna z kobiet.

– Niech ich Bóg prowadzi, to wszystko ludzie – powiedziała druga.

– Nigdy czegoś podobnego nie widziałam... Niech Bóg ma ich w swojej opiece.

Okrzyki wybuchały to tuż obok, jakby w samym sklepie, to dochodziły z daleka, jak szum wiatru. Demonstracja trwała, ludzie posuwali się wolno, falami o różnym nasileniu. Czasami Kamal myślał, że to już koniec, ale nadchodzili inni, potem jeszcze inni, bez końca. Całe życie skoncentrowało się teraz w uszach, nasłuchiwał z niepokojem i lękiem, a czas mijał i nie zdarzyło się to najgorsze. Uspokoił się więc i nabrał pewności siebie, a nawet zaczął myśleć o tym, co się dokoła dzieje, jak o czymś niezwykłym, co zaraz minie. Żeby tak już być w domu i opowiedzieć mamie, co mu się przydarzyło. „Demonstracja wtargnęła do klasy – powie jej – nie pierwszy raz i nie ostatni. I sam nie wiem, kiedy porwał mnie jej prąd i wyrzucił na ulicę. Krzychałem: Niech żyje Sa’d! Precz z protektoratem! Niech żyje niepodległość! Tak jak inni. Przechodziliśmy z jednej ulicy na drugą, aż napadli na nas Anglicy i otworzyli ogień.” Doprowadzi ją do płaczu, będzie drżała i dziękowała Bogu, że jest żywy, i będzie recytowała wersety z Koranu. „Kula przeleciała mi koło głowy, ciągle

mam w uszach jej świst. Ludzie rozbiegli się jak szaleni i byłbym niechybnie zginął, gdyby jakiś pan nie wciągnął mnie do sklepu.”

Nieregularne krzyki i tupot nóg przerwały jego marzenia. Serce mu zabiło, spojrzął po ludziach. Wszyscy wpatrywali się w drzwi jak ktoś, kto czeka na uderzenie w głowę. Amm Hamdan podszedł do drzwi, schylił się, żeby wyjrzeć przez szparę przy schodkach na ulicę, szybko cofnął się i przyłgął do podłogi.

– Anglicy – wymamrotał ze strachem.

Z ulicy dochodziły krzyki: „Anglicy! Anglicy! Stać twardo! Nie damy się! Możemy zginąć! Niech żyje ojczyzna!” A zaraz potem po raz pierwszy w życiu chłopiec usłyszał strzelaninę zupełnie blisko i zaczął trząść się ze strachu, a kiedy kobiety krzyknęły z przerażenia, wybuchnął płaczem. Amm Hamdan powtarzał drżącym głosem: „Bóg jest jeden, Bóg jest jeden”, ale chłopiec czuł strach zimny jak śmierć, który rozpełzał się po jego ciele od stóp do głów. Strzelanina trwała niedługo. Potem słychać było stukot kół, rżenie koni, tupot nóg uciekających demonstrantów, krzyki i jęki. Ta krótka chwila walki ukrytym za drzwiami wydała się wiekiem. Potem nastąpiła przerażająca cisza, tak jak w momencie, gdy krzyczący z bólu człowiek traci przytomność.

– Poszli? – wyszeptał Kamal drżącym głosem.

Amm Hamdan położył palec na ustach i syknął: „ciiii”. Recytował „Werset Tronu”. Kamal nie był zdolny wymówić słowa, modlił się w duchu: „Powiedz: jest jeden Bóg.” Być może odpędzi on Anglików, jak przepędza w ciemności ifrity. Ale drzwi otworzono dopiero w południe i chłopiec wyszedł na opustoszałą ulicę, a potem popędził jak wiatr. Kiedy mijał kawiarnię Ahmada Abduha, w postaci, która wychodziła z niej po schodkach, rozpoznał Fahmiego. Podbiegł do niego i uczepił się jego ręki jak tonący. Fahmi odwrócił się przestraszony, nie wiedząc, co się dzieje.

– Kamal! – krzyknął. – Gdzie byłeś w czasie strzelaniny?

Chłopiec zauważył, że Fahmi ma zachrypnięty głos.

– Byłem w sklepie Amm Hamdana, słyszałem strzały, wszystko...

– Idź do domu i nie mów nikomu, że mnie spotkałeś, słyszysz?

– Nie wrócisz ze mną? – spytał chłopiec zmieszany.

– Skąd, nie teraz. Wróć o zwykłej porze. Pamiętaj, w ogóle mnie nie widziałeś.

Popchnął go ucinając wszelką dyskusję. Chłopiec popędził ile sił w nogach. Koło zaułka Chana Dża'fara zobaczył jakiegoś człowieka stojącego pośrodku ulicy i pokazującego coś na ziemi ludziom zebranych wokół. Kamal spojrzął w to miejsce i zobaczył czerwoną kałużę przysypaną piaskiem.

– Ta krew niewinna krzyczy, żeby nie przerywać walki – mówił człowiek – Bóg chciał, żeby była przelana na dziedzińcu Pana Męczenników, żebyśmy w bohaterskiej śmierci połączyli naszą teraźniejszość z naszą przeszłością. Bóg będzie z nami.

Kamal znowu poczuł strach, odwrócił wzrok od zakrwawionej ziemi i pobiegł jak szalony.

W ciemnościach świtu Amina po omacku szukała drogi do drzwi. Szła wolno i ostrożnie obudzić As-Sajjida, kiedy do jej uszu doszedł dziwny szum od strony ulicy, coś jakby brzęczenie pszczoł. O tej porze, kiedy zwykle się budziła, słyszała tylko stukot kół wozów wywożących śmiecie, kaszel robotników wcześniej idących do pracy lub krzyk jakiegoś

człowieka, który wracając z modlitwy w meczecie lubił od czasu do czasu wrzasnąć „Chwała Jedynemu Bogu”. Ale takiego szumu nigdy przedtem nie słyszała. Zaciekawiona i niespokojna podeszła do wychodzącego na ulicę okna w salonie. Podniosła zasłonę i wysunęła głowę. Na zewnątrz panowała ciemność, tylko na horyzoncie mieszała się ona z pierwszymi zwiastunami świtu. Nie pozwalały one jednak na dojrzenie, co się dzieje na dole. Szum wzrastał, rósł i coraz bardziej ją intrygował. Zaczęła rozróżniać nieznane ludzkie głosy. Oczy jej przyzwyczyły się do ciemności i w końcu zobaczyła pod sabilem Bajna al-Kasrajni i dalej na skrzyżowaniu An-Nahhasina z ulicą Kurmuza mające niewyraźne sylwetki ludzkie i jakieś przedmioty, jakby małe piramidy i niskie drzewa. Zaniepokojona na dobre zeszła do pokoju Fahmiego i Kamala. Wahala się, czy obudzić starszego syna, żeby zobaczył, co tam się dzieje, czy poczekać, aż obudzi się sam. Postanowiła nie niepokoić go i poczekać, aż się obudzi o wschodzie słońca. Wróciła do salonu i pchana ciekawością wyjrzała znów przez okno. Pas wschodu rozgorzał na obłokach zorzy, światła poranka spływały z wierzchołków minaretów i kopuł. Mogła już wiele dojrzeć na ulicy. Obserwowała sylwetki, które ją tak przeraziły w ciemności, i odkryła prawdę, a z gardła wyrwał się jej krzyk grozy. Popędziła do pokoju Fahmiego i obudziła go gwałtownie. Chłopiec poderwał się na łóżku wyprostowany.

– Co się stało, mammo?

– Ulicę przed naszym domem zajęli Anglicy.

Chłopiec zeskoczył z łóżka i podbiegł do okna. Koło sabilu Bajna al-Kasrajni zobaczył mały obóz wojskowy kontrolujący wyloty ulic rozchodzących się od sabilu. Składał się z kilku namiotów, trzech ciężarówek i rozrzuconych grupek żołnierzy. Obok namiotów ustawiono po cztery karabiny oparte o siebie w kształcie piramidy. Wartownicy stali jak posągi przed namiotami, inni żołnierze chodzili swobodnie, rozmawiali, śmiali się. Chłopiec spojrzał w stronę An-Nahhasina i zobaczył drugi obóz na skrzyżowaniu An-Nahhasina i As-Sagha, a z drugiej strony Bajna al-Kasrajni, koło zaułka Al-Churunfusz, rozbito trzeci obóz.. W pierwszej chwili przyszła mu do głowy głupia myśl, że ci żołnierze przyszedli po niego. Ale zaraz uznał ją za idiotyczną, usprawiedliwiając się przed samym sobą, że jeszcze się nie obudził, chociaż właściwie uczucie, iż jest prześladowany, nie opuszczało go od momentu wybuchu rewolucji. Powoli objawiła mu się cała prawda. Dzielnica, która tak dała się we znaki władzom okupacyjnym ciągłymi demonstracjami i zamieszkami, została zajęta przez wojsko. Serce biło mu z gniewu, smutku i strachu, kiedy tak patrzył przez okiennice, obserwując żołnierzy, namioty, karabiny i ciężarówki.

– Tak, to są Anglicy – powiedział do matki – przyszedli, żeby przestraszyć ludzi, zabronić demonstracji, zlikwidować je w miejscu, gdzie się rodzą.

Chodził po pokoju tam i z powrotem, mówiąc coś do siebie z gniewem „żeby tak...”, „żeby tak...”

– Pójdę obudzić ojca i powiem mu o wszystkim.

Powiedziała to tak, jakby to była ostatnia nadzieja, jakby As-Sajjid, który rozwiązywał wszystkie jej życiowe problemy, był gwarancją, że i na to znajdzie się sposób i rodzina będzie bezpieczna.

– Zostaw go, niech śpi – powstrzymał ją Fahmi.

- Ale, synku, co my zrobimy, przecież oni rozłożyli się pod naszymi drzwiami.
- Co zrobimy? Nic. Nie ma się czego bać. Oni chcą tylko odstraszyć demonstrantów.
- Boję się, że będą napadać na niewinnych ludzi w domach.
- Ależ skąd. Gdyby to było ich celem, nie staliby tak długo spokojnie.

Nie był całkiem pewny tego, co mówi, ale wydawało mu się to najrozsądniejsze.

- A jak to długo potrwa?
- Kto wie? Rozbili namioty, więc tak szybko nie odjadą.

Wypytywała go tak, jakby to on był wodzem. Miał ochotę zażartować z niej, ale sytuacja była zbyt smutna i powstrzymał drwiący uśmiech. Spoważniał w jednej chwili, tak jak poważniał zawsze, kiedy Jasin opowiadał mu jakąś anegdotę o ojcu, skądinąd śmieszna, nic bowiem co dotyczyło ukrytej strony osobowości ojca, nie budziło jego śmiechu.

Usłyszeli szybkie kroki i do pokoju wpadł Jasin, a za nim Zajnab. Jasin miał zapuchnięte oczy i potargane włosy.

– Widzieliście Anglików?

– To ja ich usłyszałam pierwsza – krzyknęła Zajnab – wyrzalam przez okno, zobaczyłam ich i obudziłam Si Jasina.

– A ja zapukałem do drzwi ojca i obudziłem go – mówił Jasin – powiedziałem, co się dzieje, a on wyrzwał na ulicę, a potem zakazał komukolwiek wychodzić z domu i nie pozwolił odryglować drzwi. Co oni tu robią? Co my mamy robić? Czy w tym kraju nie ma już rządu, który by nas bronił?

– Myślę, że oni chcą tylko zapobiec demonstracjom – odparł Fahmi.

– Ale jak długo będziemy uwięzieni? Przecież domy pełne są kobiet i dzieci, jak oni mogą rozbijać tu namioty.

– Trudno, wszyscy są w takiej samej sytuacji, musimy cierpliwie czekać.

– Wciąż tylko strach i smutek, o niczym innym się nie słyszy, niech szlag trafi tych bękartów – krzyknęła Zajnab nerwowo.

W tym czasie obudził się Kamal, otworzył oczy i zamrugał zdziwiony nieoczekiwanym zebraniem w jego pokoju. Usiadł na łóżku i spojrzał pytająco na matkę. Matka podeszła do niego, położyła zimną rękę na jego dużej głowie i szeptem, z roztargnieniem odmówiła *Al-Fatihę*.

– Po co tu przyszliście? – spytał.

– Nie pójdziesz dzisiaj do szkoły – powiedziała, chcąc możliwie delikatnie przedstawić mu sytuację.

– Z powodu demonstracji?

– Anglicy zamknęli ulicę – powiedział ze złością Fahmi.

Wydało mu się, że zrozumiał, o co chodzi. Spojrzał na nich zdumiony, potem wyskoczył z łóżka i długo przez okiennice patrzył na ulicę.

– Po cztery karabiny! – powiedział ze strachem. – Zabiją nas?

– Nikogo nie zabiją – odparł Fahmi – chcą tylko odstraszyć demonstrantów.

– Jacy oni piękni – powiedział chłopiec po chwili milczenia.

– Naprawdę? Podobają ci się? – spytał drwiąco Fahmi.

– Bardzo. A wyobrażałem ich sobie jako diabły – odpowiedział chłopiec z prostotą.



– Kto wie? – odparł Fahmi z goryczą. – Może gdybyś zobaczył diabły, dopiero by ci się spodobali.

Tego dnia nie odryglowano drzwi ani nie otwierano okien wychodzących na ulicę nawet po to, żeby odświeżyć powietrze i wpuścić słońce. Po raz pierwszy As-Sajjid Ahmad wdał się w rozmowę przy śniadaniu. Tonem uczonego stwierdził, że Anglicy zrobili umocnienia, żeby zabronić demonstracji, i okupują te dzielnice, w których demonstracji było najwięcej. Uważa, że wszyscy powinni zostać w domu, dopóki sytuacja się nie wyjaśni. Mówił pewnie, żeby zachować zwykły, dostojny wygląd i żeby nikt nie wyczuł niepokoju, który drażył go od chwili, kiedy zerwał się z łóżka na pukanie Jasina, Fahmi jak nigdy odważył się dyskutować ze zdaniem ojca.

– Ależ ojcze, na uczelni pomyślał, że zostałem w domu, żeby nie strajkować! – zaprotestował grzecznie.

Oczywiście As-Sajjid nic nie wiedział o tym, że jego syn uczestniczył w demonstracjach, więc odparł:

– To są prawa konieczności. Twój brat jest urzędnikiem i jego sytuacja jest delikatniejsza niż twoja. Ale macie usprawiedliwienie.

Nie miał odwagi odpowiadać ojcu, z jednej strony z obawy przed jego gniewem, a z drugiej, ponieważ w jego zakazie opuszczania domu znalazł usprawiedliwienie i oczyścił własne sumienie z zarzutu, że nie wychodzi na ulicę okupowaną przez żołnierzy żądnych krwi takich jak on studentów.

Po śniadaniu As-Sajjid poszedł do swojego pokoju, a matka i Zajnab zajęły się codziennymi obowiązkami.

Dzień był słoneczny, jeden z ostatnich dni marca, które gromadzą ciepłe powiewy wiosny. Trzej bracia wyszli na dach i usiedli pod daszkiem z fasoli i jaśminu. Kamal znalazł wspaniałą rozrywkę w kurniku. Rzucił kurom ziarno i łapał ptaki za pióra zachwycony ich gdakaniem. Wybierał też jajka. Bracia natomiast rozmawiali o tych bulwersujących wiadomościach, które przynosiły ludzkie języki: o rewolucji w całej dolinie Nilu od najdalszej północy po najdalsze południe. Fahmi opowiadał o tym, co słyszał, o przerywaniu torów kolejowych, linii telegraficznych i telefonicznych, o demonstracjach w różnych mudirijach, o potyczkach z Anglikami, ofiarach, męczennikach, patriotycznych pogrzebach, w których uczestniczyły tłumy, o stolicy objętej strajkami studentów, robotników, adwokatów, w której jedynym środkiem lokomocji są wozy karo.

– To chyba naprawdę rewolucja – powiedział z żarem. – Niech rozwścieczeni zabijają ilu chcą, śmierć doda nam tylko życia...

– Nie miałem pojęcia, że w naszym narodzie żyje taki duch walki – powiedział Jasin.

Fahmi już zapomniał, że przed wybuchem rewolucji pogrążony był w rozpacz, beznadziejności i niewierze.

– W naszym narodzie tkwi odwieczny duch walki – krzyknął. – Płonie w jego długim ciele od Asuanu do Morza Śródziemnego. Anglicy go pobudzili i teraz już nigdy nie zgaśnie.

– Nawet kobiety wzięły udział w demonstracjach – powiedział Jasin z uśmiechem.

Fahmi wyrecytował kawałek poematu Hafiza Ibrahima o demonstracji kobiet:

*Wyszły ślicznotki protestować,  
A ja je obserwowałem.  
Czarne stroje  
Były ich transparentami.  
Wyglądały jak gwiazdy  
Błyszczące w ciemnościach,  
Ciągnęły ulicami,  
A dom Sa'da był ich celem...*<sup>26</sup>

– Właściwie to ja powinienem to zacytować – powiedział Jasin ze śmiechem.

– Ciekawe, czy wiadomość o naszej rewolucji dotarła do Sa'da – rzekł Fahmi ze smutkiem. – Ciekawe, czy wielki szajch wie, że jego ofiara nie poszła na marne, czy też jest pogrążony w rozpacz.

Siedzieli na dachu prawie do południa. Podobało im się obserwowanie małego angielskiego obozu. Kilku żołnierzy przygotowywało obiad, inni rozproszyli się po zupełnie pustych ulicach Kurmuza, An-Nahhasina i Bajna al-Kasrajni. Od czasu do czasu na wezwanie rogu grupa ustawiała się w szereg, chwytła karabiny i wskakiwała na ciężarówkę, która wiozła ją w kierunku Bajt al-Kadi, co było dowodem, że w pobliskich dzielnicach wybuchały demonstracje. Fahmi patrzył na te wyjazdy ze ściśniętym sercem i rozpaloną wyobraźnią.

W końcu zeszli z dachu, zostawiając na nim bawiącego się Kamala. Poszli do pokoju przeznaczanego do nauki. Fahmi zabrał się do odrabiania zaległości minionych kilku dni, Jasin wziął dywan *Al-Hamasa* i *Damę z Kerbeli* i wyszedł do salonu. Chciał trochę poczytać, żeby zabić czas, którego nzbierało się pełno w murach domowego więzienia, jak zbiera się woda za tamą. Ostatnio zaczytywał się w powieściach, zwłaszcza kryminalnych, ale poezję też kochał, choć nie zadawał sobie trudu, żeby ją zrozumieć. Chwytał to, co było łatwe do zrozumienia, a w tym, co trudne, zadowalał się muzyką wiersza, rzadko posługując się komentarzami na marginesach wypełnionych objaśnieniami. Zapamiętywał wiersz, deklamował go, ale z jego znaczenia pojmował niewiele, czasami tłumaczył sobie jego sens na opak, czasami zupełnie go nie rozumiał. Ale mimo to w głowie nawarstwiały mu się obrazy i słowa, które stanowiły jego bogactwo i dumę. Chętnie wykorzystywał je z byle okazji albo bez okazji. Kiedy któregoś dnia zdarzyło się, że musiał napisać list, przygotował go jak prawdziwy pisarz. Wybrał słowa dźwięczne, zapamiętane z poezji, i zwroty poetyckie, tak że wśród znajomych zaczęto o nim mówić „znawca retoryki”. Oczywiście tak naprawdę nim nie był, ale oni umieli jeszcze mniej, nie potrafili go naśladować, a poza tym czuli jakiś nabożny lęk przed jego „znajomością” poezji.

Jak dotąd Jasin nigdy nie miał tak dużo wolnego czasu, który na domiar złego musiał spędzić w domu, pozbawiony ruchu i rozrywki. Na pewno czytanie pomogłoby mu go zapełnić, ale miał za mało cierpliwości, a poza tym przyzwyczyił się czytać sobie wolniutko, po troszku i najczęściej poświęcał temu krótkie chwile tuż przed wyjściem z domu na

---

<sup>26</sup> Fragment poematu Hafiza Ibrahima (1873-1932), poety egipskiego zwanego „Poetą Nilu”, piszącego w stylu tradycyjnym.

wieczorne hulanki. I nawet wtedy chętnie przerywał czytanie, włączał się do rozmowy przy kawie albo opowiadał Kamalowi to, co dopiero przeczytał, tym bardziej iż przyjemność sprawiał mu fakt, że chłopiec słuchał go z zapartym tchem, co spotyka się tylko u dzieci. Tak więc ani poezja, ani proza nie były w stanie zapełnić i złagodzić jego samotności w takim dniu jak ten i kiedy tak czytał z musu wiersze i rozdziały powieści, czuł jak kropla po kropli zaczyna sączyć się nuda i rozdrażniony przeklinał Anglików.

Obiad znowu zgromadził wszystkich przy stole. Matka podała im rosół, pieczone kurczaki z ryżem, a do tego ser, oliwki i zsiadłe mleko. Z powodu oblężenia domu nie było zieleniny, żadnej sałaty, a na deser czarny miód zamiast słodczy. Poza Kamalem nikt nie miał apetytu. Pozbawiony ruchu As-Sajjid i bracia zabrali się do jedzenia bez zapału, ale za to napełniwszy żołądki poczuli senność, a sen był ucieczką od pustki. Zwłaszcza As-Sajjid i Jasin mogli wreszcie wypaść się do woli.

Jasin obudził się prawie o zachodzie słońca i zszedł na niższe piętro na kawę. Jednak dzisiaj „kawa” była krótka, matka bowiem nie mogła zostawić na dłużej As-Sajjida samego i szybko ich pożegnała. Jasin, Zajnab, Fahmi i Kamal trochę rozmawiali, ale rozmowa nie kleiła się. Po jakimś czasie Fahmi przeprosił i poszedł do pokoju uczyć się, a zaraz za nim wyszedł Kamal. Małżonkowie zostali sami. „Co tu robić aż do północy?” Ta myśl nie dawała Jasinowi spokoju. Dzień wydawał się smutny i nieprzyjemny. Brutalnie wyrzucony z toru wydarzeń, które na zewnątrz biegły wypełnione uciechami, czuł się jak świeżo zerwana z drzewa gałązka, która nie może się rozpalić. Gdyby nie oblężenie siedziałby teraz w swoim ulubionym miejscu w kawiarni Ahmada Abduha sącząc zieloną herbatę, gawędząc ze znajomymi, rozkoszując się atmosferą zabytku, którego pomieszczenia pogrzebane pod ruinami historii pobudzały wyobraźnię, przywołując obrazy dawnego żyda. Tak, była to jego ulubiona kawiarnia. I gdyby nie okoliczności, które zmuszały go do przesiadywania w innych miejscach, nie wybrałby żadnej innej. Ale serce nie służy. Handlarka *dum* przyciągnęła go kiedyś do Klubu Egipskiego, potem przeniósł się do kawiarni Si Alego przy Al-Ghurijji, ponieważ znajdowała się naprzeciwko domu lutnistki Zannuby. Zmieniał kawiarnie zależnie od obiektu zainteresowań, a co za tym idzie, zmieniał też przyjaciół. W ten sposób nie miał ani stałej kawiarni, ani przyjaciół. Gdzie się podziewają towarzysze z Klubu Egipskiego? Gdzie znajomi z kawiarni Si Alego? Odeszli z jego życia, a może nawet, gdyby któryś z nich spotkał go na ulicy, udałby, że go nie poznaje albo wręcz uciekł. Teraz przyszła kolej na kawiarnię Ahmada Abduha i jej bywalców, ale Bóg jeden wie, jaką kawiarnię i jakich przyjaciół przyniesie jutro. Nie zagrzewał jednak miejsca w kawiarni Ahmada Abduha, szybko przenosił się do sklepu Kustakiego albo raczej do ukrytej za nim winiarni, aby rozkoszować się czerwoną butelką, czyli „zwykłą”, jak ją lubił nazywać. Skąd tu wziąć „zwykłą” tego ponurego wieczoru? Na samo wspomnienie winiarni Kustakiego prąd po nim przeszedł, a w oczach pojawiła się głęboka nuda i zniechęcenie. Poruszył się niespokojnie jak więzień. Pozostanie w domu wydało mu się męką w zestawieniu z radosnymi obrazami i upojnymi wspomnieniami związanymi z winiarnią i butelką. Przeżywał tortury mając przed oczami te obrazy, tęsknie, z tkliwością myślał o ukrytej w winie muzyce, o tym, jak zabawia się jego głową, łaskocze ją, nasycy szczęściem, radością. Dotychczas nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest niecierpliwy, nie wiedział, że nawet jednego wieczoru nie potrafi

obejść się bez picia. Ale nie zmartwiła go ta słabość i ta niewola. Nie robił sobie z tego powodu wyrzutów, uważał bowiem, że przywiązanie do alkoholu to ważny powód, żeby się czuć nieszczęśliwym, kiedy go brak. Był jak najdalej od tego, żeby coś sobie wyrzucać albo złościć się na siebie. Zły był tylko na ten obóz Anglików wokół ich domu, który nie pozwalał mu ugasić pragnienia, choć źródło upojen znajdowało się tak niedaleko. Spojrzał na Zajnab. Wpatrywała się w niego z gniewem, jakby chciała powiedzieć: „Dlaczego jesteś daleko myślami, dlaczego jesteś ponury, czyż moja obecność nie jest już dla ciebie rozrywką?” Zrozumiał to pytanie w jednej chwili, kiedy spotkały się ich oczy, ale nie odpowiedział na jej smutne, gniewne i pełne wyrzutu spojrzenie, przeciwnie, jeszcze bardziej go ono rozwścieczyło. Tak, nic nie doprowadzało go do większej furii niż fakt, że był zmuszony zostać z nią całą noc. I do tego nie mógł się upić, co zwykle pozwalało mu jakoś znosić życie małżeńskie. Patrzył na nią ukradkiem. Czy to ta sama osoba? Zdziwiony zadawał sobie to pytanie. „Czy to naprawdę ona? Ta, która oczarowała mnie w dniu wesela? Czy to ona omotała mnie i wodziła za nos przez tyle tygodni? A teraz palcem nie kiwnie i siedzi zła. Co się z nią stało? Co się stało ze mną? Jestem rozdrażniony i zły. W jej urodzie i dobrych manierach nie znajduję niczego, co by mnie odciągnęło od pijaństwa. I do tego brak jej cech, jakie miały Zannuba i jej podobne – usłużności i bystrości.” To prawda, że Zajnab była pierwszą kobietą, z którą żył tak długo pod jednym dachem, była jego pierwszym doświadczeniem tego rodzaju. Tak długo nie przebywał ani z lutnistką, ani z handlarką *dum*. Zresztą związać się z jedną z nich nie przeszkadzało mu w odwiedzaniu drugiej, gdy mu przysłała taka ochota. Ale teraz nie myślał o tym w ten sposób.

– Może nie odpowiada ci pozostanie w domu? – usłyszał nagle pytanie Zajnab.

Nie był w nastroju do wysłuchiwania zarzutów i nawet delikatnych pretensji.

– Tak, nie odpowiada – odparł z bolesną szczerością.

Zabolały ją te słowa i choć cały czas pilnowała się, żeby nic wywołać kłótni, nie mogła się powstrzymać i odpowiedziała ze złością:

– To nie moja wina. Ale dziwne, że nie możesz choć jednego wieczora wytrzymać bez libacji.

– Pokaż mi bodaj jedną rzecz, dzięki której dom stanie się do wytrzymania.

– Dobrze, może będzie lepiej, jeżeli cię zostawię samego.

Wstała i wybiegła z salonu prawie z płaczem. Patrzył na nią zimnym wzrokiem. „Głupia – pomyślał – nie wie, że tylko z woli Boga jest jeszcze w moim domu.”

Mimo że ta kłótnia przyniosła mu ulgę, wolał nie siedzieć w salonie, żeby nie pogłębiać uczucia pustki. Gdyby tylko chciał, mógłby sprawę załagodzić, ale zbyt mało miał dla żony uczucia. Po paru minutach uspokoił się zupełnie, prawie zapomniał o sprzeczce i tylko brzmiało mu w uszach echo ostrych słów, które do niej skierował, potwierdzając ich okrucieństwo. Jakby trochę żałował, że je wypowiedział, nie dlatego, że naraz odezwała się w jego sercu jakaś resztką uczucia, ale z ostrożności, że być może przekroczył granice dobrego wychowania, a może także z szacunku dla jej ojca, a ze strachu przed swoim. Zawsze żałował, że dał się ponieść gniewowi, nawet w trudnym okresie przejściowym, kiedy postanowił ją sobie podporządkować stanowczością i konsekwentnym postępowaniem. A przecież uczucie gniewu nie było niczym dziwnym w tej rodzinie, tyle że prawo do niego

miał tylko ojciec. Zarówno jednak gniew ojca, jak i innych członków rodziny miał to do siebie, że mijał równie szybko, jak się pojawiał, rozpałał się jak błyskawica i gasł, a jego miejsce zajmowało uczucie żalu i smutku.

Jasin był jednak zbyt dumny, żeby smutek pchnął go do pogodzenia się z żoną. „To ona mnie rozgniewała – myślał – nie mogła rozmawiać ze mną łagodniej?” Lubił, kiedy była cierpliwa i przebacząca, żeby miał nie wiadomo jak zły humor. Nie mogąc znieść uczucia uwięzienia i pustki wyszedł na dach. Wieczór był ciepły i spokojny, panowała zupełna ciemność: pod daszkiem z fasoli i jaśminu gęsta i ciężka, a lekka na drugiej połowie dachu, pod kopułą nieba usianego perłami gwiazd. Zaczął spacerować między murem dzielącym dom Mariam od ogródka z fasoli patrzącego na Kalawuna, oddając się marzeniom. Kiedy przechodził wolniutko koło daszku, usłyszał szelest, może szept, a może po prostu oddech. Wpatrywał się w ciemność ze zdziwieniem.

– Jest tu kto? – spytał.

Odpowiedział mu znany, dźwięczący jak miedź głos:

– To ja, Nur, proszę pana.

Pomyślał w pierwszej chwili, że służąca jego żony przyszła na noc do drewnianej komórki przylegającej do kurnika, w której stały stare meble. Jej sylwetka majaczyła o krok od niego wtopiona w gęstą, nieruchomą ciemność nocy. Dostrzegł biel jej ogromnych oczu, które wyglądały jak koła narysowane na czarnej jak węgiel tablicy. Podszedł do niej bez słowa, a wyobraźnia automatycznie podsunęła mu jej obraz: czterdziestoletniej, mocno zbudowanej Murzynki z ogromnym biustem, o sterczących pośladkach, błyszczącej twarzy i oczach, pełnych wargach. Była w niej siła, wulgarność, egzotyka. Takie odniósł wrażenie, kiedy tylko pojawiła się w jego domu. I nagle, nieoczekiwanie, wybuchło w nim uczucie agresji, chęć gwałtu, jak czasami wybuchają przedwcześnie, bez ostrzeżenia granaty. Wybuchło z taką siłą, jakby gwałt był ukrytym celem jego życia, i opanowało go tak całkowicie, jak wtedy na podwórzu wobec Umm Hanafi w dniu wesela Aiszy. W mgnieniu oka jego uśpiona świadomość zakipiła życiem, podniecenie zelektryzowało krew, a miejsce nudy zajęło gorące, szalone pragnienie i ciekawość. Zaczął energicznie przemierzać dach, początkowo od końca do końca, potem tylko do dwóch trzecich, a wreszcie dochodził do połowy i wracał. Kiedy przechodził obok niej, wstrząsał nim dreszcz i żądza nie do opanowania. Czarna niewolnica? Służąca? A gdyby nawet, to co, miała już przecież podobne sobie poprzedniczki. Nie jest powiedziane, że Zannuba ma być tym upragnionym wzorcem. Czasami jedna zaleta, ładny szczegół zrekompensują wszystko inne, tak jak uczernione kuhllem oczy handlarki usprawiedliwiały jej śmierdzące pachy i brud na udach. Co więcej, sama brzydota mogła być usprawiedliwieniem jego ślepej żądzy, której uległ już kilka razy. Umm Hanafi, niewidoma wróżka przepowiadająca z ziaren piasku za Bab an-Nasr... Nur przynajmniej ma pełne i krzepkie ciało, co sugeruje bez wątplenia energię i opór. Ponadto czarna niewolnica uważana jest za coś oryginalnego, na pewno ma doświadczenie w stosunkach z mężczyznami. Musi sprawdzić to, co mówią o dziewczynach jej rasy, o ich namiętności i gorącej krwi. Atmosfera wokół wydała mu się sprzyjająca, miejsce bezpieczne. Rzucił przenikliwe spojrzenie tam, gdzie stała, i zdecydował się podejść do niej, ale ostrożnie, tak, żeby nie okazać od razu swoich zamiarów, dopóki nie wyczuje, że można, bo jeszcze gotowa podnieść krzyk jak ta

głupia Umm Hanafi, i będzie nowy skandal. Szedł wolno, ze wzrokiem utkwionym w jej twarzy, pragnąc całą siłą płonącej żądz, żeby przemówiły do niej w gęstej ciemności słowa jego oczu. Przeszedł obok musnąwszy łokciem górną połowę jej ciała i poszedł dalej jakby nigdy nic. Prąd go poraził, chociaż w ciemności nie widział, jakiego miejsca dotyka. Gdy doszedł do końca dachu, nieco otrzeźwiało, ale zostało w nim po tym dotknięciu uczucie czegoś świeżego, miękkiego, a brak reakcji z jej strony potwierdził, że o nic go nie podejrzewa. Podeszedł do niej znowu i tym razem trafił bezbłędnie łokciem w jej pierś. Nie cofnął ręki, tak jakby czekał, aż kobieta zwróci mu uwagę, że pomylił drogę. Ale nic się nie działo, więc już bez oporów zaczął przyciskać jej drugą pierś. Na pewno zrozumie jego zamiary, może już rozumiała, bo zrobiła ruch, jakby chciała odwrócić się bokiem, ale nie zrobiła tego. Może oniemiała ze zdumienia? A on nie cofnął ręki. Na pewno nie wrzaśnie nagle, jak zrobiła tamta suka. Spróbujmy znowu. Tym razem wrócił szybko, niecierpliwie, oparł się o nią całym ciałem i położył dłoń na jej pełnej piersi napompowanej jak mały bukłak. Cofnął się, wzruszył ramionami w sposób mówiący o wahaniu i wątpliwości. Zaczął znowu chodzić, ogarnęła go nawet chęć ucieczki, ale jej pokora czy też tępota otumaniały go, doprowadziły wręcz do szaleństwa.

– Czy to ty, Nur? – spytał głosem drżącym z żądz.

– Tak, proszę pana.

Cofnęła się, a on napierał na nią bojąc się, że ucieknie. Przycisnął ją do ściany. Musiał zadać to głupie pytanie, musiał powiedzieć cokolwiek, żeby wyrzucić z siebie niepokój, jak bokser, który wymachuje pięścią w powietrzu czekając na dogodną okazję, żeby zadać ostateczny cios.

– Dlaczego nie poszłaś do swojego pokoju? – spytał dmuchając na jej czoło.

– Chciałam odetchnąć trochę świeżym powietrzem – zająknęła się, ściśnięta w jego objęciach.

Namiętność zwyciężyła, przestał się wahać. Objął ją w talii, przyciągnął do siebie, napotykać niewielki opór, i przycisnął policzek do jej policzka.

– Chodźmy do komórki – szepnął jej do ucha.

– To wstyd, proszę pana – wymamrotała zmieszana.

Miedziany dźwięk jej głosu zadzwonił w ciszy, aż się przestraszył. Nie podniosła głosu, ale chyba po prostu nie potrafiła szeptać, czy też raczej w sposób naturalny jej głos dźwięczał nawet w najniższych rejestrach. Nie było w nim protestu i to go uspokoiło. Pociągnął ją za rękę i powiedział:

– Chodź, moja śliczna.

Uczepiła się jego ręki, co mogło być przyzwoleniem albo oznaką posłuszeństwa, a on obsypał pocałunkami jej policzek i szyję, upojony radością, zataczając się ze szczęścia i wzruszenia.

– Jak ja mogłem nie zauważać cię przez te wszystkie miesiące?

– To wstyd, proszę pana – powiedziała znów bez cienia sprzeciwu.

– Twój opór jeszcze bardziej mnie podnieca. Opieraj się.

Zaczęła się opierać przy wejściu do komórki.

– To wstyd, proszę pana... Tam jest pełno pluskiew.

– Dla ciebie spałbym na skorpionach, Nur – szepnął dotykając ustami jej karku i lekko popychając do przodu.

To, co robiła Nur, najprecyzyjniej wyrażało słowo „niewolnica”.

Stała przed nim pokornie, w ciemności, a on dotknął ustami jej ust i zaczął całować ją z żarem i tęsknotą. Stała cicho, znieruchomiła, bezwolna, jak na obrazku. „Pocałuj mnie”, poprosił i znowu przylgnął ustami do jej ust. Oddała mu pocałunek. Kazał jej usiąść, ale powtórzyła tylko swoje: „To wstyd, proszę pana.” Prawie się roześmiał, tak mu się to wydało monotonne i banalne. Posadził ją sam, a ona nie zaprotestowała. Odkrył, że sprawia mu przyjemność ta ni to bierność, ni to przyzwalanie, i zaczął ją coraz to o coś prosić, a ona protestowała słowami, jednocześnie przyzwalając czynem.

Po jakimś czasie wydało mu się, że ciemność wokół porusza się, że tańczą w niej jakieś dziwne stwory. Może był to rezultat długotrwałego wysiłku, jeżeli rzeczywiście był długi, bo dokładnie nie wiedział, ile czasu tu przebywał. Mogły to być też gorące prądy w jego głowie, które przy zderzeniach zapalały przed jego oczami złudne światła. Jednak powoli, powoli ściany pokoju zaczęły falować zalane lekkim światłem, w którym ciemność rozplątywała się odkrywając swoje tajemnice. Podniósł głowę i zobaczył, że przez szpary w drewnianych ścianach sączy się słaba jasność. Zaraz potem usłyszał głos żony:

– Nur, śpisz? Nur! Nie widziałaś pana Jasina?

Serce podskoczyło mu do gardła, zerwał się na równe nogi i zaczął gorączkowo zbierać części ubrania. Wkładał je na siebie rozglądając się jednocześnie dokoła, czy nie znajdzie jakiejś kryjówki między gratami, ale jeden rzut oka wystarczył, żeby stracić nadzieję. Tymczasem uderzenia chodaków były coraz bliższe, a niewolnica nie wytrzymała i zaczęła zawodzić:

– To pan jest wszystkiemu winien. Co ja teraz zrobię?

Ścisnął ją mocno, boleśnie za ramiona, aż umilkła, a sam, ze strachem i rozpaczą, wpatrywał się w drzwi, jednocześnie nieświadomie cofając się w najdalszy kąt, aż oparł się o ścianę i zastygł w bezruchu.

– Nur, Nur! – słychać było wołanie Zajnab. Drzwi otworzyły się i pokazała się w nich ręka żony z lampą.

– Tak, proszę pani – odezwał się cichy, smutny głos niewolnicy.

– Wcześniej poszłaś spać, staruszko – powiedziała Zajnab ze złością. – Nie widziałaś czasem pana Jasina? Starszy pan kazał po niego posłać, ale obszukałam cały dom, podwórze i dach i nie znalazłam go. Na pewno go nie widziałaś?

Zajrzała do komórki i ze zdziwieniem zobaczyła siedzącą na podłodze zmieszaną niewolnicę. Instynktownie wzrok jej powędrował na prawo i ujrzała ogromne ciało męża przyklepione do ściany, jakby obwisłe, miękkie ze wstydu i poniżenia. Krzyk podobny do wycia wydarł się z piersi dziewczyny. Uderzyła się lewą ręką w pierś i krzyczała:

– Łajdactwo! Co za potworny łajdak! Ty!... Ty!...

Zaczęła drzeć na całym ciele, a razem z nią drżało światło lampy odbijające się na ścianie naprzeciwko drzwi. Wyskoczyła z komórki, a jej zawodzenie rwało ciszę domu.

„Narobiłem skandalu”, mruknął do siebie Jasin łykając ślinę. „Trudno, co się stało, to się nie odstanie.” Stał ciągle w tym samym miejscu zdumiony rozglądając się dokoła. Wreszcie

oprzytomniał i wyszedł na dach. Nie miał pojęcia, co robić. Czy skandal ograniczy się tylko do jego mieszkania, czy też przeniesie do drugiego. Zaczął sobie wyrzucać, że dał się zaskoczyć, że był za słaby i nie poszedł za nią, by nie dopuścić, aby skandal się rozniósł. Jak ma się zachować w tej sytuacji? Czy surowość i stanowczość coś tu pomogą? A może wiadomość nie dojdzie do ojca? Usłyszał ruch w tej przeklętej komórce, obejrzał się i zobaczył, że niewolnica wychodzi z dużym tobołkiem w ręku. Pobiegnęła w kierunku schodów i znikła mu z oczu. Wzruszył ramionami z lekceważeniem. I w tym momencie zauważył, że nie ma na sobie koszuli, więc szybko wrócił do komórki.



Wczesnym rankiem usłyszeli pukanie do drzwi. Był to szajch dzielnicy, który zawiadomił As-Sajjida Ahmada, że władze upoważniły go do obwieszczenia mieszkańcom dzielnic okupowanych, że Anglicy mają zamiar tylko tłumić demonstracje i w związku z tym As-Sajjid powinien otworzyć sklep, chłopcy pójść do szkoły, a urzędnik do pracy. Ostrzegł go też przed zatrzymaniem uczniów w domu, żeby nie uznano ich za strajkujących, jako że został wydany absolutny zakaz wszelkich strajków i demonstracji. Tak więc z samego rana dom wrócił do normalnego życia. Mężczyźni odetchnęli z ulgą, uwolnieni z uwięzi po wczorajszym zamknięciu, i wróciło coś w rodzaju spokoju i poczucia bezpieczeństwa. „Sytuacja na zewnątrz poprawia się – pomyślał Jasin – za to w domu błoto i gnój.” Tak, większość rodziny spędziła tę odrażającą noc w atmosferze skandalu. Nieszczęście rozerwało jej jedność. Zajnab nie miała na tyle cierpliwości i hartu ducha, żeby zamknąć swoje nieszczęście w sercu. Ani na chwilę nie opuszczał jej ten przerażający widok, jaki ujrziała w pokoju niewolnicy, i ciskała gromy na wszystkie strony. Robiła to celowo, chcąc, żeby jej wycie i zawodzenie dotarło do uszu As-Sajjida. Rzeczywiście przybiegł zaraz pytając, co się stało, i wtedy wybuchł skandal. W szoku opowiedziała mu wszystko, ze szczegółami, inaczej nigdy by się na to nie odważyła. W ogóle nikt z rodziny nie odważyłby się na to z szacunku i ze strachu przed As-Sajjidem. Pomściła swoją zamordowaną cześć, swoją cierpliwość i wszystko, co musiała znosić od męża. „Niewolnica! Służąca! W wieku jego matki! – krzychała. – We własnym domu! To co on robi poza domem!” Nie była to zazdrość, a jeżeli już, to ukryta pod gęstą zasłoną wstrętu, odraży i gniewu, jak ogień chowa się za zasłoną dymu. Po tym co się stało, woli śmierć niż zostać z nim pod jednym dachem nawet jeden dzień. Wyniosła się ze swojego pokoju i noc spędziła w pokoju gościnnym. Do rana prawie nie spała mając jak w gorączce, aż wreszcie, kiedy zasnęła, nękały ją ciężkie, koszmarnie sny. Rano postanowiła odejść i to postanowienie nieco ją uspokoiło. As-Sajjid nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia. Nie może jej zabronić odejść po tym, co się stało. Nie jest w stanie, żeby nie wiadomo jaka była jego władza, nawet ukarać jej męża, co by w pewnym stopniu ukoilo jej ból. Jedyne, co może, to zbesztać go porządnie, zrobić mu awanturę. Ale co to da? Ten rozpustnik wysłucha ze spuszczoną głową i nadal będzie prowadził swoje brudne, odrażające życie. Ale nawet nie doszło do wielkiej awantury. As-Sajjid prosił, aby zdała się na niego, radził, żeby darowała mężowi tę pomyłkę biorąc za przykład cierpliwość kobiet równie cnotliwych i porządnych jak ona.

Ale niestety, jej cierpliwość i zdolność wybaczenia wyczerpały się. Czarna niewolnica powyżej czterdziestki! O nie! Odejdzie, nie będzie się wahała. Ojcu wypłacze swój ból i zostanie u niego, aż Jasin opamięta się, przyjdzie do niej skruszony i zmieni swoje postępowanie. Inaczej niech to całe życie, ze wszystkim, co dobre i złe, diabli wezmą. Jasin mylił się sądząc, że Zajnab, kierując się rozsądkiem, już dawno pogodziła się z sytuacją. Fakt, że na samym początku pełna żalu i zniecierpliwienia zwierzyła się matce ze swoich

problemów. Ale matka, kobieta doświadczona, nie powtórzyła skargi ojcu i nakazała jej cierpliwość twierdząc, że tak już jest na tym świecie: mężczyźni spędzają wieczory poza domem jak, nie przymierzając, jej ojciec, piją, ale jej ojciec wraca zawsze do domu, żeby nie wiadomo jak był pijany i gdzie spędził wieczór, bo tylko w domu jest mu dobrze. Dziewczyna cierpiała, ale zastosowała się do tych rad. Robiła wszystko, żeby być miłą i cierpliwą, starała się cieszyć tym, co jest, i być zadowoloną z tego, na co pozwalała rzeczywistość i co jej zostało z cudownych marzeń, tym bardziej że już poruszał się w jej brzuchu załazek zwiastujący macierzyństwo. Głęboko ukryła niezadowolenie i podporządkowała się naśladować to matkę, to żonę Starszego Pana. Jednak od czasu do czasu nachodziły ją wątpliwości, co też jej mąż robi na tych wieczornych libacjach. Kiedyś poskarżyła się matce, że uczucia męża z jakiegoś powodu ochłodziły, co ma, być może, związek z jego wieczornymi hulankami. Kobieta dała jej do zrozumienia, że takie chwilowe osłabienie uczuć niekoniecznie musi być rezultatem tego, co ona podejrzewa, że jest to sprawa naturalna i zdarza się wszystkim mężczyznom. Sama się o tym przekona w miarę nabywania życiowego doświadczenia... A jeśli nawet jej urojenia były słuszne, to co może zrobić? Opuścić dom dlatego, że mąż ma inne kobiety? Nie! Po tysiącokroć nie! Gdyby z takich powodów żony uciekały od mężów, w domach nie pozostałaby żadna cnotliwa kobieta. A mężczyzna, no cóż, pragnie czasem tej czy innej kobiety, ale zawsze wraca do domu, bo tylko żona jest ostatecznym autorytetem i stałym schronieniem. Cierpliwe są wynagradzane, kontynuowała przypominając jej rozwódki, które nie zasłużyły na rozwód, a które mężowie porzucili dla innych kobiet. Czy głupota jej męża, jeżeli to prawda, nie jest mniejszym złem niż życie, jakie mają tamte? A poza tym jej mąż nie ma jeszcze dwudziestu jeden lat! Na pewno zmądrzeje, wróci do domu i zajmie się rodziną. Czyli musi być cierpliwa, nawet jeżeli jej podejrzania są słuszne, a co dopiero jeśli się nie sprawdzą. I wiele jeszcze innych rzeczy mówiła jej matka i powtarzała je bez końca, aż dziewczyna uspokoiła się i postanowiła uzbroić w cierpliwość. I oto wydarzenie na dachu jednym ciosem zburzyło całą misterną budowlę spokoju i cierpliwości.

As-Sajjid nie brał pod uwagę gróźb Zajnab, był pewien, że dziewczyna zastosuje się do jego rad. Niemniej jednak nie mógł przejść nad tą sprawą do porządku. Niewolnica uciekła – najlepsze co mogła zrobić – a Jasin siedział na dachu myśląc ze strachem o burzy, jaka się rozpęta nad jego głową. Słyszał wołanie ojca, które brzmiało w jego uszach jak świst bicia, ale tkwił w miejscu zrozpaczony, niezdolny do żadnego ruchu. Wreszcie As-Sajjid sam wtargnął na dach z krzykiem i groźbami. Rozejrzał się dokoła i zobaczywszy sylwetkę syna podszedł do niego i stanął naprzeciw ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, sztywny i wyniosły. Wpatrywał się w jego twarz bez słowa, jakby chciał sterroryzować go wzrokiem i uderzyć bardziej, niż zrobiłyby to słowa czy kopniaki, na które nie pozwalała już, zresztą, pozycja Jasina jako mężczyzny i męża. W końcu nie wytrzymał i wyrzucił z siebie całą wściekłość: „Prowokujesz mnie w moim własnym domu – krzyczał. – Hańbisz mnie! Żeby cię piekło pochłonęło. Zbrukałeś mój dom, ty podły łotrze. Ten dom nigdy nie będzie czysty, dopóki ty w nim mieszkasz. Przed ślubem usprawiedliwiałem cię, ale co teraz masz na swoje usprawiedliwienie? Wychowuję cię, wychowuję, ale moje słowa trafiają na kamień. Zwierzę bym już dawno wychował. Jeszcze ściągniesz przekleństwo na dom, który cię przygarnął.”

Wyrzucał z siebie słowa jak rozpalone kule ołowiu, a Jasin stał przed nim milczący, ze spuszczoną głową, pragnąc rozpląnąć się w ciemności. Wreszcie As-Sajjid zmęczył się, odwrócił i wyszedł rzucając przekleństwa na syna, jego ojca i matkę. Zamknął się w swoim pokoju gotując się z wściekłości. Grzech Jasina to była dla niego zbrodnia zasługująca na karę śmierci. Nie pamiętał o tym, że cała jego przeszłość to pasmo takich grzechów Jasina, które popełnia nadal, choć mu brakuje do pięćdziesiątki już tylko pięciu lat, a jego dzieci w tym czasie dorosły i stały się mężami i żonami. Właściwie to pamiętał o tym, ale tego, na co on sobie pozwalał, nie wolno było robić nikomu z rodziny. Jemu wolno było robić to, co chce, ich obowiązywały ograniczenia, które on wyznaczał. I chyba wściekł się nie tyle na grzech Jasina, ile na to, że syn rzucił wyzwanie jego woli, zlekceważył jego obecność w domu, zbezcześcił jego obraz, obraz ojca takiego, jakim chciał, żeby widzieli go jego synowie.

Jak zwykle jego gniew nie trwał długo. Zgasł nagle, jak nagle wybuchł. As-Sajjid uspokoił się i powoli przyjął wygląd ponury i smutny. Ale już wkrótce zaczął rozpatrywać tę „zbrodnię” z innych stron. Ujawniły mu się jej aspekty groteskowe, które go wręcz rozbawiły i stały się rozrywką jego przymusowej samotności. Najpierw zaczął szukać usprawiedliwienia dla grzesznika nie dlatego, że był talki tolerancyjny, przeciwnie, w domu nienawidził tolerancji, ale żeby usprawiedliwić wykroczenie syna przeciwko jego woli. „Szkoda, że nie mogę użyć kija, żeby nauczyć go posłuszeństwa... Czy można szukać usprawiedliwienia w jego młodości jako okresie lekkomyślności i braku rozsądku? Nie można. Młodość usprawiedliwia grzech, ale nie nieposłuszeństwo woli ojca. Gdyby było inaczej, to Fahmi, a nawet Kamal mogliby także lekceważyć jego wskazówki i pouczenia. Zatem należy szukać usprawiedliwienia w jego dorosłości, która mu pozwoliła uniezależnić się od ojca i wziąć inna siebie odpowiedzialność za swoje czyny. Nie sprzeciwił się mojej woli – myślał – gdzieżby tam. Jest po prostu w tym wieku, że jego grzechu nie można już uważać za sprzeciwianie się mojej woli.” Nie trzeba dodawać, że sam przed sobą, w głębi duszy nie chciał uznać tej prawdy i nie miał zamiaru mu przebaczyć, nawet gdyby o to prosił. Chyba żeby zdarzyło się coś, co by go rzeczywiście usprawiedliwiało. A przecież wychował go tak surowo, jak rzadko który ojciec, żądając całkowitego podporządkowania się, co wytrzymuje niewielu synów. Pomyślał o Zajnab, ale nie znalazł dla niej żadnego współczucia. Pocięszal ją, to prawda, ale tylko przez szacunek dla jej ojca, który był mu drogi. Nie uważał jednak, że dziewczyna rzeczywiście jest godna swojego ojca. Żona, niezależnie od okoliczności, nie powinna robić awantury swojemu mężowi, tak jak ona to zrobiła. A jak zawodziła! Jak wrzeszczała! Co on, As-Sajjid, by zrobił, gdyby Amina któregoś dnia zaskoczyła go takim zachowaniem? Ale gdzie jej tam do Aminy. A jak bezwstydnie mu opowiadała ze wszystkimi szczegółami to, co zobaczyła. Uff! Gdyby nie była córką Muhammada Iffata, Jasin miałby prawo dać jej nauczkę, a on sam puściłby to płazem. Jasin zgrzeszył, ale ona popełniła większy grzech. Znowu wrócił do Jasina i pomyślał z uśmiechem, że mają taką samą naturę odziedziczoną bez wątplenia po dziadku. A kto wie, czy nie pali ona też Fahmiego pod maską cnotliwości i dobrego wychowania. A Kamal! Przecież słyszał, jak chłopiec śpiewał: *O ptaszku na gałązce*. Kiedyś wrócił do domu o nietypowej porze i stał przez chwilę za drzwiami nie tylko dlatego, żeby wyglądało na to, iż przyszedł już po zakończeniu piosenki, ale żeby posłuchać i rozkoszować się dźwięcznym głosem syna, a także sprawdzić, jak długo może ciągnąć

dźwięk. A kiedy chłopiec skończył, mocno trzasnął drzwiami, zakasłał i poszedł do siebie skrywając w sercu radość. Jakże go cieszyło, kiedy odnajdywał w synach swoją odrodzoną duszę! Ale zaraz... Jasin ma też swoją własną naturę, w której on nie ma udziału, jeśli wziąć pod uwagę ściśle znaczenie tego słowa. Jasin to ślepe zwierzę... Raz napadnie na Umm Hanafi, to znowu złowi Nur. Paprze się w błocie wszystko jedno z kim. Taki on jest. Tak, rozumie zdenerwienie syna z powodu przymusowego spędzania wieczoru z żoną, jak w więzieniu, rozumie, bo on sam też cierpiał i był smutny, jakby stracił kogoś drogiego. Ale przypuśćmy, że to on chodziłby sobie po ogrodzie na dachu i nagle spotkał niewolnicę, przypuśćmy nawet, że byłaby w jego guście, czy zdecydowałby się na taką przygodę? Skąd! Na pewno nie. A co by go powstrzymało? Miejsce? Rodzina? A może dojrzały wiek? Ten ostatni powód zdenerwował go. Wydawało mu się, że zazdrości Jasinowi jego świeżej młodości i zarazem szaleństwa jego postępu. Mimo wszystko mieli różne natury. As-Sajjid nie był, jak jego syn, po prostu amatorem kobiet, nie leciał na każdą. Jego namiętność była dojrzała, wybór wyrafinowany, a ponadto pociągała go kobiecość, ogłada towarzyska, kobieca duma i elegancja. Tych zalet nie brakowało Dżalili ani Zubajdzie, ani Umm Mariam, ani dziesiątkom innych. Jego temperament i humor rozkwitały tylko w doborowym towarzystwie przyjaciół i przy kieliszku, rozmowach i pieśniach. Wtedy kobieta miała urok. Każda – nowa kochanka szybko orientowała się, czego pragnie, i przygotowywała mu to, podniecającą, słodką atmosferę nasyoną aromatem kwiatów, kadzidła i piżma. Kochał piękno samo w sobie, ale kochał je bardziej w blasku doborowego towarzystwa. Imponowała mu sława i rozgłos znakomitego kochanka, którymi cieszył się wśród przyjaciół. Sprawiało mu także przyjemność, że otoczenie wychwala jego kochanki, które tylko w rzadkich wypadkach zmuszony był ukrywać, jak Umm Mariam. Zadając się z kobietami znanymi, nie był zmuszony do składania ofiary z ich urody, jako że w tym wypadku rozgłos i uroda tych kobiet były nierozłączne jak światło i cień. Przeważnie uroda torowała im drogę do sławy i wybitnej pozycji towarzyskiej. Kochankami jego były najślawniejsze śpiewaczki tych czasów i żadna z nich go nie rozczarowała, żadna nie wystawiła na próbę jego miłości do piękna. Dlatego teraz z pogardą myślał o przygodach Jasina. „Umm Hanafi! Nur! Na Boga, co za bydlę!” Jemu się taicie dziwaczne wyjątki nie zdarzały, ale też nie musiał zastanawiać się nad tym, dlaczego zdarzają się Jasinowi. Kobieta, która go urodziła, przekazała mu także swoją nędzną, brudną naturę. On jest odpowiedzialny za siłę jego namiętności, ona za jej brudną jakość.

Rano zaczął się poważnie zastanawiać nad całym problemem. Już nawet chciał wezwać do siebie małżonków, żeby wyjaśnić sytuację, ale odłożył to na później, bo rano miał za mało czasu.

Jasin nie pojawił się na śniadaniu, a zapytany przez Fahmiego o powód, odpowiedział ze złością: „Drobiazg, powiem ci o tym później.” Fahmi nie znał powodu gniewu ojca i dopiero zniknięcie niewolnicy Nur dało mu do myślenia.

Tego ranka rodzina zachowywała się inaczej niż zwykle. Jasin wyszedł wcześniej z domu, a Zajnab została w swoim pokoju. Potem wyszli pozostali mężczyźni, z duszą na ramieniu, bojąc się spojrzeć w kierunku żołnierzy. Matka za okiennicami modliła się, aby Bóg uchronił ich od nieszczęścia.

Amina nie chciała wtrącać się do „wypadku” na dachu. Zeszła do kuchni i czekała, aż Zajnab, jak zwykle, zaraz do niej zejdzie. Nie popierała jej gniewu, uważała go za rodzaj kokieterii, była wręcz zgorszona jej postawą. „Jak ona może uzurpować sobie prawa, które nigdy się kobiecie nie należały – myślała. – Jasin niewątpliwie popełnił grzech, zbrukał czystość domu, ale był to grzech przeciwko ojcu i jego własnej czci. Czyż w porównaniu z tą dziewczyną nie jestem aniołem?” Nie mogła już dłużej czekać i postanowiła pójść i pocieszyć ją. Weszła na górę i zawołała, a nie słysząc odpowiedzi zajrzała do pokoju małżonków. Zajnab nie było. Obeszła wszystkie pokoje, wołała, ale bez rezultatu. „O Boże – krzyknęła uderzając dłonią o dłoń – czyżby Zajnab dobrowolnie opuściła swój dom?”

Cały dzień spędziła Amina w niepokoju o swoich mężczyzn narażonych na możliwość zaczepki ze strony żołnierzy. Pierwszy wrócił do domu Fahmi. Ulżyło jej trochę, ale zaraz jego ponura twarz zaniepokoiła ją znowu.

– Co ci jest, synku? – spytała.

– Nie mogę patrzeć na tych żołdaków! – krzyknął ze złością.

– Nie okazuj im nienawiści, jeżeli mnie kochasz, nie rób tego...

Ale on niczego takiego nie robił i nie dlatego, że matka o to prosiła. Po prostu nie ośmieliłby się sprowokować ich nawet spojrzeniem, był przecież na ich łasce i niełasce. Wracając do domu myślał sobie, co by z nim zrobili, gdyby wiedzieli, że wraca z demonstracji zaatakowanej przez wojsko, albo że rano roznosił ulotki, które podlegają do walki z nimi. Usiadł rozpamiętując to, co go spotkało w ciągu dnia. Przypominał sobie fakty i marzył o tym, co mogłoby się zdarzyć. W ten sposób właśnie, w jego pojęciu, należało postępować: pracować w dzień, marzyć wieczorem. W obydwu wypadkach opadały go skrajne uczucia: najwznioślejsze i najwstrętniejsze. Z jednej strony miłość do ojczyzny i narodu, z drugiej chęć zabijania i niszczenia. Rozkoszował się marzeniami raz dłużej, raz krócej i budził się z nich z żalem, że nie mogą się spełnić. Czasami jednak traktował je jak głupie myśli. Tkanką tych marzeń były zawsze walki, które on prowadził jako wódz, jak Joanna d’Arc, a ich schemat to: zdobycie broni na wrogu, napad i porażka Anglików, piękne przemówienie na placu Opery, zmuszenie Anglików do ogłoszenia niepodległości Egiptu, triumfalny powrót Sa’da Zaghlula z wygnania, spotkanie z Przywódcą, jego przemówienie, Mariam wśród świadków tych historycznych wydarzeń. Jego marzenia zawsze wieńczył obraz Mariam, mimo że w ostatnim czasie ukrył go głęboko, bo sercem był gdzie indziej, jak księżyc chowa się za obłokami w czasie burzy.

Matka nerwowym ruchem zawiązywała chustkę na głowie nie wiedząc, jak zacząć rozmowę. Wreszcie przerwała jego rozmyślenia:

– Zajnab odeszła do domu ojca.

Och,- Zupełnie zapomniał o tym, co tak męczyło brata i rodzinę tego ranka. Teraz jest pewien swoich podejrzeń w związku z ucieczką Nur. Unikał wzroku matki, bo łatwo by wyczytała, co się z nim dzieje, tym bardziej że był przekonany, iż ona zna całą sprawę, i co więcej domyśla się, że on też wie. Nie miał pojęcia, co jej odpowiedzieć, bo nie umiał kłamać.

– Oby Bóg wszystko naprawił – odpowiedział tylko.

Amina nic więcej nie powiedziała, jakby zniknięcie Zajnab było drobnostką, o której nie warto mówić. Wystarczyły te dwa zdania: jedno informujące, a drugie błagające Boga o pomoc. Cierpiała też, zmieszana, bo nigdy nie potrafiła grać ani kłamać, a o tej sprawie trudno jej było mówić z synem otwarcie.

Zmieszanie obydwójga nie trwało długo, bo oto zobaczyli, że idzie Jasin. Wydało im się, że na jego twarzy nie ma śladu kłopotów, które czają się w domu; jeszcze nie wiedział, co go czeka. Fahmi nie zdziwił się za bardzo, bo Jasin z natury lekceważył problemy, pod którymi uginają się inni ludzie. Ale tym razem powód był inny. Jasina spotkała przygoda, która wprawiła go w stan euforii i kazała na jakiś czas zapomnieć o kłopotach. Szedł do domu, kiedy zastąpił mu drogę angielski żołnierz. Jasinowi pociemniało w oczach, czuł, że ziemia rozstępuje się pod jego stopami. Oczekiwał najgorszego, jakiegoś upokorzenia na oczach właścicieli sklepów i przechodniów. Gotów do obrony powiedział grzecznie i delikatnie, prosząc, żeby pozwolił mu przejść.

– Proszę pana...

Ale żołnierz poprosił o zapalki i uśmiechnął się, po prostu uśmiechnął, i Jasin tak się tym zdziwił, że nie zrozumiał w ogóle, o co mu chodzi i tamten musiał powtórzyć. Nie wyobrażał sobie, że angielscy żołnierze potrafią się tak uśmiechać, że w ogóle potrafią się uśmiechać i do tego są grzeczni. Zmieszał się, a jednocześnie tak ucieszył, że stanął jak słup i na moment zaniemówił, a potem podskoczył z entuzjazmem do tego wspaniałego, uśmiechniętego żołnierza, żeby wyświadczyć mu tę prostą przysługę, a jako że nie palił, a więc nie nosił przy sobie zapalek, pobiegł do Al-Hadżdża Darwisza, sprzedawcy fulu, kupił pudełko zapalek i podał szybko żołnierzowi.

– Dziękuję – powiedział żołnierz.

Jeszcze się nie ocknął po czarującym uśmiechu, a przyszło podziękowanie, będące tym, czym jest kufel piwa dla człowieka, który ma już dosyć whisky. Napełniła go radość i duma, jego pełna twarz poczerwieniała i roześmiał się jakby to *thank you* było orderem, którym został odznaczony na oczach wszystkich, i gwarantowało mu bezpieczne chodzenie w tę i z powrotem przed obozem wojskowym. Kiedy żołnierz już odchodził, powiedział żarliwie:

– Życzę powodzenia, proszę pana.

Poszedł do domu pijany z radości. Jaki zaszczyt go spotkał. Anglik, nie jakiś tam Australijczyk czy Hindus, uśmiechnął się do niego i podziękował mu! W jego wyobraźni każdy Anglik przedstawiał się jako doskonały wzór rodzaju ludzkiego. Może ich nawet nienawidzi jak wszyscy Egipcjanie, ale w głębi duszy szanuje ich i poważa do tego stopnia, że często wydaje mu się, że są oni ulepieni z innej gliny. I taki człowiek uśmiechnął się do niego i do tego podziękował mu! Odpowiedział prawidłowo, rozciągając usta, naśladując, jak mógł najlepiej, wymowę angielską. Udało mu się wspaniale, zasługiwał na pochwałę. Jak tu wierzyć w te wszystkie okrucieństwa, które im się przypisuje? Dlaczego zesłali Sa'da Zaghlula, skoro są tacy mili?

Jego entuzjazm opadł na sam widok Aminy i Fahmiego i tego, co czytał w ich oczach. Zmartwienia, o których zapomniał, wróciły i Jasin stanął znowu przed problemem, od którego uciekł rano.

– Dlaczego nie ma jej tu? – spytał wskazując palcem na górę. – Ciągle zła?

– Poszła do swojego ojca – powiedziała Amina z zakłopotaniem.

Zdziwiony i niezadowolony podniósł brwi.

– Dlaczego pozwoliłaś jej odejść?

– Wyśliznęła się tak, że nikt nie zauważył.

Fahmi postanowił włączyć się do rozmowy, żeby dać bratu złudzenie, że nie zna jego tajemnicy, a tym samym oddalić od matki podejrzenie, że wszystko rozgadała. Zapytał więc naiwnie:

– A co ją skłoniło do takiego desperackiego kroku?

Jasin spojrział na niego badawczo, potem zamachał grubą ręką i zrobił minę, jakby chciał powiedzieć: „To nie jest ważne, co ją skłoniło.”

– Dzisiejszych dziewczyn nie stać już na dobre maniery – rzekł i dodał patrząc na Aminę – gdzie się podziały dawne kobiety?

Amina spuściła głowę niby ze wstydu, a w rzeczywistości chcąc ukryć uśmiech, jako że skojarzyła sobie w głowie dwa obrazy: Jasina kaznodziei i ofiary zarazem i Jasina przyłapanego na dachu.

Niepokój Jasina był o wiele większy, niż chciał okazać, bo mimo rozczerowania, jakie przyniosło mu małżeństwo, ani przez moment nie myślał o zerwaniu go. Było dla niego ucieczką i schronieniem, a teraz jeszcze przyniosło mu radość oczekiwanego ojcostwa. Pragnął obecności Zajnab, pragnął do niej wracać ze swoich wędrówek, jak podróżnik wraca do ojczyzny, jak do swojego portu. No a poza tym odejście żony pociągnie za sobą nową kłótnię z ojcem i z As-Sajjidem Iffatem. Będzie skandal i smród, że tylko zatykać nosy. Suka! Tak sobie wszystko ładnie ułożył, postanowił stopniowo doprowadzić do tego, żeby Zajnab sama się przyznała, że popełniła błąd i grzech większy niż on. Pewny był, że mu się to uda. Przysięgał, że ją wychowa, że znajdzie na nią sposób... A tymczasem ona odeszła. Wszystkie plany wzięły w łeb. Postawiła go w niełatwej sytuacji. Suka!

Naraz ciszę domu przerwał krzyk. Jasin spojrział na matkę i Fahmiego, który nasłuchiwał z ciekawością i niepokojem. Krzyczała jakaś kobieta. Z jakiego powodu? Czy opłakiwała zmarłego? Kłóciła się czy wzywała ratunku? Amina zaczęła się modlić prosząc Boga, żeby odsunął od nich zło.

– To niedaleko... Chyba na ulicy pod naszym domem – powiedział Fahmi i nagle wstał ze zmarszczonym czołem. – Zdaje się, że Anglicy napadli na jakąś kobietę z dzieckiem.

Wszyscy pospieszyli na maszrabiję, ale tymczasem krzyk ucichł. Spojrzeli przez uchylone okiennice i oczom ich ukazał się dziwny widok. Na środku ulicy stała kobieta w otoczeniu przechodniów i właścicieli sklepów.

– Umm Hanafi! – krzyknął Fahmi.

– Nie widzę koło niej Kamala – powiedziała matka, która posłała Umm Hanafi po Kamala do szkoły. – Dlaczego ona tam stoi jak wrośnięta w ziemię? Kamal! O Boże, gdzie jest Kamal? To ona krzyczała, teraz wiem, że to był jej głos! Gdzie jest Kamal?

Fahmi i Jasin nie odezwali się słowem. Badali wzrokiem ulicę, a zwłaszcza obóz Anglików, na który zwrócone były oczy wszystkich zgromadzonych na czele z Umm Hanafi. Nie mieli wątpliwości, że to ona krzyczała i ona zgromadziła ludzi. Wołała o pomoc, bo

Kamalowi zagrażało jakieś niebezpieczeństwo. Na pewno od Anglików. Ale jakie niebezpieczeństwo? Gdzie jest Kamal? „Ratunku! Co mu się stało?”

Matka nieprzytomna ze strachu krzyczała, a oni nie wiedzieli, jak ją uspokoić. Zresztą sami też byli w strachu. Gdzie się podział Kamal? Żołnierze zajmują się swoimi sprawami, jakby się nic nie stało, jedni chodzą, inni siedzą, jeszcze inni stoją, wchodzą i wychodzą z obozu. Nagle Jasin chwycił Fahmiego za ramię i krzyknął:

– Widzisz tych żołnierzy koło sabilu Bajna al-Kasrajni? Kamal stor pośrodku nich, widzisz?

– Kamal wśród żołnierzy! Tak, to on! O Boże, ratunku! – krzyknęła matka.

Czterech wysokich, potężnie zbudowanych żołnierzy trzymając się za ręce tworzyło krąg. Fahmi patrzył na nich i przyglądał się im, ale niczego nie zauważył. Wreszcie między nogami żołnierza stojącego tyłem do nich zobaczył Kamala. Wydało mu się, że go kopią jak piłkę.

– Pójdę tam, żeby nie wiem co – powiedział zapominając o strachu.

Ale Jasin chwycił go za rękę. „Stój!”, krzyknął i zwrócił się z uśmiechem do matki.

– Nie bój się. Gdyby chcieli mu zrobić coś złego, już dawno by to zrobili. Spójrz, nie wydaje ci się, że zajęty jest rozmową z nimi? A co to jest takie czerwone, co trzyma w ręku? Założę się, że to czekolada. Uspokój się. Bawią się nim po prostu, mają rozrywkę. Ileż razy ten chłopak napędził nam strachu bez powodu.

Jasin uspokoił się zupełnie, przypomniał sobie swoją szczęśliwą przygodę z żołnierzem i stwierdził, że na pewno jego koledzy są równie mili i łagodni. Zaczął zapewniać o tym zatrwożoną matkę wskazując na Umm Hanafi, która ciągle tam stała.

– Nie widzicie, że Umm Hanafi przestała krzyczeć? Widocznie nie ma powodu. Ludzie już zaczynają się rozchodzić, uspokoił się.

– Ja się nie uspokoję, dopóki Kamal nie wróci do domu – odpowiedziała matka drżącym głosem.

Wpatrywali się w chłopca albo raczej w to, co można było z niego dojrzeć spoza sylwetek żołnierzy. Ale żołnierze wkrótce opuścili ręce i rozstąpili się, jakby byli pewni, że chłopcu nie przyjdzie do głowy myśl o ucieczce. I wtedy zobaczyli Kamala w całej okazałości, roześmianego, rozmawiającego z nimi, jak wywnioskowali z ruchu warg i rąk, którymi pomagał sobie wyjaśniając jakieś słowa. Widać było, że rozumieją się doskonale, zresztą żołnierze w pewnym stopniu potrafili posługiwać się egipskim. O czym oni mogli rozmawiać? Tego się nie domyślili, ale już patrzyli na chłopca spokojnie. Nawet matka mogła wreszcie przyglądać się temu dziwnemu widokowi, co prawda z niepokojem, ale już bez zawożenia i wzywania pomocy.

– Chyba popadliśmy w przesadny pesymizm uważając, że okupacja naszej dzielnicy przez tych żołnierzy przysporzy nam nie kończących się kłopotów – powiedział Jasin.

– A ty nie bądź zbyt optymistą – odparł Fahmi niezadowolony z uwagi brata, nie odrywając oczu od chłopca. – Może inaczej traktują dzieci, a inaczej mężczyzn i kobiety.

Jasin już chciał opowiedzieć o swojej szczęśliwej przygodzie, ale ugryzł się w język, nie chcąc drażnić brata.

– Oby nas Bóg uwolnił od nich – odpowiedział pojednawczo.

– Czy nie czas, żebyście go zawołali i podziękowali im?



Ale w otaczającym Kamala kółku jakby czekano na coś nowego. Jeden z żołnierzy poszedł do namiotu i przyniósł drewniane krzesło, które postawił przed Kamalem. Chłopiec natychmiast wskoczył na nie, wyprostował się, opuścił ręce, stanął na baczność i zsunął tarbusz na tył głowy odkrywając wielkie czoło. Robił to wszystko automatycznie, nieświadomie, jak w szkole. O czym on mówi? Dlaczego tak się ustawił? Nie musieli długo czekać na odpowiedź, bo oto rozległ się wysoki, dźwięczny głos Kamala:

*Kochanie moje, chcę wrócić do kraju,  
Kochanie moje, władza zabrała mi syna...*

Śpiewał zwrotka po zwrotce, a żołnierze patrzyli na niego z otwartymi ustami, roześmiani, klaszcząc rytmicznie w dłonie. Jeden z nich wzruszył się tym, co zrozumiał z treści piosenki, i zaczął krzyczeć: „Chcę wrócić do kraju, chcę wrócić do kraju”. Kamal zachęcony tym, że podoba się słuchaczom, starał się śpiewać jak najlepiej i jak najgłośniej. Zakończył wśród braw i zachwyków, w których uczestniczyła także rodzina stojąca za okiennicami. Matka i bracia z zapartym tchem przysłuchiwali się śpiewowi Kamala modląc się w duchu, żeby mu się powiodło, żeby się nie pomylił ani nie sfalszował. Bo to tak jakby śpiewał w imieniu ich wszystkich, czy raczej jakby to oni sami śpiewali jego gardłem, jakby cześć i honor ich wszystkich i każdego z osobna zależały od sukcesu tego śpiewu. Amina zasłuchana, zapomniała o swoich obawach, nawet Fahmi myślał tylko o tym, żeby chłopcu się powiodło. A kiedy skończył, pragnęli tylko, żeby zaraz wrócił, żeby nie stało się coś nieoczekiwanego, co popsułoby smak tego finału. Ale widać było, że zabawa została zakończona, bo Kamal zeskoczył z krzesła, pożegnał się z każdym żołnierzem osobno, gestem pozdrowienia podniósł rękę do głowy i pobiegł w stronę domu.

Rodzina szybko przeszła z maszrabijki do salonu, żeby go tam powitać. Wpadł zdyszany, zaróżowiony, spocony, a jego oczy, twarz i gwałtowne ruchy mówiły o niezwykłej emocji. Szczęście rozpiętało go, wylewało się z niego jak rzeka, która nie może pomieścić wody i wylewa ją na pola i doliny. Jeden rzut oka mówił o wszystkim, co mu się przydarzyło i co się w nim dzieje. Ale on sam tego nie widział.

– Coś wam powiem! – krzyknął. – Nie uwierzycie, nie wyobrażacie sobie...

– Co nam powiesz „kochanie moje” – spytał Jasin drwiąco.

To zdanie otworzyło mu oczy, olśniło, jak światło rozświetla ciemność. Spojrzał na nich uważnie, ale świadomość, że znają już jego przygody, zrekompensowała mu stratę okazji zadziwienia ich. Zaczął pękać ze śmiechu, uderzając rękami o kolana.

– Naprawdę widzieliście mnie?

W tym momencie usłyszeli płaczliwy głos Umm Hanafi.

– Lepiej byście pomyśleli o moim nieszczęściu. Teraz to radość, a ja myślałam, że umrę. Jeszcze jeden taki wypadek i niech mnie Bóg ma w swojej opiece.

Nie zdjęła milai i wyglądała jak nadmuchany worek po węglu. Była blada i zmęczona, a w oczach miała wyraz dziwnej pokory.

– A co się stało? – spytała Amina. – Dlaczego krzyczałaś? Bóg się nad nami zlitował i nie widzieliśmy niczego złego.

Umm Hanafi oparła się plecami o drzwi i zaczęła opowiadać:

– Nigdy nie zapomnę tego, co mi się przydarzyło, proszę pani. Byliśmy już niedaleko, kiedy te diabły żołnierze wyskoczyli na nas i zawołali pana Kamala, żeby do nich podszedł. A pan Kamal przestraszył się i popędził w stronę ulicy Kurmuza. Jeden z żołnierzy zagroził mu drogę, więc skręcił z krzykiem w Bajna al-Kasrajni. Serce we mnie zamarło i zaczęłam wołać o pomoc, jak mogłam najgłośniejszym głosem, a ciągle nie spuszczałam wzroku z pana Kamala, który biegał od jednego żołnierza do drugiego, aż w końcu otoczyli go. Myślałam, że umrę ze strachu, oczy mi zasłyły mgłą, nic nie widziałam. Ludzie zaczęli się gromadzić koło mnie, a ja nie przestawałam krzyczeć, dopiero Amm Hasanajn, fryzjer, uspokoił mnie: „Niech Bóg go chroni przed złem, oni się z nim tylko bawią – powiedział. – Nic mu nie Zrobią.” Och, proszę pani, oby Al-Husajn oddalił od nas zło.

– Ja wcale nie krzyczałem – zaprzeczył Kamal.

Umm Hanafi uderzyła się pięścią w piersi.

– Myślałam, że mi twój krzyk uszy przedziurawi, mało nie oszalałam.

– Przestraszyłem się z początku, że chcą mnie zabić – powiedział usprawiedliwiając się. – Ale jeden z nich gwizdnął, poklepał mnie po ramieniu i dał mi czekoladę i wtedy przestałem się bać.

Wyciągnął z kieszeni czekoladę. Aminę opuściła cała radość. Może była to radość przedwczesna, fałszywa. Teraz myślała już tylko o tym, że oni przestraszyli Kamala, że trzeba będzie długo prosić Boga, aby uratował go od następstw strachu. Strach to nie było uczucie szybko przemijające. O nie. Strach to uczucie wyjątkowe, ma mroczną aureolę, w której chronią się ifrity, tak jak nietoperze chronią się w ciemności. A kiedy otoczy jakąś osobę, zwłaszcza dziecko, dotknie ją coś niedobrego. Dlatego uniknięcie jego skutków wymaga więcej ostrożności i zabiegów, recytacji Koranu, stosowania kadzidła i talizmanów.

– Przestraszyli cię? Niech ich Bóg zabije – powiedziała ze smutkiem.

Jasin domyślił się, o co jej chodzi, i powiedział żartem:

– Czekolada to najlepszy talizman na strach... Czy rozmawialiście po arabsku?

Pytanie to wybawiło Kamala z przykrewnej sytuacji i znowu zaczął z radością opowiadać o swojej przygodzie.

– Jak dziwnie mówili po arabsku! Szkoda, że nie słyszałeś.

Zaczął naśladować ich wymowę, aż wszyscy pękali ze śmiechu. Nawet matka uśmiechnęła się.

– O co cię pytali?

– O wiele rzeczy... Jak masz na imię? Gdzie mieszkasz? Lubisz Anglików?

– No i co im odpowiedziałeś na to szczególne pytanie? – spytał Fahmi drwiąco.

Spojrzał na brata z wahaniem, ale Jasin odpowiedział za niego.

– Oczywiście powiedział, że ich kocha. A co miał powiedzieć.

– Ale powiedziałem też, żeby oddali Sa'da Paszę.

Fahmi wybuchnął głośnym śmiechem.

– Naprawdę? No i co ci odpowiedzieli?

– Jeden z nich chwycił mnie za ucho i powiedział: „Sa'd Pasza, *no*.”

– I co jeszcze mówili?

– Zapytali mnie... czy w naszym domu są dziewczyny – odpowiedział chłopiec niewinnie. Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy spojrzeli po sobie poważnie.

– No a ty co odpowiedziałeś?

– Powiedziałem, że Aisza i Chadidża już wyszły za mąż, ale oni nie zrozumieli, więc dodałem, że w domu jest tylko *nina*<sup>27</sup>. Zapytali, co to znaczy *nina*, więc im powiedziałem.

Fahmi spojrział na Jasiną wzrokiem, który mówił: „Moje podejrzenia sprawdziły się.”

– Nie dali mi czekolady ot tak sobie – powiedział z sarkazmem. Jasin uśmiechnął się słabo i odparł:

– Nie ma powodu do obaw. – I nie chcąc, żeby rozmowa skończyła się tak ponuro, zapytał Kamal. – A co cię skłoniło, żeby im zaśpiewać?

– W czasie rozmowy jeden z nich zaczął cicho nucić, to ja poprosiłem, żeby mi pozwolili zaśpiewać, żeby usłyszeli mój głos.

Jasin roześmiał się.

– Ale śmiały chłopak! Nie bałeś się stojąc między ich nogami?

– Skąd! – odparł z dumą. – Jacy oni piękni – dodał. – Nie widziałem piękniejszych ludzi niż oni. Niebieskie oczy, złote włosy, skóra bielusińska. Tacy piękni jak Aisza.

Wybiegł nagle do pokoju do nauki i popatrzył na portret Sa'da Zaghlula wiszący na ścianie obok portretów chedywa, Mustafy Kamila i Muhammada Farida. Po chwili wrócił i powiedział:

– Są o wiele piękniejsi niż Sa'd Pasza!

– Och ty zdrajco! – oburzył się Fahmi kiwając smutno głową. – Kupili cię za kawałek czekolady... Nie jesteś taki mały, żeby ci przebaczyć to, co powiedziałeś. Z twojej szkoły codziennie ktoś zostaje męczennikiem. Wstydz się!

Umm Hanafi przygotowała już piecyk, naczynie do parzenia kawy, filiżanki i puszkę mleka, a Amina wzięła się do robienia tradycyjnej kawy. Wszystko wróciło do normy, tylko Jasin rozmyślał o swoje; rozgniewanej żonie. Kamal natomiast poszedł w ką, wyciągnął z kieszeni czekoladę i zaczął ściągać z niej czerwone lśniące opakowanie. Złość Fahmiego rozpułyła się, w sercu miał już tylko radość i miłość.

---

<sup>27</sup> *nina* – mama w dial. egip.

Problemy małżeńskie Jasina skomplikowały się bardziej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Na drugi dzień po ucieczce Zajnab do domu ojca, do sklepu As-Sajjida przyszedł Muhammad Iffat i zanim odpowiedział na powitalny gest, rzekł:

– As-Sajjidzie Ahmadzie, przyszedłem z prośbą. Jeszcze dzisiaj, o ile to możliwe, Zajnab musi rozwieść się z Jasinem.

As-Sajjid zaniemówił ze zdumienia. Był bardzo niezadowolony z postępowania Jasina, ale nie wyobrażał sobie, żeby człowiek tak czcigodny jak As-Sajjid Muhammad Iffat mógł przyjść z żądaniem rozwodu. Nie przyszło mu do głowy, żeby taka „pomyłka” mogła kiedykolwiek do tego doprowadzić. Co więcej, nigdy by nie pomyślał, że żądanie rozwodu może wyjść od żony. To tak jakby świat stanął na głowie. Nie uwierzył, że jego przyjaciel mówi poważnie, i odpowiedział łagodnie i żartobliwie:

– Szkoda, że nie mamy świadków, jak ciskasz we mnie tymi okrutnymi słowami. Posłuchaj, w imię naszej przyjaźni zabraniam ci wspominać słowo rozwód.

Ale słowa As-Sajjida nie zrobiły wrażenia na przyjacielu. Twarz miał ponurą, złą, zdecydowaną i As-Sajjid, który znał go aż za dobrze, nie mógł nie odczuć, że sytuacja stała się krytyczna. Zaprosił go, żeby usiadł,,

Wiedział, że jeśli Muhammad Iffat się rozgniewa, wszystko staje się nieważne – dobre maniere, przyjaźń, pokrewieństwo...

– Porozmawiajmy spokojnie – spróbował znowu As-Sajjid.

– Nasza przyjaźń jest niezachwiana, więc nie mówimy o niej – odparł Muhammad z żarem palącym jego policzki. – Twój syn Jasin nie nadaje się do współżycia, zdałem sobie z tego sprawę, zanim się wszystkiego dowiedziałem. Ileż ta biedaczka wycierpiała. Długo chowała swoje zmartwienia, ukrywała je przede mną, wreszcie serce jej pękło i wyrzuciła z siebie wszystko naraz. Całe noce go nie ma, wraca nad ranem pijany obijając się o ściany pokoju, wymyśla jej, lekceważy ją, a wreszcie czym zakończyła się jej cierpliwość? Złapała go we własnym domu z własną służącą. – Splunął na podłogę. – Czarną niewolnicą! Moja córka nie do tego jest stworzona. Nie, na Pana Niebios! Ty wiesz najlepiej, kim ona jest dla mnie. Nie! Na Pana Niebios! Nie byłbym Muhammadem Iffatem, gdybym milczał.

Przykra historia, to fakt, ale uderzyło go w niej, wręcz wstrząsnęło nim, coś nowego, mianowicie, że Jasin wraca nad ranem „pijany, obijając się o ściany pokoju”. To drogę do winiarni też zna?! Od kiedy? W jaki sposób? Och, nie ma teraz czasu na zastanawianie się nad tym. Chwila wymaga spokoju i zachowania zimnej krwi. Musi zapanować nad sytuacją, aby się ustrzec przed gorszym złem.

– To co smuci ciebie, podwójnie smuci mnie. Pech chce, że o wszystkich tych postępkach nie wiedziałem, w ogóle nie przyszło mi do głowy, że on pije. Na Boga, wiem tylko o tym ostatnim incydencie i dałem mu już nauczkę, na jaką nie pozwoliłby sobie inny ojciec. Co

mogę zrobić? Wychowywałem go surowo od najmłodszych lat, ale obok woli człowieka istnieje świat i szatan, który drwi z naszych dobrych intencji i psuje nam plany.

Muhammad Iffat patrzył w biurko unikając wzroku As-Sajjida.

– Nie przyszedłem tu, żeby ci zarzucać niedociągnięcia w wychowaniu syna. Jesteś wzorem ojca, który nie ma sobie równego. Ale to nie zmienia smutnej prawdy, że Jasin nie jest mężem, jakiego ona pragnie, a w związku z ostatnią sytuacją nie nadaje się w ogóle do życia małżeńskiego.

– Wolnego, As-Sajjidzie Muhammadzie, wolnego – powiedział As-Sajjid z wyrzutem.

– W każdym razie nie nadaje się na męża dla mojej córki – poprawił się. – Na pewno znajdzie kogoś, kto przyjmie go z jego wadami, ale to nie będzie ona. Moja córka nie jest do tego stworzona. Sam wiesz najlepiej, ile dla mnie znaczy.

As-Sajjid nachylił się do przyjaciela i powiedział ściszym głosem, Z uśmiechem:

– Jasin nie jest wyjątkiem. Ilu mężów pije, hula, wyprawia niestworzone rzeczy.

– Jeżeli masz na myśli nasze towarzystwo, a zwłaszcza mnie – odpowiedział Muhammad Iffat sucho – to rzeczywiście piję, hulam, mam kochanki, ale ja... ale żaden z nas nie paprze się w błocie. Czarna służąca! Czy mojej córce przeznaczone jest być drugą żoną? Nie! Na Pana Niebios! Ona już nie będzie jego ani on jej!

As-Sajjid Ahmad zrozumiał, że Muhammad Iffat, a podobnie i jego córka gotowi byli wiele wybaczyć, ale nie to, że Jasin zrównał swoją żonę z czarną niewolnicą. Wiedział, że jako Turek jego przyjaciel jest uparty jak muł. Przypomniało mu się, co powiedział Ibrahim al-Far dowiedziawszy się o zamiarze zaręczenia Jasina z Zajnab: „Dobrze urodzona, Muhammad to nasz ukochany przyjaciel, jego córka jest naszą córką, ale czy pomyślałeś o tym, jaką pozycję zajmuje dziewczyna w sercu ojca? Czy pomyślałeś, że Muhammad Iffat nie będzie tolerował ziarenka piasku pod jej paznokciem?” Ale As-Sajjid przykładał do wszystkiego własną miarę. Inaczej nie potrafił. Ponadto chwalił się zawsze, że Muhammad Iffat, mimo że robił czasami w gniewie okropne rzeczy, nigdy, nawet jeden raz podczas ich długiej zażyłości, nie rozgniewał się na niego.

– Opanuj się – powiedział – czy nie uważasz, że zasady mamy te same, a różnimy się tylko w szczegółach? Czarna niewolnica czy śpiewaczka... I to kobieta, i to kobieta...

Duma Muhammada Iffata została dotknięta. Rąbnął pięścią w biurko i krzyknął:

– Chyba nie myślisz tego, co mówisz! Służąca jest służącą, a pani panią! Dlaczego nie wzięłaś sobie służącej za kochankę? Nie, Jasin nie przypomina swojego ojca. Żałuję, że moja córka jest w ciąży. Nie chcę, żeby w żyłach mojego wnuka płynęła brudna krew!

To ostatnie zdanie z kolei ukłuło As-Sajjida Ahmada i to mocno.

Potrafił jednak zamknąć serce przed gniewem całą siłą łagodności, za którą kochali go przyjaciele, łagodności i wyrozumiałości wobec przyjaciół, z której intensywnością mogła się równać tylko nietolerancja i surowość wobec rodziny.

– Proponuję, żebyśmy odłożyli rozmowę na inny dzień – powiedział.

– Nie, chcę, żebyś teraz zrobił to, o co cię proszę.

Och... Rozgniewał się na dobre. Sam rozwód nie był rozwiązaniem niepożądanym, ale bał się o przyjaźń swojego życia z jednej strony, a z drugiej trudno mu było pogodzić się z porażką. Ale czyż nie jest mężczyzną, do którego przychodzą ludzie, żeby rozsądzał spory i

naprawiał przyjaźnie i małżeństwa? Jak może się poddać i przyjąć rozwód, przecież w tym wypadku broni syna. Gdzież jego łagodność, takt, elegancja?

– Wszedłem w związki rodzinne z tobą, żeby umocnić naszą przyjaźń. Jak mam teraz z powodu drobnostki zgodzić się na ich zerwanie?

– Nasza przyjaźń jest wystarczająco silna. Nie jesteśmy dziećmi, ale nie mogę pozwolić na naruszenie mojej godności.

– Co powiedzą ludzie na to, że małżeństwo zostało zerwane, zanim minął rok?

– Nikt rozsądny nie będzie obwiniął o to mojej córki – odparł dumnie Muhammad Iffat.

Och, znowu się zaczyna. Jednak spróbuje być wyrozumiały. Chyba bardziej był niezadowolony z niemożności pogodzenia się z przyjacielem niż z jego gniewu. Ale przecież rozwód wyłącznie od niego zależy. Jeżeli będzie chciał, zgodzi się, jeżeli będzie chciał – odmówi. Muhammad Iffat dobrze o tym wie. Jeżeli odmówi, nie ma odwrotu, dziewczyna wróci do jego syna, chce czy nie chce, ale... stara przyjaźń skończy się. Jeżeli powie „tak” i zgodzi się na rozwód, przyjaźń umocni się i przyjaciel uzna to za piękny gest, choć w przyszłości trudno będzie powiązać wszystko to, co zostało zerwane. A więc rozwód, nawet jeżeli jest porażką, to tylko tymczasową, a poza tym stanie się wyrazem tolerancji i szlachetności, co z czasem może przekształcić się w zwycięstwo. W momencie gdy upewnił się co do słuszności swojego stanowiska, poczuł nawet ochotę zganienia przyjaciela i powiedział znacząco:

– Rozwód zależy wyłącznie od mojej zgody, tak? Ja nigdy nie odrzucam twojej prośby, ze względu na ciebie samego i ze względu na naszą przyjaźń, którą potraktowałeś w sposób jej niegodny.

Muhammad Iffat westchnął czy to z ulgi, że zbliża się upragniony koniec, czy też protestując z powodu nagany, a najpewniej z obydwu powodów, i odparł tonem stanowczym, ale po raz pierwszy bez gniewu:

– Powtarzam po raz tysięczny, że nasza przyjaźń jest bezpieczna. Nigdy nie zrobiłeś mi nic złego. A teraz robisz rzecz, której nienawidzisz, tylko ze względu na mnie.

– Tak... robię rzecz, której nienawidzę – powtórzył As-Sajjid smutno.

Gniew, tłumiony, ukrywany, wybuchł z ogromną siłą, gdy tylko przyjaciel wyszedł ze sklepu. Wściekły był na siebie, na Muhammada Iffata, a przede wszystkim na Jasina. „Ciekawe, czy nasza przyjaźń przetrwa i pozostanie naprawdę taka silna, że nie naruszą jej nadchodzące wypadki.” Wszystko by oddał, żeby uchronić się przed wstrząsami takimi jak ten. Ale ten turecki upór... Nie, to sprawa szatana... Nie, to po prostu charakter Jasina, tak, to jego charakter, nic innego.

– Zmąciłeś czystość naszej przyjaźni. Żadna siła nie mogła tego dokonać, a tobie się udało – powiedział do Jasina, powtarzając mu rozmowę z Muhammadem Iffatem. – Rozczarowałem się co do ciebie, niech mi Bóg pomoże. Wychowywałem cię, dbałem o ciebie, dałem ci wykształcenie. I co przyniósł mój wysiłek? Pijany bandyta. Przyszło mu do łba napaść na nędzną służącą we własnym domu. O Boże, Boże. Nie wyobrażałem sobie, że z mojego wnętrza wyjdzie taki syn. Bóg tak chciał. Co ja mam z tobą robić? Gdybyś był mały, skręciłbym ci kark, ale życie na pewno da ci nauczkę. Już zostałeś ukarany. Szlachetna rodzina nie chce cię znać, nie przyznaje się do ciebie, wyrzuca cię na śmietnik.

Przez chwilę poczuł dla niego trochę litości, ale zaraz znowu zwyciężyły gniew i pogarda. Myślał tylko o tym, że ten młody, dorodny, urodziwy chłopak paprze się w brudach, jak powiedział Muhammad Iffat, niech go diabli wezmą. Nie potrafi zatrzymać przy sobie kobiety! „Słaby głupiec, tak szybko poniósł klęskę, a i mnie też się za niego dostało. Niech się upija, niech się łajdaczy, ale pod warunkiem, że u siebie będzie panem i władcą. Ale ponieść tak haniebną klęskę? Co za gnida.

Nie jest podobny do swojego ojca, o nie, jak powiedział Muhammad Iffat, niech go szlag trafi. Ja robię, co chcę, i pozostaję zawsze As-Sajjidem Ahmadem. Chciałem wychować dzieci mądre, w niewinności i czystości, ale niestety, jeśli chodzi o syna Hanijji, cały mój wysiłek poszedł na marne.”

– Zgodziłeś się, ojcze?

– Tak – odparł surowo – aby utrzymać starą przyjaźń i dlatego, że przynajmniej na razie jest to najlepsze rozwiązanie.

Jasin zaciskał i rozprostowywał dłonie nerwowo, cała krew odpłynęła mu z twarzy. Tak ponizony czuł się tylko wtedy, kiedy musiał znosić złe prowadzenie się matki. Jego teść zażądał rozwodu! Inaczej mówiąc Zajnab zażądała rozwodu albo przynajmniej się nań zgodziła. Kto tu jest mężczyzną, a kto kobietą? Właściciel pozbywa się butów, ale żeby buty wyrzuciły właściciela? Jak ojciec mógł pozwolić na taką niesłychaną hańbę? Popatrzył na niego wzrokiem, w którym była złość i wołanie o pomoc, i powiedział ostrożnie, bez protestu:

– Można było inaczej to załatwić, są różne sposoby.

As-Sajjid domyślał się, co czuje syn, i zrobiło mu się go żal.

– Wiem o tym, ale musimy zachować się godnie. Muhammad Iffat to głowa turecka, twarda jak kamień, ale serce złote. To nie jest krok ostateczny, jeszcze nie koniec, o nie. Nie zaniedbałem twoich interesów, nawet jeśli na to nie zasłużyłeś. Pozwól mi postępować tak, jak uważam za słuszne.

„Powinno być, jak *my* uważamy za słuszne, ale kim *ja* jestem, żeby się przeciwstawić twojej woli? Ożeniłeś mnie i rozwiodłeś, dałeś mi życie i możesz mnie zabić. Jestem niczym. Każdy z nas: Chadidża, Aisza, Fahmi, Jasin jest niczym. Ty jesteś wszystkim. Ale są granice. Nie jestem dzieckiem, jestem mężczyzną dokładnie tak samo jak ty. Ja decyduję o swoim losie. Rozwiędę się lub odeślę ją do domu ojca. Mam gdzie Muhammada Iffata, Zajnab i waszą przyjaźń.”

– Dlaczego nic nie mówisz?

– Niech będzie, jak sobie życzysz, ojcze – odparł bez wahania.

„Co to za życie, co to za dom? Co to za ojciec! Groźby, lekcje wychowania, rady! Siebie wychowuj, sobie dawaj rady, siebie obrzucaj groźbami. Zapomniałeś już Zubajdę, Dżalilę? Śpiewy i pijaństwa? Pokazujesz się w imamie szajcha islamu, udajesz miecz kalifatu Nie jestem dzieckiem. Martw się o młodszych. Zostaw mnie w spokoju. Żeń się: Rozkaz, o panie. Rozwód? Rozkaz, o panie. Przekląty ojciec.”

Po okupacji dzielnicy Al-Husajna przez wojska angielskie siła demonstracji osłabła nieco i As-Sajjid Ahmad powrócił do zwykłej, dawnej aktywności przymusowo przerwanej na jakiś czas. Mógł znowu w towarzystwie synów chodzić do meczetu Al-Husajna na piątkową modlitwę. Wprowadził ten zwyczaj już bardzo dawno. Kiedy tylko któryś z synów dorastał do wieku młodzieńczego, starał się zwrócić jego serce ku służbie Bożej wyprasząc w ten sposób łaski dla siebie, synów i całej rodziny. Chyba tylko jedna Amina nie była zadowolona z tego, że pod koniec każdego tygodnia wyrusza z domu karawana trzech mężczyzn młodych i dorodnych jak wielbłądy. Patrzyła na nich przez szpary w maszrabijki i wydawało się jej, że wszyscy podziwiają jej mężczyzn. Bała się tego i modliła do Boga, żeby chronił ich przed złym okiem. Kiedyś nie wytrzymała i wyznała swoje obawy As-Sajjidowi. Z początku wydawało się, że się nimi przejął, ale po chwili uspokoił się i powiedział: „Obowiązek, który chodzimy wypełniać, chroni nas przed wszelkim złem.”

Fahmi przyjął zaproszenie do piątkowej modlitwy z radością. Od małego z żarem wypełniał obowiązki religijne wyprzedzając wolę ojca, jako że przepełniały go szczerze uczucia religijne. Wyróżniał się wiarą dosyć oświeconą, wiele bowiem czerpał z poglądów Muhammada Abduha i jego uczniów. Dlatego jako jedyny w rodzinie zajmował stanowisko sceptyczne wobec talizmanów, zaklęć i cudów wybrańców Allaha, chociaż grzeczność i takt nie pozwalały mu wyjawiać swoich wątpliwości ani jawnie lekceważyć zabobonów. Z tego powodu talizmany, które przynosił ojciec od czasu do czasu od szajcha Abd as-Samada Mutawallego, przyjmował z udawaną radością.

Jasin natomiast przyjął zaproszenie ojca, bo nie miał innego wyjścia. Prawdopodobnie gdyby go zostawiono samemu sobie, nigdy by nie pomyślał o tym, żeby wcisnąć swoje ogromne ciało w tłum modlących się, nie dlatego że był słabej i chwiejnej wiary, ale z lenistwa i niedbalstwa. Piątek był więc dla niego od rana dniem cierpienia. Kiedy nadchodził czas wyjścia do meczetu, niechętnie wkładał garnitur i szedł za ojcem jak skazaniec. Ale w miarę jak zbliżał się do meczetu, niechęć i niezadowolenie ustępowały stopniowo, tak że do wnętrza wchodził już z radosną twarzą. Modlił się i błagał Boga o przebaczenie grzechów, ale nie żałował za nie i nie obiecywał poprawy, jakby się bał, że a nuż jego modlitwy zostaną wysłuchane i stanie się nagle ascetą stroniącym od rozkoszy, które kochał i bez których życie nie miało dla niego sensu. Wiedział dobrze, że żal za grzechy jest obowiązkiem i że nie dane mu będzie bez niego przebaczenie grzechów, miał jednak nadzieję, że przyjdzie ono odpowiedniego dnia, tak że nie będzie stracony ani dla jednego, ani dla drugiego świata. Dlatego mimo lenistwa i niechęci w końcu był zadowolony, że ojciec zmusił go do wykonywania tego ważnego obowiązku, bo być może w ostatecznym rachunku to mu się opłaci, zmaże niektóre jego postęпки i zetrze grzechy. Zresztą był to jedyny obowiązek religijny, jaki wypełniał, więc nie mógł się skarżyć.



Co do Kamala, dopiero niedawno, kiedy skończył dziesięć lat, został zaproszony przez ojca do wspólnej modlitwy, co przyjął z dumą i radością. Czuł niejasno, że jest to dowód uznania dla niego, że liczy się jako osoba i że w ten sposób w pewnym sensie został zrównany z Fahmim, Jasinem, a nawet samym ojcem. Poza tym sprawiało mu radość, że kroczy w orszaku ojca bezpieczny, nie oczekując z jego strony niczego złego, i że stoi obok niego w meczecie na równi z innymi przed tym samym imamem. Ale w czasie modlitwy piątkowej w meczecie nigdy nie potrafił tak się skupić i tak w niej zagłębić, jak w codziennej modlitwie w domu. Nie czuł się pewnie w tak ogromnym tłumie ludzi, przeszkadzał mu także strach, że popełni jakiś błąd, który zmysły ojca natychmiast zarejestrują. Ponadto fakt, że był w meczecie Al-Husajna, którego kochał więcej niż samego siebie, powodował tak silne wzruszenie, że nie potrafił całkowicie oddać się Bogu, co jest obowiązkiem każdego modlącego się.

Tak więc znowu znaleźli się na ulicy An-Nahhasina, podążając śpiesznie w kierunku Bajt al-Kadi. Na przedzie As-Sajjid, za nim kolejno Jasin, Fahmi i Kamal. Zajęli swoje miejsca w meczecie i wraz z innymi zwróconymi w kierunku minbaru w ciszy przysłuchiwali się kazaniu.

Słuchając kazania As-Sajjid jednocześnie cały czas modlił się w duchu, zwłaszcza za Jasina, jakby to on po tych wszystkich niepowodzeniach najbardziej potrzebował miłosierdzia Bożego. Długo prosił Boga, aby sprawy jego syna przybrały pomyślny obrót, aby Bóg wynagrodził mu to, co stracił. Ale tym razem kazanie przypomniało jego własne grzechy i zepsuło całą przyjemność słuchania. Dźwięczny, jasny, grzmiący głos kaznodziei adresowany był jakby bezpośrednio do niego, wydawało mu się, że mówca krzyczy na niego, że wręcz zwraca się po imieniu: „Ahmadzie, powstrzymaj się, zaniechaj rozpusty i picia, żałuj za grzechy i prosz Boga o przebaczenie.” Ogarnął go niepokój, jak wtedy, kiedy robił mu rachunek sumienia szajch Mutawalli Abd as-Samad. Słowa, które wpadały mu do ucha podczas kazania, rozplywały się w prośbie o przebaczenie i miłosierdzie. Ale, tak jak jego nieodrodny syn Jasin, As-Sajjid nie kajał się, a nawet jeżeli to robił, to tylko słowami, nie sercem. Język mówił: „Boże odpuść, już nigdy nie będę grzeszył”, a serce ograniczało się tylko do prośby o przebaczenie i litość, jakby to były dwa różne instrumenty muzyczne w jednej orkiestrze, wygrywające dwie różne melodie. Nie wyobrażał sobie bowiem, że mógłby patrzeć na życie innym okiem i widzieć inne jego oblicze niż to, które widział. A kiedy niepokój i wstyd zbytnio mu dokuczały, zaczynał się bronić, a bronił się słowami modlitwy: „Boże, ty znasz najlepiej moje serce, moją wiarę i miłość. Dodaj mi wytrwałości w wypełnianiu obowiązków wobec ciebie i siły, by czynić dobro. O Boże, przecież jeden dobry uczynek wynagradzany jest dziesięciokrotnie. O Boże, jesteś litościwy i przebaczący.” W ten sposób wracał spokój i ukojenie.

Jasin nie miał takiej mocy pogodzenia tych dwóch rzeczy ani nie czuł takiej potrzeby. Nigdy te sprawy nie były przedmiotem jego rozmyślań. Kochał namiętnie życie i wierzył w Boga, tak jak w istnienie siebie samego. Poddawał się prądowi życia bez walki i oporu. Słowa kaznodziei włączały w nim głos wewnętrzny, który prosił o przebaczenie i miłosierdzie w sposób automatyczny, z całkowitym spokojem, bez poczucia jakiegokolwiek niebezpieczeństwa. Przecież Bóg jest zbyt miłosierny, żeby karać takiego jak on

muzułmanina za chwilowe potknięcia, i nie krzywdzi żadnego ze swoich sług. Zresztą istnieje w końcu żal za grzechy i przebaczenie, pewnego dnia więc wszystkie jego grzechy zostaną zmasane. Spojrzał ukradkiem na ojca przygryzając wargi, żeby nie parsknąć śmiechem, myśląc sobie, co też ojcu chodzi po głowie, kiedy słucha kazania z takim namaszczeniem. Czy cierpi tortury grzesznika przy każdej piątkowej modlitwie, czy też jest hipokrytą? Nie, ani to, ani to. Jest na pewno talki jak on, Jasin, czyli wierzy w nieskończone miłosierdzie boskie. Gdyby sprawy wyglądały tak poważnie, jak je opisuje kaznodzieja, ojciec bez wątpienia zdecydowałby się na jedną z dwóch dróg. Znowu spojrział na niego ukradkiem i stwierdził, że wygląda jak piękny, rasowy koń wśród siedzących mężczyzn wpatrzonych w minbar. Poczł bezgraniczny podziw i miłść dla niego. Nie odczuwał już gniewu, który osiągnął swój szczyt w dniu rozvodu. Powiedział wtedy do Fahmiego: „Twój ojciec zniszczył mój dom i wystawił mnie na pośmiewisko.” Teraz już zapomnił o gniewie, rozwodzie i całym skandalu. W końcu sam kaznodzieja nie był lepszy od ojca, a raczej, z całą pewnością, jeszcze bardziej błdził. Jeden z przyjaciół opowiadał mu raz o nim w kawiarni Ahmada Abduha: „Dla niego istnieją tylko dwie sprawy – powiedział – Bóg w niebie i chłopcy na ziemi. To bardzo wrażliwy człowiek, dostaje tiku nerwowego w meczecie Al-Husajna, kiedy jakiś chłopiec jęczy z bólu w Cytadeli.” Ale tego nie miał mu za złe ani nie zazdrościł, przeciwnie, czuł się wobec niego, tak zresztą jak i wobec swojego ojca, jak żołnierz w okopach na pierwszej linii, którą wróg musi najpierw sforsować, żeby się do niego dostać.

Potem wezwano do modlitwy i wszyscy mężczyźni jednocześnie się podnieśli. Stali ciasno jeden przy drugim w rzędach, które wypełniały dziedziniec wielkiego meczetu. Meczct stał się jakby jednym ciałem i jedną duszą, co Kamalowi przypomniało tłum podczas mahmalu na An-Nahasina. Ubrania łączyły się w długie, równoległe linie garniturów, dżubb i dżilbabów. A potem wszyscy przekształcili się jakby w jedną osobę zwróconą w kierunku Mekki, wykonującą jeden ruch, dopóki nie rozległ się wołanie muezzina oznajmiające koniec modlitwy. Wtedy szeregi załamały się, porządek zachwiał, wszyscy wstali i każdy skierował się w swoją stronę. Jedni w kierunku grobowca, inni do wyjścia, jeszcze inni stali rozmawiając i czekając, aż tłum się przeredzi. Strumienie ludzi płynęły w różne strony. Nastala szczęśliwa dla Kamala chwila – wizyta u Al-Husajna, całowanie ścian, recytacja *Al-Fatihy* w swoim i w matki, której to obiecał, imieniu. Posuwał się wolno w procesji do grobowca, za ojcem, kiedy nagle ni stąd, ni zowąd wyskoczył z tłumy jakiś student Al-Azharu i gwałtownym ruchem zagroził im drogę. Rozłożył ramion, żeby rozepchać ludzi na baki, i zaczął iść tyłem przed nimi, wpatrując się przenikliwym wzrokiem w Jasina. Twarz miał ponurą, oczy błyszczące gniewem. As-Sajjid zdziwiony patrzył to na niego, to na Jasina, z kolei Jasin nie mniej zdumiony obrzucał pytającym spojrzeniem to ojca, to studenta. Ludzie zatrzymali się i zaczęli gromadzić, obserwując scenę ze zdziwieniem i ciekawością, aż As-Sajjid niezadowolony zwrócił się do studenta:

– Czemu tak na nas patrzysz, przyjacielu?

Azharyjczyk wskazał palcem na Jasina i wrzasnął:

– To szpieg!

Słowa te uderzyły w rodzinę jak pociski. Popatrzyli na siebie i zdrtwieli. Tymczasem oskarżenie rozeszło się po meczecie i zaczęto je powtarzać z obrzydzeniem i gniewem.

Ludzie gromadzili się wokół nich splatając ręce, żeby ich ciasno otoczyć i nie dać możliwości ucieczki. Pierwszy oprzytomniał As-Sajjid, mimo że w ogóle nie rozumiał, co się dokoła niego dzieje.

– O czym ty mówisz, szajchu<sup>28</sup>? Jaki szpieg? – krzyknął z gniewem przerywając ciszę.

Młodzieniec nie odpowiedział, tylko znowu wskazał na Jasina i krzyknął:

– Uważajcie ludzie, ten mężczyzna to zdrajca, szpieg angielski, wśliznął się pomiędzy was, żeby zebrać wiadomości i przekazać je swoim zbrodniczym władcom.

As-Sajjid postąpił krok w kierunku studenta nie panując nad sobą:

– Co ty bredzisz? Sam jesteś zbrodniarzem albo wariatem. To jest mój syn, nie żaden zdrajca ani szpieg. Jesteśmy patriotami i cała dzielnica nas zna, a my wszystko o sobie wiemy.

Młodzieniec wzruszył lekceważąco ramionami i krzyknął, tak jakby przemawiał:

– Nędzny angielski szpieg, widziałem na własne oczy, jak rozmawiał nieraz z Anglikami na Bajna al-Kasrajni. Mam świadków. Nie ośmieli się kłamać. Wyzywam go! Precz ze zdrajcą!

Po meczecie rozszedł się gniewny pomruk. Tu i tam wznoszono okrzyki: „Precz ze szpiegiem!”, „Dajmy nauczkę zdrajcy!”

W oczach ludzi stojących najbliżej była groźba, czekano tylko na znak, żeby rzucić się na ofiarę. Może powstrzymywała ich nieco postawa wzburzonego As-Sajjida, który stał przyciskając syna, jakby przejmując na siebie to, co jemu groziło, oraz lzy Kamala, który zanosił się od płaczu. Jasin natomiast stał między As-Sajjidem i Fahmim zupełnie nieprzytomny ze strachu i zmieszania i powtarzał drżącym głosem, choć go nikt nie słuchał:

– Nie jestem szpiegiem, nie jestem szpiegiem... Bóg świadkiem, że mówię prawdę.

Ludzi było coraz więcej, pchali się, napierali na nich rozwścieczeni wołając: „Szpieg! Szpieg!” Naraz w tłumie rozległ się czyjś głos:

– Powoli, panowie, chwileczkę, to jest pan Jasin, sekretarz ze szkoły An-Nahhasina.

– Wszystko jedno, szkoła taka czy siaka. Damy nauczkę zdrajcy!

Człowiek torował sobie drogę z trudem, wreszcie doszedł do pierwszego kręgu, podniósł rękę i krzyknął: „Słuchajcie! Słuchajcie!” Trochę się uciszyło i wtedy wskazał ręką na As-Sajjida Ahmada.

– To jest As-Sajjid Ahmad Abd al-Dżawwad, znana osoba na An-Nahhasina. Niemożliwe, żeby w jego domu był szpieg. Poczekajcie, aż się wszystko wyjaśni.

– Nie obchodzi mnie As-Sajjid Ahmad czy As-Sajjid Muhammad – krzyknął azharyjczyk.

– Ten chłopak jest szpiegiem, żeby nie wiem kim był jego ojciec. Widziałem, jak śmiał się z oprawcami, którzy napełniają groby waszymi synami!

– Bij! Butami go! – krzyknęli, zanim zdążył dokończyć.

Zrobił się ruch, ze wszystkich stron napierali ludzie wymachując butami i trepami. Jasina opanowała rozpacz, dokoła widział tylko rozwścieczone i pełne nienawiści twarze. As-Sajjid i Fahmi instynktownie zasłonili chłopca, jakby chcąc odepchnąć od niego ciosy albo je przyjąć na siebie. W rozpacz i goryczy zaczęli się dusić, dyszeli, podczas gdy Kamal płakał i

---

<sup>28</sup> Studentów Al-Azharu, niezależnie od ich wieku, można było tytułować „szajch”.

krzyczał zagłuszając niemal głosy napastników. Azharyjczyk zaatakował pierwszy. Rzucił się na Jasina, chwycił go za kołnierzyk od koszuli i silnie pociągnął, chcąc go wydostać z bezpiecznego miejsca między ojcem i bratem, aby buty trafiły w niego, ale Jasin chwycił go za przeguby, a As-Sajjid stanął między nimi. Po raz pierwszy w życiu Fahmi zobaczył ojca w stanie tak silnego wzburzenia. Opanował go gniew, który kazał mu zapomnieć o niebezpieczeństwie, i pchnął mocno azharyjczyka.

– Ani kroku dalej! – krzyknął groźnie.

Azharyjczyk wpadł w szal.

– Damy im wszystkim nauczkę! – wrzasnął.

W tym momencie rozległ się silny, stanowczy głos:

– Poczekaj, szajchu! Zatrzymajcie się wszyscy!

Spojrzeni w tym kierunku. Z tłumu wydostał się młodzieniec, a za nim jeszcze trzech innych w jego wieku, identycznie ubranych. Krokiem stanowczym i pewnym podeszli do azharyjczyka i jego kolegów. Rozległy się szepty „policja”, „policja”, ale wkrótce ucichły, bo oto azharyjczyk wyciągnął rękę do przywódcy tej grupki i uścisnął ją gorąco.

– Gdzie jest ten szpieg? – spytał krótko przybyły.

Szajch z pogardą i wstrętem wskazał na Jasina. Młodzieniec utkwiał w Jasinie badawczy, przenikliwy wzrok, ale zanim się odezwał, przed Jasina wysunął się Fahmi, żeby zwrócić uwagę na siebie. Oczy młodzieńca rozszerzyły się ze zdumienia.

– To ty? – spytał z niedowierzaniem.

Fahmi uśmiechnął się blade i odparł z sarkazmem:

– Ten szpieg to mój brat.

Młodzieniec zwrócił się od azharyjczyka.

– Czy jesteś pewny, że to, co mówiłeś, jest prawdą?

Fahmi uprzedził jego odpowiedź:

– Być może mówił prawdę... Może go widział rozmawiającego z Anglikami, ale źle to zinterpretował. Anglicy rozłożyli obóz pod naszym domem, przeszkadzają nam przy wychodzeniu i powrocie, a czasami można zostać wciągniętym w rozmowę z nimi wbrew woli. To wszystko.

Azharyjczyk chciał coś powiedzieć, ale młodzieniec dał znak ręką, żeby milczał, a sam zwrócił się do zebranych, kładąc rękę na ramieniu Fahmiego:

– To jest mój przyjaciel, towarzyszy walki, obydwaj pracujemy w tym samym Komitecie. Wierzę mu. Przepuście ich i dajcie im spokój.

Nikt nie powiedział słowa. Azharyjczyk wycofał się posłusznie, a ludzie zaczęli się rozchodzić. Młodzieniec uścisnął rękę Fahmiemu i odszedł razem z trzema kolegami. Fahmi pogładził po głowie Kamala, który przestał płakać. Zapadła cisza, w której każdy leczył swoje rany. As-Sajjida otoczyli znajomi pocieszając go, współczując i przeprasząc za straszną pomyłkę azharyjczyka, który tylu ludzi wprowadził w błąd. Zapewniali, że nie szczędziliby wysiłku, żeby ich bronić. As-Sajjid dziękował, choć nie miał pojęcia, kiedy przyszli i w jaki sposób chcieli go bronić. Zbyt silnie był wzburzony i wzruszony, żeby odwiedzić grobowiec, i nie odzywając się, z ponurą twarzą skierował się do wyjścia. Za nim w ciężkiej, przytłaczającej ciszy podążyli synowie.

W drodze powrotnej As-Sajjid odetchnął z ulgą, że wreszcie jest z dala od ludzi, którzy uczestniczyli w zajściu choćby jako widzowie. Krew go zalewała z wściekłości, rzucał przekleństwa, prawie nic przed sobą nie widział. Wymienił krótkie, ceremonialne powitanie z dwoma znajomymi, jak nigdy przedtem. Wolałby nie żyć, niż znaleźć się znowu w tak poniżającej sytuacji, jak jeniec przed gromadą wrogów. „I ten wszawy student Al-Azharu, nazywający się patriotą, nachalnie, bezwstydnie atakujący mnie, nie mający szacunku dla wieku ani wyglądu. Nie zasłużyłem na to. Tak mnie poniżyć i do tego w obecności synów. Nic dziwnego... To synowie są źródłem nieszczęścia. Z tym bykiem, synem tej dziwki, zawsze będę miał kłopoty. Robi skandale w domu, poróżnił mnie z najlepszym przyjacielem, rok małżeństwa uwieńczył rozwodem. Nie dość mu tego, skąd, syn Hanijji musi gawędzić z Anglikami na oczach wszystkich, a ja płacę za to tej hołocie. Zaprowadzę ich do jego mamy, niech uzupełni nimi swoje muzeum kochanków, pełne Anglików i Australijczyków.”

– Zdaje się, że nigdy w życiu nie uwolnię się od kłopotów z tobą.

Zdanie to wyrwało mu się mimo woli. Nie miał zamiaru ganić Jasina. W gruncie rzeczy żał mu go było. Widział, jaki jest blady, oszołomiony, jaki bezsilny. Czy mógł mieć do niego pretensję? Ale nie tylko on dostarcza mu kłopotów... Oto bohater... Nim zajmiemy się później, kiedy przejdą kłopoty z tym bykiem. Byk w domu, w winiarni, wobec Umm Hanafi i Nur, ale w walce niewart funta kłaków. O, sukinsyny! Oby Bóg zniszczył całe potomstwo, wszystkich synów. „Och, dlaczego mnie nogi prowadzą do domu? Dlaczego nie zjem swojego kawałka chleba z dala od tego zatrutego powietrza? Ona także zacznie zawodzić, jak się dowie. Po co mi to? Mam już wszystkiego dosyć. Do Dahhana!<sup>29</sup> Na pewno znajdę przyjaciela, któremu opowiem o swoim nieszczęściu i poskarżę się na swoje kłopoty. Nie, nie mogę. Mam inną sprawę nie cierpiącą zwłoki, chyba jeszcze ważniejszą. Bohater. Nowy problem, który muszę rozwiązać. Trzeba iść na ten zatruty obiad. A niech krzyczy, zawodzi, jęczy. Niech ją szlag trafi.”

Fahmi nie zdążył się przebrać, kiedy ojciec go wezwał.

– Twoja kolej – mruknął Jasin z twarzą ciągle smutną i nachmurzoną.

– Co masz na myśli? – spytał Fahmi udając, że nie rozumie.

Jasin roześmiał się, tak, wreszcie mógł się roześmiać.

– Skończyły się czasy zdrajców, nadszedł czas bohaterów.

Co by dał za to, żeby określenia, jakich użył w meczecie jego przyjaciel, przypadły w ferworze i zgiełku rewolucji, w oszołomieniu i wzruszeniu. Ale niestety, nie przypadły, nie zostały zapomniane, powtórzył je Jasin i ojciec na pewno wzywa go z ich powodu. Westchnął głęboko i poszedł.

As-Sajjid siedział po turecku na kanapie przebierając paciorki różańca, a w oczach miał smutne zamyślenie. Fahmi pozdrowił ojca grzecznie i stanął w odległości dwóch metrów od

<sup>29</sup> Właściciel znanej restauracji, gdzie podawano kebab.

kanapy w pokorze i posłuszeństwie. As-Sajjid odpowiedział lekkim ruchem głowy wyglądającym raczej na zniecierpliwienie niż powitanie, jakby chciał powiedzieć: „Odpowiadam na twoje powitanie, bo muszę, bo inaczej nie wypada, ale twoja grzeczność jest fałszywa, już więcej się na nią nie nabiorę.” Popatrzył na syna ponuro, zdezorientowany, wzrokiem świdrującym, jakby go chciał przejrzyć na wylot, i powiedział:

– Wezwałem cię, bo chcę znać prawdę. Co to znaczy, że pracujecie w tym samym Komitecie? Masz mi wszystko natychmiast wyjaśnić.

W ostatnich tygodniach Fahmi przywykł do różnego rodzaju niebezpieczeństw, nawet oswoił się ze świstem kul, ale śledztwo ojca było dla niego gorsze niż rewolucja i ogarnął go paniczny strach, poczuł się niczym. Myślał gorączkowo, jak uniknąć jego gniewu i znaleźć jakiś ratunek.

– To bardzo proste, tatusiu – odparł grzecznie – mój przyjaciel przesadził, żeby wyciągnąć nas z trudnej sytuacji.

– Bardzo proste. Tak... Ale o co tu chodzi? Niczego przede mną nie ukrywaj!

Fahmi myślał intensywnie, chcąc powiedzieć coś, co by odpowiadało prawdzie i było bezpieczne.

– On to nazwał komitetem, ale to jest po prostu grupa przyjaciół, która dyskutuje o sprawach ojczyzny.

– I to z tego powodu zasługujesz na miano bojownika?

Głos As-Sajjida wskazywał na silne niezadowolenie, domyślał się, że syn próbuje wyprowadzić go w pole. Twarz wyrażała groźbę. Fahmi w obronie własnej podjął błyskawicznie decyzję, że przyzna się do czegoś poważnego, żeby przekonać ojca, że jest mu posłuszny, jak oskarżony, który dobrowolnie przyznaje się do winy licząc na współczucie.

– Zdarza się czasem – powiedział niby ze wstydem – że rozprowadzamy odezwy patriotyczne.

– Ulotki? Masz na myśli ulotki?!

Fahmi pokręcił głową, nie chciał używać słowa, które w oficjalnych oświadczeniach wiązało się z najwyższymi karami.

– To są tylko odezwy wzywające do miłości ojczyzny.

As-Sajjid rzucił różaniec na kolana i zaczął uderzać pięścią o pięść.

– Ty rozprowadzasz ulotki! Ty!... – mówił z gniewem i przerażeniem, rzucając na niego rozbiegane spojrzenia.

Roznosi ulotki! Przyjaciele bojownicy! „Obydwaj pracujemy w tym samym Komitecie!” Czyżby potop dosięgnął jego pieleszy? Fahmi zawsze go cieszył swoją grzecznością, niewinnością, inteligencją. Gdyby nie uważał, że pochwała psuje, a surowość wychowuje, boby go bardzo chwalił. Kiedy zamienił się w rozprowadzającego ulotki!? Bojownik... „Obydwaj pracujemy w tym samym Komitecie.” Nie pogardza bojownikami, jest jak najdalszy od tego. Zawsze śledził wiadomości o nich z entuzjazmem i modlił się o ich powodzenie w każdej modlitwie. Wiadomości o strajkach, sabotażach i walkach napełniały go podziwem i nadzieją. Ale że w tego rodzaju działalność włączył się jego syn, to zupełnie inna sprawa. Tak jakby jego synowie z natury rzeczy byli ludźmi stojącymi na zewnątrz historii. On sam określa granice ich działania, a nie rewolucja, czasy czy ludzie. Praca dla rewolucji to

niewątpliwie sprawa zaszczytna, ale pod warunkiem, że odbywa się daleko od jego domu. Kiedy jednak rewolucja zapukała do jego drzwi, kiedy zagroziła jego bezpieczeństwu i zakłóciła spokojne życie jego synów, zmienił się jej smak, barwa i sens. Przekształciła się w szaleństwo, samowolę, niesubordynację i brak wychowania. Niech sobie gdzieś tam wybucha rewolucja, poprze ją z całego serca, a w miarę możliwości i finansowo. Ale w domu on jeden jest panem, nie ma towarzysza<sup>30</sup> i ten, kto w jego domu mówi o uczestnictwie w rewolucji, buntuje się przeciwko niemu, nie przeciwko Anglikom. Dniem i nocą modlił się za poległych męczenników, podziwiał ich nieustraszoną i męstwo, odwagę ich rodzin, zgodnie z tym, co o nich opowiadają, ale on nie pozwoli, żeby jego syn powiększył szeregi męczenników, nie stać go na takie męstwo. Jak Fahmi mógł zdecydować się na tak szalony krok? Jak mógł najlepszy z jego synów talk beztrudnie narażać się na śmierć? As-Sajjid był przerażony jak nigdy.

– Czy wiesz, co grozi roznoszącemu ulotki, kiedy go złapią? – spytał jak angielski inspektor policji.

Sytuacja była poważna, wymagała skupienia, a jednak pytanie ojca skierowało jego myśli na inne tory, przywołało wspomnienia. Identyczne pod względem treści i sensu pytanie zadał mu przewodniczący Najwyższego Komitetu Wykonawczego Studentów, oczywiście wśród innych pytań, wybierając go na członka Komitetu. Przypomniał też sobie swoją odpowiedź, zdecydowaną i entuzjastyczną: „Wszyscy poświęcamy się dla ojczyzny.” Porównał dwie sytuacje, w których zadano mu to samo pytanie, i zalała go fala gorzkiej ironii. Jednak odpowiedział ojcu grzecznie, bagatelizując sprawę.

– Roznoszę je tylko wśród przyjaciół, kolegów, a nie wśród obcych ludzi, nie ma w tym żadnego niebezpieczeństwa.

As-Sajjid krzyknął, chcąc gniewem i brutalnością pokryć strach o syna:

– Bóg nie chroni tego, kto się naraża na śmierć! Bóg zakazał nam narażać się na śmierć!

Chciał poprzeć to, co powiedział, odpowiednim werselem z Koranu, ale znał na pamięć tylko krótkie sury, które recytował podczas modlitw i bał się przejęzyczyć, popełnić błąd, a tym samym grzech nie do wybaczenia. Powtórzył więc tylko kilkakrotnie to samo zdanie.

– Ale przecież Bóg zachęca wiernych do wojny świętej, tatusiu – odezwał się nieoczekiwanie Fahmi.

Sam się potem nie mógł nadziwić, skąd mu przyszła odwaga powiedzieć w obecności As-Sajjida coś, co go nurtowało. Może zastawiał się Koranem będąc pewnym, że ojciec powstrzyma się od ataku na niego. As-Sajjid był niezwykle zaskoczony odwagą syna i jego argumentacją, ale nie wpadł w gniew, na pewno zamknąłby w ten sposób usta Fahmiemu. Musi jednak odpowiedzieć na jego argumenty. Zignorował więc na razie odwagę syna, natomiast spróbował zbić jego argument podobnym, zaczerpniętym z Koranu. Najpierw wyprowadzi błędzącego syna na drogę prawdy, a potem się z nim policzy.

– Wojna święta to jest wojna w sprawie Bożej – powiedział.

Fahmi uznał to za podjęcie dyskusji i znów zdobył się na odwagę:

---

<sup>30</sup> Aluzja do powiedzenia, że „Allah nie ma towarzysza”, jest jeden; Koran, sura LXXII, Dżinny, w. 2.

– My także prowadzimy wojnę świętą w sprawie Bożej. Każda wojna sprawiedliwa jest wojną świętą.

As-Sajjid w głębi ducha przyznawał rację Fahmiemu, ale to tylko utwierdziło go w przekonaniu, że jest słabszy od swego rozmówcy, i rozjątrzyło jego gniew. Nie był to jedynie gniew z powodu zranionej dumy, ale także z obawy, że chłopiec będzie dalej błądził, aż doprowadzi się do zguby. Uciał więc rozmowę niezadowolony:

– Uważasz, że zaprosiłem cię tu na dyskusję?

Fahmi zrozumiał ostrzeżenie, jego nadzieje na wymianę argumentów z ojcem przepadły, język zawiązał się na supeł.

– Nie ma żadnej wojny świętej poza tą w sprawach religii. Co do tego nie ma dyskusji! A teraz chcę wiedzieć, czy jesteś posłuszny moim rozkazom.

– Z całą pewnością, tatusiu! – gorliwie zapewnił Fahmi.

– W takim razie masz zerwać wszelkie związki z rewolucją, nawet jeżeli twoja rola ogranicza się tylko do rozprowadzania ulotek... zwłaszcza wśród przyjaciół!

Nie ma takiej siły, która by go zmusiła do zaniechania spełniania obowiązku wobec ojczyzny. Nie cofnie się ani o krok. Nigdy. Sprawy posunęły się za daleko, nie ma odwrotu. Jak może wyrzec się tego gorącego, jasnego życia, które jest potrzebą jego serca i oświecla jego duszę? Jakżeby mógł je odrzucić sam, z własnej woli? Nie zrobi tego, nie ma żadnej wątpliwości. A może poszukać sposobu, żeby ojciec zaakceptował jego działalność i przestał się gniewać? Nie może rzucać ojcu wyzwania ani sprzeciwiać się jego rozkazom. Buntować się przeciwko Anglikom, prowokować lich, narażać się na ich kule, to co dnnego. Anglicy to straszny, zniechęcony wróg, natomiast jego ojciec to człowiek straszny, ale i kochany, uwielbia go równie mocno, jak się go boi i będzie mu bardzo trudno zbuntować się przeciwko niemu. Jest jeszcze inny aspekt tej sprawy. Rewolucja przeciwko Anglikom jest szlachetna, daje wzniosłe przeżycia, podczas gdy bunt przeciwko ojcu przynosi tylko smutek i przykrość. Co z tym wszystkim począć? Dlaczego nie ma obiecać posłuszeństwa, a robić swoje? W tym domu kłamstwo nie było podłym występkiem, gdyby nie uciekali się do kłamstwa, w ogóle nie mogliby cieszyć się spokojem pod władzą ojca. Mówili o tym wyraźnie i bez skrępowania między sobą, a w momentach krytycznych wręcz zgadzali się zbiorowo oszukać ojca. Czyż matka miała zamiar przyznać się do tego, że podczas nieobecności As-Sajjida wysliznęła się do meczetu Al-Husajna? Czy Jasin mógłby pić, on kochać Mariam, a Kamal szaleć między Cham Dża'far a Al-Churunfusz, gdyby nie chroniło ich kłamstwo? Nikt z nich nie bał się ani nie wstydził kłamstwa. Gdyby musieli mówić ojcu prawdę, nie zaznaliby smaku życia. Dlatego Fahmi odpowiedział spokojnie:

– Jestem posłuszny twoim rozkazom, tatusiu...

Po tej deklaracji nastąpiła cisza i obydwaj odetchnęli z ulgą. Fahmi sądził, że przesłuchanie skończyło się, As-Sajjid uważał, że odciągnął syna od skrajnej przepaści. I kiedy chłopiec czekał już tylko na pozwolenie odejścia, As-Sajjid wstał nagle, podszedł do szafy z ubraniami, otworzył ją, wyciągnął Koran i usiadł na swoim miejscu. Fahmi patrzył na niego nic nie rozumiejąc. As-Sajjid wyciągnął rękę z Księgą i rzekł uroczyście:

– Przysięgnij na tę Księgę.



Fahmi, zanim pomyślał, cofnął się odruchowo, jakby uciekając przed językiem ognia. Wpatrywał się w twarz ojca zmieszany, przerażony i zrozpaczony. As-Sajjid trzymał Księgę zdumiony i niezadowolony, twarz powoli mu czerwieniała, a w oczach pokazywały się straszne błyski.

– Nie chcesz przysiąc? – spytał, jakby nie wierząc własnym oczom.

Fahmi nie mógł wykrztusić z siebie słowa, nie mógł też wykonać jakiegokolwiek ruchu.

– A więc kłamałeś – głos As-Sajjida był spokojny, ale drżał od skrywanej wściekłości ostrzegając o wybuchu, jak błyskawica zwiastuje grzmot.

Fahmi spuścił oczy, aby uciec przed wzrokiem ojca. As-Sajjid odłożył Koran na kanapę.

– Kłamałeś, ty sukinsynu! – wrzasnął, a Fahmi odczuł to jak policzek. – Nie pozwolę, żeby ktokolwiek śmiał mi się w twarz! Co ty sobie myślisz? Z kim masz do czynienia? Ty nędzna, grzeszna, podła gnido. Długo mnie oszukiwałeś, zanim wyszło szydło z worka. Nie zrobicie ze mnie baby na stare lata, słyszysz? Nie będę babą! Sukinsyny! W jakiej sytuacji mnie postawili! Zrobili ze mnie pośmiewisko. Sam pójdę na policję. Rozumiesz? Sam, ty sukinsynu! W tym domu ważne jest tylko jedno słowo: Moje! Moje! Moje! Moje! Przysięgaj! – znowu wyciągnął rękę po Księgę. – Rozkazuję ci przysiąc!

Fahmi stał nieprzytomny nie wiedząc, co się z nim dzieje. Niewidzącymi oczami wpatrywał się w dziwne wzory na perskim dywanie, które wdrukowały się jakby w jego umysł, siejąc w nim zamieszanie i pustkę. Mijały sekundy, a on milczał pogrążony w rozpacz; tylko taką bierną postawę mógł przyjąć.

As-Sajjid podszedł do niego z Koranem w ręku.

– Wyobrażasz sobie, że jesteś mężczyzną? – ryknął. – Wyobrażasz sobie, że możesz robić, co d się podoba? tak? Gdybym chciał, rozwalilibym ci ten twój zakuty łeb!

Fahmi zaczął płakać. Nie ze strachu przed tą groźbą, ból był mu obojętny. Całe napięcie, walka, która trwała w jego duszy, wylały się ze łzami. Gryzł wargi, żeby powstrzymać płacz. Wstydził się swojej słabości.

– Przebacz mi, ojciec – odezwał się wreszcie błagalnym tonem – twój rozkaz jest dla mnie najważniejszy, ale nie mogę, nie mogę... Pracujemy razem ramię w ramię i nie darowałbym sobie ani ty nie darowałbyś mi, gdybym odstąpił od swoich towarzyszy. Nie byłoby dla mnie życia, gdybym to zrobił. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa w tym, co robimy. Inni robią rzeczy ważniejsze, uczestniczą w demonstracjach, wielu z nich poległo, a ja nie jestem od nich lepszy. Dziesiątki ludzi uczestniczą w pogrzebach, wznoszą okrzyki za ojczyznę, nawet rodziny ofiar nie krzyczą, nie płaczą... A co znaczy moje życie? Co znaczy życie jakiegokolwiek człowieka? Nie gniewaj się, tatusiu, pomyśl o tym, co mówię... Powtarzam jeszcze raz, nie ma żadnego niebezpieczeństwa w naszej pracy, cichej, pokojowej...

Ogarnęło go wzruszenie, nie mógł już dłużej znieść konfrontacji z ojcem i wybiegł z pokoju. Za drzwiami o mało nie wpadł na Jasina i Kamala, którzy stali przysłuchując się w przerażeniu rozmowie brata z ojcem.

Jasin szedł właśnie do kawiarni Ahmada Abduha, kiedy w pobliżu ulicy Bajt al-Kadi spotkał jednego z krewnych matki, który zatrzymał się na jego widok.

– Właśnie do ciebie szedłem – powiedział.

Jasin domyślił się, że mężczyzna ma wiadomości od matki, które na pewno przyniosą mu kłopoty, i zapytał bez większego zainteresowania:

– No, co tam u niej?

– Twoja matka jest chora, naprawdę bardzo chora już od ponad miesiąca, ale dowiedziałem się o tym dopiero tydzień temu. Z początku sądzono, że to wyczerpanie nerwowe, ale stan się pogorszył, zbadali ją lekarze i stwierdzili ciężką malarię.

Jasin stał zdziwiony. Oczekiwał wiadomości o rozwodzie, o nowym małżeństwie, o kłótniach i czymś takim. Ale choroba? Tego w ogóle nie brał pod uwagę.

– A jak się czuje teraz? – spytał.

– Stan jest ciężki. Leczenie nie dało żadnych rezultatów, a ostatnio nastąpiło pogorszenie. Czując zbliżający się koniec wysłała mnie do ciebie. Chce cię zobaczyć, zanim będzie za późno. Musisz do niej pójść zaraz, to moja rada i prośba. Bóg jest miłosierny i przebaczący.

Może trochę przesadzał, chcąc go skłonić do odwiedzenia matki, ale przecież wszystkiego nie zmyślił. Musi do niej pójść z czystego obowiązku.

I oto znowu zmierza ulicą prowadzącą do Al-Dzamalijji między ulicami Bajt al-Mal i Al-Watawit. Po prawej stronie zaułek At-Tih, gdzie przysiadła, w ciemnych wspomnieniach, handlarka *dum*, a przed nim droga cierpienia. Zaraz zobaczy sklep z owocami, spuści wzrok i prześliznie się jak złodziej. Kiedy tylko pomyślał, że już nigdy tu nie wróci, jakieś nieszczęście pchało go tam znowu. Jaka siła mogła go tu przyprowadzić? Tylko śmierć! „Ciekawe, czy to naprawdę koniec? Serce mi bije. Z bólu? Ze smutku? Nie wiem. Wiem tylko, że się boję. Nigdy już nie wrócę do tego miejsca! Zapomnienie pokryje dawne wspomnienia. Wrócą do mnie resztki mojej własności. Mimo to boję się i zły jestem na te obrzydliwe myśli. Boże, ratuj! Żebym nie wiem jak wygodne wiódł życie i miał nie wiem jak spokojny umysł, serce nie uratuje się przed bólem. Jeżeli to śmierć, pożegnaj matkę z sercem godnym syna. Matka i syn, czyż nie tak? Nie jestem zwierzęciem ani kamieniem. Cierpię, po prostu cierpię. Ale śmierć to nowy gość, z którym nigdy dotąd nie miałem do czynienia. Szkoda, że pisany jest nam taki koniec. Wszyscy kiedyś umrzemy. Nie powinienem poddawać się lękom, tym bardziej teraz, kiedy wiadomości o śmierci dochodzą do nas dniem i nocą. Na ulicy Ad-Dawawin, w szkołach, na Al-Azharze i tam, w Asjut, codziennie padają ofiary. A wczoraj ten biedny mleczarz Al-Fuli stracił syna. Co mają robić rodziny poległych bohaterów? Płakać całe życie? Popłaczą i zapomną. Taka jest śmierć. Uff. Coś mi się wydaje, że nie jest to ucieczka od aktualnych kłopotów, choć zostawiłem w domu Fahmiego z jego zawziętym uporem. A przede mną matka. Jakże nienawidzę życia. A jeżeli to jest podstęp i znajdę ją zdrową? Zapłaci mi za to. Drogo mi za to zapłacą! Nie jestem zabawką, nie dam z

siebie robić wariata. Syna odnajdzie tylko na łożu śmierci. Ciekawe, ile mi zostanie z jej majątku? A co będzie, gdy wejdę do domu i zastanę tego mężczyznę? Jak mam się zachować? Będzie to straszna chwila, kiedy spotkają się nasze oczy. Biada mu. Mam go zignorować czy przepędzić? Mogę mu zrobić coś takiego, że się nie pozbiera. Na pewno spotkamy się na pogrzebie... Śmieszne. Wyobraził sobie, jak w kondukcje żałobnym idzie pierwszy mąż i ostatni, a między nimi zalany łzami syn. W takiej chwili na pewno będę płakał, prawda? Nie zabronię mu iść w kondukcje żałobnym i skandal będzie się za mną włócił aż do ostatniej chwili. Potem zostanie pochowana. Tak, pochowana i wszystko się skończy. Jednak jestem przerażony i smutny. Niech Bóg i jego aniołowie mają mnie w opiece. Oto ten przeklęty sklep. A oto i sam sprzedawca. Nie pozna mnie, z wiekiem zmieniamy się nie do poznania, stary. Moja matka ci powie...”

Otworzyła mu służąca, ta sama, która rok temu nie chciała go wpuścić. Przez moment patrzyła na niego pytająco, a potem szybko usunęła się z drogi i wskazała pokój po prawej stronie; jej wzrok mówił: tak, ona na ciebie czeka.

– Proszę, niech pan wejdzie, nikogo nie ma – powiedziała.

Ostatnie słowa zrobiły na nim silne wrażenie, zrozumiał, że matka chciała rozwiązać jego wątpliwości i oczyścić mu drogę. Chrząknął i wszedł do pokoju. Spotkał oczy matki wzniesione ku niemu z łóżka po lewej stronie drzwi. Ich zwykłą czystość i jasność przesłoniła lekka mgła, jakby patrzyły na niego z bardzo daleka. Spojrzenie, wyblakłe i zgasłe, sugerujące obojętność na wszystko, spoczęło na nim. Poznała go, a na ustach pojawił się lekki uśmiech radości, ulgi i triumfu. Była cała przykryta aż po podbródek, tylko twarz, kiedyś pełna, okrągła, różowa, teraz wyschnięta, pociągła, blada, więcej niż oczy mówiła mu o zmianie. Delikatna, przezroczysta skóra obciągała wystające kości policzkowe. Był to obraz śmierci. Stał zdumiony nie mogąc uwierzyć w okrutną igraszkę losu i serce ścisnęło mu się ze strachu, jakby widział samą śmierć. Naraz poczuł się dzieckiem bez ojca. Wzruszony podszedł do łóżka i pochylił się nad nią.

– Wszystko będzie dobrze... Jak się czujesz? – wymamrotał ze smutkiem.

Wypełniło go szczere i gorące uczucie litości, w którym rozpląły się dawne bóle i zgryzoty, jak znika, w rzadkich wypadkach, nieuleczalna choroba, na przykład paraliż, pod wpływem szoku. Spotkał matkę swojego dzieciństwa, którą kochał, zanim ból nie wypędził jej z jego serca. Wpatrywał się w tę gasnącą twarz z uczuciem, które wróciło po tylu latach, uczuciem, którego doznawał, zanim zadała mu ból. Była to chwila ulgi i całą siłą woli, kurczowo trzymał się jej, żeby nie minęła, jak chory, który wie, że zaraz wróćą cierpienia. Nie mógł pozwolić, żeby to czyste uczucie, którego nagle doznał, zabiły wrogie siły, ciągle w nim tkwiące.

Kobieta wyjęła spod kołdry rękę wyschniętą, żylastą, obciągniętą suchą, ciemnosiną skórą, jakby to była ręka zabalsamowana przed tysiącami lat, a on chwycił ją, wzruszony. I w tym samym momencie usłyszał jej słaby, zachrypły głos:

– Widzisz, stałam się widmem.

– Pan nasz będzie dla ciebie miłosierny, sprawi, że ci się polepszy.

Zrobiła ruch głową przewiązaną białym woalem, jakby chciała powiedzieć: „Oby cię Bóg wysłuchał”, i wskazała ręką, żeby usiadł. Usiadł na łóżku.

– Najpierw dostałam dziwnych dreszczy, trzęsło mną, myślałam, że to nerwy – zaczęła mówić, bo jego obecność dodawała jej sił. – Radzili mi obejść meczety i okadzić się różnymi kadzidłami. Odwiedziłam Al-Husajna i As-Sajjidę, okadzałam się różnymi kadzidłami, indyjskim, sudańskim i arabskim, ale zamiast lepiej, było coraz gorzej. Czasami dostawałam dreszczy, które trwały bez końca, tak że byłam na krawędzi śmierci, czasami miałam ciało zimne jak lód, innym razem paliło mnie, aż krzyczałam z gorączki. Wreszcie postanowił... (przerwała nie chcąc wymówić imienia, wiedziała, że będzie to błąd). W końcu wezwałam lekarza, ale leczenie ani o krok nie przybliżyło wyzdrowienia, o ile nie wpłynęło na pogorszenie. Wszystko bez skutku.

– Nie trać wiary w miłosierdzie boskie, jest ono niezmierzone.

– Cieszę się, że tak mówisz – uśmiechnęła się słabo bladymi wargami. – Cieszę się, że ty mówisz, ty przede wszystkim. Jesteś mi droższy nad wszystko, nad cały świat. To prawda, że miłosierdzie boskie jest niezmierzone. Tak długo nie miałam szczęścia. Nie przeczę, że popełniłam błędy i zdarzały mi się upadki. Tylko Bóg jest bez grzechu.

Ucieszyło go to, co usłyszał. Zabrzmiało to jak przyznanie się do winy i serce mu się ścisnęło. Wzdrygnął się nie mogąc słuchać o tych sprawach, nawet jeśli mówiła tonem żalu i usprawiedliwienia. Siedział napięty, bał się, że coś się zmieni.

– Nie męcz się mówieniem – poprosił.

– Twoje przyjście przywróciło mi ducha. Pozwól mi powiedzieć, że nigdy w życiu nikomu nie chciałam zrobić krzywdy. Jak inni ludzie pragnęłam spokoju ducha, ale prześladował mnie pech. Nikomu nie zrobiłam nic złego, ale wielu skrzywdziło mnie.

Czuł, że z jego pragnienia spędzenia z nią czasu w spokoju nic nie wyjdzie, że jego czyste uczucie przechodzi kryzys, niknie.

– Zostaw ludzi z ich sprawami, są dobrzy, są też źli – powiedział błagalnie. – Teraz najważniejsze jest twoje zdrowie.

Gładziła go po rękę z czułością, jakby prosząc, żeby się nad nią użalił.

– Wiele rzeczy pominęłam, wielu obowiązków wobec Boga nie spełniłam. Jakże bardzo pragnęłabym żyć tak długo, żeby wszystko odrobić. Ale Bóg świadkiem, że serce zawsze miałam pełne wiary.

– Serce to wszystko, ono jest dla Boga ważniejsze niż post i modlitwa.

Ścisnęła go za rękę i zmieniła temat:

– Wróciłeś do mnie nareszcie, nie śmiałam cię zaprosić, dopóki nie złożyła mnie choroba. Miałam uczucie, że żegnam się z życiem, a nie mogłam tego zrobić nie zobaczywszy ciebie. Posłałam po ciebie pełna obaw, że odmówisz, bałam się tego więcej niż śmierci. Ale ty ulitowałeś się nad matką i przyszedłeś się pożegnać. Dziękuję ci i dziękuję Bogu.

Był bardzo wzruszony, ale trudno mu było wyrazić, co czuje. Zamarły na ustach słowa czułe, czy to ze wstydu, czy też wydały mu się dziwne, bo przecież wobec tej kobiety używał tylko słów oschłych i brutalnych. Uścisnął jej rękę szepcząc:

– Oby Bóg dał ci spokój i zdrowie.

Zaczęła powtarzać to, co powiedziała przed chwilą, tymi samymi albo innymi słowami. Z wysiłkiem łykała ślinę, przerywała, żeby złapać oddech, tak że kilkakrotnie prosił ją, by

przestała mówić, ale ona uśmiechała się tylko i mówiła dalej. Wreszcie przerwała, a na jej twarzy pojawiło się zainteresowanie, jak zawsze gdy przypominała sobie coś ważnego.

– Ożeniłeś się? – zapytała.

Zmieszany podniósł brwi i zaczerwienił się. Źle zrozumiała jego zmieszanie i poczuła się winna.

– Nie robię ci wyrzutów. To prawda, że pragnęłabym zobaczyć twoją żonę i dzieci, ale wystarczy mi, że jesteś szczęśliwy – powiedziała szybko.

– Nie jestem żonaty, rozwiódłem się przed miesiącem – odparł ze złością.

Po raz pierwszy w jej oczach pojawiła się uwaga, gdyby były w stanie zalśnić, zalśniłyby. Ale wysłały tylko jakby trochę światła przez gęstą zasłonę.

– Rozwiódłeś się – szepnęła. – Jakże mnie to martwi.

– Nie ma powodu. Ja się nie martwię ani nie jestem smutny – uśmiechnął się – zabrała wszystko, co złe, i poszła.

– Czyj to był wybór, jej czy jego?

– Wybrał Bóg – powiedział tonem zamykającym dyskusję na ten temat. – Wszystko jest przeznaczeniem i losem.

– Wiem o tym, ale kto ją wybrał dla ciebie? Żona twojego ojca?

– Nie, skąd, to ojciec ją wybrał. Wybór był bezbłędny. Pochodzi ze szlachetnej rodziny. Ale to los i przeznaczenie, jak powiedziałem.

– Wybór twojego ojca to los i przeznaczenie – powiedziała zimno. – Czy ona... jest w ciąży?

– Tak.

– Oby Bóg zesłał nieszczęście na twojego ojca.

Nie komentował tego, zabronił sobie rozdrapywać rany. Milczeli obydwój. Kobieta przymknęła oczy, zmęczona, ale po chwili otworzyła je i uśmiechnęła się do niego.

– Czy potrafisz zapomnieć przeszłość? – spytała nieśmiało.

– Nie wspominaj jej, niech nigdy nie wraca – powiedział mrugając powiekami i walcząc z chęcią ucieczki.

Może serce nie czuło tego, co powiedział, ale język rzekł to, co należało. A może rzeczywiście w tym momencie tak czuł, całkowicie zanurzony w otaczającej go atmosferze. Słowa „niech nigdy nie wraca” zabrzmiały dziwnie w jego uszach i sercu wywołując niepokój, ale nie chciał robić z tego przedmiotu rozważań. Kurczowo trzymał się czystych uczuć.

– Czy kochasz swoją matkę tak jak dawniej, w szczęśliwych czasach?

– Kocham ją i życzę jej zdrowia.

Na jej wyschniętej twarzy odbiła się głęboka ulga i spokój. Jasiu także odczuł ulgę. Ustąpiły obawy i wewnętrzne napięcie. Poczul uścisk jej dłoni, jakby chciała mu przekazać całą miłość swojego serca. Patrzyli sobie w oczy spokojnie i z uśmiechem, a w pokoju zapanowała atmosfera miłości i smutnego szczęścia. Nie wykazywała już chęci do rozmowy, może był to dla niej za duży wysiłek. Powieki jej opadały, aż powoli zamknęła oczy. A on siedział patrząc na nią niepewnie, nie ruszając się z miejsca. Po chwili uchyliła nieco usta, z których zaczęło wydobywać się lekkie chrapanie. Wyprostował się i wpatrzył w jej twarz. A

potem przymknął oczy przywołując inną twarz, którą widział przed rakiem. Serce mu się ścisnęło, opanował go strach, ten sam, który ścigał go całą drogę. Czy jeszcze będzie miał okazję zobaczyć tamtą twarz? W jaki sposób go przyjmie, kiedy wróci? Nie lubił wyobrażać sobie tego, co niewiadome, nie lubił zatrudniać rozumu myśleniem, wołał podążać za faktami, niż je wyprzedzać. Opanował go lęk. Dziwne. Kiedy jej słuchał, miał chęć uciec, ucieszył się więc, gdy zasnęła. Ale kiedy został sam, nie wiadomo dlaczego opanował go strach i zapragnął, żeby się obudziła i znowu zaczęła mówić. Jak długo ma czekać?... A może obudzi się dopiero rano? Nie był w stanie tyle czasu wystawiać się na pastwę strachu. Musi położyć kres swoim cierpieniom. Jutro lub pojutrze... Gratulacje czy kondolencje? Co by wołał? Nie ma co myśleć i wyprzedzać wydarzenia. Jeżeli jest nam przeznaczone rozstać się teraz, rozstaniemy się jak przyjaciele i będzie to najlepszy koniec najgorszego życia... A jeśli Bóg przedłuży jej życie...

Rozejrzał się po pokoju. Naprzeciwko łóżka stała szafa z lustrem odbijającym jego obraz. Zobaczył dolną część ciała matki pod kocem i siebie zasłaniającego jego górną połowę poza ręką, którą wyciągnęła na powitanie. Patrzył z czułością na tę rękę, włożył ją pod kołdrę, a potem przykrył matkę troskliwie aż po szyję. Znowu spojrzął w lustro i nagle pomyślał, że kto wie, czy jutro lustro nie odbije pustego, gołego łóżka. Dlaczego nie? Jej życie, życie każdego człowieka nie jest niczym więcej niż złudzeniem, obrazem w lustrze. Jeszcze większy lęk go opanował i szeptał do siebie: „Muszę skończyć z tym, wystarczy tego bólu, dosyć się nacierpiałem, muszę iść.” Ale wzrok jego wędrował po pokoju i wreszcie padł na mały stolik, na którym stały nargile z rurą owiniętą jak wąż dokoła ich szklanej szyjki. Zatrzymał na nich wzrok niemile zdziwiony i natychmiast ogarnął go gniew i wstręt. Ten mężczyzna! To na pewno on jest właścicielem tych nargili. Wyobraził go sobie siedzącego po turecku na kanapie stojącej między łóżkiem a stolikiem i zaciągającego się z rozkoszą, podczas gdy matka podsyca żar...

Ciekawe, gdzie on teraz jest, gdzieś w domu, czy na zewnątrz? Może go widział? Nie mógł wytrzymać widoku nargili, rzucił okiem na matkę pogrążoną we śnie, podniósł się i poszedł do drzwi.

– Twoja pani zasnęła – powiedział do służącej w przedpokoju. – Przyjdę jutro rano. Jutro rano – powtórzył wychodząc. Tak jakby chciał powiedzieć tamtemu mężczyźnie, żeby się schował jutro rano.

I poszedł prosto do Kustakiego. Pił jak zwykle, ale bez przyjemności. Nie mógł wypędzić z serca strachu i lęku. Mimo że ciągle chodziły mu po głowie marzenia o rewolucji, a w sercu czuł ukojenie, to jednak miał przed oczami obraz choroby i dręczyła go myśl o śmierci. Kiedy wrócił do domu o północy, na pierwszym piętrze czekała na niego macocha. Spojrzął na nią zdziwiony.

– Matka? – spytał z bijącym sercem.

Amina opuściła głowę.

– Godzinę przed twoim przyjściem przyszedł człowiek z Kasr asz-Szauk. Życzę ci jak najdłuższego życia, synku.

Stosunki Kamala z żołnierzami angielskimi przekształciły się w przyjaźń. Rodzina próbowała wykorzystać tragiczną przygodę Jasina w meczecie Al-Husajna, aby przekonać chłopca o konieczności zerwania kontaktów z jego przyjaciółmi, ale odpowiedział, że jest za mały na to, żeby ktoś go posądził o szpiegostwo. Prosto ze szkoły szedł do obozu oddając tornister Umm Hanafi, bo w domu zatrzymaliby go siłą. To byłaby jedyna metoda, ale nie uważali, że bezwzględnie należy ją zastosować, tym bardziej że chłopiec bawił się w obozie pod ich okiem, a wszędzie przyjmowano go z szacunkiem i życzliwością. Nawet Fahmi patrzył na to przez palce i co więcej miał rozrywkę w obserwowaniu Kamala, kiedy kręci się wśród żołnierzy „jak małpa w lesie wśród zwierząt”.

– Powiedźcie o tym Starszemu Panu – zaproponowała Umm Hanafi, która żaliła się, że żołnierze, przez tę przeklętą przyjaźń, za dużo sobie pozwalają, przedrzeźniają jej chód, tak że zasługują na to, „żeby im łby poucinać”. Ale nikt tej propozycji nie wziął poważnie. Nie tylko z litości dla chłopca, ale z litości dla siebie samych. Bali się, że się wyda, jak długo ukrywali tę przyjaźń. Pozwolili więc chłopcu robić, co chce. Może też mieli nadzieję, że dzięki jego dobrym stosunkom z żołnierzami nie będą narażeni na zaczepki i żarty na ulicy, co przecież mogło się zdarzyć.

Dla Kamala godziny spędzone w obozie były to najszczęśliwsze godziny dnia. Nie wszyscy żołnierze byli jego „przyjaciółmi” w potocznym znaczeniu tego słowa, ale żaden go nie ignorował. Z przyjaciółmi witał się gorącym uściskiem dłoni, a innych pozdrawiał tylko podniesieniem ręki do czoła. Zdarzało się, że kiedy chłopiec przychodził, któryś z jego przyjaciół odbywał wartę. Chłopak podbiegał radośnie i przerażony patrzył, że żołnierz nie rusza się i nie zwraca na niego uwagi, jakby go lekceważył. Ale kiedy inni zaczynali się śmiać, stwierdzał, że kamienna twarz to nie jest lekceważenie, że tak być musi. Nierzadko rozlegał się gwizdek na alarm, wtedy jego przyjaciele pędzili do namiotów, a po chwili wychodzili w mundurach i hełmach, z karabinami i wsiadali na ciężarówkę, które stały za sabilem Bajna al-Kasrajni. Rozumiał wtedy, że gdzieś jest demonstracja, a oni jadą ją rozpędzić. Na pewno wybuchnie walka między nimi a demonstrantami. Ale w tym momencie obchodziło go tylko to, że jego przyjaciele odjeżdżają, że traci ich z oczu. Patrzył na pełne ciężarówkę ruszające w kierunku An-Nahhasina, machał ręką, życzył im zdrowia i odmawiał *Al-Fatihę*. Każdego popołudnia spędzał w obozie nie więcej niż pół godziny, tyle tylko mógł być poza domem po powrocie ze szkoły. Pół godziny żył wszystkimi zmysłami, krążył między namiotami, chodził między ciężarówkami przypatrując się im z ciekawością, stawał naprzeciwko piramid karabinów i długo badał każdą ich część, zwłaszcza lufę, w której kryła się śmierć. Stał z daleka, nie wolno mu było przekroczyć pewnej odległości, i żałował, że nie może się nimi bawić ani nawet dotknąć. A kiedy jego wizyta zbiegała się z porą herbaty, szedł z przyjaciółmi do kuchni u wlotu do ulicy Kurmuza i stawał na końcu herbacianej kolejki, jak ją nazywali, potem wracał niosąc kubek herbaty z mlekiem i kawałek czekolady.

Siadali na murku sabilu i popijali herbatę krótkimi łykami. Żołnierze śpiewali pieśni narodowe, a on przysłuchiwał się z zainteresowaniem, czekając na swoją kolej. Życie obozu zostawiło głęboki ślad w jego duszy, zajęło całą wyobraźnię i marzenia. Był on tak głęboki, jak ślad opowieści Aminy o tamtym świecie, legend i gawęd Jasina, które wciągały go w zaczarowany krąg zjaw i widziadeł. Ukazywały mu się one na jawie, kiedy na dachu wśród gałązek jaśminu, pnączy fasoli i kwiatów groszku rozmyślał o świecie mrówek, kur i innych ptaków. Na murku dachu przylegającego do dachu domu Mariam wybudował obóz z pełnym wyposażeniem, postawił namiot z chustek i piór do pisania, uzbroił go w patyki, zrobił ciężarówkę z chodaków i żołnierzy z pestek daktyli. W pobliżu obozu, z kamyków, ustawił demonstrantów. Zwykle rozpoczynał przedstawienie od rozstawienia grupki pestek-żołnierzy, kilku w namiocie, kilku u wejścia do niego, kilku wokół karabinów. Cztery pestki z dużym kamieniem wyobrażającym jego samego zostawiał z boku. Zaczynał naśladować śpiew Anglików, a potem kiedy przychodziła kolej na kamyki, śpiewał: „Odwiedzajcie mnie co roku” lub „O, moje kochanie”, po czym duży kamień, czyli on sam, formował szeregi i krzychał: „Niech żyje ojczyzna!”, „Precz z protektorem!”, „Niech żyje Sa’d!” Wracił do obozu gwizdząc, ustawiał żołnierzy-pestki w szeregi, na czele każdego stawiał daktyl, potem pchał chodak i dmuchał, i prychał naśladując warkot ciężarówek. Kładł pestki na dach ciężarówki-chodaka, znowu go popychał w kierunku demonstrantów i walka przybierała na sile, a po obu stronach padały ofiary. Podczas walki nie pozwalał sobie na żadne sentymenty, przynajmniej na początku i w czasie jej trwania. Miał tylko jedno pragnienie, żeby była uczciwa i ciekawa. Strony atakowały i odpierały ataki na równi, a wynik był nieznany, choć walka wyrównana. A wreszcie przychodził koniec długiego boju i tu Kamal znajdował się w rozterce. Kto ma zwyciężyć? Po jednej stronie są jego czterej przyjaciele na czele z Julianem, a po drugiej Egipcjanie, razem z którymi bije serce Fahmiego. W ostateczności przyznawał zwycięstwo demonstrantom, a ciężarówki odjeżdżały z resztą żołnierzy, wśród których znajdowali się jego czterej przyjaciele. A kiedy raz walka zakończyła się honorowym porozumieniem, obydwie strony świętowały je herbatą i słodyczami przy stole! Julian był jego najlepszym przyjacielem. Wyróżniał się urodą, łagodnością, nie mówiąc już o tym, że nie najgorzej władał arabskim. To on uczynił zaproszenie Kamala na herbatę prawem, przywilejem i on także najbardziej ze wszystkich lubił jego śpiew, tak że prawie codziennie prosił, żeby mu zaśpiewał „O, moje kochanie”. Słuchał uważnie, a potem powtarzał z czułością i tęsknotą:

Kochanie moje, chcę wrócić do kraju...

Kamal przyzwyczyił się do niego, nabrał zaufania, a nawet pozwalał sobie na pewną poufałość, do tego stopnia, że raz powiedział mu:

– Oddajcie Sa’da Paszę i wracajcie do swojego kraju!

Ale Julian nie przyjął jego propozycji z radością, której chłopiec oczekiwał, przeciwnie, zakazał wspominać Sa’da Paszę, tak jak to już zrobił kiedyś w podobnych okolicznościach: „Sa’d Pasza *no*.” W ten sposób, według słów Jasina, „poniósł fiasko pierwszy egipski negocjator”.

Któregoś dnia jeden z „przyjaciół” pokazał mu jego karykaturę, którą sam narysował. Kamal spojrział na nią ze zdumieniem i przerażeniem. „To moja fotografia? – spytał. – To nie



jest moja fotografia!” Ale w duchu czuł, że to jednak w jakiś sposób on. Podniósł oczy na stojących wokół niego żołnierzy i stwierdził, że się śmieją, i zrozumiał, że jest to rodzaj żartu i że on też powinien przyjąć go ze śmiechem. Więc pokrywając zawstydzenie, roześmiał się także. Fahmi również wpatrywał się w rysunek ze zdumieniem.

– Na Boga – powiedział ze śmiechem – pokazuje wszystkie wady, ani jednej nie ukrywa! Małe, chude ciało, długa, chuda szyja, wielki nos, ogromna głowa, małe oczy. Jedyna rzecz, którą „twój przyjaciel” podziwia, to elegancki garnitur, ale to nie twoja zasługa, tylko mamy, dla niej elegancja domowników jest najważniejsza. – Spojrzał na niego złośliwie. – To jest sekret miłości do ciebie. Mają rozrywkę, śmieją się z twojego wyglądu i przesadnej elegancji, czyli, mówiąc po arabsku, jesteś dla nich tylko *karagöz*. Oto co zdobyłeś za swoją zdradę.

Ale to, co powiedział Fahmi, nie zrobiło na Kamalu wrażenia, bo chłopiec znał rozmiary jego wrogości do Anglików i przyjął słowa brata za manewr, który miał na celu oderwanie go od nich.

Któregoś dnia, kiedy przyszedł jak zwykle do obozu, znalazł Juliana stojącego przy najdalszej ścianie sabilu, wpatzonego z ciekawością w zaułek, na który wychodziły okna domu nieboszczyka Muhammada Ridwana. Poszedł w jego kierunku i zobaczył, że Julian macha do kogoś ręką i daje tajemnicze znaki, których nie rozumiał. Zatrzymał się instynktownie, ale po chwili ciekawość zwyciężyła, okrążył namiot stojący przed frontonem sabilu, wśliznął się za Juliana i spojrzał w kierunku, w którym on patrzył. Zobaczył, że okno w skrzydle domu rodziny Ridwanów zamykającym krótki zaułek jest otwarte, a wygląda z niego twarz Mariam, uśmiechnięta, wyraźnie odpowiadająca na znaki Juliana. Stał przenosząc wzrok z żołnierza na dziewczynę, zdumiony, nie wierząc własnym oczom. Jak Mariam mogła zrobić coś takiego? Jak mogła pokazać się w oknie! Jak mogła tak jawnie odpowiadać na znaki Juliana! On macha do niej ręką, a ona się uśmiecha. Tak, to jest ten jej uśmiech, który dobrze zna, jakby był wymalowany na jej wargach. I oczy wpatrzony w jego oczy, bo jeszcze nie zauważyła obecności Kamala. Poruszył się niechcący, zwracając na siebie uwagę Juliana. Żołnierz zaczął się śmiać, wypowiedział jakieś niezrozumiałe dla Kamala słowa, podczas gdy Mariam cofnęła się gwałtownie, najwidoczniej przestraszona.

Patrzył na żołnierza ze zdumieniem, a ucieczka Mariam wyglądała podejrzanie i sprawa wydała mu się niejasna.

– Znasz ją? – spytał łagodnie Julian.

Kiwnął głową, ale nic nie powiedział. Julian zniknął na chwilę, po czym wrócił niosąc duży pakunek.

– Zanieś jej to – powiedział wskazując dom Mariam Kamal kręcił głową odmownie i cofał się. Nie mógł sobie wyobrazić czegoś takiego. Mimo że od początku sprawa wydawała mu się poważna, to tak naprawdę odczuł jej wagę, dopiero kiedy opowiedział całą historię przy popołudniowej kawie. Amina zeszywniała, ręka trzymająca filiżankę kawy zawisła między ustami a tacą, podczas gdy Fahmi i Jasin przeskoczyli z kanapy stojącej naprzeciwko matki na kanapę, na której siedziała z Kamalem. Wpatrywali się w niego ze zdziwieniem i ciekawością, która przeszła wszelkie jego oczekiwania.

– Widziałeś to naprawdę? Nie pomyliłeś się? – pytała Amina łykając ślinę ze zdenerwowania.

- Mariam? Mariam? Czy jesteś pewien tego, co mówisz? – pytał Fahmi z rozdrażnieniem.
- On do niej machał, a ona się uśmiechała? – dopytywał się Jasin.
- Naprawdę widziałeś, że się uśmiechała?

Amina postawiła filiżankę na tacy, oparła głowę na rękę i patrząc na Kamala powiedziała tonem groźby:

– Kamal, kłamstwo w takiej sprawie to zbrodnia, której Bóg nie wybaczy. Pomyśl o tym, synu.

– On nie kłamie – powiedział Fahmi z rozpaczą i goryczą. – Nikt rozsądny nie będzie go posądzał o kłamstwo. Nie rozumiecie, że wymyślenie takiej historii przekracza wyobraźnię chłopca w jego wieku?

– Jak mam w to uwierzyć? – pytała matka ze smutkiem.

– Tak, jak można w to uwierzyć? – powtórzył Fahmi. – Ale to się zdarzyło... Zdarzyło się!

Celowo powtórzył ostatnie słowa, przeszywające jak cięcie kindząłem, powtórzył je, jakby chciał to cięcie pogłębić. Mimo że Mariam nie panowała już tak niepodzielnie w jego myślach, ciągle o niej marzył i to, co się stało, dotknęło go do żywego, godziło w jego dobre imię. Był to zbyt silny cios. Już sam nie wiedział, czy ją kocha, czy nienawidzi, czy wpadł w gniew z powodu zranionej dumy czy zazdrości... Suchy liść spadający z drzewa w porywach silnego wiatru...

– Jak mam w to uwierzyć? Miałam takie zaufanie do Mariam jak do Chadidży i Aiszy. Taka cnotliwa matka... Ojciec, niech Bóg będzie dla niego dobry, był najszlachetniejszym z ludzi. To nasi najlepsi i najmiłsi sąsiedzi.

Jasin, który siedział zamyślony, odezwał się z odrobiną ironii:

– Dlaczego się tak dziwicie? Tak było zawsze. Z krwi i kości sprawiedliwych Bóg stworzył złych.

– Bóg świadkiem, że nigdy nie zauważyłam u niej czegoś złego – zaprotestowała Amina odrzucając myśl, że Mariam mogła cały czas oszukiwać.

– Ani nikt z nas, nawet Chadidża, pani czepialska – powiedział Jasin ostrożnie – czyli oszukała mądrzejszą osobę niż ja i ty.

– Jak mogłem to przewidzieć! – krzyknął Fahmi z bólem. – To sobie trudno wyobrazić.

Wściekły był na Jasina. Wszyscy ludzie wydali mu się nienawistni, zarówno Anglicy, jak i Egipcjanie, mężczyźni i kobiety, zwłaszcza kobiety. Dusił się... Myślał tylko o tym, żeby się gdzieś schować, w odosobnieniu wszystko przemyśleć i znaleźć spokój, ale nie mógł ruszyć się z miejsca, jakby był przywiązany grubymi linami.

– Kiedy cię zobaczyła? – zapytał Jasin.

– Kiedy Julian odwrócił się do mnie.

– I szybko uciekła?

– Tak.

– Wie, że ją widziałeś?

– Nasze oczy spotkały się na moment...

– Biedna, na pewno wyobraża sobie teraz, co o niej mówimy.

– Anglik! – krzyknął Fahmi uderzając dłonią o dłoń. – Córka As-Sajjida Muhammada Ridwana!

Amina wzdychała i mruzczała coś kiwając głową.

– Flirtowanie z Anglikami to nie taka prosta sprawa dla dziewczyny, jest to wyższy stopień rozpusty; możliwe, że ma już jakieś doświadczenie...

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że ma już za sobą pierwszy krok!

– Zaklinam was na Boga, przestańcie już o tym mówić!

Ale Jasin mówił dalej, jakby nie słysząc prośby matki.

– Mariam jest córką kobiety, która potrafi się stroić, jak same mówiłyście, ty, Chadidza i Aisza.

– Jasin 1 – krzyknęła Amina z gniewem i naganą.

– Chcę tylko powiedzieć, że jesteśmy rodziną, która żyje zamknięta, rządzi się własnymi prawami i nic nie wie o tym, co się dzieje dokoła niej. Robimy wszystko, żeby wyobrazić sobie ludzi na własne podobieństwo. Mariam żyła koło nas długie lata, ale w rzeczywistości nie znaleźmy jej. Dopiero odkryła nam jej prawdziwą twarz ostatnia osoba, którą można posądzać o poszukiwanie prawdy. – Poklepał Kamala po głowie śmiejąc się, ale Amina powiedziała błagalnie:

– Zaklinam was na Boga, zmieńcie temat.

Jasin uśmiechnął się i nic już nie powiedział. Zapadła cisza. Fahmi nie mógł usiedzieć w salonie, ogarnęła go niepohamowana chęć ucieczki jak najdalej od nich. Pragnął zaszyć się gdzieś, zostać sam ze sobą i jeszcze raz przeżyć całą rozmowę od a do z, słowo po słowie, wyrażenie po wyrażeniu, zdanie po zdaniu, żeby to wszystko zrozumieć i zorientować się, na czym stoi.

Było już po północy, kiedy As-Sajjid Ahmad Abd al-Dżawwad opuścił dom Umm Mariam i wszedł w pogrążony w ciemnościach zaułek. Cała dzielnica wydawała się uśpiona, spowita ciemnością, jak co noc, od pierwszego wieczoru kiedy rozłożył się w niej angielski obóz. Ani jedna kawiarnia nie była otwarta, wszystkie sklepy zamknięte. Na ulicy nie było żywego ducha, ani przechodniów, ani wędrownych sprzedawców, żadnego śladu życia. Światło dochodziło tylko z obozu. I mimo że żaden z żołnierzy nigdy go nie zaczepił, As-Sajjid zawsze odczuwał lęk i niepokój przechodząc obok, zwłaszcza że wracał nad ranem, osłabiony, zmęczony i roztargniony, myśląc tylko o tym, żeby dojść bezpiecznie do domu.

Skręcił w An-Nahasina, potem w prawo w kierunku domu, rzucając ukradkowe spojrzenia na wartownika, aż wszedł w najniebezpieczniejszy odcinek, oświetlony światłem padającym z obozu. Tutaj zawsze czuł, że jest łatwym celem dla każdego myśliwego. Przyspieszył kroku, żeby zagłębić się w ciemność prowadzącą do drzwi domu, kiedy nagle usłyszał gruby, zachrypły głos. Z tonu, gniewnego i nie znoszącego sprzeciwu, zrozumiał, że ktoś krzyczy do niego, choć słów nie zrozumiał. Zatrzymał się i patrzył, drżąc na całym ciele, na idącego w jego stronę uzbrojonego żołnierza, nie wartownika. Co się wydarzyło, że został tak potraktowany? Może żołnierz był pijany? A może miał napad agresji? A może chciał go obrabować? Wytrzeźwiał zupełnie i patrzył na Anglika z bijącym sercem i suchym gardłem. Żołnierz stanął przed nim i powiedział coś szybko rozkazującym tonem, z czego As-Sajjid

naturalnie nie zrozumiał ani jednego słowa. Jednocześnie wskazywał ręką ulicę Bajna al-Kasrajni. As-Sajjid wpatrywał się w niego z rozpaczą, cierpiąc męki i gorycz niemocy porozumienia się, i przekonania go o swojej niewinności. Żeby przynajmniej wiedział, o co go oskarża i czego od niego chce... Przyszło mu do głowy, że wskazując ulicę Bajna al-Kasrajni uważa go za obcego i każe mu się oddalić, i zaczął mu tłumaczyć, że tam właśnie mieszka i wraca do domu, ale żołnierz zignorował jego gesty, mamrotał coś cały czas wskazując ciągle ten sam kierunek i jakby popędzając As-Sajjida, aż w końcu stracił cierpliwość, chwycił go za ramię i mocno popchnął. As-Sajjid stwierdził, że ma iść w kierunku Bajna al-Kasrajni, a żołnierz za nim, i zdał się na los, choć nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Minęli obóz, potem sabil Bajna al-Kasrajni i tu skończył się zasięg światła obozowego. Weszli w gęstą ciemność i ciężką ciszę. Widać było tylko sylwetki domów i słyszeć rytmiczny tupot ciężkich kroków, które jakby odliczały ostatnie minuty, a może sekundy jego życia. W każdej chwili oczekiwał ciosu, po którym padnie, wytrzeszczonymi oczami wpatrywał się w ciemność, grdyka mu latała i od czasu do czasu wyschniętym, rozpalonym gardłem przetykał ślinę. Nagle przyciągnęło jego wzrok jakieś migotanie na ziemi. Przestraszył się tak, że omal nie krzyknął, jak dziecko, a po chwili rozróżnił poruszający się krążek światła i zrozumiał, że to promień światła latarki, którą prowadzący go oświetlał sobie drogę w ciemnościach. Ochłonął z przerażenia, ale nie opuszczał go strach, jaki owładnął nim od pierwszej chwili, że prowadzą go na śmierć. W każdej sekundzie oczekiwał końca, jak tonący, któremu wydaje się, że atakuje go krokodyl, a po chwili stwierdza, że to tylko trawa pływa, jednak radość ze stwierdzenia urojonego niebezpieczeństwa zostaje zaraz stłumiona przez fakt, że tonie. Gdzie on go prowadzi? Żeby mógł porozmawiać w jego języku i zapytać... Wyglądało na to, że będzie go tak prowadził, aż go zaciągnie na cmentarz przy Bab an-Nasr. Nigdzie śladu człowieka ani zwierzęcia. Gdzie jest strażnik? Jest sam, zdany na miłosierdzie kogoś, kto nie zna tego uczucia. Chyba jeszcze nigdy nie przeżył takiego koszmaru. Może tylko w strasznym śnie. Tak, to koszmar, nieraz męczyły go takie chore sny. Ale ciemność koszmaru nie jest pozbawiona czasami błysku nadziei, która rozświetla dobrotliwie duszę śpiącego mówiąc mu, że to sen, nie jawa i że wybawienie nadejdzie zaraz albo za chwilę. Ale w tej sytuacji czy jest jakaś nadzieja? Oin przecież nie śpi i nie śni, a ten uzbrojony żołnierz to prawda, nie sen, i także ta droga, która jest świadkiem jego poniżenia i niewoli, wszystko jest przerażająco namacalne i oczywiste, nie ma nic wspólnego z fantazją. Męka... Nie ulega wątpliwości, że najmniejszy odruch sprzeciwu doprowadzi go do zguby. Umm Mariam pożegnała go słowami: „Do jutra. Do jutra.” Jutro?! Czy ujrzy to jutro? Wlokły się za nim ciężkie buciory, od których drżała ziemia, włókł się karabin z ostrym bagnetem. Powiedziała mu też: „Można się upić zapachem wina z twoich ust.” Uleciało wino, uleciał rozum. Parę minut temu był młody, młodzięczość to najpiękniejsza sprawa. Teraz wszystko, co ma, jest cierpieniem. A między jednym a drugim upłynęło zaledwie kilka minut. Kilka minut? Gdy doszli do rogu Al-Churunfusz, zobaczył jakieś światło. Pochodziło ono z latarki innego żołnierza, który prowadził przed sobą jakichś ludzi, nie mógł widzieć ilu. Ciekawe, czy żołnierze otrzymali rozkaz łapania mężczyzn, których spotkają w nocy? Gdzie oni ich prowadzą? Na jaką karę zostaną skazani? Był zdziwiony i niespokojny, ale widok nowych ofiar pokrzepił go nieco i pocieszył.

Przynajmniej nie był sam, miał współtowarzyszy nieszczęścia, którzy dzielili jego los. Wyprzedzał ich trochę i wsłuchiwał się w ich kroki, jak błądzący po pustyni przysłuchuje się ludzkim głosom, które przynosi wiatr. Bardzo chciał przyłączyć się do ich grupy niezależnie od tego, czy byli to znajomi, czy obcy, żeby razem biły ich serca i żeby razem zmierzali ku nieznanemu losowi. To są niewinni ludzie, tak jak on. Dlaczego ich złapali? Dlaczego jego złapali? Nie był rewolucjonistą, nie zajmował się polityką, nie był nawet młody. Czyżby patrzyli w serca i czytali myśli? A może aresztowali przypadkowe, pojedyncze osoby, a zwolnili z więzień przywódców? Gdyby znał angielski, toby zapytał tego, co go wziął do niewoli... Szkoda, że nie ma Fahmiego, wyręczyłby go. Ogarnął go ból tęsknoty. Gdzie jest Fahmi i Jasin, i Kamal, gdzie Chadidża i Aisza, i ich matka? Rodzina nie mogłaby sobie nawet wyobrazić poniżającej sytuacji, w jakiej się znalazł. On, ten potężny, szanowany tyran. Czy mogliby sobie wyobrazić, że jakiś żołnierz popchnął go tak, że omal nie upadł na ziemię i że go prowadzi jak bydło? O mało się nie rozplakał na wspomnienie rodziny. Szedł dalej rozpoznając sylwetki domów i sklepów, których właściciele znał, i kawiarnie, które odwiedzał w młodości. Smutno mu było, że przechodzi obok, a nikt nie śpieszy mu na ratunek ani nie uważa się nad jego sytuacją, czuł, że naprawdę spotkało go największe możliwe poniżenie. Wzniósł oczy do nieba i myśli posłał do Boga. Tylko myśli, bo nie wyszło z jego ust żadne słowo, nawet szept. Wstydził się wymawiać imię Boga, kiedy ciała nie oczyścił jeszcze z oparów alkoholu i potów miłości. Jak może prosić o ratunek będąc tak brudnym? Przestraszył się. Może jego los to zapłata za rozpustę? Smutek i rozpacz opanowały jego serce. Kiedy przechodził obok targu cytryn, w tupot nóg, do którego już przywykł, wdarły się inne, niejasne głosy. Nasłuchiwał w ciemności x wypatrywał *oczy* pełen strachu i nadziei, nie mogąc rozpoznać, czy hałas ten pochodzi od ludzi, czy od zwierząt. Po chwili rozróżnił szum i szepnął do siebie: „To są głosy ludzkie.” Ulica zakręciła i zaraz potem zobaczył liczne, migoczące światła. Z początku myślał, że pochodzą z latarek, ale po chwili pokazały się latarnie i w ich świetle zobaczył stojących pod Bab al-Futuh żołnierzy brytyjskich, a potem egipskich policjantów, których widok go ożywił. „Dowiem się wreszcie, czego ode mnie chcą, jeszcze tylko parę kroków. Po co zebrali się pod tą bramą żołnierze angielscy i egipscy? Dlaczego prowadzą ludzi z różnych końców dzielnicy? Wkrótce będę wszystko wiedział. Wszystko? Boże, przebac. Wszystko powierzam Bogu. Tę straszną chwilę będę pamiętał do końca życia, o ile mi jeszcze tego życia trochę zostało. Kula... Szubienica... Danszawaj... Czyżbym miał przyłączyć się do rejestru męczenników? Czyżbym miał stać się treścią jednej z wiadomości rewolucyjnych, które przynoszą Muhammad Iffat, Ali Abd ar-Rahim i Ibrahim al-Far w czasie wieczornych spotkań? Wyobraź sobie wieczorną libację i twoje miejsce – puste. Niech się Bóg nad tobą zlituje. Był to... Był... Ale cię będą oplakiwać! I długo wspominać... A potem zapomną. Ciężko mi na sercu. Oddaj swoje sprawy w ręce Tego, który cię stworzył.”

Zbliżył się do miejsca, gdzie stali żołnierze. Obrzucili go wzrokiem zimnym, okrutnym, groźnym. Poczł ostry ból w sercu. Czy ma się tu zatrzymać? Nogi miał ciężkie, zmęczone, wzrok niepewny.

– Wchodź! – krzyknął policjant wskazując bramę.

As-Sajjid spojrział na niego pytającym wzrokiem, prosząc jednocześnie o litość i pomoc. Przeszedł między żołnierzami, nic nie widząc przed sobą ze strachu, instynktownie chcąc zakryć głowę rękami. Pod kopułą bramy ujrzał widok, który mu powiedział, czego od niego chcą, nie musiał pytać. Była tam głęboka dziura, jak rów przegradzająca drogę i tamująca ruch. Mnóstwo ludzi pracowało pod nadzorem policji zasypując ją. Nosili ziemię w koszach i zrzucali ją do rowu. Pracowali szybko i energicznie, rzucając ukradkowe spojrzenia na angielskich żołnierzy, którzy stali przed bramą. Policjant rzucił mu koszyk i krzyknął groźnie:

– Rób to, co inni... – A potem szeptem: – Pośpiesz się, żeby się do ciebie nie przyczepili.

Było to pierwsze „ludzkie” zdanie, jakie usłyszał w czasie tej okropnej podróży i poczuł w sercu radość i ulgę. Schylił się i chwycił koszyk za pałąk.

– Wypuszczą nas, jak skończymy pracę? – spytał policjanta.

– Tak. Jeśli Bóg zechce.

Westchnął głęboko, zbierało mu się na płacz, miał uczucie, jakby się na nowo narodził. Podwinął lewą ręką dżubbę i zatknął jej koniec za pas kuftana, żeby nie przeszkadzała w pracy. Poszedł z koszem na chodnik, gdzie znajdował się kopiec, postawił kosz między nogami i zaczął rękami nagarniać do niego ziemię. Wysypywał ją do rowu i wracał na chodnik. Wśród pracujących byli efendi i noszący imame, starzy i młodzi. Wszyscy pracowali solidnie walcząc o życie. Kiedy napełniał kolejny kosz, ktoś go trącił łokciem. Odwrócił się i zobaczył przyjaciela, Ghanima Hamidu, właściciela wyciskami oliwek w Al-Dżamalijji, z którym od czasu do czasu spotykał się na przyjęciach. Ucieszyli się tym spotkaniem ogromnie.

– Także wpadłeś – szepnął As-Sajjid.

– Wcześniej niż ty. Byłem tu przed północą. Widziałem, jak brałeś kosz, i zacząłem tak manipulować, żeby znaleźć się obok i w końcu udało się.

– Witaj... Witaj. Nie ma więcej naszych przyjaciół?

– Nikogo poza tobą nie spotkałem.

– Policjant powiedział, że nas wypuszczą, jak skończymy robotę.

– Mnie też tak powiedzieli... Oby cię Bóg wysłuchał.

– Oby Bóg zniszczył ich domy.

– Padam ze zmęczenia.

Uśmiechnęli się do siebie.

– Skąd się wzięła ta dziura?

– Podobno wykopali ją wczoraj w nocy chłopcy z Al-Husajnijji, żeby przeszkodzić ciężarówkom. Mówią, że już jedna ciężarówka w nią wpadła.

– Jeżeli to prawda, to koniec z nami.

Kiedy znowu spotkali się przy kopcu, byli już oswojeni z sytuacją i nawet uśmiechnęli się do siebie, napełniając kosze piachem jak robotnicy na budowie.

– Boże, chroń nas przed tymi sukinsynami.

– Mam nadzieję, że nam odpowiednio zapłacą – szepnął As-Sajjid.

– Gdzie cię złapali?

– Przed domem.

– No tak.

– A ciebie?

– Brałem narkotyki, ale wytrzeźwiałem od razu. Anglicy są silniejsi niż kokaina.

– Silniejsi niż rycyna.

Mężczyźni w pośpiechu krążyli w świetle latarni między kopcem ziemi a rowem. Tumany piachu wznosiły się do góry utrudniając oddychanie. Dyszeli ciężko, kasłali, dżubby nasiąkły potem, twarze mieli pokryte pyłem. Wyglądali jak zjawy, które wyszły z tej dziury. W każdym razie nie był sam, dzielił jego los przyjaciel i ci wszyscy ludzie z dzielnicy. Policjanci egipscy sercem byli z nimi. Rozbrojono ich, miecze w metalowych pochwach nie wisały u ich pasów. „Cierpliwości. Cierpliwości, wszystko dobrze się skończy. Wyobrażałeś sobie, że będziesz pracował do rana, a może i do południa? Trzymaj się. Nie ty jeden nosisz ziemię i ciężko pracujesz, żeby zasypać ten rów, choć on nie chce się wypełnić. Nie ma co narzekać. Zresztą, komu się poskarżysz? Jesteś silny, nie do zdarcia, możesz wytrzymać, jak wytrzymujesz pijaństwo i inne rozrywki. Która to godzina? Nieostrożność patrzeć teraz na zegarek. Gdyby mi się to nie przydarzyło, leżałbym w łóżku, miał rozkoszne sny, mógłbym umyć głowę i twarz, wypić coś świeżego z pachnącego kwiatami dzbana. Gratulujemy uczestnictwa w piekle rewolucji. Dlaczego nie? W kraju rewolucja. Każdego dnia, każdej godziny padają ofiary, bohaterowie. Czytanie gazet i dzielenie się wiadomościami to jedno, a noszenie koszy ziemi pod groźbą karabinów to zupełnie co innego. Gratulacje, wszyscy śpiący w domach. Boże, strzeż nas. Nie nadaję się do tego. To nie dla mnie. Boże, pokonaj tych heretyków. Jesteśmy słabi. To nie dla mnie. Czy Fahmi wyobraża sobie, jakie niebezpieczeństwo grozi ojcu? Siedzi teraz nad książkami nie wiedząc, co mi się przydarzyło. Pierwszy raz w życiu powiedział mi «nie». Powiedział to z płaczem, ale co to za różnica. Sens ten sam. Nie powtórzyłem jego matce, nigdy jej nie powiem. Mam jej odkryć moją słabość? Sama jest słaba, jak mogłaby coś poradzić? Nigdy. Niech o niczym nie wie. Mówi, że nie naraża się na niebezpieczeństwo. Naprawdę? Boże spraw, żeby to była prawda. Gdyby nie to, nie darowałbym mu nigdy. Boże, chroń nas wszystkich przed złem tych dni. Która to godzina? Żeby tylko doczekać rana. Przecież rano nie zabiją nas przy ludziach!”

– Splunąłem na ziemię, bo mam całe podniebienie i gardło w piachu, a jeden z tych diabłów spojrział na mnie tak, że mi włosy stanęły na głowie.

– Nie pluj, rób tak jak ja, ja już połknąłem tyle piachu, że bym nim chyba zasypał tę dziurę.

– Może to przekleństwo Zubajdy?

– Może.

– Zatykanie jej dziury jest lepsze niż tej.

– Ale trudniejsze!

Roześmieli się.

– Plecy mnie bolą – powiedział Ghanim wzdychając.

– Mnie też. Jedyne pociecha, że w ten sposób dzielimy cierpienia bohaterów.

– Co byś powiedział, gdybym rzucił tym koszem w gębę żołnierzowi i krzyknął: „Niech żyje Sa’d”?!

– Znowu brałeś?

– Jaka szkoda... Taką ociupinę zmieszałem z herbatą raz, drugi, trzeci, potem poszedłem do At-Tambuksziji, żeby posłuchać szajcha Alego Mahmuda w domu Al-Hamzawiego. Wracalem koło północy mówiąc sobie: „Walijja czeka na mnie”, i wtedy zobaczył mnie ten małpizjon i przywłókł tutaj.

– Pan Bóg ci wynagrodzi.

– Amen.

Żołnierze przyprowadzili następnych mężczyzn, jednych z Al-Husajniji, innych od strony An-Nahasina i wszyscy szybko przyłączyli się do „robotników”. As-Sajjid rozejrzał się dokoła i stwierdził, że wokół dziury w stronę chodnika płynie nieprzerwany strumień ludzi z piaskiem i wraca. Latarnie oświetlają twarze zmęczone, wyczerpane, upokorzone i przerażone. Wielka liczba daje poczucie bezpieczeństwa. „Przecież takiej masy ludzi nie zamordują. Nie zamordują niewinnych za winnych. – Ciekawe, gdzie są ci winni? Gdzie są ci młodzieńcy? Czy chociaż wiedzą, że ich bracia wpadli w dziurę, którą oni wykopali? Niech ich Bóg zabije, jeżeli uważają, że wykopanie takiej dziury przywróci Sa'da albo wypędzi Anglików z Egiptu. Mam przerwać picie i nocne libacje, jeśli Bóg przeznaczył mi nowe życie? Libacje nie są już bezpieczne. Jaki smak będzie miało życie I W czasie rewolucji życie nie ma smaku. Rewolucja... Każdy żołnierz może cię aresztować. Musisz dźwigać na ramionach kosze z ziemią. Fahmi mówi ci «nie». Kiedy świat wróci do pierwotnego stanu? Ból głowy? Ból głowy i duszności. Parę minut odpoczynku... Nie chcę więcej I Bahidza dawno już przewróciła się na drugi bok, Amina czeka tak jak Walijja na Ghanima. Gdzie wam tam przyjdzie do głowy, co mi się przydarzyło. O Panie nasz, Al-Husajnie! Nos i oczy mam pełne piasku. Czy nie dosyć już tego piachu? O synu córki Proroka! To jest prawdziwa Bitwa Rowu. W ten sposób nazwał ją nasz kaznodzieja. Prorok, niech mu będzie pokój i modlitwa, pracował jak wszyscy i własnymi rękami znosił piasek... Niewierni... Wszędzie niewierni. Dlaczego dziś zwyciężają? Czasy są zepsute. Ja jestem zepsuty. Czyż będą obozować przed domem aż do końca rewolucji?”

– Słyszałeś pianie koguta?

As-Sajjid nastawił ucha.

– Kogut pieje. To świt!

– Ale ta dziura nie będzie zasypana przed ranem.

– Rano!

– Najgorsze, że mi się chce sikać!

As-Sajjid pomyślał o dolnych partiach swojego ciała i stwierdził, że jemu też i że bez wątpienia to jest jeden z powodów jego cierpienia. Ucisk na pęcherz wzrastał się, jak tylko o tym pomyślał.

– Mnie też się chce.

– A co z pracą?

– Nic na to nie poradzę.

– Patrz na tego małpizjona, który szczy na wystawę sklepu.

– Och...

– Wypuszczenie choć odrobiny moczu jest teraz dla mnie ważniejsze niż wyrzucenie Anglików z całego Egiptu.



– Z całego Egiptu? Niech najpierw wyjdą z An-Nahhasina.

– O Boże, zobacz, żołnierze prowadzą następnych.

As-Sajjid zobaczył nową grupę ludzi zbliżającą się do rowu.

As-Sajjid Ahmad obudził się po południu. Wiadomość o tym, co mu się przydarzyło, rozeszła się tymczasem wśród mieszkańców dzielnicy i wśród przyjaciół. Ludzie zaczęli się schodzić, zgromadzili się w domu i gratulowali mu szczęśliwego ocalenia. Zaczął więc opowiadać im całą historię w sposób nie pozbawiony humoru, specjalnie wyolbrzymiając niektóre momenty, choć sprawa i tak była poważna. Amina jako pierwsza wysłuchała opowieści. As-Sajjid był wtedy straszliwie zmęczony i wyczerpany. Dlatego była ona jedyną osobą, która odebrała całą sprawę w aspekcie wyłącznie tragicznym. Gdy tylko odeszła zostawiając go śpiącego, wybuchnęła płaczem, a potem modliła się długo i gorąco prosząc Boga, aby otoczył jej rodzinę opieką i dał jej łaski. Gdy jednak As-Sajjid Ahmad znalazł się wśród przyjaciół, zwłaszcza tak bliskich jak Ibrahim al-Far, Ali Abd ar-Rahim i Muhammad Iffat, wróciły mu siły psychiczne i trudno już było pominąć aspekt komiczny wypadku, tak że w końcu już tylko on stał się ważny. Sypał żartami, jakby opowiadał jedną ze swoich przygód miłosnych. Goście zgromadzili się na najwyższym piętrze, rodzina zaś na niższym. Tak więc w salonie znowu zasiedli jak dawniej Jasin, Fahmi, Kamal, Chadidża i Aisza, tylko matka, która wraz z Umm Hanafi zajęła się przygotowaniem kawy i napojów, nie mogła im towarzyszyć. W ciągu dnia przyłączyli się do nich Chalil i Ibrahim Szaukatowie, ale obydwaj poszli na górę do pokoju ojca, gdy tylko się przebudził. Rodzeństwo mogło więc czuć się swobodnie. Minął już smutek z powodu wypadku ojca, wrócił im spokój i równowaga ducha. Cieszyli się sobą i całkowicie pograżyli w radosnej wrzawie popołudnia, jak to bywało w dawnych dobrych czasach. Prawdziwie spokojni i szczęśliwi poczuli się jednak dopiero wtedy, kiedy zobaczyli ojca na własne oczy, całego i zdrowego. Podchodzili do niego kolejno i całowali jego rękę, prosząc Boga o zdrowie i długie życie dla niego. Następnie opuścili pokój grzecznie, z zachowaniem wręcz wojskowego porządku. W przypadku Jasina, Fahmiego i Kamala, As-Sajjid ograniczył się do podania ręki każdemu z nich po kolei, natomiast uśmiechnął się do Chadidży i Aiszy oraz zapytał delikatnie o samopoczucie i zdrowie. Zainteresowanie ojca Aiszą i Chadidżą zaczęło się właściwie dopiero po ich ślubie, co Kamal obserwował ze zdziwieniem połączonym z radością, tak jakby chodziło o niego samego. W ogóle wizyta sióstr najbardziej uszczęśliwiła właśnie Kamala. Wszystkie spotkania z nimi w domu czy na As-Sukkarijji sprawiały mu niewypowiedzianą radość, którą mąciła tylko myśl, że tak szybko się kończą. Sygnał zakończenia wizyty zawsze pochodził od jednego z mężczyzn – Ibrahima albo Chalila – który przeciągał się albo ziewał, po czym mówił: „No, pora już iść.” Był to rozkaz, któremu należało się podporządkować, a żadna z sióstr ani razu nie spróbowała zrobić przyjemności młodszemu bratu i odpowiedzieć mężowi: „Idź sam, ja przyjdę jutro.” Z biegiem czasu przyzwyczał się jednak do dziwnych stosunków, jakie łączyły jego siostry z mężami, pogodził się z tym, że mogą sobie pozwolić tylko na krótkie spotkania od czasu do czasu, i cieszył się nimi, nie pragnąc niczego więcej. Mimo to za każdym razem kiedy witał siostry, nie mógł się powstrzymać, żeby nie wypowiedzieć swojego życzenia. „Gdybyście wróciły do domu, to wszystko byłoby tak jak przedtem.” Wówczas matka odpowiadała pośpiesznie: „Bóg je uchroni przed nieszczęściem płynącym z

twoich dobrych życzeń.” Ale najdziwniejsza w życiu małżeńskim sióstr była zmiana, która dokonała się nieoczekiwanie w ich brzuchach... oraz towarzyszące jej objawy, które wydawały się raz przerażające jak choroba, a kiedy indziej zadziwiające jak legendy. Jego umysł wzbogacał się o nowe wyrazy jak ciąża, zachcianki oraz wiążące się z tym wymioty, osłabienie i łkanie grudek wysuszonej ziemi. Co się dzieje z brzuchem Aiszy? Kiedy przestanie rosnać ten, który sprawił, że wygląda ona jak nadmuchany bukłak? A brzuch Chadidży, jak się wydaje, zaczął ulegać takim samym zmianom. I jeśli Aisza, która miała skórę koloru kości słoniowej i złote włosy, opychała się ziemią, to czego zachce się Chadidży? Ale Chadidża nie urzeczywistniła jego pełnych lęku oczekiwań, ponieważ miała ciągle ochotę na rzeczy ostre i kwaśne, co wywoływało jego nie kończące się pytania, na które oczywiście nie otrzymał zadowolających odpowiedzi. Matka mówiła mu, że brzuch Aiszy, a następnie brzuch Chadidży urodzi małe dziecko, które stanie się dla niego oczkiem w głowie. Ale gdzie będzie mieszkać to dziecko, jak będzie żyć, czy będzie słyszeć i widzieć, co będzie słyszeć i widzieć, skąd się wzięło, jak się znalazło w brzuchu? Pytań tych nie lekceważono, ale odpowiedzi, jakie na nie uzyskiwał, mogły raczej poszerzyć jego wiedzę o wybrańcach Allaha, amuletach, talizmanach, ifritach i innych sprawach, których pełna była „encyklopedia” jego matki. Pewnego razu zapytał Aiszę, przyglądając się jej z wielką ciekawością:

– Kiedy wreszcie wyjdzie dziecko?

– Bądź cierpliwy, już niedługo – odpowiedziała ze śmiechem.

– Chyba to dziewiąty miesiąc, prawda? – spytał Jasin.

– Tak, chociaż teściowa upiera się, że jestem w ósmym.

– Bo twoja teściowa zawsze musi mieć inne zdanie – krzyknęła Chadidża. – Tylko o to chodzi.

Ponieważ wszyscy wiedzieli, że między Chadidżą a jej teściową wybuchają raz po raz konflikty, wymienili znaczące spojrzenia i parsknęli śmiechem.

– Proponuję, żebyście przenieśli się do nas, dopóki Anglicy nic opuszczą waszej dzielnicy – powiedziała Aisza.

– Tak. Czemu nie? Dom jest duży i będzie wam całkiem wygodnie. Tatuś i mama będą u Aiszy, ponieważ ona mieszka na środkowym piętrze, a wy będziecie u mnie – poparła ją Chadidża z entuzjazmem.

– A kto powie tacie? – spytał Kamal, który z radością przystał na tę propozycję.

Fahmi wzruszył ramionami.

– Wiecie dobrze, że tata się nie zgodzi – powiedział.

– Szkoda, bo lubi spędzać wieczory poza domem i będzie dobrym celem dla żołnierzy. Cóż to za bandyci! Prowadzili go w ciemności i kazali nosić ziemię. Och! W głowie mi się kręci, kiedy sobie to wyobrażę – powiedziała Chadidża z oburzeniem.

– Kiedy oczekiwałam mojej kolejki, żeby ucałować jego rękę, przypatrywałam mu się dokładnie, sprawdzałam każdą cząstkę jego ciała, żeby upewnić się, że wszystko jest w porządku. Serce mi waliło, powstrzymywałam łzy... Niech Bóg przeklnie tych sukinsynów! – powiedziała Aisza.

Jasin uśmiechnął się, mrugnął do Kamala i rzekł:

- Nie obrażaj tak bardzo Anglików, mają oni wśród nas przyjaciół.
- Ciekawe, czy tato by się ucieszył, gdyby się dowiedział, że żołnierz, który go w nocy aresztował, jest jednym z przyjaciół Kamala – z sarkazmem rzucił Fahmi.
- Nie przestaniesz ich lubić, skoro już wiesz, że to jeden z nich? – spytała Aisza z uśmiechem.
- Gdyby wiedzieli, że jest moim ojcem, nie zrobiliby mu nic złego – wybąkał Kamal. Policzki zaróżowiły mu się, był zmieszany i zawstydzony.
- Jasin nie mógł się powstrzymać, żeby nie roześmiać się głośno. Zakrył usta ręką spoglądając na sufit z obawy, że tam na górze mogli usłyszeć jego śmiech.
- Może powiesz: Gdyby wiedzieli, że jestem Egipcjaninem, nie gnębiliby Egiptu i Egipcjan. Ale oni nie wiedzieli...
- Oj, nie gadaj. Sam należysz do ich przyjaciół, może nie? – wtrąciła się Chadidza, a następnie zwróciła się równie ostro do Kamala:
- Czy po tym, jak wyszła na jaw twoja przyjaźń z nimi, starczy ci odwagi pójść w piątek do meczetu Al-Husajna?
- Jasin zrozumiał aluzję i powiedział udając żal:
- Masz prawo mnie obrażać, od kiedy wyszłaś za męża i zdobyłaś trochę ludzkich praw...
- Czy nie miałam tego prawa przedtem?
- Dawne czasy, to były czasy... Ale małżeństwo ożywia przygnębionych i nieszczęśliwych. Pokłoń się w podzięcie wybrańcom Allaha, amuletom i pigułkom Umm Hanafi.
- Tak, teraz masz prawo atakować ludzi, słusznie czy niesłusznie, bo odziedziczyłeś po nieboszczce fortunę i stałeś się bogaczem – odparła Chadidza tłumiąc śmiech.
- Mój brat bogaczem! Jak miło to słyszeć. Naprawdę jesteś bogaty, panie Jasinie? – spytała Aisza z dziecięcą radością, jakby nie rozumiała, o co tu chodzi.
- Zaraz ci wyliczę, co on posiada. Słuchaj, moja pani: sklep Al-Hamzawiego, ćwierć Al-Ghurijji, dom w Kasr asz-Szauk...
- Niech nas Bóg broni przed ludzką zawiścią – przerwał Jasin. Pokiwał głową i przymknął oczy. Chadidza niezrażona ciągnęła dalej: – A klejnoty i pieniądze, które ukrył...
- Na twoje życie, wszystkie zniknęły, wszystko ukradli – krzyknął Jasin z prawdziwym żalem. – Ukradł je ten sukinsyn. Kajałem ojcu zapytać go, czy zostawiła biżuterię albo pieniądze, a ten złodziej odpowiedział: „A szukajcie sobie sami. Bóg wie, ile na nią wydałem z własnej kieszeni w czasie choroby.” Słuchajcie tylko: „z własnej kieszeni...” Syn praczki!
- O, Boże. Chora kobieta, przykuta do łóżka, na łasce człowieka żadnego tylko jej majątku. Ani przyjaciela, ani nikogo bliskiego. Opuściła świat i nikt się tym nie zmartwił.
- Jak to nikt? – krzyknął Jasin.
- Chadidza wskazała ubranie Jasina wiszące na wieszaku i widoczne przez na wpół otwarte drzwi.
- Chodzi o tę czarną muszkę? To znak żałoby, prawda?
- Ależ naprawdę smutno mi było po jej śmierci. Niech Bóg jej przebaczy i obdarzy miłosierdziem. Przecież pogodziliśmy się w czasie ostatniego spotkania.
- Niech Bóg ma dla niej miłosierdzie i przebaczy jej i nam – dodał Kamal poważnie.

Chadidza spuściła głowę na chwilę, po czym spojrzała na Jasina z góry, podnosząc brwi, jak ktoś patrzący znad okularów, i powiedziała:

– No, no, wielkiego żalu po tobie nie widać, ale mówić to ty umiesz, kaznodziejo.

Jasin rzucił jej pełne złości spojrzenie.

– Dzięki Bogu spełniłem wszystkie obowiązki wobec niej. Urządziłem stypę, która trwała trzy noce, a w każdy piątek chodzę na cmentarz i zanoszę bazylię i owoce. Chcesz, żebym bił się po twarzy, jęczał i sypał sobie ziemię na głowę? Mężczyźni przeżywają smutek inaczej niż kobiety.

Pokręciła głową, jakby chciała powiedzieć: „Dałeś mi lekcję, niech ci się Bóg odwdzięczy”, po czym dodała wzdychając:

– Ach, ten męski smutek! Ale powiedz mi, jeśli moje życie dla ciebie coś znaczy, czy sklep, ćwierć Al-Ghurijji i dom nie przynoszą ulgi w tej męce?

– Prawdziwe jest powiedzenie: szpetny język w szpetnej twarzy.

– A kto tak mówi?

– Twoja teściowa – odparł z uśmiechem.

Aisza i Fahmi roześmieli się.

– Czy wasze stosunki nie poprawiły się? – spytał Fahmi.

Zamiast Chadidzy odpowiedziała Aisza:

– Prędzej poprawią się stosunki angielsko-egipskie.

– To twarda baba, niech Bóg ją osądzi. Na Boga, to ja tym razem jestem pokrzywdzona – powiedziała Chadidza ze złością.

– Wierzmy ci, siostrze, możesz nie przysięgać. Zaświadczymy to przed Bogiem na Sądzie Ostatecznym – odparł Jasin.

– A tobie jak się z nią układa? – spytał Fahmi Aiszę.

– Mnie, bardzo dobrze.

– Ach, twoja siostra Aisza to polityk! Wie, kiedy spuścić główkę – zawołała Chadidza.

– W każdym razie... Niech Bóg będzie miłosierny dla twojej teściowej, a dla ciebie szczere gratulacje – powiedział Jasin ze sztuczną powagą.

– Prawdziwe gratulacje będą się należały niedługo tobie, gdy, jeśli pozwoli Bóg, znowu się ożenisz, prawda? – odrzekła Chadidza ironicznie.

– Oby cię Bóg wysłuchał.

– Naprawdę? – spytała Aisza z zainteresowaniem.

Pomyślał chwilę, a następnie odezwał się poważnie:

– Dobry muzułmanin nie powtarza dwa razy tego samego błędu. Ale, kto wie, co przyniesie jutro. Może będzie druga, trzecia i czwarta...

– Tego właśnie się spodziewam. Oby Bóg był miłosierny dla twego dziadka, który miał tyle żon... – krzyknęła Chadidza.

Wszyscy się roześmieli, nawet Kamal.

– Biedna Zajnab, była miłą i dobrą dziewczyną – powiedziała Aisza z zalem.

– Była! Była też głupia... Jej ojciec, tak jak mój, jest okropny. Gdyby się zgodziła na takie życie ze mną, jakiego chcę, nigdy bym się z nią nie rozwiódł.

– Nie przyznawaj się do tego, zachowaj swoją dumę, bo Chadidza ci nie daruje.

– Poniosła karę, na jaką zasłużyła. Niech ją ojciec zatrzyma dla siebie – powiedział z pogardą.

– Ale ona jest w ciąży, człowieku! Czy chcesz, żeby twój syn rósł bez twojej opieki, dopóki nie stanie się dużym chłopcem?

Ach, zadała śmiertelny cios... Będzie rósł w ramionach matki, tak jak przedtem jego ojciec. Może będzie tak samo nieszczęśliwy albo jeszcze bardziej? Może zacznie nienawidzić matki lub ojca? W każdym razie na pewno będzie nieszczęśliwy.

– Podzieli los ojca. Nic na to nie można poradzić – odparł ponuro.

Zapanowało krótkie milczenie, które przerwał Kamal zwracając się do Chadidży:

– A u ciebie siostrzyczko, kiedy wyjdzie dziecko?

– To dopiero początek – powiedziała ze śmiechem dotykając brzucha.

Kamal ciągnął dalej niewinnie, wpatrując się w jej twarz:

– Bardzo schudłaś i twarz ci zbrzydła.

Wszyscy się roześmieli, zakrywając usta rękami. Śmieli się tak długo, aż Kamal poczuł się zawstydzony i zmieszany. Natomiast Chadidża, która niezdolna była oburzać się na Kamala, zdecydowała się podtrzymać rozmowę i powiedziała ze śmiechem:

– Przyznaję, że w ciąży straciłam całe ciało, nad którym przez lata męczyła się Umm Hanafi starając się, żeby było jak najpełniejsze. Schudłam, nos mi sterczy, a oczy się zapadły. Myślę, że mój mąż na próżno rozgląda się szukając panny młodej, którą mu kiedyś przyprowadzili.

Znów wszyscy się roześmieli, a Jasin powiedział:

– Rzeczywiście, to niesprawiedliwe, bo twój mąż, przy swojej oczywistej głupocie, jest przystojny. Niech będzie pochwalony Najwyższy, który połączył dwa bieguny.

Chadidża puściła mimo uszu tę uwagę i odezwała się do Fahmiego, wskazując Aiszę:

– Oni obydwaj, mój mąż i jej, są jednakowo głupi. Prawie nie wychodzą z domu, dzień i noc. Nie mają żadnych zainteresowań, nie pracują. Jej mąż cały czas spędza paląc i grając na lutni, jak taki żebrak, który chodzi po domach w czasie świąt. Natomiast mojego można zobaczyć tylko, jak leży paląc i gadając, aż kręci mi się w głowie.

– Arystokraci nie pracują – rzekła Aisza usprawiedliwiając ich.

– Przepraszam. Właściwie nie dziwię się, że ich bronisz. Chyba rzeczywiście jeszcze Bóg nie zetknął ze sobą dwóch istot tak do siebie podobnych jak ty i twój mąż. Jesteście tak samo wygodni i leniwi, tylko byście się wylegiwali. Na Proroka, panie Fahmi, może minąć cały dzień, a on tylko pali i gra, a ona stroi się przed lustrem.

– Dlaczegożby nie, skoro widzi piękny widok? – powiedział Jasin.

Zanim otworzyła usta, żeby mu odpowiedzieć, dorzucił:

– Powiedz mi, siostrzo, co zrobisz, jeśli urodzi ci się syn podobny do ciebie?

Chadidża miała już dosyć ataków Jasina i odpowiedziała poważnie:

– Urodzi się, jeśli Bóg pozwoli, podobny do swojego ojca lub dziadka, babki lub ciotki... Ale jeśli zechciałby być podobny do swojej matki, to zasłuży na wygnanie bardziej niż sam Sa'd Pasza – roześmiała się.

– Anglicy nie troszczą się o urodę – odezwał się Kamal tonem znawcy. – Im bardzo się podoba mój nos i moja głowa.

– Udają, że są twoimi przyjaciółmi, a bawią się tobą. Oby nasz Pan znów zesłał na nich zeppelin – krzyknęła Chadidża uderzając pięścią w pierś.

Aisza posłała Fahmiemu czułe spojrzenie i powiedziała:

– Niektórych ludzi cieszą te pobożne życzenia.

– Jak mnie mogą cieszyć – odparł Fahmi – kiedy mają w naszym domu głupich przyjaciół?

– Szkoda, a tak zajmowałaś się jego wychowaniem.

– Są ludzie, których wychować nie można.

– Czyż nie prosiłem Juliana, żeby oddali Sa'da Paszę? – zaprotestował Kamal.

– Niech następnym razem przysięgnie na twoją głowę, która mu się tak podoba – roześmiała się Chadidża.

Fahmi czuł, że chcą go rozbawić, chcą, żeby się rozerwał, ale nie mógł nic poradzić na to, że czuł się w rodzinie obcy i samotny. Nie dzielali jego smutku ani entuzjazmu, potrafili w razie potrzeby zrobić zabawę nawet z zesłania Sa'da. Popatrzył ukradkiem na każdego z nich z osobna i stwierdził, że są zadowoleni. Aisza kwitnie, nawet jeżeli zmęczyła ją trochę ciąża, jest szczęśliwa pod każdym względem, nawet z powodu tego zmęczenia. Chadidża pełna życia i roześmiana. Jasin tryska zdrowiem, wigorem i radością. Kto spośród nich troszczy się o wydarzenia dnia bieżącego? Kogo obchodzi, czy Sa'd jest w Kairze, czy został zesłany, czy Anglicy wynieśli się z Egiptu, czy pozostali! Czuje się wyobcowany we własnej rodzinie. Zwykle gdy nachodziły go takie myśli, starał się być wyrozumiały, ale tym razem odczuwał tylko złość i oburzenie. Być może przyczyną były cierpienia ostatnich dni. Od dawna oczekiwał wiadomości o małżeństwie Mariam. Spodziewał się jej każdego dnia i było to jego główne zmartwienie. Nawet się do niego przyzwyczaił, a ostatnie wydarzenia odsunęły je na plan dalszy. Do chwili historii z Julianem. To był dla niego szok. Kokietowała Anglika, za którego nie miała zamiaru wyjść za mąż! Co to miało znaczyć? Tak zachowuje się tylko ladacznica. Mariam ladacznicą? Kto więc był przedmiotem jego marzeń w przeszłości? Gdy tylko znajdował się z Kamalem na osobności, prosił go, aby opowiadał mu o Mariam w najdrobniejszych szczegółach. Kiedy ją zauważył, gdzie znajdował się żołnierz, a gdzie on sam, czy jest pewien, że to naprawdę była Mariam i że patrzyła na żołnierza, czy widział, że się do niego uśmiechała... Czy, czy, czy... Następnie zapytywał zaciskając zęby, jakby chciał zmiażdżyć swoje cierpienie: „Czy cofnęła się ze strachem, gdy cię zauważyła?” I wyobrażał sobie poszczególne sytuacje, jej uśmiech, jej wąskie wargi, tak jak je widział na weselu Aiszy na podwórzu domu Szaukatów.

– Chyba mama już się dziś do nas nie przyłączy – powiedziała Aisza z żalem.

– Tak, w domu jest pełno gości – powiedziała Chadidża.

– Ciekawe, czy tyle gości nie obudzi podejrzeń żołnierzy, że u nas odbywa się jakieś zebranie polityczne – zażartował Jasin.

– Przyjaciele taty są jak kryształ, nie budzą podejrzeń – powiedziała godnie Chadidża.

– Widziałam samego As-Sajjida Muhammada Iffata – rzekła Aisza.

– Był serdecznym przyjacielem ojca, zanim jeszcze my wszyscy ujrzeliśmy światło dzienne.

– Ojciec oskarżył mnie niesłusznie, że zniszczyłem ich przyjaźń – powiedział Jasin kiwając głową.

– Czyż rozwód nie rozdziela najlepszych przyjaciół?

– Tylko nie przyjaciół twojego ojca.

– Kto by sobie pozwolił na to, żeby poróżnić się z tatusiem? Na Boga, na całym świecie nikt nie może się z nim równać – powiedziała z dumą Aisza. – Myślałam, że osiwieję, kiedy wyobraziłam sobie to, co mu się wczoraj przydarzyło.

Chadidzę zniecierpliwiło przygnębienie Fahmiego i postanowiła wyleczyć go z tego w sposób brutalny, jako że wszystkie inne metody okazały się bezskuteczne.

– Nie uważasz, bracie, że nasz Pan okazał ci wielką łaskę nie dopuszczając do realizacji twoich zamiarów wobec Mariam?

Fahmi spojrzał na nią trochę zdumiony i zawstydzony. Wszystkie oczy zwróciły się na brata, nawet Kamal spojrzał na niego zaintrygowany. Zapanowało głębokie milczenie. Czuli się nieswojo, Chadidza odważnie wyjawiała uczucia, które ukrywali lub których sobie nie uświadamiali. Patrzyli na chłopca, który czekał na odpowiedź, jakby to on sam zadał to pytanie. Jednakże Kamal uznał za stosowne przerwać ciszę, zanim stanie się kłopotliwa i bolesna.

– Bo twój brat jest wybrańcem Allaha, a Bóg kocha swoich wybrańców – powiedział żywo.

Fahmi czuł się ciągle skrępowany i zawstydzony.

– To stara sprawa, już zapomniana – odparł krótko.

– Nie tylko Si Fahmi dał się oszukać, wszystkich nas oszukała – usprawiedliwiała brata Aisza.

Ale Chadidza gwałtownie zaprotestowała, nie chcąc być posądzoną o naiwność:

– W każdym razie ja już od dawna, choć nie wątpiłam w jej niewinność, nawet przez moment nie byłam przekonana, że jest go warta.

– To stara sprawa, już zapomniana. Wszystko jedno Anglik czy Egipcjanin. Nie zajmujmy się tym – powtórzył Fahmi.

Jasin stwierdził w duchu, że bardzo go zainteresowała „sprawa” Mariam. Mariam? Dawniej spoglądał na nią tylko przelotnie, jeśli akurat mu się nawinęła. Potem, gdy Fahmi zakochał się w dziewczynie, jeszcze bardziej trzymał się z daleka. Aż rozeszła się w rodzinie wieść o skandalu. To go podnieciło. Zastanawiał się długo, co to za dziewczyna. Pragnął nasycić nią wzrok, zgłębić jej psychikę. Co to za dziewczyna, że wzbudziła pożądanie Anglika? Anglik przybył do tej dzielnicy, żeby walczyć, a nie uwodzić dziewczyny. Nie miał do niej żadnej pretensji ani nie czuł złości. Wyrażał je jedynie w rozmowach z rodziną. Natomiast obecność tak blisko, tuż za ścianą, bohaterki skandalu napawała go najwyższą radością. W jego szerokiej, dorodnej piersi rodził się zwierzęcy zew do polowania. Jednakże z szacunku dla Fahmiego, którego kochał, dla jego smutnej twarzy, ograniczył się do uczucia pasywnej i abstrakcyjnej rozkoszy. Nikt w dzielnicy nie był według niego godniejszy zainteresowania niż Mariam.

– Pora już iść – powiedziała Chadidza wstając.

W tej samej chwili od strony zewnętrznego korytarza doleciały ich głosy Ibrahima d Chalila. Wszyscy wstali, ktoś się przeciągnął, ktoś poprawił ubranie. Tylko Kamal nie drgnął, wpatrując się w drzwi salonu z bijącym ze smutku sercem.



As-Sajjid Ahmad siedział przy biurku przeglądając rachunki. Kończył codzienną pracę, która sprawiała, że zapominał, choćby na krótko, o swoich osobistych troskach jak i troskach ogółu, coraz liczniejszych w miarę napływania informacji o krwawych wydarzeniach. Niedługo będzie wolał swój sklep niż towarzyskie spotkania i rozrywki, chociaż te ostatnie też wrywały go z piekła rozmyślań. Ale atmosfera sklepu, kupno, sprzedaż, targi, zyski i tym podobne rzeczy należące do zwyczajnego, codziennego życia, dawała mu poczucie bezpieczeństwa i swojego rodzaju pewność, że wszystko jeszcze może powrócić do normy, a on sam do poprzedniej stabilizacji i spokoju. Spokój? Gdzież on się podział? Kiedy będzie mu wolno powrócić? Nawet w tym sklepie z bólem szepcze się o krwawych wypadkach. Klientom już nie wystarcza targować się i kupować, powtarzają wiadomości, rozpaczają nad sytuacją. Wśród worków z kawą i ryżem słuchał As-Sajjid o walce w Bulaku, rzezi w Asjucie i o dziesiątkach pogrzebów. Słuchał też o młodym człowieku, który zabrał wrogom karabin maszynowy i chciał go wciągnąć na Al-Azhar, ale śmierć była szybsza i w ciele chłopca utkwily dziesiątki pocisków. Te i inne krwawe wiadomości ciągle wpadały mu w ucho tam, gdzie szukał zapomnienia. Co to za życie w cieniu śmierci! Oby tylko rewolucja pośpieszyła się z realizacją swoich celów, zanim zada ból jemu lub komuś z jego bliskich. Nie skąpi pieniędzy ani uczuć, ale poświęcenie życia to inna sprawa. Ileż cierpień Bóg zgotował swoim sługom! Życie ludzkie stało się nic nie warte, popłynęła krew! Rewolucja nie jest już budzącą wzniosłe uczucia zabawą, zagraża jego bezpieczeństwu ze wszystkich stron. Grozi też „buntownikowi” Fahmiemu. As-Sajjida opuścił entuzjazm. Marzy o niepodległości i powrocie Sa'da, ale bez rewolucji i rozlewu krwi. Krzyczy z tymi, którzy krzyczą, i entuzjazmuje się z tymi, którzy wpadają w entuzjazm, ale jego umysł opiera się temu prądowi, trzyma się życia. Będzie się trzymał życia jak pień drzewa, któremu burza powyrywała gałęzie. Nic go nie pokona, jeśli zachowa umiłowanie życia. Niech ono pozostanie z nim do końca. Niech Fahmi ma swoje przekonania, ale niech będzie bezpieczny. Ten nieposłuszny Fahmi rzucił się w nurt rewolucji bez pasa bezpieczeństwa.

– Czy jest As-Sajjid Ahmad?

As-Sajjid usłyszał głos i jednocześnie wyczuł, że z ogromnym impetem ktoś wpadł do sklepu, jak wystrzelony z działa pocisk. Podniósł głowę i zobaczył szajcha Mutawallego Abd as-Samada, który stał na środku sklepu mrugając czerwonymi, ciągle dotkniętymi infekcją powiekami, na próżno usiłującego dojrzeć biurko As-Sajjida. Serce mu zabiło radością, twarz rozplynęła się w uśmiechu.

– Proszę bardzo, szajchu Al-Mutawalli, wraz z tobą weszło błogosławieństwo – krzyknął.

Twarz szajcha przybrała wyraz spokoju i powagi. Podeszedł do biurka kołyszając górną połową ciała do przodu i do tyłu, jakby jechał na wielbłądzie. As-Sajjid wyciągnął rękę i uściśnął dłoń szajcha mrużąc: „krzesło stoi na prawo, bardzo proszę, usiądź.” Szajch

Mutawalli oparł swoją łaskę o biurko, usiadł na krześle, a następnie położył ręce na kolanach i powiedział:

– Niech Bóg cię strzeże i chroni.

– O, jakże skuteczne są twoje modlitwy i jak bardzo ich potrzebuję – powiedział As-Sajjid gorąco. – Nie zapomnij przygotować pakunku dla naszego pana szajcha – krzyknął do Al-Hamzawiego, który ważył ryż dla klienta.

– Jakżebym mógł zapomnieć o naszym panu szajchu – odparł Al-Hamzawi.

Szajch rozpostarł dłonie i podniósł głowę. Niemal bezgłośnie poruszał ustami w żarliwej modlitwie. Potem wrócił do swojej poprzedniej pozycji i zamilkł.

– Zaczynam modlitwą za Proroka, światło drogi prawdy – powiedział po chwili.

– Jemu należy się najczystsza modlitwa i pokój – odpowiedział As-Sajjid gorąco.

– A teraz pomodłę się o miłosierdzie dla twojego świętej pamięci ojca.

– Miłosierdzie Boże jest wielkie.

– Następnie będę prosić Boga, aby radował twe oczy rodziną i potomstwem, potomstwem twojego potomstwa oraz potomstwem tego potomstwa.

– Amen.

– Poproszę też Boga, aby oddał nam naszych efendi: Abbasa, Muhammada Farida i Sa'da Zaghlula.

– Boże wysłuchaj.

– I aby zniszczył Anglików za ich grzechy, które popełnili i popełnią.

– Chwała potężnemu Bogu, który nas pomści.

Szajch odkaszlnął, przesunął dłonią po twarzy i rzekł:

– A teraz przystąpmy do rzeczy. Widziałem cię we śnie wymachującego rękami i jak tylko otworzyłem oczy, postanowiłem cię odwiedzić.

As-Sajjid uśmiechnął się smutno.

– Nie dziwię się temu, ponieważ odczuwam palącą potrzebę twojego błogosławieństwa. Oby Bóg zawsze ci błogosławił.

Szajch zbliżył zatroskaną twarz do twarzy As-Sajjida i zapytał:

– Czy to prawda, co mi doniesiono na temat wydarzenia przy Bab al-Futuh?

– Tak... Ciekawe, kto ci o tym powiedział?

– Przechodziłem koło wyciskami oliwy Hamidu Ghanima, który zatrzymał mnie i zapytał: „Słyszałeś, co się dostało od Anglików twojemu drogiemu As-Sajjidowi Ahmadowi i mnie?” Zaniepokojony poprosiłem o wyjaśnienie i wówczas opowiedział mi przedziwne rzeczy.

As-Sajjid zrelacjonował mu wydarzenie szczegółowo. W ostatnich kilku dniach opowiadał je prawdopodobnie dziesiątki razy, ale wcale mu się nie znudziło. Szajch słuchał szepcząc „Werset Tronu”.

– Czy przeraziłeś się synu? Powiedz, jak wielkie było twoje przerażenie? – pytał. – Tylko w Bogu jest moc i siła. Ale czy powinienesz zadowolić się tym, że ci się nic nie stało? Wiesz przecież, że strach nie mija bez śladu, sam z siebie. Czy modliłeś się długo i prosiłeś Boga o ratunek? Jeśli tak, to bardzo dobrze, musisz jednak mieć amulet.

– Dlaczego nie? Przysporzy nam błogosławieństwa, szajchu Mutawalli, także dzieciom i ich matce. Oni również przeżyli godziny strachu.

– Oczywiście. Słabe serca nie mogą sobie poradzić z okrucieństwem i terrorem. Amulet... Amulet... On przywraca zdrowie.

– Jesteś samym dobrem i błogosławieństwem, szajchu Mutawalli. Bóg mnie uratował od wielkiego zła, ale nadal istnieje coś, co mi spędza sen z powiek.

Szajch ponownie przybliżył swą twarz do twarzy As-Sajjida i zatroskany spytał:

– Co się z tobą dzieje, mój synu? Niech Bóg będzie dla ciebie miłosierny.

As-Sajjid spojrział na niego zboliałym wzrokiem.

– Mój syn, Fahmi – szepnął.

Zaniepokojony szajch podniósł pytająco swe siwe brwi.

– Nic mu się nie stało, jeśli Bóg pozwoli.

As-Sajjid z bólem pokręcił głową.

– Jest mi po raz pierwszy nieposłuszny i nie mam na to rady. Sprawa jest w ręku Boga.

Szajch wyciągnął ręce przed siebie, jakby bronił się przed nieszczęściem, i zawołał:

– Niech Bóg uchroni... Fahmi, mój syn! Jestem głęboko przekonany, że to z natury dobry chłopak.

– Ale szanowny pan chce robić to, co robią młodzi ludzie w tych krwawych dniach – powiedział As-Sajjid Ahmad rozdrażniony.

– Jak to, ty taki stanowczy i surowy pozwalasz, żeby syn był ci nieposłuszny? Nie mogę sobie tego wyobrazić.

Słowa te ukłuły As-Sajjida w samo serce. Ze złości krew uderzyła mu do głowy. Poczuł, że musi trochę pomniejszyć bunt syna, bo nie zniesie oskarżenia o słabość.

– Prawdę mówiąc nie odważyłby się na jawny bunt, ale gdy mu kazałem przysięgnąć na Koran, że nie weźmie udziału w żadnej akcji rewolucyjnej, płakał. Nie mogę go uwięzić w domu ani też nie jestem w stanie obserwować go w szkole. Boję się, że nurt wydarzeń tych dni jest tale silny, że wciągnie chłopaka takiego jak on. Co mam zrobić?

Zagrozić mu biciem? Sprawić lanie? Jaki z tego pożytek dla kogoś, kto ma życie w pogardzie?

– Czy brał udział w demonstracjach?

– Ależ nie. On roznosi ulotki. Skrzyczałem go za to, ale zarzekał się, że roznosi je tylko w kręgu najbliższych przyjaciół.

– Cóż on może mieć wspólnego z taką działalnością! Taki łagodny, skromny człowiek, syn człowieka skromnego i łagodnego. Do tego nadają się inni ludzie. Wszystkim wiadomo, że Anglicy to potwory, ich okrutne, bezwzględne serca nie znają miłosierdzia. Poją się krwią nieszczęsnych Egipcjan. Przemów do niego łagodnie, poucz go. Pokaż mu, jak odróżnić światło od mroku. Powiedz, że go kochasz i boisz się o niego. Ja ze swojej strony przygotuję specjalny amulet. Będę się za niego modlił, zwłaszcza o świcie. Bóg zawsze przychodzi z pomocą.

– Wiadomości o zabitych nadchodzą bez przerwy – powiedział As-Sajjid – ze smutkiem. – Dla ludzi myślących jest to przestroga. Co go opętało? Syn mleczarza Al-Fulego zginął, nim zdążył mrugnąć okiem. Fahmi wraz ze mną brał udział w stypie i składał kondolencje nieszczęsnemu ojcu. Chłopak rozwoził zsiadłe mleko w miskach i po drodze spotkał demonstrantów. Coś go podkusiło, żeby się do nich przyłączyć. Nie minęła nawet godzina,

jak padł martwy na dziedzińcu Al-Azharu. Tylko w Bogu jest moc i siła. Od Boga pochodzimy i do Niego wrócimy. Kiedy zrobiło się późno, a chłopak nie wracał do domu, ojciec zaniepokoił się i poszedł spytać klientów. U niektórych już był ze zsiadłym mlekiem, do innych w ogóle nie przyszedł. W ten sposób ojciec dotarł do Hamrusza, sprzedawcy kunafy, gdzie znalazł tacę i miski, których chłopak nie rozwiózł. Hamrusz powiedział mu, że chłopiec zostawił je u niego, a sam przyłączył się do wieczornej demonstracji. Nieszczęsny ojciec, oszalały z niepokoju, natychmiast pobiegł na komisariat w Al-Dżamalijji, skąd skierowano go do szpitala Kasr al-Ajni, gdzie znalazł syna w kostnicy. Al-Fuli opowiedział tę historię Fahmiemu, kiedy ten składał mu kondolencje. Widział rozpacz ojca, słyszał zawodzenia i jęki rodziny. Nieszczęśliwy chłopak zginął, a nic się nie zmieniło, ani Sa'd nie wrócił, ani Anglicy nie opuścili Egiptu. Żeby Fahmi był tępy, głupi, ale to najlepszy z moich synów, Bogu dzięki i chwała.

– Znałem tego biednego chłopca. To najstarszy syn mleczarza Al-Fulego, prawda? – odezwał się szajch smutno. – Jego dziadek wypożyczał osły. Brałem od niego osła, kiedy jeździłem do grobowca Si di Abu as-Su'uda. Al-Fuli ma czworo dzieci, ale najbardziej kochał zmarłego syna.

Po raz pierwszy włączył się do rozmowy Dżamil al-Hamzawi:

– W tych zwariowanych dniach nawet dzieci tracą rozum. Wczoraj mój syn Fuad powiedział do matki, że chciałby wziąć udział w demonstracji.

– Dzieci warzą piwo, a dorośli muszą je pić – powiedział As-Sajjid.

– Twój syn Fuad jest przyjacielem mojego Kamala, obaj chodzą do jednej szkoły. Zdaje się, że sam ich kiedyś namawiałeś, żeby poszli na demonstrację, to czemu się teraz dziwisz?

Al-Hamzawi pożałował, że się wtrącił, i rzekł zmieszany:

– Dałem mu dobrą nauczkę za te dziecinne zachcianki, niech pan będzie spokojny, As-Sajjidzie. A pan Kamal wychodzi tylko w towarzystwie Umm Hanafi. Niech go Bóg zachowa i chroni.

Zapanowało milczenie, a w sklepie słychać było tylko szelest papieru, w który Al-Hamzawi owijał prezent dla szajcha Al-Mutawallego Abd as-Samada.

– Fahmi to rozumny chłopak – odezwał się szajch. – Nie powinien dać się złapać Anglikom. Anglicy! Niech Bóg nas chroni przed nimi. Słyszałeś, co zrobili w Al-Azizijji i Al-Badraszin?

As-Sajjid był w stanie takiego wzburzenia, że wcale nie miał ochoty pytać. Czego mógł się jeszcze spodziewać ponad to, co słyszał w ostatnich dniach? Podniósł tylko brwi udając zainteresowanie. Szajch zaczął opowiadać:

– Przedwczoraj byłem z wizytą u szlachetnego Szaddada Beka Abd al-Hamida w jego pałacu Al-Amira w Al-Abbasijji. Zaprosił mnie na obiad i kolację, jako że sporządziłem amulety dla niego i całej rodziny. Opowiedział mi o wydarzeniach w Al-Azizijji i Al-Badraszin.

– Chodzi o tego znanego kupca bawełny? – spytał As-Sajjid.

– Szaddad Bek jest największym kupcem bawełny. Być może znałeś jego syna Abd al-Hamida Szaddada Beka. Był kiedyś w bliskich stosunkach z As-Sajjidem Muhammadem Iffatem.

– Tak, przypominam sobie, że widziałem go raz u As-Sajjida Muhammada Iffata jeszcze przed wojną. Potem słyszałem, że został wygnany zaraz po „naszym Efendi”. Czy wiesz coś nowego o nim?

– Nadal jest na wygnaniu, przebywa we Francji z żoną i dziećmi – odparł szajch i dodał jakby od niechcenia – Szaddad Bek obawia się, że umrze i nie zobaczy już swego syna na tym świecie. – Chwilę milczał, po czym zaczął poruszać głową w prawo i lewo i mówić śpiewnym głosem, jakby intonował *tauszi*h na cześć Proroka:

– Dwie czy trzy godziny po północy, gdy ludzie już spali, obie wioski otoczyło kilkuset brytyjskich żołnierzy uzbrojonych po zęby.

As-Sajjid odczuł całe okrucieństwo słów szajcha. Otoczyli wioski, gdy ludzie spali! Przecież to są tacy sami żołnierze jak ci, którzy obozują pod jego domem! Jak na razie zaczęli od tego, że na niego napadli, ale co jeszcze knują?

Szajch uderzył się dłońmi po kolanach, jakby zmieniał rytm swej pieśni i kontynuował:

– Wtargnęli do domów dwóch sołtysów i kazali im oddać broń. Potem przedarli się do żeńskiej części domu, ograbili kobiety z biżuterii, znieważyli je i wyciągnęli za włosy na dwór. Kobiety wzywały pomocy, zawodziły, ale nikt się nie pojawił. Zmiłuj się, Boże, nad swoimi słabymi sługami.

„Domy dwóch sołtysów! Sołtys jest osobą urzędową, prawda? Ja nie jestem sołtysiem ani mój dom nie może się równać z domem sołtysa. Jestem zwykłym człowiekiem, jak wszyscy. Cóż więc mogą zrobić z takimi jak my?...” Wyobraził sobie Aminę ciągniętą za włosy.....Czy sążone mi jest oszaleć? Mam skończyć jako szaleniec?”

Szajch kontynuował potrząsając lekko głową:

– Zmusili sołtysów, żeby wskazali im domy szajchów i możliwych obydwo wioski. Włamali się do tych domów grabiąc wszystko, co cenne. Napadali na kobiety jak bandyci, a te, które próbowały się bronić, zabijali. Bili mężczyzn z całym okrucieństwem. Nie zostawili nic wartościowego. Wszystko zrabowali, kobiety zbezczeszcili, nikogo i nic nie uszanowali.

„Cenne rzeczy niech diabli wezmą... Nikogo i nic oie uszanowali... Gdzie jest miłosierdzie Boże? Gdzie Jego pomsta? Potop... Noe... Mustafa Kamil. Możesz sobie to wszystko wyobrazić? Jak ci ludzie mogli żyć potem jako mąż i żona pod jednym dachem? Co zawiniła taka kobieta?”

Szajch trzykrotnie uderzył się po kolanach, głos mu drżał i przeszedł w szloch:

– Potem podłożyli ogień pod obydwie wioski. Drewniane domy i dachy ze słomy podlali benzyną. Mieszkańcy wioski obudzili się przerażeni i jak szaleni wybiegli z domów. Podniósł się krzyk, rozległy jęki, a języki ognia sięgały po wszystko, aż obie wioski zamieniły się w płonące pochodnie.

– O, Panie na wysokościach i na ziemi! – wyrwało się As-Sajjidowi.

– Żołnierze otoczyli płonące wioski pierścieniem, obserwując z daleka nieszczęsną ludność, która uciekała na oślep byle dalej od ognia. Za ludźmi pędziły owce, psy i koty. Gdy wpadli na żołnierzy, na mężczyzn posypały się ciosy i kopniaki. Natomiast kobiety grabiono z klejnotów i gwałcono. Każdą, która się opierała, zabijano. Strzelano do każdego mężczyzny, który stanął w obronie córki, żony czy siostry. Tych, którzy się uratowali, zaprowadzono do pobliskiego obozu i tam zmuszono do podpisania pisma, w którym przyznali się do nie

popęlnionych przestępstw i stwierdzili, że to, co spotkało ich ze strony Anglików, jest karą za ich zbrodnie. To właśnie zdarzyło się, As-Sajjidzie Ahmadzie, w Al-Azizijji i Al-Badraszin. Jest to przykład bezlitosnej kary, która na nas spada. Bóg mi świadkiem...

Zapanowało przygnębiające, bolesne milczenie. Każdy rozmyślał i wyobrażał sobie straszne wydarzenia.

– Nasz Pan istnieje! – krzyknął Dżamil al-Hamzawi.

– Tak – potwierdził As-Sajjid wskazując cztery strony świata – jest wszędzie.

– Powiedz Fahmiemu – odezwał się szajch – że szajch Mutawalli radzi mu trzymać się z daleka od źródeł zguby. Powiedz mu, niech odda się w opiekę Bogu, swemu Panu, bo tylko On jest w mocy zniszczyć Anglików, tak jak przedtem doprowadził do zguby wszystkich, którzy się przeciw niemu buntowali.

Schylił się po łaskę szykując się do wyjścia, a As-Sajjid skinął na Dżamila al-Hanizawiego, aby przyniósł mu podarek i pomógł wstać.

Szajch podał rękę obydwu mężczyznom i odszedł ze słowami: „Bizantyjczycy zostali zwyciężeni w najbliższym kraju; lecz oni, po swojej klęsce, będą zwycięzcami.”<sup>31</sup> Tak rzekł Bóg Najwyższy.

W półmroku, gdy światło poranka rodziło się powoli z ciemności świtu, do domu As-Sajjida zapukała służąca z As-Sukkarijji i powiadomiła Aminę, że Aisza dostała bóli porodowych. Amina była właśnie w kuchni, ale zostawiła pracę Umm Hanafi i pośpieszyła na górę. Umm Hanafi być może po raz pierwszy od początku swojej długiej służby w tym domu była niezadowolona. Czyż nie miała prawa być świadkiem porodu Aiszy? Miała, takie samo, jak Amina. Aisza otworzyła oczy na jej łonie. Wszyscy synowie w tym domu mieli dwie matki: Aminę i Umm Hanafi. Czemu rozdzielają ją z jej córką w tej strasznej godzinie? A pamiętasz swój poród? I dom w At-Tambukszijji? Mąż był jak zwykle poza domem. Była sama, kiedy zaczęła rodzić po północy, a przyjaciółkę i akuszerkę zarazem znalazła w Umm Husnijji. Ciekawe, gdzie jest teraz Umm Husnijja? Czy jeszcze żyje? Potem wśród jęków bólu przyszedł na świat Hanafi i odszedł również wśród jęków bólu, będąc jeszcze dzieckiem w kołysce. Gdyby żył, miałby teraz dwadzieścia lat. Moja mała pani męczy się, a ja przygotowuję śniadanie!

Serce Aminy było pełne radości i współczucia. Tak czuła w dniu, kiedy sama tego doświadczyła. A teraz Aisza przygotowuje się do przyjęcia swojego pierwszego dziecka, które zapoczątkuje jej macierzyństwo. A jej macierzyństwo rozpoczęła Chadidza. I tak życie biegnie... Poszła do As-Sajjida i delikatnie przedstawiła mu radosną wiadomość. Trochę przesadnie okazywała zażenowanie i grzeczność, ponieważ chciała, żeby z brzmienia jej głosu domyślił się, jak bardzo pragnie udać się do córki. As-Sajjid przyjął wiadomość spokojnie i kazał jej niezwłocznie iść. Szybko poszła się ubrać; myślała, że przywileje, jakie zyskuje tak słaba kobieta jak ona, rodząc dzieci, czynią cuda.

Bracia usłyszeli nowinę, kiedy tylko się obudzili, a matki już nie było. Z uśmiechem na twarzach wymienili niedowierzające spojrzenia. Aisza matką! Czy to nie dziwne? Ale właściwie cóż w tym dziwnego? Mama była młodsza od niej, kiedy urodziła Chadidzę. Czy

---

<sup>31</sup> Koran, sura XXX, Bizantyjczycy, w. 2.

mama poszła wyjąć dziecko własnymi rękami? Uśmiechy na twarzach starszych braci. To sygnał dla mnie; niedługo ta suka też urodzi. Kogo masz na myśli? Zajnab. Ach, gdyby ojciec to słyszał! Aisza matką, ja – ojcem, a także wujem i stryjem. Ty też będziesz wujem i stryjem, panie Kamalu. Muszę dzisiaj opuścić szkołę, żeby iść do siostry. Wspaniale! Gdybym potrafił, poprosiłbym tatę o pozwolenie. Och! Potrzeba nam dużo nowych dzieci, żeby pokryć straty, jakie zadali nam Anglicy. Nic by się nie stało, gdybym opuścił szkołę. Trzy czwarte uczniów strajkuje od ponad miesiąca. Powiedz tacie, na pewno uzna twój argument, oberwiesz w gębę talerzem fulu. Och, nowe dziecko! Za godzinę lub dwie tatuś zostanie dziadkiem, mama – babcia, a my – wujami! To poważna sprawa. Ciekawe, ile dzieci ujrzy światło dzienne w tym samym momencie? A ilu ludziom przestanie ono świecić? Powinniśmy zawiadomić babkę. Mógłbym pójść do Al-Churunfusz zanieść jej tę nowinę, gdybym nie poszedł do szkoły. Już ci mówiliśmy, nie obchodzi nas twoja szkoła, spytaj taty, na pewno spodoba mu się twój pomysł. Och, może Aisza męczy się już w bólach. Kochane biedactwo, poród nie pasuje do jej. złotych włosków i niebieskich oczu, niech Bóg da jej zdrowie. Tymczasem napijemy się mughasu i zapalimy świece. Będzie chłopak czy dziewczynka? Kogo wolisz? Oczywiście, że chłopaka, ale może zacznie od dziewczynki, jak jej matka. Czemu nie ma zacząć od chłopaka jak jej ojciec? Kiedy będę wychodził ze szkoły, dziecko już się urodzi i nie będę mógł tego zobaczyć. Chcesz zobaczyć, jak dziecko wychodzi? No pewnie. Odłóż to do momentu, kiedy będziesz miał własnego noworodka.

Kamal najbardziej ze wszystkich był poruszony nowiną. Opanowała ona jego umysł, serce i wyobraźnię tak całkowicie, że nie potrafił myśleć o czym innym. Gdyby nie świadomość, że jest pilnowany przez woźnego, który o każdym jego ruchu donosi ojcu, nie zdołałby pokonać pokusy udania się na As-Sukkarijję. W szkole pozostawał tylko ciałem. Myślą błądził po domu na As-Sukkarijji wyobrażając sobie nowego przybysza, którego nadchodzenie obserwował przez miesiące i nie mógł się doczekać, kiedy pozna jego tajemnicę. Gdy nie miał jeszcze sześciu lat, był świadkiem porodu kotki. Pewnego dnia usłyszał głośne miauczenie na dachu pad daszkiem owiniętym egipską fasolą. Pobiegł tam i zobaczył zwijające się z bólu zwierzę, a po chwili zauważył, że ciało kotki pęka i wyrzuca rozpalony kawałek mięsa. Cofnął się ze wstrętem krzycząc na cały głos. To wspomnienie tak uporczywie tkwiło w jego wyobraźni, że powróciło dawne uczucie wstrętu i osaczyło go, drażniące i niepokojące jak mgła. Nie poddawał mu się jednak, odrzucając jakikolwiek związek tego wspomnienia z Aiszą. Człowiek i zwierzę byli w jego przekonaniu tak od siebie dalecy, jak niebo i ziemia. Co więc dzieje się na As-Sukkarijji? Co dziwnego przydarzyło się Aiszy? Dręczyły go pytania bez odpowiedzi przynoszących ulgę. Prosto ze szkoły popędził na As-Sukkarijję. Zdyszany wpadł na podwórze. Już miał wejść w drzwi do pokoi dla kobiet, kiedy spojrzał nieświadomie w kierunku manzary. Siedział tam ojciec oparłszy splecione dłonie na rączce łaski wsuniętej między nogi. Oczy ich spotkały się i Kamal stanął jak wryty. Nie wiadomo dlaczego ogarnęło go poczucie winy i stał nie mrugnawszy okiem, bez ruchu, oblany zimnym potem, czekając na karę. Ale As-Sajjid Ahmad po jakimś czasie wdał się w rozmowę z osobą siedzącą obok niego i Kamal powoli odwrócił wzrok od manzary, przełykając ślinę ze strachu. Wtedy zauważył także Ibrahima Szaukata, Jasina i Fahmiego. Odwrócił się i przeskakując stopnie pobiegł na piętro Aiszy. Pchnął na wpół otwarte drzwi,

wszedł i w salonie zobaczył Chalila Szaukata, męża siostry. Spoza zamkniętych drzwi sypialni słyhać było jakieś głosy. Rozpoznał matkę oraz wdowę po panu Szaukacie. Trzeci głos był mu nie znany. Przywitał się z mężem siostry i zapytał spoglądając na niego z uśmiechem:

– Aisza urodziła?

Mężczyzna położył palec wskazujący na ustach i powiedział:

– Ciii...

Kamal domyślił się, że było to pytanie nie na miejscu, zauważył też, że Chalil wcale się nie ucieszył z jego przybycia, jak było zazwyczaj. Poczłł niejasny niepokój. Podeszedł do zamkniętych drzwi, ale powstrzymał go głos Chalila, który, rozdrażniony, zawołał krótko:

– Nie!

Kamal odwrócił się do niego pytająco, ale on powiedział tylko:

– Idź, synku, na dół, tam się możesz bawić.

Chłopiec cofnął się z trudem i niechętnie. Za mękę oczekiwania przez cały dzień spotkała go taka nagroda. Był załamany. Już na progu salonu usłyszał dziwny głos dochodzący z zamkniętego pokoju. Najpierw cienki, ostry i wysoki, potem gruby, słaby, zachrypnięty, wreszcie długie, okrutne rżenie. Przez moment równy zatrzymaniu oddechu trwała cisza, a następnie rozległ się długi, głęboki, bolesny jęk. Głos ten wydał się początkowo Kamalowi dziwny i obcy. Ale w jednym z bolesnych tonów, przechodzących od wysokich do niskich, i w rżeniu rozpoznał jego źródło. To był bez wątpienia głos Aiszy czy też sama Aisza jakby w nim roztopiona. A kiedy usłyszał bolesny jęk, był już pewien. Zadrżał na całym ciele, bo wydało mu się, że ją widzi zwiijającą się z bólu, a w jego wyobraźni pojawił się znów obraz kotki. Spojrzał na Chalila, który siedział zaciskając i rozwierając dłonie, szepcząc: „O miły Boże.” Wydało mu się znowu, że Aisza zwiija się i prostuje jak dłoń mężczyzny. Nie był w stanie już dłużej panować nad sobą, wybiegł z salonu płacząc bezgłośnie. Na dole przy drzwiach usłyszał, że ktoś schodzi z góry. Podniósł głowę i zobaczył niewolnicę Suwajdan. Przeszła obok, nie zwracając na niego żadnej uwagi i zatrzymała się na progu. Stąd zawołała swojego pana Ibrahima. Gdy mężczyzna podeszedł pośpiesznie, powiedziała: „Dzięki Bogu, panie mój.” Nie dodała nic ponadto, ale zakręcała się na pięcie i pośpiesznie weszła z powrotem na górę. Ibrahim wrócił do manzary z rozjaśnioną twarzą, a Kamal pozostał sam, nie wiedząc, co robić. Nie minęła jednak minuta, gdy Ibrahim wrócił, a za nim przyszli As-Sajjid Ahmad i Fahmi. Odsunął się na bok, żeby zrobić im przejście, a następnie poszedł za nimi na górę. Chalil przyjął nadchodzących przed drzwiami swojego mieszkania.

– Dzikki Bogu za szczęśliwy koniec – powiedział As-Sajjid.

– Dzięki Bogu za wszystko, co przynosi – mruknął Chalil przygnębiony.

– Co ci jest? – zapytał As-Sajjid.

– Idę po lekarza.

– Dziecko?

Chalil pokręcił przecząco głową.

– Aisza. Coś jest nie w porządku. Zaraz wrócę.



I wyszedł zgnębiony i przerażony, a Ibrahim Szaukat poprosił ich do pokoju gościnnego. W jakiś czas potem przyszła wdowa Szaukat i przywitała ich z uśmiechem, aby im dodać otuchy.

– Długo się męczyła biedaczka – powiedziała – jest zupełnie wyczerpana. Ale to szybko przejdzie, jestem pewna. Mój syn niepotrzebnie się przestraszył. W każdym razie nic nie szkodzi, jeśli przyjdzie lekarz. – I szepnęła sama do siebie: lekarzem jest nasz Pan, nasz Pan to lekarz.

As-Sajjid nie potrafił zachować swojej zwykłej w obecności synów powagi i godności i zapytał ją z nie ukrywanym niepokojem:

– Co jej jest? Czy nie mogę jej zobaczyć?

Kobieta uśmiechnęła się i odrzekła:

– Zobaczysz ją wkrótce w najlepszym zdrowiu. Mój szalony syn zaniepokoił was bez powodu.

Na twarzy uroczysta, surowa powaga, a w szerokiej, mocnej piersi niespokojne serce, w oczach łzy. „Co się stało małej? Lekarz?! Dlaczego ta stara nie dopuszcza mnie do niej? Mój czuły uśmiech i miłe słowo, właśnie mój uśmiech i moje słowo na pewno ulżyłyby jej cierpieniom. Małżeństwo, mąż, ból... W moim domu nigdy nie doznała żadnego bólu. Śliczna, kochana mała... Niech się Bóg nad tobą zlituje. Życie utraciło swój smak, traci go z powodu najmniejszego bólu, jaki zagraża dzieciom... Fahmi... Widzę, że jest przygnębiony i cierpiący. Czy pojmuje sens bólu? Skąd może znać serce matki? Stara jest spokojna i pewna siebie; jej syn zaniepokoił nas bez powodu. Oby tak było. O, Boże, ty znasz mnie najlepiej, uratuj ją, tak jak mnie uratowałeś przed Anglikami. Moje serce nie zniosłoby takiej męki. Bóg jest miłosierny. On tylko jest w stanie uchronić moje dzieci przed złem. Bez tego życie nie ma sensu. Nie ma smaku żadna przyjemność, radość ani rozrywka, jeśli w mym boku tkwi ostry cień. Serce moje błaga o ich bezpieczeństwo. Serce ojca. Czy spotkam towarzyszy wieczornych zabaw ze spokojnym sercem? Chcę się śmiać, ale tylko swobodnie, z głębi niczym nie zmaconego serca. A teraz moje serce drży jak naderwana struna. Myśl o Fahmim jest uporczywa jak ból zębów. Jakież to paskudny ból. Świat bez bólu... Bóg wszystko może. Wolę życie bez bólu, choćby miało trwać krótko. Świat, na którym mógłbym cieszyć oczy nimi wszystkimi. Śmiałybym się, śpiewał, bawił. O, Najłaskawszy! Aisza! O, Najmiłosierniejszy!...”

Po około dwudziestu minutach Chalil wrócił w towarzystwie lekarza. Natychmiast weszli do pokoju zamykając za sobą drzwi. As-Sajjid usłyszał, że już przyszli, wstał i poszedł w kierunku sypialni, ale postął trochę na progu patrząc na zamknięte drzwi i wrócił na swoje miejsce.

– Zobaczysz, że lekarz potwierdzi tylko to, co ja mówię – odezwała się wdowa Szaukat.

– Bóg jest przebaczący – wymamrotał As-Sajjid podnosząc głowę.

Niedługo dowie się prawdy i wyrwie się z mgły wątpliwości, niezależnie od tego, jaka będzie ta prawda. Musi mieć cierpliwość, już niedługo. Serce bije mu szybko. Jego wiara w Boga jest silna, głęboka i niezachwiana. Jemu powierza całą sprawę. Lekarz zaraz wyjdzie i wtedy go zapyta. Lekarz? Lekarz u położnicy. Nie pomyślał o tym wcześniej. Lekarz ogląda

macie, tak? Ale to jednak lekarz. Nie ma wyjścia. Najważniejsze, żeby Bóg wziął ją w opiekę. Prośmy go o jej zdrowie.

Badanie trwało ze dwadzieścia minut. W końcu drzwi otworzyły się, As-Sajjid wstał i przeszedł do salonu. Za nim poszli synowie i wszyscy otoczyli lekarza. Lekarz był znajomym As-Sajjida, podał mu rękę z uśmiechem i powiedział:

– Wszystko w porządku – po czym dodał poważnie. – Wezwano mnie do matki, a stwierdziłem, że martwić należy się o nowo narodzoną.

As-Sajjid po raz pierwszy od około godziny odetchnął z ulgą.

– To znaczy, że mogę być spokojny, tak? – spytał radośnie.

– W ogóle cię nie obchodzi los twojej wnuczki? – spytał lekarz ze zdziwieniem.

– Jeszcze się nie przyzwyczałem do obowiązków dziadka.

– Czy nie ma żadnej nadziei? – zapytał Chalil.

– Życie jej w ręku Boga. Ma słabe serce, może umrzeć w nocy, ale jeśli przeżyje tę noc, minie największe niebezpieczeństwo. Niemniej, moim zdaniem nie pożyje dłużej niż dwadzieścia lat. Ale kto wie? Życie jest wyłącznie w ręku Boga – powiedział mężczyzna poważnie.

Kiedy lekarz odszedł, Chalil zwrócił się do matki z pełnym żalu uśmiechem:

– Chciałem, aby miała na imię Na'ima, tak jak ty.

– Sam lekarz powiedział: życie jest w ręku Boga – odparła z wyrzutem. – Czy twoja wiara ma być słabsza niż jego? Nazwij ją Na'ima. Powinieneś nazwać ją Na'ima na moją cześć. A jeśli Bóg pozwoli, będzie żyła długo tak jak babka.

„Głupiec, wezwał lekarza bez powodu, bez żadnego powodu, żeby oglądał jego żonę”, myślał As-Sajjid. Nie mógł opanować rozdrażnienia, ale postarał się zachować uprzejmy ton, gdy powiedział:

– Rzeczywiście, strach pozbawia mężczyzn rozsądku. Mogłeś trochę pomyśleć, zanim ruszyłeś po obcego mężczyznę, żeby obejrzał twoją żonę w całej okazałości.

Chalil nie odpowiedział. Popatrzył na zebranych wokół i rzekł:

– Aisza nie powinna wiedzieć o tym, co powiedział lekarz.

– Co się dzieje na ulicy? – zapytał As-Sajjid Ahmad wstając pośpiesznie zza swojego biurka. Podszedł do drzwi, a za nim Dżamil al-Hamzawi i kilku klientów. Ulica An-Nahasina nigdy nie była spokojna, z pojęciem spokoju nie miała w ogóle nic wspólnego. Głośny gwar trwał na niej właściwie od świtu do świtu. Krzyki i nawoływania sprzedawców, głośne targowanie się kupujących, modły nawiedzonych i krzyki szaleńców, żarty przechodniów słychać tu bez przerwy. Ludzie rozmawiają tak, jakby wygłaszali przemówienia, nawet najbardziej prywatne sprawy rozchodzą się po tej ulicy krzykiem i lecą w górę aż do minaretów. Dzwonki tramwajów konnych, które słychać niekiedy, i turkot wózków karo dopełniają zgiełku. Tak więc w żadnym przypadku nie można tej ulicy nazwać spokojną, ale tym razem hałas, który się tu rozlegał, był szczególnego rodzaju. Początkowo dochodził z daleka, jak szum fal, stopniowo potężniał i przybierał na sile, aż stał się podobny do wycia wiatru. Nawet na tej głośnej ulicy sprawiał dziwne i niesamowite wrażenie i As-Sajjid Ahmad, jak przystało na człowieka żyjącego w tych czasach, pomyślał najpierw, że to demonstracja. Zastanawiały go jednak dźwięczne *zagharid*, które zawsze zwiastują radość.

W drzwiach As-Sajjid zderzył się z szajchem dzielnicy, który właśnie wchodził do sklepu.

– Słyszałeś nowinę? – krzyknął, a z twarzy biła mu radość.

– Nie, jaką nowinę?

– Wypuszczono Sa'da Paszę.

– Naprawdę?

– Allenby ogłosił właśnie komunikat zawierający tę radosną wiadomość.

Rzucili się sobie w ramiona, a As-Sajjidowi ze wzruszenia oczy zaszyły łzami.

– Zwykle ogłaszał ostrzeżenia i groźby, a nie radosne wiadomości. Co go tak odmieniło, tego syna staruchy?

– Tylko Najwyższy się nie zmienia – odparł szajch dzielnicy.

Podał rękę As-Sajjidowi i opuścił sklep wołając: „Bóg jest wielki,

Bóg jest wielki. Wierni odniosą zwycięstwo!”

As-Sajjid stanął na progu sklepu rozglądając się dokoła. Serce przepęłniała mu dziecięca radość. Wiadomość rozchodziła się błyskawicznie od sklepu do sklepu, od okna do okna. Właściciele sklepów i klienci gratulowali sobie nawzajem, z domów przez szpary w okiennicach dochodził gwar i radosne *zagharid*. Spontaniczne grupki demonstrujących krążyły po ulicach An-Nahasina, As-Sagha i Bajt al-Kadi, a demonstranci wznosili okrzyki na cześć Sa'da. Sa'd, Sa'd, jeszcze raz Sa'd! Muezzini na balkonach minaretów wznosili dziękczynne modły. Kobiety owinięte w milaje tańczyły na wozach karo w rytm patriotycznych pieśni. Ziemia zniknęła, skryły się mury, widać już było tylko ludzi krzyczących i wiwatujących na cześć Sa'da, a powietrze stało się jakby ogromną obracającą się płytą bez ustanku powtarzającą jego imię. Ponad stłoczonymi głowami przebiegła wieść, że Anglicy zwijają obóz rozbity na skrzyżowaniu ulic, przygotowując wymarsz do Al-

Abbasijji. Entuzjazm wzrósł jeszcze bardziej. As-Sajjid Ahmad nigdy jeszcze czegoś podobnego nie widział. Błyszczącymi oczami patrzył, co się dokoła niego dzieje, serce mu skakało ze szczęścia, w duchu powtarzał razem z tańczącymi kobietami: „O, Al-Husajnie, dzięki ci, kamień spadł nam z serca.”

– W sklepach rozdają sorbet i wieszają flagi – szepnął mu na ucho Dżamil al-Hamzawi.

– Rób to, co robią inni. Pokaż, co potrafisz! – zapalił się As-Sajjid. I powieś portret Sa'da pod basmalą.

Dżamil al-Hamzawi popatrzył na niego z wahaniem i powiedział ostrożnie:

– Będzie go widać z ulicy. Czy nie lepiej trochę poczekać, aż sprawy się unormują?

– Czasy strachu i krwi minęły bezpowrotnie. Nie widzisz, że demonstracje ciągną na oczach Anglików i nic się nie dzieje? Zawieś portret i zdaj się na Boga.

„Zawaliła się epoka strachu i krwi. Sa'd odzyskał wolność i może nawet jest już w drodze do Europy? Od niepodległości dzieli nas jeden krok albo jedno słowo. Skończyły się strzały, nadszedł czas *zagharid*. Szczęśliwi, którzy przeżyli, przedarli się przez ogień i wyszli z niego zdrowi i cali... Niech Bóg zmiłuje się nad męczennikami. Fahmi! Uratował się przed wielkim niebezpieczeństwem. Nie docenia tego. Uratował się, chwala i dzięki Bogu. Tak, Fahmi się uratował. Na co czekasz? Módl się do Boga, swojego Pana.”

Gdy rodzina zebrała się pod wieczór, ledwie mogli wydobyć głos z zachrypniętych gardeł. Opowiadali sobie do upojenia o tym dniu wiwatów. Co za szczęśliwy wieczór. Wszyscy byli szczęśliwi, nawet Amina, którą cieszyły przede wszystkim powrót spokoju i uwolnienie Sa'da.

– Z maszrabijji widziałam to, czego oko ludzkie dotąd nie widziało. Czyżby zbliżał się Sąd Ostateczny i waga była już ustawiona? Te kobiety chyba oszalały! Jeszcze mi dźwięczą w uszach słowa ich piosenki: „O, Al-Husajnie, dzięki ci, kamień spadł nam z serca.”

– Żegnały w ten sposób odchodzących Anglików, tak jak żegna się uciążliwego gościa, tłukąc za nim dzban – powiedział Jasin ze śmiechem bawiąc się włosami Kamala.

– Czy Bóg jest z nas wreszcie zadowolony? – spytała Amina.

– Na pewno – odpowiedział Jasin spoglądając jednocześnie na Fahmiego. – A co sobie wyobrażałaś?

– Gdyby Anglicy nie zgodzili się na nasze żądania, Sa'd nie zostałby uwolniony. A teraz pojedzie do Europy i przywiezie nam niepodległość, tego wszyscy są pewni. W każdym razie 7 kwietnia 1919 roku pozostanie symbolem zwycięstwa rewolucji – powiedział Fahmi szczęśliwy jak dziecko.

– Ale to był dzień! Urzędnicy jawnie uczestniczyli w demonstracjach. Nie sądziłem, że będę miał tyle siły, żeby iść i krzyczeć tak długo – odezwał się znowu Jasin.

– Chciałbym to zobaczyć! Jasin demonstruje i wiwatuje! Rzeczywiście to niezwykle widok – roześmiał się Fahmi.

Był to naprawdę dzień niezwykły dla Jasina. Rwący potok ludzi porwał go jak skrawek papieru, który nic nie waży. Popłynął na jego wzburzonych falach, dał się ponieść bez reszty. Aż mu się wierzyć nie chce, że wrócił do równowagi i może obserwować teraz wydarzenia w spokoju i bez emocji. Pomyślał o uwagach Fahmiego i sam się zdziwił.

– Dziwna rzecz, ale w gromadzie człowiek zapomina o sobie, staje się kimś zupełnie innym.

– To naprawdę był szczerzy entuzjazm? – spytał Fahmi z zainteresowaniem.

– Wiwatowałem na cześć Sa'da, aż zachryłem, a parę razy miałem łzy w oczach.

– W jaki sposób dowiedziałeś się o demonstracji?

– Wiadomość o uwolnieniu Sa'da dotarła do szkoły i naprawdę-ogromnie się ucieszyłem. A myślałeś, że co? Nauczyciele zaproponowali przyłączenie się do wielkiej demonstracji. Nie miałem na to ochoty,, myślałem, jak tu się wyśliznąć do domu, ale nie wypadało. Czekałem tylko na okazję, żeby się urwać. I nagle stało się coś dziwnego. Kiedy znalazłem się w morzu ludzi, w naelektryzowanej, pełnej entuzjazmu atmosferze, nie mogłem się opanować, zatraciłem się, wtopiłem w ten tłum bez reszty. Wierz mi!

– Dziwne, rzeczywiście – mruknął Fahmi.

Jasin roześmiał się.

– Uważasz, że nie jestem patriotą – powiedział. – To nie tak. Po prostu nie lubię hałasu i przemocy. I nie widzę niczego wstydliwego w godzeniu miłości do ojczyzny z miłością do własnego bezpieczeństwa.

– A jeśli byłoby to nie do pogodzenia?

– Wybrałbym miłość do bezpieczeństwa. Swojego bezpieczeństwa! przede wszystkim. Czy ojczyzna będzie szczęśliwa tylko wówczas, kiedy połknie moje życie? No może, jeśli Bóg tak zechce. Nie narażam swojego życia, ale będę kochać ojczyznę, póki żyję – odparł bez wahania.

– Mądre słowa – powiedziała Amina. – A ty, mój panie, jesteś innego zdania? – zagadnęła Fahmiego.

– Ależ nie, oczywiście. W tym jest mądrość, jak powiedziałaś.

Kamal uważał, że powinien włączyć się do rozmowy, zwłaszcza że.. jego zdaniem, tego dnia odegrał naprawdę ważną rolę.

– My też strajkowaliśmy – powiedział. – Ale dyrektor nie pozwolił nam wychodzić ze szkoły, boby nas zdeptali demonstranci. Pozwolił nam demonstrować na dziedzińcu szkolnym. Długo wiwatowaliśmy i krzyczeliśmy: „Niech żyje Sa'd.” I już nie wróciliśmy do klas, ponieważ nauczyciele przyłączyli się do demonstracji na zewnątrz.

– Ale twoi przyjaciele odeszli – powiedział drwiąco Jasin.

– A czort z nimi! – to zdanie wyrwało mu się mimo woli i zupełnie nie odzwierciedlało jego prawdziwych uczuć. Właściwie wypadało tak powiedzieć, a poza tym chciał w ten sposób ukryć swoją porażkę. Niemniej w głębi duszy przeżywał smutek. Po powrocie ze szkoły stał w opuszczonym przez żołnierzy miejscu, rozglądał się na wszystkie strony w milczeniu z oczami pełnymi łez. Długo będzie pamiętał popołudniowe herbaty na chodniku przy sabilu Bajna al-Kasrajni, podziw, jaki wywoływał jego śpiew, oraz sympatię, z jaką spotykał się ze strony żołnierzy, zwłaszcza Juliana. Długo nie zapomni przyjaźni, jaika go łączyła z tymi górującymi nad wszystkim panami, przewyższającymi w jego pojęciu całą ludzkość.

– Sa'd Pasza ma szczęście. Cały świat powtarza jego imię. To jest dopiero pan! Bez wątplenia to człowiek wierzący, bo Bóg daje zwycięstwo tylko swoim wiernym. Dał mu

zwycięstwo nad Anglikami, którzy pokonali samego zeppelin. To jest zwycięstwo! Ten człowiek urodził się w Noc Przeznaczenia – powiedziała Amina.

– Lubisz go? – zapytał Fahmi z uśmiechem.

– Lubię, skoro ty go lubisz.

Fahmi rozłożył ręce i podniósł brwi na znak protestu.

– To nic nie znaczy – powiedział.

Amina westchnęła trochę zmieszana.

– Ilekroć docierała do mnie jakaś bolesna, raniąca serce wiadomość – odparła – mówiłam sobie: „Ciekawe, czy zdarzyłoby się to, gdyby Sa'd nie zrobił tego, co zrobił.” A!e to człowiek, którego wszyscy kochają. Z pewnością Bóg go też kocha. – Westchnęła głęboko i ciągnęła: – Żal mi tych, którzy zginęli. Ile matek rozpacza teraz? Jak wielka musi być ich gorycz, zwłaszcza dzisiaj?...

– Prawdziwa patriotka wznosi radosne *zagharid* nad trupem syna męczennika – powiedział Fahmi mrugając do Jasina.

Amina zatkała sobie uszy palcami.

– Boże, wzywam cię na świadka! – zawołała. – Co też wygaduje mój mały pan! Matka wznosząca *zagharid* nad zamordowanym synem! Gdzie? Na tej ziemi? A może pod ziemią, w świecie szatana?!

Fahmi roześmiał się, a następnie długo nad czymś myślał i wreszcie powiedział z błyszczącymi oczami:

– Mamusiu, przyszła pora, żebym ci wyjawiał całą prawdę. Brałem udział w demonstracjach i stałem ze śmiercią twarzą w twarz.

Popatrzyła na niego uważnie, nie dowierzając.

– Ty?! Niemożliwe... Jesteś z mojego ciała i krwi, a twoje serce jest częścią mojego serca. Nie jesteś taki jak inni – rzekła.

– Przysięgam ci na Najwyższego Boga – powiedział z przekonaniem, uśmiechając się do niej.

Patrzyła w osłupieniu to na Jasina, to na niego nic nie rozumiejąc.

– O, Panie! Nie wierzę własnym uszom. Ty?!

Oczekiwał, że się zdenerwuje, ale nie aż tak, tym bardziej że niebezpieczeństwo już minęło.

– To już historia. Przeszło, minęło – powiedział.

– Cicho. Ty nie kochasz... swojej matki. Niech ci Bóg przebaczy.

Fahmi roześmiał się zmieszany.

– Czy pamiętasz dzień, kiedy siedziałem w sklepie z basbusą i była ta strzelanina? – odezwał się Kamal. – Gdy wracałem do domu pustą ulicą, spotkałem go, ale zakazał mi mówić, że go widziałem. – Spojrzał na Fahmiego i poprosił: – Opowiedz nam, panie Fahmi, jak to było w czasie demonstracji, jak wyglądały walki? Jak to jest, kiedy zabija się ludzi? Nigdy nie strzelałeś?

– Było, minęło – przerwał Jasin. – Nie ma co rozpamiętywać. Podziękuj Bogu, że go uratował. To lepsze niż teraz się denerwować.

– Czy wiedziałeś o tym? – zapytała go sucho.

– Nie, na grób mojej matki, na moją religię, wiarę i Boga.

Wstał, podszedł do niej i kładąc jej rękę na ramieniu powiedział delikatnie:

– Jesteś spokojna, kiedy należy się denerwować, a denerwujesz się, kiedy można być spokojnym. Wyznaj wiarę w Jedyne Boga. Skończyło się niebezpieczeństwo. Powrócił spokój. Oto masz Fahmiego przed sobą. Od jutra będziemy przemierzać Kair wzdłuż i wszerz, nocą i dniem, bez strachu i niepokoju.

– Mamusiu, proszę cię, tak się cieszymy, nie ma powodu do smutku, nie psuj nam radości tego dnia.

Westchnęła. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale tylko poruszyła wargami. Uśmiechnęła się blado na znak, że się zgadza, i zwiesiła głowę, żeby ukryć łzy napływające do oczu.

Tego dnia Fahmi poszedł spać ze stanowczym postanowieniem: musi za wszelką cenę przeprosić ojca. Rano zdecydował bez wahania zrealizować swój zamiar. Mimo że przez cały okres buntu nie żywił do ojca urazy ani gniewu, jego sumienie cierpiało z powodu poczucia winy. Wrażliwy, wychowany w pokorze i posłuszeństwie ugiął się pod ciężarem tego uczucia. Wprawdzie słowami nie wyraził swojego buntu wobec ojca, ale sprzeciwił mu się postępowaniem, a właściwie sprzeciwiał mu się często, nie mówiąc już o odmowie złożenia przysięgi. Jego płacz był także wyrazem sprzeciwu wobec woli ojca i decyzji pozostania przy własnym zdaniu. A przecież nie miał złych intencji i może właśnie dlatego nie mógł znieść tej ciężkiej, zagmatwanej sytuacji. Wcześniej nie próbował przeproszać ojca obawiając się, że tylko rozdrapie jego ranę, a nie będzie w stanie jej opatrzyć. Był bowiem pewien, że As-Sajjid ponownie każe mu złożyć przysięgę, aby oczyścić się z poprzedniego grzechu. Musiałby wówczas po raz drugi odmówić, a więc kontynuować bunt zamiast za niego przeprosić. Ale dzisiaj sytuacja jest inna. Serce rozkoszuje się radością zwycięstwa. Cała ojczyzna upojona jest szczęściem i triumfem, jak alkoholem. Jak może jego i ojca dzielić zasłona złości. Nie zniesie tego ani chwili dłużej. Musi doprowadzić do zgody i przebaczenia, aby rozkoszować się niczym niezmałym rzeczywistym szczęściem.

Na kwadrans przed śniadaniem udał się do pokoju ojca. Wszedł, kiedy związał on dywanik modlitewny ciągle odmawiając modlitwę. Bez wątpienia musiał go zauważyć, ale udał, że go nie widzi. Podszedł do kanapy i usiadł. Dopiero wtedy spojrzął w kierunku drzwi, gdzie stał Fahmi zmieszany i zawstydzony. Wpatrywał się w niego zimnym, niechętnym wzrokiem, jakby pytał: Kto tam stoi i po co tu przyszedł? Fahmi opanował zmieszanie, podszedł lekkim krokiem do ojca, pochylił się do jego ręki i pocałował ją z bezgranicznym szacunkiem.

– Dzień dobry, tatusiu – powiedział ledwie dosłyszalnym głosem.

As-Sajjid nadal wpatrywał się w niego w milczeniu, jakby nie słyszał pozdrowienia, aż zmieszany chłopak odwrócił wzrok i szepnął zrozpaczony:

– Przepraszam.

As-Sajjid milczał nadal.

– Bardzo przepraszam. Nie zaznałem spokoju, odkąd...

Stwierdził, że słowa prowadzą go do przypomnienia sprawy, o której chciał zapomnieć i zamilkł.

– Czego chcesz? – spytał As-Sajjid z niezadowoleniem.

Fahmi odetchnął z ulgą, mimo że ton ojca nie był zachęcający.

– Chcę, żebyś mi przebaczył – powiedział błagalnie.

– Wynoś się stąd! – krzyknął As-Sajjid rozdrażniony.

– Odejdę, gdy otrzymam twoje przebaczenie – powiedział Fahmi czując, że zaciskająca się na jego szyi obręcz rozpaczy słabnie nieco.

– Moje przebaczenie! Dlaczego nie? Czyżbyś nie daj Boże zrobił coś, co mogło mnie rozgniewać? – zapytał As-Sajjid zmieniając ton na sarkastyczny.

Fahmi ucieszył się z tego sarkazmu znacznie bardziej niż z przerwane milczenia. Sarkazm ojca to był pierwszy krok do przebaczenia. Gdyby był naprawdę zły, Fahmi albo dostałby po twarzy, albo kopniaka, albo został zwymyślany, albo wszystko razem. Sarkazm był pierwszym zwiastunem zmiany. „Wykorzystaj okazję i zacznij mówić – myślał gorączkowo. – Mów tak, jak powinien mówić człowiek, który jutro lub pojutrze zostanie adwokatem. To twoja szansa!” Zaczął więc mówić... Odpowiedzi na wezwanie ojczyzny nie należy uważać za bunt przeciw twojej woli, panie. Nie zrobiłem niczego, co można by naprawdę uznać za działalność patriotyczną. Rozdawałem ulotki wśród przyjaciół. Cóż to jest rozdawanie ulotek? Gdzie mi do tych, którzy tak lekko oddali swoje życie? Zrozumiałem z twoich słów, panie, że boisz się o moje życie, a nie, że odrzucasz obowiązki względem ojczyzny. Podjąłem więc coś w rodzaju takiego obowiązku i byłem pewien, że w rzeczywistości nie sprzeciwiam się twojej woli itd... itd...

– Bóg wie, że nigdy mi nie przyszło do głowy buntować się przeciwko twoim rozkazom.

– Próżne gadanie. Okazujesz posłuszeństwo, ponieważ nie ma już powodu do buntu. Dlaczego nie poprosiłeś o przebaczenie wcześniej?

– Lała się krew, byłem pogrążony w smutku i bólu.

– Tak bardzo, że nie mogłeś poprosić mnie o przebaczenie.

– Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, ale nie mogę żyć dłużej bez twojego przebaczenia – powiedział Fahmi gorąco.

As-Sajjid zmarszczył brwi nie dlatego, żeby okazać gniew, ale żeby ukryć dobre wrażenie, jakie wywarły na nim słowa chłopca. Tak trzeba mówić albo wcale. Umie mówić chłopak, zna sztukę mówienia. To się nazywa elokwencja, co?! Wieczorem powtórzę jego słowa przyjaciołom, ciekawe, jakie na nich zrobią wrażenie, co powiedzą. Wrodził się w ojca. Tak należy mówić. Kiedyś mi powiedziano, że gdybym otrzymał odpowiednie wykształcenie, byłbym największym wśród adwokatów. Ale i bez wykształcenia jestem lepszym mówcą niż niejeden adwokat. Codzienna rozmowa tak samo jak praktyka prawnicza pozwala odkryć talent oratorski. Iluż to adwokatów i wysokich urzędników gimnastykowało się przede mną, chcieli mi dorównać, ale byli mali i bezradni jak pisklęta. Nawet sam Fahmi nigdy nie będzie w stanie mi dorównać. Tak, chłopak wdał się w ojca – powiedzą ze śmiechem. Boli mnie, że odmówił przysięgi, to fakt, ale z kolei mogę być dumny, że brał udział w rewolucji, choćby z daleka. Szkoda, że nie odegrał większej roli, skoro przeżył i nic mu się nie stało, ale i tak powiem, że był ważny. Myślicie, że ograniczył się do noszenia ulotek, tak jak mnie zapewniał? Ależ skąd, ten sukinsyn rzucił się w krwawy nurt. As-Sajjidzie Ahmadzie, musimy zaświadczyć o patriotyzmie i odwadze twojego syna. Nie chcieliśmy mówić ci o tym w czasach niebezpiecznych, ale skoro nastąpił pokój, możemy o tym rozmawiać bez



skrepowania. Przecież nie zaprzeczysz, że jesteś patriotą! Tak cię chwalili wysłannicy Al-Wafdu zbierający składki. Na Boga, gdybyś był młody, zrobiłbyś więcej niż twój syn. Ale on zbuntował się przeciwko mnie. Zbuntował się przeciwko twoim słowom, ale był posłuszny twojemu sercu. Co teraz mam robić? Serce chce mu przebaczyć, ale boję się, że pomyśli, iż nic się nie stało, a sprzeciw wobec mojej woli to nic takiego.

– Nie mogę zapomnieć, że sprzeciwiłeś się mojej woli – powiedział. – Liczysz na to, że pusta mowa, którą mnie uraczyłeś od samego rana na pobudzenie apetytu, może mnie wzruszyć?

Fahmi chciał odpowiedzieć, ale w tym momencie weszła matka ze słowami:

– Śniadanie, panie mój.

Zdziwiła ją nieoczekiwana obecność Fahmiego w tym miejscu, spojrzała na ojca, potem na syna, odczekała trochę, żeby usłyszeć, co się dzieje, a stwierdziwszy, że to ona była powodem głuchego milczenia, jakie nastąpiło, pośpiesznie opuściła pokój. As-Sajjid wstał, żeby przejść do pokoju stołowego, a Fahmi usunął się na bok. Głęboki smutek na jego twarzy nie uszedł uwagi ojca. Zawahał się, a po chwili powiedział pojednawczo:

– Wolałbym, żebyś w przyszłości, rozmawiając ze mną, nie upierał się tak przy swojej głupocie...

Chłopiec poszedł za nim wdzięczny, z rozjaśnioną twarzą.

– Pewnie myślisz, że stoisz na czele tych, którzy uwolnili Sa'da – dodał As-Sajjid z przekąsem.

Po śniadaniu Fahmi udał się prosto na Al-Azhar, gdzie zebrali się jego koledzy, członkowie Najwyższego Komitetu Studenckiego, aby rozpatrzyć sprawę zorganizowania wielkich pokojowych demonstracji, na które władze wyraziły zgodę, aby naród mógł dać wyraz swojej radości. Postanowiono, że w demonstracjach wezmą udział przedstawiciele wszystkich warstw społecznych. Zebranie trwało dość długo, a następnie każdy udał się na swoją placówkę wykonać powierzone mu zadanie. Fahmi pojechał na plac Dworcowy, gdzie miał sprawować nadzór nad gromadzeniem się uczniów szkół średnich. Chociaż zdawał sobie sprawę z tego, że zwykle powierzano mu zadania drugorzędne, to wykonywał je starannie i radośnie, jakby były czymś najpiękniejszym, co mogło go spotkać w życiu. Dręczył go jednak smutek, którego nie wyjawiał nikomu. Jego źródłem było przekonanie, że jest mniej śmiały i odważny od swoich rówieśników. Co prawda nie wycofał się z żadnej demonstracji, do jakich wzywał Komitet, ale jego zapał mijał wraz z ukazaniem się ciężarówek wiozących żołnierzy, a zwłaszcza po otwarciu ognia, gdy padały pierwsze ofiary. Raz, drżąc na całym ciele schronił się do kawiarni, kiedy indziej uciekł gdzie pieprz rośnie, aż znalazł się na cmentarzu Al-Mudżawirina. Gdzie mu się równać z niosącym sztandar w czasie demonstracji czy raczej rzezi w Bulaku, jak ją teraz nazywają. Niosący sztandar szedł na przedzie, krzyczał na całe gardło i padł zaciskając ręce na drzewcu. Gdzie mu się równać z innymi, podobnymi do tamtego męczennikami, którzy pośpieszyli do sztandaru, aby go podnieść i zaraz nań upadli, a piersi ozdobiły im orderzy z kuk Gdzie mu się równać z tym bohaterem, który wyrwał karabin maszynowy z rąk żołnierzy na Al-Azharze, i z wszystkimi innymi, o których bohaterstwie i męczeństwie wiadomości ciągle napływają. Bohaterskie czyny, piękne i porywające, były tym, o czym marzył. Całą duszą, całym sercem pragnął wzorować się na bohaterach.

Jednakże w decydującym momencie zawodziły go inerwy i kiedy walka przycichła, znajdował się na tyłach, jeśli nie w panicznej ucieczce albo w ukryciu. I znowu obiecywał sobie i postanawiał, że się nie ugnie, że się nie cofnie, zbolały, umęczony w swoim beznadziejnym dążeniu do doskonałości. Niekiedy pocieszał się mówiąc: „W końcu jestem tylko nie uzbrojonym bojownikiem i chociaż nie dokonałem bohaterskich czynów, to przecież ani razu nie zawahałem się rzucić w ogień walki.”

W drodze na plac przy dworcu obserwował ulice i pojazdy. Wydawało się, że wszyscy podążają w tę samą stronę, studenci, robotnicy, urzędnicy jadący lub idący piechotą. Szli spokojni, radosni, godni jak ludzie, którym pozwolono w pokojowej demonstracji wyrazić swoją radość. On też czuje się pewny i spokojny, nie tak jak dawniej, gdy zdenerwowany, z łomoczącym sercem przedzierał się, aby zdążyć na czas. Ta epoka się skończyła, już nie prześladują go koszmarnie obrazy śmierci. Idzie radosny, z uśmiechem na ustach. Wojna święta dobiegła kresu. Wyszedł z niej cało, szkoda, że nie cierpiał tak, jak tysiące ludzi, którzy przeszli więzienie, bicie, odnieśli rany. Smutne, że dla kogoś takiego jak on, który okazał tyle serca i tyle entuzjazmu dla sprawy, ostateczną nagrodą jest zdrowie i bezpieczeństwo. To tak, jakby pilnemu studentowi nie udało się uzyskać dyplomu z wyróżnieniem. Zaprzeczysz, że cieszy cię to, że się uratowałeś? Wolałbyś znaleźć się wśród poległych? O, nie. Ale chciałbyś być chociaż ranny, tak? Tak, na to by cię było stać, dlaczego więc wycofałeś się? Nie miałeś gwarancji, że rana będzie lekka, nie śmiertelna, albo że w więzieniu znajdziesz się tylko przejściowo. W zasadzie jesteś zadowolony, że uratowałeś się, chciałbyś jednak, żeby ci się coś przydarzyło, ale coś takiego, co by nie zmieniło tego pięknego zakończenia. Gdybym jeszcze raz miał zdecydować się na walkę, powinienem wiedzieć, co mi się może przydarzyć. Idę na pokojową demonstrację ze spokojnym sercem, ale nieczystym sumieniem.

Na plac dotarł około pierwszej po południu, na dwie godziny przed rozpoczęciem, i zajął przydzielone mu miejsce przy wejściu na dworzec. Na placu byli tylko organizatorzy oraz luźne grupy ludzi z różnych środowisk. Było ciepło, nie za gorąco, ale kwietniowe słońce już zaczynało przypiekać. Oczekiwanie nie trwało długo. Z różnych stron zaczęły nadciągać grupy ludzi ze sztandarami. Każda grupa ustawiała się na określonym miejscu. Fahmi przystąpił do wykonywania swojego zadania. Było ono proste, polegało na przypilnowaniu, żeby każda szkoła stała ze sztandarem na swoim miejscu. Niemniej przepełniało go uczucie dumy i radości. Miał dopiero dziewiętnaście lat, a sprawował kontrolę nad uczniami, z których wielu miało ponad dwadzieścia lat – dwadzieścia dwa, a nawet dwadzieścia cztery – i podkreślało wąsa. Widział, że wpatrują się w niego uważnie i szepczą coś na jego temat, bo słyszał swoje imię w połączeniu z funkcją: Fahmi Ahmad Abd al-Dżawwad, przedstawiciel Najwyższego Komitetu. Trochę się zmieszał i zacisnął wargi, aby powstrzymać uśmiech zawstydzenia z powodu własnej „wielkości”. Powinien przecież dbać o zachowanie wyglądu przedstawiciela Najwyższego Komitetu, a więc odznaczać się powagą i surowością godną pierwszych szeregów walczącej młodzieży. Niech sobie wyobrażają, jaki jest ważny, snują domysły na temat bohaterskich czynów, jakich dokonał. Przynajmniej urzeczywistnią się one w ich wyobraźni. Jakże pragnie dokonywać wielkich czynów i jak bardzo rani serce naga prawda. Roznosiciel ulotek i żołnierz tylnych szeregów, nic więcej. Dzisiaj powierzono mu

szkoły średnie, staje przed poważnym zadaniem. Ciekawe, czy inni zdołają zrobić więcej niż on? Jak bardzo go lubią i darzą szacunkiem! Na każdym zebraniu liczono się z jego opinią... A przemówienia? Nie musisz być mówcą, prawda? Ale nie można być wielkim, nie będąc mówcą. I jaka by to była szkoda, gdybyś stanął przed Przywódcą jako reprezentant Najwyższego Komitetu i milczał, podczas gdy inni prześcigaliby się w przemówieniach. Nie będę milczał, będę mówił, otworzę swoje serce, wszystko jedno, czy będę przemawiał dobrze, czy źle. Kiedy staniesz przed Sa'dem? Kiedy wreszcie nasycisz nim wzrok? Serce mi bije, oczy zachodzą łzami. Będzie to wielki dzień, cały Egipt wyjdzie na jego spotkanie. Dzisiejszy dzień to kropla w rzece dni, które nadejdą. O, Panie!

Plac zapełnił się, zapełniły się prowadzące do niego ulice. Ulica Abbasa Nubar al-Fadżdżalego. Takiej demonstracji jeszcze nie było. Sto tysięcy, tarbusze, imamy, studenci, uczniowie, robotnicy, urzędnicy, szajchowie, księża, sędziowie... Aż trudno sobie wyobrazić. Nikt nie przejmuje się palącym słońcem. Dlaczego nie zaprosiłem taty? Jasin ma rację, w tłumie człowiek zapomina o sobie, wznosi się ponad swoje problemy. Czym są moje kłopoty osobiste? Niczym. Jak mocno bije mi serce. Będę o tym dniu opowiadał dziś wieczór i jeszcze długo potem. Ciekawe, czy mama będzie znów drżała ze strachu. Wspaniały widok, uspokaja serca, każe pochylić głowy. Chciałbym zobaczyć twarze tych szatanów. Ciekawe, jakie wrażenie wywiera na nich ta demonstracja? Ich koszary stoją przy placu, powiewa na nich przekłeta flaga. Głowy w oknach... O czym szepczą? Strażnik jak posąg, nic nie widzi, nic nie słyszy. Wasze karabiny nie stłumiły rewolucji. Zrozumieliście to? I Wkrótce zobaczycie na tym placu powrót zwycięskiego Sa'da, którego wygnaliście z bronią w rękę, a który wraca broni nie używając. Jeszcze zdążycie go zobaczyć, zanim stąd wyjedziecie.

Wielki pochód drgnął, popłynęły jego fale, jedna za drugą, wśród patriotycznych okrzyków. Cały Egipt wydał się jedną demonstracją, a nawet jednym człowiekiem, a może nawet jednym okrzykiem. Długo, bardzo długo ciągnęły kolejne grupy reprezentujące poszczególne warstwy społeczeństwa, aż Fahmiemu wydało się, że pierwsze szeregi zbliżą się do Abidin, zanim on ze swoją grupą ruszy z miejsca. Drogi nie zagradzają karabiny maszynowe, nie sypią się kule z jednej, a kamienie z drugiej strony. Uśmiechnął się do siebie zadowolony. Grupa stojąca bezpośrednio przed nim poruszyła się. Fahmi odwrócił się, stanął przodem do „swoich” demonstrantów i podniósł ręce. Szeregi drgnęły i ożywiły się, przygotowując do marszu. Krzyknął głośno i ruszył tyłem, mając przed sobą swoją grupę. Prowadził ją w ten sposób do wlotu w ulicę Nubar, po czym ustąpił miejsca innym, którzy czekali na swoją kolej, przestępując z nogi na nogę, jakby dostali bóli porodowych i chcieli wyrzucić z siebie przygotowane okrzyki. Odwrócił się twarzą do czoła pochodu i wyciągnął szyję, żeby sprawdzić, co się dzieje przed nim, ale pierwszych szeregów już nie dostrzegł. Rozglądał się w prawo i lewo, przyglądając się tłumom widzów krzyczących i wiwatujących na chodnikach, w oknach, na balkonach i dachach. Napawał oczy widokiem tysięcy ludzi, w których tkwiła ogromna siła. Te tłumy to pancierz bezpieczeństwa, przez ich zwartą ścianę nie przeniknie żadna kula. Policja strzeże porządku, zmęczona natarciami i atakami. Policjanci na koniach jeżdżą tam i z powrotem, jakby byli na usługach demonstrantów, ich strażnikami. Czyż nie jest to najlepszy dowód zwycięstwa?

A tam, czyżby naczelnik policji? Zdaje się, że to Rasul Bek. Ależ tak, zna go bardzo dobrze. A to zastępca naczelnika, klusuje za nim patrząc nieruchomo i wyniośle przed siebie, jakby w milczeniu protestował przeciwko spokojowi, w jakim odbywa się demonstracja. Jak on się nazywa? Jak mógł zapomnieć to nazwisko, które dźwięczało we wszystkich uszach w tych czarnych, krwawych dniach. Zdaje się, że zaczyna się na J... Ja... Ju... Ji... Nie, nie chce słuchać swojej pamięci, Julian! Ach, jak wkradło się to znieprawione imię do jego świadomości? Zwaliło się na niego jak kupa piasku i zgasiło entuzjazm. No bo jak można entuzjazmować się i cieszyć zwycięstwem, skoro serce jest martwe? Martwe serce? Przed chwilą wcale nie było martwe. Nie poddawaj się smutkowi, nie pozwól, aby serce oddaliło się od demonstracji. Przecież powiedziałaś sobie, że zapomnisz. I naprawdę zapomniałaś. Mariam... Kto to jest? To stare dzieje. Żyjemy dla przyszłości, a nie przeszłości. Dżiz! Nazywał się na „Dż”, a nie na „J”. Mister Dżiz! Tak się nazywa zastępca naczelnika policji, niech go Bóg przeklnie. Krzycz, wiwatuj, strząśnij z siebie ten piasek, który cię tak nieoczekiwanie zasypał. „Jego” grupa zbliżała się powoli do parku Al-Azbakijja. Ponad flagami powiewającymi wzdłuż ulicy widać było wysokie drzewa. Z daleka pokazał się plac Opery, gdzie przylegające do siebie głowy wyglądały, jakby wyrastały z jednego ciała wypełniającego całą ziemię. Fahmi krzyczał znowu z siłą i entuzjazmem, a tłum powtarzał jego okrzyki głosem, który brzmiał jak huk grzmotu. Gdy zbliżyli się do muru otaczającego park, nieoczekiwanie głośny wybuch zmusił jego krzyczące gardło do milczenia. Rozejrzał się wokół pytająco i niespokojnie. Znał ten dźwięk. W zeszłym miesiącu często męczył jego uszy i echem wracał w ciszy nocnej. Nie zdołał się do niego przyzwyczaić. Za każdym razem, kiedy go słyszał, krew się w nim burzyła i serce przestawało bić.

– Kule?

– Niemożliwe, przecież pozwolili na demonstrację.

– Nie pomyślałaś, że może być zdrada?

– Ale nie widzę żołnierzy.

– W parku Al-Azbakijja jest wielki obóz, pełno ich tam.

– Może to strzeliła opona samochodowa?

– Może.

Słuchał uważnie tego, co działo się wokół, nie mogąc się uspokoić. Nie minęło kilka chwil, gdy rozległ się drugi wystrzał. Ach, nie było już wątpliwości. To kule, takie same jak przedtem. Gdzie one mogły trafić? Dzień pokoju! Od czoła pochodu szedł nerwowy ruch demonstrantów, jak ciężka fala, która przybija do brzegów wywołana ruchem statku płynącego środkiem rzeki. Tysięczne tłumy rozsypały się na wszystkie strony. Pochód rozpadł się na pędzące w różnych kierunkach oszalałe ze strachu i rozpaczki grupki ludzi, krzyczących z gniewu i przerażenia. Rozpadła się staranna konstrukcja demonstracji. Usłyszano następną serię wystrzałów, a po niej krzyki gniewu i jęki bólu. Fale wzburzonego ludzkiego morza parły na wszystkie strony szukając ujścia. Uciekaj! Musisz uciekać! Jeśli nie, zabije cię kula, zostaniesz stratowany. Myślał o tym, żeby uciekać albo wycofać się, albo przynajmniej ruszyć z tego miejsca, ale nie zrobił nic. Dlaczego stoisz, skoro wszyscy się rozproszyli! Jesteś sam, dokoła pusto. Uciekaj! Wykonał powolny, niemrawy ruch ramionami i nogami. Co to za straszny hałas? Kto tak krzyczy? Pamiętasz? Jakże szybko uciekają

wspomnienia. Czego chcesz? Chcesz wznosić okrzyki? Ale jakie? Może chcesz wołać? Ale kogo? Co? To krzyczy twój głos wewnętrzny. Słyszysz? Widzisz coś? Gdzie? Nic nie ma, nic, sam mrok, ciemność. Przyjemne, regularne kołysanie, jak wahadło zegara. Coś szemrze. Brama parku. Porusza się falistym płynnym ruchem. Wysokie drzewa tańczą z gracją. Niebo... Niebo? Rozpościera się wysoko. Spokojne, uśmiechnięte niebo.

As-Sajjid Ahmad Abd al-Dżawwad usłyszał kroki przy wejściu do sklepu i podniósł głowę znad biurka. Trzech młodzieńców, poważnych, surowych, weszło i stanęło pośrodku.

– Pokój wam i miłosierdzie – powiedzieli.

As-Sajjid wstał i odpowiedział jak zwykle uprzejmie:

– I wam pokój, miłosierdzie Boga i Jego błogosławieństwa. Proszę, siadajcie.

Ale oni podziękowali, a ten, który stał pośrodku zapytał:

– Pan jest As-Sajjidem Ahmadem Abd al-Dżawwadem?

– Tak, proszę pana – odpowiedział As-Sajjid z uśmiechem, ale w jego oczach było pytanie.

Ciekawe, czego chcą? Coś kupić? Wykluczone. Ten wojskowy krok nie ma nic wspólnego z kupowaniem. Ani ten poważny ton, jakim się do niego zwracają. Poza tym jest już po siódmej wieczorem. Czy nie widzą, że Al-Hamzawi wstawia worki na półki, dając do zrozumienia, że zamykamy sklep? A może zbierają składki? Sa'd został przecież zwolniony, rewolucja się skończyła. A ja muszę się przygotować do wieczornego spotkania. Hej, nie mam dla was czasu, jeszcze nie umyłem głowy i twarzy wodą kolońską, nie uczesałem włosów i wąsów, nie poprawiłem dżubby i kuftana. Czego chcecie? Przy tym wydało mu się, gdy patrzył na młodzieńców, że twarz jednego z nich nie jest mu obca. Widział ją już przedtem. Gdzie? Kiedy? Na pewno widzi go nie pierwszy raz. Ach! Uśmiechnął się i powiedział z widoczną ulgą:

– Czy pan nie jest czasem tym młodym, szlachetnym człowiekiem, który nas uratował w meczecie Al-Husajna, niech Bóg będzie z niego zadowolony<sup>32</sup>?

– Tak, to ja, proszę pana – odparł cicho młodzieniec.

A więc miałem rację. Głupcy mówią, że alkohol osłabia pamięć. Ale dlaczego oni tak net mnie patrzą? No, no! Te spojrzenia nie zapowiadają niczego dobrego. Boże, spraw, aby to nie było nic złego. Boże, ratuj mnie przed przeklętym szatanem. Dlaczego czuję w sercu niepokój? Przyszli z powodu jakiejś sprawy związanej z...

– Fahmi? Przyszliście się z nim zobaczyć? Może wy...

Młody człowiek spuścił oczy i odezwał się drżącym głosem:

– Mamy trudne zadanie, proszę pana, ale to nasz obowiązek. Oby Nasz Pan natchnął pana cierpliwością.

As-Sajjid przechylił się do przodu, opierając się na krawędzi biurka i zawołał:

– Cierpliwością? Z jakiego powodu? Co się stało z Fahmim?

– Przykro nam, że musimy pana powiadomić o śmierci naszego przyjaciela, bojownika Fahmiego Ahmada...

– Fahmi?! – krzyknął As-Sajjid jakby nie wierząc, choć w jego spojrzeniu widać było rozpacz.

<sup>32</sup> Przy wymienianiu imienia Al-Husajna dodaje się najczęściej taką formułkę.

– Poległ w dzisiejszej demonstracji. Razem z innymi szlachetnymi synami narodu. Był uczciwym patriotą i bohaterem.

Słuchał tych słów w milczeniu, powalony nieszczęściem, ze wzrokiem nieobecnym, błędzącym. Wszyscy trwali w milczeniu. Także Dżamil al-Hamzawi zamarł, tam gdzie stał, pod półkami, oszołomiony, i spoglądał na As-Sajjida pełnym bólu wzrokiem.

– Wszyscy bardzo bolejemy, że go utraciliśmy, ale zostało nam jedynie, jako ludziom wierzącym, pogodzić się z wyrokiem Boga. A ty, As-Sajjidzie, jesteś człowiekiem wierzącym.

Składają ci kondolencje, ten młody człowiek nie wie, że to ty wiesz najlepiej, jak składać kondolencje w takich sytuacjach. Co one znaczą dla zranionego serca? Nic! Jakie słowa mogą zgasić ogień? Powoli... Czy sercem nie przewidziałeś nieszczęścia, zanim cię powiadomiono? Tak, przed oczami majaczył ci koszmar śmierci. Ale teraz, gdy śmierć stała się faktem, gdy o niej słyszysz, nie chcesz wierzyć, zawodzi cię twoja odwaga. Jak uwierzyć, że Fahmi naprawdę nie żyje? Jak możesz uwierzyć, że Fahmi, który kilka godzin temu prosił cię o przebaczenie, a ty go tak źle potraktowałeś, który tego ranka wyszedł z domu w najlepszym zdrowiu, pełen energii i nadziei, zginął? nie żyje! Już go nigdy nie zobaczę, ani w domu, ani w żadnym innym miejscu na powierzchni ziemi. Jaki będzie dom bez niego? Jakim będę ojcem, kiedy jego już nie ma? Gdzie podzięją się nadzieje, które z nim wiązałem? Pozostaje jedynie cierpliwość. Cierpliwość?! Ach!... Czujesz klucie ostrego bólu? To jest prawdziwy ból. Gdy twierdziłeś nieraz, że odczuwasz ból, oszukiwałeś. Nie, nigdy dotąd nie odczuwałeś prawdziwego bólu.

– As-Sajjidzie, niech pan będzie silny, panuje nad sobą i powierzy się Bogu.

As-Sajjid podniósł głowę i spojrział na młodzieńca.

– Myślałem, że czasy zabijania już się skończyły – powiedział.

– To była demonstracja pokojowa – odparł młodzieniec z gniewem. – Władze pozwoliły na nią. Uczestniczyli w niej najlepsi ludzie ze wszystkich środowisk. Początkowo szła bezpiecznie, dopiero kiedy środek znalazł się koło parku Al-Azbakijja, zza muru posypały się na nas strzały. Nie wiadomo dlaczego. Nikt nie zaczepiał żołnierzy, powstrzymaliśmy się nawet od okrzyków po angielsku, żeby uniknąć prowokacji. Ich jednak ogarnęło nagle szaleństwo zabijania i otworzyli ogień. Do Zarządu Protektoratu skierowany zostanie ostry protest. Podobno Allenby ma wyrazić publicznie żal z powodu nierozważnych czynów żołnierzy.

– Ale to nie przywróci życia zmarłemu.

– Niestety.

– Nie brał udziału w niebezpiecznych demonstracjach. To pierwsza, do której się przyłączył.

Młodzieńcy wymienili znaczące spojrzenia. As-Sajjid poczuł się jakby w sytuacji obłąkania i zniecierpliwiony powiedział z westchnieniem:

– To moja sprawa, nie wasza. Gdzie go mogę teraz znaleźć?

– W szpitalu Kasr al-Ajni – powiedział młody człowiek, a następnie gestem powstrzymał As-Sajjida zabierającego się do wyjścia. – Zostanie pochowany razem z naszymi poległymi kolegami. Pogrzeb odbędzie się jutro o trzeciej po południu.

– Czy nawet nie wolno mi wyprowadzić zwłok z domu? – zawołał As-Sajjid z bólem.

– Pogrzeb będzie wspólny, odprowadzimy ich razem na cmentarz. Odbędzie się publiczna manifestacja. Szpital jest teraz otoczony przez policję. Trzeba trochę poczekać, spróbujemy umożliwić rodzinom pożegnanie poległych przed pogrzebem. Nie wypada, aby Fahmi miał zwyczajny pogrzeb, jak ci, którzy kończą życie we własnych domach. Niech Bóg da panu cierpliwość, As-Sajjidzie.

Wyciągnął do niego rękę na pożegnanie. Dwaj pozostali również podali mu rękę, powtarzając kondolencje.

As-Sajjid usiadł z głową opartą na dłoniach. Dżamil al-Hamzawi, który dotychczas milczał, zaczął go pocieszać płaczącym głosem. Tego było już za wiele. Nie był w stanie dłużej tu siedzieć. Wstał i powolnym, ciężkim krokiem, bez słowa opuścił sklep. Musi się otrząsnąć z odrętwienia. Przecież on nawet nie wie, jak się smucić. Musi zostać sam ze sobą choć na trochę. Ale gdzie? Dom za minutę, dwie stanie się piekłem. Przyjdą przyjaciele, nie zostawią mu chwili na refleksję. Kiedy będzie mógł zastanowić się nad stratą, jaką poniósł? Kiedy będzie mógł zagłębić się w swoim nieszczęściu z dala od całego świata? Wydaje się to odległe, ale bez wątplenia kiedyś nastąpi. To największe pocieszenie, jakie znajduje w tej chwili. Tak, przyjdzie czas, że zostanie sam ze sobą i zatopi się w smutku całym swoim jestestwem. Przeżyje to, co się stało, całą przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Będzie rozmyślał o jego życiu – dzieciństwie, latach chłopięcych, rozkwicie młodości, o nadziejach, jakie wzbudził, i wspomnieniach, jakie pozostawił. Wówczas da upust łzom, wyleje je do ostatka. Tak, ma przed sobą dużo czasu, do pozazdrosczenia. Nie musi się o to martwić. Będzie wspominał spór, jaki wybuchł między nimi po modlitwie piątkowej, albo to, co działo się tego ranka – próbę pojednania ze strony Fahmiego i swoje pretensje do syna. Ile czasu zajmą mu te rozmyślenia? Ile serca mu zabiorą? Ile łez wycisną? Nadchodzące dni zapewnią mu „szczęście” rozmyślań, nie ma obawy. Podniósł głowę ciężką od myśli i zobaczył przed sobą maszrabiję domu. Po raz pierwszy pomyślał o Aminie i zachwiał się, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Jak jej to powiedzieć? Jest taka słaba i delikatna, płacze nad śmiercią ptaszka. Pamiętasz, ile łez wylała nad śmiercią syna mleczarza Al-Fulego? Co będzie, gdy dowie się o śmierci Fahmiego? Czy to naprawdę twój koniec, mój synu? Mój drogi, nieszczęsny synu! Amina... Nasz syn został zabity, Fahmi został zabity. Jaki on... Zabronisz płakać, tak jak przedtem zabraniałeś *zagharid*? Może sam będziesz lamentował? Może wezwiesz płaczki? Pewnie siedzi teraz przy kawie między Jasinem i Kamalem i pyta, dlaczego Fahmi się spóźnia. Spóźni się bardzo, nigdy go już nie zobaczysz, ani jego ciała, ani pogrzebu. Jakie to okrutne! Ja go zobaczę w szpitalu Kasr al-Ajni, ale ty go już nigdy nie zobaczysz. Ja na to nie pozwolę. To okrucieństwo czy litość? I co to ma za znaczenie? Wyciągnął rękę do kołatki, ale zaraz przypomniał sobie, że w kieszeni ma klucz. Wyjął go, otworzył drzwi i wszedł. Usłyszał słodki głos Kamala, który śpiewał:

*Odwiedźcie mnie raz do roku,*

*Nie wolno odejść tak od razu...*



## SŁOWNICZEK

*abaja* – strój męski; rodzaj płaszcza bez kołnierza, z szerokimi rękawami, najczęściej z wełny gładkiej lub w pasy.

Abbas II Hilmi Pasza (1874–1944) – chedyw Egiptu w latach 1892-1914. Za próby protestu przeciw okupacji angielskiej został przez Anglików usunięty z tronu. Ludność egipska mówiła o nim „nasz efendi”.

Al-Abbasijja – elegancka (wówczas) dzielnica w Kairze powstała pod koniec XIX w.

Abduh Muhammad (1849-1905) – egipski teolog i prawnik, profesor Al-Azharu, jeden z wielkich reformatorów islamu, twórca tzw. modernizmu arabskiego. Muhammad Abduh wprowadził reformy unowocześniające szkolnictwo i sądownictwo muzułmańskie, próbował przyswoić islamowi nowoczesną myśl europejską. Komentator arabskich dzieł klasycznych. Najważniejsze jego dzieło to *Risalat at-tauhid* - (Traktat o jedności Boga).

Abidin – pałac w Kairze zbudowany za panowania chedywa Isma'ila (1863-1879). W latach 1874-1952 oficjalna rezydencja władcy, potem nazywany Pałacem Republiki.

Adli Jakun Pasza – jeden z liderów partii Wafd w początkowych latach jej istnienia.

*arus al-burku* – ozdoba, rodzaj wisiorka z miedzi lub szlachetnego metalu, noszona przez muzułmanki na czole między brwiami i na nosie, przypięta od góry do nakrycia głowy, od dołu do zasłony.

Aszura – święto obchodzone dla uczczenia męczeńskiej śmierci Al-Husajna, 10 muharrama (pierwszy miesiąc w kalendarzu muzułmańskim). Wielkie święto szyitów, w Iraku odbywa się wtedy pielgrzymka do grobu Al-Husajna w Karbali. Obchodzone uroczyste także w Kairze, zwłaszcza w dzielnicy, w której znajduje się meczet Al-Husajna.

Al-Azbakijja – dzielnica w nowszej części Kairu znana z ogrodu botanicznego i bukinistów. Obok znajduje się plac Opery, na którym stał sławny, spalony w l. 70. XX w., gmach opery kairskiej zbudowany przez chedywa Isma'ila.

Al-Azhar – sławny w całym świecie arabskim meczet i uniwersytet muzułmański zbudowany w 972 r. za panowania fatymidzkiego kalifa Al-Mu'izza (952-975); także nazwa ulicy prowadzącej od placu Ataba (obok placu Opery) do meczetu Al-Azhar.

Bab al-Achdar (Zielona Brama) – brama i minarety w okolicy meczetu Al-Husajna. Pochodzą z lat 1154–1236.

Bab al-Futuh (Brama Podbojów) – jedna z trzech zachowanych bram w murze otaczającym Kair od północy, pochodząca z roku 1087 (okres Fatymidów).

Bab an-Nasr (Brama Zwycięstwa) – jak wyżej.

Bab al-Mutawalli (egip. Mitwalli) zw. też Bab Zuwajla – jak wyżej. Pochodzi z roku 1092.

Bajt al-Kadi (Dom Sędziego) – zbudowany w 1496 r. jako pałac Amira Mamaja, wodza armii mameluckiego sułtana Barkuka. Obecnie w ruinie. Także nazwa ulicy i placu.

*bamia* (łac. *Hibiscus esculentus*) – roślina uprawiana w krajach tropikalnych. Niedojrzałe owoce jądane są jako jarzyna, także suszy się je. Popularna w Egipcie i Syrii potrawa.

Barkuk Az-Zahir Sajf ad-Din – sułtan mamelucki (1382-1389) z linii Burdzi. Za jego panowania powstało w Kairze wiele wspaniałych budowli, m.in. meczet-madrasa (uczelnia) w 1384, wyróżniający się pięknymi, smukłymi minaretami. Znajduje się w nim grób córki Barkuka.

*basbusa* – egipski przysmak, rodzaj ciasta z mąki, stopionego masła, cukru, oleju i bakalii.

*basmala* – skrót od *Bi ismi Allahi Ar-Rahmani Ar-Rahimi* (W imię Boga Miłosiernego, Litościwego). Tymi słowami zaczyna się Koran i tymi słowami muzułmanie rozpoczynają zwykle pracę i różne przedsięwzięcia. Słowa te, pięknie wykaligrafowane, zdobią często ściany domów, biur itp.

basza (osm.-tur. *pasza*) – tytuł wysokich urzędników wojskowych i cywilnych w prowincjach Imperium Osmańskiego. W niektórych krajach, np. Jordanii, Libii, Sudanie, istnieje do dziś, w Egipcie został zniesiony w 1952 r.

bek (tur. *beg, bej* – pan, naczelnik, książę) – tytuł nadawany w Imperium Osmańskim wyższym urzędnikom cywilnym i wojskowym; tytuł władców Tunezji w czasach panowania tureckiego, a potem francuskiego. W Egipcie (rzadko) używany do dziś.

Bitwa Rowu – podczas oblężenia Medyny przez Kurajczytów w 627 r..

Al-Buchari Muhammad Ibn Isma'il (810-870) – sławny i czczony przez muzułmanów znawca i zbieracz tradycji (hadis), autor dzieła pt. *Al-Dżami as-sahih* (Zbiór prawdziwy) zawierającego ponad siedem tysięcy tradycji, stanowiących uzupełnienie przepisów koranicznych.

*chamsin* (arab. *chamsuna* – pięćdziesiąt) – silny, gorący i suchy wiatr z południa, wiejący w Egipcie w okresie od kwietnia do czerwca oraz we wrześniu i październiku. Wieje zwykle dziesięć dni w miesiącu przez około pięćdziesiąt godzin.

Chan al-Chalili – ulica w starej, fatymidzkiej części Kairu w pobliżu meczetu Al-Azhar, na której mieści się znany, chętnie odwiedzany przez turystów bazar. Akcja większości powieści Nadżiba Mahfuzy toczy się w tej części Kairu, a jedna z nich nosi tytuł właśnie *Chan al-Chalili* i ukazuje odrębność i unikatowość tej dzielnicy w stosunku do innych dzielnic Kairu.

Chan Dżafar (XVI w.) – dowódca floty tureckiej, zasłużony w podboju Egiptu i Syrii przez Turków osmańskich.

*chulba* – uroczyste kazanie, mowa, obecnie najczęściej kazanie w meczecie podczas piątkowego nabożeństwa.

Cytadela (arab. *kala*) – zbudowana w 1176 r. za panowania ajjubidzkiego sułtana Salaha ad-Dina (Saladyna). Podobno do jej budowy użyto kamieni z małych piramid w Cizie. Z jedenastowiecznej budowli pozostał tylko wschodni, zewnętrzny mur. W Cytadeli znajdują się dwa meczety: mameluckiego sułtana An-Nasira (1308-1340) zbudowany w 1318 r. i meczet władcy egipskiego Muhammada Alego (1769-1849) zbudowany na wzór meczetów tureckich, z piękną kopułą i smukłymi minaretami. Znajduje się w nim grobowiec Muhammada Alego.

Danszawaj – miejscowość w delcie Nilu, gdzie w 1906 r. Anglicy aresztowali pięćdziesięciu dwóch wieśniaków egipskich oskarżonych o bunt przeciwko władzy, czterech z nich zostało powieszonych. Powodem „buntu” było postrzelenie w czasie polowania egipskiej wieśniaczki przez angielskiego oficera. Doszło do walki Anglików z wieśniakami, w czasie której rannych zostało trzech Egipcjan i trzech Anglików. Jeden Anglik zmarł.

*dum* – gatunek palmy o jadalnych owocach, rosnącej na południu Egiptu. Owoce są twarde, z dużą pestką, chętnie jadane przez biedniejszą ludność Egiptu.

Al-Dżamalijja – dzielnica Kairu pochodząca z czasów fatymidzkich. Nazwa powstała od imienia Badra al-Dżamalego (zm. 1094), wodza fatymidzkiego kalifa Al-Mustansira (1035-1094). Najbardziej odwiedzana przez turystów dzielnica Kairu; w niej znajduje się słynny bazar Chan al-Chalili i w niej toczy się akcja większości powieści Nadżiba Mahfuza.

dżinny – według tradycji muzułmańskiej istoty rozumne (obok ludzi i aniołów), stworzone z ognia. Wymieniane wielokrotnie w Koranie (sura LXXII nosi tytuł *Dżinny*). Dzieli się je na dobre (pomagają ludziom) i złe (szkodzą ludziom).

*dżubba* – rodzaj długiej sukni rozciętej z przodu, z szerokimi rękawami, noszonej głównie przez szajchów i alimów.

efendi (tur. pan) – w krajach arabskich właściciel ziemski lub urzędnik, w Egipcie, ponadto, oznacza często człowieka wykształconego.

Fahmi Abd al-Aziz – polityk egipski, członek delegacji (arab. *wafd*) pod przywództwem Sada Zaghlula wysłanej do okupacyjnych władz angielskich w 1918 r. W późniejszych latach został oponentem partii Wafd.

*fakih* – uczony w prawie muzułmańskim, potocznie: nauczyciel szkółki koranicznej, recytator Koranu na pogrzebach.

Farid Muhammad – przywódca egipskiego ruchu narodowego w latach 1908-1917 po śmierci Mustafy Kamila.

*Al-Fatiha* – pierwsza sura Koranu, dosł. „otwierająca”.

Fu’ad Ahmad (1868-1936) – władca Egiptu w latach 1917-1936. Przeciwnik partii Wafd.

*ful* – bób, bobik; narodowa potrawa egipska przyrządzana z bobiku gotowanego z oliwą na półgęsto.

*gallabijja* lub *gilbab* (arab. klas. *dżallabijja*, *dżilbab*) – codzienny arabski strój męski i kobiecy, rodzaj długiej sukni z długimi, rozszerzonymi u dołu rękawami, bez kołnierza, z rozcięciem pod szyją (w Maroku często z kapturem).

Al – Ghuri Al-Aszraf Kansuh (1500-1516) – ostatni sułtan mamelucki. Zbudowany za jego panowania meczet (1504 r.) w pobliżu meczetu Al-Azhar funkcjonuje do dziś i jest odwiedzany przez turystów.

*Al-Hamasa* (arab. dzielność) – tytuł dwóch antologii poezji arabskiej zebranych przez wybitnych poetów IX w. Abu Tammama (zm. 846) i Al-Buchturiego (820-897).

Hammam as-Sultan (Łaźnia Sułtana) – łaźnia z XIX w., obecnie w ruinie.

Al-Hizb al-Watani (Partia Narodowa) – założona w 1907 r. przez Mustafę Kamila, wybitnego działacza egipskiego ruchu narodowego.

*hulba* (egip. *halba*, *Trigonella foenum-graecum*) – kozieradka pospolita; napój ze zmielonych nasion tej rośliny jest bardzo pożywny i tuczający, w Egipcie piją go głównie kobiety w ciąży.

Al-Husajn (626-680) – syn kalifa Alego i Fatimy, córki proroka Muhammada, zamordowany w bitwie pod Karbalą (680 r.) w walce o kalifat z Mu'awiją Ibn Abi Sufjanem, założycielem dynastii Umajjadów. Czczony przez szyitów. Meczet Al-Husajna w Kairze, gdzie znajduje się jego mauzoleum, jest miejscem pielgrzymek.

Husajn Kamil – sułtan Egiptu w latach 1914-1917.

*ifrit* – według tradycji muzułmańskiej „zbuntowany” demon, najbardziej złośliwy i najpotężniejszy spośród dzinnów. W wierzeniach ludowych dusza człowieka, który zmarł nagłą śmiercią i nie został należycie pochowany.

*iftar* – w ramadanie pierwszy wieczorny posiłek po całym dniu postu.

*imama* – męskie nakrycie głowy, turban.

Kaiawun Al Mansur Sajf ad-Din – siódmy sułtan mamelucki (1279-1290), wielki budowniczy, fundator meczetu, madrasy (szkoły) i szpitala w Kairze. Budowle te istnieją do dziś, szpital w ruinie.

Kamil Mustafa (1874-1908) – wybitny polityk egipski, przywódca Partii Narodowej (Al-Hizb al-Watani), założyciel czasopisma „Al-Liwa” („Sztandar”).

*karagöz* – turecki teatr cieni, także kłown, główna postać tego teatru.

*karo* – wózek, czworokątna platforma na kołach ciągniona zazwyczaj przez osła lub konia.

Karun – według legendy judaistycznej i muzułmańskiej bogacz porównywany lub mylony z Krezusem, wymieniony w Koranie (sura XXVIII).

*kibla* – kierunek wskazujący Mekkę, w którym muzułmanin powinien być zwrócony w czasie modlitwy.

*kirat* – miara wagi drogich kamieni lub miara wagi ciał sypkich równa 0,0641 g, w Egipcie także miara powierzchni: 1/32 feddana = 175,035m<sup>2</sup>.

*kuftan* – kaftan rozcięty z przodu, z długimi rękawami, nosi się go jako wierzchni strój okręcony szerokim pasem.

*kuhl* – proszek antymonowy używany przez kobiety arabskie do czernienia oczu.

*kunafa* – rodzaj słodkiego ciasta przypominającego makaron nitki, z miodem.

*kuskus* – kasza pszenna; podawana w sosie z mięsem i jarzynami jest potrawą popularną w krajach Maghrebu.

*kuttab* – szkoła początkowa, w której naucza się Koranu. „Al-Liwa” („Sztandar”) – gazeta założona w 1908 r. przez Mustafę Kamila jako organ Partii Narodowej.

*mahmal* – lektyka umieszczona na wielbłądzie zawierająca dary dla świątyni Al-Kaba w Mekce, m.in. czarną jedwabną tkaninę wyprodukowaną w Egipcie przeznaczoną do pokrycia Al-Kaby. Od czasu Fatymidów moment wyruszenia pielgrzymki z mahmalem do Mekki był w Kairze wielką uroczystością. Orszak z mahmalem przeciągał ulicami miasta i wychodził przez Bramę Zwycięstwa. Uroczystości tych zaprzestano po rewolucji 1952 r.

*manzara* – w domu arabskim pokój gościnny w pobliżu drzwi wejściowych, bez drzwi, otwarty na dziedziniec wewnętrzny.

*maszrabijja* – w domach arabskich okno (rodzaj balkonika) zakratowane gęstą, drewnianą kratą, przez którą nie wychodzące z domów kobiety mogą wyglądać na ulicę, nie będąc widziane.

*malam* – rodzaj stypy, przyjęcie po pogrzebie, w czasie którego recytuje się Koran i wspomina zmarłego.

*mazun* – przedstawiciel kadiego, który może dawać śluby i rozwody.

*mihrab* – mała wnęka w meczecie, w sali modlitw, wskazująca kierunek Mekki (kibłę).

*milaja* – kilkumetrowej długości przeważnie czarna tkanina w kształcie prostokąta, którą kobiety egipskie owijają się od stóp do głowy.

*millim* – jednostka monetarna równa 1/100 piasra lub 1/1000 funta egipskiego.

*minbar* – kazalnica na podwyższeniu w meczecie, z której imam kieruje wspólną modlitwą piątkową.

*mudirijja* – prowincja, województwo.

*muezzin* – niższy duchowny w meczecie zwołujący wiernych na modlitwę pięć razy dziennie.

*mughas* – pożywny, słodki napój przyprawiony cynamonem.

*muhallabijja* – słodki deser przypominający bitą śmietaną, przyrządzony z mąki i mleka lub wody z cukrem pudrem i mielonymi migdałami lub pistacjami.

*muluchijja* (łac. *Corchorus olitorius*) – roślina uprawiana głównie na jarzynę (młode pędy i liście), w Egipcie robi się z niej pożywną zupę o tej samej nazwie.

Muski – najdłuższa handlowa ulica na kairskim bazarze w starej, fatymidzkiej części Kairu. Razem z bazarem Chan al-Chalili są jedną z największych atrakcji turystycznych miasta.

*muwaszszaha* (arab. *wiszah, szarfa*) – forma poezji stroficznej, która rozwinęła się w arabskiej Hiszpanii. *Muwaszszaha* składa się z kilku strof, które „opasuje” refren.

Noc Przeznaczenia – noc w ramadanie, w czasie której został objawiony Koran. Opisana jest też w Koranie jako noc, w której aniołowie zstępują na ziemię i która przynosi błogosławieństwo. Modły zanoszone do Boga tej nocy zostają wysłuchane. Powiedzenie „urodziłeś się w Noc Przeznaczenia” odpowiada polskiemu: „w czepku urodzony”.

Partia Narodowa – por. Al-Hizb al Watani.

ramadan – dziewiąty miesiąc kalendarza muzułmańskiego, miesiąc postu obowiązujący każdego muzułmanina od ukończenia dziesiątego roku życia z wyjątkiem okresu choroby, menstruacji, ciąży, podróży dłuższej niż trzy dni, ciężkiej pracy fizycznej. Post w ramadanie oznacza całkowite powstrzymanie się od jedzenia, picia, palenia tytoniu oraz stosunków seksualnych od wschodu do zachodu słońca.

*rail* – miara wagi równa 449,28 g (w Egipcie) i 3,202 kg (w Syrii).

Ar-Rifa'i – szajch, mistyk z XIII w. czczony przez muzułmanów. Meczet jego imienia zbudowano w XIX w. w pobliżu Cytadeli i meczetu sułtana Hasana. Znajduje się w nim grobowiec chedywa Isma'ila (1863-1879) i szacha Iranu Rezy Pahlawiego.

Ruszdi Pasza – premier rządu egipskiego w pierwszych latach po I wojnie światowej.

*sabil* – studnia, źródło usytuowane w miejscach dostępnych dla wszystkich wiernych, aby mogli dokonywać ablucji przed modlitwą, a także napić się wody. Często w formie ozdobnej budowli lub fontanny.

As-Sajjid (arab. pan, dial. egipski – Si) – bywa często częścią nazwiska, zwłaszcza osób znanych i szanowanych. Także forma grzecznościowa w zwrotach do mężczyzn; żony do męża, córek i synów do ojca.

Sajjida Zajnab – wnuczka proroka Muhammada, córka Fatimy i Alego; w Kairze znajduje się meczet pod jej wezwaniem i dzielnica jej imienia. W meczecie odbywają się wielkie uroczystości w święto urodzin Proroka.

*As-Samadijja* – CXII sura Koranu.

Sidi Abu Sa'ud – szajch, mistyk z XIII w. czczony w Egipcie. Jego niewielki grobowiec znajduje się na terenie Al-Fustatu (starej, przedfatymidzkiej części Kairu) i jest miejscem pielgrzymek.

sura – rozdział Koranu; Koran zawiera sto czternaście sur.

szajch kuttabu – nauczyciel szkoły początkowej, koranicznej.

Asz-Szarawi Ali – polityk egipski, jeden z członków delegacji Sada Zaghlula. W 1921 r. odszedł z partii Wafd i wycofał się z polityki.

Szarif ar-Radi (970-1015) – poeta arabski epoki klasycznej żyjący na dworze Bujjidów w Bagdadzie.

*szatta* – ostra papryka w strączkach używana jako przyprawa do potraw.

Święto Ofiary (arab. Id al-Adha) – rozpoczyna się dziesiątego dnia miesiąca zu *al-hidżdża* (12 miesiąc kalendarza muzułmańskiego), miesiąca pielgrzymki, i trwa przez następne trzy dni. Jest ono obchodzone dla uczczenia dnia, w którym pielgrzymi składają ofiary ze zwierząt w dolinie Mina w Mekce. W zasadzie każda rodzina muzułmańska powinna w tym dniu zabić barana na ofiarę. Bogaci mają obowiązek podzielić się ofiarnym zwierzęciem z biednymi, których nie stać na jego kupno. Zabijanie barana odbywa się o ściśle określonej porze, po czym wierni powinni udać się na modły do meczetu, które trwają do zachodu słońca. Po złożeniu ofiar i odbyciu modłów następują uczty i zabawy.

Święto Zakończenia Postu (arab. Id al-Fitr), zw. też Małe Święto – rozpoczyna się ostatniej nocy ramadanu i obchodzone jest bardzo hucznie przez kilka dni.

*takijja* – mała okrągła czapeczka noszona przez mężczyzn pod turbanem lub bez niego.

*tarbusz* – męskie nakrycie głowy w kształcie ściętego stożka z czarnym jedwabnym chwostem zwisającym ze środka denka. W krajach Bliskiego Wschodu tarbusz nosi się w różnych odcieniach czerwieni, w Maghrebie – czarny; fez.

*tawaf* – w czasie pielgrzymki okążenie Al-Kaby, najbardziej czczonej świątyni w islamie, stojącej na dziedzińcu Wielkiego Meczetu w Mekce.

*tausziħ* – por. muwaszszaha.

Towarzysze Proroka (arab. *sahaba* lub *ashab*) – określenie to odnosiło się pierwotnie do ludzi z bezpośredniego otoczenia proroka Muhammada, pierwszych jego wyznawców. Niektórzy biografowie arabscy zaliczają do nich wszystkich, którzy zetknęli się z Prorokiem, nawet jeżeli byli w tym czasie niemowlętami. Późniejsi biografowie dzielą

*sahaba* na 13 klas w zależności od stopnia znajomości z Prorokiem. I tak do pierwszej klasy należą wszyscy czterej kalifowie prawowierni, do drugiej klasy ci, którzy przenieśli się z nim z Mekki do Medyny itd.

Urabi Pasza (1839-1911)- przywódca powstania narodowowyzwoleńczego w Egipcie. W 1881 r. opanował Kair. W 1882 r. został ministrem wojny. Zdjęcie go z tego stanowiska przez króla spowodowało spontaniczne protesty całego społeczeństwa egipskiego i wybuch powstania, które zostało krwawo stłumione przez Anglików. W 1882 r. poniósł klęskę pod At-Tall al-Kabir. W 1892 r. został zesłany na Cejlon, skąd wrócił w 1901 r., ale nie brał już udziału w życiu politycznym Egiptu.

Wafd (arab. delegacja) – partia założona w 1918 r. przez Sada Zaghlula skupiająca patriotów egipskich walczących o niepodległość kraju.

*zikr* – wspólne powtarzanie pewnych rytualnych formuł lub recytacja dziewięćdziesięciu dziewięciu imion Allaha, wykonywane w określonym rytmie. *Zikr* jest to część rytuału różnych zakonów derwiszów, za jego pomocą można osiągnąć stan egzaltacji duchowej, umożliwiający duchowe połączenie się z Bogiem. Praktykowany jest także przez wiernych w ramadanie lub po powrocie z pielgrzymki do Mekki.

*zagharid* – specyficzny dźwięk przypominający nieco jodłowanie, krzyk wydawany przez kobiety arabskie wibrującym językiem z okazji różnych radosnych uroczystości, np. na weselach.

Zaghlul Sad (zm. 1926) – wybitny polityk egipski, przywódca walki o wyzwolenie kraju spod władzy brytyjskiej. W 1918 r. jako członek Zgromadzenia Ustawodawczego uczestniczył w delegacji tego Zgromadzenia, która udała się do Wysokiego Komisarza brytyjskiego z żądaniem pełnej niepodległości Egiptu oraz zezwolenia na wyjazd do Londynu w celu bezpośredniego przedstawienia rządowi brytyjskiemu postulatów narodu egipskiego. Delegacji nie pozwolono na wyjazd, wzbudziło to protesty społeczeństwa. Wtedy też powstała partia Wafd. Władze brytyjskie zesłały Sada Zaghlula na Maltę (1919 r.), co wywołało nową falę protestów i rozruchów. W 1921 r. Sada zwolniono z wygnania i wrócił do kraju. W 1924 r. został premierem rządu egipskiego po otrzymaniu przez Egipt częściowej niepodległości.